



**UUK**

**BRIAN LUMLEY**

**NEKROSKOP IV**  
**MOWA UMARŁYCH**



Przełożył: Mirosław Przyłipiak  
Tytuł oryginału: *Necroscope IV: Deadspeak*  
Data wydania oryginalnego: 1990  
Wydanie polskie: 1992

# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	3
Prolog	
Streszczenie i chronologia . . . . .	4
<b>NEKROSKOP IV</b>	
<b>Mowa Umarłych</b>	
<b>ROZDZIAŁ PIERWSZY</b>	
Zamek Ferenczego . . . . .	16
<b>ROZDZIAŁ DRUGI</b>	
Poszukiwacze. . . . .	34
<b>ROZDZIAŁ TRZECI</b>	
Odkrycie. . . . .	52
<b>ROZDZIAŁ CZWARTY</b>	
Lazardies . . . . .	71
<b>ROZDZIAŁ PIĄTY</b>	
Harry Keogh: dawniej nekroskop . . . . .	89
<b>ROZDZIAŁ SZÓSTY</b>	
Sandra . . . . .	110
<b>ROZDZIAŁ SIÓDMY</b>	
Mowa umarłych . . . . .	126
<b>ROZDZIAŁ ÓSMY</b>	
Niemartwi . . . . .	145
<b>ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY</b>	
Kot i mysz . . . . .	166
<b>ROZDZIAŁ DZIESIĄTY</b>	
Syn . . . . .	187
<b>ROZDZIAŁ JEDENASTY</b>	
Przyjaciele Harry'ego i inni . . . . .	201

ROZDZIAŁ DWUNASTY	
Pierwsza i druga krew . . . . .	222
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	
Pierwszy kontakt — wyzwanie niewolnicy . . . . .	241
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	
Drugi kontakt — Horror na Halki — Ładunek negatywny . . . . .	260
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	
Trakowie — Morze Śródziemne — Cyganie. . . . .	283
ROZDZIAŁ SZESNASTY	
Mężczyzna z mężczyzną, twarzą w twarz . . . . .	305
EPILOG . . . . .	327

# Prolog

## Streszczenie i chronologia

### 1.

#### Nekroskop I

Ochrzczony jako Harry Snaith w Edynburgu w roku 1957 jest synem kobiety o nadwrażliwej psychice, Mary Keogh (która jest z kolei córką specjalnie „obdarzonej” rosyjskiej emigrantki), oraz Geralda Snaitha, bankiera. Ojciec Harry’ego wkrótce umiera na wylew krwi do mózgu. Późną jesienią roku 1960 Mary wychodzi powtórnie za mąż, tym razem za Rosjanina o nazwisku Wiktor Szukszin. Szukszin opuścił ZSRR z etykietką „dysydenta”, to przypuszczalnie tłumaczy początkowe zauroczenie jego osobą ze strony matki Harry’ego, jednak nie zapobiega temu, iż niebawem ich związek staje się wzorcowym wręcz przykładem małżeńskiego niedopasowania.

Zima 1963. Szukszin morduje swoją żonę w Bonnyrigg nie opodal Edynburga, wpychając ją pod lód zamarzającej rzeki. Następnie utrzymuje, że lód załamał się podczas jazdy na łyżwach; że nie można było w żaden sposób jej uratować; że omal nie postradał zmysłów w wyniku tego wypadku. Ciało Mary Keogh nigdy nie odnaleziono. Szukszin otrzymuje w spadku jej dom w Bonnyrigg, stojący z dala od innych zabudowań, oraz wcale nie małą sumkę pieniędzy, pozostawioną przez pierwszego męża.

Pół roku później mały Harry (teraz Harry Keogh) przeprowadza się do swojego wuja do Harden na południowo-wschodnie wybrzeże Anglii. Rozpoczyna edukację. Dorasta wśród nieokrzesanych dzieciaków w górniczej wiosce. Jest zamkniętym w sobie marzycielem, samotnikiem. Zawiera mało przyjaźni (z kolegami ze szkoły, w każdym razie) i szybko staje się ofiarą rówieśniczej niechęci i przemocy. Jako nastolatek, popada w konflikt z nauczycielami, wywołany przez jego introspekcyjne usposobienie i psychiczne właściwości. Ale nie brakuje mu charakteru. Wręcz przeciwnie.

Problem Harry'ego polega na tym, iż odziedziczył po matce talenty mediumistyczne, które następnie rozwinął (i wciąż rozwija) w niesłychanym stopniu. Nie nawiązuje nowych znajomości czy przyjaźni, bowiem dotychczasowe kontakty w zupełności mu wystarczają. Kim są jego przyjaciele? To zmarli spoczywający w grobach.

Jednego ze szczególnie uprzykrzonych szkolnych kolegów Keogh pokonuje dzięki telepatycznej współpracy z umarłym instruktorem szkolenia fizycznego, specjalistą w kwestiach samoobrony.

Trudne zadania z matematyki chłopiec rozwiązuje z pomocą byłego dyrektora szkoły, omal się przy tym nie zdradzając. Tajemnica paranormalnych związków Harry'ego prawie wychodzi na jaw. Nauczyciel jest bowiem synem tego matematycznego opiekuna, „wypoczywającego” na cmentarzu w Harden, i spostrzega, iż charakter pisma w pracy Harry'ego dziwnie przypomina mu pismo ojca.

W 1969 roku Keogh zdaje wstępny egzamin do Technical College w West Hartlepool i w ciągu następnego pięciu lat, uwieńczonych zakończeniem jego formalnej (i ortodoksyjnej) edukacji, stara się stonować stosowanie swoich niezwykłych talentów i możliwości, aby udowodnić samemu sobie, iż jest „normalnym, przeciętnym uczniem”... za wyjątkiem jednej dziedziny.

Wiedząc, że wkrótce będzie musiał się sam utrzymywać, zabiera się do pisania. Do czasu zakończenia szkoły publikuje kilka krótkich opowiadań. Jego mentorem jest podówczas człowiek, który zyskał pewien rozgłos jako autor błyskotliwych krótkich form, nieżyjący od 1947 roku. Ale to tylko początki. Przed ukończeniem dziewiętnastu lat Harry publikuje pod pseudonimem swoją pierwszą dużą powieść: Pamiętnik rozpustnika z XVII wieku. Książka nie staje się wprawdzie bestsellerem, ale wciąż ma się dobrze. Niezwykła jest w niej nie tyle fabuła, ile nieprawdopodobna wierność faktom autentycznym... dopóki, rzecz jasna, nie weźmie się pod uwagę współautora książki, prawdziwego barokowego hulaki, zastrzelonego przez pewnego znieważanego męża w roku 1672.

Lato roku 1976. Keogh zajmuje skromne mieszkanie na ostatnim piętrze trzykondygnacyjnego budynku przy biegnącej wzdłuż wybrzeża szosie, za Hartlepool w kierunku Sunderland. Nie ma zapewne nic niezwykłego w fakcie, iż ten stary dom stoi na wprost jednego z najstarszych miejskich cmentarzy. Harry'emu nigdy nie brakuje przyjaciół do rozmowy. Co więcej, tutaj jego talent nekroskopa rozwinął się w całej pełni. Może teraz prowadzić ożywione rozmowy z nieżyjącymi, nawet na dalekie dystanse. Wystarczy, że raz porozmawia z danym umarłym, lub też jest mu przedstawionym, by przy następnej okazji móc się z nim połączyć bez trudu. Zazwyczaj osobiście odwiedza groby swoich przyjaciół. Uważa bowiem, że rozmówców należy darzyć szacunkiem, a w kontaktach zachować dyskrecję.

Zmarli z kolei, odwzajemniając przyjaźń, kochają Harry'ego. Nazywają go swoim farosem, jedynym światelkiem w ich wiecznej ciemności. Przynosi nadzieję tam, gdzie dotąd nie znano takiego słowa. Jest ich jedynym oknem, jedynym

miejszem, z którego mogą patrzeć na świat. W przeciwieństwie do tego, co sądzą żyjący, śmierć nie jest Końcem, ale przejściem do bezcielesności, bezruchu. Ciało może być słabe i podlegające rozkładowi, ale umysł, siła psychiczna, wola trwają. Wielcy artyści, kiedy umierają, w dalszym ciągu wizualizują wspaniałe obrazy, których nie zdążyli namalować; architekci planują fantastyczne, rozciągające się na całe kontynenty miasta, które nigdy nie powstaną; naukowcy kontynuują badania, które rozpoczęli jako ludzie żywi, a których nigdy nie mieli czasu dokończyć. Ponadto teraz, dzięki nekroskopowi, mogą kontaktować się z sobą oraz (co jest może ważniejsze) zyskiwać wiedzę o świecie cielesnym. A zarazem, choć nie chcieliby rozmyślnie przysparzać mu kłopotów, to jednak wszystkie cierpienia niezliczonych, nieżywych przyjaciół są jego troskami, i na odwrót.

W swoim mieszkaniu w Hartlepool Keogh, w chwilach wolnych od pracy, podejmuje swoją miłość z czasów dzieciństwa, Brendę. Dziewczyna niebawem zachodzi w ciążę i zostaje jego żoną. Skoro tylko jego ziemskie zainteresowania poszerzają się, natychmiast ponury cień przeszłości urasta do rozmiarów obsesji. Obraz biednej, zamordowanej matki towarzyszy jego nocnym i dziennym zwidom. W najczarniejszych koszmarach sennych Harry powraca nad zamarzną rzekę, gdzie dopełniła żywota. Ostatecznie decyduje się zemścić na Wiktorze Szukszinie, swoim ojczymie.

W tej sprawie, jak we wszystkich innych, ma błogosławieństwo umarłych. Morderstwo jest przestępstwem, którego żadną miarą nie tolerują: znają mrok śmierci, więc ktoś, kto rozmyślnie zabiera życie komuś innemu, wzbudza w nich odrazę.

Zimą 1976 Harry jedzie do Szukszina i przedstawia mu dowody jego winy. Podejrzewa, że ojczym będzie próbował się go pozbyć. Stwarza więc mu do tego dogodną sposobność. Ślizgają się razem na łyżwach po zamarniętej rzece. Kiedy Szukszin zbliża się do Harry'ego, by go zabić, ten jest przygotowany. Jednak obojdwaj wpadają pod lód. Rosjanin ma siłę szaleńca i z pewnością utopi swojego przybranego syna. . . lecz nie, matka Keogha wstaje ze swego podwodnego grobu i ściąga Szukszina w dół.

A nekroskop odkrywa swój nowy talent, lub raczej, dopiero teraz uświadamia sobie, jak daleko umarli zdolni są posunąć się, aby go ochronić — wie, że mogą nawet powstać z grobu.

Zdolności Harry'ego nie pozostają niezauważalne. Zarówno tajna brytyjska służba wywiadowcza — INTESP, jak i jej sowiecka odpowiedniczka — Wydział E są świadome jego mocy. Jednak jej szef zostaje zamordowany przez Borysa Dragosaniego, rumuńskiego szpiega i nekromantę. Dragosani rozrywa ciała zmarłych i wykrada sekrety życia i śmierci z krwi i wnętrzości. Ćwiartując szefa INTESP, zyskuje dostęp do wszystkich tajemnic wywiadu.

Keogh obiecuje ścigać i ostatecznie pokonać Dragosaniego, a zmarli oferują mu wsparcie. Oczywiście dlatego, iż nawet oni obawiają się człowieka, któ-



ry bezcześci zwłoki. Jednak ani nekroskop, ani przyjaciele z tamtego świata nie wiedzą, że Dragosani jest zainteresowany wampiryzmem; nosi w sobie wampirze jajo Tibora Ferenczego, rosnące, stopniowo zmieniające jego naturę i przejmujące nad nim kontrolę. Co więcej, Dragosani zamordował swego kolegę, Maksa Batu, Mongoła, aby ukraść tajemnicę jego Złego Oka. Teraz może mordować spojrzeniem. Nekroskop jedzie za nekromantą do ZSRR, do kwatery głównej sowieckiego Wydziału E, mieszczącej się w Zamku Bronnicy. Zastanawia się jak unicestwić wampira. Brytyjski wróżbita (agent posiadający zdolność wychwytywania pewnych niejasnych szczegółów przyszłości) przepowiada, iż Harry będzie miał do czynienia z tajemniczym problemem kontinuum Möbiusa.

W Lipsku Harry odwiedza grób Möbiusa. Znajduje zgasłego w 1868 roku matematyka i astronoma przy pracy nad równaniami z zakresu czasu i przestrzeni. Tu nikt mu nie przeszkadza i może w spokoju kontynuować pracę, którą rozpoczął za życia. W ciągu stu lat sprowadził cały fizyczny wszechświat do zestawu matematycznych symboli. Wie, jak zagiąć czasoprzestrzeń i wyruszyć na swej wstędze Möbiusa do gwiazd. Teleportacja: prosty sposób, żeby dostać się do Zamku Bronnicy lub w jakiegokolwiek inne miejsce na kuli ziemskiej.

Całymi dniami Möbius instruuje Keogha, który jest coraz bliżej właściwej odpowiedzi. Teraz potrzebuje jedynie dostatecznie silnego bodźca, impulsu. . .

Wschodniemiecka GREPO (Grenz Polizei) podejrzewa Harry'ego. Na rozkaz Dragosaniego usiłują go aresztować w Lipskim grobowcu — i to jest właśnie ten impuls. W jednej chwili równania uczonego przestają być dla niego nic nie znaczącymi cyframi i symbolami: stają się wrotami do niezwykłego, niematerialnego świata kontinuum Möbiusa. Harry, niczym mag, wyczarowuje metafizyczne drzwi i w ten sposób wymyka się GREPO. Metodą prób i błędów uczy się, jak korzystać z tego tajemniczego i dotąd jedynie hipotetycznie dla niego istniejącego, paralelnego wszechświata.

Przeciwko zbrojnym mocom Zamku Bronnicy zadanie Keogha wydaje się niewykonalne. Potrzebuje sprzymierzeńców. I znajduje ich. Ziemię, na których został zbudowany zamek, są podmokłe, torfowe. A pod powierzchnią, przechowywane od czterech wieków szczątki Tatarów Krymskich zaczynają powstawać z martwych.

Z armią żywych trupów Harry wkracza do zamku i niszczy moce obronne, znajduje i unicestwia Dragosaniego i jego wampiryczne nasienie. W walce także i on zostaje zabity — ciało umiera. W ostatniej chwili umysł, jego wola, przenoszą się w metafizyczną przestrzeń.

Posuwając się po wstędze Möbiusa w przyszłość, id Harry'ego zostaje wchłonięte przez nieuformowaną jeszcze mentalność dziecka. . . jego własnego syna.

## 2.

### Wampiry

Sierpień roku 1977. Przyciągana do wszystko absorbującego umysłu Harry'ego Juniora jak opilek żelaza do magnezu tożsamość Harry'ego Keogha jest narażona na zupełne zatarcie. Gdy zmysły dziecka rozwiną się, jak wiele pozostanie z id jego ojca? Czy w ogóle cokolwiek pozostanie z nekroskopa?

Jedna z alei wolności Harry'ego leży w kontinuum Möbiusa. Może ciągle używać go do woli — ale tylko wtedy, kiedy jego mały synek śpi i tylko jako istota bezcielesna. To, że nie posiada ciała, stanowi dla niego wielki problem. Ponadto, badając nieskończoność czasowego strumienia przyszłości, natknął się, pomiędzy miriadami niebieskich nitek życia rodzaju ludzkiego, na szkarłatną nitkę istnienia wampira. Co gorsza, ta nić przecina się z linią Harry'ego już w najbliższej przyszłości.

Keogh, bezcielesny, jak wszyscy umarli, może się wciąż z nimi porozumieć i oni ciągle mu wiele zawdzięczają. We wrześniu 1977 rozmawia na krzyżowych wzgórzach z duchem Tibora Ferenczego bezpowrotnie należącego do świata nieżywych. Odwiedza także Faethora Ferenczego. Nawet nieżywe wampiry są krętaczami i niewyobrażalnymi wręcz kłamcami; kuszą, wyszydają i terroryzują, jeśli tylko mogą. Lecz Harry nie ma nic do stracenia, a Tibor — dużo do zyskania. Keogh jest dla niego ostatnim kontaktem ze światem. Poza jednym wyjątkiem.

W 1959 roku, jako wampir, Tibor zainfekował ciężarną kobietę. Używając całej tajemnej sztuki, dotknął i napiętnował męski płód, wyrażając wolę, aby pewnego dnia ten, jeszcze wówczas nie narodzony, powrócił na wzgórze w kształcie krzyża w poszukiwaniu swego „prawdziwego” ojca.

I oto nastał rok 1977. Julian Bodescu, nie mający jeszcze osiemnastu lat, jest dziwnym, przedwcześnie dojrzałym i... nawet przerażającym młodzieńcem. Znać go zbyt dobrze, to znać strach i odrazę. Piętno Ferenczego przejęło nad nim pełną władzę. Jego krew i dusza są zepsute, staje się wampirem.

Matka Juliana jest Angielką; ojciec, Rumun, nie żyje. Matka z synem mieszkają razem w Harkley House w Devon. Jego życie jest nieustanną szamotaniną między stanami lubieżnej żądzy i frustracji, ona zaś żyje w ciągłym strachu. Wie, że jej syn jest diabłem zdolnym do czynienia zła, ale zbyt się go boi, by wystąpić z publicznym oskarżeniem. Wciąż jednak ma nadzieję, że Julian z biegiem czasu zmieni się. I rzeczywiście, zmienia się błyskawicznie — ale nie na lepsze.

Bodescu na wpół zgaduje, a na wpół wie, kim jest. Nieustannie śni o drzewach pogrążonych w bezruchu, czarnych wzgórzach w kształcie krzyża, grobowcu na cichej polanie na zboczu pagórka... i o Stworze spoczywającym w ziemi. Szkarłatna nić wampira, którym był najpierw Tibor, a teraz jest Julian, przyciąga go, skłaniając do odwiedzenia „ojca”. A jest to ta sama linia, która przecina się z czy-

stą błękitną nitką życia małego Harry'ego i którą nekroskop zobaczył, penetrując strumień przyszłości w kontinuum Möbiusa.

Wywiadowcy z brytyjskiego INTESP namierzają Harkley House w Devon. Wyposażeni w zdolności telepatyczne, czekają na jedno słowo Harry'ego, żeby natychmiast zniszczyć Juliana i wszystkie inne zainteresowane osoby, jakie tam znajdują. Zrobią to, ponieważ wiedzą doskonale, że jeśli taka istota wymknie się, wówczas istnieje olbrzymia groźba, iż wampiryzm rozleje się wzdłuż i wszerz całego kraju, a nawet opanuje świat.

Także w Rumunii, Alec Kyle i Feliks Krakowicz, aktualni szefowie szpiegowskich organizacji ESP łączą siły, aby zniszczyć wszystko, co pozostało po Tiborze Ferenczym w czarnej ziemi krzyżowych wzgórz. Udaje im się spalić upiorne szczątki, ale przedtem wampir przesyła Julianowi ostrzeżenie. Tibor miał nadzieję, iż Bodescu stanie się jego ziemskim okrętem, na którym zjawi się i na powrót wieść będzie wampirzą egzystencję. Ale teraz, kiedy jego ostatnie szczątki spłonęły...

Tibor odszedł na zawsze, jak wszyscy z nieprzebranego tłumu umarłych. Jednak podobnie jak w ich przypadku, jego dusza pozostaje. Wykorzystując sen, opowiada wszystko Julianowi i winą za swe nieodwracalne zniszczenie obciąża INTESP, i nade wszystko Harry'ego Keogha. Tylko Keogh się liczy, ponieważ tylko on stanowi realne zagrożenie. Wystarczy go zniszczyć... i Bodescu będzie mógł wyłapać całą resztę jednego po drugim, w dogodnym dla niego czasie. I przysięga tak zrobić. Co do zniszczenia Keogha: powinna być to najprostsza sprawa. Nekroskop jest bezcielesnym id, szóstym zmysłem własnego dziecka. Trzeba tylko usunąć syna, i ojciec podąży za nim.

Tymczasem Harry studiuje historię wampiryzmu. Dowiaduje się o sposobach unicestwienia wampirów, o zabytkowych miejscach, które trzeba oczyścić z zamieszkałego tam zła. Wreszcie inicjuje atak na Harkley House.

Jednakowoż w ZSRR zostaje zamordowany Feliks Krakowicz, Alec Kyle, szef INTESP staje się ofiarą fałszywego oskarżenia o popełnienie tego zabójstwa. Szpiegzy rosyjscy zabierają Kyle'a do Zamku Bronnicy, gdzie stosując kombinację zaawansowanej technologii i ESP, drenują całą jego wiedzę.

Po przejściu najbardziej surowych form prania mózgu i wysysania inteligencji, staje się umysłowym trupem, cielesną powłoką pozbawioną kierującą ją psychiką. A kiedy to ciało umrze, zostanie porzucone w Berlinie bez żadnych śladów uszkodzenia. Taki jest przynajmniej plan.

Julian także nie próżnuje. Od dłuższego już czasu hoduje tajemnicze monstrum w piwnicach domostwa. Jego owczarek alzacki jest czymś więcej niż tylko psem. Bodescu przemienia w wampiry odwiedzających go krewnych, a nawet własną matkę. INTESP przypuszcza wreszcie atak, ale dom okazuje się być siedliskiem zamętu, szaleństwa i koszmaru.

Bodescu ratuje się jednak, wychodzi cało z oczyszczających płomieni. Z zamiarem zabicia małego Keogha kieruje się na północ, do Hartlepool. Dziecko budzi się; w jego umyśle ukrywa się istnienie nekroskopa. Potwór staje nad nim, wyciąga zbrodnicze ręce... Nekroskop nic nie może zrobić. Złapany w wir id własnego dziecka, wie, że zaraz obydwaj umrą. Lecz nagle...

„Idź — mówi doń mały Harry — nauczyłem się dzięki tobie wszystkiego, co ważne. Nie jesteś mi potrzebny jako nauczyciel. Ale potrzebuję ciebie jako ojca. Idź więc, uciekaj, ratuj się.”

Mentalne przyciąganie, które wiąże nekroskopa z umysłem jego syna, traci na znaczeniu. Może on teraz uciec w czasoprzestrzeń Möbiusa, ale... nie potrafi.

„Jesteś moim synem — powiedział — więc jakże mógłbym pójść i zostawić ciebie tutaj... z tym!”

Jednak mały Harry wcale nie zamierzał tam zostawać. Posiadł całą wiedzę swojego ojca. Jest dojrzałym umysłem w ciele dziecka, brakuje mu jedynie doświadczenia. Obydwaj przenoszą się do kontinuum Möbiusa.

Chłopiec z wielokrotniłał odziedziczony talent w niesłychanym stopniu. Harry staje się nekroskopem o potężnej mocy. Umarli ze starego cmentarza odpowiadają na jego wezwanie. Wychodzą z grobów. Zataczając się, padając, pełzając, docierają do domu Brendy Keogh i wspinają się po schodach. Bodescu próbuje uciekać, ale dopadają go i niszczą przy pomocy wszystkich starych, wypróbowanych metod: kołka, dekapitacji, oczyszczającego ognia.

Harry Keogh jest wolny, ale czy do końca? Kontinuum Möbiusa w końcu wchłonie jego bezcielesną istotę bez reszty... lub może wyrzuci na jakieś kosmiczne bezdroża. Choć niematerialny, jest przecież ciągle obcym ciałem w tajemniczej pustce matematycznej mgławicy.

Ale oto... pojawia się tajemnicza siła przyciągania — próżnia wydrążonego umysłu Aleca Kyle'a. Harry nie może oprzeć się energii, jaką ona wytwarza i która nakazuje mu ożywić ciało o umarłym umyśle.

Wrzesień roku 1977. Harry Keogh, nekroskop i badacz metafizycznego kontinuum Möbiusa, zamieszkuje na stałe w ciele innego człowieka. Pozostaje nadal naturalnym ojcem najbardziej nienaturalnego dziecka, dziecka o wzbudzającej grozę mocy.

Przy pomocy ładunków wybuchowych o wielkiej sile, Harry wysadza Zamek Bronnicy, a następnie, wykorzystując wstęgę Möbiusa, jedzie do domu w poszukiwaniu żony i syna... Okazuje się jednak, że jego bliscy zniknęli.

### 3. Źródło

W roku 1983 na Uralu ma miejsce „incydent perchorski”. Wypadek przemysłowy, jak mówią Rosjanie, ale ten „wypadek” ma swoją wymowę. W istocie, Rosjanie, szukając odpowiedzi na amerykańską inicjatywę „gwiazdnych wojen”, skonstruowali i poddali próbie broń laserową, która miała osłaniać ich przed wrogimi raketami. Eksperyment kończy się niepowodzeniem. Wielkiemu spustoszeniu w ogromnej części masywu Uralu towarzyszy wyrwa w samej strukturze czasoprzestrzeni. Służby wywiadowcze całego świata, w tym INTESP, pragną dowiedzieć się, co Moskwa ukrywa pod śniegiem, lodem, górami, czym dokładnie Projekt Perchorsk jest lub był.

Następnego roku radary Nowej Ziemi wychwytyją tajemniczy obiekt (może UFO?), który omija od zachodu Ziemię Franciszka Józefa i zmierza prosto w kierunku Wyspy Ellesmere’a. Z bazy w Kirowsku, na południe od Murmańska, startują myśliwce typu Mig. Tajemniczy obiekt niszczy jednak wojskowe maszyny. Szczątki samolotów spadają na śnieg i lód. Amerykański system wczesnego ostrzegania — AWACS, melduje, że migi zniknęły z ekranów, zapewnię stracone, ale Moskwa, zapytana przez gorącą linię, odpowiada ostrożnie i niejasno: „Jakie migi? Jaki intruz?”

Amerykanie denerwują się: „Ta rzecz leci z waszej strony; jeżeli utrzyma swój kurs, zostanie przechwycona i zmuszona do lądowania. Jeżeli nie usłucha wezwania lub zachowa się wrogo, może nawet zostać zestrzelona”.

„Dobrze — brzmi nieoczekiwana odpowiedź — to nie jest nasz obiekt. Róbcie z nim, co chcecie”.

Dwa amerykańskie myśliwce wystartowały z Port Fairfield w stanie Maine. Samoloty AWACS prowadzą je na cel. Z prędkością prawie dwóch machów przecinają Zatokę Hudsona od strony Wysp Belchera w kierunku punktu położonego dwa tysiące mil na północ od Churchilla. Samoloty AWACS zostały trochę z tyłu, lecz cel jest już tylko dziesięć tysięcy stóp przed myśliwcami. Namierzają go i... niszczą, nie czekając na rozkaz. Wyposażonym w eksperymentalne rakiety powietrze-powietrze typu Firedevils myśliwcom amerykańskim udaje się to, za co migi zapłaciły najwyższą cenę. Tajemniczy obiekt płonie, wybucha nad Zatoką Hudsona, wreszcie spada na ziemię. AWACS rejestruje wszystko na taśmie.

Wkrótce eksperci brytyjskiego INTESP zostają zaproszeni na pokaz filmowy, z prośbą o wyrażenie swych przypuszczeń... a w rzeczywistości, cokolwiek powiedzą, będzie docenione.

Jednak biegli prawdziwą opinię zatrzymują dla siebie, a to ze względu na „zdrowie” psychiczne świata. Dlaczego? Rzecz z Perchorska w oczywisty sposób przypomina, bardzo przypomina, monstrum, które Julian Bodescu hodował w swych piwnicach, a także szczątki Tibora Ferenczego spopielone na wzgórzach

w kształcie krzyża w dalekiej Rumunii. Tyle tylko, że tamte poczwary były malutkie, ta zaś gigantyczna i... opancerzona. Pod skorupą zaś znajdowały się wampiryczne zawiązki. INTESP zaczął podejrzewać, iż wszystko to jest dziełem Rosjan z Perchorska. Niesamowity biologiczny eksperyment, który prawdopodobnie wyrwał się spod kontroli.

To w każdym razie jest jedna teoria. Ale nie jedyna.

INTESP zręcznie umieszcza w Perchorsku łącznika, który jest zarazem szpiegiem i telepatycznym przekaźnikiem. Zanim zostanie odkryty, Brytyjczycy dowiedzą się dostatecznie dużo, by nabrać przekonania o śmiertelnym niebezpieczeństwie płynącym z tego miejsca. Sprawa okazuje się na tyle poważna, iż decydują się odnowić kontakt z Harrym Keoghem.

Jest rok 1985. Osiem lat po śmierci Juliana Bodescu i wysadzeniu w powietrze Zamku Bronnicy, osiem lat po tym, jak na wpół obłąkana żona Harry'ego oraz jego nekroskopiczne dziecko uciekli, jak się wydaje, z tego świata. Przez ten cały czas Keogh próbuje ich odnaleźć. Nie są umarli, gdyż w takim razie wiedziałyby o tym społeczność nieżywych, a tym samym nekroskop. Nie wie jednak, gdzie ich szukać. Sprawdzał już wszystkie możliwe kryjówki.

Darcy Clarke, terażniejszy szef INTESP, jedzie do Harry'ego do Edynburga. Zaczyna opowiadać o Perchorsku, ale nekroskop nie wykazuje zainteresowania. Kiedy jednak Clarke przechodzi do szczegółów, Harry ożywia się. Jego starzy przeciwnicy, sowieccy szpiedzy skonstruowali w Perchorsku specjalną celę, zabezpieczoną nawet przed metafizycznymi sposobami zbierania informacji. Z całą pewnością ukrywali tam coś wielkiego i nad wyraz niesympatycznego. W górach stacjonował oddział wojska wyposażony w wielką siłę rażenia. Przeciw czemu? Któż miałby atakować Ural? Kogo chcieli Rosjanie trzymać z dala? Co znajduje się w środku?

„Sądźmy, że zajmują się tam genetyką — mówi Clarke — że hodują tam wampiry bojowe!”

Nawet to przekonuje Harry'ego tylko w połowie; ostatecznie jednak Darcy triumfuje.

Brytyjski szpieg, Michael J. Simmons, znika w Perchorsku. Najlepsi wywiadowcy INTESP nie mogą go znaleźć. Uważają, że żyje, gdyby bowiem został „skasowany”, ich telepaci wiedzieliby o tym. To przypomina problem nekroskopa. Być może, jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu Harry Junior, Brenda Keogh i szpieg znajdują się wszyscy w tym samym miejscu. Aby się upewnić, że INTESP nie chce go użyć dla własnych celów, Harry łączy się z umysłami przyjaciół. Pyta, czy ich nieprzebrane szeregi nie wzbogaciły się ostatnio o Michaela J. Simmonsa. Odpowiedź jest przecząca. Simmons nie jest nieżywy, ale po prostu nie ma go tutaj.

Harry angażuje się w badania i odkrywa, iż „incydent perchorski” wytworzył w czasoprzestrzeni tak zwaną „szarą dziurę” prowadzącą do innego świata. Oka-

zuje się, iż ten świat po drugiej stronie jest prawdziwą wylęgarnią wampirów, istnym źródłem wszystkich wampirycznych mitów i legend.

Nekroskop rozmawia ponownie z od dawien dawna nieżywym Augustem Ferdynandem Möbiusem, ze zwodniczym umysłem zgasłego Faethora Ferenczego i z niektórymi ze swych umarłych przyjaciół. Odkrywa wreszcie alternatywny szlak do świata wampirów. A cóż to za potworny świat.

Słoneczna Kraina jest gorącą, rozpaloną pustynią. Gwiezdną Krainę zajmuje królestwo wampirów z zamczyskami wysokimi na kilometr, bliskimi wierzchołkom gór, które dzielą tamten krajobraz. Po stronie słonecznej, Wędrowcy, prawdziwi Cyganie, przemieszczają się grupami i plemionami przez zielone podgórze centralnego łańcucha. Aktywni za dnia, krótkie, pełne strachu noce spędzają zagrzebani w norach. Gdyż skoro tylko zajdzie słońce nad Słoneczną Krainą, Lordowie — wampiry, wychodzą na łów.

Wędrowcy i Trogowie (prymitywna rasa aborygenów) są dla wampirów tym, czym orzechy kokosowe dla mieszkańców wysp tropikalnych na Ziemi. Stanowią część diety, dostarczają niewolników, robotników, kobiet. Ich szczątki są pożywką dla bestii wojennych oraz wojowników, skądinąd zresztą modelowanych z przeobrażonych Trogów i Wędrowców. Groteskowo odmienione, skamieniałe ciała, dekorują zawrotnie wysokie, ponure zamczyska Lordów, a nawet służą do wyrobu mebli i zewnętrznych osłon chroniących dobytek ich wampirzych panów przed niszczącym działaniem żywiółów.

Plemię wampirze zawsze, skore do bitki, zazdrosne o swe ziemie i stan posiadania, perfidne w działaniu, pała bezprzykładną nienawiścią do Rezydenta Ogródu na Zachodzie.

Po serii koszmarnych przygód grupa Wędrowców, a wśród nich Jazz Simmons i piękna telepatka Zek Föener, docierają do Rezydenta. Jeszcze przed przybyciem Harry'ego Keogha plemię wampirze odkłada na bok kłótnie i spory, by połączyć siły w przygotowaniu napaści na Ogród, siedzibę ich wspólnego wroga.

Lady Karen, niegdyś precudna Słoneczna, której wampiry zawiązki nie dojrzały jeszcze w pełni, ucieka do Rezydenta i ostrzega go przed nadchodzącą wojną.

Zaczyna się bitwa. Lordowie: Szaitis, Menor, Belath, Volse Pinescu, Lesk i wielu innych, wraz z ich hybrydycznymi wojownikami i Trogami — pachółkami, stają przeciw Rezydentowi i małej grupce ludzi.

Nekroskop nawiązuje współpracę z Rezydentem, którym jest... Harry Junior. Na skutek czasowego poślizgu Harry nie jest już tym chłopcem, jakiego oczekiwał spotkać jego ojciec, lecz dorosłym człowiekiem w złotej masce, który przyniósł do tego właśnie świata swą biedną, szaloną matkę, by zapewnić jej bezpieczeństwo i spokój ducha. W pojedynkę zaden z Lordów nie mógł się mierzyć z nim i jego „nauką”. Jednak teraz są zjednoczeni... Nekroskop przybywa w samą porę.

Używając z wielką zręcznością kontinuum Möbiusa i połączonych nekroskopicznych mocy ojca i syna, pokonują Szaitisa i jego wampirzą armię, niszczą wszystkie wrogie siedliska, za wyjątkiem zamczyska należącego do Lady Karen. Keogh odwiedza ją. Stara się uwolnić Lady od wampira w niej mieszkającego, nie tylko zresztą ze względu na nią samą, ile ze względu na własnego syna. Rezydent bowiem został zarażony wampiryzmem. Harry użyje Karen, by sprawdzić teorię, która może dostarczyć lekarstwa. Wydostaje z jej ciała wampirzy zarodek i niszczy go. Niestety, jest to zabójcze dla niej. Nasiąkła bowiem złą mocą, a teraz stała się pustą skorupą. Jeżeli ktoś raz zazna tej niezwyklej ekstazy wolności, czystej żądzy i potęgi, już nigdy nie będzie potrafił bez tego żyć. Dlatego Lady Karen rzuca się z wysmukłej baszty swego zamczyska.

Rezydent jednak nadal nosi w sobie wampirzy pierwiastek. Odbudowuje swoją rezydencję, podnosi dom z ruin. Bardziej niż kiedykolwiek czuje na sobie baczne spojrzenie ojca. . .



**NEKROSKOP IV**

**Mowa Umarłych**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### Zamek Ferenczego

Transylwania, pierwszy tydzień września 1981.

Nie minęło jeszcze południe, gdy dwie wieśniaczki z wioski Halmagiu zmierzwały do domu dobrze wydeptanym, leśnym szlakiem.

Ich kosze wypełnione były pierwszymi tego lata jagodami i małymi, niedojrzałymi i dzikimi śliwkami... tym lepiej zresztą dla mocnej wódki, aromatycznej śliwowicy. Kobiety, odziane na czarno, w szerokich chustach, plotkowały radośnie, parszcząc śmiechem przy szczególnie pikantnych historyjkach.

Nie opodal spiralne dymy wznosiły się w niebo z kominów Halmagiu i rozpląwały się w delikatną mgiełkę ponad szumiącym baldachimem wczesnojesiennego lasu. Bliżej, pomiędzy drzewami, płonęły ogniska. Kuchenne zapachy mocno przyprawionego mięsa i zup ziołowych wisiały w nieruchomym powietrzu. Dźwięczały małe srebrne dzwoneczki, trzeszczała gałąź, na której rozczochrany, ciemnooki dzieciak zawiesił prowizoryczną huśtawkę.

Wozy cygańskie tworzyły barwny krąg. W pobliżu uwięzione konie szczypały trawę, a jaskrawe kolory sukien migotały pomiędzy drzewami. Dziewczęta zbierały chrust na ognisko. Z czarnych żelaznych garów poddawanych pieśczoście płomieni wydobywały się smakowite opary. Mężczyźni wpatrywali się w ogień, ćmiąc długie, cienkie fajki. Podróżnicy, wędrowcy, Cyganie powrócili w rejon Halmagiu.

Chłopiec kołyszający się na linie dostrzegł dwie wiejskie kobiety i zagwizdał przenikliwie. Cała krzątająca cygańskiego obozu momentalnie urwała się, wszystkie czarne oczy zwróciły się w stronę nadchodzących wieśniaczek. Mężczyźni z obozu ubrani w skórzane kurty wyglądali groźnie, ale w ich wzroku nie było wrogości. Mieli swoje własne zasady i wiedzieli, jakie wiatry są dla nich przychylne. Od pięciuset lat mieszkańcy Halmagiu postępowali z wędrowcami uczciwie, kupowali od nich ozdoby i świecidełka i zostawiali ich w spokoju. Cyganie więc nigdy nie wyrządziliby im rozmyślnie krzywdy.

— Dzień dobry paniom! — Król Cyganów powstał ze schodów swojego wozu i skłonił głowę. — Powiedźcie, proszę, waszym przyjaciółom z wioski, że

zastukamy do ich drzwi. Garnki i patelnie najwyższej jakości, karty do wróżenia i bystre oczy, które śledzą los w zakamarkach ludzkiej dłoni. Przygotujcie tępe noże i siekiery z ułamanymi trzonkami. Wszystko będzie doprowadzone do porządku. Mamy też z sobą konika czy dwa, które mogą zastąpić szkapiny przy waszych wózkach. Nie pozostaniemy tu długo, więc zróbcie z naszej wizyty najlepszy użytek, zanim wyruszymy dalej.

— Witajcie! — odpowiedziała natychmiast starsza z kobiet, jakby bez tchu w piersiach. — Powtórzę wszystko w wiosce. — Spojrzała na swoją towarzyszkę. — Trzymaj się blisko mnie i nic nie mów — szepnęła na stronie.

Przechodziły właśnie obok jednego z wozów. Starsza kobieta wyjęła mały słóczek orzechów laskowych oraz garść śliwek i położyła to w prezencie na stopniach cygańskiego wozu. Nikt z patrzących nie odezwał się. Wieśniaczki oddaliły się, a obóz powrócił do stanu niespiesznej krzątania.

Młodsza z kobiet od niedawna mieszkała w Halmagiu.

— Dlaczego podarowałaś im te owoce i orzechy — zapytała. — Słyszałam, że Cyganie nigdy niczego nie dadzą za darmo, nigdy niczego nie robią bezinteresownie, za to często coś biorą. Czy nie za bardzo ich rozzuchwałaś?

— Na pewno nie zaszkodzi dobrze żyć z nawiedzonymi — zabrzmiała odpowiedź. — Kiedy pomieszkasz tutaj tak długo jak ja, zrozumiesz, o co mi chodzi. Zresztą, oni nie przybyli, żeby kraść i wchodzić nam w drogę — kobieta wzruszyła ramionami — już ja dobrze wiem, dlaczego zjawili się tutaj.

— Tak? — powiedziała młodsza z zaciekawieniem.

— Tak, wiem. To ta faza księżycy, zew, który słyszeli, ofiara którą złożą. Zjedną sobie ziemię, użyźnią ją glebę, błagają o łaskę... swoich bogów — odrzekła starsza wieśniaczka.

— Swoich bogów? To poganie?... Jakich bogów?

— Nazywaj to Naturą, jeśli chcesz — w głosie Rumunki dała się słyszeć irytacja — ale nie pytaj o nic więcej. Jestem prostą kobietą i niczego nie chcę wiedzieć. I ty także nie powinnaś być zbyt ciekawa. Babka mojej babki pamiętała czas, kiedy Cyganie przyszli. Upływa piętnaście miesięcy czy osiemnaście, ale nigdy więcej niż dwadzieścia jeden. Potem znowu wracają. Wiosna, lato, jesień — tylko oni znają porę, miesiąc, czas. Ale kiedy usłyszą zew, gdy księżyc jest na właściwym miejscu, a samotny wilk wyje wysoko w górach, wówczas wracają. Odchodząc zostawiają zawsze ofiarę.

— Jaką ofiarę? — Ciekawość młodszej sięgała zenitu, lecz starsza nie chciała nic mówić, tylko gwałtownie kręciła głową.

— Nie pytaj, nie pytaj.

Jednak młodsza dobrze wiedziała, iż jej rozmówczyni umiera wprost z pragnienia, by podzielić się tajemnicą. Postanowiła dać jej czas i niczego na razie nie dociekać. Po chwili przyszło jej do głowy, że chyba zanadto oddaliły się od najprostszego szlaku od wioski.

— Czy nie idziemy złą drogą? — odezwała się.

— Cicho — syknęła starsza — patrz!

W prześwicie lasu, przed nimi, wyrastało posępne zwałowisko szarej skały wulkanicznej. Łyse i kopulaste, z kilkoma pomniejszych garbami, wysokie niemal na dwadzieścia metrów. Za nim widniał pas leśny, a później naga, prostopadła ściana pnąca się aż do pokrytego jodłami płaskowyżu prowadzącego w stronę zamglonego, srogiego, niedostępnego masywu Zarundului. Drzewa wokół podstawy zwałowiska zostały ścięte, usunięto też krzewy i poszycie. Na jego szczycie mały kopczyk ułożony z ciężkich kamieni sterczał niczym wieżyczka albo komin.

Tam zaś, na nagiej skale, obrabiając nożem trzymaną na podołku kamienną skorupę, siedział młody mężczyzna. Był całkiem pochłonięty swoją pracą. Patrzył w dół, wydawało się, że wprost przed siebie. Kobiety, które znajdowały się nie dalej niż czterdzieści metrów od niego, musiały być w zasięgu jego wzroku, ale nawet jeśli je widział, nie zareagował. Pracował w skupieniu.

— Co on tam robi? — dopytywała się młodsza zachrypniętym głosem. — Jest bardzo przystojny... jakiś dziwny. A poza tym, czy to miejsce nie jest zakazane? Mój Hzak mówił mi, że ten wielki kamień z kopca, to specjalny kamień i że...

— Ssz! — towarzyszka znów ostrzegła ją, kładąc palec na jej wargach. — Nie przeszkadzaj mu. Oni nie lubią być podglądani. Nie, żeby ten tutaj nas usłyszał... ale lepiej uważać.

— Powiedziałaś, że nas nie usłyszysz? To dlaczego rozmawiamy szeptem? Nie, ja wiem, dlaczego szeptem: to jest szczególne miejsce, jak kaplica. Prawie święte.

— Nieświęte! — poprawiła ją tamta. — A, co do tego, że tamten nas nie dostrzeże... popatrz po prostu na niego! Jego skóra nie jest ciemna, lecz szara jak skała, chora, umierająca. Oczy, głęboko zapadnięte, płoną. Pochłonięty jest kamieniem, który rzeźbi. Słyszysz zew, nie widzisz? Jest opętany, zahipnotyzowany, zgubiony!

Skoro tylko powiedziała ostatnie słowo, mężczyzna powstał i ustawił mocno swój kamień na obrzeżu kopczyka, między dziesiątkami innych, niczym cegłę wieńczącą mur. Dla każdego przypadkowego świadka rytuału rzeźbienia musiało być jasne, że każdy głaz został zaznaczony w jakiś symboliczny sposób. Młodsza kobieta otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale jej starsza przyjaciółka raz jeszcze uprzedziła pytanie:

— Jego imię — odezwała się. — Wydrążył w kamieniu swoje imię i daty, o ile je zna. Tak jak wszystkie inne imiona i daty wyrzeźbione tutaj. Jak wszyscy, którzy przed nim odeszli. Ten surowy głaz jest mu nagrobkiem, a kopiec — grobowcem.

Młody Cygan wyprężył się i spojrzał w stronę górskich szczytów. Zastygł w tej pozycji na dłuższą chwilę, jakby czegoś oczekiwał. A wysoko na błękitno-szarym niebie niewielki, ciemny strzęp chmury przesłonił oblicze słońca. Na ten

widok starsza kobieta gwałtownie otrzeźwiała. Nieomal uległa hipnozie, stojąc tak nieruchomo. Chwyła łokieć towarzyszki i odwróciła jej twarz.

— Chodź — wyszeptała bez tchu — chodźmy stąd. Nasi mężowie będą się martwić, tym bardziej, gdy dowiedzą się, że Cyganie wrócili.

Spiesznie przemknęły w cieniu drzew, odnalazły szlak i wkrótce zobaczyły skraj lasu i pierwsze drewniane zabudowania Halmagiu. Wyszły na zakurzoną wiejską drogę i łomotanie w sercach zaczęło ustawać, usłyszały dźwięk, który dochodził gdzieś z daleka.

Zbliżało się południe. Słońce wyszło zza wystrzępionego obłoku. Do pierwszych dni prawdziwej zimy brakowało jeszcze siedem czy osiem tygodni, ale każda dusza, która słyszała ten odgłos brała go za zapowiedź zimy. Niektórzy brali go nawet za coś więcej.

Rozległ się żałobny skowyt wilka, powracający echem ze skalnych ścian, przyzywający, tak jak wilki przyzywają się od tysięcy lat. Kobiety przystanąły, ścisnęły mocniej kosze, zatrzymały oddech i słuchały.

— Nie ma odpowiedzi — rzekła wreszcie młodsza. — Jest sam, ten stary wilk.

— Teraz tak — kiwnęła głową druga — tak, sam... ale słyszano go dobrze, bądź pewna. I doczeka się odpowiedzi niebawem... a wraz z nią... — Starsza potrząsnęła głową i ruszyła naprzód.

— A wraz z nią? — Młodsza zrównała się z tamtą i nie dawała za wygraną.

Starsza popatrzyła zimno, zmarszczyła brwi.

— Musisz nauczyć się słuchać. Anno. Są rzeczy, o których tutaj zbyt wiele się nie rozmawia. Jeśli więc chcesz się dowiedzieć, musisz słuchać uważnie.

— Przecież słucham — odparła młodsza — ale po prostu nie rozumiem, to wszystko. Powiedziałaś, że stary wilk doczeka się odpowiedzi niebawem. I... Wtedy?

— Tak, i wtedy... — wymruczała stara, skręcając w kierunku drzwi swojego domu, gdzie strąki czosnku zwisały z nadproża. — A wtedy, następnego poranka, nie będzie już Cyganów. Nie będzie po nich śladu, prócz może, popiołów po ogniskach czy odcisków kół ciężkich wozów na szlaku, którym odjadą. Ich liczba zmniejszy się o jednego, który odpowiedział na prastary zew i pozostał.

Młodsza kobieta otworzyła usta ze zdziwienia i przerażenia.

— Tak — pokiwała starsza głową — właśnie to widziałaś. Dorzucił swoją duszę do innych nieszczęsnych dusz zapisanych w kapliczce na skale.

Tej nocy w obozie Cyganów.

Dziewczęta w szalonym tańcu ściagały się ze skrzypcami, podążały za pierwotnym dudnieniem i brzękiem tamburynów. Długi stół ugiął się od jedzenia: wiązadła królicze i całe jeże, cienko pokrojone w plastry kiełbasy dziczyzny, sery, zakupione lub wymienione w wiosce, owoce i orzechy, cebula duszona w sosie mięsnym, cygańskie wina i ostra, zatykająca dech śliwowica.

Panowała atmosfera festynu. Płomienie głównego ogniska, rozochoczone muzyką, strzelały wysoko, rzucając blask na rozwibrowane, zmysłowe tancerki. Pływały potoki alkoholu. Niektórzy z młodszych Cyganów pili z nadziei, inni z lęku przed niepewną przyszłością. Bowiem szczęście może następnym razem opuścić tych, którzy teraz zostali oszczędzeni.

Ale taka była kolej rzeczy: należeli do Niego do końca Ziemi, do Jego władzy i mocy. Ich pakt ze Starym został zawarty ponad czterysta lat temu. To za Jego przyczyną wiodło im się dobrze poprzez wieki, wiedzie im się dobrze teraz i będą szczęśliwie żyć w przyszłości. On niósł im ulgę w ciężkich czasach. W czasach łatwiejszych odczuwali jego ciężar, lecz zawsze osiągał równowagę. Jego krew była w nich, a ich w Nim. A krew to życie.

Dwoje spośród Cyganów siedziało w smutku. Nawet teraz, pomiędzy roztańczonymi dziewczętami, w atmosferze pijaństwa i świętowania, byli samotni. Cały ten hałas i rozgardiasz dookoła wydawał się wymuszoną wesołością, w której oni nie mogli żadną miarą uczestniczyć.

Młody człowiek siedział na stopniach bogato ozdobionego wozu. Z osełką i nożem w rękach odbijał ostrzem srebrne błyski płonącego opodal ogniska. Z tyłu za nim, w otwartych drzwiach wozu, oświetlona żółtym blaskiem lampy, stała jego matka. Pojękując, załamując ręce, zaklinała na wszystko Tego, który był wręcz czymś przeciwnym, aby oszczędził jej syna tej nocy. Modliła się na próżno.

Jedna z melodii skończyła się i jaskrawe spódnice zatrzepotały, po czym opadły, skrywając na powrót brązowe, połyskujące nogi. Wąsaci mężczyźni sączyli swoją wódkę. Krąg księżycy ukazał się nad górami, uwydatniając zamglone kontury szczytów. A gdy wszyscy, z szeroko otwartymi ustami, zwrócili się w stronę wschodzącej tarczy, żalodne wycie wilka spłynęło do nich z niewidocznych siedzisk skalnych.

Wszystko zastygło... lecz zaraz ciemne oczy zwróciły się w stronę młodego mężczyzny na stopniach wozu. Wstał, popatrzył na księżyc i szczyty i westchnął. Schował nóż do pochwy. Skierował się w stronę leśnego gąszczu, zmierzając ku ciemności poza kręgiem wozów.

Jego matka przerwała ciszę. Krzyk największego bólu brzmiał niczym zwiastun śmierci. Rzuciła się naprzód, łomocząc o drewniane schody swego domu — wozu. Zataczając się, z wyciągniętymi rękami, biegła za synem. Ale nie dotarła do niego. Padła na kolana. W spazmatycznych ruchach ramion stłumiła całe swe pragnienie.

Dowodzący plemieniem król zstąpił, by uściskać młodego człowieka. Objął go, pocałował w obydwie policzki. Wybraniec, bez zbytecznych scen, opuścił krąg ognia, wszedł między wozy i został połknięty przez ciemność.

— Dumitru — załkała matka. Rzuciła się za nim i wpadła prosto w ramiona króla.

— Spokojnie, kobieto — rzekł burkliwie, choć jego głos drżał niespokojnie. Wiedzieliśmy o tym od miesiąca, patrzyliśmy, jak się zmienia. Stary dał zew, a Dumitru odpowiedział. Wiedzieliśmy, co się stanie. Zawsze tak jest.

— Ale to mój syn, mój syn — jęczała umęczona kobieta na jego piersi.

— Tak — odpowiedział i nagle łzy popłynęły głębokimi bruzdami jego policzków — mój także. . . mój także.

Poprowadził ją, potykającą się, szlochającą, do wozu, a muzyka zabrzmiała znówu.

Dumitru Zirra wspinał się na obwałowania Zarundului. Księżyc oświetlał mu drogę, ale nawet bez tej srebrzystej poświaty, wiedziałby, jak iść. Coś, co tkwiło w nim samym, prowadziło go. Głos w jego głowie, który nie do niego należał, mówił mu, gdzie stawiać kroki, czego się chwycić. Prowadziły tam ścieżki, o ile się je znalazło, lecz między tymi spletanymi szlakami biegły zawrotne skróty.

— Dumitruuu! — zadzwonił mroczny głos, kreśląc jego imię niczym obraz męki. — O, oddany mi, mój synu moich synów. Postaw stopę tu, i tam, i tu, Dumitruuu. I tu, gdzie przeszedł wilk, widzisz jego znak na skale? Ojciec twoich ojców oczekuje cię, Dumitruuu. Księżyc już wzeszedł i godzina się zbliża. Spiesz się, mój synu, gdyż jestem stary, wysuszony, bliski śmierci — prawdziwej śmierci! Ale ty mnie uratujesz, Dumitruuu. A wówczas twoja młodość i siła będą moiiiiiii!

A młodość, ciężko dysząc, z rękami pokrwawionymi od wspinaczki, mozolnie wspinała się do linii drzew, do najczarniejszej z turni, gdzie mroczne ruiny wyrastały z ostatniego urwiska. Z jednej strony gardziel tak czarna i stroma, iż mogłaby prowadzić do piekła. Z drugiej, ostatnie z wysokich jodeł, porastające pozostałości jakiejś niegdysiejszej siedziby, wzniesionej w cieniu pionowych skalnych ścian. Dumitru zobaczył to miejsce i przystanął na moment. Dostrzegł wilka o płonącym spojrzeniu, stojącego w zwalonej bramie rumowiska i nie wahał się dłużej. Ruszył naprzód, a dzikie zwierzę znaczyło mu drogę.

— Witaj w moim domu, Dumitruuu! — Lepki głos osiadał niczym muł na jego umyśle. — Jesteś moim gościem, moim synem. . . przychodzisz z własnej, nieprzymuszonej woli.

Dumitru Zirra bezprzytomnie wspiał się na pierwsze potrzaskane kamienie. Zagubiony, zdezorientowany, czuł się obco w tym przytłaczającym miejscu. Ujrzał zamek, tego był pewien. W dawnych czasach mieszkał tutaj bojar, jeden z Ferenczych — Janosz Ferenczy. To było bezsprzeczne, jako że od wieków, od czasu Grigora Zirry, pierwszego króla Cyganów, Zirrowie przysięgali wierność baronowi Ferenczemu i nosili jego znak: nietoperza zrywającego się do lotu z rozpostartymi skrzydłami, na których rysowały się trzy delikatne żebra. Oczy nietoperza, czerwone, podobnie jak żebra na skrzydłach, przechodziły w szkarłat, naczynie zaś, z którego startował, miało kształt nagrobnej urny.

Tak i teraz młode, głęboko zapadnięte oczy ujrzały podobny wzór wyłobiony na potrzaskanej płycie wielkiego kamiennego nadproża. Wiedział więc dobrze, że stoi na ziemi wielkich prastarych patronów Zirrów i ich współziomków. Był to ten sam znak, który do teraz zdobił obydwie strony wozu cygańskiego Vasile'a Zirry, przemyślnie ukryty w zawiłych ornamentach barwnych wozów. Stary Vasile, ojciec Dumitru, nosił miniaturę tego herbu na pierścieniu, który przekazywano z ojca na syna od niepamiętnych czasów. Następnym jego posiadaczem byłby Dumitru, gdyby pewnego dnia nie usłyszał wezwania. . .

Podążający nieco z przodu wilk zawarczał głucho, ponagłając Dumitru. Ten jednak przystanął, niepewny, pośród ogromnych kamiennych bloków. Przedni skraj ruin wyglądał tak, jakby został wysadzony przez przepotęzną eksplozję gdzieś w wnętrzości tego miejsca poza krawędź gardzieli. Rumowisko kamiennych bloków i odłamków ginęło w mroku. Młodzieniec pomyślał, że wielka część wylądowała w gardzieli.

— Wahasz się, mój synu. — Dobiegł go potworny wewnętrzny głos, rozpełzający i wymazujący wszystkie pytania, domysły, pragnienia. Ten głos całkowicie przytłoczył go i przejął nad nim wszelką kontrolę, podczas ostatnich czterech czy pięciu tygodni, czyniąc go swym zombi.

— Widzę, że jest, jak podejrzewałem, Dumitruuu. . . masz silną wolę. To dobrze! Bardzo dobrze! Siła duszy jest siłą ciała, siła ciała jest siłą krwi. Twoja krew jest mocna, synu, tak jak w całej twojej rasie.

Wielki wilk znów zawył i Dumitru ruszył dalej za nim.

Młodość szeptała mu, że winien uciec z tego miejsca jak najszybciej. Lecz był bezsilny wobec tego prastarego diabelskiego głosu. Wydawało mu się, że kiedyś złożył obietnicę i żadną miarą nie mógł jej złamać, lub też, że wypełniał wolę jakiegoś dawno nieżyjącego, szacownego przodka, wolę, której nie wolno się sprzeniewierzać. Teraz, prowadzony głosem rozlegającym się w jego głowie, pochylał się o pochyłe głązy kultowe, to znów szedł na czworakach, rozrzucając świeżo opadłe liście, zdzierające wilgotne, szarawe porosty. Odnalazł wreszcie wąską płytę z żelaznym kołem, którą uniósł z łatwością. Fala smrodliwego powietrza wyszła mu na spotkanie, napełniała płuca, przyprawiła o jeszcze mocniejszy zawrót głowy. Skulony pochylał się nad czarną, dymiącą otchłanią i. . . pogrążył się w koszmarnej czeluści.

— Tutaj, tutaj, mój synu. . . nisza w ścianie. . . pochodnie i zapalki owinięte w skórę. . . tak, za mojej młodości było tylko krzesiwo. . . zapal jedną pochodnię i weź jeszcze dwie. . . na pewno będziesz ich potrzebował, Dumitruuu. . .

Schody wykute w tej kamiennej studni miały kształt spiralny. Dumitru schodził powoli, zmuszony do ekwilibrystycznych wyczynów tam, gdzie stopnie przegrały walkę z czasem. Dotarł do ozdobnej podłogi pokrytej szczątkami szerniającej od ognia zaprawy murarskiej. Posuwał się wśród dalekich odgłosów z wnętrza ziemi. W dół, ciągle w dół, do złowieszczych piekielnych katakumb.



— Dobra robota, Dumiiitruuu. — Mroczny głos pochwalił go. Głos, który brzmiał przerażająco, a którego właściciel radował się. I raptem. . . Dumitru mógłby zerwać się i wyzwolić. Na ułamek sekundy znowu był sobą — wiedział, że stoi na progu piekieł.

Lecz wtedy obca siła ścisnęła jego mózg niczym imadło. Proces, który rozpoczął się pięć tygodni temu, nieuchronnie zmierzał w kierunku swego logicznego rozwiązania, siła jego woli nikła niczym płomień wytopionej świecy.

— Rozejrzyj się. Dumiiitruuu. Patrz i ucz się, jakie są dokonania i tajemnice twojego mistrza, synu.

Za plecami Dumitru, na kamiennych schodach, stał wielki wilk o płonących oczach. A przed nim. . .

O takich rzeczach krążyły między Cyganami legendy, ale ani Dumitru, ani nikt inny, który mógłby oglądać tę scenę, nie potrzebował żadnej specjalnej wiedzy czy wyjaśnienia poza własną wyobraźnią i instynktem. Trzymając wysoko pochodnię, z szeroko otwartymi oczami i rozdziawioną buzią, młodzieniec postępował naprzód pośród uporządkowanych pozostałości i reliktyw chaosu i szaleństwa.

Nie był to jednak ten sam, czysto fizyczny, rodzaj chaosu, co w wyższych partiach budowli, gdyż te tajemnice krypty nieznacznie tylko ucierpiały. Kataklyzm dotknął powierzchni. Podziemia przetrwały nienaruszone, pokryte sieciami pajęczyn i od pół wieku nawarstwiających się kurzem. Nie, ten zamęt miał charakter mentalny: świadomość, że dokonał tego człowiek — czy też, w manierze podań i mitów, że dokonały wszystkiego istoty podające się za ludzi.

Krypty wyróżniały się prastarym kamiennym kunsztem. Na ścianach, pokrytych żółtymi żyłkami saletry, wilgoć nie zostawiła śladów. Gdzieśgdzie znać było wypiętrzenia okapników. Cienkie laski stalaktytów zwisały z wysoko sklepionych sufitów. Przy ścianach, gdzie podłoga została mniej wydeptana, gładkie, kopulaste stalagmity tworzyły guzy i uwypuklenia na szorstkich płytach. Dumitru nie był archeologiem, ale na podstawie prymitywnego szlifowania kamieni i złego stanu zaprawy murarskiej nawet on mógł oszacować wiek zamku, a w każdym razie jego tajemniczej części, na jakieś osiemset lat. Tak w każdym razie musiało być w wypadku owych sodowych osadów, chyba że roztwór sączący się z góry został ponad miarę nasycony solą krystaliczną.

Znajdowały się tam liczne wrota, szerokie na półtora metra i wysokie prawie na trzy, wszystkie zwieńczone masywnymi kamiennymi klinami, które w kilku przypadkach, jak się wydawało, osiadły nieco pod niewyobrażalnym ciężarem. Sufity zawieszane pięć metrów nad posadzką, sklepiały się w rodzaj gwiazdnego wzoru. W kilku miejscach wielkie bloki spadły, bez wątpienia na skutek wybuchu, który nawiedził to miejsce, pozostawiając potrzaskane płyty niczym gliniane tabliczki używane w dawnych czasach przez uczniów.

Za wrotami uderzyły chłodem wielkie pokoje, a z nich prowadziły dalsze korytarze. Dumitru pogrążył się w labiryncie pradawnych pokoi, w których mieszkańiec tego mrocznego miejsca uprawiał swe tajemne sztuki. Co zaś do natury tych sztuk. . . Młodzieniec dotychczas unikał domysłów i spekulacji. Ale dłużej nie było to już możliwe. Ściany pokryte freskami, które choć wyblakłe, opowiadały całą historię. Wiele komnat zawierało niezaprzeczone dowody czegoś nie tylko bardziej konkretnego, ale bardziej przerażającego. Także głos w jego głowie, okrutny i pełen zachwytu, nie kontentował się już jego ignorancją. Przeciwnie, wyraźnie pragnął, aby Dumitru wszystkiego się dowiedział.

— Nekromancja, pomyślałeś, Dumitru, kiedy płomień pochodni wyparł stąd mrok — deklamował głos. — Powołanie na powrót do życia soli i popiołu, aby dać świadectwo. Historia świata, by tak rzec, wysnuta z kształtu końskiego pyska. Ujawnienie sekretów pokrytych kurzem czasu, a może nawet przepowiadanie mglistej, odległej przyszłości. Tak, jasnowidzenie za pomocą zmarłych! . . . Oto, co pomyślałeś. No — po krótkiej pauzie głos jakby wzruszył ramionami — i jak dotąd miałeś rację. Ale nie przeszedłeś dostatecznie daleko. Nie chciałeś patrzeć. . . i nawet teraz nie chcesz. Czy jesteś aby moim synem, Dumitru, czy płacziwą babą? Sądziłem, że to będzie mocne wino, a okazuje się, że Cyganie pędzili wodę przez te lata! Cha, cha, cha! Ale nie. . . żartuję. . . nie złość się, mój synu. . . To jest złość, nieprawdaż, Dumitru? Nie? Może strach? Boisz się o życie? — Głos przeszedł w szept, drażący podstępnie niczym krople słabego kwasu. — Lecz przecież zachowasz życie, mój synu — we mnie. Krew jest życiem, Dumitruuu i tak będzie zawsze. . . Ale teraz! — Głos ożywił się, zadźwięczał wesołością. — Dlaczego posmutnieliśmy, tak nie wolno! Będziemy jednością i przeżyjemy życie razem. Słyszysz mnie Dumitruuu? . .

— Ja. . . ja ciebie słyszę — odparł młodzieniec.

— A wierzysz mi? Powiedz to, powiedz, że we mnie wierzysz, tak jak wierzyli we mnie ojcowie twoich ojców.

Młodzieniec nie był pewien, czy rzeczywiście wierzy, ale posiadacz głosu ścisnął jego umysł.

— Tak. . . tak, wierzę, jak wierzyli moi ojcowie.

— Świetnie — rzekł głos, jakby uspokojony. — Nie bądź więc taki nieśmiały, Dumitruuu. Nie cofaj się, nie odwracaj oczu od moich dzieł. Te obrazy malowane i żłobione w ścianach, te liczne amfory na specjalnych stelażach, sól i prochy zawarte w tych prastarych naczyniach.

Dumitru podążył śladem światła pochodni. Wszędzie stały czarne dębowe stelaże, a na nich, na ich półkach, niezliczone słoje, urny: amfory, jak nazywał je głos. We wszystkich pokojach tej podziemnej kryjówki musiało ich znajdować się tysiące, ciasno zamkniętych, z wyblakłymi, pokrytymi patyną wieków tabliczkami, umieszczonymi tam, gdzie uchwyty stykały się z szyjami. Jeden ze stelaży był uszkodzony, prawdopodobnie przez kamienny blok, który oderwał się od sufitu.

Amfory pospadały, a niektóre z nich popękały. Prochy wydostały się na zewnątrz, tworząc niewielkie stożki, pokryte kurzem dziesięcioleci. Cygan popatrzył na te szczątki...

— Popatrz, jakie są wspaniałe, sole życia — szeptał głos w jego głowie, wyraźnie w tej chwili zaniepokojony, tak jakby sam jego właściciel czuł respekt wobec tego upiornego zbioru. — Pochyl się, weź je w ręce, Dumitruuu.

Młodzieniec nie mógł nie usłuchać. Wdychał zapach prochów, miękkich jak talk, ruchomych niczym rtęć. Przesypywały mu się przez palce, nie pozostawiając żadnych śladów na dłoniach. A kiedy tak przestawał z prochami, to coś w jego głowie jakby wachało, smakowało samą naturę spopielonych istot.

— Ach... to był Grek, ten tutaj — poinformował głos. — Poznaję go, rozmawialiśmy kilkakrotnie. Kapłan z ziemi greckiej, który znał podania o Vrykoulakacie. Mówił, że z nimi walczył, że przeciwko nim wyprawiał się przez morze do Mołdawii, Wallachii, a nawet w te góry. Wybudował wielki kościół w Alba Julia, który pewnie stoi tam aż do dziś. Z niego wyruszał pomiędzy wioski i miasteczka w poszukiwaniu straszliwego Vrykoulakasa.

Ludzie z miast donosili na swych wrogów, często wiedząc o ich niewinności. W zależności od władzy czy pozycji oskarżyciela, Czcigodny Arakli Aenos, jak go nazywano, potwierdzał lub odrzucał zasadność oskarżeń. Na przykład, jeżeli jakiś znany bojar utrzymywał, że taka a taka osoba jest wysysającym krew demone, można było być pewnym, że Grek uzna zasadność skargi. Lecz jeśli tylko jakiś biedak wznosił taką skargę, jakkolwiek dobrze uzasadnioną, zostałyby zignorowane, ba, ukarany za kłamstwo. Oszust i poszukiwacz wiedźm, stary Aenos, kiedyś oskarżył nawet mnie! Musiałem czmychnąć z Wyszehradu, gdzie chcieli mnie dostać. O, mówię ci, to była naprawdę poważna sprawa.

Lecz... czas wielu wystawia rachunek. Popioły do popiołów, pył do pyłu. Kiedy umarł, pochowano starego oszusta w ołowianej skrzyni w Alba Julia, obok kościoła, który zbudował. Co za dobrodziejstwo! Zgodnie z przeznaczeniem nieprzenikalny ołów jego trumny wystarczał w zupełności, aby utrzymać z daleka robaki i wszelkie maści gryzące aż do czasu, gdy jakieś sto lat później, ja go wykopałem. O tak, rozmawialiśmy kilkakrotnie. Lecz ostatecznie, czego się dowiedział? Niczego! Oszust, szalbierz!

A więc, wyrównałem rachunki. Ta kupa pyłu, którą właśnie wachałeś: Arakli Aenos we własnej osobie i... Ojej, jak krzyyczaaał, kiedy dałem mu z powrotem ciało i przypiekłem tego psa gorącym żelazem! Cha, cha, cha!

Dumitru syknął z przerażenia i gwałtownie wyciągnął palce z rozsypanych „soli”. Łopotał dłońmi, jakby one także były przypieczone gorącym żelazem, uderzał o siebie, drząc wycierał o swe szorstkie spodnie. Zerwał się i odskoczył od potłuczonych urn, po to tylko, by wpaść na następny stelaż, stojący za nim. Wyciągnął się jak długi w kurzu, prochu i pyle. Dzięki temu zamieszaniu na moment

przejaśniło się w jego skołowanej głowie. Posiadacz głosu od razu się zorientował i wzmocnił uścisk.

— Powoli synu, powoli! Ach, rozumiem: myślisz, że dręcę cię bez przyczyny. Sądzisz, że znajduję przyjemność w takich instrukcjach. Ach nie, uważam jedynie, że musisz znać wagę służby, którą przyjmujesz. Składasz mi znaczącą ofertę: odsieczy, środków egzystencji, odnowienia zapasów. Dlatego więc odpłacam ci wiedzą... na jakkolwiek krótki okres czasu. Teraz wstań, słuchaj uważnie moich słów i podążaj za nimi.

Ściana, podejdź do ściany, Dumitru. Dobrze! Teraz śledź freski oczami i rękami, mój synu. Teraz patrz i ucz się. Oto jest człowiek. Rodzi się, żyje, umiera. Księżę czy wieśniak, grzesznik czy święty, wszyscy idą tą samą drogą. Widzisz ich wszystkich na obrazkach: błogosławieni i szubrawcy zarówno, mkną chyżo od kolebki do grobu, od słodkiego, ciepłego momentu poczęcia do zimnej, pustej otchłani rozkładu. Oto dola wszystkich ludzi, wydawałoby się: zjednoczyć się z ziemią, a wszystkie lekcje ich życia stają się bezużyteczne, a wszystkie ich tajemnice na zawsze pozostają ich własnością...

Lecz bywają i tacy, których szczątki na skutek okoliczności, w jakich ich chowano — jak ten grecki ksiądz, być może — pozostają nietknięte. I inni, poddani kremacji i pochowani w dzbanie, których spopielone prochy są czyste, bowiem nie spotykają się z ziemią. Leżą tak, potrzaskana kość czy dwie, garść pyłu, a w tym cała wiedza ich czasu czuwania, wszystkie tajemnice ich życia, a bywa i śmierci, a nawet niekiedy moment przejścia pomiędzy tymi stanami. Wszystkie stracone.

Lecz ty spytasz, co z wiedzą zaklętą w księgach, czy tą przekazywaną z ust do ust albo na wieczność utwaloną w kamieniu? Wszak człek uczony, jeśli tego pragnie, może pozostawić całą swoją wiedzę tym, którzy przyjdą po nim?

Co? Kamienne tablice? Ba! Nawet szczyty górskie wietrzeją, a epoki im współczesne ulatują niczym kurz. Wiedza ustna? Opowiedz człowiekowi jakąś historię, a skoro tylko ją powtórzy, już temat jest zmieniony tak, że po dwudziestu razach możesz jej z goła nie rozpoznać. Książki? Ledwie wiek przeminie, a wysychają na pieprz, po dwóch stuleciach kruszą się pod palcami, po trzech rozpadają się w nicość. Nie, nie mów mi o książkach. Nie ma nic bardziej nietrwałego. Oto, była w Aleksandrii najcudowniejsza biblioteka świata... i cóż teraz dzieje się z wszystkimi książkami? Odeszły, Dumitru. Odeszły, jak ludzie lat wczorajszych. Lecz w przeciwieństwie do książek ludzie nie zostają zapomnieni. W każdym razie, niekoniecznie.

I znów, co się dzieje, gdy dany człowiek nie pragnie pozostawić po sobie swoich sekretów?

Ale dość o tym teraz. Popatrz, freski się zmieniają. I oto inny człowiek... w każdym razie, będziemy nazywać go człowiekiem. Gdyż, co dziwne, nie tylko kobieta i mężczyzna poczęli go. Popatrz tam... oto jego rodzic... ale co to jest? Wąż? Kret? I oto ten stwór wypuszcza jajo, które ten człowiek bierze w siebie.

I teraz ta najszczęśliwsza osoba nie jest już człowiekiem, ale... czymś jeszcze. Ach, i spójrz, ona nie umiera, lecz wciąż idzie naprzód. Zawsze! Być może na zawsze.

Czy rozumiesz, Dumitru? Czy rozumiesz przesłanie tych malowideł? Tak, o ile tylko ta niezwykła istota nie zostanie uśmiercona przez jakiegoś brutalnego człowieka, który posiadał wiedzę. Lub nie umrze, co niekiedy się zdarza. Czemuż nie miałyby żyć wiecznie? Oprócz... ta istota jednakowoż czegoś potrzebuje. Nie może odżywiać się, jak zwykły człowiek lub raczej zna lepsze źródło pożywienia. Krew jest życiem... Czy znasz imię tej istoty, synu?

— Ja... ja wiem, jak nazywa się takich ludzi — odrzekł Dumitru, choć jakiegoś przypadkowemu obserwatorowi musiałyby się wydawać, że słowa te wypowiedziane są w pustą przestrzeń piwniczną. — Grecy nazywają ich „Vrykoulakas”, jak wspominałeś. Rosjanie — „Wieszczy”- a my — podróżnicy, Cyganie, my nazywamy ich „Moroi”.

— Jest jeszcze inna nazwa — rzekł głos — z dalekiego lądu, poza czasem i przestrzenią. To nazwa, jakiej sami wobec siebie używają: wampiry. — Tu na chwilę, być może z abominacji, głos zamilkł.

— Powiedz mi teraz, Dumitruuu, czy wiesz kim jestem? Och, wiem, jestem głosem, który słyszysz w swej głowie, ale jeżeli tylko nie jesteś szaleńcem, to głos musi przecież mieć swoje źródło. Czy odgadłeś moją tożsamość, Dumitruuu? A może zawsze ją znałeś, co?

— To ty jesteś Starym Stworem! — Dumitru przełknął ślinę. W gardle czuł suchość. — Nieumarłym i nie umierającym patronem plemienia Zirra. Nazywasz się Janosz, baron Ferenczy!

— Tak, możesz być wieśniakiem, ale nie jesteś głupcem — odpowiedział głos. — Zaprawdę jestem nim. A ty pozostajesz w mojej władzy. Ale najpierw pytanie: Czy żyje w grupie cygańskiej twojego ojca, Vasile’a Zirry, ktoś, kto ma trzy palce u rąk? Dziecko, chłopczyk urodzony niedawno, już po tym, jak byliście tutaj uprzednio? Lub może jakiś obcy, którego widzieliście na trasie wędrówki, kto chciał się do was przyłączyć?

Dziwne pytanie, można by pomyśleć, ale nie dla Dumitru. To była część legendy. Pewnego dnia przyjdzie człowiek z trzema palcami. Trzy szerokie, mocne palce i kciuk przy każdej dłoni. Urodzony w sposób naturalny, bez żadnej interwencji chirurgicznej. Nie sprawiający swoim kalectwem groteskowego wrażenia.

— Nie — odrzekł natychmiast — nie nadszedł.

Nieomal dało się słyszeć niecierpliwe, duchowe chrząknięcie. Cygan prawie widział gwałtowne wzruszenie szerokich potężnych, ramion.

— Nie nadszedł — głos Ferenczego powtórzył jego słowa. — Jeszcze nie nadszedł.

Lecz nastrój tej niewidocznej obecności był niestały: zmienił się w mgnieniu oka. Rozczarowanie przeszło w rezygnację.

— I tak właśnie czekam latami. Ale czymże jest czas dla wampira, co?

Dumitru nie odpowiedział. Przypatrując się wyblakłym freskom, doszedł do tej ich części, która przedstawiała szczególnie zatrważające sceny. Rysunki, niczym gobeliny, opowiadały historię w obrazach, ale te obrazy pochodziły wprost z sennego koszmaru. Na pierwszym, czterech ludzi trzymało jakiegoś mężczyznę, każdy za jedną kończynę. Piąty oprawca w tureckich spodniach stał obok ze wzniesionym wysoko zakrzywionym mieczem. Szósty klęczał obok, z drewnianym młotkiem i ostrym, drewnianym kołkiem. Na następnym rysunku, ofiara była już bez głowy a kołek przyszpilił tułów do ziemi. Wielki, oślizgły robak, niczym ślimak bez skorupy albo wąż, wychynął z otwartej szyi, tak że ludzie dokoła odskoczyli w tył przerażeni. Na trzecim obrazie, ludzie otoczyli rzecz kręgiem pochodni i palili ją. Obok, na stosie, płonęła głowa i ciało jej uprzedniego gospodarza. Przedostatnia scena okazywała księdza, jedną ręką kołyszącego kadzielnice, drugą wysypującego popioły do urny. Przypuszczalnie był to rytuał egzorcyzmu, oczyszczenia. Lecz jeśli tak, to zupełnie nieskuteczny. Gdyż na obrazie ostatnim, z tej samej urny ulatywał czarny nietoperz niczym Feniks z popiołów. Zaprawdę, to przecież znak Ferenczych.

— Tak — rzekł mrocznym głosem Janosz w głowie Dumitru. — Kiedy nadejdzie trzypalczy człowiek, prawdziwy syn moich synów, będę mógł uciec z jednego kielicha do następnego. Gdyż kielich kielichowi nierówny, Dumitruuu, a niektóre z nich są kamienne. . .

W głowie młodzieńca zaczęło się znowu rozjaśniać. Kierowany swą wolą spostrzegł, że jego pochodnia dopala się na kamiennym trzymadle na ścianie, gdzie ją umieścił. Odpalił następną, falując nią przez chwilę, by wzmóc ogień. Zwilżając językiem suche wargi, prześlizgiwał wzrokiem po miriadach urn, zastanawiając się, w której znajdują się prochy jego prześladowcy. Jakże łatwo byłoby ją potrząsnąć, rozrzucić pył, wsadzić pochodnię w sam środek tych wrażliwych szczątków i sprawdzić, czy spłoną po raz drugi.

Janosz momentalnie zarejestrował powrót woli Cygana do życia i odczytał groźbę w umyśle, którym władał.

— Nie tutaj Dumitruuu, nie tutaj! Co? Chcesz, abym leżał wraz z tą całą hołotą? I czy możliwe, że słyszę u ciebie takie zdradzieckie myśli? Ale wszak, inaczej nie byłbyś z tej krwi, nieprawdaż? Słusznie zrobiłeś, odpalając drugą pochodnię: lepiej nie pozwalaj płomieniowi zgasnąć, gdyż trafiłeś w niezwykle mroczne miejsce. Ponadto istnieje jeszcze rzecz czy dwie, które chcę ci pokazać, i będziemy do tego potrzebować światła. Patrz, na prawo masz pokój, mój synu. Wejdź w to sklepione przejście, jeśli łaska, i tam odnajdziesz mą prawdziwą kryjówkę.

Dumitru mógłby próbować walczyć z sobą. . . ale na próżno. Wampir władał jego umysłem z większą niż dotąd skutecznością. Zrobił, jak mu polecono. Wszedł sklepionym przejściem do pokoju, który zupełnie przypominałby pozostałe, gdyby nie jego wyposażenie. Nie dostrzegł tu półek z amforami ani fresków

na ścianie. To miejsce miało raczej charakter mieszkania niż magazynu. Na ścianie wisiały ozdobne tkaniny, a podłogę tworzyły zielone kafle łączone zaprawą. Na środku mozaika mniejszych kafli układała się w profetyczny herb Ferenczego. Obok masywnego kominka stał prastary stół z ciężkiego, czarnego dębu.

Warstwa kurzu nie była tu cieńsza niż gdzie indziej, ale coś jednak wyróżniało to pomieszczenie. Na stole znajdowały się papiery, książki, koperty, rozmaite pieczęcie, pióra, kałamarze: nowoczesne rzeczy w porównaniu ze wszystkim, co Dumitru dotychczas tu widział. Rzeczy Ferenczych? Zakładał, że Stary jest martwy lub niemartwy, lecz wszystko wydawało się wskazywać inaczej.

— Nie — lepki wewnętrzny głos barona zaprzeczył — nie moje, lecz... powiedzmy, mojego studenta. On studiował moje dzieła i nawet mógłby być odważyć się studiować mnie samego. Och, znał wystarczająco dobre słowa, jakimi się mnie wzywa, lecz nie wiedział, gdzie mnie szukać, ani nawet, że w ogóle tutaj jestem! Lecz, niestety, już go nie ma. Najprawdopodobniej jego kości zdołają gdzieś ruiny na górze. Będę zachwycony, gdy odnajdę je któregoś dnia.

Podczas gdy głos Ferenczego snuł te mroczne i niejasne wspomnienia, Dumitru Zirra zbliżył się do stołu. Leżały tam kopie listów, napisane w nieznanym mu języku. Mógł jednak odczytać daty sprzed pięćdziesięciu lat i coś niecoś z adresów i adresatów zamieszkujących odległe miasta. Był więc tam jakiś M. Raynaud z Paryża, niejaki Josef Nader z Pragi, pewien Colin Grieve z Edynburga, a także Joseph Curwen z Providence i jeszcze kilku innych z rozmaitych stron. Wszystkie te nazwiska i adresy, jak dowodził charakter pisma pokrywające zbrązowiałe kartki, zanotował jeden i ten sam człowiek: niejaki Hutchinson czy „Edw.H.”

Co zaś do książek, to nic one Dumitru nie mówiły. Był wieśniakiem i — choć w czasie licznych podróży stykał się z różnymi językami i dialektami — tytuły, takie jak „Turba Philosophorum”, Bacona „Thesaurus Chemikus”, czy Trithemiusa „De Lapide Philosophico” nic dla niego nie znaczyły.

Ale w jednej z ksiąg, pomimo grubej pokrywy kurzu na jej stronicach, młodzieniec zobaczył rysunki, które jednak coś dla niego znaczyły, i to coś strasznego. Tam bowiem w najdrobniejszych i najdrażliwszych detalach ukazano tortury tak brutalne i okrutne, że nawet on — na wpół przecież zahipnotyzowany — przeraził się i cofnął do tyłu. Wówczas jego wzrok przyciągnęły pozostałe rekwizyty: wielkie kajdany przytwierdzone do ścian ciężkimi łańcuchami, jakieś mocno skorodowane ostre narzędzia i kilka żelaznych koszy na ogień, wciąż jeszcze zawierających dawno wygasłe popioły.

— Dumitruuu — śpiewał radośnie gulgoczący głos w jego głowie — powiedz mi teraz: czy byłeś kiedyś spragniony? Czy kiedykolwiek wędrowałeś po pustym, bez kropli wody, i czułeś, jak twoje gardło zamienia się w pulsujący wrzód, poprzez który ledwie możesz wciągnąć powietrze? No, może kiedyś zdarzyło się takie, że czułeś się suchy jak sól, co mogłoby pomóc ci zrozumieć choć odrobinę moją sytuację. Ach, gdybym tylko mógł opisać moje pragnienie, synu!

Ale dosyć. Jestem pewien, że dotarto do ciebie coś z mojej sztuki, mojego przesłania, mocy i przeznaczenia oraz że wymagania kogoś takiego jak ja są nie-skończenie ważniejsze niż jakiegokolwiek kwestie normalnego życia i żywotów. I oto nadszedł czas, by zapoznać cię z końcową tajemnicą, poprzez którą obaj doznamy najbardziej wyszukanej ekstazy. Wielki komin. Dumitruuu. Naprzód!

Cygan ujrzał masywnie zbudowany tunel, szerniały od ognia, sklepiony łukowato i wykończony wielkim głazem na szczycie. Nie musiał się mocno pochylać, by wejść do środka. Zanim to zrobił, zapalił następną pochodnię, co Janosz Ferenczy potraktował jako kolejną oznakę zawahania.

— Szybko, teraz, Dumitru — nalegał okropny głos — moje pragnienie nie może czekać. Jest tak wielkie, że dłużej już tego nie zniosę.

Młodzieniec wszedł do kominika, podniósł pochodnię. Ponad nim wznosił się szeroki, okopcony przewód kominowy, który łagodnie skręcał w stronę ściany. Oddalając na chwilę płomień, Cygan patrzył za jakimś światłem u góry, lecz panowała tam tylko ciemność. Pomyślał, że tunel musiał kilkakrotnie zakręcać i oczywiście mógł być przysypany ruinami.

Przybliżając na powrót żagiew, Dumitru dostrzegł żelazne szczeble na pochylonej tylnej ścianie. W dniach swej świetności, komin z pewnością wymagał czyszczenia od czasu do czasu. A jednak... nie było tu takiego nagromadzenia sadzy, jakiego można by oczekiwać. Gdyby nie lekkie okopcenie, trudno by sądzić, że komin w ogóle był używany.

— Och, był używany, mój synu. — Wewnętrzny głos Janosza zacmokał lubieżnie. — Zobaczysz, zobaczysz. Ale najpierw usuń się troszeczkę. Zanim ty wstąpisz, inni muszą zstąpić. Moi mali ulubieńcy, mali przyjaciele..

Dumitru wcisnął się w boczną ścianę. Doszedł go łopot skrzydeł, gwałtownie potężniejący w grzmot. I oto nagle kolonia małych nietoperzy, których rozprzeczony ciała przypominały pociski, wypadła z przewodu kominowego i rozproszyła się po podziemnych korytarzach. Wylatywały przez dłuższą chwilę, aż wreszcie na powrót zapadła cisza.

— Teraz do góry — powiedział Ferenczy, znowu zaciskając ucisk na umyśle swego niewolnika.

Szczeble były szerokie i płytke, oddalone jeden od drugiego o kilkanaście centymetrów, mocno osadzone w zaprawie łączącej kamienie. Cygan zorientował się, iż trzymając pochodnię jedną ręką, może bez wielkiego wysiłku wspinać się. Po dziesięciu szczeblach komin zwężał się znacznie, a po następnej dziesiętce nachylił się jakieś czterdzieści pięć stopni, przechodząc tym samym w rodzaj ukośnego, pnącego się ku górze szybu. Na przestrzeni nie większej niż następnych kilka metrów szczeble zniknęły, a na ich miejsce pojawiły się płytke schody. Następnie „podłoga” wyprostowała się zupełnie, a „sufit” schodził stopniowo do wysokości mniej więcej trzech metrów.



Dumitru znalazł się w wąskim, surowym, kamiennym i nieskończenie długim pasażu. Czuł narastające przerażenie, które w końcu sprawiło, że zatrzymał się. Dygocąc, zlany zimnym potem, z sercem łopoczącym w pułapce piersi jak schwytany ptak, z ubraniem klejącym się do ciała, młodzieniec skierował żagiew przed siebie. W cieniu, poza granicą pełnej jasności, błyszczała para żółtych, trójkątnych oczu — oczu zdziczałego wilka — zawieszonych nad ziemią i odbijających niespokojne światło pochodni. Spojrzenie wwierało się w Dumitru.

— Mój stary przyjaciel, Dumitruuu. — Głos Ferenczego rozpełzł się po jego umyśle. — Podobnie jak Cyganie, on i jego pobratymcy strzegą mnie od wielu lat. Każdy ciekawski wieśniak mógłby tu zawędrować, gdyby nie te moje wilki. Czy przstraszyły cię? Sądziłeś, że jest gdzieś pod lub za tobą, a on pokazuje się z przodu? Ale czyż nie widzisz, że tu jest moja kryjówka? I to jaka kryjówka, proszę, z jakim wejściem i wyjściem? Nie, jeśli pójdziesz tym pasażem wystarczająco długo, dotrzesz do dziury wychodzącej wprost na urwistą skałę. Tyle tylko... że nikt nie będzie wymagał, abyś szedł tak daleko.

Głos nawet nie starał się już maskować groźby. Ferenczemu nie można było odmówić konsekwencji. Jego uścisk na umyśle i woli spotęźniał niczym lodowe okowy.

— Naprzód! — zimno rozkazał.

Wielki wilk obrócił się i dał susa w zupełną ciemność. Dumitru ruszył za nim niepewnym krokiem, a serce waliło mu tak, iż niemal mógł słyszeć krew grającą w uszach jak ocean w zwojach konchy. I nie był jednym, który mógł to słyszeć.

— Ach, mój synu, mój synu. — Głos był jednym wielkim wołaniem niepomówianej żądy. — Twoje serce skacze jak jeleń na uwięzi. Jaka siła, jaka młodość! Czuję to! Ale cokolwiek wywołuje w tobie taką panikę, bądź pewien, że zbliża się do kresu, Dumitruuu...

Pasaż poszerzył się. Po prawej stronie pojawiło się zagłębienie, rodzaj rowu wyciętego w solidnym podłożu skalnym, który pogłębiał się z każdym krokiem. Dumitru wystawił pochodnię poza krawędź i spojrzął w dół. A tam, w najgłębszej partii wykopu, ujrzał... brzeg i cienką szyjkę czarnej urny, na wpół zasypanej w ciemnej glebie. Brzeg urny — jak mroczna, pogardliwie wyęta buzia, z ustami, które w migoczącym świetle wydawały się to wysuwać, to ściągać odrażająco — znajdował się jakieś półtora metra poniżej poziomu ścieżki. Z drugiej strony czary podłoże wykopu podnosiło się. Wycięte w kształcie litery „V” jak śluza, opadało łagodnie w kierunku wyżłobienia przechodzącego w wąską rynienkę, która prowadziła wprost do otwartego pyska urny. Z drugiej strony litera „V” wznosiła się ku górze i ginęła w cieniu. Wyżłobienia i rynienka nad urną musiały dla każdego wyglądać jak kanał ściekowy. Zaciągnięte były zastygłą czarną warstwą płynu, który musiał tu przepływać.

Przez kilka długich chwil Dumitru stał dygocąc, głęboko wciągając powietrze. Nie całkiem rozumiał, ale czuł każdą cząstką swojego jestestwa, że jest to

ucieleśnienie zła. Oblepiał go zimny, oślizgły pot, a ciałem wstrząsały dreszcze przerażenia. Tymczasem słowa prześladowcy pojawiły się znowu w jego zbłąkanym umyśle.

— Naprzód, mój synu — naglił straszny głos — Jeszcze krok czy dwa, Dumiiitruuu, i wszystko stanie się jasne. Ale ostrożnie, ostrożnie — nie wolno ci omdlewać ani spaść ze ścieżki, cokolwiek byś robił!

Jeszcze dwa kroki i przerażony młodzieniec ujrzał miejsce, gdzie wykop się kończył: czarny prostokąt niczym otwarty grób. A kiedy blask padł do środka, objawiła się cała makabryczna zawartość. Ostre kły zardzewiałego żelaza wypełniały tę końcową lukę od boku do boku, od końca do końca. Co najmniej trzy tuziny. W jednej chwili Dumitru pojął ich przeznaczenie i okropny plan Ferenczego.

— Och? Cha, cha, cha! — Zatrważający śmiech wypełnił umysł Dumitru. — A więc ostatecznie jest to bitwa woli, nieprawdaż, mój synu?

Wola Dumitru stwardniała. Walczył o władzę nad własnym umysłem, nad swymi młodymi, silnymi mięśniami.

— Ja... nie... zabiję się dla ciebie... Stary Diable! — wydyszał.

— Oczywiście, że nie, Dumiiitruuu. Nawet ja nie mogę cię do tego zmusić, nie wbrew twej woli. Widzisz, czarnoksiężstwo też ma swoje granice. Nie, nie zabijesz się mój synu. Ja to zrobię. A prawdę powiedziawszy... już to zrobiłem.

Młodzieniec poczuł nagle przyływ siły, jego umysł uwolnił się wreszcie z jarzma. Zwilżył wargi, a oczy, wyzwolone, gorączkowo patrzyły to w tę, to w tamtą stronę. Chciał uciekać. Z przodu czekał jednak wilk. A z tyłu...

A z tyłu nadeszła fala powietrza jak wiatr poruszony miriadami skrzydeł. Nadleciały nietoperze.

Miażdżące poczucie klaustrofobii spadło na Dumitru. Nawet bez nietoperzy, których powrót wydawał się nieunikniony, i tak wiedział, że nigdy nie znalazłby w sobie tyle odwagi, by powrócić fałszywym przewodem kominowym, podążać śladem własnych stóp przez podziemia zamku z ich cmentarnym łupem, a następnie wspinać się kamieniami, zwielokrotniając każdy dźwięk klatką schodową. Nie, była tylko jedna droga: naprzód, cokolwiek go tam czekało. Dumitru rzucił się wzdłuż kamiennego występu, który od razu ugiął się pod jego ciężarem.

— Ahaaa — rozległ się potworny, triumfujący głos w jego głowie. — Nawet wielki wilk waży mniej niż dorosły mężczyzna, Dumitru.

Naprzeciw nabitego ćwiekami grobowca, występ skalny i ściana, na której się opierał uchylił się o dziewięćdziesiąt stopni, rzucając Cygana na sterczące pręty. Przerażliwy krzyk nagłego rozbłysku świadomości i śmiertelnego lęku urwał się raptownie, skoro tylko zardzewiałe żelazo wraziło się w czaszkę, kręgosłup, ale nie w serce. Ono zaś ciągle drżało, nie przestawało pompować krwi, a właściwie wypompowywać jej przez rozliczne rozdarcia podziurawionego, skrzywionego ciała.

— Czy nie mówiłem, że to będzie ekstaza, Dumitruuu? Czy nie mówiłem, że cię zabiję? — Napawający się zwycięstwem głos potwora towarzyszył agonii młodzieńca. Była to już ostatnia męczarnia zadana przez Ferenczego, ostatnie jego naigrzanie się, gdyż Dumitru już nie mógł go słyszeć.

Ale Janosz nie czuł się rozczarowany. To, co teraz miało nastąpić, było dalece ważniejsze — zaspokojenie, jakże długiego, dokuczliwego pragnienia. Przynajmniej do następnego razu.

Krew spływała w dół kanału, tryskała z rynienki, z pluskiem wpadała w paszczę urny i nawilgała to, co znajdowało się wewnątrz. Prastare popioły, sole, chemiczne składniki jakiegoś człowieka, potwora — wchłaniały ją, musowały, pulsowały, tliły się i dymiły. Wydobywały się z lubieżnego pyska urny.

Po chwili pojawił się stary wilk. Pogardliwie przeszedł pod szemrzącym, falującym sufitem nietoperzy, ostrożnie stawiał nogi na zapadni, która wróciła już na swoje miejsce.

Wreszcie przystanął i dłuższy moment spoglądał na ucichłą już czarę.

Zaskowytał nisko z głębi gardła do dołu, na wyżłobioną płytę. Następnie, przeslizgnąwszy się pomiędzy kolcami, dotarł do pustego miejsca na początku wykopu. Wówczas obrócił się i zaczął uwalniać ciało Dumitru z kolców, podciągając po kawałeczku zakrwawione szczątki.

Kiedy skończył, wyskoczył z dołu, który nie był tutaj głęboki, i wyciągnął ciało. Zwłókł je do Miejsca Wielu Kości, gdzie mógł najeść się do syta. Dopełniał wielowiekowego rytuału. Robił to już przy kilku poprzednich okazjach.

A podobnie przed nim jego ojciec. I jego. . .

## ROZDZIAŁ DRUGI

### Poszukiwacze

Sawirsin, Rumunia, wieczór pierwszego sierpniowego piątku 1983. „Gaststube” zajazdu usadowionego na stromym zboczu góry na wschodnich rubieżach miasta, gdzie szosa wspina się zawrotnymi serpentynami i mknie pomiędzy sośnami.

Trzech młodych Amerykanów, turystów z wyglądu, siedziało przy wyszczerbionym, poczerniałym ze starości, pokrytym sękami okrągłym stole w rogu pomieszczenia. Ubrani byli niedbale. Jeden palił papierosa. Sączyli miejscowe piwo, niezbyt mocne, ale miło pobudzające apetyt i bardzo odświeżające.

Przy samym barze dwóch starych górali, myśliwych uzbrojonych w strzelby tak stare, że nadawały się tylko do muzeum, zaśmiewało się rubasznie. Poklepywali się po plecach, wychwalali swe umiejętności, nie tylko myśliwskie, przez ponad godzinę, aż jeden z nich raptem zmienił się na twarzy, odepchnął się od baru i mamrocząc jakieś przeprosiny, podążył chwiejnym krokiem w stronę drzwi, przez które wdzierał się już niebieskoszary zmierzch. Strzelba leżała na kontuarze, tak jak ją zostawił. Barman, bez zbytej delikatności, podniósł ją i usunął z zasięgu wzroku, po czym powrócił do mycia i wycierania naczyń.

Pozostawiony samemu sobie towarzysz zaryczał na nowo śmiechem. Walnął z całą siłą otwartą dłońią w kontuar, wychylił śliwownicę swojego przyjaciela, po czym rozejrzał się. Jego wzrok padł oczywiście na Amerykanów, którzy prowadzili niezobowiązującą, przyjacielską pogawędkę. W istocie ich konwersacja dotyczyła jego, ale on o tym nie wiedział.

Myśliwy zamówił następną kolejkę, także dla tych przy stole, cokolwiek pili, również dla barmana. Kołyszając się podszedł do nich. Barman, zanim wypełnił zamówienie, podniósł jego strzelbę i umieścił ją w bezpiecznym miejscu.

— Gogosu — zabalgotał myśliwy gardłowo, waląc się w skórzaną kurtę na piersi. — Emil Gogosu. A wy? Touristi jesteście?

Mówił po rumuńsku z charakterystycznymi dla tych stron węgierskimi naleciałościami. Wszyscy trzej odwzajemnili jego uśmiech, choć dwóch z niejakim niepokojem. Trzeci przetłumaczył.

— Tak, turyści. Z Ameryki, USA. Siadaj, Emilu Gogosu, pogadamy — odrzekł.

— Ech, ech? Wy znacie język, panie? Jest pan przewodnikiem dla tych dwóch? I jak, opłaca się?

Młody człowiek odpowiedział śmiechem.

— Mój Boże, nie. Jestem z nimi, jestem jednym z nich, Amerykaninem.

— Niemożliwe — zawyrokował Gogosu siadając. — Co? Jakżesz to, nigdy niczego takiego nie słyszałem. Cudzoziemcy mówiący naszym językiem? Żarty sobie ze mnie stroicie, no nie?

Gogosu całe życie był rumuńskim wieśniakiem. Miał brązową, ogorzałą twarz, siwe, opadające w dół wąsy, zażółcone pośrodku od fajki, długie bokobrody zakręcające w kierunku kącików warg i żywe szare oczy pod krzaczastymi, jeszcze bardziej szarymi brwiami. Nosił skórzaną, połataną kurtę z wysokim kołnierzem, a pod nią białą koszulę, której mankiety ciasno opinały nadgarstki. Jego futrzana caciula, czapka, tkwiła mocno pod prawym naramiennikiem kurty. W połowie wypełniona ładownica wychodziła spod lewego naramiennika, przebiegała przez pierś, nikła pod prawym ramieniem i zamykała się na plecach. Szeroki, skórzany pas podtrzymywał pochwę z nożem myśliwskim, kilka skórzanych woreczków i szorstkie spodnie, wetknięte w wysokie, przystosowane do wspinaczki buty. Mały człowieczek, wyglądał jednak na krzepkiego. Niewątpliwie był małowniczym okazem.

— Mówiliście właśnie o tobie — powiedział tłumacz.

— Ech? Och? — Gogosu kolejno przyjrzał się każdemu z nich. — O mnie? Więc wzbudzam waszą ciekawość, czy tak?

— Nasz podziw — odparł sprytnie Amerykanin. — Z daleka widać, że jesteś myśliwym jak się patrzy. Na pewno znasz dobrze te okolice?

— Nikt nie zna ich lepiej — odparł dumnie Gogosu. Ale on także był sprytny i jego oczy zwężyły się. — Szukacie przewodnika, co?

— Może, może. — Pokiwał wolno głową tamten. — Ale są przewodnicy i przewodnicy. Poprosisz takiego, aby pokazał ci stary zamek na górze, a on obieca ci wszystko. Zamek samego Drakuli, powie. A później prowadzi cię do kupy kamieni wyglądającej jak rozwalona obora. Tak, ruiny, Emilu Gogosu, oto, co nas interesuje. Dla zdjęć, obrazów... nastroju i atmosfery.

Barman przyniósł zamówione napitki i Gogosu natychmiast wypił swój.

— Ech? Ech? Chcecie zrobić te obrazki? Znaczy, filmy? Stary wampir w swoim zamku, goniący dziewczuchy z podskakującymi cyckami? Mój panie, widziałem ja takie rzeczy! Znaczy, filmy, na dole, w starym Lugoju, gdzie jest kino. Nie, nie dziewczyny... tutaj nie uświadczysz rozkołysanych piersi. W najlepszym razie wyschnięte brodawki na kłodzie drzewa, chłopcy. Ale widziałem filmy. I to jest to, czego szukacie, tak? Ruiny...

Na przekór całej wypitej wódce, stary wydawał się jakby trzeźwieć. Jego oczy uważniej skupiały się na przybyszach, gdy badawczo przypatrywał się kolejno każdemu z nich. Zaczął od tłumacza. Ten niewątpliwie wzbudzał największą ciekawość górala, z tą swoją znajomością języka i w ogóle. Był wysoki, długonogi, wąski w biodrach i szeroki w ramionach. A kiedy Rumun przyjrzał mu się bliżej, zorientował się, że tamten nie jest po prostu Amerykaninem. Nie tylko Amerykaninem, w każdym razie.

— Jak się nazywasz, ech? Jak się nazywasz? — Myśliwy ujął dłoń młodego człowieka i zacisnął na niej pięść, ale tamten natychmiast wyrwał rękę i schował ją pod stół.

— George — szybko odpowiedział, jakby chcąc uspokoić gwałtownie pobudzoną uwagę Gogosu — George Vulpe.

— Vulpe? — zarechotał myśliwy i walnął otwartą dłonią w stół, aż zatańczyły kieliszki. — Swojego czasu znałem kilku Vulpów. Ale George? Cóż to za imię „George” do takiego nazwiska jak Vulpe, co? No, bądźmy z sobą szczerzy... masz na myśli Gheorghe, czyż nie?

Czarne oczy tamtego ściemniały jeszcze bardziej i przez moment wydawały się nachmurzone.

— No, ostry jesteś, Emilu — powiedział w końcu przybysz. — Tak, kiedyś byłem Rumunem. To cała historia, ale nie ma dużo... .

Stary myśliwy przeszył go wzrokiem.

— Jednak opowiedz — nalegał.

Tamten wzruszył ramionami i oparł się wygodniej na krześle.

— No więc, urodziłem się tutaj — rozpoczął głosem łagodnym jak jego zwodniczo spokojna twarz. Uśmiechnął się, błyskając doskonałym uzębieniem. „Takim, jak powinno być — pomyślał Gogosu — u człowieka dwudziestosześcioletniego”.

— Tak, urodziłem się tutaj — powtórzył Vulpe — ale to tylko odległe, zamglone wspomnienie. Moi krewni byli podróżnikami, co tłumaczy mój wygląd. Rozpoznałeś mnie po smagłej cerze, prawda? I po ciemnych oczach?

— A jakże — Gogosu skinął głową — i po delikatnych płatkach uszu, jakby stworzonych do złotego kółka. Po wysokim czole i wilczych szczękach, które nie są rzadkością pomiędzy Cyganami. Och, twoje pochodzenie jest całkiem oczywiste dla kogoś, kto umie patrzeć. Więc, co się stało dalej?

— Stało się? — Wzruszył ramionami. — Moi rodzice przenieśli się do miasta, osiedli tam, zostali robotnikami zamiast pasożytami, jakimi zawsze byli.

— Pasożytami? Naprawdę w to wierzysz?

— Ja nie, ale władze tak uważały. Dano im mieszkanie w Craiova, obok nowej trasy kolejowej. Ściany były zniszczone i popękane od tych pociągów. Tynk odpaadał, ubikacja u kogoś na górze przeciekała... . ale powiedzieli, że to i tak za dużo dla takich brzydzących się pracy pasożytów. Do jedenastego roku życia tam się

właśnie bawiłem, obok szyn. A wtedy... pewnej nocy pociąg się wykoleił. Trafił prosto w nasz dom, rozwalił ścianę, przeorał cały teren. Ja szczęśliwie przeżyłem, ale wszyscy moi bliscy zginęli. Żałowałem wtedy, że nie zginąłem razem z nimi. Zmiażdżyło mi kręgosłup i stałem się kaleką. Ktoś jednak o mnie usłyszał, a w tamtym czasie, w ramach współpracy, odbywała się wymiana lekarzy i pacjentów między zajmującymi się rehabilitacją klinikami rumuńskimi i amerykańskimi. Ponieważ byłem sierotą, miałem pierwszeństwo. Nieźle, jak na pasożyta, co? Tak więc... pojechałem do USA. I oni postawili mnie na nogi. Więcej, dwoje ludzi adoptowało mnie nawet. A że byłem tylko małym chłopcem i nikogo tu nie zostawiłem, więc pozwolono mi z nimi zamieszkać.

— Aha — mruknął Gogosu — i tak zostałeś Amerykaninem. Dobra, wierzę ci... ale to dziwne, że Cyganie opuścili bezkresne szlaki. Czasem zostają wyrzuceni i wędrują własnymi drogami, ale rzadko kiedy osiedlają się w miastach. Co skłoniło do tego twoich starych? Sprzeciwili się cygańskiemu królowi, czy co?

— Nie wiem, byłem wtedy chłopcem — odparł Vulpe. — Może bali się o mnie: byłem słabą, małą istotką, właściwie karzełkiem. W każdym razie, opuścili obóz tej samej nocy, której się urodziłem, zatarli ślady i nigdy nie powrócili.

— Karzełkiem. — Gogosu zdziwiony uniósł brew, pociągnął wzrokiem po całej sylwetce Vulpego, od góry do dołu. — No, teraz trudno byłoby to poznać. Mówisz, że zatarli ślady? To wszystko tłumaczy. Musiały wymknąć problemy, tam, w obozie. Założę się, że twoi rodzice byli potajemnymi kochankami, a ją przyobiecano innemu. Wówczas ty się pojawiłeś i twój ojciec wykradł narzeczoną. Cóż, tak się zdarza.

— To bardzo romantyczna historia — odrzekł Vulpe. — I kto wie, może prawdziwa?

— Boże, jakimi jesteście grubianinami — wybuchnął nagle Gogosu, kiwając jednocześnie na barmana. — Ucinamy sobie pogaduszki w naszym starym języku, a twoi dwaj przyjaciele siedzą zmieszani, pozostawieni samym sobie. Pozwólcie postawić sobie jeszcze jedną kolejkę i dokonamy małej prezentacji. Chciałbym wiedzieć, dlaczego tu jesteście, co mogę dla was zrobić i ile mi zapłacicie za zabranie was do prawdziwych ruin.

— Teraz nasza kolej na stawianie kielicha — powiedział Vulpe — i bez dyskusji. Na Boga, czy naprawdę myślisz, że jesteście w stanie dotrzymać ci kroku, Emilu Gogosu? Zwolnij trochę, bo będziesz nas musiał wyciągać spod stołu, zanim jeszcze wszystko uporządkujemy. Co zaś do prezentacji, to proszę...

Tu objął ramieniem siedzącego bliżej niego Amerykanina.

— Ten chudzielec, to Seth Armstrong z Teksasu. To wielki stan. Trzy twoje Rumunie zmieściłyby się w jednym Teksasie.

Emil Gogosu był poruszony stosownie do wagi tej informacji. Ścisnął dłoń Armstronga i przyjrzał mu się. Tekszańczyk, wielki i grubokościsty, miał szczere niebieskie oczy, pogodną twarz i rzadkie włosy w kolorze siana. Jego nogi i ra-

miona były długie jak tyki. Duży nos sterczał nad szerokimi, wyrazistymi ustami oraz ciężkim, mocnym podbródkiem. Mierzący prawie dwa metry, nawet siedząc spoglądał na wszystkich z góry.

— Ha! — powiedział myśliwy. — Ten Teksas musi być tak duży, aby zapewnić jedzenie i mieszkanie dla kogoś takiego.

Vulpe przetłumaczył, a następnie skinął głową w kierunku trzeciego członka grupy.

— A to Randy Laverne z Madison, Wisconsin. Nie ma tam, co prawda, tak wysokich gór, ale wierz mi, potrafi być nie mniej zimno.

— Zimno? — powiedział Gogosu. — Ten akurat nie powinien się tym martwić. Zazdroszczę mu całego tego dobrego mięsa przy jego kościach i wszystkich tych wyśmienitych posiłków, które musiał spożyć, by wyhodować to ciało. Jednak to nie na wiele się zdaje przy wspinaczce. Ja potrafię przykleić się do skały niczym porost tam, gdzie siła ciężkości dawno by go pociągnęła.

Vulpe przetłumaczył i Laverne roześmiał się pogodnie. Był z nich najmłodszy i najmniejszy, a w każdym razie najniższy. Dwadzieścia pięć lat, piegowaty na twarzy, z wyraźną nadwagą i ciągle głodny. Z czupryną rudych, pofalowanych włosów. Zielone, przyjazne oczy iskrzyły się od poczucia humoru. Kąciki ust i czoło pokrywała drobna pajęczyna zmarszczek od częstego śmiechu. Nie było w nim jednak nic miękkiego. Wielkie dłonie, niewiarygodnie silne, odziedziczył po ojcu — kowalu.

— A więc — powiedział George Vulpe — teraz już się znamy. A raczej, ty nas znasz. Ale powiedz coś o sobie, Emilu. Jesteś myśliwym, to wiadomo, ale co więcej?

— Nic więcej — odparł Gogosu. — Nie potrzebuję być kimkolwiek więcej. Mam mały domek i miłą kobietę w Ilia. Latem poluję na dziki i sprzedaję mięso rzeźnikom, a skóry szewcom i krawcom. Zimą biorę futra, zabijam trochę lisów, czasem wynajmą mnie, bym zastrzelił jakiegoś wilka. I w ten sposób zarabiam na życie. A teraz może jeszcze będę przewodnikiem. Dlaczego nie? Znam te wyżyny równie dobrze jak górskie orły, które mają tam swoje gniazda.

— I dziwny, zapuszczony zamek? Pokażesz nam jeden z takich?

— Zamków tu nie brakuje — odparł Gogosu — ale powiedziałaś sam, że są przewodnicy i przewodnicy. A podobnie, są zamki i zamki. I masz rację: każdy może pokazać ci zwalisko głazów i nazwać to zamkiem. Ale ja, Emil Gogosu, mogę pokazać wam prawdziwy zamek.

Armstrong i Laverne pochwycili sedno rzeczy i ożywili się wyraźnie.

— Hej, George — odezwał się Armstrong swym charakterystycznym, teksańskim zaśpiewem — powiedz mu, co rzeczywiście zamierzamy tam robić. Wyłumacz mu, jak blisko był, kiedy mówił o Drakuli, wampirach i tym wszystkim.

— W Ameryce — Vulpe zwrócił się w stronę myśliwego — a właściwie na całym świecie, Transylwania i Karpaty Środkowe są głośne. Nie tyle dla ich nie-



zwykłego piękna czy posępnego nastroju, ile raczej dla mitów i legend z nimi związanych. Mówiłeś o Drakuli, który wywodził się od okrutnego Vlada... ale, czy nie wiesz, że każdego roku turyści tabunami odwiedzają ziemię wielkiego Drakuli i zamki, w których rzekomo mieszkał? To jest naprawdę świetny biznes, a naszym zdaniem mógłby być jeszcze lepszy.

— Ha! — powiedział Gogosu. — Cały ten kraj jest przesiąknięty starymi wierzeniami i przesadami. Vlad Okrutnik to tego przykład. — Stary pochylił się i ściszył głos. — Mógłbym was zabrać do starego zamczyska, starego jak same góry, potrzaskanego siedziska, tak zatrwającego, że jeszcze dzisiaj omija się z daleka to miejsce. Podobnego nagim kościom w świetle księżyca. Trzyma się w tajemnicy istnienie tej potępieńczej kryjówki pomiędzy skałami.

Odchylił się z powrotem do tyłu i z zadowoleniem przyglądał się wrażemu, jakie wywołał.

Vulpe zaczął tłumaczyć.

— Czy to możliwe? Myślisz, że to wszystko prawda? — cicho zawołał Randy Laverne.

Myśliwy zrozumiał, co tamten mówi. Wpatrywał się w szeroko otwarte oczy Laverne'a.

— Powiedz mu — odezwał się — że ostatniemu człowiekowi, który nazwał mnie kłamcą, strzeliłem prosto w tyłek. Powiedz mu także to: w tych ruinach, o których mowa, stoi na straży wielki szary wilk. Wiem to na pewno, bo kiedyś sam próbowałem go zastrzelić.

George zaczął tłumaczyć, ale po chwili myśliwy zaczął się śmiać.

— Hej, hej, nie tak poważnie. Nie bierzcie sobie moich gróźb za bardzo do serca. Och, wiem, że moja historia brzmi trochę niesamowicie, ale jednak jest to prawda. Zapłaćcie mi za mój czas i wysiłek, a zobaczycie sami. No, co powiecie?

Vulpe podniósł rękę ostrzegawczo i Gogosu spojrział na nią z zaciekawieniem. Już uprzednio, kiedy chwycił tę dłoń, czuł, że jest w niej coś dziwnego. Podobnego wrażenia doznał, gdy obejmował kościste ramiona Armstronga. A i sam Vulpe wydawał się być zawstydzony swoimi rękami, jako że starał się je trzymać poza zasięgiem wzroku pozostałych.

— Poczekaj — powiedział młody rumuński emigrant, odciągając uwagę myśliwego — sprawdźmy najpierw, czy mówimy o właściwym miejscu.

— Właściwym miejscu? — Gogosu był zbity z tropu. — A myślisz, że jak wiele takich miejsc istnieje?

— Chodzi mi o to — wyjaśnił Vulpe — aby sprawdzić, czy może już słyszeliśmy coś o tym twoim zamku.

— Bardzo wątpię. Nie znajdziecie go na żadnych nowszych mapach, za to ręczę. Nasze władze chyba myślą, że jeśli zostawią go w spokoju, jeżeli po prostu wystarczająco długo nie będą go zauważać, to może w końcu się rozplynie. Nie, nie słyszeliście o tym miejscu, na pewno.

— Sprawdźmy to jednak — nalegał Vulpe. — Widzisz, uczynki, włości i historia prawdziwego Drakuli — myślę o wołoskim księciu, od którego władca zamczyska wziął swoje imię — są dobrze znane i absolutnie autentyczne. Pewien Anglik zamienił następnie fakty w fikcję literacką, w ten sposób zapoczątkowując legendę. Później jeden sławny Francuz także napisał książkę o zamku w Karpatach i prawdopodobnie przyczynił się do powstania kolejnej legendy. A wreszcie także i pewien Amerykanin zrobił to samo. I otóż ten Amerykanin, jego nazwisko nic ci nie powie, stał się bardzo sławny. Gdybyśmy mogli znaleźć zamek... historia Drakuli mogłaby się ciągle powtarzać. Turyści? Ach, wtedy dopiero zobaczyłbyś co nieco turisti, Emilu Gogosu! A kto wie, może zostałbyś szefem przewodników, co?

Gogosu miedlił w ustach środek wąsów.

— Uff — fuknął w końcu. W jego oczach aż zajaśniało z chciwości. — No dobrze, więc co chcecie wiedzieć? — zapytał. — Na jakiej podstawie sądzą, że zamek, o którym mówiłem, i ten, którego szukacie, to jeden i ten sam?

— To może być prostsze, niż myślisz — odparł George. — Na przykład od jak dawna to miejsce leży w ruinach?

— Och, to wyleciało w powietrze zanim się jeszcze urodziłem — opowiedział, wzruszając ramionami, i od razu zorientował się, że ta odpowiedź ogromnie Vulpego podekscytowała.

Amerykanin już tłumaczył słowa Rumuna przyjaciołom i wyraz zaskoczenia, a nawet zdumienia, pojawił się także na ich twarzach.

— Wyleciało w powietrze, mówisz? To znaczy, eksplodowało?

— Lub zostało zbombardowane, tak. — Gogosu zmarszczył brwi. — Niektóre z tych murów zostały wysadzone, odrzucone daleko.

Vulpe bezskutecznie starał się zapanować nad podnieceniem.

— A czy miał nazwę, ten zamek? A co z jego właścicielem, zanim to się stało? To może być bardzo ważne.

— Jego nazwa? — Gogosu ściągnął twarz w wyrazie skupienia. Poklepał się dłonią po czole, pochylił się w tył na krześle, w końcu pokręcił głową.

— Ojciec mojego ojca posiadał stare mapy. Nazwę tego miejsca zapisano na nich. Tam właśnie zobaczyłem je po raz pierwszy i postanowiłem iść i osobiście je obejrzeć. Ale jego nazwa... uleciała.

Vulpe przetłumaczył.

— Mapy jak ta? — zapytał Armstrong. Rozpostarł na stole kopię starej rumuńskiej mapy, którą kiedyś wykonał. Była poplamiona piwem, ale poza tym całkiem w porządku.

Wyglądził mapę, przyjrzał się dokładnie kilku miejscom.

— Nie ma — powiedział — nie ma mojego zamku. Czyste miejsce. To zrozumiałe. Ponure, stare miejsce. Jest tak, jak powiedziałem: chcieliby o tym zapomnieć. Legendy? Nie znacie nawet połowy.

— Aaaach! — Rzucił się po chwili całym ciałem do tyłu i chwycił obiema rękami za głowę.

— Jezus — krzyknął Laverne. — Czy on jest OK?

— OK, tak... OK — zawołał Emil Gogosu. — Przypomniałem sobie, George. To było... Ferenczy!

— Jezus — powtórzył Laverne, tym razem szeptem.

— Zamek Ferenczego. — Armstrong sięgnął i pochwycił ramię myśliwego. Gogosu pokiwał twierdząco głową.

— Tak jest. I to jest właśnie ten, co?

Vulpe i pozostali opadli na krzesła i gapili się po sobie. Zachowywali się jak oszołomieni, zdezorientowani, a może po prostu zaskoczeni.

— Tak, to jest ten. Zaprowadzisz nas tam? Jutro? — Vulpe odezwał się w końcu.

— O, na pewno — odrzekł Gogosu. — Za dobrą cenę.

I popatrzył na dłonie George'a, gdy ten położył je na stole, składając mapę. Vulpe pochwycił spojrzenie myśliwego, ale tym razem nie próbował nawet schować rąk, jedynie nieznacznie uniósł brwi.

— Wypadek? — zapytał stary Rumun. — Jeśli tak, to opatrzyli cię całkiem zręcznie.

— Nie — odpowiedział Vulpe — to nie był wypadek. Takim się urodziłem. Po prostu moi rodzice nauczyli mnie, abym skrywał dłonie, to wszystko. Więc robię tak, ale nie wtedy, gdy jestem z przyjaciółmi...

Wydawało się, że wysokie góry opóźniają nieco wschód słońca. A kiedy wreszcie wychyliło się zza szczytów, zrobiło się gorąco i parno. O ósmej trzydzieści trzech Amerykanów czekało na Emila Gogosu na zakurzonej drodze obok zajazdu. Na głowach mieli czapki z przyciemnianym daszkiem, by dać odpór promieniom słonecznym.

Stary myśliwy powiedział, że „zabierze” ich tam o tej godzinie, chociaż nie byli dokładnie pewni, co przez to rozumiał.

Randy Laverne właśnie osuszył małą butelkę piwa i postawił ją z jednej strony schodów prowadzących do zajazdu, kiedy usłyszeli grzechot i stukot miejscowego autobusu. Kursowały tak rzadko, że niemal były legendarne. Z całą pewnością taki przyjazd zasługiwał na utrwalenie. Seth Armstrong wyjął aparat i zaczął robić zdjęcia. Sfatygowany wóz wynurzył się spomiędzy sosen i zjeżdżał w dół krętą drogą w kierunku zajazdu.

Był to prawdziwie cudowny wynalazek: tyse opony, roztrzęsiona maska nad strzelającym i prychającym silnikiem, okna skutecznie ograniczające widoczność. Emil Gogosu wychylał się z otwartych przednich drzwi. Z szerokim uśmiechem przyklejonym do smagłej twarzy, kiwał na nich, pokazując, że powinni się zakrętować. Autobus zatrzymał się z jazgotem. Kierowca uśmiechnął się, skinął

głową i podniósł plik brązowych biletów. Gogosu wysiadł i pomógł trójce przyjaciół przypiąć ich ekwipunek do bagażnika. Wsiedli wreszcie, zapłacili za przejazd i wpadli, a raczej zostali wciśnięci w rozsypujące się siedzenia.

— OK — powiedział Vulpe, skoro tylko odzyskał dech — więc dokąd jedziemy?

— Najpierw zapłata — odparł myśliwy.

— Hej, stary — zawołał Vulpe — mam wrażenie, że nie ufasz nam za bardzo.

— Nie taki znowu stary, mam tylko pięćdziesiąt cztery lata — powiedział Gogosu. — Na powietrzu twarz szybciej się starzeje. Tak czy inaczej jednak, wraz z tym szacownym wiekiem nabyłem przekonania, że czasami lepiej jest wziąć wcześniej zapłatę. I zaufanie nie ma tu nic do rzeczy. Nie chcę, abyście odpadli od ściany z moimi pieniędzmi w kieszeni, to wszystko. — Roześmiał się na widok wyrazu twarzy George'a. — Zjeżdżamy w dół, do Lipowej — dodał po chwili — gdzie łapiemy pociąg do Sebis. Tam będziemy próbowali złapać jakiś wóz zmierzający w stronę wioski Halmagiu. Tam zaczniemy wspinaczkę. Tak naprawdę, to jest zdług. Nie wiecie co to jest? Przeciwnieństwo skrót. Widzicie, ten zamek jest tylko o, och, może pięćdziesiąt kilometrów lotu wrony, ale my nie jesteśmy wronami. Zamiast więc przeciąć Zarundului, objeżdżamy go. Nie można go zresztą przeciąć, nie ma tam dróg. A Halmagiu stanowi dobrą bazę do wspinaczki. Nie obawiajcie się zresztą: to nie jest tak bardzo wspinaczka, w każdym razie przy świetle dnia. Jeśli „stary człowiek” jak ja może to zrobić, to takie młodziki jak wy powinni przemknąć tamtędy jak kozły.

— A nie moglibyśmy całej drogi z Sawirsina przebyć pociągiem? — chciał wiedzieć Vulpe.

— Gdyby istniał taki w rozkładzie. Ale nie ma. Zresztą, nie bądź taki niecierpliwy. Dotrzemy tam. Mówiliście, że wasz samolot z Bukaresztu odlatuje dopiero za sześć dni? Więc dokąd się spieszyć? Obliczam, że powinniśmy zdążyć do Sebis przed zmierzchem, jeżeli złapiemy połączenie w Lipowej. A z Sebis może być autobus do Halmagiu, który dowiozłby nas na miejsce najpóźniej do drugiej trzydzieści. W innym razie będziemy musieli poszukać jakiegoś powozu, bryczki, czegokolwiek. Wtedy możemy dotrzeć tam później i, być może, będziemy musieli tam przenocować. Każda pora po czwartej to dla nas za późno, chyba że macie ochotę spędzić noc w górach.

— Nie, nie mamy na to wielkiej ochoty.

— Ha — parsknął Gogosu — alpinieści na dobrą pogodę. Ale pogoda jest naprawdę za ładna. Cholernie ciepło, jak dla mnie. Nie byłoby problemu. Wielka pucha węgierskiej solonej kiełbasy, bochenek czarnego chleba, buteleczka śliwownicy i kilka piw. Co...? Noc pod gwiazdami w załomie skalnym, z żarzącym się na czerwono ogniskiem i zapachem żywicy, przekonałaby was, chłopcy, do świata. Wasze płuca pomyślałyby, że umarły i podłączyły się do płuc niebiańskich!

W ustach Gogosu zabrzmiało to naprawdę zachęcająco.

— Zobaczmy — powiedział Vulpe. — Tymczasem, zapłacimy ci połowę teraz, a resztę, gdy zobaczymy te obiecane ruiny.

Wyciągnął plik lei i odliczył banknoty — prawdopodobnie więcej pieniędzy, niż Gogosu mógł zarobić przez cały miesiąc. Następnie dorzucił jeszcze garść miedziaków. Rumun przeliczył to wszystko starannie i schował w bezpiecznym miejscu. Starał się utrzymać beznamiętny wyraz twarzy, ale było to ponad jego siły, więc w końcu uśmiechnął się szeroko i zwilżył wargi.

— Dzięki temu przez chwilę poczuje się jak wiśnia w nalewce — powiedział. — Przez krótką chwilę, rozumiesz? — dodał.

— O tak, rozumiem — przytaknął Vulpe, uśmiechnął się i rozparł na swojej połówce siedzenia.

Z tyłu dochodziły przenikliwe, podekscytowane głosy Armstronga i Laverne'a. Na przedzie stara kobieta trzymała na kolanach wielką drucianą klatkę wypełnioną swarliwymi kurczakami. Dwóch młodych, krępych rolników siedziało zgarbionych po drugiej stronie przejścia między fotelami i dyskutowało zawzięcie kwestię pomoru drobiu, czy coś równie pasjonującego, odwołując się przy tym do zbrązowiałego ze starości „Życia wsi rumuńskiej”. Na tylnych siedzeniach autobusu podróżowała jakaś rodzina. Wszyscy bardzo eleganccy, jakby zawstydzeni swą niestosownością, wyraźnie nie na miejscu w niemal nowoczesnych garniturach i modnych sukniach — przypuszczalnie w drodze na wesele. Dla amerykańskich podróżników wszystko to musiało być niezwykle i wspaniałe, ale dla samego George'a było to... jak dom rodzinny. Jak powrót do domu.

Przez cały czas od momentu, kiedy wysiadł z samolotu dwa tygodnie temu czuł coś, o czym sądził, iż nie wypaliło się ze szczętem podczas piętnastu długich lat. Od czasu, gdy jego lekarz zabrał go do Ameryki. Chciał zresztą, aby się wypaliła ta cała gorycz, której doznał z chwilą osierocenia. Przez pierwsze lata w Ameryce nienawidził Rumunii, nie mógł nawet o niej pomyśleć, by natychmiast nie popaść w głęboką depresję. To stanowiło jedną z przyczyn, dla których tu przyjechał. Pragnął wzruszeniem ramion zrzucić z siebie całun tego miejsca i powiedzieć: „Nie było tu nic dla nich... nic dla mnie... uciekłem”. Mówiąc krótko, spodziewał się, że to miejsce, ten kraj, podziela nań przygnębiająco, że ból pojawi się z całą siłą — ale po raz ostatni — a potem stanie się naprawdę wolny, wszystko to ostatecznie uleci w zapomnienie. Sądził, że będzie mógł wysiąść z samolotu, rozejrzeć się dookoła, wzruszyć ramionami i powiedzieć do samego siebie: „Komu to potrzebne?”

Jednak pomylił się.

Ból, jaki w nim tkwił, szybko uleciał. Nie czuł wyobcowania. Przeciwnie, wydawało mu się, że Rumunia momentalnie wzięła go we władanie. Powiedziała mu: „Byłeś jego częścią. Byłeś krwią z krwi tej prastarej ziemi. Twoje korzenie są tutaj. Znasz to miejsce i ono zna ciebie”. Szczególnie tutaj, na tych krętych duktach, leśnych trasach i wysokich przejściach, na tych polanach, skalnych tur-

niach i posepnych samotniach. Takie miejsca miał we krwi. Kiedy wsłuchiwał się w skupieniu, mógł usłyszeć je, powstające, potężniejące jak przyptyw na dalekim wybrzeżu i wzywające go. Tak, coś wzywało go, na pewno.

— Powiedz mi jeszcze raz. — Gogosu dźgał go w żebra.

— Co? Powiedzieć ci, co?

— Dlaczego tutaj jesteście? Po co to wszystko? Bo niech mnie diabli, jeśli rozumiem tych wszystkich miłośników wampirów!

— Nie — Vulpe potrząsnął głową — to jest powód, dla którego oni są tutaj.

Mówiąc to, pochylił głowę do tyłu, wskazując dwójkę siedzącą z tyłu.

— Ale dla mnie był to tylko jeden z powodów. W istocie... przypuszczam, że tak naprawdę chciałem poznać miejsce swojego urodzenia. To znaczy, jako chłopiec mieszkałem w Craiowa, ale to nie to samo, co znaleźć się pod górami. Ujrzałem je i jestem zadowolony. Wiem, co tu jest grane i co ze mną jest grane. Mogę stąd zaraz wyjechać i nie przejmować się tym więcej.

— A inny powód twojego przyjazdu tutaj? — nalegał myśliwy.

— Chodzi o romans. — Vulpe wzruszył ramionami, westchnął i rozpoczął najlepszy ze swoich występów. — To jest coś, co powinieneś łatwo zrozumieć, Emilu Gogosu. Co, ty? Rumun? Mówiący językiem romańskim, na ziemi tak pełnej romansu jak ta? Nie mam przy tym na myśli miłości chłopca i dziewczyny — lecz romans tajemnicy, historii, mitów i legend. Mrowienie w krzyżu, gdy zastanawiamy się nad naszą przeszłością, kiedy rozważamy, kim byliśmy i skąd przyszliśmy. Tajemnica gwiazd, światy poza zasięgiem naszego poznania, miejsca, które nasza wyobraźnia zna, ale których nie potrafi nazwać ani opisać, które istnieją tylko w starych księgach i na strzępkach zbutwiałych map. Jak wtedy, gdy raptem przypomniałeś sobie nazwę zamku.

Jest to poszukiwanie śladów dawnych legend, a to zaraża ludzi jak gorączka. Naukowcy jeżdżą w Himalaje w poszukiwaniu Yeti albo polują na Wielką Stopę w lasach Ameryki Północnej. Jest takie jezioro w Szkocji, gdzie każdego roku cheszą głębię echosondami, aby znaleźć potwierdzenie istnienia tego, który przeżył czas.

To jest zauroczenie skamielinami, dowodami, że świat trwał tutaj i żywe stworzenia istniały tutaj przed nami. To jest ta właściwa człowiekowi pasja poszukiwania istoty rzeczy, do odwracania każdego, najmniejszego kamienia, do drażnienia każdego zbiegu okoliczności tak długo, aż stanie się jasne, że nic nie jest przypadkowe, a wszystko ma nie tylko przyczynę, ale i skutek. To jest synchronia dusz. Mistycyzm potykania się o nieznanne, aby uczynić to znanym, bycie pierwszym, który znajduje powiązanie.

Naukowcy badający skamieniałe szczątki ryby, o której sądzili, że wymarła sześćdziesiąt milionów lat temu, nagle dowiadują się, że ten sam gatunek ciągle bywa wyławiany z głębokich wód przybrzeżnych Madagaskaru. Kiedy ludzie zainteresowali się mitycznym Drakulą, okazało się, że była taka postać prawdzi-

wa — Vlad... i chcieli się o nim dowiedzieć jak najwięcej. A wszak mógł doskonale pozostać w zupełnym zapomnieniu, gdyby pewien autor — rozmyślnie czy nie — nie wlał weń życie. I teraz wiemy o nim więcej niż kiedykolwiek.

W Anglii w VI wieku być może istniał król Artur i ludzie do dziś szukają śladów po nim! Szukają usilniej niż kiedykolwiek. A przecież jest możliwe, że był tylko legendą.

Właśnie teraz w Ameryce, dokładnie po drugiej stronie kuli ziemskiej, istnieją liczne stowarzyszenia zajmujące się wyjaśnianiem takich zagadek. Ja, Armstrong i Laverne jesteśmy członkami jednego z nich. Naszymi bohaterami są dawni autorzy powieści grozy, których ty nie poważasz specjalnie, a którzy mieli bardzo mocne poczucie tajemnicy i starali się poprzez swoje pisanie zaszcześcić je innym.

I oto pięćdziesiąt lat temu żył amerykański pisarz, który stworzył niezwykle mroczną powieść, całą zanurzoną w tajemnicy. Wspominał w niej o zamku w Transylwanii, który został nazwany zamkiem Ferenczego. Według tej powieści zamek został zniszczony przez nadnaturalne siły pod koniec 1920 roku. Moi przyjaciele i ja przybyliśmy tutaj, by sprawdzić, czy da się odnaleźć tę kupę gruzów. I ty naraz mówisz, że to prawda, i że możesz nam to pokazać. Oto doskonały przykład tej synchronii, o której ci właśnie mówiłem.

Ale jeżeli romans wypełnia część twojej duszy... wówczas jest to nawet coś więcej. O tak, wiemy, że nazwisko Ferenczy nie jest tutaj niczym niezwykłym. To są pozostałości przeszłości, wiemy, że istniały rody bojarskie na Węgrzech, Wołoszczyźnie, które nosiły to nazwisko. Przebadaliśmy tę sprawę, jak widzisz. Ale napotkać ciebie... to naprawdę cudowne. I nawet jeżeli ten zamek okaże się nie tym, czego szukamy, to i tak będzie to cudowne. A jakąż historię opowiemy na zebraniu naszego stowarzyszenia, skoro tylko wrócimy?

Gogosu poskrobał się w głowę i popatrzał bez wyrazu.

— Rozumiesz?

— Ani słowa — powiedział myśliwy.

Vulpe westchnął głęboko, odchylił się do tyłu i zamknął oczy. Było jasne, że stracił czas. Poza tym nie spał zbyt dobrze ostatniej nocy i miał nadzieję, że utnie sobie drzemkę w autobusie.

— W porządku, nie przejmuj się tym — wymamrotał.

— O nie, nie przejmuję się wcale. — Głos Gogosu zabrzmiał z emfazą. — Romanse? Mam to już za sobą. Dostałem swoją część i skończyłem z tym. Co? Długonogie dziewczuchy z kiwającymi się cyckami? Ha! Stare diabły, krwiopijcy Moroi, mogą mieć tego do woli w swych ponurych zamkach, nie dbam o to!

— Ummm — odpowiedział Vulpe, oddychając głęboko.

— Co? — Gogosu spojrział na niego. Ale młody Amerykanin już spał. Albo udawał. Rumun fuknął i odwrócił wzrok. Vulpe otworzył jedno oko i spojrział na starego myśliwego, zamknął je znowu i pozwolił swoim myślom wędrować. A po chwili zasnął naprawdę...

Podróż minęła szybko dla George'a. Spędził ją nieobecny dla świata zewnętrznego, pogrążony w świecie swoich snów... dziwnych snów w większości. A im bardziej zbliżał się do celu podróży, tym dziwniejsze stawały się te marzenia. Surrealne, tu wydawały się paradoksalnie „realne”. Co tym bardziej wydawało się dziwne, że nie były wizualne, lecz całkowicie słuchowe.

Vulpe czuł, że ziemia wzywa go. Wołanie przybierało rozmiary obsesji. Nie chodziło tu o całą Rumunię, czy też Transylwanię na osobnych prawach, lecz o określone miejsce, specyficzne *genius loci*. Źródłem tego mentalnego przyciągania był oczywiście obiecany przez Gogosu zamek.

— Wiem, że jesteś już blisko — rozległ się potworny szept — krew krwi mojej, ciało mego ciała, dziecko moich dzieci. Czekam, jak czekałem wieki, czując nad sobą zadumane góry. I... oto światło w moich ciemnościach. Z górą ćwierć wieku temu ta świeca zamigotała płomieniem. Pojawił się on w dniu twoich urodzin i rósł w siłę wraz z tobą. Ale wtedy... cóż za rozpacz! Świeca została zabrana daleko. Jej światło skarłało do rozmiarów małej, żarzącej się drobinki, a później zgasło zupełnie. Sądziłem, że twój płomień umarł. Lub może... nie zgasł, ale po prostu znalazł się poza moim zasięgiem. Wyteżyłem więc całą moc i znalazłem ledwo migocący płomyk na dalekiej ziemi — a może tylko chciałem w to wierzyć. Nie miałem pewności, więc pozostawało mi jedynie czekać dalej.

Ach! Łatwo jest czekać, kiedy jest się martwym, mój synu, i wszelka nadzieja uleci. Gorzej, gdy jest się niemartwym i schwytanym pomiędzy pulsujący tumult żyjących, a bezkresną ciszę unikanego i okrytego hańbą grobu. Ni tu, ni tam nie mieszkając, być pozbawionym chwały własnej legendy, pozbawionym nawet należnego miejsca w sennych koszmarach ludzi... Umysł staje się wówczas zegarem, odmierzającym mijające samotnie godziny i trzeba nauczyć się regulować wahadło, gdyż inaczej wyleci ono ze swej orbity. Tak, gdyż mózg jest doskonale wyważony. Pozwól mu tylko iść w zawody, a zaraz popęka jak skorupa i w końcu popadnie w szaleństwo.

Poznałem ten strach. Batem się, że w swej samotności popadnę w szaleństwo i stracę marzenie o zmartwychwstaniu, nadzieję na... na istnienie, jak kiedyś istniałem.

Ach! Czy przestraszyłem cię? Czy czuję drżenie? Przodek, pradziad... nie, twój prawdziwy ojciec, oto, kim jestem. Ta sama krew, która krąży w twoich żyłach, kiedyś krążyła w moich. Jest to rzeka życiowej ciągłości. Ba, moglibyśmy nawet być jedni! O, tak! I zaprawdę, będziemy... przyjaciółmi, zobaczysz.

— Przyjaciółmi... z posiadłością? — mamrotał przez sen Vulpe. — Przyjaciółmi... z duchem posiadłości?

— Z duchem...? Ach! Rozumiem! Myślisz, że jestem echem przeszłości. Stronicą historii na zawsze wydartą z książek przez płochliwego człowieka. Mrocznym pismem runicznym, zamazanym, wykreślonym z marmurowego menhiru legendy i rozrzuconym niczym drobinki kurzu, ponieważ nie było piękne.



Ferency odszedł i jego kości dawno popękały. Jego bezsilne widmo spaceruje pomiędzy rozsianymi ruinami, pokruszoną, a niegdyś wspaniałą kamieniarską robotą jego zamku. Król umarł — niech żyje król! Ha! Nie możesz pojąć, że ja jestem, że ja... pozostaję! Że śpię, jak ty, i tylko trzeba mnie obudzić!

— Ty jesteś snem — odparł Vulpe. — A ja jestem tym, który musi się obudzić!

— Snem? O, tak! Snem, który sięgnął przez ocean, by ściągnąć ciebie wreszcie do domu. Mocarny sen, który, mój synu, może wkrótce okazać się rzeczywistością, Gheorrhge...

— Gheorghge! — Emil Gogosu szarpał go brutalnie za łokieć. — Na Boga, co za śpioch!

— George! — Seth Armstrong i Randy Laverne w końcu go obudzili. — Jezu, przespałeś prawie cały dzień!

— Co? Ech?

Sen Vulpego odpływał jak fala, pozostawiając go bezradnym wobec żywiołów jawy. A zarazem, może przez ten lęk, który przeżył, coś nie dawało mu spokoju. Z kimś rozmawiał, tyle pamiętał, i jeszcze to, że wszystko wydawało się bardzo rzeczywiste. Jednak teraz... nie miał nawet pewności, czego to wszystko dotyczyło.

Potrząsnął głową i zwilżył językiem suche wargi.

— Gdzie jesteśmy?

— Już prawie na miejscu, chłopie — odpowiedział Armstrong. — Dlatego obudziliśmy cię. Czy na pewno czujesz się dobrze? Nie masz gorączki, czy czegoś takiego? Może coś cię gryzie?

George znowu pokręcił głową, tym razem przecząco.

— Nie, wszystko w porządku. Tylko, zdaje się, gonię uciekający sen. W efekcie straciłem orientację.

Pamięć powracała falami: złapać pociąg do Lipowej, podczepić się do jakiegoś rozklekotanego wozu do Sebis, płacąc kilka groszy ekstra za możliwość rozwalenia się na kupie słomy w średniowiecznym wózku na drewnianych kołach, ciągnionym przez osły, zmierzającym wprost do Halmagiu.

— Nasz kierowca jedzie — Laverne pokazywał palcem — do Virfurileo, gdzie jest jego dom i końcowy przystanek. A Halmagiu jest tam. — Wskazał inną stronę.

— Najwyżej siedem czy osiem kilometrów — powiedział na to Gogosu. — W zależności od tego, jak szybko zechcecie zasuwać, możemy być tam nawet za godzinę. Zostanie nam dużo czasu, by strząsnąć z siebie kurz, zjeść coś, wlać co nieco do gardeł i wspiąć się na górę przed zapadnięciem zmroku. Możemy wziąć jedzenie z sobą, rozbić obozowisko, jeść i spać między ruinami. Cóż to byłoby za historia do opowiadania w Ameryce, co? W każdym razie, decyzja należy do was.

Strząsnęli żdźbła słomy z ubrań, wspięli się po bagaże, i pomachali na pożegnanie kierowcy. Autobus odpowiedział zgrzytem blach na zakręcie, po czym

zniknął. Randy Laverne otworzył butelkę piwa, pociągnął i podał ją George'owi, który przeplukał usta.

— Dojechaliśmy — westchnął Armstrong, następując na pięty rozpromienionemu Gogosu. — A jeśli tylko to miejsce spełni chociaż w połowie nasze oczekiwania. . .

— Jestem tego pewien — powiedział cicho Vulpe i zmarszczył brwi, jako że naprawdę był o tym przekonany.

— No, wkrótce się dowiemy, George — rzucił Laverne, wyciągając swoje krótkie nogi, aby nadażyć za pozostałymi.

A z tajemnej kryjówki rozległ się głos:

— O, tak. Wkrótce, zaraz, mój synu. Wkrótce, zaraz, Gheorrhghe. . . — usłyszał Vulpe.

Wędrowka nie była uciążliwa dla Amerykanów, którzy w poprzednim tygodniu przebyli wielokrotnie dłuższy dystans. Dotarli do Halmagiu po południu, znaleźli kwaterę na następną noc (nie najbliższą, gdyż Gogosu namówił ich jednak, by spędzić tę w górach). Umyli się, zmienili obuwie i zebrali się na małą przekąskę na otwartej, drewnianej werandzie domu, która wychodziła wprost na główną ulicę wioski.

— Musicie pamiętać — szepnął im na boku ich przewodnik, gdy negocjowali ceny kwater — o tym, że macie do czynienia z prostymi wieśniakami. Nie są tak doświadczeni jak ja ani tak przyzwyczajeni do stylu życia cudzoziemców, mieszkańców miast i innych dziwacznych typów. Są prymitywni, podejrzliwi i przesądni! Pozwólcie więc, że ja będę z nimi rozmawiał. Uprawiacie wspinaczkę, to wszystko. Nie, nawet nie to, po prostu. . . wędrujecie po górach. I nie idziemy do żadnego Zarundului, ale Metalici.

— Co za różnica? — zapytał go Vulpe w czasie posiłku. — No, między Zarundului a Metalici?

Stary myśliwy wskazał na północny wschód, nad dachami chałup, na ostre zęby zamglonych szczytów, złoconych promieniami słońca.

— To jest Metalici — powiedział — a Zarundului jest za nami. Szary. . . zawsze szary. Szarozielony na wiosnę, szarobrazowy na jesieni, szary zimą. I ma się rozumieć, biały. Zamek znajduje się dokładnie na linii drzew, u podnóża skalnej ściany. Ściana zamyka go z tyłu, a z przodu jest gardziel. Domostwo, siedliszcze.

— Chodzi mi o to — Vulpe był cierpliwy — dlaczego miejscowi nie mieliby wiedzieć, dokąd się udajemy.

Rumun wiercił się na krześle.

— Mówiłem już, że są przesądni. Nazywają te góry „górami Szgany”, bo wędrownie plemiona cygańskie darzą je szczególnym szacunkiem. Miejscowi nigdy się tam sami nie wspinają i prawdopodobnie nie chcieliby, abyśmy my to robili.

— Chodzi o ruiny?

— Nie potrafię powiedzieć, nie wiem, nie dbam o to. Ale kilka zim temu, kiedy próbowałem zastrzelić tego starego wilka... ludzie potraktowali mnie jak trędowatego. Na pogórzcu grasują lisy, które czynią szkody w obejściach, ale oni nie polują na nie ani nie zastawiają pułapek. To takie ich dziwactwa, to wszystko. Dziadkowie opowiadają historie o duchach, aby utrzymać młodych z daleka, rozumiecie? Stary wampir w zamku!

— Ale oni na pewno zorientują się, w którą stronę ruszymy.

— Nie, bo pójdziemy dookoła.

— To znaczy, że nie wchodzimy przypadkiem na teren będący własnością rządu, czy coś takiego? Nie ma tutaj żadnego poligonu wojskowego ani niczego w tym rodzaju? — dopytywał się Vulpe.

— Na Boga, nie. — Gogosu zdawał się być wyprowadzony z równowagi. — Jest tak, jak powiedziałem, to wszystko. Musicie pamiętać: jeżeli ktoś młody umrze tam w górach i nie widać wyraźnej przyczyny śmierci, to wieśniacy ciągle jeszcze wkładają mu ząbek czosnku do ust, zanim nasuną wieko trumny. Tak, a czasem robią nawet o wiele więcej. Zostaw więc to tak, jak jest, zanim doprowadzisz do tego, że ja sam zacznę się bać, dobrze?

— Ciągle słyszę to słowo: „Szgany”. Co to takiego? — odezwał się Seth Armstrong.

Gogosu zrozumiał bez tłumaczenia. Odwrócił się do Armstronga.

— W Niemczech jest „Zigeuner” — powiedział łamaną angielszczyzną. — Tutaj jest Szgany. Ludzie drogi.

— Cyganie — rzucił Vulpe, kiwając głową. — Tak jak i ja.

Obrócił się i popatrzył do tyłu, na żółty kurz wnętrza gospody, na pokoje, przesywał ściany, jakby jego wzrok nie był krępowany materią. Pochylając głowę do tyłu, „patrzył” na szare, niewidoczne stąd szczyty Zarundului, które wystawały zaledwie kilka kilometrów stąd. Marszcząc brwi, rysował je gdzieś w swej świadomości.

„Może miejscowi mają rację i istnieją takie miejsca, do których człowiek nie powinien iść” — myślał.

I niesłyszalny, chichotliwy, tajemniczy, mroczny i złowieszczy głos powrócił.

— O tak, na pewno są, mój synu. Ale ty pójdiesz, Gheorrrghe, ty pójdiesz... — zagrzmiął w myślach George’a.

Wspinaczka początkowo była łatwa. Dochodziła piąta po południu, i słońce z wolna zbliżało się do zamglonej przełęczy między szczytem Codrului i zachodnim krańcem łańcucha Zarundului. Gogosu ufał, że osiągną ruiny przed zmierzchem, znajdą miejsce na obóz wewnątrz zwalonych murów, rozpalą ognisko, zjedzą i w końcu zasną w samym sercu legendy.

— Sam nigdy bym się na to nie odważył — przyznał, postępując wzdłuż grani w kierunku komina u potrzaskanej podstawy urwiska. — Na Boga, nie. Ale w czwórkę, wszyscy krzepcy i rześcy? Czegóż się bać?

Vulpe na końcu liny, zatrzymał się, by przetłumaczyć i rozejrzeć się dookoła. Towarzysze nie mogli tego widzieć, ale wyraz jego twarzy znamionował niejaki zagubienie. Zdawało mu się, że zna to miejsce. Deja vu? Pozwolił pozostałym oddalić się nieco.

— Dobrze, a czego tutaj się bać? — Armstrong odwrócił się, by wspomóc Laverne'a, który dyszał i sapał.

— Jedynie własnej wyobraźni — odrzekł Gogosu, który odczytał pytanie z modulacji głosu. — Ona jest zdolna wyczarować nie tylko ducha wojownika z przeszłości, ale także całą kupę banalnych zagrożeń z teraźniejszości. Tak, wielka jest siła ludzkiego umysłu, gdy pozostawimy go samemu sobie. Tam, w górze istnieje wiele powodów dla dzikich harców wyobraźni, zapewniam was. Ale oprócz tego... W zimie można ujrzyć przygodnego wilka, który zapuszcza się tutaj z północnych Karpat. — W tonie jego głosu dało się słyszeć jakby niedbałe wzruszenie ramionami. — Są niegroźne. Szare bestie. Chyba, że w stadach...

Stary myśliwy przystanął u podstawy komina, odwracając się, by sprawdzić, czy inni podążają jego śladami.

Vulpe porzucił grań i posuwał się wzdłuż podstawy urwiska w kierunku załomu, za którym przestaliby go widzieć.

— Hej — zawołał myśliwy — dokąd się wybierasz, Gheorghe?

Młody Amerykanin popatrzył w górę i do tyłu. Twarz miał bladą w cieniu urwiska, a czoło ściągnięte, skupione.

— Zanadto się męczysz, przyjacielu — odkrzyknął, a jego głos błąkał się między załomami. — Po co się wspinać, kiedy można iść, co? Znalazłem stary szlak, bardzo łatwy. Droga, być może, jest dłuższa, ale szybsza i przyjemniejsza dla rąk i kolan! Spotkamy się, gdy twój szlak i mój zejdą się znowu, w połowie drogi.

— Jaki twój szlak? — Gogosu w pierwszym momencie był zbity z tropu, a następnie poirytowany. — A, już rozumiem — prawie zawył — szedłeś już tą drogą przedtem, co?

Ale Vulpe już zniknął za załomem.

— Nie — jego głos przybiegł zwielokrotniony echem — to instynkt, jak sądzę.

— Ha — fuknął Gogosu — instynkt. Szybko zwątpi, kiedy tylko szlak się zatrze, a cienie zaczną podpełzać. Pamiętaj moje słowa, nie trzeba będzie wiele czasu, a będzie widział wilka za każdym krzakiem. Na Boga, dopiero będzie się spieszył, by nas dogonić.

Mylił się jednak. W godzinę później, kiedy zapadał już zmrok i stromizna wydawała się zaostrać, osiągnęli krawędź płaskowyżu i zobaczyli George'a wy-

ciągniętego i żującego gałązkę. Wyglądał, jakby czekał już na nich od dłuższego czasu.

— Dalsza droga jest łatwa — zawołał.

Rumun popatrzył spode łba, Armstrong jedynie skinął głową, a Laverne był spocony i zły.

— Jeśli się ma szczęście — krzyknął — a gdybyś się zgubił, to co?

Vulpe wydawał się być zdziwiony rozdrażnieniem w głosie przyjaciela.

— Zgubił? Ja... w ogóle nie brałem tego pod uwagę. Faktycznie, zdaje się, że przywykłem do rzeczy tego rodzaju.

Nikt nie odpowiedział, więc odpoczywali w milczeniu przez kilka następnych minut. W końcu Gogosu wstał.

— No, jeszcze pół godzinki i jesteśmy na miejscu. — Skłonił się sztywno przed Vulpem. — Jeżeli zechciałbyś nas poprowadzić...?

Ale na próżno silił się na sarkazm. Vulpe wyszedł na czoło i bez wysiłku poprowadził ostatni odcinek wspinaczki. Weszli na szczyt dokładnie w momencie, gdy słońce zniknęło za zachodnim łańcuchem.

Widok był wspaniały. Z niebieskoszarych dolin wylewała się mgła, dymy z kominów zasnuwały niebo tam, gdzie odległe granie przechodziły właśnie ze złotej w szarą barwę. Czterej mężczyźni stali na skraju porośniętej sosnami przełęczy, pomiędzy rzędami szczytów. Gogosu wskazał palcem.

— Tędy — powiedział — idziemy pod górę, między drzewami, aż dotrzemy do gardzieli. Tam, gdzie góra rozdwa się, naprzeciw urwiska...

— Ruiny zamku Ferenczego — uprzedził go Vulpe.

Myśliwy przytaknął.

— Musimy rozbić obóz i rozpaść ognisko, zanim się całkiem ściemni. Czy wszyscy są gotowi?

Ale George Vulpe już podążał do przodu.

Kiedy tak szli, pełen grozy skowyt wilka spłynął po nasyconym żywicą powietrzu, przechodząc stopniowo w żałobne zawodzenie.

— Cholera! — zaklął Rumun, potknął się i zatrzymał. Pochylił głowę na jedną stronę, węszył i słuchał w skupieniu.

Wycie nie powtórzyło się. Ściągnął strzelbę z pleców.

— Słyszeliście? I możecie w to uwierzyć? Mówią, że zapowiada się ciężka zima, kiedy wilki przychodzą tak wcześnie.

Upewnił się, czy jego broń jest załadowana.

## ROZDZIAŁ TRZECI

### Odkrycie

Godzinę przed północą mgła otuliła ruiny zamku, wypełniła puste miejsca, tak że pradawne, poszarpane mury wydawały się unosić na powierzchni łagodnie falującego, mlecznego morza. Pod błyszczącym księżycem George Vulpe dorzucał do ognia gałęzi zebranych o zmierzchu, śledził iskry strzelające w niebo.

Vulpe zgłosił się ochotniczo na pierwszą wartę. Jako że przespał prawie cały dzień, wybór i tak padłby na niego. Wprawdzie Emil Gogosu twierdził, że nie ma potrzeby trzymać straży, ale zarazem nie miał nic przeciwko temu, żeby to któryś z Amerykanów robił za koguta. Vulpe miał być pierwszy, po nim Seth Armstrong od drugiej do wpół do piątej, a następnie Laverne do siódmej. Wtedy miał obudzić Rumuna. To pasowało staremu myśliwemu. O tej porze będzie już widno, a on i tak nie miał w zwyczaju wylegiwać się w łóżku.

Gogosu i Armstrong szybko zasnęli. Pierwszy wtulił się w koc i wcisnął w szczelinę między wystającymi z ziemi głazami. Drugi zniknął w śpiworze, głowę oparłszy na kamieniu, który przedtem owinał swoją kurtką. Laverne w zasadzie nie spał. Zjadł zbyt dużo gotowanych kiełbasek węgierskich i miejscowego czarnego chleba. Gwałtowne skurcze brzucha nie pozwalały mu pograć się we śnie. Leżał w cieniu zamkowego muru w śpiworze ułożonym na posłaniu z sosnowych gałązek. Zwrócony twarzą do ognia, odczuwał w półśnie obecność siedzącego nie opodal George'a, jego ruchy, gdy sięgał tą czy inną gałązką głębiej w żarzące się żółto i czerwono węgle.

Nie zdawał sobie jednak sprawy ze złowrogiej zmiany, jaka następowała w przyjacielu, który stopniowo pograżał się w dziwnych marzeniach na jawie. Odpływał w widmowych obrazach nakładających się na migotanie płomieni. Nie mógł też wiedzieć o hipnotycznym, wampirycznym podszeptcie, który przymilnie wślizgiwał się w świadomość i podświadomość Vulpego.

Jednak, kiedy jedna z gałęzi przepaliła się i upadła z hałasem w sam środek ognia, Laverne przebudził się zupełnie. Usiadł... w samą porę, by ujrzeć ciemny cień odchodzący w jeszcze większą ciemność poprzez wyrwę w starym murze. Cień poruszał się z niepowstrzymanym, sztywnym uporem jak lunatyk, powodu-

jąc zawirowania w pełzającym mlecznym puchu. Laverne wiedział, że ten cień mógł należeć jedynie do George'a, jako że jego śpiwór leżał pusty nie opodal pochyłego głazu w łunie ogniska.

Amerykanin szybko otrzeźwiał. Rozpiął śpiwór, poszukał butów i wciągnął je. Ściągnął ciasno sznurówki i zawiązał niezborne węzły. Ciągłe otrząsając się z pólśnu, śpieszył się jednak. Było coś w sposobie, w jaki Vulpe się poruszał. Nie ukradkiem, ale jednak po cichu. . . Właściwie przez cały dzień był jakiś taki: spał przez całą podróż, a nawet kiedy nie spał, nie całkiem był z nimi. A sposób, w jaki wspinał się na tą górę, sugerował, jakby robił to w każdy piątek rano przed śniadaniem.

Laverne podszedł do Gogosu i Armstronga, chcąc ich obudzić. . . ale zawahał się. To wymagałoby czasu, a George mógłby w każdej chwili spaść wprost do gardzieli albo roztrzaskać głowę o jedno ze sklepionych przejść w rzędach walących się murów. Znał własną siłę i wiedział, że będzie w stanie sam ponieść George'a, gdyby do tego przyszło. Postanowił zająć się tym wszystkim sam. Pomyślał, że nie wolno budzić przyjaciela, jeśli rzeczywiście jest lunatykiem.

Ostrożnie postępując przez zalegającą na kilkanaście centymetrów przygrunтовую mgłę, Laverne podążył trasą Vulpego, przeszedł tą samą wyrwą w murze i odwiedził ruiny. Zapalił podręczną latarkę i skierował strumień światła przed siebie. Teren podnosił się nieco, a sztaple zwalonych kamieni wystawały z postaci mgielnej jak wyspy na jakimś dziwnym, białym morzu.

George Vulpe zatrzymał się na chwilę i obejrzał. Jego oczy przypominały ogromne latarnie, gdy odbiły elektryczne światło Laverne'a. Jego oczy. . . i oczy czegoś jeszcze. Ukazały się tylko przez moment, a później zniknęły niczym wyłączone żarówki. Para ślepi, nisko przy ziemi, trójkątnych i zdziczałych. . .

Randy chaotycznie szperał strumieniem światła to w tę, to w tamtą stronę, by wreszcie, przykleknawszy, zatoczyć pełne koło. Nic nie zobaczył, jeżeli nie liczyć zniszczonych murów, stosów kamieni, pustych, sklepionych przejść i bram oraz atramentowych ciemności dookoła. Z tyłu ujrzał tylko przyjazną łunę obozowego ogniska podobną latami morskiej w mroku nocy.

Pomyślał, że mieli rację, nie rozpoczynając zwiedzania tego miejsca o zmierzchu. Okazało się zbyt rozległe i zbyt niebezpieczne. Obawiał się, że zrobił błąd, nie budząc pozostałych.

Wilk? Lub może po prostu jego rozgorączkowana wyobraźnia. Może lis, to bardziej prawdopodobne. W podziemiach tych ruin musi być mnóstwo miejsca na legowisko dla zwierząt. Gogosu wspominał, że miejscowi nie strzelają ani nie zastawiają sideł na lisy.

Laverne wyjął scyzoryk z długim ostrzem. Otworzył go i zważył w dłoni. „Świetny do otwierania listów, odbierania jabłek czy strugania drzewa. Ale lepsze to niż nic. Chryste, dlaczego nie obudziłem pozostałych?” — pomyślał.

— George — wyszeptał głośno Laverne, postępując naprzód — George, na rany Chrystusa! Gdzie jesteś, do diabła?

Doszedł do rogu zwalonej ściany, za którą zniknął Vulpe. Dalej rozciągał się duży, osrebrzony światłem księżycowym obszar, który mógł stanowić kiedyś zamkową sień. W drugim jego końcu, za gruzowiskiem odpadłego ze ścian kamienia i łupkowych dachówek, widać było od pasa w górę ludzką sylwetkę. Randy rozpoznał George'a. Postać ruszyła do przodu i w dół, sztywnym krokiem robota, tak, że wystawała tylko głowa i ramiona. Jeszcze krok — i głowa przypominała krągły kamień na szczycie stosu gruzów. Jeszcze jeden i Vulpe zniknął z zasięgu wzroku.

„Dziura w ziemi czy na wpół zasypana studnia schodów? Gdzie ten idiota chce iść? Skąd wie, jak iść?” — zastanawiał się Laverne.

— George — znowu zawołał, tym razem trochę głośniejszym głosem, i ruszył za przyjaciелеm.

Za gruzowiskiem znajdował się niewielki obszar kilku starannie oczyszczonych płyt kamiennych, pomiędzy których wyzierała niemo czarna dziura, prowadząca wprost do trzewi tego miejsca. Z jednego końca tego otworu wystawała lekko pochylona podłużna płyta, która, widać, została przed chwilą podniesiona za żelazne kółko na jej osi. Laverne skierował światło latarki do wewnątrz, zobaczył schody prowadzące w dół. Na fali zatechłego powietrza przyplęnęła splątana mieszanina zapachu spalenizny, piżma i innych, trudniej rozpoznawalnych woni. Na chwilę mignęło żółte światełko, które zresztą natychmiast zniknęło w nieznanym głębiach.

Brzuchaty młody Amerykanin zawahał się przez chwilę, ale siła tajemnicy była tak wielka, że nie mógł się jej oprzeć.

— George. — Jeszcze raz powtórzył zachrypłym szeptem, wciskając się w otwór.

Stracił poczucie czasu, kierunku, jakąkolwiek orientację. Co gorsza, włącznik latarki wyraźnie się poluzował, skutkiem czego strumień światła co i rusz przygasał. Laverne musiał energicznie potrząsać latarką.

Wąskie kamienne schody prowadziły w dół, spiralnie owijając się wokół solidnego rdzenia. Z przodu tej spirali panowała tylko ciemność i brzmiało głębokie echo. Randy nie chciał nawet myśleć, jak daleko by poleciał, gdyby potknął się lub poślizgnął. Był pewien, że nic takiego mu się nie przydarzy. Zastanawiał się, w jaki sposób George Vulpe mógł posuwać się naprzód w swym somnambulicznym transie. O ile był to somnambulizm.

W końcu schody zawiodły do miejsca naznaczonego śladami eksplozji i ognia. Ściany były spalone i poczerniałe, a dookoła wałały się misternie żłobione kamienne bloki. I następna płyta służąca za drzwi, a dalej schody prowadzące w dół, ciągle w dół.



Momentami Laverne mógł dostrzec płomień pochodni, poniżej na nie dającej się określić głębokości. Czuł zapach dymu niesionego wraz z ciągiem powietrza w górę. Ale ani razu nie doszedł go nawet najmniejszy dźwięk z miejsca, w którym znajdował się Vulpe, który, nawiasem mówiąc, musiał znać doskonale drogę, skoro tak łatwo i w ciszy pokonywał wszystkie pułapki i przeszkody. W jaki sposób mógł znać je tak dobrze, było inną sprawą. Amerykanin wiedział, że jego gniew rośnie proporcjonalnie do głębi, w jaką zstępował. Z całą pewnością stali się wraz z Sethem Armstrongiem ofiarami jakiegoś gigantycznego kawału, w którym Gogosu był prawdopodobnie zamieszany nie mniej niż Vulpe. Od momentu gdy ostatniej nocy spotkali starego myśliwego, wszystko wyglądało tak, jakby całe przedsięwzięcie zostało z góry opracowane i przygotowane. Przez kogo? A czy George nie urodził się tutaj? Czy nie mieszkał w Karpatach, czy gdzieś w Rumunii? I w końcu to zejście Vulpego w czarne trzewia tego zamczyska, w czasie gdy, jak pewnie sądził, wszyscy spali... Cóż za małą „niespodziankę” planował teraz? I dlaczego szedł tak daleko? Jeżeli wiedział o tym miejscu i był tutaj uprzednio, prawdopodobnie jako chłopiec, to czy nie mógł się tą wiadomością podzielić z innymi? Sprawa nie stałaby się przez to mniej fascynująca.

— Zamek Ferenczego — fuknął Laverne sam do siebie. — Gówno. I ciekawe, jak mocno musiał podszmalcować Gogosu, aby ten zgodził się odegrać swoją rolę w tej całej farsie?

Zły jak diabli doszedł do końca schodów.

— George! O co ci, do licha, chodzi?

Jego krzyk zamieszał powietrzem, strącił strumyczki kurzu, które sypnęły się z niewidocznych sufitów. Echo zaś powróciło szybko, w zniekształconej, wykoślawionej postaci. Laverne nerwowo oglądał miejsce, do którego dotarł.

Znajdował się w krypcie, o ścianach zdobionych freskami, licznych łukowato sklepionych wyjściach, poczerniałych od wieku dębowych półkach, uniach i amforach, girlandach pajęczyn i pokładach kurzu. Na posadzce ślady stóp. Najświeższe mogły należeć jedynie do Vulpego. Laverne poszedł tropem. Dostrzegł przed sobą płomień pochodni, który zamigotał na chwilę i oświetlił krzywiznę sklepienia.

„Skubany!” — myślał Laverne. „Musiałbyś być głuchy, aby nie słyszeć, że jestem tu za tobą. Masz diablo dużo do tłumaczenia, chłopie. A jeśli nie będziesz chciał...”

Z tyłu i z góry, ze schodów pnących się wzwyż, dał się słyszeć miękki odgłos łap i żalosne zawodzenie. Kamyk, poruszony falą dźwięku, zleciał objijając się głośno o stopnie. Potem znów nastała cisza. Trzęsąc się jak liść na wietrze, obalany zimnym, lepkiem potem, Laverne wycelował snop światła w kierunku studni schodów.

Nie dostrzegł tam nikogo ani niczego. Może tylko jakiś cień, szybko umykający przed wzrokiem.

Potykając się przebiegł przez wielkie pomieszczenie wykładane ozdobnymi płytami i przez niskie przejście dostał się do dalszych pokoi. Jego zdyszany oddech i wygłuszony kurzem odgłos kroków zdawały mu się dudnić jak grom, ale teraz nawet nie starał się już zachować ciszy. Chciał skrócić dystans i dowiedzieć się wreszcie, co Vulpe tam robi. Łuna pochodni towarzysza pojawiła się znowu, wraz z zapachem spalonej żywicy. Laverne rzucił się w tym kierunku, depcząc pokłady kurzu, prochów, soli i substancji chemicznych, które leżały porozsypywane na podłodze.

Ta komnata różniła się od innych. Amerykanin zatrzymał się u wejścia i skierował do środka słabnący strumień światła. Ujrzał spleśniałe tkaniny dekoracyjne na ścianach, podłogę z kafli ułożonych w mozaikę ilustrującą jakiś dziwny, staroświecki motyw. Biurko z grubą pokrywą kurzu, zavalone książkami, papierami, i przyborami do pisania. Masywny komin i przewód kominowy, i... migoczący odbłask płomienia pochodni.

„Vulpe wszedł... do środka?” — pomyślał z przerażeniem.

— George? — wydyszał Laverne. Szybko przeciął pokój i przystanął, by skierować słabe światło latarki pod nisko zawieszony sufit. W środku, wciśnięte w specjalne trzymadło na tylnej ścianie, dopalała się pochodnia...

Nagle jakaś ręka uderzyła w ramię Laverne'a.

— Jezus Maria — wrzasnął. Wyprostował się gwałtownie i walnął potylicą w kamień u szczytu sklepienia. Zataczając się odbiegł do tyłu, a światło latarki na krótką chwilę uwięziło Vulpego. Stał jak duch, ciągle wyciągając rękę w kierunku przyjaciela. Laverne opadł na kolana, ostrożnie pomacał czaszkę. Dłoń pomazała się krwią. Czuł mdłości i zawroty głowy. Miał szczęście, że nie roztrzaskał sobie czaszki. Ale wściekłość szybko zastąpiła ból. Przyszedł do siebie i skierował strumień światła tam, gdzie przed chwilą ujrzał Vulpego. Dostrzegł jedynie słabnący odbłask żółtego ognia.

Amerykanin z trudem pokuśtykał. Pragnął spuścić lanie George'owi.

Tym razem już wolniej, zaciskając zęby, z powrotem podszedł do kominka. Pochylony wślizgnął się do środka i od razu dostrzegł metalowe szczeble na tylnej ścianie przewodu kominowego. Z góry dochodziły go dźwięki — skrzypienie butów i niski kaszel.

„Co idzie do góry — pomyślał — musi zejść na dół.” Chciał nawet zaczekać tutaj, ale rozległ się straszny krzyk.

Laverne nigdy dotąd nie słyszał takiego wrzasku. Przypomniawszy zgrzyt szepianych razem dwóch wielkich kamiennych powierzchni i narastał do wibrującego falsetto crescendo, by urwać się nagle na najwyższym tonie. A gdy jego echo ucichło, zostało zastąpione przez jakby z samego gardła dobywające się odgłosy. Vulpe odchodził. Dźwięk przypominał dławienie się, rodzaj powolnego, przedśmiertnego rżenia. Włosy Laverne'a stały dęba. Nie wiedział, co prawda, jak brzmi przedśmiertne rżenie, ale czuł, że to ostatni dech jego przyjaciela.

— O Jeezu — jęknął i rzucił się z łoskotem w górę, po szczeblach do miejsca, gdzie przewód kominowy przechodził w poziomy korytarz. Dwadzieścia czy dwadzieścia pięć kroków z przodu leżała pochodnia George'a. Ciągłe migotała niespokojnie i wydzielala czarny dym, błakający się po krawędzi wykopu wyciętego w kamiennej podłodze, po prawej stronie korytarza.

— George! — Laverne przyspieszył i zaraz zatrzymał się gwałtownie. Z drugiej strony dopalającej się żagwi, tam, gdzie ani jej światło, ani światło latarki, nie mogło sięgnąć, unosiły się w powietrzu beznamiętne trójkątne oczy.

Amerykanin nie był specjalnie odważnym człowiekiem, ale nie czuł się też tchórzem. Jakiegokolwiek stworzenie czaiło się z przodu — lis, wilk czy zdziczały pies — musiało obawiać się ognia. Chwycił więc kopnącą się pochodnię, po czym pomachał nią nad głową, by rozniecić na powrót płomień. W przelocie dostrzegł coś szarego, chyłkiem umykającego, podobnego do psa. Pochwycił też widok czegoś w wykopie... Czegoś, co wcisnęło go w ścianę jak cios ogromnej pięści. Ciężko dysząc, przerażony — czując, jak krew ścina mu się w żyłach — wystawił latarkę poza krawędź wykopu. Jego niedowierzające oczy ujrzały łożo nabite ćwiekami i sylwetkę przyjaciela ukrzyżowaną. George Vulpe podrygiwał konwulsyjnie z nadzianym policzkiem, szyją, łopatkami i ramionami, przeszyty przez plecy, pośladki i uda. Krew barwiła rdzawe ćwieki i spływała zbiegającymi się strumieniami w kanał i dalej do kamiennej rynienki.

— O Boże! — wychrypiał Laverne.

— Ak... ak... ak... — odpowiedział Vulpe ostatkiem sił.

Z głębi korytarza wielki szary wilk zawarczał i powoli wyszedł z cienia. Vulpe był skończony. Armia pielęgniarek z toną bandaży nie byłaby w stanie zatamować krwawienia. Randy także nie mógł go uratować ani od tego łoża nabitego ćwiekami, ani od dzikiego zwierza. Bez czucia w nogach zaczął się wycofywać niczym krab, bokiem, plecami w kierunku płytkich schodów prowadzących do fałszywego przewodu kominowego. Krew Vulpego zaczęła skapywać z wyżłobionej kamiennej rynienki do pyska urny.

Otyły Amerykanin jeszcze przyspieszył... i raptownie zatrzymał się, trzęsąc się jak galareta. Z przodu czyhał wilk. Pomiedzy nimi umierający człowiek na swym łożu tortur nabitym ćwiekami i teraz... teraz pojawiło się coś jeszcze. Wstrzymał oddech, odwrócił głowę niczym kołowrót na zardzewiałym trzpieniu. Początkowo nie rozumiał, co się dzieje. Wszystkie kontury zatarły się, stały się dziwnie ruchome. Sufit wydawał się obniżać, korytarz — zwężać, podłoga — podnosić od... czegoś. Oczy Laverne'a, wielkie jak latarnie, powiększyły się jeszcze bardziej, gdy kilka małych kawałków tego niezwykajnego ciała oderwało się od ruchomych ścian i ruszyło gwałtownie w jego kierunku w trzepoczącym, stromym nurkowaniu. Nietoperze! Kolonia nietoperzy! Całe ich krocie przylgnęły do ścian, podłogi i sufitu, nic sobie nie robiąc z grymasu obrzydzenia na twarzy Laverne'a.

Amerykanin znowu odwrócił głowę. Wilk stał nieruchomo. Całą jego uwagę pochłaniała urna. Zimny jak śmierć, z trudem łapiący powietrze Laverne podążył śladem jego wzroku. Spojrzał, a jego krew nieomal zastygła, zmysły wirowały, ale zarazem miał dziwną pewność, że nie ośmieli się zemdleć. Nie w tym koszmarnym miejscu i na pewno nie teraz. Urna zaczęła czkać. Obłoczki oparów, niczym małe kółka dymu, wydobywały się z jej lubieżnej gardzieli. Czarny śluz, z bulgotem wydobywający się ze środka, tworzył na powierzchni zimnego obrzeża bąble, niczym stygnąca smoła. W miarę jak krew Vulpego była konsumowana, coś formowało się i rozwijało w środku. Działała jak katalizator, przekształcała to, co znajdowało się wewnątrz.

Zahipnotyzowany przerażeniem Laverne mógł tylko patrzeć. Upstrzona, niebieskoszara macka śluzu, pokryta siecią karmazynowych żyłek, wychynęła z rozwartej paszczy urny wprost w kamienną rynienkę. Wyciągając się, prześlizgiwała się niczym wąż tą samą trasą, którą spływała krew, do miejsca, gdzie leżał Vulpe. Jakby świadoma i odczuwająca, okrążyła jego prawą nogę dookoła zgiętego kolana, przetoczyła się wzdłuż podziurawionego uda i brzucha, podpełzła ku drgającej piersi. Vulpe ciągle dyszał.

— Ak...! ak...! argh! — Agonia już wzięła go w posiadanie, ogarniając odrętwieniem kolejne poacie ciała, a utrata krwi dopełniała dzieła.

W jakiś sposób, dobywając ostatnich resztek sił z broniących się jeszcze zakamarków woli, Vulpe zdołał oderwać twarz od szpili, która przeszła jego prawy policzek i dolną szczękę. Świadomy końca, zobaczył wznoszącą się nad piersią, płaską, kiwającą się majestatycznie, ślepą głowę „kobry”. Jego zakrwawione usta otworzyły się — przypuszczalnie w okrzyku grozy, który jednak nie wydobył się — a ta rzecz-pijawka od razu wślizgnęła się w ciemną jamę między rozwartymi szczękami, w dół naprężonego przewodu pokarmowego. Ciałem mężczyzny wstrząsnęły konwulsje. Kąciki ust pękły, rozdarły się, gdy to pofałdowane, pulsujące monstrum wlewało się w niego.

Urna była już pusta, jedynie ślady śluzu parowały tam, gdzie prześlizgnął się ogon stworzenia-pijawki. Usta Vulpego wciąż jeszcze były zatkane, a z nosa dobywała się piana zmieszana z krwią. Szyja obrzmiała od tej gwałtownej napaści, a trzypalczaste dłonie wyszarpaneły się z ćwieków i pochwyciły prącego do gardła potwora. W końcu jednak bestia dostała się do środka. George Vulpe wciąż podrygiwał na szpilach, rzucał głową w obie strony, rozpryskiwał dookoła krew.

— O Jezu, o wielki Boże — jęknął Laverne. — Umrzyj, na rany Chrystusa! — błagał przyjaciela. — Niech sobie idzie. Nie ruszaj się.

George Vulpe, jakby go usłyszał, pozwolił temu odejść i... nagle znieruchomiał.

Cała scena zastygła w bezczasie. Wielki wilk-monument zagradzający drogę z przodu, nietoperze, wydrenowane i w obrzydliwy sposób wypełnione powtórnie ciało przyjaciela. Jedynie migocąca pochodnia w ręku Laverne'a zdawała się

mieć w sobie trochę życia, ale i ona także gasła. Amerykanin obrócił się w kierunku ściany nietoperzy i rzucił się do przodu. Lecz one nie uciekły, ale przyłgnęły do pochodni, zdusiły płomień skwierczącymi ciałami. Z tuzin martwych lub dogorywających nietoperzy spadło na podłogę, lecz natychmiast podpełzły, nadleciały następne.

Laverne był na granicy szaleństwa. Wrzeszczał chrapliwie, załamującym się głosem. Chwytał powietrze w płuca i krzyczał znowu. Walił na oślep pięściami, wymachiwał gasnącym światłem latarki na wszystkie strony, nie dając sobie najmniejszej szansy, by cokolwiek zobaczyć.

Nie widział więc George'a, jak wyszarpuje się z ćwieków i staje wyprostowany, ani tego, jak jego rany przestają krwawić i same się zablizniają. Nie dostrzegł też tego, jak Vulpe wychodzi z wykopu, pieści starego wilka za uszami i uśmiecha się. Laverne runął na posadzkę, gdy raptem wyrosła przed nim znajoma postać... ale z jarzącymi się na czerwono oczami i całkowicie obcym, zakrzepniętym od flegmy głosem.

— Przyszedłeś tu przyjacielu, z własnej nieprzymuszonej woli. A teraz zdaje się... krwawisz? — Nozdrza Vulpego otworzyły się szeroko, wężąc, a oczy zamieniły się w gorejące szpary w nienaturalnie bladej twarzy. — Doprawdy, krwawisz. Ktoś musi koniecznie przyrzeć się tej ranie, zanim coś tam wlezie.

Emil Gogosu obudził się i zobaczył kogoś klęczącego obok. Był to Gheorge. Jedną ręką wytrząsał z myśliwego resztki snu, a drugą kładł mu na ustach, nakazując milczenie.

— Ciii! — uciszał go.

— Co? O co chodzi? — wyszeptał Gogosu, wpatrując się w mrok. Przygasające ognisko odbijało się czerwonymi refleksami od oczu Vulpego.

— Już świt? Niemożliwe!

— Nie świt — odpowiedział tamten zachrypłym i jakby nagłym szeptem. — Coś innego. — Wyprostował się. — Weź swoją strzelbę i chodź.

Gogosu wyplątał się z koca, sięgnął po broń i rześko stanął na nogach. Z dumą stwierdził, że nie odczuwa łamania w kościach.

— Chodź — powtórzył Vulpe, postępując ostrożnie, by nie obudzić Armstronga.

Gdy opuścili krąg ogniska i pograżyli się w ciemnościach, myśliwy chwycił Vulpego za ramię.

— Twoja twarz — powiedział — czy to krew? Co tu się dzieje, Gheorge? Nic nie słyszałem.

— Krew, tak — odpowiedział tamten. — Trzymałem wartę. Usłyszałem coś między tymi drzewami i poszedłem sprawdzić. Mógł to być pies albo lis, a nawet wilk. Zaatakował mnie. Chyba ugryzł mnie w twarz. I wciąż tu jest. Szedł za mną, gdy wróciłem po ciebie.

— Ciągłe tu jest? — Gogosu rozglądał się dookoła. Księżyc był teraz trochę niżej, a jego złote światło przebijało przez chmury. Myśliwy nic nie widział, ale młody mężczyzna wciąż pokazywał drogę.

— Pomyślałem, że mógłbyś go zastrzelić — powiedział Vulpe. — Mówiłeś, że próbowałeś już kiedyś zastrzelić wilka gdzieś tutaj.

— To prawda — odparł Rumun, z trudem nadążając za prowadzącym. — Nawet go trafiłem. Słyszałem jego skowyt i widziałem ślady krwi.

— No — odpowiedział tamten — to teraz masz kolejną okazję.

— Co? — Myśliwy zdziwił się. Coś tu było nie w porządku. Starał się pochwycić wzrok swego towarzysza w bladym świetle księżyca. — Co się dzieje z twoim głosem, Gheorghe? Czyżbyś połknął żabę? Tak tobą to wstrząsnęło?

— To prawda — powiedział Vulpe. — Doznałem chyba szoku.

Gogosu zatrzymał się. Zaczął coś podejrzewać.

— Nie widzę żadnego wilka. — W jego tonie pobrzmiwało oskarżenie. — Ani wilka, ani lisa, ani... czegokolwiek innego.

— Och,? — Tamten także przystanął. — A to co?

Wskazał palcem. Coś szarego poruszyło się w ciszy, nisko przy ziemi, tam, gdzie światło księżyca rzucało blask, pomiędzy drzewami. Był tam i zaraz zniknął, a jako potwierdzenie doszło ich ciche warczenie.

— Cholera — zaklął Gogosu — szary.

Pochylony rzucił się do przodu, ocierając się o Vulpego. Ten pobiegł za nim, zrównał się i ręką wskazał inny kierunek.

— Jest tam — rzucił chrapliwie.

— Gdzie, gdzie? Boże, ty sam masz oczy wilka.

— Tędy — szczechnął tamten — chodźmy.

Wyszli spomiędzy drzew i dotarli do ospiska spiętrzonego u podnóża skały. Młodsza postać oddychała z łatwością, ale myśliwy łapczywie połykał powietrze.

— O Boże — dyszał — moje nogi nie są tak młode, jak twoje.

— Co? — Vulpe zwrócił ku niemu. — Och, zapewniam cię, że są, Emilu Gogosu. W rzeczy samej, o całe wieki młodsze.

— Ech? Co?

— Tam — powiedział, jeszcze raz wskazując palcem. — Pod tamtym drzewem.

Myśliwy popatrzył, przyłożył strzelbę do ramienia, ale nic nie widział.

— Pod drzewem? — zdziwił się — przecież tam nic nie ma. Ja... .

— Daj mi to — powiedział Vulpe i nie czekając na odpowiedź, zabrał strzelbę. — Emilu, czy jesteś pewien, że postrzełeś wtedy wilka?

— Co? — Myśliwy był dotknięty do żywego. — Ile razy mam ci to powtarzać? Tam do licha, prawie go miałem. Idę o zakład, że jeszcze nosi szramę.

— Spokojnie, spokojnie — odpowiedział tamten głosem mrocznym jak noc. — Nie ma potrzeby się zakładać, Emilu, gdyż ja widziałem to wyżłobie-

nie w jego boku, gdzie twoja kula spaliła mu skórę. I tak, jak ty go pamiętasz, tak i on pamięta ciebie!

W jednej chwili myśliwy zorientował się, że to nie jest George Vulpe. Wejrzął głęboko w ocienioną twarz, zasyczał z przerażenia i skurczył się cały. Zobaczył nagle wilka sprężonego do skoku na szczycie osypiska. Zwierzę warknęło, skoczyło. Gogosu chwycił za swą strzelbę, którą Vulpe wydawał się trzymać tak lekko... Z równym powodzeniem mógłby chwycić za żelazną kratę w oknie celi.

Wilk powalił myśliwego na ziemię. Mężczyzna wydobył z siebie rozpaczliwy krzyk, ale straszne zęby zacisnęły się na tchawicy. Szkarłatna krew popłynęła gorącym strumieniem...

— Pozwoliłeś mi tyle spać! — odezwał się Armstrong.

Księżyc już zaszedł, przygruntowa mgła zniknęła, ognisko dogorywało.

— Skarżysz się? — odpowiedział siedzący nie opodal mężczyzna.

— Nie. — Armstrong potrząsnął głową w odpowiedzi, uwalniając się od resztek snu. — Zdaje się, że byłem zmordowany. To pewnie ta wysokość.

— Dobrze — odparł tamten. — Cieszę się, że ci się dobrze spało. Sen jest koniecznością, chociaż marnotrawną. Dlaczego śpimy, skoro mamy życie do przeżycia, co! Ja nie zamierzam znowu zasypiać przez... och, długi czas.

— Co? — zapytał i siadł zdziwiony.

Wychudły szary wilk, leżał na brzuchu niczym pies, z łapami wyciągniętymi do przodu, wpatrywał się wprost w oczy Armstronga. Pysk bestii, drgający z podniecenia, ociekał szkarłatem.

— Jezu Chryste! — Armstrong gwałtownie cofnął stopy, które zaplątały się w dole poły śpiwora.

— Nie ruszaj się — zakomenderował ten, który dla Amerykanina był ciągle George'em Vulpem. — Rób, co ci mówię, wówczas on nie zaatakuje, a ja nie pociągnę za spust.

— Geor... Geor... George! — wykrztusił wreszcie Armstrong. — To jest przecież cholerny wilk!

— Cholerny, tak — odrzekł tamten.

— Więc za... za... zastrzel skurwiela! — Twarz Armstronga wyglądała trupioblade w błękitnawej poświacie gwiazd.

— Ech? — Siedzący człowiek pochylił głowę z zaciekawieniem na jedną stronę, jakby nie dosłyszał. — Mam go zastrzelić? Nie, nie sądzę. — Podniósł suchą gałąź i cisnął ją w żarzące się popioły, pomiędzy którymi tańczyły jeszcze małe płomyki ognia. Strzeliły iskry, płomienie ożywiły się i Armstrong zobaczył zakrwawione dziury w ubraniu tamtego, jego pooraną, ale szybko zbliżającą się twarz oraz przypominające otchłań piekielną oczy.

— Chry... Chry... Chryste — wydyszał ten wielki, mocny mężczyzna. — George, co tu się u diabła dzieje?

— Nie ruszaj się — powtórzył tamten z lekko pochyloną głową. Na długą chwilę utkwiał wzrok w przerażonej twarzy Armstronga, studiując ją uważnie.

— Jesteś dużym i silnym mężczyzną, a ja nie mogę być sam na tym świecie. Nie teraz i jeszcze nie przez jakiś czas. Muszę się rozmaitych rzeczy dowiedzieć, udać w rozmaite miejsca, mam sprawy do załatwienia. Potrzebuję instrukcji. Muszę zostać nauczony, zanim sam będę mógł... uczyć? Przejąłem trochę z umysłu Gheorghé'a, rozumiesz, zanim wypełnił umowę. Ale to nie wystarczy. Być może byłem zbyt niecierpliwy. Ale to rozumiałe.

— Georghe — Armstrong zwilżył kompletnie zaschnięte wargi — słuchaj, George. — Wyciągnął drżącą dłoń do tamtego, ale pysk wilka otworzył się ukazując potworne kły.

— Powiedziałem, żebyś się nie ruszał — przypomniał człowiek ze strzelbą. — Jeżeli szary rozumie moje polecenie, dlaczego ty nie pojmujesz? A może jesteś głupcem, wobec czego tracę swój czas? Co? Czy tracę czas? Czy powinienem to zrobić, po prostu pociągnąć za cyngiel i zacząć wszystko od nowa?

— Ja... Ja już się nie ruszam! — wydyszał Armstrong. Jego głos przechodził w zachrypnięty szept. Kropelki lodowatego potu spływały mu z czoła. — Już się nie ruszam. I... i nie obawiaj się, George. Pomogę ci.

— Och, wiem, że pomożesz — odrzekł ten... ten obcy... wciąż wlepiając w rozmówcę karmazynowe oczy.

— Zrobię, cokolwiek powiesz — zarzekł się Armstrong — cokolwiek zechcesz.

— Tak, to także — przytaknął tamten. — Bardzo dobrze, zacznijmy od czegoś prostego. Patrz mi w oczy, Armstrong.

Odsunął na bok lufę strzelby, aby móc pochylić się, przybliżając przerażającą, mesmeryczną twarz.

— Patrz głęboko, Seth. Patrz pod skórę moich powiek, w krew i mózg, w pejzaż mojej duszy. Oczy są oknami duszy, przyjacielu, wiedziałeś o tym? Wrotami marzeń, namiętności i aspiracji. Oto, dlaczego moje oczy są czerwone. Tak, gdyż dusza za nimi została rozdarta na strzępy i zjedzona przez szkarłatną pijawkę!

Jego słowa wzbudziły lęk, ale, co gorsza, respekt, pełzący paraliż, znużenie nadmiernym napięciem. Armstrong wiedział, że to jest hipnotyzm. Czuł, jak jego umysł się pograża. Ale Vulpe, czy kto tam istniał w jego ciele, miał rację: Seth Armstrong był silny. I zanim jego wola została całkowicie podporządkowana, odrzucił strzelbę, tak że nagle została skierowana w stronę wilka, i sięgnął do gardła swego prześladowcy.

— Chcę dostać... kawałek... ciebie, George — wydyszał.

Palce Teksańczyka zacisnęły się na tchawicy Vulpego. Trzy palce lewej ręki przeciwnika zahaczyły kącik warg Armstronga i szarpnęły. Amerykanin zawył z bólu, zacisnął zęby na małym palcu Vulpego i odgryzł go w okolicy kłykcia.



Strzelba wypaliła, porażając nagłym hukiem, który zaraz powrócił zwielokrotnionym echem. Wielki wilk wiedział coś niecoś o strzelbach. Cały i zdrowy, z najeżoną sierścią uciekł skowycząc.

Vulpe zerwał się na nogi. Armstrong wypluł jego palec, który zwisał mu z ust na cienkiej nitce ścięgna. Teksańczyk miał teraz we władaniu broń i wiedział, jaki z niej zrobić użytek. Skierował strzelbę w stronę szaleńca, ale ten odzyskał siły i kopnięciem wytrącił mu ją z rąk.

Armstrongowi udało się jakoś uwolnić ze śpiwora, a kiedy podnosił się, poczuł, że coś przylgnęło do jego twarzy i porusza się. Stwór, który kiedyś był George'em Vulpem, zarykiwał się ze śmiechu. Teksańczyk podniósł rękę, natknął się na zwisający palec i pochwycił go. A ten, niczym żywe stworzenie, wspiął się po policzku i nacisnął kącik prawego oka. Armstrong wył, ryczał i jęczał, gdy palec wysadził gałkę oczną, wszedł do środka. Z okiem kołyszącym się na policzku, mężczyzna tańczył i wrzeszczał. Nie mógł usunąć tej rzeczy, która niczym robak ryła norę w jego głowie.

— Jezus Maria — krzyczał, padając na kolana i trąc krawędź pustego oczodołu. — O Boże — wybełkotał, gdy wreszcie urwał podskakujące oko i wampirze ciało zapuściło czułki w jego mózg.

Na kolanach, spazmatycznie, ślepo, powlókł nogi w kierunku ognia. Wstrząsany dreszczem zatrzymał się. Zakaszłał, znowu wzdrygnął się i padł do przodu niczym ścięte drzewo.

Vulpe podskoczył, zdrową ręką chwycił go za kołnierz i pociągnął, przewracając go na plecy.

— Ach, nie, Seth — powiedziało to coś, stojąc nad nim. — Dostyc już tego. Jeżeli się poparzysz, leczenie zabierze dużo czasu.

— Ge... o... o... orge — krztusił się Armstrong.

— Nie, nie, mój przyjacielu, już nigdy więcej — powiedział potwór, uśmiechając się obleśnie — od teraz nazywaj mnie Janosz.

Ponad pięć i pół roku później. Balkon pokoju hotelowego w Rodos.

Słona bryza wiała od morza ze strony Turcji, rozrzedzając błękitne dymy z kominów, ostre piekarniane wyziewy, zapachy barów śniadaniowych, odory kolektorów ściekowych, i w ogóle, rozpraszając świadectwa ludzkiego bytowania w tym centralnym porcie starożytnej Grecji.

Była połowa maja 1989, więc sezon turystyczny dopiero się zaczął. Słońce, wyglądające jak ognista kula, wspięło się na jedną trzecią wysokości w swej wędrówce po niewiarygodnie niebieskim sklepieniu nieba.

Trevor Jordan wypił jedną czy dwie metaxy za dużo poprzedniej nocy. Ale było jeszcze wcześniej, ledwie minęła ósma, i miał nadzieję, że za chwilę dojdzie do siebie.

Na śniadanie zjadł gotowane jajko z kawałkiem grzanki, a teraz zabierał się do trzeciej filiżanki kawy — angielskiej „błyskawicznej”, nie zaś tej ciemnobrązowej lury pitej przez Greków z filiżanek o wielkości naparstka. Kłopot z metaxą, jak odkrył, na tym polegał, iż była bardzo tania i szalenie łatwo wchodziła w gardło. Szczególnie, jeżeli się patrzyło na taniec brzucha w takim miejscu jak „Błękitna laguna” nad zatoką Trianta.

Jordan stęknął i delikatnie potarł czoło opuszkami palców, po raz szósty czy siódmy w ciągu ostatniej półgodziny.

— Okulary słoneczne — powiedział do człowieka, który siedział obok, podobnie jak on wystrojonego w szlafrok i klapki. — Muszę kupić jedną parę. Ten blask może wypalić oczy.

— Weź moje — odparł Ken Layard, uśmiechając się i podając nad skromnym śniadaniowym daniem parę tanich, ciemnych szkieł w plastikowej oprawie. — A później kupisz mi nowe.

— Zamówisz jeszcze kawy? — jęknął Jordan. — Powiedzmy, wiadro?

— Zdawało mi się ostatniej nocy, że trochę przesadzasz — odpowiedział tamten. — Dlaczego nie powiedziałaś mi, że nigdy przedtem nie byłeś na greckiej wyspie?

Pochylił się nad poręczą balkonu, przyciągnął wzrok kelnera usługującego innym rannym ptaszkom na niższym tarasie, uniósł pusty dzbanek po kawie i potrząsał nim sugestywnie.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał Jordan.

— O czym? Że to dla ciebie coś nowego? Nikt, kto odwiedził wyspę wcześniej, nie pije metaxy w ten sposób ani ouzo zresztą.

— Ach! — przypomniał sobie Jordan — zaczęliśmy od ouzo!

— Ty zaczęłaś od ouzo — sprostował Layard — ja chłonałem atmosferę, koloryt lokalny. A ty się upijałaś.

— Tak, ale czy dobrze się bawiłem?

Layard znowu się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

— No... znikąd nas nie wyrzucono. — Przypatrywał się koledze i dolegliwościom, jakie tamten sam sobie sprokurował.

Doświadczony, ale zmienny w nastrojach telepata Jordan, potrafił zmobilizować się, kiedy zachodziła taka potrzeba. Zazwyczaj jednak był łatwy w obejściu, łatwo czytelny, jakby próbował udzielić innym swego rodzaju fizycznej rekompensaty za swój metafizyczny talent. Jego twarz odzwierciedlała to nastawienie: świeża, owalna, otwarta, niemal chłopia.

Misja, którą wypełniał, nie wyróżniała się niczym szczególnym, choć z pewnością sprawa była poważna. Wiedział, iż poprzedniej nocy zachował się nie całkiem prawidłowo. Założył szkła słoneczne, zmarszczył brwi i wyprostował się na swym bambusowym krześle.

— Ale nie ściągnąłem na nas uwagi ani nic równie głupiego?

— O Boże, nie — odparł tamten. — Zresztą, nie pozwoliłbym na to. Byliśmy po prostu turystami, dobrze się bawiliśmy, to wszystko. Za dużo słońca za dnia, za dużo napitków w nocy. Tam, do licha, kręciło się wystarczająco dużo Brytyjczyków, przy których wyglądałeś trzeźwy jak niemowlak!

— A Manolis Papastamos — Jordan odezwał się ze skruchą — ten musiał mnie wziąć za durnia!

Papastamos był ich miejscowym łącznikiem, drugim człowiekiem w dowództwie brygady antynarkotykowej w Atenach. Chciał osobiście poznać obydwu przyjaciół i zorientować się, czy może cokolwiek zrobić, aby ułatwić im zadanie. Ale dowiedział jednocześnie, że można z nim konie kraść.

— Nie. — Layard pokręcił głową. — W rzeczy samej, uległ wpływom jeszcze bardziej niż ty! Powiedział, że dołączył do nas na ścianie przybrzeżnej o dziesiątej trzydzięci, żeby obejrzeć miejsce postoju „Samotraki” — ale wątpię w to. Kiedy wyrzuciliśmy go w hotelu, wyglądał fatalnie. Z drugiej strony, oni naprawdę mają wspaniałe organizmy, ci Grecy. W każdym razie, lepiej, jak będziemy bez niego. On wie, kim jesteśmy, ale nie wie, jacy jesteśmy. Dla niego jesteśmy od ceł i podatków, lub może z Nowego Scotland Yardu. Byłoby trudne skupiać się na rozmowie z Manolisem i jednocześnie tworzyć mentalną raketę. Na Boga, lepiej, żeby pozostał w łóżku.

Jordan wyglądał i czuł się odrobinę lepiej. Okulary słoneczne okazały się jednak pomocne. Przyniesiono świeżą kawę, którą Layard nalał do filiżanek. Jordan przyglądał się jego swobodnym ruchom. „Tak, jak starszy brat. Opiekuje się mną, jakbym był zasmarkanym dzieciakiem. Zawsze tak było, dzięki Bogu!” — pomyślał.

Layard zajmował się wróżeniem. Nie potrzebował jednak szklanej kuli. Wystarczyła mapa lub przecucie, co do położenia jego zwierzyny łownej. Był rok starszy od Jordana, wysoki, o kwadratowej twarzy, ciemnych włosach i cerze. Poniżej czoła, pooranego latami koncentracji, jego ciemnobrązowe oczy patrzyły bystro i sięgały daleko.

Obserwując Layarda z dyskrecją, jaką zapewniały mu ciemne szkła, Jordan cofnął się myślą o dwanaście lat, do Harkley House w Devon w Anglii, gdzie zostali partnerami i po raz pierwszy pracowali jako zespół. Wtedy, jak i teraz, byli członkami INTESP, najtajniejszej ze wszystkich tajnych służb, której działalność znała tylko garstka ludzi ze szczytów władzy. Inaczej niż teraz jednak, ich ówczesne zadanie trudno byłoby nazwać rutynowym. Zaprawdę, nic rutynowego nie dotyczyło sprawy Juliana Bodescu.

Wspomnienia, świadomie wyparte na ponad dekadę, teraz gwałtownie powróciły, w fantastycznej pełni barw wyprysły w ESP — obdarzonym umyśle Jordana.

Raz jeszcze dzierżył kuszę na wysokości piersi i celował przed siebie, w kierunku drzwi, zza których dochodziło syczenie strumienia spadającej wo-

dy i dziewczęcy głos mruczący pozbawioną wyraźnej linii melodię, i zastanawiał się, czy to jest pułapka.

Otworzył kopnięciem drzwi od kabiny z prysznicem i stanął jak wmurowany. Helen Lake, kuzynka Juliana Bodescu, skończona piękność, była zupełnie naga. Stała bokiem do niego, a jej ciało lśniło w strugach wody. Skierowała głowę w jego stronę i wpatrywała się oczami wytrzeszczonymi z trwogi. Kolana ugięły się pod nią, powieki trzepotały.

— Ależ to po prostu przestraszona dziewczyna! — powiedział do siebie, zanim jej myśli naznaczyły się w jego telepatycznym umyśle.

„Podejdź, kochany” — myślała. „Ach, dotknij mnie chociaż, obejmij. Jeszcze troszkę bliżej, kochany...”

Wtedy, odskakując od niej, spostrzegł nóż w jej dłoni i szaleńczy błysk w demonicznych oczach. Bez żadnego widocznego wysiłku wabiła go do siebie. Nie pozostawało mu nic innego, jak pociągnąć za cyngiel. Zareagował odruchowo — jej życie albo jego.

Grot przygwoździł ją do ściany wyłożonej kafelkami. Krzyknęła jak przeklęta dusza. Gwałtownym ruchem uwolniła się od popękanych kafelków i gipsu, miotając się w wąskiej studni kabiny kąpielowej. Wciąż jeszcze trzymała nóż. Jordan mógł jedynie stać z wybałuszonymi oczami i mamrotać oderwane słowa modlitwy, patrząc, jak ona zbliża się do niego znowu, aż...

Ken Layard zaszedł z tyłu — Layard z miotaczem płomieni. Dyszę skierował prosto w stronę prysznica, by zamienić wszystko w parzącą, parującą kuchenkę ciśnieniową.

— Boże, poratuj! — wydyszał ciężko Jordan, tak samo jak wtedy. Z najwyższym trudem odepchnął od siebie te przekraczające miarę ludzkiej wytrzymałości wspomnienia i niepewnie wrócił do teraźniejszości. U zarania mentalnego konfliktu, kryzysu, jego kac wydawał się podwójnie dokuczliwy. Oddychał głęboko, masował opuszkami palców czubek głowy, gdzie odczuwał jakby rozszczępienie.

— Chryste, skąd to się wzięło? — głośno zastanawiał się.

Oczy Layarda były szeroko rozwarte, pochylił się nad stołem i pochwycił przedramię Jordana.

— Ty także? — zapytał.

Jordan złamał niepisane prawo obowiązujące agentów INTESP — zajrzał do mózgu Layarda. Wycofując się, czuł jeszcze echo podobnych wspomnień i od razu przerwał połączenie.

— Tak, ja także — odparł.

— Wyczytałem to z twojej twarzy — powiedział Layard. — Nie widziałem cię takim ani razu od... od tego czasu. Może to dlatego, że znowu pracujemy razem?

— Pracowaliśmy razem mnóstwo razy. — Jordan opadł z powrotem na krzesło, nagle owładnięty uczuciem wyczerpania. — Myślę, że to jest coś, co wtedy zostało zduszone i musiało wydobyć się na zewnątrz. Tak, to zabrało trochę czasu, ale teraz, mam nadzieję, pozbyłem się tego na dobre.

— Ja też — zgodził się Layard. — Obydwaj w tym samym czasie?

I dlaczego teraz? Czy może być miejsce bardziej odmienne od Harkley House niż to, w którym się teraz znajdujemy?

Jordan westchnął i sięgnął po kawę. Jego ręka troszeczkę drżała.

— Może każdy z nas pochwycił to od drugiego i wzmocnił? Wiesz, co mówią o wielkich umysłach myślących podobnie?

Layard rozluźnił się i skinął głową.

— Szczególnie umysły jak nasze, co?

Powtórnie skinął głową z odrobiną niepewności.

— No, może i masz rację... — odrzekł.

Przed dziesiątą przybyli na przystań. Siedzieli na drewnianej ławce, z której rozciągał się wspaniały widok na mielizny i przystań Mandraki aż do Fortu Świętego Mikołaja. Po ich lewej stronie, na podwyższonym cyplu, stał Bank Grecki, którego białe ściany i błękitne okna odbijały się w stojącej wodzie. Po prawej strome i dalej w tył rozciągało się Nowe Miasto Rodos. Mandraki, będąc przede wszystkim płytkim cumowiskiem, nie służyło za port handlowy, który znajdował się o ćwierć mili na południe, w zatoce historycznego, malowniczego, ufortyfikowanego jeszcze przez uczestników wypraw krzyżowych Starego Miasta, za wielkim falochronem zakończonym warownią. Według informacji, jakie posiadali, przemytnicy narkotyków cumowali tutaj i zaopatrywali się w wodę i pożywienie, przed ostatnim skokiem na Kretę, do Włoch czy Hiszpanii.

Niewielkie ilości żywicy z konopi indyjskich były podrzucane nocą tutaj i w innych portach po drodze. Ale wielka masa wszelkiego „dobra” i główny ładunek, jaki stanowiła kokaina, płynął do Walencji w Hiszpanii. Stamtąd, ostatecznie, przetrzucano towar do Anglii. Zadaniem agentów INTESP było określić: (a) jak wielkie ilości białego proszku znajdowały się na statkach; (b) jeżeli ilości były niewielkie, to czy wczesne aresztowania mogłyby wskazać drogę do narkotykowych magnatów?; (c) gdzie ten ładunek ukrywano, skoro już znalazł się na pokładzie.

Nie dalej jak kilka miesięcy temu pewien statek został dokładnie przetrząsnięty w porcie Larnaka na Cyprze, bez żadnego efektu. Lecz oczywiście, sprawa znalazła się w rękach grecko-cyprijskiej policji, której brakowało prawdopodobnie małego drobiazgu — koordynacji działań i inteligencji.

Tym razem miała to być połączona akcja, kończąca się w Walencji, jeszcze przed rozładowaniem towaru. I, co więcej, tym razem statek — drewniana, szerokodenna, przewalająca się na falach beczka starego Greka, zważa się dumnie

„Samotraki”, miała być przetrząśnięta do ostatniego nitu. Jordan i Layard mieli podążać za nią wzdłuż całej jej trasy.

Wystrojeni w sprzedawane turystom jako „amerykańskie” czapki z szerokimi daszkami, w jasnych koszulkach z krótkimi rękawami, marynarskich spodniach i skórzanych sandałach, czekali na przybycie swojej „zwierzyny”. Jak na ludzi, którzy mieli zataić własną tożsamość, taki ubiór mógłby się wydać dziwaczny, ale na tle pstrokacizny grup turystycznych, mógł być z łatwością uznany za zbyt konserwatywny. A tego też musieli unikać.

Przez jakiś czas milczeli. Wisiał nad nimi jakiś dziwny nastrój. Jordan winił za to metaxę, a Layard nazbyt tłuste jedzenie. Cokolwiek to było, kolidowało troszeczkę z ich ESP.

— Chmurzy się — poskarżył się Jordan i zmarszczył brwi. Następnie wzruszył ramionami. — Nie wiesz, co mam na myśli, prawda?

— Oczywiście, wiem — odparł Layard. — W dawnych czasach nazywaliśmy to mentalnym smogiem, pamiętasz? Rodzaj przytłumionych zakłóceń umysłowych, które zniekształcają albo nawet blokują obrazy? Albo zaciemniają je rodzajem. . . no, wilgotnej, przydymionej mgły! Kiedy sięgam i szukam „Samotraki”, doznaję uczucia gęstniejącej mgły w moim umyśle. Wilgoć, ciemność, smog. Ale jak to wytłumaczyć w miejscu takim jak to? To niezwykle. I to nie bierze się z tego statku, ale — nie wiem — zewsząd.

— Jak dawno temu natknęliśmy się na innych esperów? — Jordan popatrzył na niego.

— Masz na myśli naszą pracę? Prawie za każdym razem, gdy działamy za granicą. Do czego zmierzasz?

— Nie myślisz, że inni agenci mogą namierzać się na tą samą robotę? Na przykład Rosjanie albo Francuzi?

— To możliwe. — Tym razem Layard zmarszczył brwi. — W ZSRR problem narkotyków narasta, a Francja tkwi w tym bagnie od lat. Ale zastanawiałem się, co będzie, jeżeli oni są po drugiej stronie? To znaczy, jeżeli sami przemytnicy korzystają z usług esperów? Mogą sobie na to pozwolić, to fakt.

Jordan przytknął do oczu lornetkę i bacznie obserwował linię brzegową, od fortu na falochronie, aż do wyrastającego zza masywnych murów centrum Starego Miasta.

— Czy próbowałaś to śledzić? — zapytał. — Poza wszystkim ty jesteś wróżbitą. Ale jeżeli o mnie chodzi — to mam przecucie, że źródło jest gdzieś tam.

Bystre oczy Layarda podążyły śladem lornetki towarzysza. Duży, biały motorowiec kołysał się leniwie na kotwicy w wąskim, pogłębionym kanale Mandraki. Z tyłu za nim małe stateczki chygotały się przycumowane do przystani albo wpływały i wypływały, w większości wypełnione po burty turystami. Čwierć mili dalej place targowe i ulice Starego Miasta tworzyły rój, którego pracowite buczenie wy-

dobywało się spomiędzy licznych kościołów i biało-żółtych domów, skąpanych w słonecznym świetle poranka.

Layard wpatrywał się długie chwile, po czym strzelił palcami, usiadł wygodnie i uśmiechnął się całą gębą.

— To jest to — powiedział w końcu. — Trafieś za pierwszym razem.

— Tak? — Jordan patrzył na niego.

— Oczywiście, musiałyby to być gorsze dla ciebie niż dla mnie. Gdyż ja tylko znajduję. Ja nie czytam w myślach.

— Czy zechciałbyś wyjaśnić?

— Wyjaśnić co? — Layard wyraźnie był z siebie zadowolony. — Twoja mapa Starego Miasta jest taka sama jak moja. Tyle tylko, że ty prawdopodobnie do swojej nie zajrzałeś. Dobra, wybawię cię z kłopotu. Tam, na wzgórzu, jest azyl dla umysłowo chorych.

— Co ta... — zaczął Jordan, ale zaraz opuścił lornetkę i walnął się dłonią w kolano. — To musi być to — powiedział. — Zbieramy echo tych wszystkich chorych biedaków zamkniętych tam!

— Na to wygląda — przytaknął Layard. — A teraz, skoro już wiemy, co to jest, powinniśmy spróbować wymazać to i skupić się na naszym zadaniu.

Popatrzył na morze i momentalnie spoważniał.

— Szczególnie, że właśnie przybywa „Samotraki”, odrobinę za wcześnie, zdaje się.

— Jest tam? — Jordan natychmiast porzucił niedbałą pozę.

— Za pięć, najdalej dziesięć minut. — Skinął Layard. — Właśnie ją wychwyć. Idę o zakład, że w ciągu kwadransa rzuci tu kotwicę.

Obydwaj mężczyźni ze zdwojoną uwagą zaczęli obserwować wejście do przystani, skutkiem czego stracili z pola widzenia prywatny biały motorowiec, na pokładzie którego nastąpił nieoczekiwany wybuch aktywności. Mała łódka z pokładem osłoniętym przed promieniami słońca przewiozła niewielką grupę. Dwóch mężczyzn przeszło na pokład lśniącego białego statku, który zaraz po tym podniósł kotwicę. Potężne maszyny zadudniły. Jacht obrócił się dookoła własnej osi i leniwie przesunął się wzdłuż pogłębionego kanału. Czarne przystony, zdobione fantazyjnym ornamentem rzucały cień na przedni pokład, gdzie ubrana na czarno postać wypoczywała na leżaku. Wysoki człowiek w bieli stał przy barierce, patrząc w kierunku wyjścia z przystani. Na jego prawym oku widniała czarna przepaska.

Biały, wypoczynkowy motorowiec ciągle znajdował się na marginesie uwagi esperów. Obydwaj patrzyli przez lornetki. Jordan stał, opierając się o mur, gdy za falochronem, w zasięgu wzroku, pojawiła się „Samotraki”.

— Oto ona. — Odetchnął głęboko. — Dokładnie między nogami Starego Chłopca.

Wysłał swoje telepatyczne fale nad wodą, starając się sięgnąć do umysłów kapitana i załogi. Chciał wiedzieć, gdzie schowano kokainę. . . jeżeli któryś z nich myśli o tym teraz. . . albo o jej ostatecznym przeznaczeniu.

— Jakie nogi Starego Chłopca? — Głos Layarda dotarł do niego z dużej odległości, chociaż ten stał wprost za nim. Koncentracja Jordana osiągnęła taki stopień, iż nieomal całkowicie wymazała świat zewnętrzny.

— Collosus — odburknął Jordan. — Helios. Jeden z Siedmiu Cudów Starożytnego Świata. Oto, gdzie stał — dokładnie tam, okrakiem nad ujściem przystani, aż do 224 roku przed naszą erą.

— Więc jednak oglądałeś mapę — rzucił Layard.

Stara „Samotraki” wpływała, lśniący, nowoczesny motorowiec wypływał. Pierwszy z nich został przysłonięty przez drugiego, gdy zrównały się i obydwie rzuciły kotwice.

— Gównu — zaklął Jordan. — Znowu ten dym. Nic przez niego nie widzę.

— Czuję to — odparł Layard.

Jordan skierował szkła na lśniącą sylwetkę białego statku i odczytał jego nazwę z kadłuba: „Lazarus”.

— Jest piękny — zaczął, i zeszywniał. W samym centrum jego pola widzenia, ubrany na czarno człowiek na przednim pokładzie siedział teraz wyprostowany, widać było tył jego głowy. Patrzył na starą „Samotraki”. Ale gdy Jordan zatrzymał na nim lornetkę, jego głowa o dziwnym kształcie obróciła się. Jej nieznanego właściciela patrzył prosto w oczy espera z odległości prawie stu pięćdziesięciu metrów. Stanęli twarzą w twarz, pomimo dystansu i tego, że obydwaj nosili czarne okulary.

— Co? — Potężny głos wewnętrzny, w całej pełni wyrył swe zaskoczenie na umyśle Jordana. — Złodziej myśli? Mentalista?

Jordan dyszał ciężko. Próbował wycofać się, ale tamten pochwycił go jak wielkie imadło i ścisnął. Esper opadł na mur i patrzył na tamtego. Ich spojrzenia spłótły się w jedno. Jordan tak się natężył, by oderwać wzrok, by przeorientować swoje myśli, iż zaczął wibrować. Wydawało mu się, że solidne, stalowe sztaby zostały wystrzelone z ukrytych źrenic tamtego, i poprzez wodę, poprzez soczewki lornetki, przedostawały się wprost do mózgu. Wdrażały się w jego umysł, aż przeniosły jasne, czytelne posłanie.

— Kimkolwiek jesteś, wkroczyłeś do mojego umysłu z własnej, nieprzymuszonej woli. Niech. . . tak. . . będzie! — rozległ się potężny głos myśli.

Layard zerwał się na równe nogi, zaniepokojony i zdumiony. Chociaż nie doświadczył wiele, lub zgoła nic, z telepatycznego szoku i trwogi, jednak wystarczało mu popatrzeć na Jordana, by wiedzieć, że dzieje się coś strasznego. Z głową pełną mentalnego dymu, trzasków, zakłóceń, rzucił się w stronę mdlejącego telepaty — w samą porę, aby poprowadzić go na ławkę, gdzie ten padł bez czucia. . .



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### Lazardies

Tej samej nocy.

„Lazarus” stał przycumowany do kei. Rzucił ciemne odbicie na wodę gładką jak szkło. Trzech czy czterech członków załogi zeszło na ląd, pozostawiając tylko wartownika. Właściciel jachtu siedział przy oknie na piętrze w najbliższej tawernie Starego Miasta, spoglądając w kierunku falochronu. Na dole kilku turystów piło tanią brandy czy ouzo, a miejscowe łaziki, próżniaki i wyrzutki wszelkiej maści, żartowały sobie z nimi po angielsku, dowcipkując sobie z nimi po grecku i naciągając na drinki.

Przebywały tam też trzy czy cztery pospolicie wyglądające angielskie dziewczyny ze swymi greckimi przyjaciółmi. Ubrane najgorzej jak tylko można, wypatrywały okazji. Tańczyły, czy raczej snuły się w takt muzyki bouzuki, by przy jej nagłych wybuchach podrywać się do bardziej szaleńczego płąsu w towarzystwie obłapujących je, spotniałych i śmierdzących ciał marynarzy.

Góra była oddzielona od takich atrakcji. Tutaj właściciel tawerny załatwiał niekiedy swe szemrane interesy, popijał albo grał w karty ze znajomymi. Nikogo z nich nie było jednak w pobliżu tej nocy. Tylko młoda grecka kurewka samotnie siedziała w alkwie prowadzącej do jej niewielkiego pokoju z łóżkiem i miednicą oraz człowiek, nazywający siebie Jiannim Lazaridesem, który zajął miejsce przy oknie.

Opasły, ze szczeciniastym zarostem właściciel, Nikos Dakaris, służył Lazaridesowi dobrym, czerwonym winem. Dziewczyna czekała tutaj beczynn timer, ponieważ miała podbite oko i nie mogłaby wabić klientów na nabrzeżu. A raczej, mogłaby, ale nie robiła tego. W ten sposób chciała odpłacić się Dakarisowi za łanie, jakie jej spuszczał, ilekroć musiał skrobać pieniądze na łapówkę dla miejscowego konstabla za przywilej udostępniania prostytutce miejsca do pracy. Gdyby nie fakt, iż od czasu do czasu potrzebował kobiety, prawdopodobnie w ogóle nie pozwoliliby jej tu przebywać. Płaciła za pokój „w naturze”, raz czy dwa w tygodniu, w zależności od nastroju Dakarisa, a na dodatek oddawała także czterdzieści procent dochodów.

Lazarides także miał swoje powody, by tu pozostać. Przybył na spotkanie z greckim kapitanem „Samotraki” i jego kohortą, aby dowiedzieć się, jak i dlaczego publiczność została zaproszona do oglądania „krytej” operacji przewozu narkotyków. W istocie zresztą znał już odpowiedź, jako że wyciągnął ją z głowy Trevora Jordana. Teraz jednak chciałby ją usłyszeć z ust samego Pawlosa Themelisa, kapitana „Samotraki”, aby następnie zdecydować, jak się wyplatać z tej całej afery i odzyskać niezgorszą forszę, jaką władował w ten „pewny” interes. Pieniądze i władza były w tej epoce bogami nie mniej świętymi niż bóstwa wszystkich poprzednich wieków. Bogami ludzkiej zachłanności, o czym Lazarides miał więcej niż tylko niejasne wyobrażenie. I doprawdy, znał łatwiejsze, bezpieczniejsze, pewniejsze sposoby robienia i wydatkowania pieniędzy na tym ogromnie skomplikowanym świecie.

Bogactwo wiele znaczyło dla Lazaridesa, ale nie dlatego że był chciwy. Świat, w którym żył, okazał się bardziej zatłoczony i zanosilo się, że będzie jeszcze bardziej, a każdy wampir miał swoje potrzeby. W dawnych czasach bojar zostałby obdarowany ziemią przez jakiegoś marionetkowego księcia czy kogoś takiego. Wybudowałby zamek i egzystował w odosobnieniu oraz, najlepiej, w anonimowości. Anonimowość i długowieczność chadzały ręką w rękę w dawnych czasach. Sławny człowiek nie może się zanadto pokazywać, jeżeli ma żyć dłużej niż wynosi czas życia przeciętnej istoty ludzkiej. Ale w tamtych dniach informacje rozchodziły się powoli i człowiek mógł mieć synów. Kiedy „umierał”, zawsze na podorędziu był jeden z nich, gotowy wskoczyć w jego buty. Podobnie teraz, z tym małym wyjątkiem, że ani informacje, ani człowiek nie podróżowali powoli, przez co świat tak bardzo się zmniejszył. Bogaty człowiek mógł jednak kupić sobie oddalenie, a tym samym anonimowość i doglądać interesów, tak jak przed wiekami. Co pociągało jednak za sobą następne pytanie, jak stać się bardzo zamożnym?

Cóż, Janosz Ferenczy sądził, że znalazł odpowiedź już ponad czterysta lat temu, ale teraz, w przebraniu Lazaridesa, nie był już tego taki pewien. W tamtych czasach broń inkrustowana drogimi kamieniami albo bryłka złota zapewniała bogactwo. Teraz także, tyle tylko, że ludzie chcieli znać pochodzenie takiej rzeczy. W dawnych wiekach bojarские ziemie i włości należały do bojara, bez żadnych dodatkowych pytań. Dzisiaj jednak, takie błyskotki jak rękojeść wysadzana diamentami albo solidna, złota korona scytyjska, nazywana „skarbami historii”, niczego mu nie gwarantowała. Nikt nie mógł ich sprzedać, nie poddając się uprzednio wielu badaniom dociekającym ich pochodzenia.

Janosz doskonale znał źródło swego bogactwa, gdyż człowiek, który „odkrył” i wydobył te skarby tu i teraz, był tym samym, który zakopał je w ziemi ponad czterysta lat temu. Czy można się lepiej przygotować do ponownego przyjscia na świat, gdy przewiduje się długi, długi okres wszechogarniającego mroku? Miejsca zmieniają się, natura zbiera swoje żniwo. Trzęsienie ziemi nawiedzają ład, skarby wpadają głębiej, a stare oznaczniki przewracają się lub zostają zniszczone.

Ówcześni rysownicy map utracili swą niewiarygodność, a świetna pamięć — najświetniejsza z możliwych — pamięć wampira — troszeczkę wyblakła w obliczu wieków...

Janosz westchnął i popatrzył na światła przystani, latarnie odmierzające przestrzeń oceanu. Siedział tutaj, przy oknie, spoglądając na przystań w pamiętającym świetne czasy Rodos. Obmierzył gospodarz zszedł już na dół, by raczyć gości ouzo i brandy zakrapianą wodą oraz, żeby policzyć swoje zyski. Muzyka bouzuki wciąż dochodziła, zmieszana z wybuchami prostackiego śmiechu, rzekomi kochankowie ciągle tańczyli i obłapiali się, a młoda kurewka niezmiennie siedziała w swej alkwie.

Minęła dziesiąta, a Janosz zapowiedział, że o tej porze skontaktuje się ze swym amerykańskim niewolnikiem. Nalał sobie odrobinę wina, dobrego, mocnego i czerwonego, i patrzył, jak szklanica zabarwia się krwawo. Tak, krew była życiem, ale nie w miejscu takim jak to. Wino jedynie potrafiło łagodzić poczucie pieczenia, suchości. Odzywało się pragnienie wampira, pragnienie które było zabójcze, jeśli nie można było go ugasić.

Kurewka usłyszała brzęk szkła. Rozejrzała się po izbie. Janosz poczuł jej wzrok i odwrócił głowę. Dziewczyna zauważyła, iż był wysoki, dobrze ubrany. Zastanowiła się przez moment nad ciemnymi okularami chroniącymi jego oczy. Jednak z tej odległości nie mogła dostrzec, jak szorstka i porowata jest jego skóra, jak szerokie i mięsiste usta, jak nieproporcjonalnie długa czaszka, uszy i trójpalczaste dłonie. Pomyślała, że wygląda na władczego, silnego i na pewno nie należy do biednych.

Uśmiechnęła się, wstała, wyprostowała. Tym wystudiowanym ruchem osiągnęła pożądany efekt uwydatnienia piersi i przecięła izbę w kierunku okna. Obserwował, jak kotłyszac się w biodrach, nadchodzi. „Z twojej własnej, nieprzymuszonej woli” — pomyślał.

— Wypije pan to wszystko? — zapytała, unosząc znacząco brwi. — Wszystko sam...

— Nie — odpowiedział od razu, dwuznacznym tonem — potrzebuję tylko trochę... tego.

Jego głos może odrobinę ją zaskoczył. Brzmiał jak pomruk, jak głucho dudnienie. Tak głęboki, że przenikał do szpiku kości. A jednak nie był nieprzyjemny, choć zawierał w sobie taką siłę, że machinalnie zrobiła krok do tyłu. On zaś, skoro tylko to spostrzegł, uśmiechnął się, choć chłodno, i wskazał na butelkę.

— Jesteś więc spragniona?

Zastanawiała się, czy jest Grekiem. Znał język, ale mówił nim tak, jak w niektórych starych górskich wioskach, do których powiew nowych czasów nigdy nie dociera. Pomyślała, że być może wiele razy opuszczał kraj i stąd ten dziwny akcent.

— Mogę? — zapytała, choć nie leżało to w jej zwyczaju.

— Bezwzględnie — odrzekł. — Jak powiedziałem, moje prawdziwe wymagania idą w innym kierunku.

Nie wiedziała, czy to aluzje. Musiał przecież wiedzieć, kim ona jest. Wahala się, czy zaprosić go przez alkowę do swego pokoju za zasłoną.

— Nie — powiedział, nieznacznie potrząsając głową. — Teraz musisz zostać mnie samego. Mam inne sprawy na głowie i moi przyjaciele zaraz tu będą.

Wychyliła duszkiem wino, a on z uśmiechem napełnił powtórnie jej szklankę.

— A teraz idź — powtórzył.

Nie potrafiła oprzeć się tej komendzie. Powróciła na ławę pod alkową. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Był tego świadomy, komenderował jej uwagę.

Po chwili wyprowadził dziewczynę ze swej świadomości i wysłał swe wampirze zmysły wzdłuż nabrzeża, na molo, i dalej w mrok, gdzie masywne ściany wyrastały wprost z nieruchomej wody. Mimo ciemności dostrzegł stopy naprawianych sieci, węcierze do łowienia homarów, pływaki i naczynia w kształcie amfor, służące do łapania ośmiornic, i... oczywiście, znalazł jak zawsze wiernego Armstronga czekającego na rozkazy swego pana.

— Słyszysz mnie, Seth?

— Jestem tu, gdzie powinienem — wyszeptał Armstrong w mrok, jakby rozmawiał sam z sobą. Nie wspominał o głodzie, który Janosz mógł wyczuć tak jak ból. Potrzeby pana muszą stać zawsze na pierwszym miejscu, ale z drugiej strony, człowiek nie może zapominać, że wierny pies zasługuje na nagrodę. Armstrong miał zostać wynagrodzony później.

— Poszukuję teraz espera, Anglika — zwięźle tłumaczył Janosz. — Przyśle go do ciebie. Towarzyszy mu bez wątpienia drugi Brytyjczyk. Ten nie będzie nam potrzebny, gdyż może jedynie popsuć moje plany. Jeden z nich powie nam tyle samo, co dwóch. Rozumiesz mnie?

Armstrong rozumiał doskonale i znów Janosz wyczuł głód.

— Nie zostawisz na nim żadnego śladu ani nic od niego nie zabierzesz, ani nic mu nie dasz! Czy mnie słyszysz, Seth?

— Rozumiem.

— Dobrze! Uważam, że powinien otrzymać ogłuszający cios, powiedzmy, w kark? Ma wpaść do wody, tam, gdzie jest głębina. Bądź więc czujny, bo jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to zaraz go do ciebie sprowadzę.

Bez dalszych ceregieli, wysłał swe wampirze zmysły, by pełżyły wśród jasnych światła Nowego Miasta. Szperał w hotelach i tawernach, wewnątrz i dookoła barów, kiosków z gorącymi daniami. Zadanie nie było trudne. Umysły, których szukał, różniły się od innych i emitowały trochę mocy. Jeden z nich został już rozpoznany, uszkodzony, nieomal zniszczony. Zaiste, miał zostać zniszczony ze szczętem, ale jeszcze nie teraz. Janosz chciał dowiedzieć się wszystkiego, wyciągnąć od niego każdą sekretną myśl.

Umysł mentalisty czy telepaty, jak to teraz nazywają, szpiegował go, a jeśli nawet nie jego osobiście, to operację przemycenia narkotyków, w której brał udział. Zarejestrował wystarczająco dużo, by stać się niebezpiecznym. Janosz czuł, że ten szpieg mentalny wie, kim on jest. Nie mógł ujawnić swej wampirzej natury tutaj, w tym nowoczesnym świecie. Niektórzy mogliby co najwyżej taką informację wyszydzić, ale inni nie. W mózgu telepaty pobrzmiewały odbicia, które wskazywały, że znał wielu podobnych Ferenczemu.

Janosz przechwycił falę przestraszonych myśli. Znał ich woń. Rozpoznał je jak rozpoznaje się znajomą twarz. Zatrwożone, lękliwe myśli, posiniaczone i spoiniewierane, ale znowu powracające do świadomości. Ferenczy przy wart do nich jak pies myśliwski do tropu, wślizgnął się do tego dygocącego umysłu. . .

Ken Layard pielęgnował Trevora Jordana w jego pokoju hotelowym. Telepata leżał tu już dobre dwanaście godzin. Pierwszych sześć niczym zwłoki, z potężną dawką środków uspokajających zaaplikowanych przez greckiego lekarza; cztery następne w stanie zbliżonym do letargu; pozostałe dwie rzucając się, pocąc i pojękując w szponach jakiegoś nie dającego mu spokoju snu.

Co zaś do przyczyny kłopotów, mogło to być cokolwiek, zdaniem doktora. Za dużo promieni słonecznych, podniecenie, alkohol, może jakiś insekt. Albo zwykła migrena. Twierdził, że nie ma czym się przejmować. Turyści zawsze padają ofiarą, jak nie tego, to tamtego. Layard zbliżył się do łóżka przyjaciela.

— Co? Tak. . . tak. . . dobrze. — Usłyszał głos Jordana.

Telepata szeroko otworzył oczy, następnie wyprostował się do pozycji siedzącej. Na stoliku koło łóżka stał słoik z wodą. Layard nalał do szklanki i podał Jordanowi, ale ten wydawał się go nie zauważyć. Jego oczy były szkliste. Ściągnął nogi z łóżka i sięgnął po ubranie przewieszane przez poręcz krzesła. Wróżbita zastanowił się, czy przyjaciel ma zamiar spacerować we śnie.

— Trevor — powiedział cicho, ujmując jego ramię — czy wszystko. . . ?

— Co? — Jordan zwrócił się w jego kierunku, zamrugał gwałtownie oczami. — Tak, wszystko w porządku. Ale. . .

— Ale? — Layard ponaglił go.

Jordan jednak w dalszym ciągu ubierał się. Było w nim coś, co upodabniało go do robota. Zadzwoił telefon. Odebrał Layard. Dzwonił Manolis Papastamos i chciał się dowiedzieć, jak Jordan się czuje. Grecki obrońca sprawiedliwości wkroczył na scenę zaledwie w kilka sekund po zapaści telepaty, pomógł Layardowi dostarczyć go tutaj i wezwał lekarza.

— Trevor czuje się lepiej — brzmiała odpowiedź na pełne niepokoju pytanie. — Tak sędzę. W każdym razie, właśnie się ubiera. A co z waszej strony?

Papastamos mówił po angielsku tak samo jak po grecku: jak szybkostrzelny karabin maszynowy.

— Obserwujemy obydwie statki, ale nic — mówił. — Jeżeli cokolwiek przedostało się na ląd z „Samotraki”, to nie mogło być tego bardzo dużo i na pewno nie ciężki asortyment, jakiego byśmy oczekiwali. Sprawdziłem także „Lazarusa”. Nie widać tu żadnego związku. Jego właścicielem jest Gianni Lazarides, archeolog i poszukiwacz skarbów, z nieposzlakowaną reputacją. Czy też... powiedzmy, że nic na niego nie mamy. Jeśli idzie o załogę „Samotraki”: kapitan i pierwszy oficer zeszli na ląd. Mogli wziąć z sobą co najwyżej niewielkie ilości słabych prochów. W tej chwili oglądają kabaret i piją kawę i brandy. Ale więcej kawy niż brandy. Widać chcą zachować trzeźwość.

Jordan w tym czasie skończył się ubierać i skierował się w stronę drzwi. Poruszał się jak zombi. Miał na sobie ten sam strój, co rano. A noce bywały wietrzne. Widać nie zanadto zastanawiał się, zakładając lekkie, swobodne ciuchy.

— Trevor? Myślisz, że dokąd idziesz? — zawołał za nim Layard. Jordan popatrzył za siebie.

— Na przystań. — Brzmiała automatyczna odpowiedź. — Brama Św. Pawła i dalej, wzdłuż mola, do wiatraków.

— Halo? Halo? — Papastamos był wciąż na linii. — Co się dzieje?

— On mówi, że idzie do wiatraków na molo — powiedział Layard. — Idę za nim. Coś mi tu nie gra. Czuję to przez cały dzień. Przepraszam, Manolis, ale muszę odłożyć słuchawkę.

— Zobaczmy się na miejscu — rzucił szybko Papastamos, ale do Layarda dotarła tylko połowa, jako że natychmiast rozłączył rozmowę. Narzucił marynarkę i podążył śladem Jordana, który sztywnym krokiem zszedł do hallu hotelowego, minął drzwi i pograżył się w śródziemnomorskiej nocy.

— Nie zaczekasz na mnie? — zawołał za nim, ale Jordan nie odpowiedział. Raz obejrzał się i wówczas Layard zobaczył nieprzytomne oczy. Nie zamierzał na niego czekać ani na nikogo innego.

Layard nieomal zrównał się ze swym przypominającym robota towarzyszem, gdy ten przechodził przez ulicę, kierując się w stronę nabrzeża. Nagle zabłyśło czerwone światło, zawyły silniki. Motorowery i samochody ruszyły niczym na motocrossie, z brawurą i bojowością tak charakterystyczną dla greckich użytkowników dróg. W jednej chwili Layard został oddzielony od Jordana nieprzerwanym potokiem pojazdów. Gdy wreszcie światła zmieniły się na powrót, nie było już śladu po telepacie, wchłoniętym przez tłum przewalający się po ulicach. Idąc pospiesznie, Layard zdawał sobie sprawę, że stracił trop. Wiedział jednak dokąd tamten zmierzał.

Jordan czuł, że walczy z tym ze wszystkich sił. Zdawał sobie jednak sprawę, że to daremne. To tak, jakby się upić w nieznanym miejscu, wśród nieznanymi ludzi, a następnie leżeć na plecach i patrzeć na wirujący sufit. Przez cały czas słyszał siebie uwięzionego we własnej czaszce jak mucha złapana w butelkę, bzycząca

wściekle i uderzająca o szklane ścianki naczyń. Słyszał siebie powtarzającego w kółko: „O, Boże, zatrzymaj to! O, Boże, zatrzymaj to! O, Boże... zatrzymaj... to!” Była to powtórka z pierwszego gwałtownego doświadczenia z alkoholem. Zdarzyło się to na samym początku jego studiów uniwersyteckich, gdy nagle przerażliwie zatęsknił za domem. Kilku kumpli, studentów, żartownisiów pragnących zabawić się jego kosztem, „wzmocniło” drinki. Następnie wypróbowali na nim kilka sztuczek. Nic szczególnie występnego: natarli mu różem policzki, ustom nadali kształt łuku Kupidyna, założyli pończochy i podwiązki, a na ptaka nakleili emblemat Mickey Mouse.

Kiedy się obudził, zdrętwiały z zimna, nagi, skacowany, nie wiedział, co się stało. Chciał umrzeć. Ale w dzień czy dwa później, już na trzeźwo, dorwał ich. Każdego z osobna stłukł na kwaśne jabłko. Od tego czasu zawsze odwoływał się do siły fizycznej, gdy nie znajdował innego sposobu.

Nie wiedział jednak, co ma począć teraz. Z samym sobą, z umysłem i ciałem, które nie usłuchałyby go. Jordan zdawał sobie sprawę z tego, że ktoś za tym stoi, potrząsając nim jak lalką na sznurkach i nic nie mógł na to poradzić.

— Dość! — powtarzał sam sobie. — Weź się w garść. Usiądź... podnieś ręce... schowaj głowę w dłoniach... czekaj na Kena. Zrób cokolwiek, ale z wolnej, nieprzymuszonej woli.

— Ach... Ale ona nie jest wolna! To ty przybyłeś jako szpieg, dokonałeś inwazji na mój umysł! Więc teraz płacisz cenę. Naprzód: idź tak, jak idziesz. Prosto do wiatraków — zabrzmiał straszliwy, dźwięczny, magnetyczny głos w jego głowie. Ta wola, która nakładała się na jego wolę, ten telepatyczny, hipnotyczny rozkaz kogoś czy czegoś tak potężnego, że wszelkie próby oporu przemieniały w urągawisko. Jordan odnosił wrażenie, jakby miał nogi z gumy — nieomal dygocące, uginające się w kolanach — gdy starał się je powstrzymać. Z równym powodzeniem mógłby powstrzymać przeciwstawne ładunki magnetyczne albo ćmę lecącą w stronę świecy. Podążył więc nabrzeżem w stronę mola. Starożytne wiatraki wyłoniły się wkrótce z mroku na tle ciemnego oceanu.

Ubrany cały na czarno, Seth Armstrong czekał skulony w mroku falochronu, który w tym miejscu przypominał zanikowe blanki. Przepuścił potykającego się Jordana przodem i popatrzył w stronę mrugającego światłami Starego Miasta Rodos. Usłyszał szybkie kroki biegnącego człowieka i zasapany głos.

— Trevor? Na rany Chrystusa, zwolnij wreszcie! Myślisz, że gdzie...?

Armstrong zaatakował. Layard zobaczył jak coś wielkiego, czarnego, niezgrabnego, wychodzi z cienia. Ze szczeliny w czarnej kominiarce wyzierało na niego jedno oko. Dysząc zatrzymał się gwałtownie, odwrócił na pięcie i wówczas potężny cios w kark rzucił go na wyślizgane brukowce. Padł bez czucia u podstawy falochronu. Jordan, czując, że ucisk na jego woli słabnie, odwrócił się.

Zobaczył wielką, ciemną postać Armstronga niczym modliszka pochyloną nad bezwładnym ciałem Layarda, widział następnie, jak jego przyjaciel jest dźwi-

gany w górę na potężnych ramionach i wyrzucany przez otwór strzelniczy. Jeszcze chwila i dobiegł go plusk, a następnie szemranie wody stopniowo wygładzającej swoją taflę. W końcu, gdy czarna postać zwróciła się ku niemu...

Strumień latarki przeciął noc, smagał ją na lewo i prawo niczym biały nóż czarną kartę. Krzyk Manolisa Papastamosa, nie mniej ostry, przeszył ciszę.

— Trevor, Ken, gdzie jesteście? — zawołał.

— Ostrożnie! — zakomenderował obcy głos w umyśle Jordana, ale był to zaledwie szept, i tym razem wcale nie do niego adresowany. Nie dominował już, lecz zaledwie doradzał. Jordan wiedział, że jego telepatyczny umysł po prostu „usłyszał” instrukcję przeznaczoną dla kogoś innego, a mówiąc ściślej, dla człowieka w czerni.

— Nie pozwól, by cię złapano lub rozpoznano!

Jordan wiedział bardzo dobrze, że Layard nie umie pływać. Zmusił więc swe nogi, aby zaniósły go do otworu strzelniczego. Ciągłe czuł obecność obcego.

Papastamos nadbiegł. Jego mała, szczupła sylwetka wynurzyła się z mroku. Jordan zobaczył, jak niezgrabny stwór o dużych kończynach cofa się w cień.

— Man... Manolis! — wydusił z kompletnie zaschniętego gardła krzyk, a raczej skrzypnięcie. — Uważaj!

Grecki stróż porządku zatrzymał się.

— Trevor? — Rzucił strumień światła wprost w twarz Jordana.

Nagle silny cios spadł na twarz Papastamosa. Ten poleciał w tył i rozłożył się jak długi. Wypuścił z dłoni latarkę. Człowiek w czerni uciekał mołem w kierunku miasta. Papastamos rzucił po grecku soczyste przekleństwo, chwycił latarkę i skierował ją za oddalającą się postacią. Strumień światła złapał wydłużoną ludzką sylwetkę, rzucił na ścianę falochronu jej cień. Papastamos był uzbrojony w coś więcej niż tylko latarkę.

Jego beretta szczęknęła pięć razy w krótkich odstępach, wysyłając strumień ołowiu za umykającym cieniem. Rozległ się krzyk bólu i pojękiwanie. Odgłos kroków jednak nie ustał.

— M... Manolis! — Jordan nie przestawał walczyć z żelazną obejmą na swej woli. — Ken... jest... w... wodzie!

Greki zerwał się, podbiegł do falochronu. Z dołu dochodziło gulgotanie i ciężki, przerywany oddech, chlupot wody zagarniętej wiosłującymi ramionami. Nie myśląc ani chwili o własnym bezpieczeństwie, Papastamos wspiął się na falochron i skoczył...

Siedzący przy oknie na górnym poziomie tawerny Dakarisa Janosz Ferency zagarnął szklanekę z winem swą trójpalczastą dłonią i ścisnął tak mocno, aż gruchnęło szkło. Wino, kawałki szkła i nieco krwi przecisnęły się przez ciasno zwarte palce. Jeżeli czuł jakiś ból, nie dał tego poznać na posępnej, szarej twarzy, za wyjątkiem może nerwowego tiku szarpiącego kącikami ust.



— Janosz... panie. — Armstrong mówił z odległości niewiele większej niż trzysta metrów. — Jestem postrzelony!

— Ciężko?

— W plecy. Nie będziesz miał ze mnie pożytku, zanim nie wykuruję się. Dzień czy dwa.

— Czasami myślę, że nigdy nie miałem z ciebie specjalnego pożytku. Wracaj na łódź. Uważaj, aby cię nie widziano.

— Ja... ja nie dostałem telepaty.

— Wiem, głupcze. Będę musiał sam się tym zająć.

— Wobec tego bądź ostrożny. Człowiek, który do mnie strzelał, to policjant.

— Ach? A skąd o tym wiesz?

— Ponieważ strzelał do mnie. Jego broń. Zwykli ludzie jej nie noszą. Ale nawet bez tego domyśliłem się od razu, jak go zobaczyłem. Policjanci na całym świecie wyglądają tak samo.

— Jesteś prawdziwą bombą informacyjną, Seth. — Myśli wampira były przepełnione sarkazmem. — Ale rozumiem cię. A ponieważ teraz, być może, nie będę mógł dostać tego złodzieja myśli w swoje ręce, muszę znaleźć jakiś inny sposób, by go... przeegzaminować. Zdolności telepatyczne staną się jego przekleństwem. Jego umysł rejestruje świadomość innych ludzi, co dotychczas czyniło z niego grubą rybę w stawie. Ale teraz ma do czynienia z rekinem. Byłem szpiegiem mentalnym pięć wieków przed tym, zanim on się urodził.

— Wracam na pokład — potwierdził Armstrong.

— Dobrze! Jeżeli ktoś z załogi jest na łodzi, ściągnij go z powrotem.

Janosz wyrzucił tamtego ze swych myśli. Powrócił do Jordana, który dowlókł się do starożytnych wiatraków i ciężko usiadł, oświetlony księżycową i gwiazdną poświatą. Jordan był wyczerpany, długa bitwa z nieznanym przeciwnikiem pozostawiła w jego głowie pustkę, nie na tyle jednak, aby nie mógł docenić z kim się zetknął.

Ostatni raz doświadczył czegoś podobnego jesienią 1977, w Harkley House w Devon. Julian Bodescu. Tylko Harry Keogh potrafił oczyścić tamto grzęzawisko. Zastanawiał się, czy teraz pojawiło się to samo. Czy wraz z Kenem Layardem odczuwali obecność tego... tej istoty, zanim jeszcze nie pojawiła się przed nimi w całej okazałości? Wszystkie wrażenia zaczynały się teraz układać, a obraz, który tworzyły, był straszny. Żywica konopi indyjskich, kokaina, to zwykła rzecz, zupełnie nieszkodliwa w zestawieniu z tym.

— INTESP. — Głęboki, kipiący głos brzmiał znowu w głowie Jordana, a jego mentalne szpony zaciskały się na jego umyśle.

— Co to jest INTESP?

Przygwożdżony samym ciężarem telepatycznej mocy wampira, Jordan mógł tylko więc się, gdy potwór rozpoczął drobiazgowy, bolesny przegląd wszystkich jego najbardziej sekretnych myśli...

Janosz mógłby tak egzaminować Jordana całą noc, gdyby mu nie przerwano. Wyjrzał przez okno w dół i zobaczył brodatego, brzuchatego Pawlosa Themelisa, kapitana „Samotraki”, przechodzącego przez ulicę w kierunku tawerny Dakarisa. Trochę się spóźnił na spotkanie z człowiekiem, którego nazywał Jiannim Lazaridesem. Jednak przybył i Janosz przerwał eksplorację umysłu Jordana.

Tego ranka znalazł się pod obserwacją złodzieja myśli, wysłał własne czułki i zadał cios tamtemu. To była instynktowna reakcja, która jednak dała wampirovi czas do namysłu. Jordan okazał się silny i wyszedł z tego. Postanowił więc zaatakować jego mózg jeszcze raz — innym rodzajem broni — takim, z którego angielski szpieg nie wyjdzie.

Zapuszczając swe wampirze zmysły w głąb psychiki Jordana, Ferenczy natrafił na wrota poczytalności, zaryglowane i okratowane. Przekręcił jednak klucz, rozwarł kraty, wypchnął rygle i otworzył te drzwi.

Pawlos Themelis i jego pierwszy oficer weszli na piętro. Zobaczyli grecką prostytutkę zbierającą odłamki szkła ze szklarnicy Janosza i oferującą mu swoją. Siedząc nieruchomo, chwycił dziewczynę za rękę.

— Teraz idź — rozkazał.

Kiedy przemykała obok zwalistego przemytnika narkotyków, ten złapał jej ramię dłonią wielką jak bochen chleba, objął wokół talii i podciął stopy. Obalił ją tak, że spódnica zakryła jej pełną furii twarz. Powęszył chwilę między jej nogami.

— Czyste majtki! — zaryczał. — Z rozcięciem! Dobrze! Zobaczymy się później, Ellie!

— Na pewno nie! — Splunęła na niego. Zbiegła ze schodów, przecięła tawernę i wyprysnęła na ulicę. Ochrypty głos Nikosa Dakarisa ścigał ją, gdy znikła w mroku nocy.

— Przyrowadź ich tutaj żywych, dziewczyno. Przyrowadź ich, abym mógł zobaczyć kolor ich pieniędzy! — wołał.

Towarzyszyła temu salwa grubiańskiego śmiechu, po której muzyka bouzouki ruszyła jeszcze zwawiej. Pawlos Themelis zajął miejsce naprzeciw człowieka, którego znał jako Jianniego Lazaridesa. Krzesło zaskrzypiało, gdy siadał, łokciami opadając na stół. Jego kapitańska czapka z daszkiem była przekrzywiona na jedną stronę, co, jak sobie wyobrażał, nadawało mu pirackiego wdzięku.

— Tylko jedna szklanka, Gianni? — zahuczał. — Lubisz pić w samotności?

— Spóźniłeś się! — Janosz nie miał czasu na żarty.

Pierwszy oficer, niski, krępy, prawdziwa torpeda ludzka, pozostał u szczytu schodów.

— Szklanki, Nikos — zawołał do Dakarisa — i butelkę brandy. Tylko szybko, parakalo!

Następnie chwycił krzesło i przyniósł je do stołu przy oknie.

— I co, wytłumaczył się? — zwrócił się do Themelisa.

Za ciemnymi okularami oczy Ferenczego zwężyły się.

— Co? Czy jest coś, co powinienem tłumaczyć?

— No, no, Gianni! — W głosie Themelisa brzmiała przygana. — Miałeś przyjść na nasz pokład dzisiaj rano nie opodał przystani, a nie kołysać się na twoim ślicznym białym stateczku, jakby cię użądliło w dupę! Mieliśmy stanąć obok siebie, miałeś przyjść i zobaczyć towar, z którego kilogram był dla ciebie, gdybyś potrzebował. Gdzie twój wartościowy wkład w nasze wspólne przedsięwzięcie? Pokaz zaufania z obu stron, jakby nie patrzeć. Taki był plan, na który przystałeś. Tyle tylko... że nie wypalił. — Wzrok Themelisa, dotąd pogodny, stał się ciężki, a głos stwardniał. — A później, kiedy przycumowaliśmy łódź i zastanawiałem się, co to za cholerne kurestwo, otrzymałem wiadomość, że spotkamy się tutaj, wieczorem. Czy jesteś więc pewien, że nie masz się z czego tłumaczyć?

— Wytłumaczenie jest proste — odszczeknął Gianni. — Plan nie powiódł się, bo byliśmy obserwowani. Przez ludzi z brzegu, z lornetkami. Przez policjantów!

Themelis i jego zastępca popatrzyli na siebie.

— Policjantów, Gianni?

— Wiesz to na pewno? — Themelis uniósł krzaczastą brew.

— Tak — odparł Janosz, gdyż istotnie wiedział to na pewno. Wziął informacje od angielskiego złodzieja myśli. — Tak, jestem tego pewien. Nie mogłem się pomylić. I chciałbym ci przypomnieć, że od samego początku tego przedsięwzięcia nalegałem na absolutną anonimowość i izolację od wszystkich jego trybików. Ja nie mogę być wystawiony na jakiegokolwiek śledztwo albo dochodzenie. Myślałem, że to jest jasne.

Teraz Themelis zmrużył oczy, skrzywił szyderczo usta... i odwrócił się w kierunku Dakarisa, który wspinał się po schodach.

— Hmm. — Przypominający pocisk towarzysz Themelisa chrząknął, gdy Dakaris stawiał na stole szklanki i butelkę brandy. — Co się stało, Nick? Czy musiałeś po to posyłać?

— Bardzo śmieszne — rzucił Dakaris przez ramię na odchodnym. — Ale już nie tak bardzo, gdy weźmie się pod uwagę, że niektórzy z moich klientów właśnie mi płacą. Z przyjaciółmi zawsze dojdę do ładu, ale klienci bez forsy, którzy zarazem obrażają mnie...?

Poszedł na dół.

Themelis skorzystał z okazji, aby uporządkować myśli.

— To nic nowego, być obserwowanym przez policję. Każdy jest obserwowany przez policję. Musisz trzymać swe nerwy na wodzy, to wszystko, i nie wpadać w panikę.

— Umiem doskonale trzymać nerwy na wodzy — powiedział Janosz Ferenczy. — Tylko że, o ile się nie mylę, na pokładzie „Samotraki” znajduje się kokaina wartości dziesięciu milionów funtów brytyjskich albo dwu miliardów drachm. Co oznacza dwieście miliardów leptów. Pięćset lat temu człowiek mógł kupić całe królestwo za taką sumę i jeszcze wynająć armię do pilnowania. A ty mi mówisz

o utrzymaniu nerwów na wodzy i nie panikowaniu? Pozwól więc, że ci coś powiem, gruby przyjacielu: różnica między odwagą i tchórzostwem polega na rozwadze. Między człowiekiem bogatym a kieszonkowcem — na tym, by umieć w porę odejść od źle ułożonych planów.

Gdy to mówił, twarze pozostałej dwójki ściągnęły się jeszcze bardziej, skonfundowane i przejęte. Mówiąc szczerze, kapitan „Samotraki” (którego przestępca natura zawsze brała górę nad rozważą, rezultatem czego była seria wyroków), zastanawiał się, co u licha tamten głądzi. Za młodu Themelis zbierał monety. Ale lepty? Według jego wiedzy ostatnie zostały wybite w 1976 roku — w dwudziestkach i pięćdziesiątkach ze względu na ich małą wartość. Przeliczać masę obecnych pieniędzy na lepty, to musiało być oznaką szaleństwa! Trzeba by chyba pięćsetkę, by kupić jednego papierosa! A to użycie słowa „loch” zamiast „więzienie”... co zrobić z tym człowiekiem? Wiedział, że nikt nie może wyglądać tak młodo i myśleć tak archaicznie.

Pomagier Themelisa sądził mniej więcej to samo. Z wszystkiego, co Lazarides powiedział, jego końcowe wyrażenie — intencji — uwydatniało się z całą przejrzystością. Lazarides chce się wycofać.

— Tylko bez gróźb, Jianni, czy jak się tam naprawdę nazywasz — warknął teraz. — Nie należymy do tych, których można łatwo przestraszyć. Nikt nie odchodzi od nas. Trudno jest chodzić z przetrąconymi nogami.

Ferency głądził szklankę palcami lewej dłoni, patrząc raczej na Themelisa niż na jego mocnego w gębie kompana. Wreszcie jego trzypalczysta dłoń zatrzymała się, a głowa odwróciła się wolno, aż mógł wejrzeć prosto w oczy tamtego. Jakby skulił się na niskim krześle — może ze strachu. Jego lewa ręka ześlizgnęła się niczym wąż z długiego, wąskiego stołu i zwisała z boku. Rzezimieszek nieomal czuł intensywność spojrzenia Janosza celującego prosto w niego poprzez ciemne okulary.

— Zarzucasz mi, że wam grożę? — odpowiedział w końcu Janosz głosem cichym i głębokim. — Ośmielasz się myśleć, że zniżałbym się do gróźb wobec kogoś takiego, jak ty? I co więcej, jakby tamtego nie było dosyć, ty z kolei grozisz mi? Masz czelność grozić... mi?

— Martw się o swoje kości — syknął tamten. Jego wargi cofnęły się, odsłaniając żółte zęby. Przesunął się na krawędź krzesła i pochylił do przodu, wypychając głowę do przodu. — Ty wyszczekany, wypindrzonny, nadęty bękarcie!

Lewa ręka Janosza znalazła się poza zasięgiem wzroku, przysłonięta krawędzią stołu. Ale zamiast cofnąć się, Janosz także pochylił twarz do przodu.

Nagle ruchem tak szybkim i płynnym jak rtęć, wampir wystrzelił swą dużą, długopalczystą dłonią na odległość prawie metra. Pod stołem złapał tamtego za krocze tak głęboko, aż jądra same wpadły mu do ręki. Kręcąc i ściskając jednocześnie, Ferency potrzebował jedynie zewrzeć swe przypominające dłuta paznokcie i szarpnąć ze swą wielką siłą, by wykastrować tamtego.

Pierwszy oficer kłapnął zębami, sztywno wyprostowany na krześle, dłońmi wczepił się w stół. Wił się, stękając, a jego oczy wychodziły z orbit. Był o małą chwilę od zostania eunuchem i nie mógł nic zrobić.

Wampir wzmocnił ucisk i powoli wycofywał pod stołem rękę. Jego ofiara zsunęła się z krzesła i wpadła pod przymocowany do podłogi stół, trzymając się obie rękoma jego krawędzi, aby utrzymać równowagę i złagodzić ból. Ale ręka Janosza ciągle go tam trzymała; i wciąż świdrował go oczami. Twarz wampira, wcześniej poszarzała z wściekłości, teraz po prostu uśmiechała się sardonicznie. Gulgocąc, zalany strumieniami łez płynących oczu, które pokryte delikatną siecią żyłek przypominały marmur, udręczony bandyta wiedział, jak beznadziejna była jego sytuacja. I nagle oświeciło go, iż nie tylko jest możliwe, że Janosz zrobi to coś niewyobrażalnego, ale, że to jest całkiem prawdopodobne.

— Nie, nie — wykrztusił.

Ferency czekał. Odczytał z myśli tamtego, jak i z jego wilgotnej, zmiętej twarzy oznaki poddania się. Jednym skoordynowanym ruchem wykonał ostateczny skręt, ścisnął, a następnie odepchnął tamtego.

Łotr z łoskotem padł na plecy. Rzęząc i łkając zwinął się jak embrion, z dłońmi pomiędzy udami. I tak pozostał, wstrząsany dreszczami, jęcząc z wielkiego bólu.

Wszystko to przeszło niezauważone przez ludzi na dole tawerny, gdzie zorba z towarzyszącym jej klaskaniem i przytupywaniem pochłonęła wszystko inne. Zresztą rzecz cała odbyła się bez wielkiego hałasu.

Pawlos Themelis był biały jak ściana, a jego obrośniętą twarzą targały skurcze. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje, a kiedy zorientował się, było już po wszystkim. Lazaridesowi nie spadł nawet włos z głowy. Płynnym ruchem wstał i zawisł nad stołem.

— Jesteś głupcem, Themelis — mruknął — a tamten jest jeszcze większym. Ale... umowa jest umową i za wiele włożyłem w ten interes, aby go teraz porzucić. Tak więc zdaje się, że muszę przez to przebrnąć. W porządku, ale przynajmniej pozwól, że udzielię ci pewnej rady: na przyszłość bądź ostrożniejszy.

Zrobił ruch, jakby chciał wychodzić, a Themelis usunął się szybko z jego drogi.

— Ale — z lękiem wydusił z siebie — nam wciąż potrzeba twoich pieniędzy, albo przynajmniej trochę złota, aby dokończyć robotę.

Janosz przystanął. Wyglądało, że zastanawiał się przez moment.

— O trzeciej nad ranem — odrzekł — kiedy cała straż przybrzeżna i rozmaici obrońcy prawa będą w swoich łózkach, podnieś kotwicę. Spotkamy się trzy mile morskie na wschód od Mandraki. Tam dokończymy interesów. Zgoda?

Themelis skinął głową.

— Możesz na to liczyć — powiedział. — Stara „Samotraki” będzie tam.

Jego kompan zaś ciągle skręcał się z bólu i stękał, rozmazując na podłodze ciemną plamę potu. A Ferency, odchodząc, nawet na niego nie spojrział.

Minęła jedenasta i ulice Starego Miasta w okolicy nabrzeża znacznie ucichły. Długimi krokami Janosz oddalał się szybko od tawerny Dakarisa, starając się iść miejscami zacienionymi. Grecy policjanci schowani w jeszcze głębszym cieniu zignorowali jego osobę. Bowiem ich „zwierzyną” był Pawlos Themelis.

Mieli za zadanie śledzić go, sprawdzać, z kim się spotyka i czy nie rozprwadza towaru, ale nie zatrzymywać. W grę wchodziła duża stawka i puszczając topór w ruch, ktoś tam, na górze, chciał mieć pewność, że spadnie on nie tylko na kapitana i załogę „Samotraki”, lecz na całą organizację. Było całkiem oczywiste, że Nikos Dakaris także miał w tym swój udział, a jego zatechła tawerna stanowiła prawdopodobnie punkt dystrybucyjny. Mówiąc krótko, szczęście nie opuszczało Janosza Ferenczego.

Rozmarzeni greccy policjanci nie byli jedynymi, którzy widzieli go, jak opuszczał tawernę. Patrzyła nań także Ellie Touloupa, z punktu obserwacyjnego na pierwszym piętrze, o jeden budynek dalej, gdzie stare kamienne sklepienie wspierało wąską uliczkę. Widziała, jak wychodził, śledziła jego trasę: w kierunku mola w porcie, do którego przybijały szalupy przewożące na ląd ludzi ze statków i łodzi wypoczynkowych. Ellie zrobiła mały wywiad o Lazaridesie i wiedziała, że lśniący, biały „Lazarus” należał do niego. Zastanawiała się, czy miał kobietę na pokładzie. Lecz jeśli tak, po co miałby siedzieć na łodzi, pijąc samotnie w tak obskurnej budzie, jak knajpa Dakarisa? Może ma problemy? W każdym razie, uważała go za bardzo podniecającego, a kto wie, może i skapnie przy tym trochę grosza? Ba, mogłaby nawet spędzić noc na jego statku.

Tak biegły jej myśli. Zgasła papierosa, zeszła na parter i ruszyła poprzez labirynt uliczek brukowanych kocimi łbami w kierunku miejsca, gdzie mogłaby go złapać. I w istocie spotkała go, na skrzyżowaniu otoczonym wysokimi murami, tuż przy przystani. Janosz od razu wyczuł jej obecność. Była zdyszana, a jej wysokie obcasy ześlizgnęły się po brukowcach. Zatrzymała się nagle w mroku. Czowała, że mógł ją nawet spostrzec (choć było dla niej zagadką, jak w tych ciemnych okularach w ogóle cokolwiek widział), gdyż zwolnił kroku i zwrócił głowę prosto w jej kierunku.

Wówczas... doznała dziwnego wrażenia. Chciała, by wiedział, że ona tu stoi, ale zarazem bała się tego. Pragnęła stanąć bez ruchu, wstrzymać dech, w nadziei, że on przejdzie obok. Albo...

— To ty — powiedział, robiąc krok w kierunku cienia, w którym się skryła. — Ale tu jest pusto, Ellie, a u Nicka na pewno czekają na ciebie klienci.

Wyszła z cienia. Stanęli blisko siebie, ledwo widoczni w mroku starych kamiennych murów.

— Myślałam, że może mogłabym pójść z tobą na twoją łódź — rzekła bez tchu.

Delikatnie wepchnął ją na powrót w ciemność, aż oparła się plecami o mur.

— Nie, nie mogłabyś — odpowiedział, powoli kołysząc przecząco głową.

— To, ach! — Wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy jego ręka objęła ją w tali, tuż nad biodrami. — To... może chciałbyś przelecieć mnie tutaj, teraz, przy tej ścianie?

— A czy powinienem płacić za coś, czego tak bezsprzecznie pragniesz?

— Już zapłaciłeś. — Jej oddech stawał się coraz gorętszy, gdy wolną ręką rozpiął jej bluzkę. — Twoje wino...

— Tanio się cenisz, Ellie. — Zadarł jej spódnice i przysunął się bliżej.

— Tanio? — wydyszała — dla ciebie jest za darmo!

— Za darmo? Oddajesz się za darmo? Ach, świat jest pełen niespodzianek! Dziwka, a jaka niewinna.

Rozstawiając nogi, wciągnęła go i jeszcze mocniej rozwarła, gdy w nią wszedł. Potężny, wypełnił ją całą i wciąż nabrzmiewał. Nigdy przedtem czegoś takiego nie doznała, ani nawet nie była zdolna sobie wyobrazić. Pomyślała, że jest jakimś bogiem, jakimś fantastycznym Priapusem.

— Kim... jesteś — wyszeptwała, wiedząc bardzo dobrze, kim jest. — Czym... jesteś? — poprawiła się.

Ferency, w pełni pobudzony, jedną ręką ścisnął jej piersi, a drugą sięgnął pod nią. Ciągłe potężniał: nie grubiał, lecz wydłużał się. Jego palce odnalazły odbyty i także wydawały się rosnać.

— Ach! Ach! Ach! — dyszała, z oczami szeroko otwartymi i błyszczącymi w ciemności.

— Znasz legendę o Vrykoulakasie? — Zabrał lewą rękę z jej piersi i zdjął ciemne okulary, zakrywające mu dotąd oczy, które teraz rozjarzyły się szkarłatem jak węgliki.

Wciągnęła powietrze całą objętością płuc, ale zanim zdążyła krzyknąć, jego szczeka objęła dolną połowę jej twarzy. Język także napierał, w dół jej targanego konwulsjami gardła.

— No, widzę, że znasz legendę! Dobrze, a teraz znasz też rzeczywistość. Niech więc tak będzie! — rozległ się głos w jej głowie.

Wampiryczna materia wnikała w każdą jamę ciała dziewczyny, pozostawiając włókniste zawiązki, które zagrzebywały się w jej żyłach i arteriach jak robaki w glebie, bez niszczenia struktury. Zanim jeszcze straciła świadomość, Janosz zaczął zaspokajać głód.

Jutro znajdą ją tutaj i powiedzą, że umarła na złośliwą anemię, i nawet najbardziej drobiazgowo badania nie wykryją nic, co by podważało tę wersję. Nie będzie też żadnych pozostałości tego najsmakowszego z zespoleń. Janosz zatroszczył się bowiem o to, by żadna jego cząstka nie została w niej, żadna która mogłaby później przysporzyć mu kłopotów. Co zaś do życia, które zabrał... Było tylko jednym z wielu...

Trzy i pół godziny później. Trzy mile od miasta Rodos.

„Samotraki” tkwiła nieruchomo. Rzecz niezwykła, w ciągu ostatnich dziesięciu czy piętnastu minut woda zabulgotała, pojawiły się strzępki pary, które przeszły w mgiełkę, a następnie w gęsty tuman. Białe, wilgotne obłoki przewalały się przez pokłady statku, a widoczność spadła do zera. Pierwszy oficer, ciągle osłabiony potyczką z Janoszem Ferenczym wezwał Pawłosa Themelisa na górę. Kapitan był w rzeczy samej zaskoczony.

— Co? — wykrzyknął. — Przecież to idiotyzm. Czy coś z tego rozumiesz?

Tamten potrząsnął głową.

— Idiotyzm, jak mówisz. Mógłbyś oczekiwać czegoś takiego w październiku, ale to za sześć miesięcy.

Przeszli na pomost sterniczny, gdzie jeden z członków załogi próbował uruchomić sygnał mgłowy.

— Daj spokój — powiedział do niego Themelis. — Nie działa. Na Boga, to jest przecież Morze Egejskie! Sygnał mgłowy? Nigdy tego nie używałem. Rury są pełne rdzy. Para pójdzie w dziury i tyle z tego będzie. Zrób więc coś pożytecznego i zwiększ ciśnienie w kotwicach. Musimy się stąd ruszyć.

— Ruszyć — zdziwił się oficer. — Dokąd?

— W diabły! — szczechnął Themelis. — Jak myślisz, gdzie? Tam, gdzie coś widać, gdzie będzie małe prawdopodobieństwo, że „Lazarus” wytoczy się nie wiadomo skąd i przetnie nas na pół!

— O diable mowa — mruknął tamten, a jego małe, świńskie oczka z nienawiścią przywitały biały, lśniący kształt, który niczym duch pojawił się obok. Dał całą wstecz i zastygł wśród delikatnego plusku fal.

Szara, spowita we mgle załoga „Lazarusa” podała cumy. Statki zostały sczeplone lewymi burtami. Stare opony, niczym girlandy zwieszające się wzdłuż bocznego poszycia „Samotraki”, zadziały jak bufory, oddzielając dwa kadłuby. Wszystko to odbyło się jedynie przy świetle lamp pokładowych, w ciszy tak niezwykłej, że nawet skrzypnięcie opon, ściskanych i pocieranych między burtami, zdawała się tłumić mgła.

Chociaż „Lazarus” był nowoczesnym statkiem o kadłubie ze stali, równie szerokim jak kadłub „Samotraki” ale trzy metry dłuższym, to jednak siedział w wodzie głębiej. Pokłady znajdowały się na tej samej wysokości i przy nieomal bezwietrznej pogodzie nie było nic prostszego, jak suchą stopą przejść z jednego statku na drugi. A jednak załoga białej jednostki, w liczbie ośmiu, stała wzdłuż relingu. Tymczasem ich dowódca i jego amerykański towarzysz schowali się nieco z tyłu. Światła kabiny, rozproszone przez mgłę, rzucały srebrną poświatę. W Themelisie i jego ludziach narastał niepokój. Coś tutaj było nie w porządku, coś więcej niż ta niesamowita, nienaturalna mgła.

— Ten kutas Lazarides — mruknął cicho pomagier Themelisa — wkurwia mnie.



Themelis prychnął szyderczo.

— Co za delikatność, Christos. Trzymaj swoje jaja z dala od niego, a wszystko będzie w porządku.

Tamten zignorował drwinę.

— Mgła go opatula — ciągnął drżąc. — Wydaje się wprost z niego wychodzić!

Lazarides i Armstrong skierowali się w stronę furty w burcie. Zatrzymali się tam, pochyleni do przodu, badawczo penetrując pokład „Samotraki”. „Nie ma między nimi różnicy, jeżeli idzie o wzrost — myślał Themelis — ale jest znaczna w stylu i noszeniu się”. Amerykanin powłóczył nieco nogami, jak małpa, a prawe oko przykrywała mu czarna opaska. W ręce trzymał elegancką, czarną teczkę w nadziei na dużą ilość pieniędzy. Lazarides stał za nim, sztywny, jakby kij połknął, skrywając się nawet teraz za ciemnymi okularami mimo nocy i mgły.

— Jesteście więc, Gianni. — Themelis otrząsnął się z ponurej depresji, która zaczynała go ogarniać, rozłożył ramiona, rozejrzał się dokoła i kiwnął głową z zadowoleniem. — W końcu zaciszę, co? W samym sercu mgły, z dala od całego tego cholerstwa! A więc... witam na pokładzie starej „Samotraki”.

Lazarides uśmiechnął się wreszcie.

— Zapraszasz mnie na pokład?

— Co? — zapytał Themelis, zdziwiony. — Ależ oczywiście! Jak inaczej moglibyśmy dokończyć interesów?

— Rzeczywiście, jak? — przytaknął tamten posępnie.

Przechodząc na „Samotraki”, zdjął okulary. Armstrong podążył za nim z resztą ludzi, przeskakując przez nadburcie. Załoga cofnęła się stłoczona, wiedząc już teraz na pewno, że coś jest nie w porządku. Marynarze z „Lazarusa” wyglądali jak ognistoocy zombi, a ich wódz...

Pawlos Themelis, widząc przemianę, jaka dokonana się na twarzy człowieka, którego nazywał Lazaridesem, pomyślał, że to oczy płatają mu figla. Jednak pierwszy oficer gorączkowo wyszarpnął pistolet z kabury pod pachą. Za późno. Armstrong już stał nad nim. Wyrzwał go w rękę teczką w momencie, gdy broń nachodziła na cel. Chwycił go za ramię i obrócił pistolet w kierunku jego głowy. Wsadził mu lufę do ucha.

— Ha — parsknął.

Ofiara, widząc jedynie oczy Amerykanina, płonące jak siarka, rozdwojony, karmazynowy język, trzepoczący w czeluści jego ust... zastygła.

— Ten, tam — zwrócił się Janosz do Themelisa niemal swobodnym tonem — był głupcem.

Co stanowiło zarazem sygnał dla Armstronga, by pociągnąć spust. Głowa Christosa w ułamku sekundy zamieniła się w szkarłatną miazgę, a jego ciało jak obszarpana, szmaciana lalka zwisło przez poręcz nadburcia. Po chwili ześlizgnęło się pomiędzy burtami, wyplute w mgłę miękko pokrywającą powierzchnię morza.

— Matko przenajświętsza! — wykrzyknął Themelis, równie bezradny jak jego ludzie. Ferency podszedł do niego. Grek cofnął się i znowu, nie dowierzając własnym oczom, konstatował długość głowy i szczęk tamtego, zęby w potwornych ustach, niesamowity, szkarłatny płomień w jego strasznych oczach.

— J... J... Gianni — Themelis w końcu zmusił swój mózg do pracy. — Gianni, ja...

— Pokaż mi tę kokainę. — Janosz ujął jego ramię żelaznym uściskiem, wrażając palce głęboko. — Ten, och, jakże wiele wart biały proszek.

— To, to jest na dole... — Odpowiedź Themelisa była ledwie westchnieniem. Nie potrafił, nie miał śmiałości, oderwać wzroku od twarzy tamtego.

— Więc zaprowadź mnie na dół. — Ferency rozkazał po chwili.

Jeszcze pod pokładem, Themelisa dochodziły krzyki załogi. „Co, Christos głupcem? Może, ale przynajmniej nie dowiedział się, co go zabiło!” — pomyślał. Po chwili jego krzyk dołączył do reszty...

Czterdzieści minut później silniki „Lazarusa” zakaszłały i statek odbił się od martwo kołyszącej się na falach „Samotraki”. Mgła podnosiła się, gwiazdy zaczynały przezierać. Wkrótce horyzont zaróżowił się brzaskiem dnia. Kiedy „Lazarus” oddalił się na ćwierć mili, potężna eksplozja rozerwała powietrze. W górę strzelił słup ognia. Skręcone, łopoczące szczątki stateczku wpadły do morza i tam zgasły. Nie było już „Samotraki”.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### Harry Keogh: dawniej nekroskop

Harry obudził się ze świadomością, że coś się zdarzyło lub zaraz się zdarzy. Leżał na olbrzymim, starym łóżku. Trzymał w rękach opastę, oprawione na czarno tomisko. „Księga wampirów”, tak zwany traktat o faktach, który analizował podstawy zła wampirów przez wieki aż do współczesności. Dzieło stanowiło lekką lekturę dla nekroskopa. Nikt bowiem na świecie — z jednym wyjątkiem — nie wiedział więcej o legendzie, źródłach i rzeczywistości wampiryzmu niż Harry Keogh. Tym wyjątkiem zaś był jego syn, również Harry. Przebywał jednak w zupełnie „innym” świecie. . .

Harry’ego nawiedzał wciąż stary, dokuczliwy sen. Splatał jego życie i miłość sprzed piętnastu lat z obecnymi zdarzeniami, zamieniając je wszystkie w surrealny kalejdoskop erotyzmu.

Śnił, że kocha Helen, przeżywa pierwsze, nieśmiałe (duchowe, jak i fizyczne) doświadczenia erotyczne. Wielbił swą żonę, Brendę, prawdziwą miłością. Wizje oniryczne, jakkolwiek dziwne i przemieszane, były mu słodkie, znajome i czułe. Ale śnił także o Lady Karen i jej wyniosłym siedlisku w krainie wampirów.

Wydawało się prawdopodobne, że właśnie to przerażające wspomnienie przebudziło go.

Gdzieś pomiędzy wyłoniło się także marzenie o Sandrze, jego nowej, miał nadzieję, trwałej miłości.

Sandra. . . kochali się przedtem kilkakrotnie, choć rzadko w satysfakcjonujący sposób. Zawsze w jej mieszkaniu w Edynburgu, w zielonej poświacie przyciemnionej lampki nocnej.

Nie satysfakcjonujące dla Harry’ego w każdym razie. Oczywiście, nie mógł mówić za dziewczynę. Podejrzewał, że była w nim zakochana.

Nigdy nie wyrażał swego niezadowolenia. Nie dlatego, żeby jej nie ranić, lecz dlatego przede wszystkim, iż to ujawniłoby jego defekt. Defekt, a jednocześnie coś paradoksalnego. Gdyż przypuszczał, że w porównaniu z innymi mężczyznami (Harry nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że nie miała innych) musiał się Sandrze wydawać istotą nadludzką.

Potrafił kochać się z nią godzinę, czasami dłużej, zanim doprowadzał siebie do szczytu. Nie czuł się bynajmniej nadczłowiekiem, w każdym razie nie w tym sensie. Po prostu, kochając się z nią w łóżku, widział oczyma wyobraźni inne kobiety. Przyjaciółkę znajomego albo jakąś dziewczynę z okładki czy coś takiego. Nawet małą Helen z czasów dzieciństwa albo żonę, Brendę, z czasów młodości.

Defekt Harry'ego bez wątpienia wydawał się czymś niesamowitym dla Sandry. Zaiste, nekroskop powinien uważać się za szczęściarza, każdy to mówił. Być może zimne, zielone, przyćmione światło odwracało jego uwagę: nie przepadał za tym kolorem.

A jej oczy błyszczały jak szmaragdy.

Obudził się w łóżku, w swoim wiejskim domu nieopodal Bonnyrigg niedaleko Edynburga. Poczul ciężar książki trzymanej w dłoni... więc może to zabarwiło jego sny. Wampiry. Królestwo wampirów. Lordowie. Nie byłoby w tym naprawdę nic zaskakującego: wspomnienia zabarwiały jego sny od dobrych kilku lat.

Za oknem wstawał brzask. Blade strumienie zielonoszarego światła, przefiltrowanego przez wąskie szczeliny w żaluzjach, wzbogacały atmosferę pokoju ledwo widoczną, akwarelową mgiełką, zawiesiną wyblakłych podmorskich pigmentów.

Nekroskop odzyskał pełnię świadomości, powrócił do życia, gdy poczuł, czy raczej usłyszał alarmowy dzwonek. Włosy stanęły mu dęba.

Słuchał w napięciu: mruczenie z rur centralnego ogrzewania reagujących na polecenie czasomierza, pierwszego idiotycznego świergotu zaspanych ptaków w ogrodzie, odgłosów leniwie przeciągającego się świata. Harry z radością witał świt. Szczęśliwy, że noc minęła bezpiecznie, a nowy dzień stoi na progu. Ale tym razem czuł, że coś się stało. Przeszył wzrokiem bladą, zieloną mgiełkę, wytrzeszczając oczy w kierunku otwartych drzwi sypialni. Oszołomiony jeszcze, dojrzał jakiś zamazany, nieokreślony kształt o nieostrych konturach.

Każdy, kto kiedykolwiek budził się po dobrym pijaństwie, wiedziałby, jak czuł się Keogh. Na wpół wiesz, gdzie się znajdujesz, ale chciałbyś przenieść się w jakiegokolwiek inne miejsce. Wiesz, kim jesteś, ale nie masz pewności, że to naprawdę ty. Część syndromu „nigdy więcej”. Harry jednak nic nie pił.

Innym doznaniem, które nieodmiennie porażało go przy okazji takich jak to przebudzeń — które kilkakrotnie bardzo go przestraszyło — był paraliż. Wiedział, że jest to tylko stan przejścia od snu do jawy, tym niemniej bał się. Siłą wymuszała stopniowe posłuszeństwo na swoich członkach, zaczynając zazwyczaj od dłoni lub stopy. Leżał teraz sparaliżowany, spośród wszystkich części ciała władał jedynie oczami. Zmusił je, by wpatrywały się w mrok za otwartymi drzwiami sypialni.

Coś się zdarzyło. Coś wyrwało go ze snu. Coś pozbawiło go satysfakcji wytrzynięcia w Sandrę. Coś znajdowało się w domu...

To tłumaczyłoby dzwonek w jego głowie, dreszcze przeszywające ciało, słabnącą erekcję. W powietrzu unosiły się perfumy. Coś poruszało się w cieniu za drzwiami sypialni. Coś zbliżało się do drzwi, przystało poza zasięgiem wzroku.

Harry chciał zawołać: „kto tam?”, ale paraliż nie pozwolił mu. Może trochę zaszemrał. Jakiś kształt częściowo wynurzył się z cienia. Poprzez tę podmorską zawieszinę widział pępek, dolną część brzucha z ciemną gęstwą włosów łonowych, krągłość kobiecych bioder i zwieńczenie ud, bielejące nad wykończeniem czarnych pończoch. Stała (kimkolwiek była) zaraz za drzwiami, jej delikatne ciało przezierało w słabym, sączącym się świetle. Gdy tak patrzył, nogi poruszyły się, biodro wysunęło. Spodziewał się, że za sekundę ujrzy duże i dojrzałe piersi. Sandra miała drobne piersi.

Głos Harry’ego ciągle odmawiał posłuszeństwa, mógł jednak wreszcie poruszyć palcami lewej dłoni. Wiedział, że Sandra musi go widzieć. Jego sen miał się spełnić. Krew zaczęła na powrót łomotać mu w tętnicach. W tyle głowy pojawiły się nieśmiałe pytania, na które sam sobie szybko odpowiedział.

„Dlaczego przyszła?” — myślał. — „Oczywiście dla sexu. Jak dostała się do środka?”

Nie pamiętał, żeby dał jej klucz. Sądził, że może chciała najpierw zobaczyć go w pełni pobudzonego. Może nie zamierzała go wyrywać ze snu, zanim nie znajdzie się z nim w łóżku. Zastanawiał się, dlaczego tak długo zwlekała z pokazaniem mu, że potrafi być seksualnie agresywna. Zdarzało się jej i przedtem przejmować inicjatywę, ale nigdy do tego stopnia. Być może wyczuwała jego niepewność — obawiając się, że może mieć jakieś podwójne myśli — lub podejrzewała, iż nigdy nie doznał z nią pełni rozkoszy.

Keogh intensywnie wpatrywał się w mglistą postać, aż oczy zasły mu łzami. Wyciągnął lewą rękę, szarpnął sznur od żaluzji, by odciąć dopływ słabego, zielonoszarego światła. Pokój pograżył się w zupełnym mroku. Jedyne brzask przedzierający się przez szczeliny w żaluzji rysował zielony wzór na ścianie.

Ruszyła do przodu. W pończochach, koszulce trykotowej podwiniętej aż do pępka. Seksowna, płynęła w jego kierunku przez mrok, poruszając niespiesznie biodrami. Weszła kolanami na łóżko, delikatnie oświetlona paskami szmaragdowego świtu, rozwarła uda, przesunęła się do przodu. Ciemna szczelina była widoczna w gęstwinie jej włosów. Zachowywała się tak cicho. I tak lekko. Łóżko wcale nie ugięło się pod nią. „Jak ona to robi?” — pomyślał Harry.

Zaczęła opuszczać się na niego, powoli. Ciemna szczelina poszerzyła się, w miarę jak jej ciało nachodziło na cel.

Harry wygiął się w łuk, usiłując ją dosięgnąć... Nie czuł jednak kolan obejmujących jego uda. „Czyżby była bezcielesna?” — przeraził się.

I wtedy, nagle, żądza uleciała w mgnieniu oka. Instynktownie, intuicyjnie rozpoznał, że to nie Sandra. A co gorsza, nie potrafił powiedzieć, co to jest?

Po omacku znalazł sznur lampy i pociągnął go.

Oślepiające światło zalało pokój.

W tej samej chwili szczelina w gęstwinie jej włosów łonowych rozwarła się niczym mechanizm. Dwa rzędy białych, lśniących, ostrych niczym szpilki zębów wystawały z rozdziawionych warg.

Harry krzyknął, rzucił się do tyłu. Grzmotnął głową w ramę łóżka. Rękami bił na oślep, próbując roztrzaskać jej twarz, sięgnął do gardła... lecz przesywał powietrze. Powyżej pępka, pustka, i poniżej ud, pustka.

Ona... okazała się jedynie dolną partią brzucha, waginą wyposażoną w zęby ludożercy, które zaciskały się na nim. Gorąca czerwona krew bryzgała dokoła, gdy ta rzecz raczyła się jego genitaliami, siorbiąc i mlaskając, jakby to były smakowite pomyje. I nagle otworzyło się z trzaskiem karmazynowe oko i patrzyło na niego z oczodołu, który Keogh omyłkowo wziął za pępek.

— I to wszystko, Harry? — Doktor David Bettley, empata INTESP, już na emeryturze z powodu słabego zdrowia, przyglądał się pacjentowi spod krzaczących brwi.

— A to mało? — odparł tamten, poruszony. — Na Boga, jak dla mnie aż nadto! Nie myśl, że się chwale, ale przstraszyć mnie naprawdę nie jest łatwo. Tylko że ten cholerny sen wydawał się tak... realny. Wszyscy miewamy kosmary, ale ten...

Pokręcił głową, a jego ciałem wstrząsnął mimowolny dreszcz.

— Tak, widzę, jak to na ciebie podziałało — odrzekł Bettley z z troskaniem. — Kiedy powiedziałem „i to wszystko”, to nie dlatego, bym lekceważył twój przypadek. Pytam po prostu, czy nie zdarzyło się jeszcze coś?

— Nie — Harry pokręcił głową — gdyż właśnie wtedy się obudziłem. Czy może masz na myśli moją reakcję? Tak, tu się nie mylisz! Czułem się słaby, byłem w szoku. Wypróżniłem się — nie wstydzę się przyznać, że ledwie zdążyłem do ubikacji. Nie chcę być wulgarny, ale ten sen dosłownie wypędził ze mnie całe gównno.

Tu przerwał, opadł na krzesło i zatracił nawet tę odrobinę wigoru. „Wygląda na zmęczonego” — pomyślał Bettley.

Po chwili jednak Harry z niejakim wysiłkiem wyprostował się i popatrzał przed siebie.

— Po tym wszystkim... zapaliłem światła i obszedłem cały dom z tasakiem w ręku. Szukałem tego monstrum wszędzie, godzinę, dwie, aż nastał dzień. Przez prawie cały ten czas drżałem jak liść. Dopiero gdy dreszcze ustały, przekonałem sam siebie, że to był tylko sen.

Niespodziewanie roześmiał się, ale jego śmiech jeszcze teraz tłumił niepokój.

— Hej! O mały włos nie wezwałbym policji. Możesz to sobie wyobrazić? Jesteś psychiatrą, jak sądzisz, jak potraktowałiby moją historię? Może powinienem był odwiedzić ciebie dzień lub dwa wcześniej?

Bettley zaplótł palce i wejrzał głęboko w oczy tamtego. Mężczyzna miał czterdzieści trzy, może czterdzieści cztery lata, jednakże Bettley wiedział, że jego dusza jest o pięć lat młodsza od zewnętrznej powłoki. Było rzeczą niesamowitą mieć do czynienia, a nawet tylko patrzeć na kogoś takiego jak Harry Keogh. Doktor bowiem spotykał tę twarz wcześniej, gdy należała jeszcze do Aleca Kyle'a.

Bettley pokręcił głową, rozmyślnie unikając wzroku Harry'ego. To spojrzenie potrafiło być niekiedy tak bardzo przepełnione uczuciem.

Harry posiadał niegdyś ciało mocne, świetnie zbudowane. Po całym tym zajściu w Zamku Bronnicy wszedł w powłokę zasiedziałego szefa INTESP, dość marną zresztą. Poddał swe nowe ciało ostremu reżimowi, doprowadzając je do szczytu doskonałości. A przynajmniej, zrobił z nim wszystko, co było możliwe, uwzględniając jego wiek. Oto dlatego ta powłoka wyglądała najwyżej na trzydzieści siedem lat. Osiągnął prawie ideał, gdyż dusza, która w niej mieszkała liczyła pięć lat mniej.

— Rozumiesz więc coś z tego? — zapytał Keogh. — Czy to mogłoby być częścią mojego problemu?

— Twojego problemu? — powtórzył Bettley. — O tak, z całą pewnością. O ile, rzecz jasna, wprowadziłeś mnie w pełni w sytuację.

Harry podniósł brwi pytająco.

— Chodzi o twoje uczucia w stosunku do Sandry. Wspominałeś o niejkiej ambiwalencji, braku pożądania, a nawet o słabnącej potencji. Możliwe, że przenosisz reakcje na nią, obwiniając ją za to, że już nie jesteś. . . przerwał.

— Nekroskopem? — dokończył Harry niepewnie.

— Możliwe. — Doktor wzruszył ramionami. — Ale. . . z drugiej strony, twój stosunek do tej zmiany także wydaje się być ambiwalentny. Czasami mam wrażenie, iż jesteś zadowolony, że to wszystko przeszło, i nie możesz już rozmawiać z. . . z. . .

— Z umarłymi — rzucił Harry cierpko. — No, masz rację w połowie. Czasami dobrze jest być po prostu normalnym, zwyczajnym. Przecież większość ludzi uznałaby mnie z jakiegoś dziwoląga, a nawet potwora. Ale zarazem w połowie się mylisz. — Opał znowu na krzesło, zamknął oczy.

Bettley na powrót zaczął go badać wzrokiem.

Falujące, rdzawo-brązowe włosy Harry'ego przeplatały się z licznymi siwymi pasemkami, co przydawało mu wyglądu erudyty, uczonego. Lecz w dziwnym i egzotycznym przedmiocie.

„Przedstawiciel czarnej magii?” — myślał Bettley. — „Czarodziej XX wieku? Nekromanta? Nie, po prostu nekroskop, człowiek, który rozmawia ze zmarłymi — lub może rozmawiał”.

Rzecz jasna, posiadał także inne talenty. Doktor patrzył na niego. Wspominał miejsca, w których ten człowiek bywał. Środki, jakich używał, by się tam dostać, i by wrócić z powrotem. Zastanawiał się, czy jakiś inny człowiek kiedykolwiek

używał niejasnych pojęć matematycznych jako... statku kosmicznego albo wehikułu czasu.

Harry otworzył oczy i złapał badawcze spojrzenie Bettleya. Nic nie powiedział, jedynie odwzajemnił spojrzenie. Doktor był dobrym fachowcem, a przy tym dyskretnym. Wszyscy tak mówili. Miał wiele zalet nie do przecenienia. Musiał mieć, inaczej INTESP nigdy by go nie zatrudnił. „Czy tamten wciąż dla nich pracuje?” — Harry znów się zastanowił. Nienawidził podstępów.

Bettley zmusił się, by wrócić do pracy.

— A więc myślę się w połowie — powiedział. — Chciałbyś odzyskać swoje uzdolnienia, być znowu „dziwolągiem” — by użyć twoich własnych słów, Harry. Ale co zrobisz z tymi uzdolnieniami, jeżeli je odzyskasz?

Harry uśmiechnął się krzywo.

— Wiesz, ledwie znałem swoją matkę — odparł sennym, rozmarzonym głosem. — Byłem za mały, po prostu dzieciak, kiedy umarła. Poznałem ją... później. I brakuje mi jej. Najlepszym przyjacielem chłopca jest jego mama, wiesz? I... mam wiele przyjaciół, tam, w dole.

— W ziemi?

— Tak. Prowadziliśmy tam ciekawe rozmowy.

Bettley z trudem powstrzymał się od wzruszenia ramionami.

— Brakuje ci rozmów z nimi?

— Oni mieli swoje problemy, chcieli odświeżyć swoje poglądy, zastanawiali się, jak potoczyły się współczesne im zdarzenia. Niektórzy bardzo się martwili o bliskich, których zostawili. Czasem mogłem ich pocieszyć. Ale większość z nich czuła się po prostu samotna. Po prostu! Wiedziałem, co to dla nich znaczy. Taka samotność to przekleństwo. Potrzebowali mnie; byłem dla nich kimś ważnym i przypuszczam, że... brakuje mi ich.

— Ale to w najmniejszym stopniu nie tłumaczy twego snu. — Lekarz zamyslił się. — Może on nie ma wytłumaczenia... Straciłeś przyjaciół, uzdolnienia, te twoje właściwości, które czyniły cię wyjątkowym. A teraz obawiasz się, że możesz utracić swoją męskość.

Harry zwięził powieki i skupił się. Przeszył Bettleya wzrokiem.

— Wyjaśnij to.

— A czy to nie jest oczywiste? Bezcielesna kobieca istota — martwa rzecz — pożera to, co czyni cię mężczyzną. Ona była twoim lękiem. Jej wampirza natura wzięła się z twoich przeszłych doświadczeń. Nie lubisz tego stanu normalności, i im dłużej musisz go znosić, tym bardziej się boisz. Wszystko wiąże się z twoją przeszłością, Harry. To, co dotąd utraciłeś sprawia, że boisz się utracić cokolwiek jeszcze. Straciłeś matkę, kiedy byłeś dzieckiem, straciłeś żonę i dziecko w jakimś nieosiągalnym miejscu, straciłeś tak wielu przyjaciół, i nawet własne ciało! A w końcu, utraciłeś swe uzdolnienia. Koniec ze wstęgą Möbiusa, koniec rozmów ze zmarłymi, koniec z nekroskopem...



Harry zmarszczył czoło.

— To co powiedziałaś o wampirach, przypomniało mi o czymś — powiedział. — A nawet o kilku rzeczach.

— No, dalej — ponaglił go Bettley.

— Muszę trochę się cofnąć — podjął Harry — do czasów, kiedy byłem dzieckiem. Już w szkole odkryłem, że jestem nekroskopem. Nie lubiłem tego specjalnie. Miewałem zawroty głowy, a nawet poważniejsze dolegliwości. To znaczy, że to przyszło do mnie w sposób naturalny. Ale jeszcze wcześniej ja... no, widziałem rzeczy.

Bettley był empatą. Teraz docierało do niego coś z tego, co czuł Harry. Podejrzewał, że stanie się coś ważnego. Spojrzał na wskaźnik po swojej stronie biurka: palił się, a więc taśma biegła.

— Jakie rzeczy? — zapytał, kryjąc niecierpliwość.

— Byłem dzieckiem, kiedy mój ojczym zabił moją matkę — odpowiedział tamten. — Morderstwa oczywiście nie widziałem na własne oczy. Nie mogłem też zrekonstruować tego zdarzenia z przypadkiem posłyszanych rozmów, ponieważ relacja Szukszina — nieprawdziwa — została powszechnie uznana. Nikt go nie podejrzewał o to zabicie — z wyjątkiem mnie. Ujrzałem wszystko we śnie, który wówczas często powracał: on trzymający ją pod lodem, dopóki prąd jej nie poniesie. I widziałem pierścień na jego palcu: oko kota wtopione w grubą, złotą obrączkę. Piętnaście lat później wróciłem w tamto miejsce.

— Ale byłeś nekroskopem i odczytałeś to z umysłu swej nieżyjącej matki, nieprawdaż? — Bettley poczuł mrowienie w krzyżu.

Harry pokręcił głową.

— Nie, ponieważ nawiedził mnie ten koszmar na długo przed tym, zanim po raz pierwszy świadomie rozmawiałem ze zmarłymi. Czy wiesz, że moja matka była medium i jej matka też? Może coś po nich przejąłem. Ale skoro tylko mój talent — talent nekroskopa — rozwinął się, reszta zdolności została zepchnięta, zatracona.

— A teraz myślisz, że to wszystko ma jakiś związek z tym najnowszym snem?

— Wiesz przecież, że człowiek niewidomy często rozwija rodzaj szóstego zmysłu? A ludzie kalecy od urodzenia nadrabiają swoje przyrodzone braki w inny sposób?

— Oczywiście — odparł doktor. Niektórzy z największych muzyków świata byli głusi albo ślepi. Ale co...? — Tu strzelił palcami. — Rozumiem. Myślisz, że utrata innych uzdolnień sprawiła, że ten... ten, który zanikł, pojawił się od nowa. Czy tak?

— Może — pokiwał głową — może. Tyle tylko, że teraz nie widzę już rzeczy z przeszłości, lecz z przyszłości. Ale niewyraźnie, bezkształtnie. Chyba że w snach.

— Jasnowidz, oto, czym, jak sądzisz, się stajesz? Jednakże, co to ma wspólnego z wampirami, Harry? — Bettley zmarszczył czoło.

— To był mój sen — odpowiedział tamten — coś o czym zapomniałem albo nie chciałem pamiętać, zanim ty mi tego nie przybliżyłeś. Ale teraz pamiętam wyraźnie. Więcej, widzę to wyraźnie.

— Dalej.

— Taki drobiazg — odrzekł Keogh.

— Ale najlepiej, jak wyciągniemy to na światło dzienne, prawda?

— Być może. — Zamyślił się. — Widziałem czerwone nitki. Szkarłatne nitki życia wampirów! — dodał gwałtownie.

— We śnie? — Bettley drżał, gęsia skórka pokryła jego plecy i ramiona.

— W zielonych paskach światła rzucanych przez szczeliny żaluzji. Paski na jej brzuchu i udach, przez moment, zanim ten piekielny stwór przywarł do mnie. Szmaragdowe, zielonkawe. Kiedy moja krew zaczęła bryzgać, zmieniły się w czerwone. Czerwone linie przepływające przez jej ciało w zamgloną przeszłość, a także w przyszłość. Skręcone, czerwone nitki pomiędzy błękitnymi nićmi życia ludzkiego. Wampiry!

Lekarz nic nie powiedział, czekał, czuł przerażenie i fascynację spływające z jego rozmówcy, wypełniające gabinet. Nagle Keogh potrząsnął głową. Wstał gwałtownie i skierował się chwiejnym krokiem ku drzwiom.

— Harry? — zawołał za nim Bettley.

W drzwiach Harry odwrócił się.

— Marnuję twój czas — powiedział. — Jak zwykle. Popatrzmy prawdzie w oczy, mogłeś mieć rację, a ja boję się własnego cienia. Litowanie się nad samym sobą, gdyż nie jestem już nikim niezwykłym. I może strach, bo wiem, co mogłoby czekać na mnie, ale czego prawdopodobnie tam nie ma. Do licha, dawno minął już czas, kiedy mogłem cokolwiek z tym zrobić.

— To nie była strata czasu. — Bettley zaprzeczył.

— W każdym razie, dziękuję — powiedział Keogh i zamknął za sobą drzwi.

Lekarz wstał i podszedł do okna. Nekroskop opuścił budynek i ruszył wzdłuż Princes Street w samym sercu Edynburga. Postawił kołnierz płaszcza, obrócił się plecami do wiatru i zamachał na taksówkę.

Bettley powrócił do biurka, usiadł i westchnął. Teraz to on czuł i się słabo. Siła psychiczna Keogha, nieomal namacalne „echo” jego obecności, już zanikało. Empata przewinął taśmę z rozmową i wykręcił specjalny numer do kwatery głównej w Londynie. Poczekał na sygnał, a następnie położył słuchawkę na specjalnym uchwycie obok magnetofonu pod blatem biurka. Za naciśnięciem guzika, rozmowa z Harrym popłynęła wprost do centrali INTESP. Podobnie, jak wszystkie myśli doktora...

Na tylnym siedzeniu taksówki w drodze do Bonnyrigg Harry rozluźnił się i zamknął oczy. Położył głowę na oparciu i starał się przypomnieć sobie coś z tego drugiego snu, który nawiedzał go od trzech czy czterech lat, a który dotyczył Harry'ego Juniora. Pamiętał istotę tego snu, ale szczegóły zatarły się. Posiłkując się właściwą wampirom sztuką fascynacji, hipnotyzmu, Harry Junior I uczynił swego ojca eks-nekroskopem, jednocześnie pozbawiając go możliwości wstępu i manewrowania w kontinuum Möbiusa.

— Zniszczyłbyś mnie, gdybyś mógł. — Słyszał znów głos swego syna, jak płytę graną po raz setny. — Nie zaprzeczaj, gdyż widzę to w twoich oczach, czuję w twym oddechu, czytam w twym umyśle. Znam dobrze twój umysł, ojcze. Prawie tak dobrze, jak ty sam. Przemierzyłem wszystkie jego zakamarki, pamiętasz?

— Wiesz, że nigdy nie wyrządziłbym ci krzywdy. Nie chcę cię zniszczyć, lecz jedynie wyleczyć.

— Tak jak „wyleczyłeś” Lady Karen? I gdzie ona teraz jest, ojcze?

To nie brzmiało jak oskarżenie; nie było w tym sarkazmu ani goryczy. To po prostu stwierdzenie faktu. Lady Karen popełniła samobójstwo, o czym młody Keogh wiedział wystarczająco dobrze.

— Cała rzecz za mocno na nią podziałała. — Harry nie dawał za wygraną. — Poza tym była wieśniaczką, bez twojego rozumu. Nie potrafiła zrozumieć, co zyskuje, lecz jedynie to, co, jak jej się wydawało, traci. Nie musiała się zabijać, może była... nieźrównoważona?

— Wiesz, że to nieprawda. Po prostu należała do wampira. A ty wyprowadziłeś go z niej i zabiłeś go. Myślałeś, że to będzie jak zabicie tasiemca, przecięcie czyraka czy usunięcie nowotworu. Twierdzisz, że ona nie pojmowała, co zyskuje. Więc powiedz mi teraz ojcze, co twoim zdaniem Lady Karen zyskiwała?

— Wolność — Harry krzyknął w desperacji i z nagłego lęku przed samym sobą. — Na Boga, nie próbuj udowodnić, że popełniłem błąd. Nie jestem cholernym mordercą!

— Nie, nie jesteś. Ale jesteś człowiekiem owładniętym obsesją. I boję się ciebie. A jeśli nie ciebie, to celów, które sobie wyznaczasz, twoich ambicji. Chcesz mieć świat — twój świat — wolny od wampiryzmu. Bardzo szlachetny cel. Ale kiedy już go osiągniesz... co wtedy? Czy mój świat będzie następny? Obsesja, tak, która wydaje się w tobie narastać, w miarę jak we mnie rośnie wampir. Jestem nim teraz, ojcze, a nie ma nic bardziej nieugiętego, jak wampir — za wyjątkiem samego Harry'ego Keogha!

Czy nie wiesz, jak bardzo jesteś dla mnie niebezpieczny?

Znasz wiele tajemnych sztuk wampirów i wiesz, jak je zniszczyć. Umiesz rozmawiać ze zmarłymi, przemieszczać się w kontinuum Möbiusa — a nawet w samym czasie, jakkolwiek efemerycznie. Kiedyś uciekłem od ciebie, z twojego świata. Ale teraz, na tym świecie, walczyłem o swoje własne terytoria i zdobyłem je. Należą do mnie i nie opuszczę ich. Nie będę już uciekać. Jednak nie mogę po

prostu zakładać, że nie zechcesz tutaj przybyć, ani nie odważyłbym się podjąć ryzyka, że przybywszy tu, będziesz niezadowolony. Jestem wampirem. Nie zamierzam dłużej znosić twoich eksperymentów. Nie będę królikiem doświadczalnym dla jakichkolwiek „metod leczenia”, które możesz wymyślić.

— A co ze mną? — Harry wówczas podniósł głos. — Czy będę bezpieczny? Jestem dla ciebie zagrożeniem, tak powiedziałaś. Ile czasu trzeba, aby wampir wewnątrz ciebie dojrzał i abyś ty wyruszył za mną?

— To się nie zdarzy, ojczu. Rzeczywiście, posiadam wiedzę. Będę kontrolował siebie, jak mądry nałogowiec kontroluje swój nałóg.

— A jeżeli to wyrwie się spod kontroli? Ty także jesteś nekroskopem. A w przestrzeni Möbiusa nie ma takiej rzeczy, której byś nie umiał zrobić, takiego miejsca, do którego byś się nie mógł udać, wszędzie niosąc z sobą zarazę. Jaka biedaczyna przejmie teraz jajo od ciebie, synu?

Harry Junior ciężko westchnął i zdał swą złotą maskę. Rany wyniesione z bitwy w Ogrodzie już się zabiłiły i stały się prawie niezauważalne. Jego wampir musiał się porządnie napracować przy operacji, formując ciało tak, jak według najgorszych obaw ojca, pewnego dnia zacznie formować jego wolę.

— A więc, jak widzisz, sytuacja jest bez wyjścia — powiedział. A jego oczy przybrały kształty wielkich, karmazynowych kul.

— Nie! — wydyszał głośno Harry. Były to ostatnie słowa, jakie powiedział przed długim okresem niebytu, z którego obudził się dopiero w kwaterze INTESP.

— Co jest, szefie? — Szofer o surowej twarzy, wyraźnie zdziwiony, spojrzał do tyłu. — Nie miało być Bonnyrigg? Mam nadzieję, że tak, bo jesteśmy na miejscu!

Szara rzeczywistość wdarła się w strumień majaków Harry’ego. Siedział sztywno wyprostowany, poblady. Zwilżył suche wargi i popatrzył przez okna taksówki. Rzeczywiście, przybyli na miejsce.

— Tak, tak, Bonnyrigg, oczywiście — wymamrotał. — Zamyśliłem się, to wszystko.

Północny Londyn, późny kwiecień 1989.

Mocno podniszczone mieszkanie na parterze, w skądinąd „pnącej się w górę” dzielnicy Highgate, nie opodal Hornsey Lane. Dwóch mężczyzn, z pozoru rozluźnionych, wiodło cichą rozmowę nad szklaneczkami w obszernym pokoju otoczonym półkami pełnym książek i rozmaitych drobnych souvenirów zagranicznego, głównie europejskiego, pochodzenia.

Nikołaj Żarow był cienki jak czarodziejska różdżka, biały jak mleko, niemal zniewieściały w swoich afektacjach. Palił przez lufkę marlboro z oderwanym filtrem. Mówił po angielsku wyśmienicie, choć nieznacznie seplenił. Jego ciemne, głęboko osadzone oczy, skryte za ciężkimi powiekami, upodabniały go niemalże do narkomana, skrywając w ten sposób naturę jego czujnego i chłodno

kalkulującego umysłu. Rzadkie, ciemne, zaczesane do tyłu włosy pokryte były jakimś antyseptycznym, woniejącym, rosyjskim specyfikiem. Pod wąskim prostym nosem znajdowały się wargi, nie mniej wąskie. Ostry podbródek dopełniał jego wiotką powierzchowność. U „prawdziwych mężczyzn” pokusa patrzenia na niego z góry byłaby całkiem na miejscu, ale ci zazwyczaj nie decydowali się na kuszenie losu. Rosjanin budził w ludziach niepokój.

Wellesley bał się go również, choć starał się to ukryć. Jako właściciel mieszkania niepokoił się, że ktoś mógłby zobaczyć jego gościa lub nawet śledzić go. Mężczyzna brał udział w grze wywiadów, podobnie jak Żarow, choć z pozoru każdy z nich pracował dla innego szefa.

Norman Harold Wellesley był nieco niższy od Rosjanina, trochę lepiej zbudowany i rumiany. Jednak nie jego sylwetka ani czerwone plamy na twarzy stawiały go w gorszej pozycji. Wewnętrzne poruszenie w tym momencie nie brało się z różnic w wyglądzie, ani nawet kulturowych rozbieżności rasy i typu, ale po prostu i zwyczajnie ze strachu. Strachu spowodowanego tym, o co prosił Żarow.

— Musisz wiedzieć, że to jest niewykonalne, na dobrą sprawę — niemożliwe! — odpowiedział.

Słowa zdawały się wybuchać w jego ustach, choć wypowiadał je cichym tonem, na zimno, a nawet z domieszką racjonalnej perswazji. Miało to służyć odwiedzeniu Żarowa od jego zamiarów. Pragnął przynajmniej zmodyfikowania ich odrobinę, nawet przy pełnej świadomości, że Rosjanin nie był wcale autorem „próby”, którą przedkładał, lecz jedynie posłańcem. Żarow wyraźnie oczekiwał takiej reakcji.

— Błąd — odparł równie cicho, z jakimś zimnym uśmieszkiem, by zrównoważyć wybuch rozmówcy. — Nie tylko jest to całkowicie możliwe, ale wręcz konieczne. Jeżeli, jak wynika z twojego raportu, Harry Keogh jest na progu rozwinięcia nowego rodzaju, dotychczas nawet nieprzeczuwalnych, uzdolnień, to trzeba mu w tym przeszkodzić. To przecież całkiem proste. On był prawdziwą zmorą dla sowieckiego pionu ESP, Normanie. Klęska, mentalny huragan... psyklon? Och, nasz Wydział E przetrwał, działa pomimo wszystkich jego wysiłków, lecz w zasadzie — Żarow wzruszył ramionami — z drugiej strony, może powinniśmy być mu wdzięczni. Jego, noo, sukces, sprawił, że lepiej niż kiedykolwiek uświadomiliśmy sobie potęgę parapsychologii, jej wagę dla działalności szpiegowskiej. Ale problem na tym polega, że jako oręż, daje ona waszej stronie zbyt wielką przewagę już na starcie. Dlatego musi odejść.

Jeżeli Wellesley zwrócił jakąkolwiek uwagę na argumenty Żarowa, to nie dał tego poznać po sobie.

— Przypomnij sobie — rozpoczął — to znaczy, prawdopodobnie powiedziano ci, że moje wstępne zobowiązanie miało niewielkie znaczenie? W porządku, zawdzięczam twoim szefom co nieco — jestem ich dłużnikiem — ale nawet teraz nie jest to dług tych rozmiarów. A ponadto, przyjacielu, stopa procentowa wydaje

mi się zbyt wysoka. Przekracza moje ograniczone możliwości spłaty. Obawiam się, że to jest odpowiedź, Nikołaj, którą musisz zabrać z sobą do Moskwy.

Żarow westchnął, odstawił szklanke i oparł się na fotelu.

Wyciągnął długie nogi, skrzyżował ręce na piersiach i zacisnął wargi. Pozwolił, by ciężkie powieki opadły jeszcze bardziej. Żrenice jego ciemnych oczu zamigotały i przez kilka następnych chwil badał wzrokiem Wellesleya, siedzącego po przeciwnej stronie małego okolicznościowego stolika.

Czerwona czupryna Anglika była mocno przerzedzona. Miał czterdzieści pięć lat, o sześć więcej od Rosjanina. Tego nieatrakcyjnego człowieka wyróżniały usta: spokojne, kształtne, przykrywające wspaniałe, nieskazitelne zęby, i bladoniebieskie oczy, nadto okrągłe i rozmarzone. Nadmiar kolorów twarzy uwydatniały długie, żółte piegi.

— Ach, odprężenie — obwieścił Żarow. — Glasnost! Oto do czego nas doprowadzono, że musimy pertraktować z dłużnikami. Tak, w starych dobrych czasach po prostu posłalibyśmy komorników! A może jakichś chuliganów? Ale teraz... metody gentlemanów: bankructwo, upadłość! Normanie, bardzo się boję, że jesteś na krawędzi bankructwa. Twoja przykrywka niebawem — uformował usta w tubę i pyknął serię idealnych kółek z dymu papierosowego — pęknie.

— Przykrywka? — Oczy Wellesleya zwięziły się podejrzliwie, a kolory policzków jeszcze się pogłębiły. — Nie mam przykrywki. Jestem tym, na kogo wyglądam. Widzisz, popełniłem kiedyś błąd i rozumiem, że muszę za niego zapłacić. W porządku. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru zabijać dla was. O tak, chcielibyście tego, żebym zamienił małeńki dług w potężny debet. Ale nic z tego nie będzie, Nikołaj. Idź więc, towarzyszu, i daj mi spokój. Zrób ze mnie „bankruta”, jeżeli to jest wasza groźba. Stracę pracę, a może i wolność na chwilę, ale nie na zawsze. Jeśli zatańczę, jak mi zagracie, już po mnie. Wpadłbym wtedy po uszy. Cóż byłoby następnym razem, co? Jeszcze większa zdrada? Następne morderstwo? To szantaż i dobrze o tym wiecie, ale ja nic nie mam. Zostawmy więc „grzeczności”, jakie mi wyświadczyłeś we wdzięcznej pamięci. I to wszystko.

— Bluff — uśmiechnął się Żarow — bardzo ładnie zagrany, bez wątpienia. Ale jednak bluff. Jesteś kretynem, wtyczką.

— Wtyczką — dłonie Wellesleya zacisnęły się spazmatycznie — no może i byłem, ale nigdy aktywną. Nie zrobiłem nic złego.

Żarow znowu się uśmiechnął, a raczej wykrzywił twarz w grymasie. Nieznacznie wzruszył ramionami i skierował się w stronę drzwi.

— To będzie, oczywiście, twoja wersja.

Wellesley zerwał się na nogi i dopadł wyjścia pierwszy.

— Dokąd idziesz, do diabła? Przecież niczego jeszcze nie załatwiliśmy!

— Powiedziałem wszystko, co miałem powiedzieć — odparł Rosjanin i stanął bez ruchu. Po chwili sięgnął i zdjął swój płaszcz z wieszaka. — A teraz — jego głos stał się głębszy, a kąciki ust opadły — odchodzę.

Wyjął z kieszeni płaszcz cienkie, czarne, skórzane rękawiczki i naciągnął je.  
— Czyżbyś chciał mnie zatrzymać, Normanie? Uwierz mi, to byłby błąd z twojej strony.

Wellesley nigdy nie miał przekonania do rozwiązań siłowych; a i teraz wierzył tamtemu aż za bardzo. Cofnął się więc.

— I co będzie teraz?

— Zamelduję o twojej powściągliwości. — Żarow mówił wprost. — Przekażę, że nie uważasz swojego długu za znaczący i chcesz, aby go wymazano. A oni odpowiedzą: „Nie, my chcemy, żeby to jego wymazano”. Twoje akta dostaną się do kogoś z dowództwa jakiegoś wydziału waszego wywiadu i . . .

— Moje akta? — Wyblakłe oczy Normana zaczęły nerwowo mrugać. — Kilka świńskich zdjęć ze mną i jakąś kurwą, zrobionych przez fałszywe lustro w parszywym moskiewskim hotelu dwanaście lat temu? W tamtych czasach takie rzeczy to była normalka! Robiło się to codziennie. Wreszcie zrzuć z siebie cały ciężar tej starej . . . sprawy. I co wtedy zrobi wasza strona, co? To nie wszystko. Wymienię nazwiska, twoje przede wszystkim, i nie będzie już kurierskiej roboty dla ciebie, Nikołaj!

Żarow ze smutkiem pokręcił głową.

— Twoje akta są nieco grubsze, Normanie. Nagromadziło się tam pełno smakowitych kąsków, informacji wywiadowczych, jakie przekazywałeś nam przez te wszystkie lata. Zrzucić z siebie ciężar? Wyobrażam sobie, że będziesz to robił albo przynajmniej próbował to robić przez ładnych kilka następnych lat.

— Smakowite kąski? — Wellesley zrobił się purpurowy. — Nie dałem wam nic. Zupełnie nic! Jakie kąski?

Żarow patrzył, jak tamten drży niczym liść, drży z wściekłości i bezsilności. Uśmiech Rosjanina powoli powrócił.

— Wiem, że nie dałeś nam nic — powiedział cicho. — Jak dotąd, o nic cię nie prosiliśmy. Ja wiem również, że jesteś mniej lub bardziej niewinny, ale ludzie, którzy rządzą, nie wiedzą tego. A teraz, wreszcie, o coś cię prosimy. Możesz więc albo spłacić dług, albo . . . — wzruszył ramionami — to w końcu twoje życie, przyjacielu.

Żarow sięgnął w kierunku klamki, ale Norman chwycił go za rękę.

— Muszę to przemyśleć — wydyszał.

— W porządku, tylko nie myśl zbyt długo.

Wellesley pokiwał głową i głośno przełknął ślinę.

— Nie wychodź tędy. Lepiej tylnymi drzwiami — zawołał.

Przeprowadził Żarowa przez mieszkanie.

— Jak się tu dostałeś? Chryste, jeżeli ktoś ciebie widział, ja . . .

— Nikt mnie nie widział, Normanie. A poza tym nie jestem tutaj specjalnie znany. Byłem w kasynie przy Cromweel Road. Przyjechałem taksówką i wysia-

dłem kilka bloków stąd. Przespacerowałem się, a teraz znowu trochę się przejdę, zanim złapię następną taksówkę.

Wellesley przepuścił go przez tylne drzwi i poprowadził ciemną ścieżką do furtki. Żarow, zanim zamknął za sobą drzwiczki, wyciągnął z kieszeni płaszcz kopertę i podał ją.

— Kilka zdjęć, których nigdy przedtem nie widziałeś — powiedział — to tak dla przypomnienia, abyś nie decydował się nazbyt długo. Troszeczkę nam się spieszy, rozumiesz. I nie próbuj mnie szukać; sam cię znajdę. Teraz będę miał dużo czasu. . . Mógłbym sobie może znaleźć jakąś miłą, czystą kurewkę — zachichotał sucho. — A jeśli twoja paczka sfotografuje mnie z nią. . . zatrzymajcie te fotki na pamiątkę.

Kiedy odszedł, Wellesley powlókł się z powrotem. Nalał sobie nowego drinka i usiadł. Wyciągnął z koperty fotografie. Dla każdego, kto nie znał się na tym, byłyby to powiększenia zwyczajnych, przypadkowych zdjęć. Wellesley znał się jednak na tym, podobnie zresztą jak każdy agent czy oficer brytyjskiego wywiadu, a zresztą, każdego wywiadu. Fotografie przedstawiały Wellesleya wraz z dużo starszym od niego mężczyzną. Ubrani w płaszcze i rosyjskie czapy futrzane, spacerowali razem i rozmawiali, mając w tle kopuły Placu Czerwonego górujące nad dachami. Na innym zdjęciu pili wódkę, siedząc na schodach jakiejś daczki. Wyglądało na to, że byli bliskimi przyjaciółmi.

Starszy „przyjaciel” Normana mógł mieć około sześćdziesiątki. Jego skronie były siwe, ale od pokrytego licznymi zmarszczkami, wysokiego czoła, przebiegał pas czarnych, lśniących włosów. Pod kasztanowymi, czarnymi brwiami, błyszczały małe oczy. Z kącików ust rozchodziły się pajęczyny zmarszczek, jak u osób nawykłych do częstego śmiechu. Mocne rysy nadawały znamiona twardości tej przyjemnej i wesołej twarzy. Był przyjemnym facetem na swój sposób — i przyjemnie morderczym na inne sposoby. Usta Wellesleya bezgłośnie wymówiły jego nazwisko: Borowic.

— Towarzysz generał Grigorij Borowic — powiedział głośno. — Ty stary skurwielu! Boże, jakim byłem głupcem.

Jedno zdjęcie było szczególnie interesujące, choćby ze względu na sceneryę: Wellesley i Borowic stali na dziedzińcu jakiejś starej posiadłości czy zamku, miejscu zrujnowanego dziedzictwa i zmieszanych stylów architektonicznych. Bliźniacze wieżyczki minaretów wystrzeliwały w górę ze spadzistych dachów jak nadpsute, falliczne grzyby. Łuszczące się, spiralne ornamenty i powyginane parapety dopełniały ogólnego wrażenia rozkładu i opuszczenia. Ale w istocie o zamku można było powiedzieć wszystko, lecz nie to, iż był opuszczony.

Anglik nigdy nie znalazł się tam w środku i nie wiedział, co się tam mieściło, w każdym razie — nie wtedy. Dopiero niedawno poznał prawdę. Dowiedział się o Zamku Bronnicy, głównej kwaterze sowieckiego szpiegostwa mentalnego. Nie-



sławnym miejscu, które Harry Keogh stracił w piekielne otchłanie. Szkoda tylko, że nie zrobił tego kilka lat wcześniej, to wszystko. . .

Następnego ranka, Darcy Clarke spóźnił się do pracy. Zdarzył się poważny wypadek samochodowy na Horth Circular, awaria świateł sygnalizacyjnych w centrum miasta, i wreszcie jakiś palant zaparkował przerdzewiałego grata na jego miejscu. Już chciał spuścić powietrze z kół, kiedy nadszedł właściciel. Przerwał wściekły potok słów Clarke'a zwięzłym „odpieprz się” i odjechał.

Roztrzęsiony, skorzystał z windy dyskretnie schowanej w tylnej części skądinąd zupełnie zwyczajnie wyglądającego budynku hotelowego. Wjechał na ostatnie piętro, gdzie w dźwiękoszczelnych, antywłamaniowych, odpornych na wszelkie mechaniczne, ziemskie i metafizyczne ingerencje pomieszczeniach mieściło się INTESP.

Wszedł do środka i zrzucił z ramion płaszcz. Oficer, który pełnił służbę ostatniej nocy, właśnie zbierał się do domu.

— Cześć, Darcy. — Abel Angstrom obrzucił go krótkim spojrzeniem. — Ciągle w biegu, co? No, teraz dopiero pobiegiesz!

Clarke skrzywił się i powiesił płaszcz.

— Nic, co złe, nie jest nam obce — mruknął. — Co się dzieje?

— Szef — wyjaśnił Angstrom. — Oto, co się dzieje. Przyszedł o wpół do siódmej rano, zamknął się w swoim biurze z aktami Keogha. Pije kawę galonami. Ciągle patrzy na zegarek i chwyta każdego, kto przychodzi po ósmej. Pytał też o ciebie, więc na twoim miejscu założyłbym kamizelkę kuloodporną.

— Dziękuję za ostrzeżenie — stęknął Clarke i skierował się do toalety.

Poprawił krawat przed lustrem i nagle poczuł jak ogarnia go wściekłość.

— Co jest, do jasnej cholery? — chrapliwym głosem zwrócił się do swego odbicia. — Czym ja się przejmuję? Pieprzone popychadło, Clarke! A jego wysokość pragnie mnie widzieć! Szlag by to trafił. Całkiem tak samo, jak w cholernym wojsku! — Po czym celowo przekrzywił krawat, rozczochrał włosy i przyjrzał się sobie znowu. — Tak, dużo lepiej. A właściwie, czego miałbym się bać?

Niczego, gdyż Clarke posiadał psycho-talent, którego nikt jeszcze na dobre nie wypróbował. On chronił go przed kłopotami, jak matka ochrania swoje dziecko. Był niemal deflektorem. Omijały go pociski. Potrafił spacerować po polu minowym. Stanowił przeciwieństwo kogoś, komu zdarzają się przykre wypadki. Z każdej, nawet śmiertelnej sytuacji wychodził cało. Kiedy jednak miał wykręcić żarówkę, wyłączał prąd.

„Co ma być, to będzie” — pomyślał, kierując kroki ku Sanctum Sanctorum.

Zapukał do drzwi.

— Kto tam? — Usłyszał gburowaty głos.

— Darcy Clarke — powiedział głośno. „Arogancki skurwiel” — pomyślał.

— Wejdz, Clarke. Gdzie, do diabła, się podziewasz? Pracujesz tutaj czy nie?

Clarke chciał odpowiedzieć.

— Siadać! — Usłyszał.

Clarke wolał stać. Miał już dość po sześciu miesiącach pracy pod dowództwem nowego szefa INTESP. Doszedł do wniosku, że nie chce pracować dla tego nieznośnego skurwiela. Sir Keeman Gormley był gentelmenem w każdym calu. Alec Kyle — przyjacielem. Pod nadzorem Clarke'a sekcja działała skutecznie i przyjaźnie — w każdym razie w stosunku do swoich przyjaciół. Ale ten typ okazał się... zwyczajnym prostakiem. Gburem. Prymitywem. Nie potrafił zarządzać ludźmi. Nie był wróżbitą, telepatą, deflektorem. Jedyne talenty stanowił jego umysł. Nieprzenikniony: żaden telepata nie mógł weń wtargnąć.

Szef siedział za biurkiem.

— Mówiłem...

— Tak, słyszałem — uciął Clarke. — I odpowiedziałem tym samym: dzień dobry.

Teraz Wellesley popatrzył do góry i Clarke ujrzał jego upstrzoną na czerwono twarz. Zobaczył także akta Harry'ego Keogha, porzrzucone po całym biurku. I po raz pierwszy się zastanowił, o co tu właściwie chodzi.

Norman od razu wyczuł nastrój Clarke'a. Wiedział, że zbliża się próba sił. Niebezpieczeństwo tego wisiało w powietrzu od momentu, kiedy objął funkcję szefa. Wolał się jednak wstrzymać... na razie.

— W porządku, Darcy — powiedział, łagodząc ton — widać obydwaj mamy dzisiaj pieski dzień. Jest pan moim zastępcą, pamiętam o tym, i sądził pan, że należy mu się stosowne poważanie. W porządku, ale kiedy sprawy źle idą — i kiedy wszyscy tutaj jesteśmy dla siebie mili i pełni poważania — ja jestem tym, na którego spada cała wina. Jakkolwiek by pan na to nie patrzył, ciągle jeszcze kieruję tą firmą. A przy pracy tego rodzaju... czy trzeba tłumaczyć się ze złych manier? Tyle, jeśli chodzi o mnie. A co sprawiło, że pan dzisiaj wstał lewą nogą?

„Co? Kiedy po raz ostatni nazwał mnie Darcy? Na rany Chrystusa, czyżby próbował wreszcie zachować się rozsądnie?” — myślał Clarke.

Dał się ułagodzić częściowo i usiadł.

— Były diabelne korki i jakiś pajac zajął moje miejsce na parkingu — odrzekł wreszcie. — To na początek. Czekam także na telefon z Rodos od Trevora Jordana i Kena Layarda, w sprawie przemytu narkotyków. Cło i podatki oraz Nowy Scotland Yard będą chciały wiedzieć, jakie są postępy w tej sprawie. Proszę do tego dodać z tuzin pytań od naszego ministra odpowiedzialnego za udział szpiegów mentalnych w pracy nad nie rozwiązаныmi większymi przestępstwami, czynności związane z prowadzeniem biura, nadzór nad ambasadą radziecką i...

— No, z ambasadą od razu może pan dać sobie spokój. — Wellesley szybko wszedł mu w słowo. — To działanie rutynowe, nieistotne. Kilku dodatkowych Iwanów w kraju? Rosyjska delegacja? Co z tego? Boże, mamy więcej na talerzu

niż monotonna, rutynową harówkę. Ale nawet bez tego... tak, widzę, że tkwi pan po szyję.

— Tak, cholera — odparł Clarke — i szybko się pogrążam. Nie uważałbym więc wcale za obraźliwe, gdyby po prostu kazał mi pan się wyszczać i zabrać do roboty. Raczej byłbym panu za to wdzięczny. Sądzę jednak, że nie wzywałby mnie pan, gdyby coś pana nie dręczyło.

— Na pewno nikt nie mógłby panu zarzucić, że owija pan w bawełnę, prawda? — powiedział Norman. Przez chwilę patrzył nieruchomo, w sposób wydawałoby się nieco mniej wrogi. Przyglądał się siedzącemu naprzeciw.

Przy całym swoim niesamowitym talencie Clarke nie był osobą cieszącą oczy. Nikt by nie przypuszczał, że mógł kiedyś piastować stanowisko szefa czegokolwiek, nie mówiąc już o najtajniejszym wydziale brytyjskim. Średniego wzrostu, lekko przygarbiony, z niewielkim brzuszkiem i na dodatek w średnim wieku — wyglądał przeciętnie. Jego wnętrze natomiast było... medium.

Kierował dawniej INTESP. Brał udział w kilku naprawę mocnych numerach i znał Harry'ego Keogha.

— Keogh — powiedział Wellesley, a to nazwisko wykrzywiło mu usta, jakby było gorzkie. — Oto, co mnie dręczy.

„Oto, co! Jakby Keogh był jakimś dziwacznym urządzeniem albo rzeczą, a nie istotą ludzką” — pomyślał Clarke.

— Coś nowego o Harrym?

Szef przeglądał raporty Bettleya osobiście i zatrzymywał każdą informację dla siebie.

— Może tak, może nie — odpowiedział. — Czy wie pan, co by się stało, gdyby odzyskał swoje uzdolnienia?

— Pewnie — Darcy odrzekł szybko — straciłby pan pracę.

Nieoczekiwanie Wellesley uśmiechnął się. Ale uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

— Zawsze dobrze jest wiedzieć, na czym się stoi. A więc myśli pan, że przejąłby kierownictwo nad INTESP, tak?

— Z jego talentami, on sam mógłby stanowić INTESP. — Brzmiała odpowiedź. I raptem twarz Clarke'a rozjaśniła się. — I pan powiedział, że on je odzyskuje?

Przez moment Norma n nie odpowiedział.

— Był pan jego przyjacielem, prawda? — zapytał.

— Jego przyjacielem? — Esper zmarszczył brwi, zagryzł dolną wargę, jakby zmarkotniał. Nie mógł uczciwie powiedzieć, żeby kiedykolwiek był przyjacielem Harry'ego, ani nawet, że chciał nim zostać. Swego czasu widział kilku towarzyszy Harry'ego w akcji i ciągle śniło mu się to po nocach. — Byliśmy... znajomymi, to wszystko. Widzi pan, większość prawdziwych przyjaciół Harry'ego to swego

rodzaju, no, umarli. — Wzruszył ramionami. — „Swego rodzaju” — oto, co ich określało.

Wzrok Wellesleya bardziej jeszcze spochmurniał.

— I rzeczywiście robił to wszystko, o czym zapewniają te dokumenty? Rozmawiał ze zmarłymi? Wywoływał zwłoki z grobów? Nie mam wątpliwości, co do telepatii. Widziałem w działaniu naszych specjalistów rozszyfrowujących na przykład sprawy kryminalne, jakimi wydział zajmował się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Nie wątpię też w pana szczególny talent, Darcy. Ale to? — Szeł zmarszczył czoło. — Cholerny... nekromanta?

Clarke pokręcił przecząco głową.

— Nekroskop. Harry nie byłby zadowolony wiedząc, że nazywa go pan nekromantą. Kiedy przebrnie pan przez te papiery, dowie się o Dragosanim. Nekromancie. Zmarli bali się go i brzydzili się nim. Harry'ego kochali. Tak, rozmawiał z nimi i wywoływał ich z grobów, jeżeli ich potrzebował. Ale nie wywierał żadnej presji.

Wellesley widział, że Clarke zbladł. Ale nie miał zamiaru ustąpić.

— Był pan tam, w Hartlepool, na akcji kończącej sprawę Bodescu. Czy widział pan tę rzecz!

Clarke wzruszył ramionami.

— Widziałem wiele... rzeczy. I czułem ich zapach. — Potrząsnął głową, jakby chciał się oczyścić ze wspomnień przekraczających ludzką wytrzymałość. — A więc jaki jest pana problem, Norman? OK, od czasu, kiedy pan tu jest, zajmujemy się głównie monotonna, rutynową robotą. Co zaś do tego, z czym zetknęli się Harry Keogh, Gormley, Kyle i wszyscy inni... mam po prostu nadzieję, że to już jest przeszłość, to wszystko.

Szeł ciągle nie wyglądał na przekonanego.

— A nie mógł to być zbiorowy hipnotyzm, iluzja, jakiś rodzaj tricku czy oszustwa?

Clarke znowu przecząco pokręcił głową.

— Posiadam mechanizm obronny, pamięta pan? Można oszukać mnie, ale nie moją podświadomość, która nie ucieka przed nieszkodliwymi iluzjami, ale tylko przed prawdziwymi niebezpieczeństwami. Jest pewne jak diabli, że on trzyma mnie z daleka od zmarłych i nie-zmarłych, i wszystkiego, co mogłoby mnie pozabawić mojej pieprzonej głowy.

Przez chwilę wydawało się, że Wellesley nie wie, co na to odpowiedzieć.

— Czy zdziwi to pana — w końcu podjął — że byłem zupełnie nieświadomy mojego talentu? Całe życie, znaczy, do momentu, kiedy zacząłem się starać o pracę tutaj. Ponieważ nikt nie zdaje sobie sprawy, że posiada talent negatywny. Gdyby ludzie na co dzień czytali w umysłach innych, wówczas byłbym wybrykiem natury, dziwnym człowiekiem, który nie potrafi tego robić. Widziałem jedynie, że interesuje mnie parapsychologia, metafizyka. Z tego powodu omyłkowo

zacząłem się starać o przeniesienie tutaj. Wasi ludzie zaczęli sprawdzać, czy się nadaje, i wykryli, że trzymam swój umysł jak w sejfie.

Clarke wyglądał na zainteresowanego, nie wiedział, że tamten kłamie.

— Do czego pan zmierza?

— Sam nie wiem dokładnie. Chyba staram się wytłumaczyć, dlaczego, będąc szefem INTESP, mam tyle problemów z uwierzeniem w to, co tutaj robimy. A kiedy jeszcze stoję twarzą w twarz z przypadkiem takim jak Harry Keogh... chodzi mi o to, że to jest nadnaturalne!

Clarke uśmiechnął się szeroko.

— Więc, mimo wszystko jest pan istotą ludzką — powiedział. — Nie tylko pana wprawia to w zakłopotanie? Wszyscy, którzy tu kiedykolwiek pracowali, mieli takie same wątpliwości. Gdybym tylko otrzymywał funta za każdym razem, kiedy o tym myślę — o wszystkich dwuznacznościach, niekonsekwencjach i jawnych sprzecznościach — do diabła, byłbym bogaczem! Roboty i romantycy? Supernauka i zjawiska nadnaturalne? Telemetria i telepatia? Skomputeryzowany rachunek prawdopodobieństwa i przepowiadanie przyszłości? Satelity szpiegowskie i wróżbici? Oczywiście, że czuje się pan nieswojo. Ale to właśnie na tym polega, na niczym innym — gadżety i duchy!

Wellesleyowi odrobinę poprawił się humor. Udało mu się pozyskać Clarke'a, przynajmniej raz. A dla jego zamysłów było to niezbędne.

— A teleportacja? — zapytał. — To także jeden z dawnych talentów Keogha? Clarke skinął głową.

— My to tak nazywamy — odparł — ale Harry odczuwa wszystko inaczej. Po prostu korzystał z drzwi, o których nikt inny nie wiedział. Wchodził w drzwi tutaj i... wychodził gdzie indziej. Chciałem namówić go kiedyś do udziału w sprawie Perchorska i pojechałem specjalnie do Edynburga. Keogh powiedział, że zgadza się. Zaryzykuje, jeżeli ja także wezmę w tym udział. Jeżeli miał zmierzyć się z nieznanym, to chciał, żebym i ja tego posmakował. Zabrał mnie tam na czymś, co on nazywa kontinuum Möbiusa. To była naprawdę mocna rzecz. Nie chciałbym tego powtórzyć.

— Sądzę, że ma pan słuszność. — Norman ponownie westchnął. — Jeżeliby odzyskał swe talenty, musielibyśmy zaproponować mu moje miejsce. Nie miałby pan nic przeciwko temu, prawda?

Clarke w odpowiedzi wzruszył ramionami.

— No, niech pan nie będzie hipokrytą, Darcy. — Wellesley pokiwał głową ze zrozumieniem. — To przecież jasne jak słońce. Wolałby pan mieć jego — lub kogokolwiek innego — za szefa niż mnie. Ale wydaje się pan nie zdawać sobie sprawy, że ja też jestem całą duszą za tym. Nie rozumiem pana ani ludzi, którzy tu pracują, i nie sądzę, abym kiedykolwiek zrozumiał. Chcę stąd odejść, ale wiem, że minister sprawujący nad nami pieczę nie pozwoli na to, dopóki nie znajde

kogoś, kto by mnie zastąpił. Pana? Nie, ponieważ wówczas wyglądałoby na to, że popełniono błąd, zastępując pana kimś innym. Ale Harry Keogh. . .

— Harry otrzymał najlepszą pomoc, jaką mogliśmy mu dać — powiedział Esper. — Hipnotyzowaliśmy go, próbowaliśmy psychoanalizy, przeszedł niemal pranie mózgu. Bez rezultatu. Cóż jeszcze może pan dla niego zrobić?

— Ważniejsze, co my możemy dla niego zrobić, Darcy.

— Słucham?

— Ostatniej nocy w Edynburgu rozmawiałem długo z panną Markham i. . .

— Jest w tym wszystkim coś, o czym naprawdę nie mogę myśleć — wtrącił impulsywnie Clarke. — Dlaczego się tego dopuściliśmy?

— I ona powiedziała mi, abym porozmawiał z Davidem Bettleyem — kontynuował niewzruszenie Wellesley — ponieważ martwi się o Keogha. Rozumie pan? Ona naprawdę żywi szczerze uczucia w stosunku do niego. Czy może pan sądzi, że byłoby lepiej dla niego, gdyby pozostał sam? W końcu ona zaspokaja aż dwie potrzeby — jedną, Harry'ego Keogha, i drugą naszą. Poinformuje nas, co go dręczy.

— Słodka sztuka szpiegostwa mentalnego — fuknął Clarke.

— Tak więc skorzystałem z jej rady i porozmawiałem z Bettleyem. Wyciągnąłem go z łóżka. Skontaktowałem się z nim zresztą, tak czy inaczej, ze względu na niektóre z jego ostatnich meldunków i nagrań. Mogło z nich wynikać, że po pierwsze, w Keoghu zaczyna rozwijać się jakiś nowy, dziwny talent, albo też, że jest na granicy załamania. W czasie tej rozmowy Bettley wspomniał, w jaki sposób Keogh odkrył tę, no, rzecz Möbiusa. . . ?

— Kontinuum Möbiusa.

— Właśnie. Był o krok od tego, ale potrzebował bodźca. I otrzymał, dzięki wschodnio-niemieckiej GREPO, która osaczyła go, gdy rozmawiał z Möbiusem nad jego grobem w Lipsku. GREPO wyzwoliła jego matematyczny geniusz. Teleportował się — czy też skorzystał z kontinuum — aby im uciec. Właśnie dlatego leżą tutaj te akta: chciałem sprawdzić, czy to dokładnie tak było. I dlatego, dla pewności, pytam o to pana.

— A więc?

— Oto, jak to widzę — ciągnął Wellesley — Keogh przypomina komputer, który cierpi na zanik mocy. Informacje, których potrzebuje i z których INTESP chciałby skorzystać nie są już w jego zasięgu. To znaczy, prawdopodobnie ciągle gdzieś tam krążą, ale znajdują się jakby w stanie przejściowym, w zawieszaniu. I jak dotąd nie potrafiliśmy potrząsnąć wystarczająco mocno, aby je uwolnić.

— Co pan proponuje?

— Wciąż nad tym pracuję. Ale moim zdaniem, gdybyśmy tylko użyli właściwego bodźca. . . przy odrobinie szczęścia mógłby się powtórzyć Lipsk. Widzi pan, Keogh miewa ostatnio sennie koszmary. Ale może nie są jeszcze wystarczająco przerażające, co?

— Chce pan go przestraszyć?

— Chce go przestraszyć prawie na śmierć. Tak blisko śmierci, że ucieknie w kontinuum Möbiusa!

Clarke siedział nieruchomo przez długą chwilę.

— No i co pan o tym myśli? — Szef pochylił się ku niemu.

— Szczerze?

— Oczywiście.

— Myślę, że to śmierdzi — odrzekł Clarke. — Myślę też, że jeżeli zamierza pan przechytryć Keogha, to powinien pan ubezpieczyć się dodatkowo. Wreszcie mam nadzieję, że wszystko się uda. Inaczej będzie po mnie. Niezależnie od tego, jak to się skończy, przestanę z panem współpracować.

Wellesley uśmiechnął się z lekka.

— Ale pragnie pan, abym stąd odszedł, prawda? Nie będzie więc pan... mi przeszkadzał?

— Nie. Przeciwnie. Stanowczo chcę brać w tym udział. W ten sposób upewnię się, czy Harry'ego naprawdę czeka przełom.

Wellesley ciągle się uśmiechał. „O tak, na pewno przeżyje przełom” — myślał. — „Przełom na całego, aż do końca”.

Był jednym z garstki ludzi na świecie, który mógł coś takiego pomyśleć — szczególnie tutaj, w głównej kwaterze INTESP. Nikt nie potrafił rozproszyć czarnej zasłony skrywającej jego umysł...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### Sandra

Sandra Markham miała dwadzieścia siedem lat, odznaczała się niepospolitą urodą. Była neofitką sztuki telepatycznej. Jak dotąd potrafiła kontrolować swój talent tylko w niewielkim stopniu. Niewykluczone, że to samo odczuwał Harry Keogh. Czasami czytała w jego umyśle rzeczy, które z całą pewnością nie miały prawa się tam znajdować — ani zresztą u żadnego zdrowego psychicznie człowieka.

Kochała się z Harrym ledwie przed godziną, po czym on od razu zasnął. Sandra pogodziła się już z tym. Wiedziała, że śpi zazwyczaj trzy do czterech godzin, co mu w zupełności wystarczało, by zregenerować siły.

Przypatrując się bladej, odprężonej, niemal chłopięcej twarzy Harry'ego, nie widziała jeszcze oznak szybkich ruchów gałek ocznych, które świadczyłyby o marzeniach sennych. Korzystając z tego, wypoczywała także. Właśnie sen Harry'ego był tym, co interesowało ją najbardziej. W każdym razie próbowała to sobie wmawiać.

Pracowała dla INTESP. Czasami żałowała tego, ale w ten sposób zarabiała na chleb. Tak naprawdę nie było się specjalnie na co uskarżać, dopóki nie zetknęła się z Harrym. Początkowo traktowała to zadanie jak każde inne — nowy człowiek, do którego należało się zbliżyć i dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Aż w pewnym momencie on przestał być po prostu zadaniem do wypełnienia, a stał się sposobem na życie. W końcu zaczęła podejrzewać, i wciąż tak myśli, że się w nim zakochała.

Z całą pewnością praca nad osobą Harry'ego była bardziej interesująca niż podsłuchiwanie umysłów przestępców — umysłów zbyt twardych, by prawo mogło je złamać — w poszukiwaniu obciążających informacji, których nie dało się uzyskać bardziej ortodoksyjnymi metodami. Byłaby to całkiem satysfakcjonująca praca, gdyby nie musiała zagłębiać się w ich tak ohydne życie. Życie tych ludzi często przypominało szambo, poznała więc aż nadto dobrze smród kanałów ściekowych. A niekiedy — szczególnie, gdy w grę wchodziło brutalne morderstwo albo gwałt — fetor potrafił się utrzymywać przez długi, długi czas.



Harry Keogh miał najbardziej delikatny umysł, z jakim się do tej pory zetknęła. Ten człowiek bardzo nie lubił wyrządzać krzywdy komukolwiek ani czemukolwiek.

Czytała jego akta, wkradała się w jego myśli. Dowiedziała się, że zabił wielu ludzi. On jednak pamiętał i żałował prawie każdego z nich. Często nachodziła go tęsknota, by wrócić i powiedzieć im, że bardzo mu przykro. Prześladowały go koszmary senne. Sandra ledwie mogła uwierzyć w połowę z rzeczy mu przypisywanych. Jej talent był paranormalny, to prawda, ale to, co nekroskop mógł zrobić — i co uprzednio robił — było nadnaturalne. I przy tym używał swoich mocy najlepiej, jak umiał. Zabił w ten sposób wielu ludzi, lecz nigdy żadnego nie zamordował.

Sandra знаła morderców, jednakże oni w niczym nie przypominali Keogha. Ich myśli były głębokie i ciemne, skłębione jak wzburzone morze, pełne mielizn i wirów, jego zaś były jak czysta źródłana woda przemykająca wokół wyszlifowanych kamieni górskiego strumienia. I w tej samej chwili, leżąc tak obok niego, Sandra wiedziała już, jak go określić. On mógł być tylko jednym z dwóch: osobnikiem kompletnie amoralnym albo w sposób naturalny niewinnym. Ale to nie brak moralności czynił go niewinnym. Krwawym niewinnym, a jednak bez skazy. Harry Keogh nie potrafił sobie poradzić z przeszłością i w końcu zdecydował się na spotkanie z Bettleyem. Sandra nie mogła znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania, kim w tej rozmowie był Bettley: księdzem, Judaszem, a może spowiednikiem. Czuła, że konsekwencje tego spotkania zaważą na jej znajomości z Keoghem. Sądziła, iż on na wpół ją podejrzewał. To tłumaczyłoby, dlaczego nigdy nie zachowywał się tak, jak by tego chciała. To potworne znaleźć mężczyznę takiego jak Harry, po to tylko, żeby odkryć, iż spośród wszystkich mężczyzn on jest prawdopodobnie jedynym, którego nie mogła mieć.

Nagle zła na siebie samą — czując wewnętrzny przymus, by odrzucić przykrycie i wyskoczyć z łóżka, ale zarazem troszcząc się, aby nie zakłócić mu snu — ostrożnie odsunęła się od niego i wyślizgnęła z pościeli. Następnie nago poszła do łazienki. Nie było jej ani zimno, ani gorąco. Czuła, że musi coś zrobić. W dzień byłaby to najgorsza rzecz na świecie: spacer do parku. Wierzyła, że coś z ich bajkowego świata przenika do jej daleko mniej elizejskiej egzystencji. A kiedy ta myśl nadeszła, uświadomiła sobie, że Harry'emu wydałaby się diablo negatywna, skoro potrzebowała czyjejś niewinności, aby równoważyć własne winy.

Ugasiła pragnienie, chlapnęła zimną wodą pod ramiona i na piersi, gdzie gwałtowna miłość pozostawiła na jej ciele krople potu, wytarła się do sucha szorstkim ręcznikiem i popatrzyła krytycznie na swe odbicie w lustrze.

W przeciwieństwie do Harry'ego nie dostrzegała w sobie naiwności. Ale trudno o to, gdy ludzkie umysły w każdej chwili mogą się przed tobą otworzyć i łopotać jak stronicie książki, a ty nie masz dość siły, by się odwrócić, i czytasz wszyst-

ko, co tam jest zapisane. Inni telepaci INTESP, jak Trevor Jordan, mieli więcej szczęścia. Ze względu na charakter swojej pracy musieli ukierunkować talent.

Sandra potrząsnęła głową. Mimowolnie zaczęła biadolić nad samą sobą. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Miała duże, zielonkawo-niebieskie, badawczo spoglądające oczy i mały, kształtny nos. Małe uszy, ledwie widoczne w czuprynie miedzianych włosów, i długie kości policzkowe, schodzące w dół delikatną krzywizną do krągłego, niewydatnego podbródka. Oczywiście, była świadoma własnej urody. Kiedy dostrzegała zainteresowanie jej osobą, uśmiechała się jasno, nieprzymuszenie, jakby w nagrodę. Fizjonomię Sandry łatwo było wziąć za wymuskaną twarz z błyszczącej okładki popularnego magazynu. Ale bliższy wgląd ujawniał rozliczne oznaki jej charakteru. Dwadzieścia siedem lat życia nie przeszło bez śladu, z kącików oczu rozchodziły się linie śmiechu, lecz nie brakowało i innych zmarszczek, biegnących równolegle i horyzontalnie po jej czole, a świadczących, jak wiele razy krzywiła twarz w gniewie lub zmartwieniu. Była szczęśliwa, że te linie nie upośledzały jej urody.

Ciało kobiety można by uznać za prawie doskonałe w takim stopniu, w jakim ona sama mogłaby sobie tego życzyć. Wydawało jej się, że jest zbyt obfita „u góry”, czasami też myślała, iż jej nogi są stanowczo zbyt długie.

„Tak, możesz uważać to za wady — powracał do niej głos Harry’ego z poprzedniego spotkania — ale ja jestem gorącym wielbicielem twoich cudownie kobiecych kształtów”.

Gdy się kochali, lubił, jak oplatywała go dookoła nogami albo kiedy pozwalała piersiom kotłować się obok jego ust. Jej duże, asymetryczne brodawki wydawały się być dla niego przedmiotem nieustającej fascynacji, przynajmniej wtedy, kiedy oddawał się całkowicie ich miłosnym spotkaniom. Ale stanowczo zbyt często bywał zupełnie gdzie indziej. I teraz dotarła do niej następna prawda: zbyt często używała seksu, jakby w obawie, że on przestanie się nią interesować.

Nagle zmrożona, zgasiła światło w łazience i wróciła do sypialni. Harry leżał tak, jak go zostawiła, na lewym boku. Jego oddech był wciąż głęboki i równomierny, powieki nieruchome. Krótkie, nieoczekiwane, telepatyczne rozjaśnienie pokazało nieskończone, puste ciemnie snu, przez które dryfował w poszukiwaniu drzwi. Pojawiło się i znikło, a wówczas Sandra westchnęła. W snach Harry’ego zawsze były drzwi, być może pozostałość po kontinuum Möbiusa, które przywoływał matematycznie z innego wymiaru rzeczywistości.

„Kiedy kończymy się kochać — powiedział jej kiedyś — mam czasem uczucie, że to był sen albo opowiadanie przeczytane w zbiorze baśni. Nierealne, wymyślone doświadczenie pozacielesne. Ale wtedy aż nadto dobrze przypominam sobie, jak naprawdę wyglądało istnienie bezcielesne, i wiem, że to naprawdę się zdarzyło. Jak to wytłumaczyć? Czy śniłaś kiedyś, że umiesz latać? Że naprawdę wiesz, jak się lata?”

„Tak — odparła wtedy, swym łagodnym, edynburskim szkockim akcentem — często i bardzo plastycznie. Biegnę w dół stromego zbocza, by wystartować, następnie podrywam się do góry, lecę nad wzgórzami Pentland, nad wioską, w której się urodziłam. Czasami boję się, ale pamiętam, iż wiem zawsze dokładnie, jak to się robi!”

„No właśnie — Harry był podekscytowany — budzisz się i próbujesz to zatrzymać, nie chcesz, by tajemnica uleciała wraz ze snem. A kiedy się rozbudzisz zupełnie, z przykrością przypominasz sobie po raz kolejny, że jesteś przywiązany do ziemi. Tak — westchnął, a fala ożywienia odpłynęła — to jest to samo, co mi się zdarza. Coś powracało z długiej serii snów w dzieciństwie, ale wypaliło się i odeszło na zawsze”.

„Tym lepiej dla ciebie, Harry — pomyślała wtedy. — Ten świat był niebezpiecznym miejscem. Teraz jesteś bezpieczny”. Jednocześnie okazał się niezbyt użyteczny dla INTESP i na pewno nie dlatego, że ona poświęcała mu tyle uwagi. Przeciwnie, oni pragnęli, by odzyskał swoją moc, nieważne jak. Ona miała być osobą, dzięki której miał się wyrwać z marazmu.

Wślizgnęła się do łóżka, jego ręka automatycznie spoczęła na jej piersi. Keogh był szczupły, świetnie umięśniony. Bardzo dbał o swoją kondycję. „Jest całe lata starsze ode mnie — powiedział jej kiedyś poważnym tonem — i dlatego muszę się o to ciało troszczyć”. Trudno uwierzyć, że kiedyś rzeczywiście nie należało do niego. Ale ona wtedy nie знаła go, ani też tamtego mężczyzny, i była z tego raczej zadowolona.

— Ummm? — zamruczał teraz, gdy przytuliła się do niego.

— Nic — wyszeptła w ciemność pokoju. — Ciii.

— Ummm... — powtórzył i instynktownie przygarnął ją do siebie. Nigdy z nikim nie czuła się tak niesamowicie. Przy wszystkich jego lękach, kiedy byli razem, miała wrażenie, jakby przywierała do skały. Dotykała jego piersi, bardzo delikatnie, aby go nie obudzić, i próbowała wprowadzić go w głębszy sen. Po chwili również zasnęła.

— Haaaarry...! — Matka Harry’ego Keogha, wzywała go ze swego podwodnego grobowca, ale nie mogła się do niego przebić. Od jakiegoś czasu jej się to nie udawało i wiedziała dlaczego, ale to nie powstrzymywało jej przed kolejnymi próbami. — Harry, jest ktoś, kto bardzo chce z tobą porozmawiać. Mówi, że byliście przyjaciółmi i że to, co chce ci powiedzieć, jest bardzo ważne.

Keogh słyszał ją, ale nie mógł odpowiedzieć, gdyż rozmawianie ze zmarłymi zostało mu zabronione. Gdyby kiedykolwiek próbował złamać ten zakaz lub choćby tylko rozważał taką możliwość, wówczas jeszcze raz usłyszałby wewnątrz siebie ten nieodparty głos, przydający siły poleceniom, za mocą których jego władza nekroskopa stała się bezużyteczna.

— Pod karą bólu nie wolno ci, Harry! Głosy umarłych zostałyby zniekształcone nie do rozpoznania — wołał Harry Junior. — Faethor Ferency, Tibor i Julian Bodescu, być może byli ostatnimi. Wielka jest potęga wampirów, ojcze! A jeśli jest ich więcej, ukrytych gdzieś na świecie, jak wiele czasu im zajmie, by cię odszukać... lub tobie, by ich znaleźć? Ale oni będą cię szukali tylko wtedy, gdy będą mieć powody, by się ciebie bać. Dlatego właśnie teraz usuwam te powody ze szczętem! Rozumiesz?

— Robisz to tylko dla siebie — odpowiedział Harry. — Nie ze strachu o mnie, lecz o siebie. Boisz się, że pewnego dnia wrócę, odkryję ciebie w twoim gnieździe i zniszczę. Mówiłem ci, że nie byłbym w stanie tego zrobić. Ale, oczywiście, moje słowo ci nie wystarcza.

— Ludzie się zmieniają, ojcze. Ty także mógłbyś się zmienić. Jestem twoim synem, ale jestem też wampirem. Nie mogę ryzykować, że pewnego dnia nie zechcesz mnie znaleźć z mieczem, kołkiem, w płomieniach. Powiedziałem już przedtem: jako nekroskop, jesteś niebezpieczny, ale bez zmarłych jesteś bezsilny. I bez nich nie masz wstępu do kontinuum Möbiusa. Nie możesz wrócić tutaj ani szukać mnie w innych miejscach. Tak, masz rację, to jest następny powód, dla którego nakładam na ciebie te ograniczenia.

— Więc skazujesz mnie na tortury. To nieuniknione, ponieważ zmarli kochają mnie. Oni będą do mnie mówili!

— Mogą próbować, ale nie usłyszysz ich, ani im nie odpowiesz. Niniejszym odmawiam ci tego uzdolnienia.

— Przecież jestem nekroskopem. Rozmawianie ze zmarłymi to mój nawyk. A co będzie, gdy się zestarzeję? Kiedy dotrę do zmarłych jako stary człowiek, co wtedy? Czy także będę musiał cierpieć? Do końca mych dni?

— Nawyki są po to, by je zwalczać, Harry. Powtarzam po raz ostatni, a jeśli mi nie wierzysz, spróbuj. Nie wolno ci rozmyślnie rozmawiać ze zmarłymi, a jeśli oni przemówią do ciebie, musisz natychmiast wymazać ich słowa z pamięci. W przeciwnym razie poniesiesz konsekwencje. Tak będzie.

— A cała matematyka, jakiej nauczył mnie Möbius, czy ją także mam zapomnieć?

— Już ją zapomniałeś. To jest najbardziej bezpośrednio ograniczenie, jakie na ciebie nakładam. Nie chcę być bowiem atakowany na moim własnym terytorium. Od teraz, koniec dyskusji. To... już... stało się.

Wówczas Harry poczuł gwałtowny ucisk w głowie. Krzyknął z bólu. Zapadła ciemność...

Odzyskał przytomność w Londynie, w kwaterze głównej INTESP. To było cztery lata temu. Powiedział im wszystko i dopomógł w skompletowaniu swoich akt i akt wszystkich operacji, w których brał udział. Nie był już nekroskopem. Nie mógł już narzucać swej metafizycznej woli fizycznemu światu. INTESP nie imać już z niego pożytku. Ale nawet po tym, jak wypróbowali wszystkie możliwe

sposoby, aby przy wrócić jego personalne dyspozycje, był dziwnie spokojny, zupełnie pewien, że nie pozostawią go samemu sobie. Był dla nich zbyt cenny jako nekroskop. Nigdy o nim nie zapomną, a jeśli tylko będą mogli przywrócić jego moc, zrobią to. Podobnie postąpią jego przyjaciele, nieprzeliczone tłumy zmarłych. Przyjaciele Harry'ego, jego prawdziwi towarzysze pomiędzy przeważającą większością liczyli zaledwie około setki. Reszta również wiedziała o nim. Dla nich pozostanie zawsze jedynym światełkiem w ich wiecznych ciemnościach.

— Harry. Mój biedny mały Harry. — Jeden z nich, zdecydowanie dla Keogha najważniejszy, znowu próbował do niego przemówić. — Dlaczego mi nie odpowiesz? Zawsze pozostaniesz dla mnie małym Harrym.

„Ponieważ nie mogę” — chciał odpowiedzieć, ale nie odważył się, nawet we śnie. Gdyż raz spróbował, na brzegu rzeki, i zapamiętał to aż za dobrze.

Pojechał tam po powrocie do swego domu niedaleko Bonnyrigg. Szukszin wepchnął Mary pod lód i pozostawił jej ciało, które spłynęło z prądem do zakola zamarzającej rzeki. Tam opadło na dno i zmieszało się z mułem, wodorostami i szlamem. I tu pozostało, aż pewnej nocy Harry dał jej okazję do zemsty. Od tego czasu spoczywała w spokoju, a jej szczątki były stopniowo wymywane. Ale duch ciągle się tam znajdował.

Przybył tam, by patrzeć na spokojną, głęboką i ciemną wodę, na trzciny i gliniasty brzeg. Dawno nie używane ścieżki biegły wzdłuż rzeki, zarastając chwastami i krzewami jeżyn. Śpiew ptaków dochodził z cienistych wierzb i kolczastej tarniny. Oprócz jego starego domostwa znajdowały się tu jeszcze trzy inne, z których dwa stały oddzielnie w dużych, otoczonych murami ogrodach, dochodzących prawie do rzeki. Obydwa były puste, a trzecie, w sąsiedztwie, od kilku lat wystawiano na sprzedaż. Od czasu do czasu ludzie przyjeżdżali, oglądali je i odjeżdżali, kręcąc głowami. Było to samotne miejsce, dlatego Harry je lubił. Zazwyczaj rozmawiał tutaj z matką i nie musiał się obawiać, że ktoś zobaczy go, siedzącego samotnie i mamroczącego bez sensu do siebie.

Nie wiedział, czego oczekiwać tym razem, konwersacja była zakazana, a każda próba złamania ograniczenia nałożonego na jego mózg zostanie ukarana. Istniała jedna jedyna rzecz, której INTESP nigdy nie wypróbował, głównie dlatego, iż nie chciano posuwać się tak daleko. Szefem był wówczas Darcy Clarke, i jego instynkt przestrzegał go przed popychaniem Harry'ego zbyt daleko. Ale tu, nad rzeką, duch niewinnej kobiety nie mógł oprzeć się pokusie porozmawiania z synem.

Na początku była tylko samotność, szmer rzeki, śpiew ptaków. W chwilę później obecność Harry'ego została zauważona.

— Harry? — Przebudzona, bez tchu pojawiła się w jego umyśle. — Harry, czy to ty, mój synu? Och, wiem, że tak. Przyjechałeś znowu do domu, Harry!

To było wszystko, co powiedziała, to wystarczyło.

— Mamo, nie — wykrzyknął, zrywając się na nogi, i chwiejnym krokiem próbował biec. Ktoś zapalił rzymskie ognie w jego czaszce, a ich kule ogniste rozerwały się wprost w miękkiej tkance mózgu. To jego syn-wampir przyrzekł mu i to właśnie przeprowadził. Zmierzch zastał Harry'ego w długich trawach nad brzegiem rzeki, boleśnie odzyskującego przytomność w świecie, w którym, jak wiedział teraz ponad wszelką wątpliwość, nie był już nekroskopem. Nie mógł już komunikować się ze zmarłymi. A w każdym razie — nie rozmyślnie. Lecz gdy śnił...

— Haaarry. — Głos matki wzywał go znowu, odbijając się echem w bezkresnych, splątanych ciemniach jego, skądinąd pustego snu. — Jestem tutaj, Harry, tutaj. — Zanim się zorientował, skręcił, przekroczył drzwi i znowu stał na brzegu rzeki, tym razem oblany jasnym księżycowym światłem. — Czy to ty, synu? — Jej ściszony głos powiedział mu, że ona ledwie może w to uwierzyć. — Naprawdę przyszedłeś do mnie?

„Nie mogę ci odpowiedzieć, mamo!” — chciał wyszeptać, ale milczał.

— Ależ właśnie mi odpowiedziałeś, Harry — odrzekła i on wiedział, że to była prawda. Zmarli nie muszą posługiwać się wypowiedzianym słowem. Wystarczy je pomyśleć, jeżeli ma się talent. Harry zwał się na brzeg rzeki, zwinął niczym embrion, schował głowę w ramiona i czekał na ból, który nie nadchodził.

— Och, Harry! — zawołała od razu. — Czy myślisz, że po tym pierwszym razie skrzywdziłabym cię rozmyślnie lub sprawiła, byś sam się skrzywdził?

— Mamo, ja... — spróbował znowu, zrywając się na nogi i wyrzekając — ja nie rozumiem!

— Rozumiesz, mój synu, rozumiesz. Bez wątpienia. Tyle że zapomniałeś.

— Co zapomniałem, mamo?

— Zapomniałeś, że byłeś tu już przedtem, w snach, więc to, co zrobił ci mój wnuk, tutaj się nie liczy. Teraz wezwij mnie, Harry, abyśmy mogli porozmawiać i przespacerować się.

Zastanawiał się, czy rzeczywiście mógł z nią rozmawiać we śnie. Nawykł do tego poprzednio — śniąc i czuwając zarówno, ale teraz...

— Jest tak samo, synu. Trzeba ci tylko za każdym razem przypomnieć.

— Nie wolno ci rozmyślnie rozmawiać ze zmarłymi — zauważył inny głos, nie należący do matki, dochodzący raczej z zakamarków pamięci niż jego śpiącego umysłu — a jeżeli mówią do ciebie, musisz wymazać ich słowa z pamięci. W przeciwnym razie poniesiesz konsekwencje.

— Głos mego syna — westchnął, pojawiwszy wreszcie. — A więc, jak wiele razy rozmawialiśmy, mamo? To znaczy, od czasu, gdy to zaczęło być dla mnie niebezpieczne... przez ostatnie cztery lata, powiedzmy? — I gdy zaczęła mu odpowiadać, wezwał ją. Wynurzyła się z wody, przyjęła jego dłoń. Wyciągnął na brzeg młodą kobietę, jaką była w dniu śmierci.

— Tuzin, dwadzieścia, pięćdziesiąt razy. — Wzruszyła ramionami. — Trudno powiedzieć, Harry. Coraz trudniej się do ciebie przebić. Och, jak bardzo tęskniliśmy za tobą.

— My? — Ujął jej dłoń i szli razem ciemną ścieżką wzdłuż rzeki, a wysoko nad nimi księżyc świecił na niebie upstrzonym chmurami.

— Ja i wszyscy twoi przyjaciele, zmarli. Wielu z nich pragnie usłyszeć znowu twój łagodny głos, synu. Inni zaczną wypytywać, co powiedziałeś. A reszta będzie chciała wiedzieć, jak ci leci i co się z tobą stało. Co zaś do mnie: jestem jak wyrocznia. Ze mną rozmawiasz przede wszystkim. Lub też rozmawiałeś. . .

— Sprawiasz, że czuję się tak, jakbym złamał jakieś stare przyrzeczenie — odparł — a przecież nigdy takiego nie składałem. Poza tym nic na to nie poradzę, że nie mogę już z wami rozmawiać. Na czym miałyby polegać ta trudność w dostaniu się do mnie? Wezwałeś mnie i przyszedłem. Co w tym trudnego?

— Nie zawsze przychodzisz, Harry. Czasami czuję cię tutaj, krzyczę do ciebie, a ty się wycofujesz. Za każdym razem okres wyczekiwania między wizytami wydłuża się, jakby ci już nie zależało albo jakbyś o nas zapomniał. A może rozmowa z nami stała się nawykiem, który teraz przagniesz. . . zwalczyć?

— Nic z tego nie jest prawdą — wybuchnął Harry. — A jeśli nawet to prawda — odrzekł już ciszej — to nie moja wina. Mój umysł spłonie, jeżeli będę kusił los.

— Wobec tego — momentalnie wyczuł w jej głosie jakieś zdecydowanie, a zimne palce zacisnęły się mocniej na jego dłoni — coś trzeba z tym zrobić. To znaczy — z twoją sytuacją, ponieważ przysparza ona zbyt wielu kłopotów, umarli leżą niezadowoleni w swoich grobach. Czy pamiętasz, jak ci mówiłam, Harry, że ktoś chce z tobą porozmawiać? I jak ważne jest to, co chce ci powiedzieć?

— Tak, pamiętam. Kto to jest i cóż może być tak ważnego?

— Nie przedstawił się, a jego głos dochodził z wielkiej odległości.

Harry poczuł, że krew stygnie mu w żyłach. Pamiętał aż za dobrze, jak zmarli, w określonych okolicznościach, mogą odczuwać ból. Sir Keenan Gormley, zamordowany przez sowieckich esperów, był „przesłuchiwany” przez Borysa Dragosaniego, nekromantę. Po śmierci odczuwał ból.

— Czy to. . . jest tak? — zapytał teraz i wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Nie wiem — zwróciła się do niego i patrzyła mu prosto w oczy — ale to coś, z czym się nigdy dotąd nie spotkałam. Lecz Harry, boję się o ciebie! Och, synu, synu, mój biedny mały Harry. Tak bardzo, bardzo się o ciebie boję. Tęsknię za tobą i tęsknią za tobą wszyscy zmarli, ale jeżeli miałyby cię to wystawić na niebezpieczeństwo, wówczas obejdziemy się bez tego.

— Mamo, czy jesteś pewna, że nie wiesz, kim jest ten, który próbował się ze mną skontaktować? Czy na pewno nie wiesz, gdzie on teraz przebywa? — Czuł, że ona czegoś unika.

— Nie wiem — uciekała przed jego wzrokiem — ale ten głos... Och, tak, wiem, gdzie jest. Wszyscy zmarli to wiedzą. On jest w piekle!

— W piekle? — zapytał, łagodnie obracając się tak, że stali twarzą w twarz.

Popatrzyła mu w oczy, otworzyła usta, lecz zamiast słów wydobyło się stamtąd bulgotanie, Zakaszłała dławiająco, plunęła krwią... Wyprężyła się, opuchła, wyrwała się z jego osłabłego uścisku. Zobaczył w jej ustach coś rozdwojonego, co nie było ludzkim językiem. Jej skóra poszarzała i w ciągu sekundy upodobniła się do pełnego dziur, wiekowego pergaminu. Ciało odpadało od kości płataniczym przegniły całun i rozsypywało się w pył, odsłaniając czaszkę. Krzyknęła w trwodze, odwróciła się i odbiegła. Zatrzymała się na chwilę przy zakolu i popatrzyła do tyłu. Psujący się i rozpadający szkielet śmiał się z niego. Wówczas Keogh zobaczył, że jej oczy zajarzyły się karmazynowo w świetle księżyca, a zęby stały się ostrymi, zagiętymi kłami.

— Mamooo!... — krzyczał za nią sparaliżowany strachem.

— Haaaarry! — Obcy głos dochodził z bardzo daleka.

Harry wciąż wiercił się na brzegu, patrzył to w tę, to w tamtą stronę, przewiercał wzrokiem srebrzyste światło księżyca. Ale nie było tam nikogo.

Zaszokowany nagłą metamorfozą matki, co do której nie miał wątpliwości, iż mogła być jedynie poważnym ostrzeżeniem, w pierwszej chwili nie potrafił odpowiedzieć. Rozpoznał bezmiar rozpacz, bólu i beznadziei w tym głosie, który niezmiennie go przyzywał.

— Harry, na Boga! Jeżeli tylko tam jesteś, odpowiedz, proszę. Wiem, że nie powinienes, wiem, że się boisz, ale musisz. To znowu się dzieje, to znowu się dzieje!

Głos zanikał, słabł, jego telepatyczna moc gasła. Jeżeli Keogh miał kiedykolwiek zgłębić tę sprawę, mógł to zrobić jedynie teraz.

— Kim jesteś? — zapytał. — Czego chcesz ode mnie.

— Haaarry! Harry Keogh! Pomóż nam! — głos odchodził, mieszał się z szumem wiatru.

— Jak? — zawołał. — Jak mogę wam pomóc? Nie wiem nawet, kim jesteście. — Ale w jego głowie błąkało się niejasne podejrzenie, że wie z kim ma do czynienia. Rzadko się zdarzało, by zmarli mówili do niego, jeżeli przedtem nie istniał jakiś rodzaj wzajemnych relacji. Zazwyczaj on ich znajdował, po czym zmarli byli zdolni odnaleźć go ponownie. Dlatego podejrzewał, że musiał znać tego właśnie lub tych właśnie uprzednio, prawdopodobnie za życia.

— Na Boga, znajdź nas i skończ z tym wreszcie.

— Jak mogę was znaleźć! — krzyknął. Zbierało mu się na płacz z bezsilności.

Słabiutki, zanikający szept, jednak wystarczająco silny, by zawezwać wiejący wiatr, uderzył w Harry'ego z taką siłą, że mężczyzna musiał pochylić się w jego stronę. Wtedy nastąpiło finałowe zaklinanie, które zmroziło krew eks-nekroskopa i wyrwało go na powrót w świat jawy.



— Znajdź nas i zniszcz nas! — błagał nieznany głos. — Skończ z tymi szkarłatnymi nitkami teraz, zanim urosną w siłę. Znasz sposób: ostra stal, drewniany kołek, oczyszczający ogień. Zrób to, Harry. Proszę... zrób... to!

Keogh przebudził się. Sandra przywarła do niego, starając się go przytrzymać na łóżku. Był przemoczony od zimnego potu. Obejmowała go za szyję, a pod piersią czuła jego walące serce.

— Już dobrze, już dobrze. To tylko zły sen, koszmar, nic więcej.

— Co? — Cały drżał.

— Już dobrze — powtarzała — to tylko zły sen.

— Sen? — W jego oczach pojawiła się jakaś posępna wizja. Odepchnął ją łagodnie, wciągnął głęboko powietrze i zeszywniał. — Nie — rzucił — to było coś więcej niż zwykły sen, znacznie więcej. Chryste, muszę to zapamiętać!

Za późno. Sen już się cofał, spływał w dół do korzeni podświadomości.

— On był o... — rozpaczliwie potrząsnął głową, rozsnuwając zawieszoną własnego potu — o mojej matce. Nie, nie o niej... ona w nim była. To... ostrzeżenie? Tak, ostrzeżenie i... coś jeszcze.

Sen odchodził, wypierany wbrew jego woli przez wolę kogoś innego. Wolę czy zapis jego syna, przez post-hipnotyczne polecenia, które wszczepił w mózg Harry'ego.

Minęła czwarta w nocy. Harry spał jakieś trzy godziny, Sandra trochę krócej. Kiedy wreszcie uspokoił się i założył szlafrok, zrobiła mu filiżankę kawy. Próbowała przywołać ten sen, nalegała, żeby sobie przypomnieli... przeklinając siebie w duchu, że wszystko przespała. Gdyby czuwała, mogłaby chociaż złapać jakieś migawki z tego doświadczenia, które go tak przeraziło. Do jej obowiązków należało pomóc mu uporządkować jego umysł i odzyskać, co utracił.

— Bez sensu. — Potrząsnął głową po długich minutach cierpliwego wypytywania. — Sen uleciał. I bardzo dobrze, na przyszłość muszę być... ostrożny.

Sandra nie zapytała, dlaczego musi być ostrożny, ponieważ знаła odpowiedź. Kiedy popatrzyła na niego znowu, jego pełne uczucia oczy były utkwione w nią, a głowa przechyliła się lekko na bok.

— Jeżeli wyrzucisz to z siebie, będziesz się czuł z tym lepiej. — Jej kłamstwo miało przynajmniej pozory logiki. — Kiedy opowie się koszmar, to przestaje on być taki straszny.

— Och? Więc w ten sposób rozumiesz koszmary, tak?

— Próbuję jedynie ci pomóc.

— Ale ja powtarzam, że nie pamiętam, a ty ciągle nalegasz. To był tylko sen i nikt nie wyciąga z taką zawziętością snów z kogoś innego. W każdym razie nie bez przyczyny. Coś tu jest nie w porządku, Sandro, i myślę, że wiem o tym od jakiegoś czasu. Stary Bettley mówi, że to moja wina, lecz teraz nie jestem tego taki pewien.

Przyjęła słowa Harry'ego w milczeniu, udała obrażoną i odsunęła się. Ale tak naprawdę to on został zraniony, a była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła. W nie najlepszych nastrojach położyli się ponownie do łóżka i odwróceniu do siebie plecami po chwili zasnęli.

Godzinę później obudziła się znowu. Harry dalej spał, wyczerpany fizycznie i psychicznie. Kończyny miał jak z ołowiu, oczy nieruchome, oddech głęboki, powolny i regularny. Nie śnił już więcej. Leżąc obok niego, Sandra czuła, że są sobie obcy. Kochali się ostatniej nocy i było im bardzo, bardzo dobrze. Rozmyślające tym, sięgnęła w dół. Chwilę później została wynagrodzona, gdy członek zeszywniał i pulsował jej w palcach. Zwierzęca reakcja, wiedziała to, a jednak była mu wdzięczna.

Jej lojalność wystawiono na poważną próbę. INTESP płaciło rachunkami, ale do życia potrzebowała czegoś więcej niż sówite zarobki. Pragnęła Harry'ego. To nie było zadanie do wypełnienia, już od dawna. Zbliżał się czas, kiedy zmuszona będzie to przerwać, powiedzieć — do diabła z wywiadem — i wszystko mu wyjaśnić.

Myśli Sandry, dryfując, zaczęły się układać w wielobarwną mozaikę.

Zanim znowu zapadła w sen, doszły ją jakieś hałasy z ogrodu od strony rzeki. Powolne, leniwe szmery. Była rozespana, ale te odgłosy nie dawały jej spokoju. Trwała więc na granicy głębokiego snu i wzbraniała się przed zanurzeniem weń. Ale w miarę jak pierwsze, blade, nieśmiałe promienie dnia zaczęły przeświecać przez żaluzje w pokoju Harry'ego, dźwięki powoli umilkły. Usłyszała znajome skrzypnięcie furtki w starej, wykończonej łukowato bramie w ogrodzie, a następnie coś, co mogło być szuraniem stóp, i już nic więcej.

Rankiem Harry, ubrany w szlafrok, przyniósł tacę z parującą filiżanką kawy i sucharami.

— Świetnie — powiedział po prostu. — Mieliliśmy ciężką noc.

— Naprawdę? — szepnęła rozespana i zauważyła, że był wciąż blady, ale nie wyglądał już na tak zmęczonego. Zdawało się, że dostrzega jakiś nowy błysk w jego spojrzeniu. — Kocham cię — powiedziała, stawiając filiżankę na małym, sypialnym stoliku. — Zapomnij o wszystkim innym, pamiętaj tylko to. Nic na to nie poradzę i nie chcę tego, ale po prostu cię kocham.

— Ja... ja nie wiem — odrzekł.

Patrząc na nią, siedzącą w ten sposób na łóżku, zaróżowioną od snu, z boleśnie nabrzmiałymi sutkami, nie mógł jej nie pożądać. Znała to spojrzenie, więc wyciągnęła rękę i pociągnęła za koniec paska od szlafroka. Jego penis był już sztywny i poruszał się jak żywa istota. Przywarli do siebie. Dotykał ją tam, gdzie, jak wiedział, lubiła najbardziej. Było lepiej niż kiedykolwiek, a ich kawa wystygła...

Później siedzieli przytuleni czule na werandzie.

— A teraz mógłbym się mierzyć z porządnym śniadaniem — powiedział Harry.

— Zjesz jajecznicę na boczku? — Pomyślała, że może najgorsze już minęło. Byłaby zdolna powiedzieć mu wszystko teraz, bez żadnej obawy. — Czy będzie wystarczająco ciepło na zewnątrz? — zapytała i zajęła się przygotowaniem posiłku.

— Środek maja? — Harry wzruszył imionami. — Może nie jest aż tak gorąco. Ale słońce już wzeszło i niebo jest czyste, więc... powiedz, że jest raczej orzeźwiająco niż zimno.

— Dobra. — Odwróciła się do lodówki, ale on stanął przy niej i chwycił ją za ramię.

— Ja to zrobię, dobrze? — odparł. — Zdaje się, że uwielbiam robić dla ciebie śniadanie.

— Świetnie. — Uśmiechnęła się.

Otworzyła wielkie okna, wychodzące na otoczony wysokim murem ogród, i zobaczyła od razu, że furka pod kamienną bramą jest nie domknięta. Pamiętała skrzywienie o brzasku. Myślała, że to podmuch wiatru, choć nie wydawało jej się, by noc była specjalnie wietrzna.

Przeszła przez werandę. Ogród był prawdziwą pułapką słoneczną, wydawał się ściągać wszystkie promienie wczesnoporanego, majowego słońca. Mury domu już się nagrzały. „Nie byłoby to wcale złe miejsce do życia — pomyślała — gdyby tylko Harry o nie zadbał”.

W istocie, niewiele zrobił w domu i dookoła przez te ostatnie cztery czy pięć lat. Doprowadził centralne ogrzewanie i przynajmniej próbował uporządkować ogród.

Weszła na trawnik i skierowała się ku żwirowej ścieżce. Jedną część ogrodu otoczono niskim kamiennym murkiem. Zobaczyła, że w górnej warstwie muru brakowało kilku kamieni i od razu przypomniała sobie odgłosy, jakie słyszała w półśnie. Gdyby ta część ogrodu została wysadzona przez nabrzmiałą od rosy czy deszczu glebę, wówczas szczątki leżałyby nie opodal. Niczego takiego jednak nie dostrzegła, jedynie rozebraną górną warstwę. W całym swym życiu nie widziała, by ktoś wślizgiwał się cichaczem po to jedynie, by kraść kamienie. Podeszła do furki i wyjrzała na porośnięty trzcina brzeg rzeki. Zamknęła bramkę i podparła ją połową cegłówki, a następnie przystanęła i wciągnęła nosem poranne powietrze. Przez chwilę wydawało jej się, że poczuła jakiś dziwny zapach... Ale równie szybko zapach zniknął. Być może to była przyczyna nocnego szurania i sapania: miejscowe stworzenia nocne, węszące jakąś padlinę leżącą gdzieś w trzcinach na brzegu rzeki.

Zmarszczyła czoło, podążyła wzrokiem wzdłuż ścieżki prowadzącej do domu i nareszcie zobaczyła, co się stało z kamieniami z muru. Oczywiście, mu-

siało to być dzieło Harry'ego. Ułożył z nich kilka liter. Zanim jeszcze zdążyła odczytać ich sens, na werandzie pojawił się Keogh z parującym dzbankiem kawy, filiżankami, mlekiem i cukrem na tacy.

— Śniadanie za pięć minut — oznajmił. — Zanim zdążysz nalać mi kawy, będę z powrotem z jedzeniem.

Od razu uleciała jej z głowy sprawa z kamieniami i skierowała się w stronę ogrodowego stolika.

— O co chodzi z tymi kamieniami? — przypomniała sobie, gdy jedli śniadanie.

— Hmm? — Harry uniósł brwi. — Z kamieniami?

— W ogrodzie na trawniku.

— Tak — przytaknął — kamienie okalają trawnik. I co z nimi?

— Nie — nalegała — na trawniku! Kamienie ułożone w litery. Co to, Harry, czyżbyś przekazywał potajemne informacje pilotom jumbo lecącym do Edynburga, czy coś w tym guście? — Uśmiechnęła się żartobliwie.

— Na trawniku? — Zatrzymał widelec zjedzeniem w pół drogi do ust. — Potajemne informacje... — Opuścił widelec, zmarszczył czoło. — Na jakim trawniku?

— Jak to, przecież tam! — Pokazała palcem. — Idź i sam zobacz. Zrobił tak, a z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że nic o tym nie wiedział. Dołączyła do niego i razem przyglądali się zadziwiającej kamiennej legendzie. Była prosta, jakby nie dokończona.

KENL

TJOR

RO

— Informacje? — powtórzył Harry, właściwie sam do siebie. Wpatrywał się tak jeszcze przez chwilę, po czym nerwowo zwilżył wargi i rozejrzał się szybko po ogrodzie, rzucając badawcze spojrzenie to tu, to tam. Sandra zastanawiała się, czego szuka. Następnie ścichł, znowu zbladł, wyraźnie czymś bardzo przejęty.

— Harry — zapytała — czy coś...?

Raczej czuł, niż słyszał jej głos.

— Ech? — Popatrzył na nią. — Nie, nic. Musiały tu być jakieś dzieciaki. Przeniosły kilka kamieni — jaka sprawa?

Zaśmiał się, ale nie wypadło to naturalnie.

— Harry — podjęła znowu — ja... .

— W każdym razie, miałaś rację — przerwał jej obcesowo — tu jest cholernie zimno. Chodźmy do środka.

Kiedy jednak pozbierali naczynia ze śniadania, zobaczyła, jak Keogh węszy w powietrzu, dziwnie zaniepokojony.

— Coś martwego — powiedziała, a on aż podskoczył.

— Co?

— W trzcinach, przy rzece, coś martwego. Na ścieżce jest pełno robaków, aż zleciały się ptaki.

Jej słowa same w sobie brzmiały zupełnie niewinnie, lecz Harry wyglądał na zaszokowanego.

— Jedzą je. . . — powtórzył. I nie mógł już ani chwili usiedzieć spokojnie.

Sandra wzięła więc od niego naczynia i poszła do kuchni. On zaś przemierzał dużymi krokami werandę, rzucając spojrzenia przez okno na ogród. Po chwili wróciła i spostrzegła, że Harry podjął już jakąś decyzję, próbował też przybrać mniej zatroskany wygląd.

— Więc jakie są twoje plany na dzisiaj? — zapytał. — Czy będziesz rysować? To tylko kilka słów, ale powiedziały jej wiele.

Sandra była projektantką mody — dla pozoru. W rzeczywistości, również projektowała modne stroje kobiece i miała na swoim koncie nawet kilka małych sukcesów, ale głównie była to fasada przykrywająca jej pracę dla INTESP. Ostatniej nocy powiedziała Keoghowi, iż nie ma nic w planie na dzisiaj i ten dzień mogliby spędzić razem. Teraz, z powodów wiadomych tylko jemu, wyraźnie chciał zostać sam.

— Chcesz, abym sobie poszła? — Nie potrafiła ukryć rozczarowania.

— Sandro — zrezygnował z tej niezdarnej próby zachowania pozoru — muszę coś przemyśleć. Potrafisz to zrozumieć?

— A ja ci w tym przeszkadzam? Tak, potrafię to zrozumieć. Harry, ta sprawa z kamieniami w ogrodzie. Ja. . .

— Słuchaj — wtrącił się — nie wiem prawie nic o kamieniach, prócz tego, że są one tylko małą cząstką. . . czegoś.

— Cząstką czego, Harry? — Musiał słyszeć, jak bardzo ją to zainteresowało.

— Nie wiem. — Jego głos wydawał się ciągle szorstki. Pokręcił głową, po czym rzucił jej badawcze, niemal oskarżające spojrzenie. — Może powinienem spytać o to ciebie, co? To znaczy, może ty wiesz lepiej, co się tu właściwie dzieje?

Nic nie odpowiedziała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Narzucił na siebie jakieś ubranie i poczekał na nią w samochodzie.

Ruszyli boczną drogą, przejechali przez kamienny most i włączyli się do ruchu na szosie do Bonnyrigg. Z wioski mogła złapać autobus do Edynburga. Robiła tak już przedtem i nie stanowiło to wielkiego kłopotu. Nie zamierzała rozmawiać z nim.

— Zobaczymy się wieczorem? Czy mam tu przyjechać? — Wysiadając z samochodu, niespodziewanie usłyszała samą siebie.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Sandra. . . — Wzruszył bezsilnie ramionami. — Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— Zadzwońisz do mnie?

— Tak — odrzekł i nawet zdobył się na uśmiech. — Sandro. . . czy wszystko w porządku?

— Kochanie — pochyliła się i pocałowała go przez otwarte okno samochodu — naprawdę nie martw się niczym.

W Edynburgu Darcy Clarke i Norman Wellesley czekali nieopodal gregoriańskich domostw, gdzie mieszkała Sandra. Siedzieli w zaparkowanym samochodzie Wellesleya, z dwoma innymi pracownikami INTESP. Kiedy wynurzyła się z za rogu, wysiedli z wozu i przywitani ją w drzwiach wejściowych jej domu. Bez słowa zaprosiła ich do środka.

— Miło nam znowu panią widzieć, panno Markham. — Skinął głową Wellesley.

— Jak tam sprawy, Sandro. — Clarke zmusił się do uśmiechu.

Dokonała krótkiego wglądu w jego umysł. Był strapiony i pełen niepokoju, ale nie dostrzegła nic szczególnego. Z pewnością chodziło o Keogha, bo z innej przyczyny tych dwoje nie przychodziłoby tutaj.

— Kawy? — zapytała i nie czekając na odpowiedź, udała się do kuchni.

— Tak, najwyższa pora na kawę — powiedział Wellesley. — Ale tak naprawdę, to jesteśmy strasznie zajęci i nie będziemy zanadto przedłużać naszej wizyty. Jeżeli więc możemy przystąpić od razu do rzeczy... Czy zamierzała się pani spotkać z Keoghem dziś wieczór? Będzie pani w jego łóżku, czy on w pani? — pytał Wellesley. — Znowu rżnięcie wieczorem, prawda?

Było w tym człowieku coś, co zawsze Sandrę irytowało. I fakt, że jego umysł był nieprzenikniony — nie emitował nawet najślabszego żarzenia — dodatkowo rozdrażniał kobietę. Jej zimny wzrok wyszedł naprzeciw spojrzeniu Wellesleya.

— Może do mnie zadzwoni — odparła beznamiętnie.

— Chodzi o to, że wolelibyśmy, abyś się z nim dziś wieczorem nie spotykała, Sandro — wkroczył Clarke pospiesznie, zanim Wellesley zdążył powiedzieć cokolwiek. — A to dlatego, że my zamierzamy się z nim spotkać. I chcielibyśmy uniknąć, no wiesz, kłopotliwej konfrontacji.

Nalała kawę i uśmiechnęła się do Darcy'ego. Zawsze go lubiła i nie chciała stawiać go w niezręcznej sytuacji w obecności jego szefa. Ich szefa, choć już nie na długo. Nie, jeśli tylko sprawy potoczą się zgodnie z jej planem.

— Rozumiem. Więc co się dzieje?

— Nic, czym musiałyby pani zaprzętać sobie głowę. — Zbył ją Wellesley. — Takie rutynowe działania. A do tego ściśle tajne.

Raptem ona także zaczęła się obawiać o Harry'ego. Miała zamiar odpowiedzieć im o ostatnich wydarzeniach, ale wycofała się. Było coś w ich nastawieniu, szczególnie Wellesleya, co ostrzegało ją, że to nie jest dobry moment. A poza tym to wszystko i tak umieści w comiesięcznym raporcie wraz z rezygnacją.

— To byłoby na tyle. — Wellesley wstał. — Więc do nie zobaczenia! — Kiwnął głową, przesłał jej skrzywiony półuśmiech i skierował się w stronę drzwi. — Więc jeśli on zadzwoni, to pani coś wymyśli, prawda?

Czuła, że cała drży z przejęcia, ale Clarke ujął w pokrzepiającym uścisku jej rękę tuż nad łokciem, jakby chciał powiedzieć: „Wszystko w porządku. Będę tam”.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Darcy był tak przejęty. Rzadko widywała go w takim stanie. . .

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### Mowa umarłych

Wysadził Sandrę w Bonnyrigg. Jadąc z powrotem, zatrzymał się przy sklepiku i kupił sobie paczkę papierosów. Popatrzył na resztę, ale jej nie przeliczył — nie potrafił.

Harry Junior bowiem odebrał ojcu umiejętność posługiwania się cyframi. Dlatego też eks-nekroskop w żaden sposób nie mógł skorzystać z kontinuum Möbiusa. Sandra pilnowała nawet płacenia jego rachunków, gdyż inaczej pewnie i tam popełniałby błędy. Można by się zastanowić, jaką wartość miała teraz jego „instynktowna matematyka”, równanie Möbiusa. Harry zastanawiał się, czy to był sen, fantazje, czy wymysł jego wyobraźni. Pamiętał wszystko, ale kiedy próbował wytłumaczyć to Sandrze, myśl przybierała postać marzenia albo historii przeczytanej w książkach dzieciństwa, teraz szybko zacierającej się w pamięci. Nie wiedział, czy rzeczywiście dokonał tych wszystkich rzeczy. A jeśli tak, to czy chce odzyskać zdolność rozmawiania ze zmarłymi, przekraczania drzwi, których istnienia nikt inny nie przeczuwa? Podróżować szybko jak promień światła w metafizycznej czasoprzestrzeni.

Wrócił do domu. Wyszedł do ogrodu i popatrzył na kamienie:

KENL

TJOR

RO

Zarejestrował ich pozbawioną znaczenia legendę w swoim umyśle. Następnie przyprowadził taczkę i wrzucił je do niej. „Jeśli ktoś próbował mi coś powiedzieć, to dlaczego mu to utrudniać?” — pomyślał.

Keogh udał się do pokoju na poddaszu. Duże, zakurzone pomieszczenie z małym oknem, nagimi żarówkami zwisającymi z belek stropowych oraz długimi rzekami półek z książkami pełniło rolę kaplicy jego obsesji. I, oczywiście, same zawarte w księgach fakty i fikcje, mity i legendy, wszystkie „ostateczne potępienia” i „nieodparte dowody” potwierdzające, zaprzeczające lub stojące gdzieś pośrodku badań Harry’ego emanowały mroczną tajemnicą. Historia, wiedza, sama natura. . . wampiryzm. Nie przyszedł tutaj jednak po to, by zagłębiać się w miazmaty odle-



głych czasów, krain i legend. Uważał bowiem, że minął już czas studiów i próżnego usiłowania zrozumienia natury rzeczy. Sny o czerwonych nitkach pomiędzy błękitnymi często gościły w jego podświadomości. Wierzył im.

— Wielka jest potęga wampirów, ojcze! — Nie wiedział, czy to echo, szept, skrobanie myszy, czy... pamięć? — Jak wiele czasu im zajmie, zanim ciebie odnajdą?

Nie, przyszedł tu, by popatrzeć na książki. Taktykę przeciwnika można studiować przed atakiem, a nie wtedy, gdy słyszy się już walenie do drzwi. Wierzył swym onirycznym wizjom.

Zdjął ze ściany egzemplarz broni wciąż skutecznej, choć jej kształt niewiele się zmienił przez szesnaście wieków. Półokrągłe ostrze sierpa połyskiwało niczym brzytwa.

Do końca dnia nic szczególnego się nie wydarzyło. Większość tego czasu Keogh spędził zastanawiając się nad swoim położeniem (nie był już nekroskopem, nie miał już dostępu do kontinuum Möbiusa) i nad sposobami, dzięki którym mógłby odzyskać swe uzdolnienia. Miał nadzieję, że być może rozmowa z Möbiusem potrafiłaby ustabilizować jakiś matematyczny żyrokompas, który został uszkodzony. Möbius jednak nie żył od z górą stu lat, a Harry'emu nie wolno było rozmawiać ze zmarłymi pod groźbą mentalnego cierpienia. Tylko zmarli mogli szukać dróg dojścia do niego. Podejrzewał, że kontaktował się z nimi w snach. Nie wolno było mu jednak postępować zgodnie z tym, co mu mówili. Nic zresztą nie pamiętał. Czuł, że ostrzegali go.

W każdym mężczyźnie, kobiecie i dziecku błękitna nić życia rozwija się z przeszłości i biegnie w przyszłość. Śnił natomiast o czerwonych nitkach przeplatających się z niebieskimi.

Wiedział, że coś nadciąga, coś strasznego. Reszta przypominała chińską łamigłówkę bez rozwiązania, labirynt bez wyjścia, kwadratowy pierwiastek z minus jeden, którego wartość można wyrazić jedynie w abstrakcji. A była to łamigłówka, którą analizował aż do granicy wyczerpania i do którego nawet nie podchodził, ponieważ, jak wszystkie matematyczne pojęcia, po prostu nic dla mnie nie znaczyło.

Wieczorem siadał i oglądał telewizję, głównie dla relaksu. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Sandry, ale ostatecznie nie zrobił tego. Wiedział, że ją także coś dręczy. Poza tym, jakie miał prawo wciągać ją w...

I tak mijał czas. Wieczór przechodził w noc. Harry drzemał w fotelu. Obudził go dźwięk oklasków. Na ekranie zobaczył Amerykanina, gospodarza „chat-show”, rozmawiającego z otyłą damą. Program nazywał się „Interesujący ludzie” czy coś takiego i Harry oglądał już go kiedyś, zazwyczaj bez zbytniego zainteresowania. Teraz jednak wychwycił słowo „pozazmysłowy”, „ekstrasensoryczny”,

i od razu poderwał się w fotelu. Ekstrasensoryczna percepcja ESP fascynowała go w każdej formie.

— Więc uporządkujmy to — mówił chudy jak szkielet gospodarz do otyłej damy. — Ogłuchła pani w wieku osiemnastu miesięcy i nigdy nie uczyła się pani mówić, tak?

— Tak — odparła otyła dama — ale mam przecież tę niezwykłą pamięć i oczywiście słyszałam wiele razy rozmawiających ludzi zanim ogłuchłam. W każdym razie, nie rozwinęłam zdolności mówienia, więc byłam nie tylko głucha, ale i niema. I tak trzy lata temu wyszłam za mąż. Mój mąż jest technikiem w studiu nagrań. Zabrał mnie tam pewnego dnia. Patrzyłam, jak pracuje, i nagle połączyłam oscylatory jego maszyny z głosami i dźwiękami instrumentów nagrywanej grupy.

— Nagle narodziła się idea dźwięku, czy tak?

— Dokładnie tak. — Otyła dama uśmiechnęła się. — Oczywiście, przedtem uczyłam się znakowego języka czy daktylogii, które sama dla siebie nazywałam mową niemych, i wiedziałam również, że niektórzy niesłyszący mogą prowadzić zupełnie normalne rozmowy, które znów nazywałam „mową głuchych”. Ale nigdy tego nie próbowałam, ponieważ nie rozumiałam dźwięku! Wie pan, moja głuchota była zupełna. Absolutna. Dźwięk istniał jedynie w pamięci!

— I wtedy zobaczyła pani tego hipnotyzera?

— Rzeczywiście. To było bardzo ciężkie. On jednak znał mowę niemych. Zahipnotyzował mnie więc i przywołał wszystkie rozmowy, jakie słyszałam, będąc dzieckiem. A kiedy przebudziłam się...

— Mogła pani mówić?

— Tak jak pan teraz mnie słyszy, tak!

— Naprawdę, to ci dopiero mowa! Nie tylko artykułuje pani wszystkie dźwięki, ale jeszcze prawie nie ma akcentu! Pani Zdzeniecki, muszę powiedzieć, że to jest niezwykle fascynująca historia, a pani jest na pewno jednym z najbardziej interesujących ludzi, jakich gościliśmy w naszym programie.

Kamera uchwyciła jego chudą, uśmiechniętą twarz, a on ukłonił się w niepostrzeżonym zachwycie.

— Tak, proszę państwa! A teraz przejdziemy do...

Harry wyłączył odbiornik. Kiedy ekran zgasł, dopiero spostrzegł, jak się zrobiło ciemno. Dochodziła północ. Temperatura w domu spadała, gdyż czasomierz wstrzymał dopływ prądu do systemu centralnego ogrzewania. Zazwyczaj o tej porze Harry leżał już w łóżku...

Pomyślał, że może obejrzałby jeszcze jeden wywiad z jakimś „interesującym człowiekiem”. Nie pamiętał, żeby włączył odbiornik, ale kiedy pojawił się obraz... Keogh został wciągnięty przez ekran do środka i tam napotkał Jacka Gadulę, czy ja tam brzmiało jego imię.

— Witaj w programie, Harry! — Przywitał go Jack. — I nie mamy wątpliwości, że będziesz dla nas bardzo interesujący! A więc, jestem czymś w rodzaju wielbiciela tego, no, miejsca, które tutaj masz. Mówiłeś, że jak to się nazywa? — Wyciągnął mikrofon w kierunku Harry'ego.

— To jest kontinuum Möbiusa, Jack — powiedział Keogh, odrobinę nerwowo. — I ja naprawdę nie powinienem znaleźć się tu.

— To ci dopiero mowa! W tym programie wszystko przejdzie, Harry. Masz najlepszy czas, synu, więc nie bądź nieśmiały!

— Czas? — zastanowił się Harry. — Każdy czas jest najlepszy. Czy właśnie czas cię interesuje? W takim razie popatrz tutaj.

Ujął Gadułę pod łokieć i poprowadził go przez drzwi czasu przyszłego.

— Interrresujące! — odpowiedział tamten z aprobatą, kiedy ruszyli w przyszłość, w kierunku dalekiej, błękitnej mgiełki, która stanowiła przedłużenie ludzkości przez trzy ziemskie wymiary uniwersum czasoprzestrzennego.

— A czym są te miriady błękitnych nitk, Harry?

— Nitki życia rodzaju ludzkiego — wyjaśnił Keogh. — Czy widzisz tam? Ona właśnie przeistacza się w byt. Czysty, lśniący, nieomal oślepiający jest jej błękit. To noworodek, z długą, długą drogą przed sobą. A ta tutaj, stopniowo zanikająca i gasnąca — z szacunkiem ściszył głos — to stary człowiek bliski śmierci.

— To ci dopiero mowa! — powiedział Gaduła z respektem. — Ale, oczywiście, wiesz o tym wszystko, prawda Harry? To jest, o śmierci, i tym wszystkim? Czyż nie jesteś tym, którego nazywają nekro... jak mu tam?

— Nekroskopem, tak — Harry przytaknął — a w każdym razie, byłem nim.

— I co to jest dla prawdziwego talentu, chłopcy? — Gaduła błysnął zębami. — Dla Harry'ego Keogha, człowieka, który mówi o zmarłych, i on jest jedynym, któremu oni odpowiadają, najuprzejmiej, jak umieją! Widzicie, darzą go czymś w rodzaju miłości. A więc — znów zwrócił się do Keogha — jak nazywasz ten rodzaj konwersacji, Harry? Mam na myśli, no, kiedy rozmawiasz ze zmarłymi? Rozumiesz, przed chwilą rozmawialiśmy z panią Zdzeniecki, która opowiadała nam o mowie niemych, mowie głuchych i...

— Mowa zmarłych — uciał Harry.

— Mowa zmarłych? Naprawdę? To ci... dopiero... mowa! A więc, jeżeli nie byłeś jednym z najbardziej interr... — Przerwał i zerknął gdzieś za plecy Keogha.

— Hmm? — odezwał się Harry.

— Jeszcze jedno pytanie, synu — powiedział nagłym tonem Gaduła, a jego przymrużone oczy utkwione były w coś, co znajdowało się poza polem widzenia Harry'ego. — To jest, powiedziałaś nam wystarczająco dużo o błękitnych nitkach życia, ale jakie jest w tym wszystkim znaczenie linii czerwonych?

Harry drażył przestrzeń szeroko otwartymi oczami i ujrzał nagle szkarłatną nić, nachylającą się ku niemu.

— Wampir — wrzasnął i wypadł z fotela. W drzwiach dostrzegł sylwetkę czegoś, co mogło być tylko jednym: tym, o czym wiedział, że po niego przyjdzie.

Błądząc po omacku, Harry przewrócił mały stolik, stracił lampkę nocną. Wreszcie odnalazł... oręż, który wcześniej tego dnia przygotował. Włączył światło. Przyklęknął za fotelem, podniósł połyskującą, metalową kuszę i zobaczył, jak najgorsza mara z jego snów wchodzi do pokoju.

Nie mogło być wątpliwości: ciemnoszary kolor ciała, rozdziawione szczęki, wilcze uszy i kurta z wysokim kołnierzem. „To wampir... z komiksu dla dzieci” — pomyślał Harry zlany potem. Mimo to, jego palce zacisnęły się na spuście.

Zareagował natychmiast. Ciało, które wytrenował do granic doskonałości pracowało tak, jak je zaprogramował w setkach prób symulacyjnych tej konkretnej sytuacji. I chociaż ocknął się momentalnie — i wiedział, że to oszustwo — strzała z twardego drewna już opuszczała kuszę. W ostatnim ułamku sekundy Harry spróbował zapobiec nieszczęściu, podrywając broń do góry.

Wellesley, widząc kuszę jego w rękach, parsknął pianą przez plastikowe zęby w odruchu i cofnął się. Strzała minęła o centymetr prawe ucho, przeszła kołnierzyk kurty i rzuciła go na ścianę. Wbiła się głęboko w tynk i przyszpiliła Wellesleya.

— Jezu Chryste, ty idioto, to ja. — Wypluł zęby i wrzeszczał. Bardziej jednak niż do Keogha, te słowa adresowane były do Clarke’a, który znajdował się gdzieś na zapleczu pogrążonego w ciemnościach domu. Krzycząc jednocześnie Wellesley sięgnął do płaszcza pod куртą i chwycił rękojeść swego browninga.

Harry naciągnął powtórnie cięciwę i umieścił zapasową strzałę w łożu zamka. Niczym w zwolnionym tempie, które wynikało z szybkości jego własnych poczynań, widział, jak Wellesley przyjmuje pozycję strzelecką. Nie mógł uwierzyć, że ten człowiek do niego wystrzeli. „Dlaczego? Z jakiej przyczyny? A może Wellesley boi się, że znowu użyję kuszy?” — pomyślał z przerażeniem. Rzucił więc swą broń na siedzenie fotela i podniósł ręce do góry. Teraz Wellesley mógł być już pewny swego. Oczy błysnęły mu pożądliwie, a kłykieć zbieła na bezpieczniku pistoletu automatycznego. Uśmiechnął się szeroko.

— Keogh, ty szaleńcu... nie... nie! — wycharczał.

A wówczas... trzy rzeczy stały się prawie jednocześnie.

Pierwsza: głos Clarke’a, który Harry rozpoznał natychmiast. „Wellesley, wyłaż stamtąd — krzyczał — w tej chwili. Wypieprzaj stamtąd!” I łoskot jego kroków z korytarza, a następnie przekleństwa, gdy wpadł na doniczki.

Druga: Harry odgadł wreszcie intencje Wellesleya, rzucił się z powrotem do tyłu, za fotel. Usłyszał wściekły świst pocisku, który minął go o centymetr. Dźwignął się, by chwycić znowu kuszę. Spozregł jak twarz Wellesleya nagle traci wyraz niezrozumiałej zawziętości zmieszanej z morderczymi zamiarami, a przybiera — najczystszej trwogi.

Trzecia: brzęk tłuczonego szkła i suche pęknięcia drewnianych słupków okiennych, gdy coś ciężkiego, mokrego, niezgrabnego, wpadło przez zamknięte drzwi na werandę. Coś, co ściągnęło uwagę Wellesleya.

— Jezus! Jezus! Jezus! — krzyczał szef INTESP, strzelając nad głową Harry'ego. Za szklanymi drzwiami, zataczając się od uderzeń pocisków, ale jednak wciąż utrzymując się na nogach, stało coś, a właściwie ktoś. Harry czuł, że to przyjaciel. W dawnych czasach bowiem wszyscy umarli sprzyjali nekroskopowi.

Ten, który wszedł, był wzdęty, wilgotny, nietknięty, martwy od niedawna, ale wystarczająco długo, by śmierdzieć. A za nim wtaczał się następny trup, zszarzały, zasuszony, niemal zmumifikowany. Ubrani w zmurszałe stroje pochówne, trzymali kamienie i tak zbliżali się do Wellesleya, przygwożdżonego do ściany, szarpiącego cyngiel pustego pistoletu.

Harry czekał skulony, ruszając niemo ustami, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć. Tymczasem oni zbliżyli się do oszalałego ze strachu, będącego na granicy obłędu szefa INTESP.

W tym momencie do pokoju wpadło światło z korytarza i wtoczył się Darcy Clarke. Jego zdolność przeżycia — której nikt poza nim samym nie wyczuwał — krzyczała w nim, by się natychmiast stamtąd wynosił, niemal fizycznie go wypierała. Z trudem ją przemógł. Ostatecznie, wrogość zmarłych nie przeciw niemu była skierowana, ale przeciw jego szefowi.

— Harry! — wrzasnął, kiedy zobaczył, co się dzieje. — Na Boga, każ im przestać!

— Nie mogę — odkrzyknął Harry. — Wiesz, że nie mogę.

Przynajmniej jednak potrafił wejść między nich. Rzucił się do przodu i w jakiś sposób przedostał się pomiędzy zmarłych a bełkocącego i śliniącego się Wellesleya.

— Nie! Wracajcie, skąd jesteście! To pomyłka! — krzyknął Harry, powodowany jakimś samobójczym odruchem. A przynajmniej, starał się tak krzyżeć. Ale doszedł tylko do „wracajcie skąd...”, gdyż nie wolno mu było zwracać się do zmarłych. Szczęśliwie dla Wellesleya, zmarli mogli go słuchać.

Keogh chwycił się rękami za głowę, złamał się wpół i padł na ziemię jak marionetka, której nagle obcięto sznurki. Obydwaj zmarli odrzucili kamienie, odwrócili się i odeszli z powrotem w noc.

Wellesley odzyskał znowu głos, głos pełen obłędu.

— Widziałeś, widziałeś? — bełkotał. — Nie wierzyłem, ale teraz sam to zobaczyłem. Wezwał ich przeciwko mnie. To potwór, na Boga, potwór. Ale to twój koniec, Keogh!

Wyrzucił pusty magazynek na dywan i właśnie wyjmował z kieszeni pełen, kiedy Clarke grzmotnął go z całej siły. Broń wyleciała z rąk Wellesleya, a on sam zwiśł na białej w ścianę strzale. Rozległ się tupot stóp i do pokoju wpadło dwóch ludzi z grupy wsparcia. Darcy na podłodze, trzymał w ramionach Harry'ego, który

ściskał kurczowo głowę rękami, dyszał z niewypowiedzianego bólu i ześlizgiwał się w głęboką, ciemną studnię miłosiernej niepamięci...

Wiele zdarzyło się w ciągu dziewięciu godzin, jakich potrzebował Harry, by odespać tę potworną historię. Wezwano lekarza dyżurnego, żeby go zbadał, a także, by zaaplikował Wellesleyowi środek uspokajający. Clarke skontaktował się z Sandrą, gdyż uznał, że powinna zostać we wszystko wprowadzona.

Nastał brzask i zarówno Harry, jak i Wellesley zaczęli odzyskiwać przytomność. Zadzwoił oficer dyżurny z głównej kwatery.

Darcy oczywiście poinformował o wszystkim INTESP. Zameldował o wszystkim, co się wydarzyło, i o swoim w tym udziale. Jednocześnie przesłał swą rezygnację na ręce ministra. Zasugerował też, że można by zacząć od zastąpienia Wellesleya, który bez wątpienia był teraz strzępem człowieka.

Sandra, pełna niepokoju, przybyła na miejsce. Wy tłumaczył jej wszystko. Powiedziała wiele dobitnych słów, ale nie czuła potrzeby obwiniania go, ponieważ wiedziała, jak bardzo on sam siebie obwinał. Zamiast więc awanturować się i traścić kontrolę nad własnym zachowaniem, przesiedziała po prostu przy Harrym resztę nocy aż do rana.

Kiedy wszyscy wypili już trzecią filiżankę kawy, zadzwonił telefon z kwatery głównej i poproszono Clarke'a. Rozmawiał długo, a kiedy skończył, musiał usiąść na minutę i przemyśleć wszystko.

Przenieśli Wellesleya z łóżka Harry'ego na górę, gdzie jeden z ludzi pilnował go. Keogh pozostał na obitej skórą kanapie w gabinecie, gdzie to wszystko się wydarzyło. Roztrzaskane drzwi werandy owinęli kocem, by powstrzymać nocny chłód. Sandra, Darcy i grupa operacyjna INTESP czekali, aż nekroskop obudzi się.

Darcy jednak po rozmowie telefonicznej, miał coś niecoś do zrobienia, a szybkość, z jaką zmieniały się okoliczności, odjęła mu dech. Sandra widziała całą gamę zmiennych nastrojów na jego twarzy w czasie tej rozmowy. Wychwytnując stan zamieszania w jego umyśle, a także ulgi i jednocześnie może szoku, zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej.

— O co chodzi? — zapytała.

Darcy poparzył na nią i jego przekrwione, zmęczone oczy nabrały bardziej przytomnego wyrazu. Odwrócił się do drugiego agenta.

— Eddy, idź na górę i dotrzyмай Joemu towarzystwa, dobrze? A kiedy Wellesley się obudzi, powiedzcie mu, że jest aresztowany.

— Co? — Tamten patrzył na niego z niedowierzaniem.

Darcy pokiwał głową.

— Oficer dyżurny był na linii, ma zezwolenie naszego ministra. Wygląda na to, że nasz kumpel, Norman Harold Wellesley przechadzał się troszeczkę z pewnym podejrzanym typem z ambasady rosyjskiej! Jest zawieszony od teraz. Mamy

dostarczyć go do M15, co sprawia, że z powrotem obejmuję dowództwo. Przynajmniej na teraz — poinformował Clarke.

Eddy poszedł na górę.

— Ale to tylko część problemu. Nieszczęścia chodzą parami. Mamy wielki kłopot — dodał.

— My? — Sandra zdziwiła się i pokręciła głową. — Nie, mnie to nie dotyczy, cokolwiek by to było. I myślałam, że ciebie też. No tak, twoja dymisja może zostać odrzucona, ale moja nie. Skończyłam z INTESP.

— Rozumiem — odparł — miałem na myśli, że to ja mam kłopot, a nie my. To jest nie tylko sprawa zawodowa, ale i osobista. I obawiam się, że nie będę mógł odejść, dopóki nie doprowadzę tego do porządku. Ale ty nie chcesz nic o tym słyszeć, jak rozumiem?

— Słuchanie nic nie kosztuje — odrzekła.

— Chodzi o Kena Layarda i Trevora Jordana — podjął. — Byli na Morzu Egejskim, na wyspie Rodos. Śledzili przemyt narkotyków przez Morze Śródziemne. I zdaje się, że się przejechali.

— Jak poważnie? — Sandra zetknęła się kiedyś z tymi dwoma i wiedziała coś niecoś o ich talentach i wysokiej skuteczności.

— Bardzo poważnie. — Darcy potrząsnął głową. — I... to niesamowite. Muszę to sprawdzić osobiście. Byli moimi najlepszymi przyjaciółmi.

— Niesamowite? — powtórzyła za nim. — Byli?

Clarke przytaknął.

— Przez kilka ostatnich dni Trevor skarżył się na niewielkie dolegliwości. Myśleli, że przesadził z alkoholem, czy coś z tych rzeczy. A teraz podobno jest majaczącym szaleńcem. Przebywa w szpitalu dla psychicznie chorych na Rodos! Przedostatniej nocy, nie, jeszcze jedną noc wcześniej, Ken Layard został wyłowiony z zatoki, z wielkim guzem na głowie. Musiał o coś walnąć i doznał wstrząsu mózgu, to wszystko. Tyle tylko, że jego stan nie poprawia się. To mi podejrzenie wygląda.

— Co? — Keogh wyrzucił z trudnością to słowo z ust, w których czuł smak trucizny.

Podsłuchali do niego. Darcy pomógł mu usiąść, Sandra tuliła jego głowę w ramionach.

— Czy wszystko w porządku, Harry? — Głaskała go po głowie i całowała w czoło.

Uwolnił się, zwilżył usta.

— Bądź kochana i zrób mi filiżankę kawy — wyszeptał. — Nazwiska — zwrócił się do Dracy'ego, kiedy wyszła z pokoju.

— Co?

— Wymieniłeś nazwiska kilku ludzi — powtórzył Harry, z niejaką trudnością dostosowując język do kształtu głosek. — Ludzi, o których słyszałem i których

spotkałem w INTESP. — Zmarszczył brwi. — Boże, moja gęba cuchnie! — W nagłym błysku przypomnienia jego oczy rozszerzyły się. — Ten idiota próbował mnie zastrzelić! I wtedy... — Gwałtownie się wyprężył i rozejrzał po wszystkich rogach pokoju.

— To było ostatniej nocy — uspokoił go Darcy, wiedząc, czego tamten szuka. — I... nie ma ich już. Odeszli, jak im kazałeś.

Niepokój ustąpił z twarzy Harry'ego, dając miejsce goryczy człowieka zdradzonego.

— Ty też tu byłeś — rzucił oskarżycielsko — razem z Wellesleyem.

Darcy nie zaprzeczył.

— Tak — powiedział — lecz po raz ostatni. Słuchałem rozkazów lub starałem się, ale to nie jest wytłumaczenie. Byłem tu, a nie powinienem. Ale od tego momentu... mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia i rozstaję się z INTESP na dobre. Nie myślę, aby robota szpiegowska była w moim stylu, Harry. Co się tyczy Wellesleya: sądzę, że nie sprawi nam więcej kłopotów.

— Co? — Harry pobladł śmiertelnie. — Nie mów mi, że...

— Nie, nic mu nie zrobili. — Darcy pokręcił głową. — Powiedziałeś im, by odeszli, i oni odeszli. Wtedy zemdlałeś.

Sandra wróciła z kawą.

— No i co z nazwiskami? — zapytała.

Harry pociągnął tęgi łyk gorącej kawy, ostrożnie poruszył głową.

— O Boże, moja głowa!

Wyjęła z torebki pigułki i podała mu. Wziął je, połknął i popił.

— Tak, nazwiska — powtórzył. — Nazwiska ludzi z INTESP. — Rozmawialiście o nich?

Darcy opowiedział mu o Layardzie i Jordanie, a w miarę jak mówił, twarz nekroskopa nachmurzyła się i pociemniała. Darcy skończył. Harry spojrział na Sandrę.

— I co?

Wzruszyła ramionami. Wyglądała na zmieszaną.

— Do czego zmierzasz, Harry?

— Powiedz mu o kamieniach w ogrodzie — wyjaśnił.

Momentalnie zrozumiała, o co mu chodzi.

— Ken L! I T. Jor! — wyszeptała.

Darcy osłupiał.

— Zechcielibyście może powiedzieć coś więcej? — poprosił.

Keogh wstał, zakołysał się i skierował w stronę drzwi werandy. Miał na sobie piżamę.

— Ostrożnie — ostrzegł go Darcy. — Jest tam wciąż pełno szkła. Nie napracowaliśmy się zanadto przy sprzątanii.



Udali się do ogrodu. Harry na bosaka przeszedł przez trawnik i wskazał na świeżo ułożone kamienie.

— Tutaj — powiedział. — Oto, co oni robili, gdy Wellesley mnie atakował. Moglibyście spróbować to wytłumaczyć.

— Harry — zaprotestowała Sandra natychmiast. — Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

— Ale pracujesz dla INTESP, prawda?

— Już nie — odparła. — Postaraj się zrozumieć, Harry. Najpierw byłeś dla mnie po prostu zadaniem, choć innym, niż mi zawsze dawali. Poza tym, to co robiłam, było w twoim interesie; tak mi mówili. Ale oni nie zaplanowali ani ja nie zaplanowałam tego, że się w tobie zakocham. Ale tak się stało i teraz mogą się wypchać ze swoją pracą.

Uśmiechnął się swoim słabym uśmiechem i zachwiał się. Chwyciła go i podtrzymała.

— Nie powinienesz wcale wstawać. Wyglądasz strasznie.

— Trochę kręci mi się w głowie, to wszystko — odparł. — Słyszałem, o czym rozmawialiście, kiedy się obudziłem. I, do diabła, zdaje się, że od początku wiedziałem, że do nich należysz. Ty i stary Bettley. I co z tego? Też kiedyś należałem. I, popatrzmy prawdzie w oczy, pomagają mi jak tylko mogą! Czyż nie?

Darcy ciągle przyglądał się kamieniom.

— Czy to znaczy, że? — zapytał. Cała trójka popatrzyła na niekompletny wyraz:

ROI

— Rodos — przytaknął Harry. Nie zdążyli dokończyć D ani napisać O i S. Teraz to wszystko się składa.

— Ale w co? — powiedzieli jednocześnie Sandra i Darcy. Harry popatrzał na nich i nie próbował nawet ukryć swojego strachu.

— W coś, o co modliłem się, aby się nigdy nie zdarzyło, a czego jednocześnie spodziewałem się od czasu powrotu z Gwiezdnej Krainy — odparł. Zadrżał. — Wejdźmy do środka — dodał po chwili.

Wellesley obudził się. Pomyślał, że musi zejść na dół i stanąć twarzą w twarz z Harrym. Wiedział, jak wiele miał szczęścia, że nie został mordercą, wiedział też, że to Harry nie pozwolił swym zmarłym przyjaciołom zabić go, chociaż miałby pełne prawo i nikt nie mógłby go za to winić. Opowiedział więc Clarke'owi wszystko, całą historię: jak został zwerbowany przez Grigorija Borowica ze względu na swój negatywny talent (fakt, że jego umysł był nieprzenikniony) i jak pełnił rolę „wtyczki” dopóki nie spróbowali go uaktywnić.

Wellesley twierdził, iż najbardziej interesował ich Keogh, choć niewątpliwie poświęcali też niemało czasu na resztę INTESP. Dostarczał im szczegółów na temat jego postępów. Ale kiedy zaczęło się wydawać, że Harry jest na krawędzi

nowych rzeczy, zapragnęli się go pozbyć. Harry ze swą dawną mocą albo z nowymi uzdolnieniami, o których oni nigdy nawet nie słyszeli, stałby się po prostu zbyt niebezpieczny.

Darcy wydał swym ludziom rozkazy, by zabrali eks-szefa z powrotem do Londynu. Odbył długą sesję telefoniczną z ministrem. Jednym z tematów był Nikołaj Żarow, sowiecki łącznik Wellesleya. Przebywał ciągle gdzieś poza ich zasięgiem i na razie, niestety, musiało tak pozostać. Immunitet dyplomatyczny. Nie mogli go nawet zdjąć. Ostatecznie postanowiono złożyć protest do sowieckiej ambasady, domagający się wydalenia agenta, za, jak zwykle, „działalność sprzeczną z...”.

— Kiedy udajesz się na Rodos? — zapytał Harry.

— Zaraz, natychmiast, jak złapię samolot. Już teraz by mnie tu nie było, ale najpierw chciałem mieć pewność, że z tobą jest wszystko w porządku. Uznałem, że przynajmniej tyle ci jestem winien, a przypuszczalnie dużo więcej. Chcę odebrać stamtąd Trevora i Kena, kiedy tylko będą mogli być przewiezieni. Chcę też sprawdzić, czy można ustalić, z czym się zetknęli. Ich grecki łącznik ciągle tam jest i może będzie mógł mi w tym pomóc. — Popatrzył na Keogha badawczo. — I mam nadzieję, że ty także pomożesz mi, Harry, co do tych... informacji, jakie otrzymałeś, i wszystkiego.

Harry skinął głową.

— Mam pewne podejrzenia — rzekł — ale módlmy się lepiej, abym się mylił. Widzisz, ja wiem, że zmarli nigdy nie skrzywdziliby mnie. Ta sprawa jest tak ważna dla nich lub dla mnie, że wprost kuszą mnie do rozmowy! Ale mój syn zrobił diabło dobrą robotę. Nie pamiętam żadnego szczegółu z moich snów i nie mogę próbować ich wyjaśnić. Co zaś do kontinuum Möbiusa... Boże, nie potrafię dodać dwa do dwóch, tak żeby nie wyszło pięć.

Darcy Clarke miał osobiste doświadczenie z kontinuum Möbiusa. Harry zabrał go tam raz, lub raczej przewiózł. Stąd, z tego domu, do kwatery głównej INTESP. Przebyli ponad trzysta mil. Darcy uczestniczył w wycieczce, której nigdy nie powtórzy. Jeszcze teraz, po tylu latach, tkwiła w jego pamięci.

Na wstędze Möbiusa panowała ciemność. Pierwotna Ciemność, jaka istniała, zanim nastął wszechświat. Miejsce negatywności, gdzie Ciemność kładzie się na obliczu głębi. Być może miejsce, z którego Bóg wydał rozkaz: „Niech Będzie Światło”. I sprawił, że fizyczny wszechświat oddzielił się od metafizycznej próżni.

Nie było tam powietrza, ale nie było też czasu, więc Darcy nie musiał oddychać. A podobnie, nie istniała też przestrzeń. Obydwa te podstawowe współczynniki świata materialnego pozostawały nieobecne. Harry stanowił dla Darcy’ego ostatnią więź z Bytem i Ludzkością. Czuł uścisk ręki nekroskopa. Czuł, że posiada jakieś niewielkie rozumienie tego miejsca. Na przykład: wiedział, że jest

to realne, że nie ma się czego bać, ponieważ jego talent nie sprzeciwił się. Więc nawet w stanie zamętu i bliski paniki, był zdolny analizować swoje wrażenia.

Przy braku przestrzeni zdarzało się „nigdzie”, ale tym samym brak czasu sprawił, że było to „wszędzie” i „zawsze”. Zarazem jądro i krawędzie, wewnątrz i zewnątrz, gdzie nic się nigdzie nie zmieniło, jak za siłą woli. Ale tam wola nie istniała, chyba że wniesiona przez kogoś takiego jak Keogh. Harry był tylko człowiekiem, ale rzeczy, które czynił dzięki kontinuum Möbiusa były... Bogu podobne.

Darcy pomyślał o Bogu, który uczynił Wielką Zmianę z bezkształtnej próżni i stworzył wszechświat. A wtedy myśl także zaistniała...

Harry przywiódł go na próg drzwi czasu przyszłego. Wyglądając za zewnątrz, zobaczyli chaos milionów, bilionów nitek czystego, błękitnego światła, wrytych na tle czarnej, aksamitnej wieczności. Odcisniętych na niebie, odcisniętych w Czasie. Dwie z nich wzbudzały największą grozę. Splecione, skrócone błękitne serpentyny brały początek z Darcy’ego i Harry’ego, wychodziły z nich i uciekały gdzieś w przyszłość...

Błękitne nitki życia ludzkości, całego rodzaju ludzkości, rozpostarte w czasie i przestrzeni... Wówczas Harry zamknął te drzwi i otworzył inne, drzwi przeszłości. Miriady neonowych nitek życia znajdowały się i tutaj, ale tym razem nie rozwijały się w zamgloną przestrzeń, lecz kurczyły i zwężały, zmierzając w kierunku odległego, oślepiającego, błękitnego punktu.

W ogólności, to wypaliło najsilniejszy ślad w pamięci Darcy’ego: fakt, że widział samo światło poczucia ludzkości...

— Tak czy owak — głos Harry’ego, zdecydowany, przywołał go do teraźniejszości — jadę z tobą. Na Rodos, znaczy się. Możesz potrzebować mojej rady.

Darcy popatrzył na niego zdumiony. Nie widział go takim od... dawna.

— Jedziesz z... ?

— To są także moi przyjaciele — rzucił Keogh. — Och, nie znam ich może tak dobrze jak ty, ale wierzyłem w nich kiedyś, a oni wierzyli we mnie, w to co robiłem. Brali udział w sprawie Bodescu. Mają swoje uzdolnienia i posiadają bezcenne doświadczenie... rzeczy. Poza tym, wydaje mi się, że zmarli chcą, żebym jechał. I w końcu, nie możemy sobie pozwolić, by cokolwiek stało się ludziom takim jak tych dwóch. Nie teraz.

— Nie możemy sobie pozwolić? Jakie „my”, Harry?

— Ty, ja, cały świat.

— Czy jest aż tak źle?

— Być może. Dlatego z tobą jadę — odrzekł nekroskop.

Sandra popatrzyła na nich obu.

— Ja też — zdecydowała.

— Nie. — Darcy potrząsnął głową. — Jeżeli naprawdę jest tak, jak on myśli, to nie jedziesz.

— Ale jestem telepatką! — zaprotestowała. — Mogę być przydatna w kontakcie z Trevorem Jordanem. On i ja potrafiliśmy czytać w sobie nawzajem jak w otwartych książkach. Pamiętaj, że on jest także moim przyjacielem.

Harry ujął ją pod ramię.

— Nie słyszałaś, co mówił Darcy? Trevor jest szaleńcem. Jego umysł uszedł z niego.

— A co to znaczy, Harry? — prychnęła z dezaprobatą. — Umysły nie mogą po prostu „uchodzić” i nikt nie powinien wiedzieć tego lepiej od ciebie. On nigdzie nie „uszedł”, lecz stało się z nim coś złego. Może będę mogła zajrzeć do niego i pomóc mu.

— Marnujemy czas! — Darcy był podenerwowany. — OK, zdecydowane: jedziemy we trójkę. Jak wiele czasu potrzebujesz na przygotowanie?

— Jestem gotowy. — Z miejsca odpowiedział Harry. — Pięć minut, by zapakować kilka rzeczy.

— Ja tylko wpadnę po mój paszport, po drodze przez Edynburg — Sandra wzruszyła ramionami. — Resztę mogę sobie kupić tam.

— Świetnie — odparł Darcy. — Dzwonisz po taksówkę, a ja pomagam Harry’emu pakować się. Jeżeli zostanie nam trochę czasu, wprowadzę kwaterę główną w sytuację, zadzwonię z lotniska. Ruszajmy.

Niezliczone tłumy zmarłych w grobach odetchnęły z ulgą, przynajmniej w tej chwili. Harry’emu wydało się, że usłyszał to masowe westchnięcie, i zadrżał. Nie ze strachu czy grozy. Był to orzeźwiający dreszcz znajomości rzeczy. Lecz oczywiście jego przyjaciele, jego żyjący przyjaciele, nic o tym wszystkim nie wiedzieli.

Niepostrzeżenie dla całej trójki, na lotnisku w Edynburgu żegnał ich Nikołaj Żarow. Natomiast Wellesley obserwował dom Harry’ego w Bonnyrigg.

Widział, co wyszło z ogrodu i powlokło się do rozłupanych grobowców na cmentarzu odległym o pół mili. Widział to i wiedział kim on był, a jednak twarz mu poszarzała. To jednak nie przeszkodziło mu zaszyfrować informacji i przesłać do komórki KGB w ambasadzie. Sowieckie agencje wywiadowcze dowiedziały się, że Harry Keogh jest w drodze nad Morze Śródziemne.

Minęła szósta trzydzieści po południu czasu lokalnego, kiedy Manolis Papastamos przywitał ich na lotnisku w Rodos. W czasie podróży taksówką do tego historycznego miasta, opowiedział im o wszystkim, co się zdarzyło. Nie widząc związku, nie wspomniał o Jiannim Lazaridesie.

— Co się dzieje teraz z Kenem Layardem? — Chciał wiedzieć Darcy.

Papastamos był niewysoki, szczupły, muskularny, opalony. Jego czarne, pofalowane włosy lśniły. Stosownie ubrany i zazwyczaj pełen werwy, teraz wyglądał na zmęczonego i udręczonego.

— Nie wiem, co to jest! — Wykonał serię pytających, rozpaczliwych ruchów ramionami, wyciągnął przed siebie ręce.

— Nie wiem i obwiniam się za to! Ale... nie było ich łatwo zrozumieć, tych dwóch. Policjanci? Dziwni policjanci? Wydawali się wiedzieć tak dużo, tacy pewni niektórych rzeczy, ale nigdy nie tłumaczyli mi, skąd wiedzą.

— Są bardzo szczególnie — zgodził się Darcy. — Ale, co z Kenem?

— Nie umiał pływać, miał guza na głowie. Wyciągnąłem go z zatoki na skały, wypompuwałem słoną wodę, pobiegłem po pomoc. Jordan, zupełnie nieprzydatny, siedział na moło pod starymi wiatrakami i mamrotał coś do siebie. Nagle... zwariował! I tak już pozostało. Ale Layard, ten był OK. Jedynie guz na głowie. A teraz...

— Teraz? — pochwycił Harry.

— Teraz mówią, że może umrzeć! — Papastamos wyglądał, jakby miał się rozplakać. — Zrobiłem wszystko, co mogłem, przysięgam!

— Nie obwiniaj siebie, Manolis — uspokajał go Darcy. — Cokolwiek się stało, to nie twoja wina. Czy możemy go zobaczyć?

— Oczywiście, jedziemy właśnie do szpitala. Możecie też zobaczyć Trevora, jeśli chcecie. Ale — wzruszył ramionami — nie skorzystacie na tym wiele. Mój Boże, tak mi przykro.

Szpital znajdował się nie opodal Papalouca, jednej z głównych ulic Nowego Miasta.

— Jedna część, oddział, klinika i przychodnia są przeznaczone głównie dla turystów — wyjaśniał Manolis, w czasie gdy taksówka mijała bramę. — Teraz nie mają tam dużo pracy, ale w lipcu i w sierpniu nie mogą się po prostu opędzić. Złamane kości, udary słoneczne, uządlenia, rany cięte i siniaki. Ken Layard leży w jedynce.

Poprosił kierowcę, aby poczekał i poprowadził ich do bocznego skrzydła. Recepcjonistka siedziała u wejścia i obcinała paznokcie. Na widok Papastamosa zerwała się na nogi i wyciszonym głosem tłumaczyła mu coś po grecku. Papastamos zaczerpnął powietrza i zbladł.

— Niestety, przyjechaliśmy za późno. On nie żyje! — Popatrzył kolejno na Sandrę, Darcy'ego i Harry'ego i potrząsnął głową. — Nic nie mogę poradzić.

Przez chwilę także i oni byli zbyt wstrząśnięci, by cokolwiek mówić. Harry przerwał milczenie.

— Czy moglibyśmy jednak go zobaczyć? — odezwał się.

Harry mówił chłodno, co korespondowało z jego jasnoniebieską marynarką, białą koszulą i spodniami. On, jak i reszta, spał w samolocie, odrabiając zaległości. I pomimo wydarzeń z przedostatniej jeszcze nocy wyglądało, że zniósł to lepiej od pozostałych. Miał twarz spokojną. Inaczej niż u Sandry i Darcy'ego, Papastamos nie dostrzegł na niej smutku. „Facet z zimną krwią, ten Harry Keogh” — pomyślał więc.

Mylił się jednak. Po prostu Harry nauczył się patrzeć na śmierć inaczej. Ken Layard mógł umrzeć tutaj — umrzeć fizycznie, dla tego cielesnego świata — ale nie był martwy do końca. Nekroskop wiedział, że Ken może nawet teraz szuka z nim kontaktu, desperacko pragnąc porozmawiać przy pomocy mowy zmarłych. Tyle tylko, że Harry’emu nie wolno było go słuchać i nie wolno było odpowiadać, nawet, gdyby usłyszał.

— Zobaczyć go? — odrzekł Papastamos. — Oczywiście. Ale dziewczyna mówi, że najpierw lekarz chce z nami porozmawiać. Tam jest jego biuro.

Poprowadził ich chłodnym korytarzem, do którego światło wpadało ukosem przez wysokie, wąskie okna.

Lekarza — niskiego, łysawego mężczyznę, znaleźli w jego malutkim gabinecie, nucącego i stemplującego dokumenty. Kiedy Papastamos przedstawił ich, doktor Sakellarakis od razu spowaźniał, okazując im szczerze współczucie z powodu straty przyjaciela.

— Ten guz na głowie pana Layarda — potrząsając smutno głową, odezwał się swoim na wpół przyzwoitym angielskim — ja boi się, że to jest więcej niż tylko guz, panowie, pani. Jest może uszkodzenie w środku? To nie jest pewne przed sekcją, oczywiście, ale ja myśli, to spowodowało śmierć. Uszkodzenie, wylew krwi, coś... — Znowu potrząsnął głową i ze smutkiem wzruszył ramionami.

— Czy możemy go zobaczyć? — znowu zapytał Harry. — Kiedy będzie sekcja?

Greki znowu wzruszył ramionami.

— Dzień, dwa, jak tylko da się załatwić. Ale szybko. Do tego czasu poleży w kostnicy?

— Kiedy dokładnie umarł? — Harry był niezmordowany.

— Dokładnie? Do minuty? Nie wiadomo. Jedna godzina, ja myśli. Około... no, tysiąc osiemset godzin?

— Szósta czasu miejscowego — wyjaśniła Sandra. — Byliśmy wtedy w samolocie.

— Czy musicie przeprowadzić sekcję? — Keogh nienawidził nawet samej myśli o tym. Wiedział, jaki efekt nekromancja wywiera na zmarłych, jak bardzo się jej lekali. Dragosani był nekromantą. Brzydzili się nim. Oczywiście, sekcja wyglądałaby inaczej. Layard nic by nie czuł w rękach patologa, który brałby się do rzeczy ze znanstwem chirurga, a nie oprawcy, lecz mimo wszystko Harry’emu się to nie podobało.

— Takie jest prawo. — Lekarz rozłożył ręce.

Layard leżał na szpitalnym łóżku na kółkach, przykryty prześcieradłem. Darcy ostrożnie odsłonił płachtę, by popatrzeć na twarz denata. Cofnął się momentalnie. Tak samo Sandra. Rysy Layarda wykrzywiał upiorny grymas.

— To spazm — poinformował Sakellarakis, kiwając głową. — Mięśnie ściągnięte. Przed pogrzebem go poukładają. Wtedy zaśnie porządnie.

Harry nie cofnął się. Przeciwnie, stał nad Layardem i wpatrywał się weń. Esper był szary, zimny, zeszywniały w rigor mortis. Szczęki czerwieniły się otwarte, a górna warga z lewej strony podniosła się, odsłaniając błyszczące zęby. Cała twarz wydawała się ściągnięta w lewo, jakby chciał w ostatnim krzyku wyrazić sprzeciw wobec czegoś niewiarygodnego, nie do zniesienia. Oczy miał zamknięte, ale na powiekach pod brwiami Harry dostrzegł bliźniacze nacięcia. Nieznaczące, ale ciemne, odznaczały się wyraźnie na tle ogólnej bladości ciała.

— Czy on był... cięty? — Harry spojrzał na lekarza.

— Spazm — przytaknął tamten. — Oczy otwierają się. Tak się zdarza. Ja robię małe cięcia w mięśniach... bez problemu.

Harry zwilżył usta, zmarszczył czoło, intensywnie wpatrywał się w rozległy, silny guz, który zaczynał się na czole Layarda i znikał we włosach. Połyskująca skóra pękła w środku. Ciało białe jak rybi brzuch prześwitywało przez niewielką ranę. Keogh przyjrzał się guzowi, wyciągnął rękę, jakby chciał go dotknąć, ale zrezygnował i odwrócił się.

— Ten wyraz jego twarzy — mruknął — to nie spazm mięśniowy, ale najczystsze przerażenie.

Darcy Clarke cofnął się. Nie przestawał się cofać dopóki nie znalazł się na korytarzu. Oszołomiony, utkwiał oczy w sylwetce na wózku. Sandra dołączyła do niego.

— Darcy, co to jest? — zapytała zduszonym głosem.

— Nie wiem — przełknął ślinę — ale to nie jest normalne! Jego talent już działał, ostrzegał go.

Papastamos zasłonił na powrót twarz Layarda. Wyszli wraz z Sakellarakisem na korytarz.

— Nie spazm, pan mówi? — Lekarz popatrzył na Harry'ego i przekrzywił głowę. — Pan wie o tych rzeczach?

— Tak, wiem coś niecoś o zmarłych — przytaknął nekroskop.

— Harry jest... specjalistą. — Darcy odzyskał już panowanie nad sobą.

— Ach — powiedział Sakellarakis — lekarz!

— Proszę posłuchać. — Keogh ujął go za ramię i mówił głosem pełnym powagi. — Sekcję trzeba przeprowadzić dziś wieczorem. A następnie on musi zostać spalony!

— Spalony? Chodzi o kremację?

— Tak, o kremację. Musi być zamieniony w popiół. Najdalej jutro.

— O Boże! — wybuchnął Papastamos. — I Ken Layard był pańskim przyjacielem? Dziękuję za takich przyjaciół!

Zimny pot pokrył czoło Harry'ego.

— Myślę, że on nie jest martwy — odparł.

— Pan nie... Ale ja to wiem na pewno. Szanowny pan... on jest na pewno martwy!

— Nie martwy! — Keogh zakotłosał się.

Oczy Sandry stały się ogromne. Harry stracił nad sobą kontrolę. Zaszokowany, mówił zbyt dużo.

— To... taki angielski zwrot! — weszła szybko. — Nie martwy: nie martwy, ale po prostu nieobecny. Starzy przyjaciele po prostu... odchodzą. To Harry miał na myśli. Ken nie jest martwy, lecz po prostu w rękach Boga.

„Albo diabła!” — pomyślał Harry.

— To religia Layarda — dodał Darcy — wymaga, aby został spalony, poddany kremacji, w ciągu doby od momentu śmierci. Harry chce tylko mieć pewność, że wszystko będzie tak, jak życzyłby sobie tego Ken.

— Ach! — Manolis Papastamos ciągle nie był do końca przekonany, ale zdało mu się, że przynajmniej zaczyna rozumieć.

— W takim razie muszę pana przeprosić, Keogh.

— W porządku — odparł Harry — czy możemy zobaczyć teraz Trevora Jordana?

— Jedziemy od razu. — Skinął głową Papastamos. — Szpital dla psychicznie chorych znajduje się na Starym Mieście. To niedaleko Pythagoras Street. Prowadzą go zakonnice.

Znów skorzystali z taksówki i znaleźli się na miejscu w ciągu dwudziestu minut. Słońce już zachodziło i chłodna bryza od morza przynosiła ulgę po upalnym dniu.

— Nawiasem mówiąc, czy możesz nam załatwić jakiś nocleg? Przyzwoity hotel? — zapytał Darcy w czasie jazdy.

— Lepiej — odparł Papastamos. — Sezon turystyczny dopiero się zaczyna, wiele willi jest jeszcze pustych. Znalazłem dla was świetne miejsce od razu, jak tylko się dowiedziałem, że przyjeżdżacie. Zabiorę was tam zaraz po odwiedzinach u biednego Trevora.

W szpitalu musieli poczekać, aż siostra znajdzie wolną chwilę pośród rozlicznych obowiązków i zaprowadzi ich do jego celi.

Ubrany w kaftan bezpieczeństwa, siedział w głębokim skórzanym fotelu o wysokich oparciach. Nogi zwisały mu kilka centymetrów nad ziemią. W tej pozycji nie mógłby wyrządzić sobie krzywdy. Wydawało się, że śpi. Korzystając z pomocy Papastamosa jako tłumacza, siostra wyjaśniła, że aplikowano mu łagodny środek uspokajający w regularnych odstępach czasu. Nie chodziło o to, że Jordan jest agresywny, lecz raczej o to, że przeraźliwie czegoś się boi.

— Proszę jej powiedzieć, że może nas z nim zostawić — powiedział Harry do Greka. — Nie będziemy tu długo i znamy drogę do wyjścia.

Papastamos zrobił, o co go proszono. Siostra wyszła.

— I pan także, Manolis, proszę.

— Co?

Darcy położył mu rękę na ramieniu.



— Bądź kumplem, Manolis, i poczekaj na nas na zewnątrz. Wierz mi, wiemy, co robimy.

Ten wzruszył ramionami z goryczą i wyszedł. Darcy i Harry popatrzyli na Sandrę.

— Czy czujesz się na siłach? — zapytał Darcy.

— To powinno być łatwe — odparła trochę zaniepokojona. — Jesteśmy z tej samej gliny. Miałam wiele doświadczeń z Trevorem, i wiem, jak się do niego dostać.

Przyjęła pozycję za plecami Jordana, kładąc ręce na oparciu fotela. Ostatnie promienie słońca zaczęły blednąć w malutkich, wysokich, umieszczonych w wykuszach, zdobionych witrażami oknach celi.

Sandra zamknęła oczy. Zapadła cisza. Jordan siedział przytwierdzony do fotela. Jego pierś wznosiła się i opadała, powieki drżały, gdy tak śnił czy rozmyślał. Lewa ręka, obwiązana kaftanem bezpieczeństwa przy biodrze, także nieznacznie drżała. Harry i Darcy stali i patrzyli, świadomi zbierającego mroku i zanikającego światła.

Bez ostrzeżenia Sandra znalazła się w środku. Wydała zduszony krzyk i odskoczyła w tył od fotela tak, że zderzyła się ze ścianą. Jordan otworzył gwałtownie oczy, pełne przerażenia. Rzucił głową w prawo i lewo, dostrzegł dwóch esperów stojących przed nim. Przez tę krótką chwilę poznał ich.

— Darcy! Harry! — stęknął.

Nagle, tak całkiem po prostu, Keogh uzmysłowił sobie, kto w Bonnyrigg przychodził do niego w snach błagać o pomoc.

Po chwili blada twarz Jordana zaczęła kurczyć się i drzeć w potwornych spazmach wysiłku i cierpienia. Próbował coś powiedzieć, ale nie dano mu szansy. Drgawki ustały. Rozgorączkowane oczy zamknęły się, głowa zwiśla i pograżył się znowu. Powracał do swych koszmarnych snów.

— Ha... Ha... Haarrrry! — wyjąkał ostatnie słowo. Podskoczyli do Sandry, resztkami sił opierającej się o ścianę.

Przestała ciężko dyszeć i rzuciła się w ramiona Keogha.

— Co to było? — zapytał ją Harry — widziałaś?

— Widziałam — potwierdziła, przełykając gwałtownie. — On nie jest szalony, Harry, tylko uwięziony.

— Uwięziony?

— W swoim własnym umyśle, tak. Jak niewinna, skamlająca o życie, przerażona ofiara wrzucona do lochu.

— Ofiara czego? — chciał wiedzieć Darcy.

— O Boże, Boże! — szeptała. Spojrzała na zwisającego w fotelu Trevora Jordana.

Darcy poczuł, że jego krew ścina się w żyłach pod wpływem nawiedzonego światła bijącego z jej oczu.

— Potwora — odpowiedziała Sandra — który w nim siedzi. Tej rzeczy, która znajduje się tam w środku właśnie teraz. Rozmawia z nim, wypytuje go... o nas!

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### Niemartwi

Zapadał zmierzch. Był to dopiero początek sezonu, stosunkowo nieliczni turyści przechadzali się, zadziwiając barwnością i pomysłowością strojów. Światła miasta zapalały się już tu i ówdzie, gdy trójka Anglików pędziła taksówką do wynajętej dla nich willi. Siedzący z przodu obok kierowcy Manolis Papastamos, zachowywał się wyjątkowo cicho. Darcy przypuszczał, że Grek poczuł się zignorowany, odstawiony na boczny tor. Należało to jakoś załagodzić. Papastamos ciągle był im potrzebny. Bez jego współpracy powodzenie akcji mogłoby stanąć pod znakiem zapytania.

Willa znajdowała się w otoczonym wysokim murem ogrodzie drzew cytrynowych, migdałowych i oliwkowych. Okna wychodziły na morze i promenadę Akti Canari, biegnącą wzdłuż brzegu i dalej, w kierunku portu lotniczego. Zbudowana została na planie kwadratu, dach miała płaski. Od skrzypiącej furtki z kutego żelaza żwirowa ścieżka prowadziła do drzwi, gdzie na małym ganku matowa lampa rzucała światło spod sosnowego zadaszenia. Światło przyciągnęło już roje ciem, które z kolei zwabiły tu kilka jaszczurek, przypatrujących się teraz ze ściany, jak Papastamos zgrzytliwie przekręca klucz w zamku. Grecki policjant oprowadził swych bardzo niezwykłych, zagranicznych gości po ich tymczasowym miejscu zamieszkania.

Nie było to może najlepsze miejsce, ale dawało jednak namiastkę prywatności. Do dyspozycji użytkowników pozostawiono kuchnię i wszystko, co potrzebne do gotowania. Zarekomendowano im też z pół tuzina znakomitych tawern. Na dole obejrzeli dwie sypialnie, każda wyposażona w dwa pojedyncze łóżka, stoliczki i lampki nocne oraz wbudowane szafy. Obok znajdował się przestronny salon i czytelnia z oszklonymi drzwiami na letnią werandę krytą prążkowanym płótnem. I wreszcie mała ubikacja i łazienka. Wannę zastępowała cofnięta wnęka z prysznicem.

Papastamos skończył oprowadzać i przyjął, że nie będzie już tej nocy potrzebny. Wyszedł do czekającej na niego taksówki.

— Manolis, doprawdy nie wiemy, jak ci dziękować — powiedział za nim Darcy. — To jest, jak ci się możemy odpłacić za to wszystko? Och, możemy zapłacić, oczywiście, możemy, ale musisz nam powiedzieć jak, ile. . . i tak dalej.

Tamten wzruszył ramionami.

— To jest w gestii greckiego rządu.

— To bardzo miło z twojej strony — ciągnął Darcy. — Bez ciebie byśmy się naprawdę pogubili. Szczególnie w momencie takim jak ten, gdy tak wiele rzeczy nas dręczy. Layard i Jordan, oni naprawdę są, czy byli, jednymi z naszych najbliższych przyjaciół.

Papastamos w końcu się odwrócił.

— Moimi także — powiedział ze wzruszeniem. — Znałem ich tylko dzień czy dwa, ale byli naprawdę miłymi ludźmi! A zapewniam cię, że nie każdy człowiek, z którym się spotykam, jest miły.

— Rozumiesz wobec tego jak my się czujemy — podchwycił Darcy. — My, którzy znaliśmy ich od dawna.

Papastamos przez chwilę milczał, po czym znowu wzruszył ramionami, może skruszony.

— Tak, oczywiście, że rozumiem. Czy mogę coś jeszcze dla was zrobić?

— O, tak. — Darcy wiedział, że już jest między nimi w porządku. — Jak powiedziałem, bez ciebie pogubilibyśmy się tutaj. Chcielibyśmy, żebyś użył wszystkich swoich wpływów, by ta sekcja się odbyła, i aby natychmiast po tym ciało biednego Layarda zostało poddane kremacji, najszybciej, jak to będzie możliwe. To przede wszystkim. Będziesz również musiał mieć pod kontrolą ten gang przemytników narkotyków, jako że teraz jesteś tu jedyną osobą, która cokolwiek wie na ich temat. Przyleci tutaj od nas parę osób w tej sprawie i będą prosili ciebie, byś ich wprowadził. I w końcu, jeżeli to w ogóle możliwe., czy myślisz, że mógłbyś załatwić dla nas jakiś samochód?

— Nie ma sprawy — odpowiedział tamten, ekspansywny jak zawsze — będzie tu jutro rano.

— Wobec tego, to wszystko na teraz. — Darcy uśmiechnął się. — Wierzymy po prostu w to, że robisz swoje. A i ty musisz nam wierzyć, że robimy to, co do nas należy. Każdy z nas jest fachowcem, ale też każdy w innej dziedzinie, Manolis.

Papastamos nagryzmołił numer na skrawku papieru.

— Możecie mnie tu złapać o dowolnej porze — powiedział. — Jeżeli mnie nie będzie, to powiedzą wam, gdzie jestem.

Darcy jeszcze raz podziękował mu i życzył dobrej nocy. Kiedy taksówka odjechała, wrócił do środka przez skrzypiącą furtkę. . .

Całą trójką wyszli coś zjeść i porozmawiać.

— Ale dlaczego poza domem? — dopytywał się Darcy, kiedy znaleźli tawernę wychodzącą na cichą uliczkę.

— To mogłoby być nazbyt intymne — wyjaśnił Harry.

— Nazbyt intymne? — Sandra ciągle wyglądała na oszołomioną po spotkaniu z kimś niewyobrażalnym w umyśle Trevora Jordana.

— Tutaj są ludzie. — Harry próbował tłumaczyć coś, czego sam nie był pewien. — Inne myśli, inne umysły. Wytłumiające tło aktywności mentalnej. Wy dwoje powinniście rozumieć to lepiej ode mnie. Nie chcę, żeby się o nas dowiedziano, to wszystko. Wy, esperzy, myślicie, że jesteście zręczni? Na pewno tak jest, ale wampiry też posiadają moc!

Na dźwięk słowa „wampir” Darcy Clarke natychmiast przypomniał sobie sprawę Bodescu. Tym razem znowu poczuł znajome mrowienie w krzyżu.

— Sądzisz, że to z tym się zetknęliśmy? — zapytał. — Jakiś następny Bodescu?

— Gorszy — odpowiedział Keogh. — Bodescu przypominał otwartą księgę. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Co prawda, niewinnym nie był już wtedy, gdy się narodził. Żółtodziób, dziecko, które uczy się biegać zanim jeszcze umie chodzić. I popełniał błędy, ciągle się przewracał. Aż jeden z tych upadków okazał się dla niego fatalny. Ten jednak, z którym teraz mamy do czynienia, jest inny.

— Harry — zapytała Sandra — skąd ty to wszystko wiesz? Skąd wiesz, z czym mamy do czynienia? Tak, czułam tam jakiś umysł obok umysłu Trevora, potężny, przesiąknięty złem... ale czy to nie mógł być inny telepata? Oni zajmowali się sprawą przemytu narkotyków, Ken i Trevor. A co, jeżeli ekstraklasa przestępców założyła swoje własne oddziały ESP?

— Wątpię — odparł Harry. — Z tego, co wiem o esperach, oni nie pracują dla innych ludzi.

— Słucham? — Darcy był zaskoczony. — Ależ wszyscy to robimy. Ken, Trevor, Sandra, ja. Także i ty.

— Pracują dla sprawy — wyjaśnił Keogh — dla idei, kraju, zemsty. A nie dla korzyści innych ludzi. Czy ty byś tak robił, gdybyś był tak potężny jak ten, z którym zetknęła się Sandra? Sprzedałbyś swój talent gangowi bandytów, którzy zamordowaliby cię w momencie, kiedy by zaczęli się ciebie bać, a zaczęliby na pewno?

— A Gerenko, który...

— Szaleniec, megaloman — uciął Harry. — Nie, nawet nekromanta Dragosani pracował dla sprawy, zmartwychwstania starej Wołoszczyzny. Przynajmniej do czasu, zanim kontrolę przejął jego wampir. Słuchaj: ilu ludzi wie, że posiadasz swój talent, Darcy? A ty, Sandra, jak wielu ludzi wie, że jesteś telepatką? Ja sam wiem o tym dopiero od kilku godzin. Nie rozgłaszałaś tego przecież dookoła, prawda? Wierzcie mi, ci, którzy o tym mówią, są oszustami. Mediumiści, zginacze łyżek, mistycy i guru — wszyscy zarówno są oszustami.

— Chcesz powiedzieć — Darcy fuknął szyderczo — że my wszyscy, esperzy, to równe chłopaki, tak?

— Nic z tych rzeczy! — Harry potrząsnął głową. — Nie, gdyż na tym świecie jest pełno podłości, nawet między wami, esperami. Ale pomyśl: jeżeli jesteś podły i wykształciłeś w sobie pewną zdolność, dlaczego miałbyś sprzedawać ją komuś innemu? Czy nie użyłbyś jej raczej potajemnie, by uczynić siebie potężnym?

— Rzeczywiście — odparł Darcy — zastanawiałem się często, dlaczego tego nie robią? To znaczy — ludzie z INTESP.

— Nie ulega wątpliwości, że niektórzy robią — podjął Keogh. — Nie, nie mówię o ludziach z INTESP, ale o innych, o których nic nie wiemy. Na pewno jest wiele straconych talentów na tym świecie. Skąd możemy wiedzieć, czy tak zwany „rekin biznesu” nie jest właśnie takim talentem? Czy ten człowiek zrobił swój pierwszy milion dzięki jakiejś „żyłce” do interesów, czy może dlatego, że istnieje jakieś szczególne coś, które prowadzi jego rękę? Coś, o czym on sam może nawet nie wiedzieć? Czy bohater wojenny jest rzeczywiście tak odważny, jak w to wierzymy, czy też ma — jak ty, Darcy, czy nawet Gerenko — jakiegoś anioła stróża, który go strzeże? Czy wiecie, że kasyna gry mają listy ludzi, których do siebie nie wpuszczają, gdyż ci mają szczególny dar wygrywania, i nieprzyzwoita większość z nich jest bogata jak Krezus?

— To wszystko brzmi pięknie — zauważył Darcy — Ale to wciąż nie są to dowody, że ten tam, to wampir!

— Dowody jeszcze nie — przyznał Harry. — Ale poszlaki, bardzo mocne poszlaki.

— Takie jak? — zawiesiła głos Sandra.

— Sandro, ty najbardziej zbliżyłaś się do wampirów. Czytałaś bowiem moje akta. Czytałaś je, prawda? To jest standardowy tekst w INTESP, rodzaj instrukcji na wypadek „następnego razu”. A ja naprawdę znam się na tym, o czym mówię, i Darcy też. Nie chcę być nieprzyjemny dla ciebie, ale myślę, że powinnaś przede wszystkim siedzieć i słuchać. I to szczególnie ty właśnie, bo jeszcze nie wiemy, czy wtedy, gdy go widziałaś tam, w umyśle Trevora, jednocześnie on nie widział ciebie?

Sandrze niemal dech zapało, wyprostowała się sztywno na krześle. Harry sięgnął przez stół i położył rękę na jej dłoni.

— Przepraszam, ale teraz może zdajesz sobie sprawę, co napawa mnie niepokojem. Nie chcę, żeby cokolwiek stało się tobie!

— Ale rzeczywiście wspomniałaś o poszlakach — wtrącił się Darcy.

Zanim Harry zdążył odpowiedzieć, przyszedł kelner przyjąć zamówienie. Darcy zażyczył sobie pełen zestaw, Sandra sałatkę i słodkości, a nekroskop jedynie porcję kurczaka i dużo kawy.

— Pełen żołądek zawsze działa na mnie usypiająco — wyjaśnił. — A alkohol jeszcze bardziej. Chcę, żebyście zrozumieli, jak śmiertelnie poważnie tę sprawę traktuję. Ale jeżeli rzeczywiście masz ochotę na tę brandy, nie krępuj się, Darcy.

Esper popatrzył na szklaneczkę zawierającą słuszną miarę złocistego płynu i odstawił ją.

— Poszlaki? — rozpoczął Harry. — Przez ponad cztery lata zmarli nie próbowali się ze mną kontaktować. A jeśli nawet, to nie byłem tego świadomy. Och, moja matka, być może, odwiedza mnie w snach. Jestem nawet tego pewien, gdyż taka jest natura matki. A tym razem, nieoczekiwanie, wystawili mnie na niebezpieczeństwo. To bowiem, że zaatakowali Wellesleya, było kwestią przypadku. Po prostu znaleźli się tam w chwili, kiedy on zamierzał mnie zamordować. Ale znaleźli się tam, przynosząc wiadomość. A robili to albo dla mojej matki, albo dla siebie samych, z powodu ich zainteresowania moją osobą, albo też dla Kena i Trevora, którzy już uprzednio próbowali dotrzeć do mnie w moich snach.

— Próbowali dotrzeć do ciebie drogą telepatyczną? Nie wiedziałem o tym. — Darcy zmarszczył brwi.

— Ja też nie, do momentu, kiedy Ken Layard przebudził się, zobaczył nas i przemówił. Głos wewnętrzny brzmi dla mnie tak samo jak realny, Darcy. Jeszcze w Szkocji śniło mi się, że jacyś ludzie usiłują mnie „osiągnąć”, ale nie wiedziałem, kim są. Kiedy tylko usłyszałem głos Layarda, momentalnie rozpoznałem go. Ken jest wróżbitą, on mnie odnalazł. A Trevor jest telepatą, on pomógł przesłać wiadomość. Dlaczego do mnie? Ponieważ jestem tak zwanym „ekspertem” od tego, z czym, ich zdaniem, mieli tu do czynienia. A mogli mieć rozeznanie, ponieważ oni także brali udział w sprawie Bodescu.

Darcy przytaknął i zwilżył wyschnięte wargi. Uniósł swą brandy i wziął małutki łyk, po to tylko, by przepłukać usta.

— W porządku — a inne poszlaki?

— Świadectwo moich własnych zmysłów — odparł Harry — których, podobnie jak wy, mam więcej niż pięć.

— Już nie — wtrąciła Sandra i od razu zamilkła, obawiając się, że on źle to przyjmie.

— Nie muszę rozmawiać ze zmarłymi, żeby odróżnić zwłoki od żywego człowieka.

— A to co znowu? — odezwał się Darcy. — Tak samo każdy z nas!

— Czy kiedykolwiek spacerowałeś nocą po cichej, pustej ulicy? — zapytał Keogh. — I raptem wiesz, że ktoś tam jest? Jesteś całkiem pewien, widzisz płomień zapałki w ciemnym kącie, gdzie ktoś zapala papierosa? Czy, kiedy bawiłeś się w chowanego i szukałeś innych dzieciaków, czułeś dokładnie między łopatkami, że ktoś na ciebie patrzy? A kiedy się odwróciłeś, tam naprawdę ktoś był? To znaczy, nie ten szósty zmysł, o którym wiesz, że go posiadasz, ale po prostu rodzaj czucia, które idzie z trzewi?

Darcy skinął głową potakująco.

— No więc, tak — kontynuował Harry — jak ty czujesz obecność żywych ludzi, tak ja wyczuwam zmarłych. Wiem, kiedy znajduję się w towarzystwie zmar-

łego człowieka. I dlatego mogę stwierdzić definitywnie, że Ken Layard do nich nie należy. Nawet gdybym mógł rozmawiać ze zmarłymi, nie mógłbym porozmawiać z Kenem. Gdyż on nie jest martwy. Nie jest także żywy, ale gdzieś pomiędzy. Jest niemartwy, jest we władzy kogoś innego i powstanie znowu, tym razem jako wampir, o ile przedtem go nie zniszczymy. Oto, dlaczego mówił do mnie we śnie, dlaczego błagał mnie: „Znajdź go, skończ z nim, zniszcz go”.

— A kiedy on i Trevor nie mogli się do ciebie dostać, prawdziwi zmarli przynieśli wiadomość od nich, tak? — zapytał Clarke.

— Tak — potwierdził Harry — ułożyli litery z kamieni, tam, w moim ogrodzie.

— Mój Boże — Sandra zadrżała — przecież o mały włos sprzeciwiłabym się Wellesleyowi, Harry. Byłabym tam z tobą, kiedy on przyszedł. I kiedy oni przyszli. — Potrząsnęła głową. — Nie wydaje mi się, bym to mogła wytrzymać... widzieć tamte rzeczy.

Sięgnął przez stół i mocno ścisnął jej rękę.

— To nie są po prostu rzeczy — odpowiedział. — Oni byli żywymi ludźmi, kiedyś. A teraz są umarłymi ludźmi. A wszak większość gleby, piasku, nieba i morza, które pokrywa tę planetę, było żywe w tym czy innym czasie! Taka jest natura rzeczy, życie jest tylko jednym z etapów, przez które przechodzimy. Ale zmarli tak mnie poważają, że potrafią nawet przekroczyć naturalny porządek.

— A to przekroczenie naturalnego czyni z nich... nadnaturalnych? — zapytał Darcy.

— Prawdopodobnie tak — odpowiedział Keogh, zwracając ku niemu pełne ciepła oczy. — Ale czy kiedyś nie myśleliśmy też o wampirach jako nadnaturalnych? — Wreszcie pozwolił sobie na szczery, choć skąpy uśmiech. — Wiesz, Darcy, jak na szefa INTESP jesteś diablo sceptyczny. Czy nie na tym właśnie to wszystko zawsze polegało? Gadzety i duchy? Fizyczne i metafizyczne? Naturalne i nadnaturalne?

— Nie jestem sceptyczny — odparł Darcy — ponieważ za dużo z tych rzeczy widziałem. Lubię tylko mieć wszystko uporządkowane, nic więcej.

— A czy ja uporządkowałem to dla ciebie?

— Chyba tak. Więc... dokąd zmierzamy?

— Na razie donikąd. Badamy, co wiemy, próbujemy ustalić, czego nie wiemy. Staramy się też przygotowywać na nadchodzące. Ale mówiąc szczerze, na waszym miejscu po prostu bym się z tego wycofał.

— Co? — Darcy przestraszył się, że nie dosłyszy.

— Ty i Sandra. Powinniście złapać najbliższy samolot do domu, wrócić do centrum INTESP i stamtąd użyć całej mocy, jaka jest możliwa. Powinniśmy postępować tak samo jak w sprawie Bodescu, dopóki nie dowiemy się dokładnie, o co tu chodzi.

Darcy pokręcił głową przecząco.



— Wdepnęliśmy w to razem. A całe INTESP mogę tu zaraz mieć. Może powinienem ci przypomnieć: wpadanie w tarapaty nie jest moim zwyczajem. Mój anioł stróż? A poza tym, co tu możesz zdziałać w pojedynkę? Sandra ma rację, Harry. Jesteś eks-nekroskopem. To już nie działa. Jeżeli chodzi o uzdolnienia, nie jesteś już nikim ważnym. Jak sam zauważyłeś, to co stało się w Bonnyrigg, było najzwyczajszym zbiegiem okoliczności. Zmarli nie będą tutaj spieszyli ci z pomocą za każdym razem. Spójrz więc prawdzie w oczy, z naszej trójki jesteś najśłabszy. Nie jest tak, że to ty nas nie potrzebujesz. W tym samym stopniu my nie potrzebujemy ciebie.

Harry wbił weń wzrok.

— Potrzebujecie mojej fachowości — powiedział. — I Sandrze grozi naprawdę poważne niebezpieczeństwo. Ona nie powinna być blisko mnie i... — nagle przerwał. Ale za późno, krzywda już została wyrządzona. Harry nigdy nie był dobry w zwodzeniu innych.

— Blisko ciebie? — zapytała. — Co to znaczy, Harry?

Tym razem to jej dłoń chwyciła go za rękę. Westchnął, popatrzył w bok.

— Widzisz, mamy tu wampira — odpowiedział wreszcie. — Prawdopodobnie ze starej gwardii. Ciągłe powtarzam, i zechciejcie mnie w końcu posłuchać, że wampiry to potęga! Sandro, zajrzałaś do głowy Jordana i wiesz, że siedziało w niej coś, co torturowało go, wypytywało go, szczególnie o nas. Do tej chwili to coś przypuszczalnie wie o INTESP wszystko, co można tylko wiedzieć. O tym, jak postąpiliśmy z Tiborem Ferenczym i Julianem Bodescu i... do licha, wszystko, czego tylko zapragnie wiedzieć! Ale przede wszystkim dowie się o mnie. Jeżeli nie od razu, to wkrótce. A wtedy po mnie przyjdzie. Nie może sobie pozwolić, by nie przyjść, gdyż wie, że jego maska w końcu pęknie. A ja jestem Harrym Keoghem, nekroskopem, i jestem niebezpieczny. Zabijałem wampiry. Docierałem do samych źródeł wampiryzmu i niszczyłem je.

Gdzieś w moim umyśle zamknięte są tajniki mowy zmarłych i kontinuum Möbiusa. Z całą pewnością po mnie przyjdzie. A także po was dwoje, jeżeli zostaniecie ze mną. Teraz, Darcy... w porządku, twój talent chroni cię. Ale jednak jesteś tylko człowiekiem z ciała i krwi. Urodziłeś się i możesz umrzeć. A pamiętaj, że to coś wie o twoim uzdolnieniu! I jeżeli jest sposób, aby się ciebie pozbyć, a jeszcze lepiej, wykorzystać, on go znajdzie.

— Ale to na pewno jest moja mocna strona — nie poddawał się Darcy. — Ja wiem, jak go zabić.

— Tak? — zdziwił się Harry. — A jak go znajdziesz? Myślisz, że będzie leżał nieruchomo i czekał, aż go przebijesz? Człowieku, on nie będzie czekał, aż go znajdziesz, on sam ciebie poszuka! Poszuka nas! Raz jeszcze powtarzam: w porównaniu z nim Julian Bodescu był raczkującym amatorem.

— Wobec tego mogę tu ściągnąć posiłki. Jutro w południe może tu być dziesiątka naszych najlepszych ludzi.

— Ściągnąć ich tu na rzeź? — Frustracja Harry'ego przechodziła w złość. Rozmawiał z ludźmi tak inteligentnymi jak tych dwoje, a musiał wszystko tłumaczyć, jakby byli dziećmi. Ale w porównaniu z siłą wampirów oni naprawdę byli dziećmi, zupełnie niewinnymi dziećmi. — Czy nie rozumiesz, Darcy — spróbował jeszcze raz — że oni go nie znajdują? Nie wiedzą, kim jest ani gdzie go szukać.

— W takim razie bawimy się w chowanego. — Sandra podniosła głos, ujawniając każdemu, kto zechciałby patrzeć, całą swą niewinność i brak doświadczenia. — Schowajmy się i pozwólmy mu grać. Albo zbliżymy się do niego systemem eliminacji. Albo...

— Możemy skorzystać z naszych telepatów — wtrącił się Darcy — tak jak w sprawie Bodescu. — Przerwał gwałtownie, a po jego czaszce przebiegł dreszcz. — Jezus! — powiedział — dając jaskrawy dowód, że coś ze skali tego problemu i coś z rozmiarów grozy nagle do niego dotarło. — Nasi telepaci! — powtórzył.

— O, mój Boże — wykrztusiła Sandra.

Harry pokiwał głową i powoli opadł na krzesło.

— Widzę, że wreszcie zaczynacie myśleć — powiedział, właściwie bez sarkazmu. — Telepatia? Świetny pomysł, Darcy, tyle tylko, że nasz przeciwnik go przechwycił, i wkrótce może mieć własnego. Tak, a Ken Layard jest jednym z najlepszych, jacy są.

Przyniesiono jedzenie. Darcy i Sandra, posepni i zamyśleni, ledwie tknęli posiłek. Harry szybko nasycił głód. Zapalił papierosa, wypił kawę.

— Może dojść do tego, że będziemy musieli spalić Kena własnoręcznie — powiedział Darcy po chwili.

— Rozumiesz więc, dlaczego tak się spieszyłem. — Harry przytaknął.

— Jaka jestem głupia! — rzuciła nagle Sandra. — Czuję się taka głupia! Te zupełnie idiotyzmy, które wygadywałam!

— Nie, nie jesteś głupia — zaprzeczył Keogh. — Jesteś po prostu lojalna, odważna i ludzka. Nie potrafisz myśleć jak wampir. Wszystko się sprowadza do tego, by być tak podstępny jak oni. Nie myśl, że to jest przyjemność. Wierz mi, że nie. Same tylko próby myślenia tak, jak oni, mogą wpędzić cię w chorobę.

— W każdym razie — włączył się Darcy — zgadzam się z tobą. Sandra musi się z tego wycofać.

— Tak — Harry skinął głową — i nie powinna była nigdy się w to mieszać. Ale musieliśmy przybyć tutaj, żeby dowiedzieć się wszystkiego. Musisz zrozumieć, kochanie, jak bardzo by nam to utrudniało sprawę. Och, Darcy da sobie radę, zawsze tak jest, ale ja nie byłbym w stanie nawet myśleć poprawnie, mając ciebie obok. Przez cały czas zamartwiałbym się o to, co może cię spotkać.

— I co miałabym robić — powiedziała głośno Sandra. — Siedzieć w domu i łudzić się nadziejami?

Darcy pokręcił głową.

— Nie, koordynowałabyś pod moją nieobecność działania wywiadu. Teraz, kiedy Wellesley wypadł z gry, a ja jestem tutaj, sprawy muszą się ściśle zazębiać. Ty znasz sytuację z pierwszej ręki, więc będziesz wprost nieoceniona jako nasz łącznik, a właściwie łączniczka. Ponadto będziesz przez cały czas na bieżąco, z dnia na dzień, z wydarzeniami. W istocie, będziesz, zdaje się, miała tyle zajęć, że nie starczy ci czasu, by martwić się o Harry'ego.

— Wiesz, że on ma rację? — dodał Keogh.

— Jedno, co mogę powiedzieć: przynajmniej nie będę się musiała martwić o takie rzeczy, jak... jak spalenie biednego Kena!

Darcy spojrział na Harry'ego.

— A co z tym? Jak wiele mamy czasu, zanim...?

— Do tego może dojść jedynie wtedy, jeżeli miejscowe władze nie poczynią odpowiednich kroków — odpowiedział Harry. — Myślę jednak, że tutaj, gdzie jest tak gorąco, powinni być szybcy w tych sprawach.

Darcy zmarszczył czoło.

— Ale czy nie ma żadnego oficjalnego ostatecznego terminu?

— Pytasz: kiedy on wstanie i pójdzie, tak? — Harry pokręcił głową. — Nie, nie ma takiego terminu. Ile czasu zabrało to George'owi Lake'owi, wujowi Juliana Bodescu?

— Trzy doby — z miejsca odpowiedział Darcy. — Tylko co go pogrzebali i zaraz zaczął wykopywać się z powrotem.

— Przestań! — krzyknęła Sandra. Jej oczy aż pojaśniały z przerażenia.

Harry popatrzył na nią, współczuł jej ale musiał mówić dalej.

— Lake był przykładem podręcznikowym — podjął — ale nie sądzę, by istniały tu jakieś sztywne reguły. Żadne, w które bym wierzył, w każdym razie. — Wyprostował się na krześle i rozejrzał się dookoła. — Ale, wiecie, właśnie pomyślałem, że dla turystów musimy stanowić żałosny widok! A poza tym, to miejsce się zapełnia. Proponuję wrócić do naszej willi. Mogę się przecież mylić co do zalet tłumu. Być może tam będziemy równie bezpieczni, jak tutaj. Musimy przecież zaplanować nasze działania.

Drogę powrotną przebyli w milczeniu. W takiej odległości od centrum Rodos i na samym początku sezonu nie było tu wielkich tłumów. Lśniaca tafla morza po prawej stronie i Droga Mleczna rozsiana jak diamentowy pył nad głowami mogłyby uczynić to miejsce bardzo romantycznym. Zmierzali żwirową ścieżką do drzwi domu i nawet monotonne, pełne otuchy nawoływania małych greckich sów nie potrafiły ich podnieść na duchu.

Gdy weszli do środka, Darcy sprawdził okna na górze, a Harry zajął się tylnym wejściem. Wszystkie drzwi były solidne, opatrzone mocnymi zamkami i zasuwami. Okna z zewnątrz wyposażone w okiennice, a od wewnątrz w zamki przeciwwłamaniowe.

— Nie mogłoby być lepiej — powiedział Darcy, kiedy zebrali się znowu razem dookoła stołu w salonie.

— Och, mogłoby — sprzeciwił się Harry. — Przypomnij mi jutro, bym kupił trochę czosnku.

— Oczywiście — skinął głową esper. — Wiesz, całkiem o tym zapomniałem. To tak bardzo należy do fikcji literackiej, że nie potrafię uzmysłowić sobie, że to jednak jest prawda.

— Czosnek — powtórzył Keogh — tak. W Słonecznej Krainie Wędrowcy nazywają go „kneblasch”. To jest rdzeń tej nazwy w ziemskich językach. Po niemiecku jest „knoblauch”, a po cygańsku „gnarblez”. — Skrzywił twarz w zmęczonym, pozbawionym wesołości uśmiechu. — Jeszcze jedna beużyteczna informacja.

— Beużyteczna? — oburzyła się Sandra. — Myślę, że byłoby świetnie, gdybyś przekazał nam wszystkie beużyteczne informacje, jeśli możesz.

Harry wzruszył ramionami.

— Wiele możesz wyciągnąć z tego, co Darcy nazywa „fikcją literacką”. Ale jeśli to jest to, czego pragniesz... — Znowu wzruszył ramionami. — Musisz tylko pamiętać, że nie ma nic pewnego z wampirami. I nikt, łącznie ze mną, nie wie na ich temat wszystkiego. Nie wiem nawet jednej dziesiątej. Ale wiem, że im bardziej zbliżasz się do źródła, do samego rdzenia wampiryzmu, tym skuteczniejsze stają się rozmaite trucizny. Czosnek wzbudza w nich wstręt. Brzydzą się jego smrodem, tak jak my brzydymy się smrodem odchodów. Wręcz chorują od niego. Po stronie gwiazdnej Lardis Lidescu smaruje swój oręż czosnkowym olejem. Wampir zraniony taką bronią, wszystko jedno, czy to strzała, miecz czy nóż, będzie cierpiał nieznośnie. Nierzadko zainfekowana w ten sposób część ciała odpada, a na jej miejsce wyrasta nowa.

Darcy i Sandra popatrzyli po sobie skonsternowani, ale nic nie powiedzieli.

— Następnie srebro — kontynuował Harry — szkodzi im, jak rtęć czy ołów nam. Żeby nie zapomnieć: musimy kupić parę tych ozdobnych greckich nożyków do cięcia papieru, srebrnych lub posrebrzanych. Darcy, widziałeś strzały, które pakowałem wraz z kuszą? Zrobione są z twardego drzewa, natarte olejem czosnkowym, a na czubku mają srebro. I nie pytajcie mnie, proszę, czy mówię poważnie. W Gwiazdnej Krainie Wędrowcy polegają na tych rzeczach i dzięki nim pozostają przy życiu!

„Gwiazdna Kraina” — myślał Darcy, przypatrując się Harry’emu. — „Obcy, równoległy świat wampirów. Widział to, był tam i powrócił. Przeżył to wszystko. A teraz siedzi tutaj, całkowicie ludzki i tak łatwy do zranienia, i stara się wyjaśnić te rzeczy nam. I jakoś nie wpada w złość, i jakoś nie załamuje się ani nie piekli. I nigdy nie rezygnuje”.

— Wampiry — powiedziała Sandra i na dźwięk tego słowa wstrząsnął nią dreszcz. — Opowiedz nam o nich, Harry. Och, wiem, że wszystko jest w aktach

w Londynie. Ale kiedy to pochodzi wprost od ciebie, jest inaczej. Wiesz o nich tak dużo, a mówisz, że wiesz tak mało.

— Powiem wam kilka całkowicie pewnych rzeczy — odparł Harry. — Są krętaczami w stopniu przekraczającym ludzką wyobraźnię. Są kłamcami wszyscy razem i każdy z osobna. W prawie każdej sytuacji wampir raczej skłamię niż powie prawdę — chyba, że w grę wchodzi jakaś zupełnie podstawowa dla nich wartość. Są specjalistami w zbijaniu argumentów, mistrzami w sztuce dwuznacznych i odbierających ochotę na cokolwiek zagadek, gier słownych, łamigłówek i paradoksów, fałszywych porównań i paraleli. Są do nieprzytomności zazdrosne, skryte, pyszne i zaborcze. Jeśli zaś chodzi o ich przywiązanie do życia — czy też śmierci — są najbardziej nieugiętymi stworzeniami od czasów Stworzenia!

Swoje źródło mają w moczarach na wschód od centralnego łańcucha gór, który oddziela Gwiezdną Krainę od Słonecznej. Legenda głosi, że od czasu do czasu wynurzają się z tych mokradeł w formie monstrualnych ślimaków czy pijawek, by przyssać się do człowieka czy zwierzęcia. O stopniu ich inteligencji w tej fazie nic nie można powiedzieć. Ale uporczywość cechuje je od samego początku. Żywią się krwią gospodarza i tworzą z nim przerażającą symbiozę. Gospodarz zmienia się, fizycznie i psychicznie. Sam bezpłciowy, wampir „przyjmuje” płęć gospodarza, i wykształca w nim tę żądzę krwi, dzięki której ostatecznie obydwaj utrzymują się przy życiu.

Powiedziałem, że gospodarz zmienia się fizycznie. Tak jest w istocie, gdyż materia cielesna wampira różni się od naszej. Posiada bowiem zdolność regeneracji. Gdy wampir straci palec, rękę czy nogę, w odpowiednim czasie wyrośnie mu druga. To nie jest tak niezwykle, jak mogłoby się wydawać. Rozgwiazda robi to nawet lepiej. Potnij rozgwiazdę na części i wrzuć do morza, a każda część rozrośnie się w nową całość. A podobnie ogon jaszczurki czy segmenty tasiemca. Ale wampir nie jest tasiemcem. Lesk Przerośnięty, obłąkany Lord, stracił w bitwie oko i rozkazał następnemu wyrosnąć na plecach!

Jako że wampir rozwija się wraz z gospodarzem, siła i wytrzymałość tego ostatniego wzrastają niepomiaralnie. A podobnie sfera emocjonalna. Poza miłością, idei która jest wampirom całkowicie obca, wszystkie inne namiętności wyrastają w szaleństwo. Nienawiść, chęć, rządzą wojny, gwałtu, tortur, zniszczenia swych przeciwników i pobratymców. Ale ten bezmiar zła jest temperowany przez ich predylekcję do utajnienia, anonimowości. Gdyż wampir wie, że kiedy zostanie odkryty, człowiek nie spocznie, dopóki go nie zniszczy. To dotyczy szczególnie tego świata, oczywiście, w ich własnym są, lub byli, Lordami. Byli, zanim Rezydent i ja nie doprowadziliśmy ich królestwa do ruiny. Ale i przedtem nadarzyła się okazja. Mój syn i ja... nie zniszczyliśmy ich wszystkich. Czasem chciałbym, aby tak się stało.

A więc... kiedy trafili tu po raz pierwszy, w jaki sposób przybyli? Pierwszy z nich, na tym świecie? Kto wie? Wampiry występują we wszystkich legendach

stworzonych przez człowieka. Przybyły do starożytnego kraju Daków, do Rumunii i do Mołdawii, na Wołoszczyznę. Co na jedno wychodzi. Rumunia dla nas pokrywa się lub jest blisko Danube. Tam jest Brama, tunel pomiędzy różnymi wymiarami rzeczywistości, ale szczęśliwie niedostępny. Albo prawie niedostępny. Skorzystałem z niego, kiedy udawałem się do Gwiezdnej Krainy. Działo się to, zanim Harry Junior odarł mnie z moich uzdolnień. — Harry usiadł głębiej i westchnął. Czas i wydarzenia doganiały go. Wyglądał na bardzo zmęczonego. — Co jeszcze? — zapytał.

Sandra nie mogła oprzeć się fascynacji tym tematem.

— A co z ich cyklami życiowymi, czasem trwania ich życia? Kiedy czytałam dokumenty INTESP, wszystko wydawało się tak nieprawdopodobne. Powiedziałeś, że wywodzą się z mokradła. Ale w jaki sposób się tam znalazły?

— To tak, jakby zapytać, czy pierwsze było jajko, czy kura — odrzekł Keogh. — Mokradła są ich początkiem, to wszystko. A dlaczego aborygeni są w Australii? Dlaczego jaszczury Komodo spotykamy tylko w Komodo? Co zaś do ich życiowych cykli...

Zaczynają w mokradłach jako ogromne pijawki. Tak w każdym razie ja to rozumiem. Przekształcają się w ludzi albo zwierzęta, zazwyczaj w wilki. Nawiasem mówiąc, według mojej teorii mityczny wilkołak jest w rzeczywistości także wampirem. Dlaczego nie? Żywi się surowym, czerwonym mięsem, a jego ugryzienie może stworzyć następnego wilkołaka, prawda? Oczywiście, że tak, gdyż ukąszenie jest jednocześnie przeniesieniem jaja, które zawiera zarówno kody wilka, jak i wampira.

Raptem gorejące spojrzenie Harry'ego sposepniało jeszcze bardziej.

— O Boże! — wyszeptał, potrząsając głową w zadumaniu. — Ilekroć o tym myślę, nie mogę nie wspomnieć o moim synu. Gdzie on teraz jest? Zastanawiam się. Ciągłe w Gwiezdnej Krainie, Lord wampirzy? Czym teraz jest, to dziecko Brendy i moje? Gdyż wampir Harry'ego pochodził z wilka.

Przez długą chwilę pełne uczucia oczy Keogha były zamglone, odległe, nieobecne. Zamrugał, otrząsnął się, powrócił do tego miejsca w czasie i przestrzeni, w którym znajdowało się jego ciało.

— Ich cykle życiowe. — Przeplukał gardło i mówił dalej. — Bardzo dobrze. Prześledziliśmy, jak dotąd, przejście od stadium pijawki do pasożyta w ludzkim lub zwierzęcym ciele. Ale nazwałem tę relację symbiozą, gdyż, co trzeba docenić, następuje wzajemna wymiana korzyści. Pasożyt otrzymuje schronienie i uczy się z umysłu gospodarza. A gospodarz przejmuje od wampira jego zdolność do gojenia ran, zawiązki materii cielesnej, umiejętność przeżycia i, oczywiście, długowieczność. W końcu wampir szczepia się z wnętrzem swego gospodarza, staje się jego nierozdzieloną częścią. Dwie jednostki, a nawet umysły, zachodzą na siebie i stają się jednym. Ale na początku pasożyt zatrzymuje pewną indywidualność. Kiedy nie w pełni dojrzały wampir czuje, że nad gospodarzem wisi skrajne, nie-

uniknione niebezpieczeństwo, może nawet próbować z niego uciec. Tak właśnie zrobił wampir Dragosaniego, gdy go zniszczyłem. Ale na próżno, to także zniszczyłem. . . — W łagodny, miękki głos Harry’ego wkradło się drzenie, a na twarzy pojawił się znowu ten wyraz, mroczny, pośepny i trudny do określenia. — I znowu, niedojrzały wampir może być wyprowadzony z gospodarza, jeżeli zna się sposób. Ale zawsze z. . . niszczycielskim skutkiem dla gospodarza.

Obydwoje w lot chwycili, że mówi o Lady Karen i jego ponury nastrój przestał być zagadką. A on zobaczył w ich oczach błysk współczucia i zrozumienia.

— O czym to ja mówiłem? A tak, cykl życiowy. Będziecie skłonni myśleć, że cała reszta jest czystym ekstraktem niesamowitości, ale czy naprawdę tak jest? Spójrzcie na gady, żaby i traszki. Albo ćmy i motyle. Albo, jeśli kto miał szczęście zetknąć się z pasożytem, z motylicą wątrobową? Czy może być coś bardziej kosztownego?! Tym jednak, co czyni z wampira coś znacznie gorszego, jest diabelska inteligencja oraz fakt, że ostatecznie jego wola staje się dominująca, silniejsza niż wola gospodarza. Nie jest to więc tak naprawdę wymiana wzajemnych korzyści, ale całkowite podporządkowanie. A teraz sprawa jaja. Faethor Ferency przekazał je Tiborowi z Wołoszy przez pocałunek. Wydobył je długim, rozdwojonym językiem z głębi swojego gardła i umieścił głęboko w krtani Tibora. I od tej chwili Tibor, dzielny wojownik, był zgubiony.

Przygwożdżony kołkiem, skuty łańcuchem i spalony, niemartwy przez pięćset lat, Tibor użył wici swej pierwotnej materii cielesnej i upuścił jajo na kark Dragosaniego. Spadło niczym żywe srebro, przeszło przez skórę i przylgnęło do kręgosłupa, nie zostawiając nawet śladu. I wtedy Dragosani. . . on także był zgubiony. Tak więc Faethor był wampirem. Przekazał jajo Tiborowi i ten także stał się wampirem! Tak, i podobnie byłoby z Dragosanim, gdyby nie to, że położyłem temu kres.

Jajo więc przenosi sam rdzeń wampirzy. Może być przekazane przez pocałunek, stosunek seksualny, lub też po prostu ciśnięte w kogoś, kto został wybrany gospodarzem. Dragosani został więc „namaszczony” przez samego Tibora Ferenczego, Stwora spoczywającego w ziemi. Tyle tylko, że Tibor, jak wszystkie wampiry, był kłamcą! Tak, ten Stary Diabeł zaledwie musnął embriona Juliana Bodescu i dziecko zostało naznaczone zepsuciem i zwampiryzowane zanim się jeszcze urodziło! I posiadało wszystkie stygmaty wampirze. Każdy znak i symptom, włączając w to najważniejszą zdolność — zmiany kształtu. Julian był wampirem! Ale. . .

Czy wykształciłby swoje własne jajo? Nie wiem. To jest zupełnie paradoksalne, czyli właściwie dokładnie takie, jakiego się należy po nich spodziewać.

Harry zamilkł. Sandra i Darcy siedzieli i słuchali tego wszystkiego w osłupieniu.

— Nie mniej kłopotliwa jest ich różnorodność — powiedział Darcy. — Wydaje się, że Bodescu zaraził swą matkę jakąś małą cząstką siebie. Nie wiemy jaką

ani w jaki sposób, ale, u diabła, nie mogę powiedzieć, abym tego żałował. On hodował coś potwornego w piwnicach Harkley House, niewiarygodne monstrum, które zamordowało jednego z naszych esperów. A wyhodował je z własnego zęba mądrości! Bezmyślna, pierwotna materia. Zainfekował swego wuja, ciotkę i kuzynkę. Zdaje się, że zwampiryzował ich wszystkich, na tak wiele różnych sposobów. Nawet swojego cholernego psa!

— Tak. — Harry pokiwał powoli głową. — To wszystko to nie jest jeszcze nawet połową. Darcy, wampiry z Gwiezdnej Krainy posiadają zdolności, o których wampiry z Ziemi, naszej Ziemi, jak się wydaje, zapomniaty, dzięki Bogu! Potrafią wziąć ciało, ciało Wędrowca albo Troga, i w określonym czasie uformować je wedle swojej woli. Mówiłem, czy wspominałem, o bestiach gazowych, które hodują dla metanu, który te wytwarzają. Robią także wojowników, takich, że nie uwierzylibyście, nawet widząc na własne oczy!

— Ja widziałem — przypomniał mu Darcy.

— Na filmie — odrzekł Harry — tak, ale nie widziałeś takiego, jak spada na ciebie z nieba, wyposażony w śmiertcionośną broń. I nie widziałeś kościostych, chrząstkowatych stworzeń projektowanych specjalnie dla ich skór, więzadeł i szkieletów, za pomocą których powiększają i zaopatrują swe wyniosłe siedziby. I, na Boga, nie widziałeś, ani nawet nie potrafisz sobie wyobrazić syfoniarzy!

Sandra zamknęła oczy, podniosła do góry rękę.

— Nie! — zawołała.

Czytała o stworach zwanych syfoniarzami w aktach Keogha. Było to coś, o czym z całą pewnością nie chciała słyszeć od Harry'ego. Wiedziała o wielkich, łagodnych, mięczakowatych stworach na wyżynach zamków wampirzych. Ich żyły zwisały setki metrów w dół wewnątrz wydrążonych kości i zasysały wodę ze studni. Wiedziała też, że wszystkie te rzeczy i stworzenia były kiedyś ludźmi, zanim dokonała się metamorfoza.

— Nie — powtórzyła jeszcze raz.

— Tak — powiedział Darcy. — Sandra ma rację. I w ogóle nie było chyba najlepszym pomysłem zagłębiać się w to wszystko teraz. Nie będę mógł spać, Bóg to widzi.

I tak, jakby się umówili, wyciągnęli ze swych sypialni trzy pojedyncze łóżka i ustawili je dookoła stołu, przygotowując się w ten sposób do spania w jednym pokoju. To może nie wyglądało zbyt przyzwoicie, ale było bezpieczne.

Harry wyjął z torby podróźnej kuszę i założył na nią strzałę. Załadowaną broń umieścił pomiędzy łóżkiem swoim a Darcy'ego. Następnie wyciągnął się na fotelu i nakrył kocem. W chwilę później w pokoju panowała już ciemność i cisza. Jedynie mgielka szarego światła przesączała się przez szczeliny w żaluzji.

— Jakie plany na jutro, Harry? — zapytał Darcy i ziewnął.

— Zatroszczyć się o Kena Layarda. — Bez wahania odrzekł Keogh. — Odwieźć Sandrę na samolot do domu i zobaczyć, co da się zrobić dla Trevora Jorda-



na. Trzeba jak najszybciej wydobyć go stamtąd. Oddalenie od wampira powinno osłabić jego wpływ. To także zależy od miejscowej władzy, od tego, co powiedzą. Ale poczekajmy z tym wszystkim do rana. Teraz będę szczęśliwy, jeżeli uda mi się zasnąć.

— Och, na pewno nam się uda — powiedział Darcy.

— Czyżbyś się czuł... beztrosko?

— Beztrosko? Jeszcze czego! Ale nie ma nic takiego, co by mi w tej chwili szczególnie zaprzętało głowę.

— Świetnie — odpowiedział Harry. — Dobrze jest mieć obok siebie kogoś takiego jak ty, Clarke.

Sandra już spała...

Harry'emu rzeczywiście udało się zasnąć. Właściwie, były to strzępy snu, seria krótkich drzemek, nie przekraczających dziesięciu do piętnastu minut... przez pierwszych kilka godzin w każdym razie. Gdzieś przed brzaskiem wyczerpanie zmogło go wreszcie i zapadł w głębszy sen. Zmarli, którzy nie mogli komunikować się ze świadomą częścią jego umysłu, mogli teraz przynajmniej próbować się do niego przebić.

Pierwsza przybyła matka, której głos dochodził do niego z oddali, słaby niczym szept niesiony powiewem snu.

— Haaarry! Czy śpisz, synu? Dlaczego nie odpowiadasz? — pytała.

— Ja... nie mogę, mamó! — wydyszał, oczekując, że za chwilę umysł jego pochwycony zostanie w straszliwym uścisku, a żrący kwas poleje się na zakończenia nerwów. — Wiesz o tym. Jeżeli tylko spróbuję z tobą porozmawiać, on natychmiast ześle ten straszliwy ból.

— Ale przecież mówisz do mnie, synu! Po prostu znowu wszystko zapomniałeś. Tylko na jawie nie możesz ze mną rozmawiać. Ale nic nam nie przeszkodzi, kiedy śpisz. Nie masz się czego bać z mojej strony, Harry. Wiesz przecież, że nigdy bym ciebie nie skrzywdziła. Nie rozmyślnie.

— Ja... teraz pamiętam — powiedział Harry, ciągle nie całkiem pewien. — Ale, tak czy inaczej, co z tego. Kiedy się obudzę, i tak nie będę pamiętał, co do mnie mówisz. Nigdy nie pamiętam. Zakazano mi.

— Ach, lecz znalazłam już przedtem sposoby, aby to ominąć i mogę znowu spróbować. Nie całkiem dokładnie wiem jak, gdyż czuję, że jesteś daleko ode mnie, ale spróbować mogę. A jeśli nie ja, to może ktoś inny z twoich przyjaciół.

— Mamó — drżał przestraszony — musisz powiedzieć im, aby przestali. Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie bólu, jakiego za ich przyczyną doznałem, ani kłopotów, w jakie mnie wpędzili! A mam teraz wystarczająco dużo własnych problemów.

— Och, wiem, że masz, synu, dobrze wiem — odparła. — Ale są problemy i problemy, i niekiedy różnią się rozwiązaniami. Nie chcemy, abyś zabrał się do ich rozstrzygnięcia ze złej strony, nic więcej. Rozumiesz?

Pograżony we śnie nie rozumiał nic prócz tego, że ktoś kochający go robił wszystko, by mu pomóc, choć sam tkwił w błędzie, sam był zwodzony.

— Mamo! — Nagle poczuł do nich wszystkich złość. — Naprawdę bardzo chcę, abyście chociaż starali się zrozumieć. Musicie wbić sobie do głowy, że wystawiacie mnie na niebezpieczeństwo. Ty i reszta zmarłych, tak jakbyście próbowali mnie zabić.

— Och, Harry — westchnęła głęboko, wzburzona. Harry wiedział, że wstydziała się za niego. — Jak w ogóle możesz mówić takie rzeczy, synu. Zabić ciebie? O niebiosa, nie. Próbujemy właśnie ratować ci życie.

— Mamo, ja... — wyszeptał Keogh.

— Haaarry. — Rozpływała się znowu w niebycie, powracała tam, gdzie jej miejsce, niewyraźna i odległa. Naraz sygnał jej mowy stał się mocniejszy.

— Widzisz, synu — mówiła — nie martwimy się już więcej o ciebie w ten sposób. Nie jest już dla nas bardzo bolesne myśleć, że pewnego dnia możesz umrzeć. Wiemy, że tak się stanie, gdyż taki jest los wszystkich. A z twoją pomocą zrozumieliśmy, że śmierć nie jest tak czarna, jak się ją maluje. Ale jest jeszcze jeden stan między życiem a śmiercią, Harry. Zostaliśmy ostrzeżeni, że bląkasz się zbyt blisko niego.

— Nieśmierć! — Tym razem to on zaczerpnął głęboki łyk powietrza, jako że sen gwałtownie zbliżył się do rzeczywistości. — Ostrzeżeni? Przez kogo?

— Och — odpowiedziała — między zmarłymi jest wiele prawdziwych talentów, synu. Są tacy, z którymi możesz rozmawiać i im ufać, nie obawiając się ich słów, i tacy, z którymi absolutnie nigdy nie powinieneś rozmawiać! Niekiedy zdarzało ci się działać bez należytej przeczności, Harry. Tym razem... jeden... zło... zgubiony... ciemny jak... na zawsze!

Jej mowa zmarłych rwała się, zanikała, gasła. Ale był pewien, że to co mówiła, było ważne.

— Mamo? — zawołał za nią w zbierające się mgły sennego marzenia. — Mamo?

— Haaarry! — Jej odpowiedź była najdalszym odbiciem, słabnącym i... odeszła.

Coś musnęło twarz Keogha. Wzdrygnął się i podciągnął w fotelu.

— Co...? — wysapał, na wpół śpiąc. — Czy to jakiś łopot? Czy coś poruszyło powietrze w pokoju?

— Ciii — szepnęła Sandra ze swojego łóżka, gdzieś w ciemności. — Śniłeś. Znowu o swojej matce.

Harry pamiętał, gdzie jest i co tu robi, więc wsłuchiwał się przez chwilę w ciszę i ciemność pokoju.

— Nie śpisz? — zapytał po chwili.

— Nie — odpowiedziała. — A chcesz, żebym spała?

— Tak. Idź spać.

Znowu pogrążył się w snach. Raz jeszcze poczuł ten nieznaczny podmuch powietrza. Ale sen wziął go już w swoje posiadanie. . .

Tym razem głos przyszedł z samego serca mgły, która wylewała się z marzeń. Wilgotna i oblepająca jak mgły, które znał z rzeczywistości. Zabrzmiał czysty głos, choć odległy. Mroczny, głęboki, z metalicznym przydźwiękiem i grobowy jak dzwon piekieł. Wychodził z mgły i wydawał się otaczać Harry'ego, napierając na jego umysł nekroskopa ze wszystkich stron.

— Ach! Ulubieniec zmarłych — zaczęła i Harry momentalnie go rozpoznał. — Wreszcie odnalazłem cię, wbrew nieroztropnym wysiłkom tych, którzy chronili cię od bardzo starego, bardzo nieżywego stwora.

— Faethor — odpowiedział Harry. — Faethor Ferency!

— Haaarry Keeooogh — piał tamten, a jego głos aż bulgotał. — Robisz mi wielki zaszczyt, Harry, z takim naciskiem wymawiając moje imię! Czy czuję w tobie respekt? Czy drżysz przed Potęgą, którą kiedyś przedstawiałem? A może co innego? Może strach? Jak to? Co, strach? W kimś, kto zawsze był tak nieustraszony? Powiedz mi więc: co cię tak odmieniło, synu?

— Nie synu, Faethorze — z miejsca odpowiedział Harry, w swoim dawnym duchu. — Moje imię jest czyste. Nie staraj się go zbrukać.

— Achch! — Uśmiechnęła się gulgocząca, sycząca potworność w jego umyśle. — To już lepiej. Dużo lepiej jest poruszać się po znanym terenie.

— Czego chcesz, Faethorze? — Keogh był podejrzliwy i ostrożny.

— Czy podsłuchałeś zmarłych szepczących, że wpadłem w tarapaty i przychodzisz ze mnie szydzić?

— Tarapaty? — Faethor udał zdumienie, nie na tyle jednak, by ukryć przebijający się sarkazm. — Ty wpadłeś w tarapaty? Czy to możliwe? Z taką ilością przyjaciół? Z nieprzeliczonymi tłumami zmarłych gotowych prowadzić cię i w każdej chwili służyć radą?

Nawet we śnie Harry znał się na wampirach, także tych „nieszkodliwych”, dawno zgasłych.

— Faethorze — powiedział — jestem pewien, że znasz tę sprawę aż za dobrze. Ale ponieważ pytasz, więc ci odpowiem: nie jestem już nekroskopem, za wyjątkiem snów. Rozkoszuj się więc moim położeniem ile dusza zapagnie, gdyż jest to przyjemność, która skończy się natychmiast, skoro się obudzę.

— Jaka gorycz! — odparł Faethor. — A poza tym myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja.

— Przyjaciółmi? — Harry o mały włos nie wybuchnął śmiechem, ale zapanował nad tym. Pomyślał, że lepiej jednak nie prowokować niepotrzebnie wrogości żadnego z nich, nawet tak bardzo umarłego i na wieki pogrzebanego, jak

Faethor. — Jak to rozumieć? Zmarli są moimi przyjaciółmi, a oni czują do ciebie odrazę!

— A więc odrzucasz mnie — powiedział tamten — choć kur nie zapał jeszcze trzy razy.

— To wielkie bluźnierstwo! — krzyknął Harry i poczuł szeroki, bezwstydy uśmiech Faethora.

— Ależ oczywiście. Przecież ja jestem wielkim bluźnierstwem! W oczach niektórych.

— W oczach wszystkich — mówił Keogh. — W oczach samej normalności, Faethorze. Teraz zostaw mnie, jeżeli masz sobie kpić.

— Jaka krótką masz pamięć! — warknął tamten. — Kiedy potrzebowałeś rady, przyszedłeś do mnie. Czy odprawiłem cię wtedy? A kto zniszczył twoich wrogów w górach?

— Pomogłeś mi, ponieważ to pasowało do twoich celów, dla żadnej innej przyczyny. Towarzyszyłeś mi, żeby uderzyć Tibora i w ten sposób zemścić się po raz drugi, nawet z za grobu! Zrzuciłeś Iwana Gerenko w przepaść, ochraniając swój zamek, ponieważ to on spowodował jego zniszczenie. Nie zrobiłeś dla mnie nic. Tak naprawdę, i teraz to widzę wyraźnie, bardziej ty mnie wykorzystałeś niż ja ciebie.

— Więc! — kłapał Faethor — nie jesteś taki głupi, jak myślałem! Bez wątplenia, miałeś z tego więcej, Keogh! Ale nawet jeśli racja jest po twojej stronie, to jednak musisz przyznać, że korzyść była wzajemna.

Teraz Harry był już pewien, że wampir nie przybył tu, aby z niego szydzić. Chodziło o coś więcej. Faethor wyraźnie dał to do zrozumienia swoim sposobem wyrażania się, użyciem słów „wzajemna” i „korzyść”. Harry zastanowił się, czy ta obecna wymiana słów też okaże się wzajemnie korzystna? Czego ten potwór chce i, co ważniejsze, co jest gotów dać w zamian?

— No, dalej, Faethorze — ponaglił go Harry. — Czego chcesz ode mnie?

— Wstydz się! — zagrzmiał wampir. — Wiesz, jak lubię dobrą dyskusję: siłą przekonywania nieodpartych, logicznych argumentów, zręczną manipulację słowami, spieranie się o cenę przed dobieciem targu. Czy chcesz mi odmówić tych błahych przyjemności?

— Do rzeczy, Faethorze — zniecierpliwiał się Keogh. — Powiedz, czego chcesz i ile to jest dla ciebie warte. Dopiero wtedy, jeśli okaże się, że mogę to zrobić i ciągle patrzeć na siebie w lustro, możemy się targować.

— Ba! — odpowiedział tamten. — Słyszałem od zmarłych, że przyszły na ciebie ciężkie czasy. Tak, przyznaję, wiem, że zostałeś pozbawiony swojej mocy. Tak, to prawda, że jestem pariasem między zmarłymi, ale czasem, kiedy rozmawiają, lubię „przypadkiem” usłyszeć, o czym jest mowa. Wiele mówiono o tobie, Harry, i ja to przypadkiem podsłuchałem. Nie tylko nie wolno ci używać więcej

mowy zmarłych ani nie posiadasz też już łatwości natychmiastowego przemieszczania się. Czy to wszystko prawda?

— Tak.

— Dobrze. — Harry czuł, jak Faethor sucho sam sobie przytaknął. — Teraz, ja nie wiem nic na temat tej... teleportacji? W tej dziedzinie więc nie mogę ci pomóc. To polega na cyfrach, jak sądzę. Jednoczesnym rozwiązaniu wielkiej ilości skomplikowanych równań. A tutaj muszę się przyznać do porażki. Nie miałem z tym styczności od tysięcy lat, a nawet w moich najlepszych dniach nie był ze mnie żaden matematyk. Ale jeśli chodzi o mowę zmarłych, to tu moglibyśmy dojść do porozumienia.

Harry starał się nie pokazać po sobie, jakie to na nim wywarło wrażenie.

— Porozumienia? Myślisz, że mógłbyś mi to przywrócić? Nie wiesz chyba, co mówisz. Specjaliści badali mój przypadek. W stanie jawy nie mogę rozmawiać ze zmarłymi, w tym samym stopniu, jak nie mogę wlewać sobie kwasu do ucha. To znaczy, mogę, ale rezultat będzie ten sam. Wiem, bo próbowałem, raz!

— Dobrze — powtórzył Faethor. — Z szeptania zmarłych wywnioskowałem też, że ta niegodziwość została ci wyrządzona przez twojego rodzonygo syna w jakimś innym niż ten świecie. Zdumiewające! Znalazłeś więc swoją drogę tutaj, prawda? Tak, i cierpiałeś...

— Faethorze — przerwał — przejdź do sedna.

— Sedno jest oczywiste. Tylko wampir mógł w ten sposób wkroczyć do twojego umysłu, i to tylko jeden z najmocniejszych między nimi. To sztuka fascynacji — hipnotyzm w wykonaniu wielkiego mistrza — okaleczyła cię, Harry. Ach, i pochlebiam sobie, że kiedyś byłem takim mistrzem.

— Mówisz, że możesz mnie wyleczyć?

Faethor zachichotał mrocznie, gdyż wiedział dobrze, że Keogh połknął przynętę.

— Co jest napisane, może być wymazane — odrzekł. — Umiesz to teraz docenić. I tak samo, co zostało skrzywione, może zostać wyprostowane. Oddaj się tylko w moje ręce, a zrobię to, co trzeba.

Harry cofnął się.

— Oddać się w twoje ręce? Wpuścić cię do mojej głowy, jak Dragosani wpuścił Tibora do swojej? Czy myślisz, że zwariowałem?

— Myślę, że jesteś w rozpaczliwej sytuacji.

— Faethorze, ja...

— Teraz ty posłuchaj — przerwał dawno wygasły wampir. — Mówiłem o wzajemnych korzyściach i o zmarłych szepczących w ich grobach. Ale niektórzy z nich nie tylko szepczą. W górach Metalici i Zarundului są i tacy, którzy krzyczą w przerażeniu. On zawładnął zmarłymi, nawet ich kośćmi i prochami. Tak, a ja znam jego imię i poczuwam się do odpowiedzialności.

Teraz już Harry został pochwycony mocniej niż kiedykolwiek. Postanowił dać wampirowi pełną satysfakcję.

— Faethorze — powiedział — mówisz, że jeden z wampirów zstąpił do nas. Ale to już wiedziałem przedtem. Gdzie więc moja korzyść? Czy mam oddać się w twoje ręce za takie byle co? Czy myślisz, że zwariowałem?

— Nie, myślę, że się poświęciłeś wykarczowaniu tego, co nazywasz plugaństwem. Zniszczyłyś to, zanim ono ciebie zniszczy. Zrobiłyś to dla bezpieczeństwa i normalności twojego świata, a ja uczyniłbym to... jedynie dla własnej satysfakcji. Gdyż nienawidzę tego jednego tak, jak nienawidziłem Tibora.

— Kim on jest? — zapytał Harry, wbrew rozsądkowi mając nadzieję, że złapie tamtego na błędzie i wyczyta właściwą odpowiedź z jego zaskoczonego umysłu.

Faethor jednak tylko zacmokał z dezaprobatą i Keogh wyczuł, jak tamten, posmutniały, z rozczarowaniem kręci głową.

— Niepotrzebnie, mój synu — powiedział cicho — gdyż z chęcią powiem ci jego imię. Dlaczego nie? I tak nie będziesz go pamiętał, kiedy się obudzisz. Jego imię, jego najbardziej znienawidzone i okryte pogardą imię brzmi... Janosz.

Tyle było jadu w tym głosie, że Harry wiedział, że to prawda.

— Twój syn — westchnął, kiwając głową. — Twój drugi syn, po Tiborze. Janosz Ferency. Teraz przynajmniej wiem, z kim mam do czynienia, jeżeli nie z czym.

— Jego „z kim” brzmi Janosz — powiedział Faethor — a bez mojej pomocy jego „z czym” zniszczy cię nieodwołalnie.

— Opowiedz mi więc o nim — poprosił Harry. — Powiedz mi o nim wszystko, co możesz, a ja postaram się zrobić resztę. Targowałeś się dobrze. Nie mogę ci odmówić.

— Masz naprawdę krótką pamięć — powiedział wampir. — Będzie trwać tylko tak długo, jak twój sen!

Keogh wiedział, że to jest prawda i jego bezsilność przerodziła się w gniew.

— Więc o co ci chodzi? Czy naprawdę tylko o to, żeby ze mnie drwić?

— Nic a nic, przyszedłem dobić targu. I jest dobity. Przyjdiesz do mnie tam, gdzie leżę, i znowu porozmawiamy, wówczas jednak, będziesz pamiętać!

— Ale nie będę pamiętał tym razem — krzyknął Harry.

— Ach, będziesz, będziesz. — Słabnący głos Faethora dochodził echem z tułumanu mgły. — Będziesz pamiętał przynajmniej coś z tego. Zadbalem o to, Harry. Zadbalem o to, Haaarry Keeoooghu!

— Harry? — Ktoś, pochylony nad nim, stał obok jego łóżka. — Harry! — Natarczywa ręka Sandry spoczywała na jego ramieniu.

Darcy Clarke spieszył odpowiedzieć na walenie do drzwi, gdzie Manolis Papastamos domagał się, by go wpuszczono. Pierwsze światła brzasku z uporem poszukiwały szczelin w żaluzjach.

Keogh poderwał się, zatoczył jak pijany i omal nie przewrócił swego krzesła. Na szczęście Sandra była na miejscu i go podtrzymała. Przytulił ją do siebie.

Darcy i Manolis w chwilę później weszli do pokoju.

— Straszne! Straszne! — powtarzał Grek, podczas gdy Darcy otwierał okno i odsłaniał żaluzje, aby wpuścić do środka blade światło wstającego dnia. Pokój nabrał życia, nagle... Manolis drżącą ręką wskazał na dużą tapetę pokrywającą część ściany. Tapeta ruszała się.

— Boże wszechmogący! — jęknął Darcy, a Sandra jeszcze mocniej przywarła do Harry'ego.

Tapeta przedstawiała panoramę z pasem błękitnego nieba nad brązowymi górami i białymi wioskami, ale na niebie, literami wysokimi na pół metra, wypisane było imię: FAETHOR. Wypisane setką ciał nietoperzy.

— Faethor. — Harry wydyszał głośno to imię. Zaklęcie, którego moc rozproszyła zwarte w szyku futrzaste nietoperze. Nie większe niż uskrzydłone myszy, odrywały się od materiału, wirowały wokół pokoju i w końcu uciekły przez otwarte okno.

— Więc to prawda — powiedział Manolis Papastamos, który, choć biały i drżący, pierwszy zapanował nad nerwami. — Wszystko się składa w całość. Myślałem, że Ken Layard i Trevor Jordan to dziwni policjanci, ale wy jesteście o stokroć dziwniejsi. Ale to dlatego, oczywiście, że ścigacie niezwykłych przestępców.

Sandra chwyciła telepatyczną migawkę z jego umysłu i zorientowała się, że on wie.

— Powinniście byli mi powiedzieć od razu — westchnął, opadając na krzesło. — Jestem Grekiem, a niektórzy z nas rozumieją te sprawy.

— A ty, Manolis? — zapytał Darcy. — A ty?

— Och, tak — przytaknął tamten. — Wasz przestępca, wasz morderca — to Vrykoulakas. To wampir.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### Kot i mysz

— Rozumiem, że nie mieliście do mnie zaufania, ale powinniście mieć — mówił Papastamos. — Co? Myślicie, że Grecy są w tych sprawach ignorantami? Akurat Grecy, spośród wszystkich ludzi? Widzicie, byłem chłopcem w Faestos na Krecie, urodziłem się i mieszkałem tam do trzynastego roku życia. Wtedy przyniosłem się do mojej siostry do Aten. Ale nigdy nie zapomnę mitów z tej wyspy ani tego, co tam widziałem i słyszałem. Czy wiecie, że jeszcze teraz są w Grecji takie miejsca, gdzie kładzie się zmarłym srebrne monety na oczach, żeby się nie otworzyły? Ha! Nacięcia na powiekach Layarda. On miał oczy przez cały czas otwarte!

— Manolis — zwrócił się do niego Darcy — skąd mogliśmy wiedzieć? Gdybyś wziął setkę ludzi i powiedział im, że polowałeś na wampira, jak wielu z nich by ci uwierzyło?

— Tutaj, w Grecji, na wyspach greckich, dziesięciu do dwudziestu. — Brzmiała odpowiedź. — Nie spośród młodych, ale starszych, którzy pamiętają. Ale w górach, w górskich wioskach — Karpatos na przykład albo Krety, a jeszcze lepiej w Santorin — nawet siedemdziesięciu pięciu na stu! A to dlatego, że stare ścieżki wolno zarastają w takich miejscach. Spójrzcie tylko na mapę. Sześćset mil stąd jest Rumunia! Czy myślicie, że mieszkańcy tamtego kraju nie słyszeli o Vrykoulakasie, wampirze? Nie, nie jesteśmy niewinnymi dziećmi, przyjaciele!

— Bardzo dobrze — powiedział na to Harry. — Nie traćmy więcej czasu. Wiesz, rozumiesz, wierzysz — zgoda. Musimy cię jednak ostrzec, że mity i legendy potrafią się bardzo różnić od rzeczywistości.

— Nie jestem taki pewien. — Potrząsnął głową Manolis. — A w każdym razie, doświadczyłem też rzeczy realnej. Trzydzieści lat temu, kiedy byłem chłopcem, panowała jakaś dziwna choroba. Dzieci słabły. A na wyspie, na oddalonych kamiennych wzgórzach, mieszkał stary ksiądz. Żył tam całkiem samotny przez wiele lat. Powiedział, że jego samotność to kara za grzechy i nie ośmielał się zbliżać do ludzi. Pewnego dnia znaleziono go nieżywego w jego samotni. Pogrzebano go tam. Ale niedawno ksiądz z naszej wioski poszedł tam z innymi ludźmi, z ojca-



mi chorych dzieci, i wykopali go. Był tłusty, czerwony, i uśmiechał się! Jak z nim postąpili? Dowiedziałem się tego później. Przeszyli mu serce drewnianą dzidą. Nie mogę być tego całkiem pewny, nie, ale tej nocy płonęło wielkie ognisko na wzgórzach, a jego łuna widoczna była wiele mil stamtąd.

— Myślę, że powinniśmy powiedzieć Manolisowi wszystko — uznała Sandra.

— Powiemy — zgodził się Harry — ale najpierw może on nas poinformuje, dlaczego nas odwiedził.

— Ach! — Manolis wzdrygnął się. — O Boże, ten wampir, którego ścigacie... teraz jest ich dwóch!

— Ken Layard — jęknął Keogh.

— Oczywiście, biedny Ken. Dziś rano, przed godziną, dostałem telefon. Dzwonili z kostnicy. Znaleźli nagie ciało pracownika zajmującego się pogrzebami. Ma złamany kark. A ciało Kena Layarda zniknęło. — Spojrzał na Harry'ego. — Przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że Layard jest niemartwy, i chcesz, aby go bardzo szybko spalono. Ale to jeszcze nie wszystko.

— Dalej, Manolis — zachęcał go Darcy.

— „Samotraki” zniknęła z przystani tej samej nocy — kontynuował Grek — kiedy miała miejsce ta cała sprawa na molo pod starymi wiatrakami i kiedy wyłowilem Layarda z morza. Dziś rano rybacy przywieźli liczne kawałki spalonego wraka. To jest, to była „Samotraki”! Ale i to jeszcze nie wszystko. Dziewczyna, prostytutka, umarła na ulicy jakieś trzy, cztery dni temu. Zbadano jej zwłoki. Doktor powiedział, że mogło być kilka przyczyn: niejedzenie, jak to nazywacie, złe odżywianie? A może zasłabła, leżała całą noc w bocznej uliczce i umarła od chłodu? Ale najbardziej prawdopodobne, że to anemia. Ha! Znacie taką anemię? W całym ciele ani kropli krwi? Mój Boże, anemia!

— Jak zaraza — jęknął Harry. — Ona też musi być spalona.

— Będzie — obiecał Grek. — Dzisiaj. Możecie mi wierzyć, dopilnuję tego.

— Nie zbliżyliśmy się jednak ani na jotę — wkroczyła Sandra — do stwierdzenia, kto jest tym wampirem ani co zrobił Kenowi. A ja w szczególności chciałbym wiedzieć, jak te nietoperze się tutaj dostały...

Harry wskazał na kopulasty kominek, którego tunel mknął w ceglanej ścianie.

— Tu przynajmniej nie ma wielkiej tajemnicy — powiedział. — A co do Layarda, jest teraz we władaniu tego monstrum i zależnie od siły jego woli, służy mu mniej lub bardziej wiernie. Co zaś do tożsamości wampira: myślę, że otrzymaliśmy pewną wskazówkę, którą warto prześledzić. Zdaje się, że mogę znać kogoś, kto zna odpowiedź.

— Jaką wskazówkę? — Manolis zwrócił się wprost do Harry'ego. — Nie ma więcej tajemnic. A także, to słowo ułożone na ścianie przez nietoperze: co ono znaczy?

— To jest właśnie wskazówka — odparł Keogh. — Faethor zaaranżował to w ten sposób, abym nie mógł się pomylić. Chce, żebym pojechał go odwiedzić.

Ze zmarszczonym czołem Manolis przenosił badawczy wzrok z twarzy na twarz.

— Ten Faethor, który aranżuje takie sprawy i w taki sposób. On jest... czym?

— Żadnych więcej tajemnic? — Uśmiechnął się cierpko Harry. — Manolis, nawet gdybyśmy mogli przesiedzieć tu cały dzień, to i tak byłoby to za mało, by opowiedzieć ci wszystko. A nawet gdybyśmy dali radę i tak byś nie uwierzył. Nawet ty.

— Spróbuj! — Brzmiała zdecydowana odpowiedź. — Może w samochodzie? Najpierw ubierzcie się, zawiozę was na śniadanie, a następnie na posterunek policji w mieście. Tam będzie najbezpieczniej. Po drodze wszystko mi opowiecie.

— Dobrze, opowiemy — zgodził się Darcy. — Pod warunkiem, że będziemy postępować tak, jak sami uznamy za stosowne. I, Manolis, musimy mieć pewność, że nie piśniesz słówka.

— Cokolwiek usłyszałbym. — Skinął głową tamten. — I jeżeli będę mógł wam tylko w czymś pomóc, zrobię to. Jesteście fachowcami. Ale proszę, nie traćmy więcej czasu. Pospieszcie się.

Ubrali się najszybciej, jak potrafili.

Po południu Manolis Papastamos wprowadził ich plany w czyn.

Skoro tylko wiedział, co należy robić, nie marnował czasu.

Keogh został teraz posiadaczem stosownie zużytego, wymiętego paszportu greckiego, zaopatrzonego w stempel wizy rumuńskiej. Oficjalnie był „międzynarodowym handlarzem antyków” (co wywołało na twarzy Harry’ego kwaśny uśmiech) o nazwisku, które nie powinno mu sprawiać nazbyt wielkich kłopotów — Hari Kiokis.

Sandra otrzymała bilet na samolot do Londynu, wylatujący z Rodos o dziewiątej dziesiątej wieczorem, Darcy miał zostać na miejscu i współpracować z Manolisem. INTESP zostało wprowadzone w sytuację na tyle, na ile było tylko możliwe. Na razie jednak Darcy nie wezwał na pomoc żadnego espera. Najpierw chciał rozpoznać skalę zagrożenia i dopiero wtedy, bezpośrednio przez Sandrę, ściągnąć odpowiednie posiłki.

Samolot Harry’ego do Bukaresztu przez Ateny odlatywał o drugiej trzydziści. Mając jeszcze godzinę w zapasie, jedli lunch na wysokim tarasie tawerny wychodzącej wprost na przystań Mandraki. Tutaj znalazł ich miejscowy policjant, który przyniósł wiadomość dla Papastamosa.

Gruby i spocony mężczyzna o krzywych nogach i pokryty licznymi bliznami, przyjechał na ulicę pod ich tarasem na małym motorowerze, który niemal całkowicie przysłonił wielkimi plecami.

— Hej, Papastamos — krzyknął policjant, machając grubą ręką. — Hej! Manolis!

— Chodź na górę — odkrzyknął Manolis. — Napij się piwa dla ochłody.

— Za chwilę nie będzie ci tak chłodno, inspektorze — zawołał tamten, wchodząc do tawerny i gramoląc się na górę.

— O co chodzi?

— W szpitalu — tamten odzyskał oddech i w świszczącej greczyźnie zaczął opowiadać — w kostnicy zbieraliśmy zeznania na temat tych zaginionych zwłok. — Zerknął na towarzyszy Manolisa i na grecką modłę wzruszył przepraszająco ramionami. — To znaczy, na temat okoliczności towarzyszących sprawie tego zmarłego Anglika. Zbieraliśmy zeznania od każdego, tak jak poleciłeś. Była tam dziewczyna, recepcjonistka, która miała służbę tej nocy, kiedy uratowałeś mu życie. Zeznała, że ktoś odwiedził go wówczas wczesnym rankiem. Opisała go, i to właśnie uznałem za interesujące.

Wyciągnął z kieszeni koszuli zmięty, poplamiony potem formularz przesłuchania i podał go pod stołem. Manolis szybko przetłumaczył, co tamten powiedział i przeczytał zeznanie. Następnie przeczytał drugi raz bardziej szczegółowo i jego czoło zmarszczyło się.

— Posłuchajcie tego — powiedział. — Musiało być około — czytał na głos — szóstej trzydzieści rano, kiedy wszedł ten mężczyzna. Powiedział, że jest kapitanem i że jeden z członków jego załogi zaginął. Słyszał, że ktoś został wyłowiony z morza i pomyślał, że to może jego człowiek. Zaprowadziłem go do pokoju pana Layarda, który spał po zażyciu środków uspokajających. Zobaczywszy go, Kapitan powiedział: „Ach nie, to nie mój. Niepotrzebnie zawracałem pani głowę”. Odwróciłam się więc do wyjścia, ale on nie poszedł za mną.

Kiedy popatrzyłam do tyłu, on dotykał ręką guza na głowie pacjenta. Powiedział: „Biedny człowiek. Jaka brzydka rana. Mimo wszystko, cieszę się, że to nie mój”.

Powiedziałam, że nie wolno mu dotykać pacjenta i pokazałam drogę do wyjścia. To było dziwne: chociaż powiedział, że przykro mu z powodu Layarda, przez cały czas się uśmiechał w sposób bardzo szczególny. . .

Harry, słuchając, wyprostowywał się na krześle.

— A opis? — zapytał.

Manolis odczytał opis i zamyślił się.

— Kapitan, bardzo wysoki, szczupły, dziwny, noszący ciemne okulary nawet o brzasku. Zdaje się. . . zdaje się, że go znam — powiedział niepewnie.

Gruby policjant przytaknął.

— Też tak myślę — odezwał się. — Kiedy obserwowaliśmy spelunkę Dakarisa, widzieliśmy, jak stamtąd wychodził.

— Ha! — Manolis walnął pięścią w stół. — Dakarisa? To jest o splunięciu od miejsca, gdzie znaleźliśmy tę biedną kurewkę! Przepraszam, Sandro — dodał.

— Kim on jest? — zapytał Harry.

— Ech? — Popatrzył na niego Manolis — Kim? Zrobię nawet więcej i pokażę ci, gdzie. On jest tam. — Wyciągnął rękę.

Luksusowy biały motorowiec przecinał wody przystani. Odległość nie była na tyle duża, aby ostry wzrok Harry'ego nie mógł odczytać nazwy.

— „Lazarus”! — sapnął. — A nazwisko właściciela?

— Prawie takie samo — odparł Manolis. — Jianni Lazarides.

— Jianni? — Twarz Keogha raptownie ściągnęła się, pokryła zmarszczkami, poszarzała.

— Johnny! — Manolis wzruszył ramionami.

— John — powtórzył jako echo Harry.

— Janosz! — W głowie Harry'ego odezwał się głos jak wspomnienie.

Nekroskop chwycił głowę w dłonie, czując ból przeszywający jego czaszkę. Ostry, ale krótkotrwały, nie taki straszny jak atak w pełnej skali, lecz zaledwie ostrzeżenie. Ale to potwierdziło jego najgorsze podejrzenia. Gdyż imię „Janosz” mógł usłyszeć jedynie od zmarłych, może od samego Faethora, z którymi nie wolno mu było rozmawiać.

— Znam go — powiedział, skoro tylko odzyskał mowę. — I teraz jestem pewien, że słusznie czynię, jadąc do Faethora.

— Ale czemu, jeżeli już znamy naszego człowieka? — zapytał Darcy.

— Ponieważ nie znamy go jeszcze wystarczająco dobrze — odpowiedział Harry, korzystając z tego, że ból szybko odchodził. — I ponieważ to Faethor go spłodził, więc wie lepiej niż ktokolwiek inny, jak należy z nim postępować.

— Nic się nie zmienia — powiedział Harry podczas jazdy na lotnisko samochodem dostarczonym przez Manolisa. — Wszystko zostaje. Jadę do Ploesti sprawdzić, czy uda mi się czegoś dowiedzieć od Faethora. Spędzę tam całą noc, nawet śpiąc w tamtejszych ruinach, jeżeli będzie trzeba. To jest jedyny pewny sposób, jaki mogę wymyślić, aby się z nim skontaktować. Sandra wraca wieczorem do domu. Definitywnie! Teraz, kiedy ten „Lazarides” — Janosz Ferency — sprawuje kontrolę nad Kenem Layardem, może zlokalizować każdego, kogo tylko chce. Każdy, kto jest związany ze mną znajduje się w niebezpieczeństwie, szczególnie tutaj, na terytorium wampira... — przerwał i spojrzał w okno. — Darcy, zostaniesz z Manolisem, dowiesz się wszystkiego, czego można o Lazaridesie, jego załodze i „Lazarusie”. Cofnij się do samego początku, do momentu, kiedy po raz pierwszy pojawili się na scenie. Manolis może być tu bardzo pomocny. Ponieważ Janosz sam wybrał grecką tożsamość, nie powinno władzom greckim sprawić większych kłopotów ustalenie jego pochodzenia i wszystkiego, co się z tym wiąże.

— Ach — powiedział Manolis, patrząc na twarz Harry'ego w lusterku — jeszcze jedno. On ma podwójne obywatelstwo. Greckie i rumuńskie.

— O Boże — westchnęła Sandra. — Harry, on może poruszać się zupełnie swobodnie tam, gdzie ty możesz jechać, zachowując największą ostrożność.

Harry zacisnął usta, pomyślał o tym przez chwilę.

— No, być może — odparł — i chyba powinienem był tego oczekiwać. Ale to też niczego nie zmienia. Zanim się dowie, że tam jestem i spróbuje pojechać za mną, będę już z powrotem. Poza tym nie mam wyboru.

— Boże, jestem taki bezradny — żalił się Grek, gdy parkował samochód i wysiadali. — Głos wewnątrz mówi mi: „Aresztuj tego potwora na pokładzie jego statku!” Ale wiem przecież, że to niemożliwe. Rozumiem, że nie możemy wzbudzić jego czujności, zanim nie dowiemy się o nim wszystkiego. Poza tym Ken jest w jego rękach i...

— Oszczędź nam tego — wtrącił się Keogh, idąc w stronę stanowiska odpraw. — Nic nie możemy dla niego zrobić. — Utkwił gorejący wzrok w Manolisie. — Jedynie go zniszczyć, co byłoby aktem miłosierdzia. Ale nawet wtedy nie oczekuj, że ci podziękuje. Podziękuje? Boże, nie! Najpierw wyrwie ci serce!

— W każdym razie — włączył się Darcy — masz zupełną rację, że jeszcze nie możemy go ruszyć. Opowiadaliśmy ci o Julianie Bodescu. Był niewinnym dzieckiem w porównaniu z Lazaridesem. Tak przynajmniej uważa Harry. Ale kiedy dowiedział się, że go namierzamy... każdy z nas żył w piekielnym strachu, zanim tamten ostatecznie nie wyzionął ducha.

— To jest akademicka dyskusja. — Manolis wzruszył ramionami. — Co? Powinienem zwrócić się do naszego rządu i powiedzieć: wyślijcie nasze kanonierki, aby zatopiły okręt z wampirem! Nie, to zupełnie niemożliwe. Ale jeżeli „Lazarus” zacumuje znowu w porcie, mogę ulec pokusie powybierania jego załogi sztuka po sztuce.

— Jeżeli będziesz mógł ich odizolować, zidentyfikować bez wątpliwości jako wampiry i zbierzesz dobry zespół wspierający, który nie będzie się tego bał, wtedy tak — powiedział Harry. — Ale możesz też spowodować, że Lazaridesa zaczną świerzbić ręce i tym samym wywołasz coś, nad czym nie zdołasz zapanować.

— Nie martw się — odpowiedział Manolis. — Nie zrobię nic, zanim nie usłyszę twojego „naprzód”.

Harry’emu pozostało tylko piętnaście minut do odlotu.

— Gdybyśmy wcześniej o tym pomyśleli — powiedziała Sandra — mogłabym udać się z tobą do Aten i stamtąd do domu. Wszystko to potoczyło się tak szybko i ja... Wcale mi się nie podoba, że lecisz w ten sposób, całkiem sam, Harry.

Przytulił ją mocno i pocałował, po czym odwrócił się do Darcy’ego i Manolisa.

— Słuchajcie, wrócę na pewno, obiecuję wam to. Ale gdybym się spóźnił, kończcie beze mnie, najlepiej, jak umiecie. I życzę szczęścia.

— Uważaj na siebie, Harry — odrzekł Darcy.

Sandra znowu go objęła, po czym cofnęła się, skinął głową na pożegnanie. Odwrócił się i poszedł przez zakurzoną halę w kierunku pasa startowego.

Keogha obserwował mężczyzna ubrany w krótkie bermudy i białą koszulę bez kołnierzyka. Był to Grek, od czasu do czasu świadczący drobne usługi Rosjanom. Teraz pozostawało mu jedynie ustalić, dokąd Harry się udaje i przekazać to dalej.

Samolot dotarł do Bukaresztu o piątej czterdzieści.

Port lotniczy wraz z przyległościami roił się od uzbrojonych żołnierzy w szarzielonych bluzach, oliwkowych spodniach i podbitych buciorach. Ich obecność wydawała się zupełnie bez sensu, a oni sami błakali się bez celu.

Kiedy Harry przechodził przez odprawę celną, urzędnik stemplujący paszporty ledwie na niego spojrział. Wszystkie oczy zwrócone były w stronę trzech czy czterech członków jakiejś zagranicznej delegacji.

Złapał taksówkę, rzucił torbę podróżną na tylne siedzenie.

— Do Ploesti, proszę — powiedział.

— Słucham? Ploesti?

— Właśnie.

— Pan Anglik?

— Nie, Grek. Ale nie mówię po waszemu. „I, na Boga, mam nadzieję, że ty nie mówisz po grecku!” — pomyślał.

— Ha! Jest śmiesznie! Obydwaj mówimy po angielsku, tak?

Kierowca wyglądał niechlujnie i śmierdziało mu z ust. Wydawał się jednak przyjacielsko usposobiony.

— Tak — odparł Keogh — to rzeczywiście jest zabawne. Czy pan przyjmuje dolary? Amerykańskie? — Pokazał kilka zielonych.

— Ech? Ech? Dolary? — Oczy tamtemu zabłyśły. — Pewnie, na Boga. Biorę to. Ploesti jest, nie wiem, jakieś sześćdziesiąt kilometrów. Jest, tego, dziesięć dolarów?

— Czy to pytanie?

— Jest dziesięć dolarów? — Uśmiechnął się szeroko.

— Dobrze! — Harry podał pieniądze. — Teraz będę spał — oświadczył, wyciągnął się wygodniej, zamknął oczy. Nie miał zamiaru spać, ale tym bardziej nie miał zamiaru rozmawiać.

Rumuński krajobraz był monotony. Nawet na przełomie wiosny i lata nie widziało się tu wiele zieleni. Pełno brązu i szarości: sterty piachu i cementu, tanich pustaków i cegieł. Stanem budownictwa mogła Rumunia współzawodniczyć z nadmorskimi regionami Hiszpanii, Turcji i wysp greckich razem wziętych. Tyle że tutaj nie miało to nic wspólnego z turystyką.

Groteskowe, nieludzkie mechanizmy rolno-przemysłowej polityki Causescu: oszczędności czynione metodą stłaczania jak największej ilości ludzi pod jednym dachem. Żegnajcie autonomio wieśniacza, wiejskie życie i wy, malownicze osady.

Witajcie brzydkie, przysadziste bloki. I lejce politycznego nadzoru ściągane coraz ciałniej.

Spod półprzymkniętych powiek, Harry przyglądał się migającym za oknem obrazom.

Obie strony szosy z Bukaresztu do Ploesti przypominały prawdziwie powojenny krajobraz. Grupy buldożerów w huk, wypluwając trującą, niebieskawą mgiełkę spalin, wymazywały małe osady wiejskie pozostawiając na ich miejscu puste, błotniste akry ziemi. Inne maszyny stały bezużyteczne, lub może zużyte, obok masywnych żelaznych koparek z czerpakami podniesionymi do góry i wystającymi w przód, jakby na straży. I tam, gdzie kiedyś były wsie, teraz pozostały tylko ziemia, gruz i spustoszenie.

— Ponad dziesięć tysięcy wsi w starej Rumunii — zagadnął kierowca, być może czując, że Harry nie śpi. — Ale stary prezydent Nicolae uważa, że to o pięć tysięcy za dużo. Co za szaleniec! Zrównałby z ziemią góry, gdyby tylko ktoś mu powiedział, jak się do tego zabrać!

Harry nie odpowiedział, przytakiwał tylko, ale jednocześnie zastanawiał się, co z siedzibą Faethora na peryferiach Ploesti? Czy ją także Causescu zrówna z ziemią? Obawiał się, że być może już to się stało.

Jeśli tak, to jak miałby ją odnaleźć? Ostatnim razem przybył tu wstęgą Möbiusa, nakierowując się na telepatyczny głos Faethora (a raczej jego nekroskopiczny głos, gdyż Harry mógł w ten sposób rozmawiać tylko ze zmarłymi, nie był bowiem, ściśle rzecz biorąc, telepatą). Faethor mówił do mego, a on szedł śladem jego głosu.

Teraz było inaczej: musiał odnaleźć to miejsce. Co zaś do jego precyzyjnej lokalizacji: wiedział tylko, że ptaki tam nie śpiewały, a drzewa, krzewy i jeżyny wzrastały bez kwiatów i rozwiały się bez owoców. Pszczoły bowiem omijały to miejsce z daleka. Samo zaś miejsce stanowiła płyta nagrobna Faethora z wyrytym epitafium:

Ta Istota była Śmiercią! Jej egzystencja  
była zaprzeczeniem  
Życia.  
Z tego powodu leży Tutaj,  
gdzie samo Życie odmawia  
Uznania go.

Taksówka minęła tablicę oznajmującą, że do Ploesti pozostało jeszcze dziesięć kilometrów, Harry otrząsnął się, ziewnął i udał, że całkiem się budzi. Popatrzył na kierowcę.

— Na peryferiach Ploesti stały kiedyś stare, bogate domy. Siedziby starej arystokracji. Czy pan wie, o co mi chodzi?

— Stare domy? — Tamten zdziwił się. — Arystokracja?

— Nastąpiła wojna i zostały zbombardowane — ciągnął Harry. — Zamienione w kupę gruzów. Władze nigdy nie ruszały tego miejsca, pozostawiły go jako rodzaj pomnika przeszłości, przynajmniej do teraz.

— Ach! Już wiem lub wiedziałem. Ale to nie przy tej drodze, nie. Przy starej drodze na zakręcie. Proszę mi szybko powiedzieć — czy tam właśnie chce pan jechać?

— Tak. Pewien mój znajomy mieszkał tam.

— Mieszkał?

— Ciągłe mieszka, o ile wiem — poprawił się Harry.

— Trzymać się! — zawołał szofer, odbijając kierownicą mocno w prawo. Skręcili z szosy na brukowaną kocimi łbami drogę.

— To tutaj — powiedział kierowca. — Jeszcze minuta i przejechałbym, musiał zawracać i cofać się. Stare domy, stara arystokracja, tak. Wiem. Ale pan przybył tu w samą porę. Jeszcze rok, i już byłoby po tym. Po pańskim przyjacielu też. Oni po prostu rozwalają te stare mury, a jeśli kto tam jeszcze mieszka, będzie musiał się wynieść albo jego też rozwalują. Buldożery niebawem tu będą, tylko czekać i patrzeć...

Przejechali prawie kilometr. Harry wiedział, że jest na miejscu. Pokrycia starych domostw wyrastały z prawej i lewej. Rozpadały się, chociaż z kilku kominów unosił się dym.

— Może mnie pan tu wysadzić — powiedział pasażer.

Wysiadł z samochodu.

— A co z autobusami? — zapytał jeszcze. — Gdybym został u przyjaciela na noc, w jaki sposób będę mógł wrócić do miasta jutro rano?

— Trzeba się cofnąć do głównej drogi, na Bukareszt — brzmiała odpowiedź. — Przejść na prawą stronę i iść dalej. Przystanki autobusowe są co kilometr. Nie można ich przegapić. Tylko proszę nie wychylać się z dolarami. Proszę, tu ma pan trochę drobnych. Banie, grecki przyjacielu. Banie i leje — inaczej ludzie będą zastanawiać się, co jest grane.

Pomachał ręką i odjechał w chmurze pyłu.

Harry posłuchał swego instynktu. Niebawem miało okazać się, że wysiadł w odległości kilometra od celu. Czas i droga nie dłużyły mu się, bo czuł, że posuwa się w dobrym kierunku. Śladów ludzkiego bytowania nie było wiele: dymy z odległych kominów i kilku starych wieśniaków, którzy minęli go, zmierzając w przeciwną stronę. Wyglądali na wyniszczonych do cna. Przed sobą pchali wózek wyładowany szczątkami mebli i rzeczami osobistymi.

Przypomniał sobie o kanapkach z salami i niemieckim piwie schowanym w torbie. Zboczył z drogi ku bramie starego cmentarza. To miejsce ostatecznego postoju nie przerażało go, przeciwnie, czuł się tam jak w domu.



Harry szedł wzdłuż rzędów pozapadanych, pozbawionych opieki, pokrytych porostami płyt, aż dotarł do tylnego muru, daleko od drogi. Wspiął się nań, tam gdzie wypadłe z niego kamienie utworzyły rodzaj schodów i ulokował się wygodnie. Światło prześwitywało ukośnie przez liście drzew, dając mu do zrozumienia, że za godzinę słońce już się schowa. Przedtem chciał znaleźć siedzibę Faethora. Ale nie martwił się. Czuł, że musi być blisko.

Spożywając kanapki i pociągając słodkawe piwo, ogarniał wzrokiem morze pochyłych płyt. Dawniej mieszkańcy tego miasta nie daliby mu chwili spokoju. Znalazłby się tu pomiędzy przyjaciółmi, przepychającymi się, by mu powiedzieć, co myśleli przez te wszystkie lata. I nie miałyby znaczenia, że są Rumunami, gdyż mowa zmarłych — jak jej bliźniacza siostra, telepatia — jest uniwersalna, nieograniczona.

Teraz nie wolno mu było się z nim kontaktować. Postanowił jednak znaleźć sposób, by porozmawiać z Faethorem.

Skoro tylko to imię przebiegło mu przez myśl, chmura przestoniła słońce i cmentarz okrył cień. Harry zadrzał i po raz pierwszy odwrócił się i spojrzął za siebie na okolice cmentarza. Rozciągały się tam puste pola, poprzecinane kępami jeżyn, wiejskimi drożynkami i ścieżkami. Miejscami teren był pagórkowaty i naznaczony ruinami. Bliżej głównej drogi ziemia nasiąkała wodą. Znać, że buldożery wykonały już tam swoją pracę, zakłócając naturalny bieg podziemnych strumieni.

Harry ogarniał ten teren okiem pamięci, nakładając na siebie to, co widział teraz, i to, co widział niegdyś. Dwa obrazy zlały się w jeden. Wiedział, że taksówkarz miał rację: jeszcze rok, a może tylko miesiąc, i byłoby za późno. Pomyślał, że jeden z tych rozpadających się stosów gruzów był na pewno siedziskiem Faethora i być może wkrótce buldożery zrównają go z ziemią na zawsze.

Znowu zadrzał, zeskoczył z muru na drugą stronę i ruszył szlakiem ruin. A kiedy wieczór przeszedł w zmierzch, dotarł do miejsca, którego szukał. Ptaki trzymały się na odległość, śpiewając swe dźwięczne wieczorne pieśni w drzewach i krzakach o setki metrów stamtąd. Nie bzyczały tu pszczoły, a pomiędzy listowiem nie prześwitywały kwiaty. Nawet tak powszechne pająki trzymały się z dala od ostatniego na świecie miejsca należącego do Faethora. To wydawało się być szczególnie ważną przestrożą, a jednak Harry musiał ją zignorować.

Miejsce nie było dokładnie takie, jakim je pamiętał. Zakłócenie naturalnego obiegu wody sprawiło, że ziemię poprzecinały żyłki nieruchomych strumyków, a każde najmniejsze zagłębienie zamieniało się w kałużę. Typowe mokradła, normalnie roiłoby się tutaj od komarów, ale teraz... Przynajmniej nie musiał się martwić, że podczas snu zostanie pokąsany.

Wyjął z torby śpiwór i przygotował sobie poślanie na trawiastym wzgórku pomiędzy niskimi, pokrytymi bluszczem ścianami. Kiedy się położył, okazało się, że nie jest tak całkowicie sam. Przynajmniej małe rumuńskie nietoperze nie obawiały się tego miejsca. Poderwały się bezgłośnie i uleciały, by polować gdzie

indziej. Być może na swój sposób składały hołd temu prastaremu, diabelskiemu Stworowi, który tutaj spoczywał.

Harry wypalił papierosa. Cisnął niedopałkiem, który jak mały meteoryt przeciął mrok i z sykiem dokonał żywota w kałuży. W końcu zaciągnął zamek śpiwora. Ułożył się najwygodniej, jak mógł, i przygotował się na spotkanie z tym, co tylko jego sny mogły wyczarować...

— Harry? — Potworny, gulgoczący głos zjawił się od razu, wkraczając do jego śpiącego umysłu bez żadnych wstępów. — Wygląda więc na to, że przybyłeś. — Głos rozlegał się z tak bliska i tak wibrował, jakby to mówił ktoś żyjący.

Harry jednak nie wyczuł w nim żadnej satysfakcji. W swoim śnie, jakkolwiek usilnie by nie próbował, nie mógł sobie przypomnieć, co tu właściwie robi.

Znał upiorny głos Faethora wystarczająco dobrze. Nie wiedział, dlaczego wampir zdecydował się go szukać. Milczał więc, gdyż pamiętał, że nie wolno mu rozmawiać ze zmarłymi.

— Co, znowu to samo? — Faethor niecierpliwił się. — Słuchaj, Harry: to nie ja ciebie szukałem, ale dokładnie odwrotnie. To właśnie ty odwiedzasz mnie tu, w Rumunii. Jeżeli zaś chodzi o to, że nie możesz ze mną rozmawiać — czy, generalnie, ze zmarłymi — to jest to cel twojego przyjazdu. Może za moją sprawą odstanie się to, co się stało?

— Ale... jeżeli do ciebie przemówię — Harry przerwał i czekał na powalający atak bólu, który nie nastąpił — przyjdzie ten ból i...

— A przyszedł? Nie, ponieważ śpisz i śniesz. Na jawie nie możesz ze mną rozmawiać. Ale nie jesteś na jawie. Teraz powiedz, błagam, możemy kontynuować?

Harry przypomniał sobie, że kiedy spał, mowa zmarłych nie mogła mu zaszkodzić.

— Przyszedłem... by dowiedzieć się wszystkiego o Janoszu Ferenczym!

— Zaiste — odparł Faethor — to jeden z powodów, dla których tutaj jesteś. Ale nie jedyny. Zanim jednak rozważymy je wszystkie, najpierw mi odpowiedz: czy przybyłeś tu ze swej własnej nieprzymuszonej woli?

— Jestem tutaj z konieczności — powiedział Harry — ponieważ w moim świecie znowu pojawiły się wampiry.

— Ale czy przybyłeś tu jako wolny człowiek, tak jak sam tego chciałeś? Czy też zostałeś zmuszony siłą, zwabiony albo zniewolony, wbrew twoim naturalnym pragnieniom?

Keogh był już całkiem „przebudzony” i bardziej świadomy wampirzych podstępów. Co więcej, w sztuce słownych gier dorównywał Stworowi spoczywającemu w ziemi i wiedział, że były one tylko formą werbalnego manewrowania.

— Zmuszony? — powiedział. — Nie, nikt mnie tu nie pchał. Zniewolony? Przeciwnie, moi przyjaciele chcieli mnie zatrzymać! Ale zwabiony? Tylko przez ciebie, Stary Diable, tylko przez ciebie.

— Przeze mnie? — Faethor udawał niewiniątko. — Jak to? Ty masz problem, a ja znam odpowiedź? Ktoś dostał się do twego umysłu, chwycił twoje zwoje mózgowe i zaplątał na nich węzły. Ja, być może, potrafię je rozwiązać, jeśli będę czuł ku temu skłonność. Której mogę nie czuć, tak długo, jak mnożysz przeszkody i czynisz oskarżenia! Odpowiedz więc mi prędko: jak ciebie zwabiłem? W jaki sposób?

— Tak jak ja to rozumiem, słowo „zwabić” ma kilka znaczeń. Przymilać się lub przekonywać pochlebstwem. Bałamucić, łudzić obietnicami. Uwodzić, aby osiągnąć własną korzyść. Takie są znaczenia tego słowa. Ale kiedy wampir nęci... wtedy przedmiot tego przedsięwzięcia jest daleko mniej jasny. A konsekwencje nader często poważne.

Harry wyczuwał wściekłość Faethora oraz zdumienie, że zwykła istota ludzka ośmiela się próbować iść z nim w zawody w jednej z jego własnych dyscyplin. Wyczuwał również u wampira wzruszenie ramion znamionujące obojętność i może nawet nieodwołalność decyzji.

— No dobrze — odezwał się Faethor — to mówi wszystko! Nie wierzysz mi. Trudno, twoja podróż poszła na darmo, obudź się i odejdz stąd! Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, ale myliłem się. A wobec tego... cóż mnie obchodzi, że w twoim świecie pojawiły się wampiry? Do diabła z twoim światem i z tobą, Keogh!

Harry nie zamierzał dać się tak łatwo zwieść. Jego rolą było teraz uderzyć w tony błagalne przed publicznością, którą stanowił Faethor. Stwór nie wzywałby go tutaj tylko po to, by natychmiast odprawić tak lekko. Była to po prostu taktyka wampirów, nic więcej. Sztuczka dla zyskania przewagi. Ale bywają sny niezwykle jasne i realne jak samo życie, i ten właśnie do nich należał. A w jego ramach riposty Harry'ego nabrały ostrości brzytwy.

— Przedyskutujmy to bez ogródek, Faethorze — powiedział nagle. — Olśniło mnie, że spotykając się z sobą od czasu do czasu, nigdy jednak nie spotkaliśmy się twarzą w twarz. A czuję pewność, że gdybym tyko mógł spojrzeć w twoje poważne, uczciwe oczy, od razu czułbym się w twojej obecności swobodniej i nie musiałbym się tak pilnować!

— Och? — powiedział tamten jakby zdziwiony. — Ciągle jeszcze tu jesteś? Mógłbym przysiąc, że nasza rozmowa się skończyła. A może mnie nie zrozumiałeś? Więc pozwól, że wyrażę się jasno: wynoś się!

Teraz z kolei Harry wzruszył ramionami.

— Bardzo dobrze. Niewielka strata. Spójrzmy prawdzie w oczy, nigdy nie mogłem polegać na tym, co mówiłeś.

— Co? — Faethor wpadł we wściekłość. — A ile razy towarzyszyłem ci? I jak często pomagałem ci wtedy, kiedy mogłem... Powinienem być pozwolić ci upaść.

— Rozmawialiśmy już o tym wcześniej — odrzekł Keogh z niezmaconym spokojem. — Czy musimy odgrywać to znowu? Jeśli moja pamięć mnie nie za-

wodzi, zgodziliśmy się poprzednim razem, że nasze wcześniejsze związki dawały nam „wzajemną” korzyść. Żaden z nas nie zyskał więcej niż drugi. Zejdź więc z tego wysokiego konia i powiedz szczerze, dlaczego tak nalegasz na ten złowieszczy rytuał, że powinienem przyjść do ciebie z własnej wolnej woli? A jeżeli przyznam to, jakie wówczas przyjmuję zobowiązania, co?

— Ach! — westchnął Faethor po chwili. — Gdybyś to tylko mógł być ty, Harry, zamiast tego wściekło-krwistego Tibora albo podstępnego, zdradzieckiego gbura — Janosza! Gdybym tylko dobierał mych synów bardziej starannie, co? Do licha, tacy jak ty i ja mogliby rządzić światem razem! Lecz... za późno, gdyż Tibor otrzymał moje jajo, a Janosz był krwią z krwi mojej. A teraz nie pozostało mi już ni iskry, ni nasienia, by uformować następnego.

— Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że ci pozostało, Faethorze. — Harry na samą myśl zadrzał. — Wierz mi, że nie byłoby mnie tutaj!

— Ale jesteś tutaj, i bardzo cię proszę, przestrzegaj protokołu, tego prastarego rytuału, o którym mówisz tak nieprzyjaźnie i podejrzliwie.

— Więc teraz ty mnie prosisz — odparł Harry — a ja ciągle zadaję sobie pytanie, jaki masz w tym interes?

— O tym także już rozmawialiśmy! — krzyknął Faethor. — No, ale skoro muszę się powtarzać: ten płód z mojej krwi, to dziecko mojej człowieczej strony, Janosz, znowu spaceruje po ludzkim świecie, i ja nie mogę tego znieść! Kiedy Tibor ze wszystkich sił pragnął wstać i pójść, kto pomógł ci go powstrzymać, co? A zrobiłem to, gdyż brzydziłem się tego psa! A teraz przyszła kolej na Janosza. Pytasz, jaki mam w tym interes? No więc, kiedy go zniszczysz, pamiętaj, aby mu powiedzieć, że jego ojciec ci pomógł, i jeszcze teraz śmieje się w swym grobie. To mnie zupełnie zadowoli.

— Co? — Harry mówił powoli i bardzo ostrożnie. — Ale to oczywiście byłoby kłamstwo, gdyż ani cząstka ciebie nie leży w żadnym grobie. Spłonąłeś w ogniu, który zniszczył twój dom, czyż nie?

— Przecież wiesz, że tak! — wykrzyknął tamten. — Ale ciągle jestem tutaj, poprzez swój głos, gdyż jak inaczej mógłbym z tobą rozmawiać? To mój duch, moja dusza, echo głosu, który dawno zanikł, oto, co słyszysz. To twój talent, twoja zdolność do rozmawiania ze zmarłymi, powinna być wystarczającym dowodem mojego ostatecznego zgaśnięcia.

Harry milczał przez chwilę. Wiedział, że to był cios za cios, coś za coś, i że niczego nie otrzyma, jeżeli wpierv czegoś nie da.

Faethor zdecydowanie chciał i mocno nalegał, by ta wymiana odbyła się według jego reguł. I było jasne, że w końcu wampir to osiągnie, gdyż bez niego przypadek Keogha stawał się beznadziejny.

— Aha! Teraz rozumiem! — wybuchnął wreszcie tamten. — Boisz się mnie, Harry! Mnie, dawno zgasłej istoty, spalonej i stopionej w pogorzeliisku! Ale cze-

mu teraz? Co się zmieniło? Nie jesteśmy sobie obcy. Nie pierwszy raz przecież występujemy razem we wspólnej sprawie.

— Nie — odparł Harry — ale to jest na pewno pierwszy raz, kiedy dzieję z tobą postanie. Byłem już tutaj przedtem, tak, ale wtedy nie spałem. A w innych przypadkach rozmawiałem z tobą z wielkiej odległości, posługując się mową zmarłych i nie mogłeś mi zagrozić. A jeśli czegokolwiek nauczyłem się na temat wampirów, Faethorze, to właśnie tego, że im wydają się bardziej bezbronne, tym bardziej są niebezpieczne.

— Ta dyskusja prowadzi donikąd, nie możemy się porozumieć — powiedział wampir, nieomal w rozpacz.

Keogh wiedział, że Faethor nie ustąpi ani trochę. Oznaczało to, że pozostał tylko jeden sposób przełamania impasu.

— Dobrze — powiedział — jeden z nas musi zacząć. Może jestem głupcem, ale... tak, przyszedłem tutaj z własnej nieprzymuszonej woli.

— Świetnie! — Wampir od razu chrząknął i Harry nieomal fizycznie czuł, jak tamten cmoka z zadowoleniem. — Mądra i konstruktywna decyzja. I dlaczego nie? Jeżeli ja mam szanować twoje obyczaje, to dlaczego ty nie miałbyś szanować moich, co?

Uwielbiały wygrywać, te stworzenia, nawet w takich małych sprawach, jak walka na słowa. Być może zresztą ostatecznie wyszło to na dobre, jako że teraz Faethor mógł popchnąć sprawę naprzód.

— Teraz więc możemy występować na równych prawach. Pragnąłeś rozmawiać ze mną twarzą w twarz? Niech tak będzie.

Dotychczas sen Harry'ego był pusty, szary i jednostajny. Miejsce bez materii, jedynie wymiana myśli. Teraz szarość zawirowała i raptem przemieniła się w pokrytą grubą pierzyną mgły równinę, oświetloną wąziutkim sierpem księżyca. Harry siedział na zniszczonym murze, a stopy opatuląły mu kłęby pary.

Faethor pojawił się na kupie gruzu. Ciemna postać w sukniach pochównych z kapturem, który rzucał cień na twarz. Tylko oczy płonęły w tej czarnej plamie i wyglądały jak małe szkarłatne lampki.

— Czy to bardziej ci odpowiada, Keogh?

— Znam to miejsce — odparł Harry.

— Oczywiście, że znasz, bo to jest to samo miejsce.

— Widzę, że buldożery już wykonały swoją robotę. — Harry rozejrzał się dokoła. — To twoje terytorium jest, zdaje się, jedynym, które pozostało!

— Tak, ale tylko na chwilę — powiedział Faethor. — Ruiny otoczone błotami wkrótce mają zamienić się w kompleks przemysłowy. I nawet gdyby jakieś uszy mogły mnie usłyszeć, kto zechce wówczas słuchać? Przez całą tę kakofonię dźwięków i chaos mechanizmów? Jak nisko upadły moce, Harry, że zostałem sprowadzony do tego? I może teraz rozumiesz, dlaczego Tibor musiał cierpieć i dlaczego w końcu został zniszczony. Dlaczego Janosza musi spotkać to samo.

Mogli mieć wszystko, a zamiast tego wybrali walkę ze mną. I ja miałbym nawiedzać to miejsce. Nie kochany i nie pamiętany, podczas gdy jeden z nich znowu powrócił do życia i może stać się potęgą? A nawet Potęgą? Nie, nie spocznę, dopóki nie będę miał pewności, że Janosz jest tak znikomy, a nawet jeszcze mniejszy niż ja, który jestem niczym.

— I ja mam być twoim narzędziem?

— A czy nie tego pragniesz? Czy nasze cele nie zbiegają się?

— Tak — zgodził się Harry. — Z tym, że ja chcę tego dla bezpieczeństwa świata, a ty dla zaspokojenia samolubnej niechęci. Oni byli twoimi synami, Tibor i Janosz. Cokolwiek w nich jest, co wzbudza twą nienawiść, przyjęli to od ciebie. Dziwny to ojciec, co morduje własnych synów dlatego, że są zanadto do niego podobni.

Faethor spojrział na niego ponuro, a jego głos stał się znacząco uszczypliwy.

— Czyżby, Harry, czyżby? I ty jesteś ekspertem, prawda? Ach, oczywiście! Na pewno rozumiesz te problemy. Słyszałem, że masz syna, też... .

Keogh nic nie mówił, nie znajdował odpowiedzi. Być może zniszczyłby swego syna, gdyby mógł, a przynajmniej zmieniłby go. Ale czy nie próbował także zmienić Lady Karen?

Faethor źle zrozumiał jego milczenie: jak znak, że posunął się za daleko. Szybko więc zmienił temat.

— Ale tutaj okoliczności są inne. A poza tym ty jesteś człowiekiem, a ja — wampirem. Nie mamy z sobą nic wspólnego, poza wspólnym celem. Skończmy więc z krytyką, oskarżeniami i tym podobnymi bzdurami, jako że mamy przed sobą dużo pracy.

Harry z zadowoleniem przyjął tę propozycję.

— Fakty są proste — powiedział. — Obydwaj chcemy pozbyć się Janosza, na zawsze. Żaden z nas nie może tego zrobić sam. Dla ciebie to całkiem niemożliwe. Podobnie dla mnie, ponieważ nie władam mową zmarłych. Mówisz, że możesz mi ją przywrócić. Że skoro wampir mnie jej pozbawił, to tylko wampir może mi ją oddać. W porządku, wierzę ci. Ale, co to za sobą pociąga?

Faethor westchnął. Odwrócił żarzące się na czerwono oczy i popatrzył na pokrytą mgłą równinę.

— Przechodzimy do tej części, w której twój opór będzie szczególnie gwałtowny. Wiem to, ale nie da się tego uniknąć.

— Powiedz — rzekł krótko Harry.

— Kłopot znajduje się w twojej głowie. Stworzenie inne niż ty sam, odwiedziło labirynty twojego umysłu i dokonało tam pewnych zmian. Powiedzmy, że w twoim domu poprzestawiano meble. Teraz musi tam wejść ktoś inny i znów doprowadzić to miejsce do porządku.

— Chcesz, żebym ciebie wpuścił do własnej głowy?

— Musisz mnie tam zaprosić — odparł Faethor — ja muszę przyjść tam z własnej nieprzymuszonej woli.

Keogh przywołał na myśl wszystko, co wiedział o wampirach.

— Kiedy Tibor dostał się do umysłu Dragosaniego — powiedział — starał się kierować nim po swojemu. Wkraczał w sprawy Dragosaniego. Kiedy dotknął żywego embriona, który miał się stać Julianem Bodescu, to wystarczyło, by odmienić to dziecko całkowicie i zamienić je w potwora. I znów, Tibor był w umyśle Juliana, zdolny porozumiewać się z nim i prowadzić go nawet na wielkie odległości. W tej chwili, mój przyjaciel na wyspie Rodos ma w swojej głowie wampira twojego syna, Janosza, a przynajmniej jest pod jego kontrolą. Ten przyjaciel przeżywa piekło grozy i męki. I ty chcesz, bym wpuścił cię do mojego umysłu?

— Mówiłem, że się będziesz przed tym wzbraniał.

— Kiedy raz się na to zgodzę, skąd mogę mieć pewność, że to się nie powtórzy, kiedy nie będę tego chciał?

— Muszę ci przypomnieć, że odległość usuwała Dragosaniego z zasięgu niebezpieczeństwa. Nawet gdyby to, co mówisz, było możliwe, to czy zamierzasz pozostać w Rumunii na zawsze? Nie, masz bowiem swoją własną drogę do przejścia, która usuwa cię spod mojego wpływu. I muszę ci dalej przypomnieć: Tibor był niemartwym potworem w ziemi. Rzeczywisty, dotykalny, nietknięty, we wszystkich częściach. Ja natomiast jestem jedynie zjawą, kimś, kto umarł i odszedł na zawsze. Tak, duch: pusty, niematerialny i bez żadnych skutków w każdym przypadku.

— Chyba, że dla nekroskopa.

— Chyba, że dla ciebie. — Cień Faethora przytaknął. — Człowieka, który rozmawia i przyjaźni się ze zmarłymi. Tak w każdym razie było.

— Jak się więc do tego zabierzemy? — zapytał Harry. — Nie jestem telepatą z umysłem jak otwarta książka.

— W pewnym sensie jesteś — powiedział Faethor. — Czy to nie rodzaj telepatii: umieć rozmawiać ze zmarłymi? A kiedy byłeś bezcielesny, czy nie porozumiewałeś się z żywymi?

— To było dziwne — zgodził się Harry. — Używałem mowy zmarłych w przeciwnym kierunku. Będąc bezcielesnym, nie posiadałem głosu, więc nie mogłem rozmawiać z żywymi — z tymi, którzy mieli ciało — tylko w taki sam sposób, jak rozmawiałem ze zmarłymi!

Faethor znowu skinął głową.

— W twoim umyśle jest więcej, niż przypuszczasz, Harry! I mówię, że mogę tam wejść, jak Tibor wszedł do Dragosaniego! Ale bez komplikacji.

Keogh czuł rozochoconie Faethora. Nie miał jednak odwrotu.

— Co muszę zrobić? — zapytał.

— Nic. Odpręż się po prostu. Zaśnij snem bez snów. A ja odwiedzę twój umysł — odrzekł wampir.

Harry poczuł czar Faethora, jego hipnotyzm oddziałujący nań i oparł się mu.  
— Poczekaj! Jeszcze trzy sprawy. A jeśli twoje sztuczki powiodą się, to może i czwarta, później.

— Nazwij je.

— Po pierwsze, naprawisz niegodziwość uczynioną na moim umyśle i przywrócisz mi mowę zmarłych, jak uzgodniono. Po drugie, wyposażysz mnie w rodzaj obrony przeciw telepatii Janosza, gdyż widziałem, co on potrafi wyrabiać z umysłami takimi jak moje. Po trzecie, sprawdzisz, czy jest jakiś sposób, abym mógł odzyskać dostęp do kontinuum Möbiusa. To jest ostateczna broń przeciw Janoszowi i ona przechyliłaby szalę zwycięstwa na moją stronę.

— A czwarta rzecz? — zapytał Faethor.

— Kiedy, jeżeli odzyskam swoją mowę zmarłych, będę mógł odnaleźć ciebie. I wtedy, mam nadzieję, że po raz ostatni, będę mógł cię prosić o pomoc. Chodzi o uwolnienie umysłu mojego przyjaciela, Trevora Jordana, który teraz znajduje się we władaniu Janosza.

— Jeśli chodzi o to ostatnie, jeżeli będzie możliwe, zostanie zrobione we właściwym czasie. Ale, niestety, dostęp do tej maszyny teleportacji? Zobaczmy, co się da zrobić. Ale mam tu wątpliwości. To nie jest moja domena. Nic o tym nie wiem. Jak mogę rozwiązać zagadkę w języku, którego nie znam? Język matematyki jest mi obcy. Natomiast mowa zmarłych jest czymś, co mogę doprowadzić do porządku, ponieważ ją rozumiem. Nawet umarli od setek lat, moi Cyganie, odpowiedzieli na moje wezwanie i powstali z grobów! Wreszcie, prosisz o jakąś ochronę przed sztuką Janosza, przed szpiegowaniem umysłów. No, to nie jest łatwa rzecz. Nie jest to żaden prezent, którym mógłbym cię obdarować. Ale później powiem ci, jak zwalczać ogień przy pomocy ognia. Może ci to pomóc... jeżeli wytrzymasz żar, jaki wtedy powstaje.

— Faethorze — Keogh już właściwie pogodził się z losem — zastanawiam się, czy podziękuję ci za to, kiedy już będzie po wszystkim? Czy będzie kiedyś koniec tym podziękowaniom? A może przeklnę cię na wieczność. Czy będzie kiedyś koniec tym klątwom? Mimo wszystko, może snujesz po prostu intrygę, aby mnie zniszczyć, jak zawsze niszczyłeś wszystko, czego się dotykałeś? A jednak... zdaje się, że nie mam wyboru.

— To nie jest całkiem prawda, Harry — odparł Faethor. — Niszczyłem? Tak, robiłem to, ale powołałem także kilka istot do życia. Nie jest też tak, że nie masz wyboru. Naprawdę, wydaje mi się, że to jest najprostsza rzecz. Zaufaj mi, jako twemu doświadczonemu i szczeremu sprzymierzeńcowi, albo odejdz stąd i czekaj, aż Janosz cię odnajdzie. A kiedy ten czas nadejdzie, stań naprzeciw niego jak dziecko, nagie i niewinne wobec wszystkich jego sposobów i podstępów.

— Dosyć już rozmawialiśmy — wtrącił się Harry. — I obydwaj wiemy, że pozostało mi tylko jedno wyjście. Nie traćmy więcej czasu.



— Śpij — powiedział Faethor swoi mentalnym głosem, mrocznym i głębokim jak bezdenna kałuża krwi. — Śpij snem bez snów, Harry. Pozostaw wszystkie wrota twojego umysłu otwarte dla mnie. Śpij i wpuść mnie do środka. Ach, ale nawet jeśli szczerze tego pragniesz, to i tak napotkam tam drzwi zamknięte, dla mnie i dla ciebie! To są te, które muszę otworzyć. Za nimi znajdują się twoje talenty, które twój syn przed tobą ukrył. Śpij, Harry. Obydwaj zostaliśmy zdradzeni, ty i ja, przez krew z krwi naszej, kość z naszej kości. To przynajmniej bardzo nas łączy. Będiesz... mocą... znowu... Haaarry Keeoooghu!

Zawierowania mgły tworzyły się wokół nóg Faethora, który wstał i, zdawało się, popłynął tam, gdzie Harry opadł na zwałonym murze. Od dawna nieżywy wampir wyciągnął rękę w kierunku twarzy Keogha... Biały szkielet dłoni wystawał z wystrzępionego rękawa jak wiązka cienkich patyczków. Kościste palce dotknęły bladego czoła Harry'ego i stopiły się z jego czaszką.

W oczodołach Faethora żarzyły się szkarłatne ogniki i teraz ich światło zostało przeniesione pod opuszczone powieki śpiącego, jak czerwone świece za matowe szkło. Wampir znalazł się w przytomności najbardziej sekretnych spraw nekroskopa: jego myśli, wspomnień, namiętności.

— Zbudź się! — rozkazał Faethor.

Harry wyszedł ze snu. Poruszył nieco głową w kapturze śpiwora. Coś w pobliżu wydało miękki, pękający odgłos. W słabym świetle brzasku zobaczył okrąg czarnych purchawek, które wyrosły obok niego przez noc. Gniły już, otwierały się z cichym mlaśnięciem na najmniejszy ruch, uwalniając przy tym chmury zarodników drażniące powonienie.

Przez chwilę jeszcze sen pozostawał w jego umyśle, ale już rozwiewał się. Walczył, by go zatrzymać... ale na próżno. Wiedział, że rozmawiał z duchem Faethora Ferenczego. Nic więcej. Nie czuł się inaczej niż w chwili, gdy kładł się spać.

— Och? — odezwał się Faethor. — Czy jesteś tego pewien, Harry Keoghu?

— Jezus. — Harry przeraził się. — Kto...? — Rozejrzał się dookoła, ale nikogo nie dostrzegł.

— Czy myślałeś, że mógłbym cię zawieść?

— Mowa umarłych! — wyszeptał nekroskop.

— Została ci zwrócona. Patrz, jak Faethor Ferenczy dotrzymuje słowa.

Harry rozpiął śpiwór i wstał, pogrążając się w rozproszonej mgle. Następnie przysiadł znowu. Nie czuł bólu w głowie, nikt nie rozlewał kwasu na jego mózg. Wydawało się, że talent został mu przywrócony w całości. Pozostało jedynie go wypróbować.

— Faethorze? — powiedział, ciągle skurczony w środku i oczekujący uderzenia. — Czy to było... trudne?

— Wystarczająco trudne. — W głosie wampira dało się słyszeć zmęczenie. — Całą noc mozoliłem się, by oczyścić twój dom z tego utrapienia, Harry. A teraz możesz sam ocenić skalę mego sukcesu.

Keogh z sercem podchodzącym do gardła próbował wyczarować drzwi Möbiusa... na próżno. Równania — rozwijające się, przekształcające, zwielokrotniające w onieśmielającym tempie na komputerowych ekranach jego umysłu — pozostawały mu zupełnie obce. Nie rozumiał żadnego z nich z osobna, a co dopiero jako całościowe pojęcie.

— No cóż, jestem ci wdzięczny. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Ale nie we wszystkim powiodło ci się równie dobrze.

Odpowiedź Faethora, z nałożonym na nią, a dającym się wyraźnie odczuć, wzruszeniem ramion, brzmiała na w pół przepraszająco:

— Ostrzegałem cię, że może tak być. Och, znalazłem okolicę tego problemu, możesz być pewny, i nawet udało mi się otworzyć kilka drzwi. A za nimi...

— Tak?

— Nie było nic! Ani czasu, ani przestrzeni, zupełnie nic. Bardzo przerażające miejsca i dziwi mnie, że one istnieją właśnie w twoim umyśle, w twoim całkowicie ludzkim umyśle! Czułem, że jeden krok, przekroczenie progu, a zostałem wciągnięty i zgubiony na zawsze poza granicami wszechświata. Nie trzeba dodawać, że nie zrobiłem tego kroku. A poza tym, skoro tylko otworzyłem te drzwi, natychmiast się zatrzęsły. Za co nie byłem im niewdzięczny.

Harry pokiwał głową.

— Zaglądałeś do kontinuum Möbiusa — powiedział. — Skoro skończyłem tutaj, teraz muszę jego odszukać. Mam na myśli Möbiusa. Tak jak ty jesteś mistrzem w swojej dziedzinie, tak on jest prawdziwym autorytetem w swojej. Dotychczas szukanie go było bezcelowe, gdyż bez mowy zmarłych i tak nie mógłbym z nim nawiązać kontaktu.

— Zrobisz to teraz, z miejsca. — Faethor był zafascynowany. — Interesuje się geniuszami. Wszyscy prawdziwi geniusze są spokrewnieni, Harry. Bo jakkolwiek odległe od siebie są ich talenty, w jakichkolwiek dziedzinach pracują, to obsesja pozostaje ta sama. Oni dążą do wyeliminowania niedoskonałości. Gdy Möbius osiągnął granice czystych liczb, ja sam poszukiwałem najczystszych zła. Stoimy po przeciwnych stronach wielkiej zatoki, a jednak jesteśmy pewnego rodzaju braćmi. Tak, i byłoby fascynujące spotkać go.

— Nie! — Harry automatycznie potrząsnął głową i wiedział, że Faethor to wyczuł. — Nie będę go szukał teraz. W końcu tak, ale nie teraz. Muszę przekonać się, że moja mowa zmarłych jest tak dobra, jak niegdyś, wtedy może.

— Jak chcesz. A teraz? Idziesz poszukać Janosza?

Harry zwinął śpiwór i wepchnął go do torby.

— To też, w końcu — odpowiedział. — Ale najpierw muszę wrócić do przyjaciół na Rodos i zobaczyć, jak im idzie. A jeszcze przedtem, musisz mi wyjaśnić

pewne rzeczy. Chcę wiedzieć wszystko o Janoszu, im lepiej zna się swoich nie-przyjaciół, tym łatwiej ich pokonać. Chcę też wiedzieć, jak się przed nim bronić.

— Oczywiście — odpowiedział Faethor. — Bezwzględnie! Zapomniałem, że mamy jeszcze przed sobą pracę. Ale, zobacz tylko, jaki entuzjazm wzbudziło we mnie to, że powracasz na swoje szlaki. Ach, ale idę za szybko! I z całą pewnością masz rację: musisz mieć każdy możliwy oręż do dyspozycji, jeżeli chcesz go pokonać. Co zaś do tego, jak się przed nim obronić, to nie jest to łatwe. Te rzeczy są w wampirach wrodzone, ale trudne do nauczenia. Tutaj nawet najczystszy instynkt nie wystarcza, gdyż to trzeba mieć we krwi. Gdybyśmy mieli dla siebie cały tydzień. . .

— Nie! — Harry znowu pokręcił głową. — To niemożliwe. Czy nie możesz tego rozłożyć na najprostsze czynniki? Jeżeli nie jestem za głupi, może bym coś pojął.

— Mogę tylko spróbować — brzmiała odpowiedź.

Harry zapalił papierosa, usiadł na wypchanej torbie.

— Dalej — ponaglił.

Faethor znowu wzruszył ramionami.

— Janosz jest bez wątpienia najznakomitszym telepatą — zaczął — a to znaczy: zwodzicielem, magiem, hipnotyzerem, jakiego kiedykolwiek znałem. Dlatego najpierw spróbuje inwazji na twój umysł. Jak wspomniałem i co się rozumie samo przez się, twój umysł jest wspaniale wyposażony, Harry. Oczywiście. Przecież jesteś nekroskopem! Ale, gdy ty zaprawiałeś się tylko w dobrze, Janosz, jak i ja w swoim czasie, uczył się tylko złego. A ponieważ ty wiesz, że on jest zły, więc boisz się go i tego, co może ci zrobić. Rozumiesz?

— Oczywiście. Nic z tego nie jest dla mnie nowe.

— U każdego, kto jest mniej zaznajomiony z drogami wampirów, lęk, który Janosz wywołuje, czysta zgroza, jest tak wielki, że paraliżuje ofiarę. Ale ty jesteś ekspertem na swoich własnych prawach. Czy znasz powiedzenie, że najlepszą formą obrony jest atak?

— Tak, słyszałem je.

— Podejrzewam, że w tym przypadku powinno się sprawdzić.

— Powiniennem go zaatakować? Swoim umysłem?

— Zamiast cofać się, kiedy czujesz, że jest w pobliżu, sam go poszukaj! Wkrocz do twojego umysłu? Wkrocz do jego! Będzie oczekiwał, że się go przestraszysz. Bądź zuchwały! Śmieję się z tych gróźb i sam uderz! Ale nade wszystko, nie pozwól, by jego zło osłabiło cię. Kiedy rozewrze nad tobą swoje wielkie szczęki, idź wprost w nie, gdyż on jest słabszy w środku.

— Czy to wszystko?

— Jeżeli mówiłbym więcej, obawiam się, że mogłoby ci się pomieszać. I kto wie? Może więcej dowiesz się o Janoszu z jego historii, niż z moich usiłowań. Co więcej, jestem zmęczony długą, nocną pracą. Pytaj mnie o to, co było, proszę

bardzo, ale nie o to, co ma dopiero nastąpić. To prawda, byłem uważnym obserwatorem dziejów, ale, jak moje obecne położenie dowodzi, stanowczo zbyt często się myliłem.

Harry myślał nad tym, czego się dowiedział od Faethora. Nad jego „radą”, jak się zachować w wypadku mentalnego ataku Janosza. Ktoś mógłby uznać działanie zgodne z takimi instrukcjami za akt samobójczy. Nekroskop nie był tego taki pewien. Zresztą, nie chciał specjalnie nad tym deliberować. Było oczywiste, że niczego więcej się nie dowie.

Światło dnia wyraźnie rozmiękczyło entuzjazm wampira. Harry wstał, przeciągnął się i rozejrzał dookoła.

Mgła zrzędła zupełnie. Posępne domostwa stały w oddali za żywoplotem. Z innej strony sylwetki koparek i buldożerów zastygły jak dinozaury na szarym horyzoncie. Jeszcze godzina i zaryczą destrukcyjnym życiem, jakby słońce miało natchnąć ich przeguby do pełnego zgrzytów ruchu.

Harry popatrzył na ziemię dookoła, na to miejsce, gdzie Faethor umarł tej nocy, gdy Ladislaw Giresci uciął mu głowę pośród ruin wstrząsanego wybuchami bomb, płonącego domu. Widział rozkładające się już purchawki, ich zarodniki na glebie i pośród trawy, niczym czerwone plamy. Oczyma duszy zobaczył też Faethora, szkielet w stroju pochównym, w jakim pojawił się we śnie.

— Czy jesteś gotowy opowiedzieć mi historię Janosza? — zapytał Harry, wydawało się, nikogo.

— To nie będzie wysiłek, ale przyjemność — odpowiedział tamten od razu. — Przyjemnością było spłodzić go i wielce wyszukaną rozkosz dało mi zepchnięcie go znowu w niebyt!

Ale najpierw... Czy pamiętasz historię Tibora w jego wczesnych dniach? Jak pozbawił mnie zamku? I jak ja, zraniony najboleśniej, uciekłem w kierunku zachodnim? Pozwól więc, że ci przypomnę.

A było to tak...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### Syn

Tibor z Wołoszy, ten przeklęty niewdzięcznik, któremu dałem swe jajo, imię i sztandar i któremu zapisałem w spadku zamek, ziemię, a także władzę nad wampirami, zranił mnie poważnie.

Płonący, zrzucony z murów mojego własnego zamku, doświadczyłem najwyższej męki. Miriady nietoperzy łopotały skrzydłami, gdy leciałem w dół. Zostały popalone i zginęły. Ja natomiast przeleciałem przez drzewa, krzaki i ogarnięty płomieniami jak pochodnia stoczyłem się z boczem gardzieli, aż na samo dno. Ale mój upadek został osłabiony przez listowie i ostatecznie spocząłem w płytkiej kałuży, która uratowała moje bliskie stopienia się wampirze ciało.

Znalazłem się tak blisko prawdziwej śmierci, jak tylko wampir dojść może i pozostać niemartwy, wydałem z siebie rozpaczliwy krzyk do wiernych Cyganów, którzy rozłożyli się obozem w dolinie. Przybyli, wyciągnęli moje ciało ze zbawiennej wody i opatrzyli. Ponieśli mnie przez góry na zachód, na Węgry. Chroniony od wstrząsów, osłaniany przed parzącymi promieniami słońca, dotarłem w końcu do miejsca wypoczynku. Tak, i to był długi wypoczynek: czas przymusowej emerytury, podreperowania zdrowia, uformowania na nowo zmaltretowanego ciała; zaprawdę, długi, długi wypoczynek! Tibor poharatał mnie strasznie! Miałem połamane wszystkie kości, plecy, kark, czaszkę i kończyny, pierś wgniecioną, serce i płuca na wierzchu, skórę zdartą przez głązy i ostre gałęzie. Popaloną ogniem... nawet wampir we mnie był poparzony, obity i posiniaczony.

Cały ten długi okres rekonwalescencji spędziłem w niedostępnym górskim ustroniu, cały czas pod opieką moich Cyganów, ich synów i ich słodkich, pierśiastych córek także. Powoli mój wampir wykurował się. Aż nadszedł właściwy czas, by opuścić me gniazdo i poczynić plany co do dalszego życia.

Świat, w którym się znalazłem okazał się straszny, wszędzie wojny, wielkie cierpienia, głód i zarazy, ale czułem się tam wyśmienicie, gdyż byłem wampirem. Na granicy z Wołoszczyzną odkryłem ruiny domostwa i ze zwałonych głązów zbudowałem sobie mały zamek. Przyprowadziłem Cyganów, Węgrów i Wołochów, osiedliłem ich i płaciłem dobre pieniądze, tak że szybko zostałem za-

akceptowany jako posiadacz ziemski i władca. W ten sposób stworzyłem małe imperium na tamtym terenie.

Co zaś do Wołoszy, w zasadzie unikałem wyprawiania się tam, gdyż był tam już jeden, którego siła i okrucieństwo odbijały się głośnie echem: zaciężny wojewoda o imieniu Tibor, który walczył dla książąt wołoskich. Nie życzyłem sobie spotkania z nim, gdyż prawdopodobnie nie byłbym w stanie się opanować, co mogłoby mieć fatalne skutki, jako że wyrósł na potęgę nieporównanie większą niż ja. Nie, moja zemsta musiała czekać... czymże w końcu jest czas dla wampira, co? Zacząłem popadać w marazm, zżerała mnie nuda. Stałem się niespokojny, spętany, przytłoczony. Taki byłem, pożądlivy, silny, o niejasnej władzy i bez żadnej możliwości ukierunkowania mojej energii. Zbliżał się dzień, by iść dalej...

I wtedy, w roku 1178, nastąpił zwrot. Od kilku już lat słyszałem opowieści o kobiecie, która była prawdziwą obserwatorką czasu, co znaczy, że miała władzę przepowiadania przyszłości. Wreszcie moja ciekawość sięgnęła szczytu i postanowiłem spotkać się z nią. Nie należała do grupy moich Cyganów, więc musiałem czekać, aż wyprawi się w górskie rejony znajdujące się pod moją kontrolą. Chcąc skierować jej wędrówki na właściwe szlaki, wysłałem posłańców, którzy mieli opisać, z jaką gościnnością spotka się ona i jej grupa w moich posiadłościach. Przyjęci zostaną z najwyższym szacunkiem i dobrze opłaceni za wszelkie usługi, jakie zechcą mi wyświadczyć. A kiedy czekałem na przybycie tej domniemanej wyroczni, postanowiłem wypróbować niewielki talent jaki posiadałem, i wyczytać z przyszłości jakieś nikłe ślady moich własnych dróg.

Zmieszałem i spaliłem tajemne zioła, po czym wdychając ich wyziewy zapadłem w sen i starałem się wysledzić, co zdarzy się między mną a tą oszukańczą wiedźmą, Marileną. Takie było jej imię.

Miałem słuszne powody, by interesować się utalentowanymi ludźmi i odnajdywać ich, skoro tylko nadarzała się sposobność. Mój syn Tibor przebywał nieopodal już od kilku ludzkich pokoleń i mógł przyczynić się do powstania wszelkiego rodzaju anomalii. Poszukiwałem więc wszelkich odstępstw od normy i pochlebiałem sobie, że odkryłem niemało szarlatanów. Ale gdybym napotkał prawdziwy talent, a w jego żyłach pulsowałaby krew wampira, wówczas ktoś taki byłby zgubiony! Dla stworzenia takiego jak ja, krew to życie, ale najśłodszym nektarem jest ten sączony na ołtarzu niemartwego wampirzego ciała.

Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy onejromancja w końcu przyniosła efekty i śniłem o mrocznym aniele miast o wiedźmie, której się spodziewałem. Widziałem ją w snach: śliczne dziecko, niewinne, jak myślałem, lecz jak bardzo się myliłem... Przyszła do mnie naga, cudownie kobieca, bez skazy. Miała ciemne oczy i ciemne, lśniące włosy. Wargi czerwone jak wiśnie.

Dwa wieki minęły od czasu, gdy Tibor zniszczył mój zamek, zgwałcił moje wampirze kobiety i posłał je do piachu. Ostatnimi laty smakowałem miękkih ciał Cyganki, spuszczając się w takie cygańskie odaliski, na jakie miałem ochotę. Nie

było w tym nic z „miłości”, to słowo można było stosować do innych, nigdy nie do mnie. Ale teraz...? Była we mnie też ludzka strona i od czasu do czasu ona brała górę w moich snach.

Patrzyłem na tę słodką, zmysłową Księżniczkę Podróżniczego Ludu oczami zamglonymi ludzką słabością. Drzenie w moich łądźwiach nie było wściekłą pożądlivością wampira. I, co za wstyd, moje sny były wilgotne, a ja leżałem w pościeli rozanielony jak chłopak głaszczący piersi swej pierwszej dziewczyny!

Niestety nie wiedziałem, czy jest to prawdziwe i wiarygodne przewidywanie przyszłości, czy jedynie sen? Z tego powodu, aby upewnić się co do efektów moich poszukiwań, noc za nocą zastawała mnie palącego zioła i układającego się do wybiegających w przyszłość marzeń. Były zawsze takie same, tyle tylko, że im lepiej się poznawaliśmy, Marilena i ja, tym więcej rozkoszy sprawiała nam gra miłosna, a ja stawałem się co raz bardziej zakochany; aż wreszcie zrozumiałem, że zamiast ulotnego snu muszę mieć prawdziwą kobietę, inaczej zwariuję. I właśnie wtedy przyszła do mnie.

Należała do szczepu Grigora Zirry, zwanego „królem” Zirra. W istocie Marilena była córką Grigora. Miałem więc rację, nazywając ją „księżniczką” Podróżniczego Ludu.

Nadeszli zimową porą, pod koniec stycznia. Jak sięgam pamięcią, nie przypominam sobie równie wściekłego mrozu. Moi Cyganie ustawili wozy w ciasnych skupiskach blisko moich murów, otoczyli je wielkimi blokami śniegu pokrytego połyskliwą powierzchnią lodu, rozbili namioty i trzymali w nich zwierzęta, dla ciepła bijącego z ich ciał. Oni wcześniej wiedzieli, że zima będzie ciężka, to mądry ludzie! Pracowali długo i ciężko, magazynując w jaskiniach karmę dla zwierząt. Ale ludziom i ich zwierzętom trudno byłoby przetrzymać tę zimę bez opieki bojara. Drzwi mojego zamku stały dla nich otworem, a sienie dobrze opałałem. Mój grog i cierpkie czerwone wino, dawałem na każdą ich prośbę, jak i ziarno do pieczenia chleba. Nie kosztowało mnie to nic. Te rzeczy tak czy inaczej należały do Cyganów, gdyż w porach urodzajów oddawali je mi, a ja ich przecież nie potrzebowałem.

Pewnego przedpołudnia przyszedł do mnie jakiś człowiek. Polował w górach, w moich górach. Nie odmawiałem Cyganom tego przywileju, z trzech dzików czy bekasów, jakie ustrzelili, jedna sztuka należała do mnie, i tak dalej. Ów niezajomy powiedział mi o szczepie Zirra, że zostali w pobliżu pochyceni przez lawinę, która porwała ich wozy! Tylko garstka przeżyła rozproszona po zwałowisku. Wiedziałem, że to prawda. Ostatniej nocy znowu zagłębiłem się w swoje ziołowe sny, ale tym razem pozbawione uciech cielesnych, a zamiast tego wypełnione rozpaczliwymi krzykami umierających. Ponieważ w moim śnie nie było Marileny, zastanawiałem się... czy jest jedną z nich?

Wezwałem więc przywódcę moich ludzi.

— Nie opodal śnieg pochwyił dziewczynę. Ten człowiek wie, gdzie ona jest. Idź odnaleźć ten szczep i przyprowadź tutaj — rozkazałem. — I pośpiesz się, bo jeśli się spóźnisz i ona umrze, uznam, iż moja gościnność jest trwoniona na takich jak ty. Czy to jasne?

Po południu mój przywódca i jego ludzie wrócili. Zameldował, że ze wszystkich, których było około pięćdziesięciu, odnalazł przy życiu tylko samego Grigora Zirre i z tuzin jego ludzi.

— Każ swoim kobietom opatrzeć ich i nakarmić, daj im wszystko, czego potrzebują — zarządziłem. — Na niczym nie oszczędzaj. Mają się tu czuć swobodnie. Rozumiem, że stracili wszystko. Pozostali bez zapasowych ubrań, wozów, przykryć? Bardzo dobrze, zakwateruj ich na zamku. Znajdź im ciepłe, osobne pokoje.

— Twoi ludzie mogą źle to przyjąć, panie — odpowiedział tamten — że traktujesz tych obcych tak dobrze. Musimy ustępować tym, którzy nie są ci winni posłuszeństwa.

— Jesteś szczerzy i lubię cię za to — odparłem. — Będę więc też szczerzy. Słyszałem o tej kobiecie, Marilenie Zirra, iż jest przyjemna. Jeżeli to się okaże prawdą, niewykluczone, że zapragnę jej. Wy, Cyganie, nie jesteście jedynymi, którzy czują w nocy zimno! Dlatego traktuj jej ludzi z szacunkiem, szczególnie ojca i rodzinę, jeżeli ktoś przeżył. Nie chciałbym, aby mnie uznali za zimnego i okrutnego człowieka.

— Co? Ciebie, panie? — dodał bez śladu emocji w głosie. — Zimny? Okrutny? Któż mógłby w to uwierzyć?

— Czy próbujesz się ze inną spoufalić? Powiem ci uczciwie, nie sądzę, byś zasmakował w takiej poufałości. Dlatego, jeśli mówisz do mnie pewne rzeczy, i w taki sposób, byłoby lepiej, abys się uśmiechnął. — Wbiłem w niego wzrok, obniżyłem głos tak, że poczuł się nieswojo.

— Panie — szepnął drżąc — ja nie chciałem. . .

— Sza! — uspokoiłem go. — Jesteś bezpieczny, jestem w dobrym nastroju. Teraz słuchaj dobrze. Kiedy ludzie Zirry będą mieli się lepiej, wrócisz tu i zaprowadzisz mnie do ich pomieszczeń. A teraz idź.

Poszedłem do nich, lecz nie byłem zadowolony. Zrozumiałem, że trzeba wiele czasu, by ludzie Zirry wykurowali się po tak ciężkich przejściach. Na razie siedzieli w swoich łachmanach i trzęśli się, odpowiadając zdawkowo na nasze pytania. Jedna brudna kupka łachów lgnąca do ognia wyglądała identycznie jak druga. Rozzłościł mnie ten widok. Czułem, że zawiodłem się na mojej onejromancji. Nienawidziłem porażek.

— Który z was jest Grigorem Zirrą? — zapytałem wreszcie po długiej chwili milczenia.

Wstał mężczyzna niepokazny, blady. Na jego twarzy malowało się cierpienie po stracie wielu ludzi ze szczepu. Nie był stary, ale nie wyglądał też młodo.



— Jestem Ferency — przedstawiłem się. — To mój zamek. Dookoła są moi ludzie, Cyganie, jak i wy. Mogę dać wam schronienie. Słyszałem, że między wami jest obserwator czasu. Chciałbym go poznać. Gdzie więc jest ta wiedźma czy czarownik?

— Twoja gościnność jest równie wielka, jak twoja legenda — odpowiedział. — Niestety, pogrążony w głębokim smutku nie mogę w pełni wyrazić swojej wdzięczności. Coś dzisiaj we mnie umarło. Moja żona została zmieciona w przepaść. Teraz mam tylko córkę, dziecko, czytające przyszłość z gwiazd, z dłoni ludzkiej i z własnych snów. To nie wiedźma panie, ale prawdziwy obserwator czasu, moja Marilena.

— A gdzie ona jest?

Popatrzył na mnie ze strachem w oczach. Jednocześnie poczułem delikatne szarpnięcie za rękaw i aż wzdrygnąłem się na myśl, że ktoś ośmielił się mnie dotknąć. Nawet nikt z moich ludzi nie tknął mnie palcem od czasu, gdy wstałem z łoża boleści! Wtedy zobaczyłem, iż jedna z tych kupek łąchów stoi obok mnie. Spoglądała wielkimi, ciemnymi oczami, a jej usta w kolorze wiśni, jasne jak krew, nieznacznie drżały. Na moim ramieniu spoczywała jej drobna rączka, z trzema jedynie palcami, tak jak to widziałem w moich snach!

— Ja jestem Marilena, panie — odezwała się. — Wybacz, proszę mojemu ojcu, gdyż kocha mnie i boi się o mnie. Zdarzają się na tych ziemiach ludzie nieufni wobec tajemnic, ponieważ nie potrafią ich ogarnąć. Są też nieprzyjaźni kobietom, które zwą „wiedźmami”.

Moje serce załomotało! Nie mogła być nikim innym! Znałem ten głos! Przejrzałem na wskroś jej łąchmany i ujrzałem księżniczkę z moich snów.

— Ja... cię znam — wyznałem słabym głosem.

— I ja ciebie, panie. Widziałam cię w mojej przyszłości. Często. Nie jesteś więc mi obcy!

Nie znajdowałem słów. A jeśli znajdowałem, to nie potrafiłem ich wypowiedzieć. Ale... wszak byłem Ferencym! Czy wypadało tańczyć, śmiać się, pochwyć ją i wirować dookoła komnaty? Miałem na to wielką ochotę, ale nie chciałem zdradzać się ze swoimi uczuciami. Stałem tak jak rażony piorunem, oniemiały niczym ostatni głupiec.

— Jeżeli chcesz, abym czytała ci przyszłość, panie, musisz mnie stąd zabrać. Za dużo tu smutku, by się skoncentrować. I jeszcze ciągły ruch, nerwy i niepokój. Och i mnóstwo małych rzeczy, które przeszkadzałyby mi się zagłębić w przyszłość. Odosobnione miejsce...

— Zaiste, to prawda! Chodź ze mną — przerwałem Marilenie.

— Panie! — Zatrzymał nas jej ojciec. — Ona jest niewinna! — szepnął błagalnie.

W mojej głowie od razu zrodziła się odpowiedź: „Kłamliwy cygański pies! Co? Ona wylizała całe moje ciało do czysta! Strzelałem moim nasieniem w jej

gardło co noc przez cały miesiąc, znęcony jej języczkiem i drobnymi, trójpalczastymi rączkami! Niewinna? Jeżeli ona jest niewinna, to kim ja jestem!” Tak, ale jakże bym mógł to powiedzieć? Przecież tak naprawdę dotychczas tylko śniłem o romansie z Marilena.

— Ojczy! — zganiła go, zanim mogłem zrobić coś więcej niż przeszyć go wzrokiem. — Widziałam moją przyszłość, ojczy, i nie wyczytałam tam żadnej krzywdy. Nie z rąk Ferenczego.

— Przebacz mi, panie — rzekł Zirra, spuszczać głowę. — Zamiast mówić jak człowiek, który tak wiele ci zawdzięcza, mówiłem jedynie jak ojciec. Moja córka ma dopiero siedemnaście lat, a my znaleźliśmy się pomiędzy obcymi. Zirrowie już dosyć dzisiaj stracili. Ach! Ach! Nic nie miałem na myśli! To ta rozpacz. Moja dusza jest pogrążona w bólu. Nic nie miałem na myśli. To ta rozpacz! — szlochając opadł.

— Nie lękaj się. — Pochyliłem się i położyłem mu rękę na głowie. — Ten, kto skrzywdzi ciebie lub kogoś z twoich ludzi w domu Ferenczego, będzie miał ze mną do czynienia.

Zdawało mi się, że uspokoiłem go tymi słowami, więc poprowadziłem Marilena na moje pokoje. . . Tam zaś nareszcie zostaliśmy sami. Zrzuciłem z niej płaszcz futrzany i stanęła przede mną w stroju wieśniaczym. Teraz bardziej przypominała księżniczkę, którą widziałem w snach. Moje oczy płonęły żądzą na jej widok. A ona była tego świadoma.

— Jak to możliwe — powiedziała w zadumie. — Naprawdę cię znam. Moje sny nigdy nie były równie przekonujące!

— Masz rację — odrzekłem — Nie jesteśmy sobie. . . obcy. Śniliśmy te same sny.

— Masz wielkie blizny — stwierdziła — tutaj, na ramieniu, i po tej stronie. I nawet ja, Ferenczy, zadrżałem, gdy mnie dotknęła.

— A ty — odrzekłem — masz malutki czerwony pieprzyk, jak kropla krwi, na środku pleców.

Obok ognia, huczącego w wielkim kominie, znajdowała się kamienna wanna. Nad ogniem kołysał się kocioł wypełniony gorącą wodą. Podeszła tam i odkręciła kurek. Woda pociekła do wanny.

— Jestem brudna po podróży — wyszeptowała zalotnie. Rozebrała się i wykapałem ją, a ona wykapała mnie.

— Jak to się ma do prywatnego przepowiadania przyszłości? — zachichotałem. Ale kiedy otworzyła się i już miałem w nią wejść, zawahała się.

— Ach — gwałtownie zaczerpnęła powietrza. — Nasze wspólne sny nie powiedziały nic o moim braku doświadczenia. Mój ojciec mówił prawdę, panie. Przyszłość nadchodzi szybko, ale jeszcze ciągle jestem dziewicą.

— Ach — odpowiedziałem jęknięciem na jęknięcie, delikatnie torując sobie drogę do przodu. — Czy nie byliśmy takimi wszyscy, dawno temu?

Mój wampir wprost szalał we mnie, ale powstrzymałem go i kochałem ją jak zwykły człowiek. W innym wypadku ten pierwszy raz byłby jednocześnie ostatnim...

Pozwól teraz, że wyłożę wszystko otwarcie. Tyleż dla czezej ciekawości, co i z innych powodów, odszukałem w moich onejroidalnych snach Marilene, zakochałem się w niej i uwiodłem ją. Lub może obydwójce siebie nawzajem uwiedliśmy. Zapewne dziwisz się, jak ona, niewinne dziecko, mogła mnie uwieść. I zaraz odpowiem: ponieważ sny są bezpieczne! Cokolwiek by się zdarzało w snach, nic się nie zmienia po przebudzeniu. Mogła folgować wszystkim swoim seksualnym fantazjom, bez zbierania plonów tych marzeń. Ja, Faethor Ferency, nauczyłem się śnić na długo przedtem, zanim zostałem wampirem. Zaprawdę, kiedy byłem tylko człowiekiem! Rzeczy, które nachodziły mnie w młodości, od czasu do czasu powracały w moich snach: stare lęki, emocje i namiętności. Jestem pewien, iż moje przesłanie nie zagubiło się. Wszyscy wiemy, że długo po tym, jak jakieś wydarzenie rozmyło się i straciło jakąkolwiek wagę, możemy przywołać je i odświeżyć w snach. Często przypominałem sobie moment konwersacji, kiedy otrzymałem jajo mojego ojca i uczyniono mnie wampirem. Tak, i takie sny ciągle jeszcze mnie przerażały! Ale w świetle poranka strach szybko przemijał, ulatywał w szarą mgłę czasu, do której zresztą należał, i nie byłem już młodzieńcem, lecz na powrót Ferenczym.

Spotkanie ze snami Marileny znaczyło więcej niż zwykły przypadek. Poszukiwałem jej, a kiedy wreszcie odnalazłem, marzyłem, jak każdy mężczyzna, by poznać ją cielesnie. Miałem moce wampirów, a ona uchodziła za przepowiadaczkę. To były talenty pokrewne telepatii i naprawdę dzieliliśmy nasze wizje i tą drogą poznaliśmy nasze ciała. Wszystkie nasze nieśmiałe pieszczoty, a później przebogate akty miłosne, odbywały się w innym świecie — ducha, wyobraźni. Kiedy więc połączyliśmy się, było to jak spotkanie zażyłych kochanków. Marilena nie wiedziała, że prowadziłem ją w tych snach za pomocą wampirzego magnetyzmu, omamów i tych wszystkich sztuk, od tak dawna praktykowanych przeze mnie. Myślała, że jesteśmy normalnymi kochankami. Ale nie byłem tak głupi, by wszystko powiedzieć i ryzykować odarcie jej ze złudzeń. Mogła ci również przyjść na myśl wątpliwość, jak ona, wspaniała, młoda dziewczyna, krągła i jędrna, znajdowała jakąkolwiek świadomą rozkosz z taką poszarpaną bliznami, prastarą bestią, jak ja, kimś dzikim, okrutnym i przerażającym? Ale wtedy bez wątpienia przywołałbyś całą swoją wiedzę na temat siły wampirzego hipnotyzmu i uznał, że znalazłeś rozwiązanie zagadki. Powiedziałabyś: „Była zabawką w jego rękach”. Wyjaśniam, że nie byłem wcale tak groteskowy, jak mógłbyś sobie wyobrazić. Za sprawą niewielkiego doprawdy wysiłku mogłem wyglądać tak staro lub tak młodo, jak tylko miałem na to ochotę. Dla Marileny stałem się młodym, nie więcej niż czterdziestoletnim mężczyzną. Ciało pokryte bliznami zachowałem ze zwykłej próżności. Sprawiało mi przyjemność nosić ślady dawnych bitew. Licz-

ne okaleczenia przypominały mi również o tym, który się do większości z nich przyczynił, podsycił nienawiść. Mogłem pozwolić mojemu wampirowi naprawić całkowicie te zniekształcenia, ale nie zrobiłem tego ze względu na Tibora.

Musisz mi wybaczyć, że tak długo opowiadałem o Marilenie, ale... sprawiło mi to przyjemność. Z kim bowiem innym miałbym się jeszcze podzielić wspomnieniami? Nikt, poza nekroskopem, ich nigdy nie pozna... Domyślasz się z pewnością, że Janosz narodził się z tego związku. Był synem z mojej krwi, zrodzonym z miłości, z pożądania owej kobiety. Owoc pełnego żaru połączenia, mój „naturalny” syn. Nie wiedziałem, czy to jest w ogóle możliwe, ale postanowiłem począć życie niepodatne na wpływy wampira. Robiłem to dla Marileny, aby mogła stać się normalną matką. Gdyby się nie udało i mój syn wyrósłby na wampira, wówczas nauczyłbym go wszystkich tajemnych sztuk. Wyruszyłbym w świat, a on zostałby i bronił przed wrogami mojego zamku i moich gór. Pamiętasz, że uprzednio miałem równie wielkie oczekiwania co do tego niewdzięcznika, Tibora z Wołoszczyzny. No cóż, taka jest, jak sądzę, natura wszystkich wielkich ludzi, iż ciągle próbują od nowa. Janosz, kiedy się urodził, wydawał się normalny. Był z nieprawego łoża, co wprawiło Grigora Zirre w zakłopotanie, ale dla mnie nie miało najmniejszego znaczenia. Posiadał trzy palce, jak przed nim Grigor i Marilena. To taki kaprys natury, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Po jakimś czasie stało się jasne, że poniosłem porażkę. Moja sperma, którą z takim wysiłkiem starałem się ochronić od karmazynowego wpływu, jednak została skażona, choć nieznacznie. Janosz nie był prawdziwym wampirem, ale w jego żyłach płynęła wampirza krew. Odziedziczył moją zdolność do występuku, lecz niewiele miał w sobie sprytu i ostrożności. Jednak ja byłem jego ojcem i na mnie spadał obowiązek przedstawienia mu natury rzeczy. I pokazałem mu, a gdy należało użyć siły, by powstrzymać syna w jego wędrówkach lub nakierować na właściwy kurs, nie cofałem się także i przed tym. Jednak... pomimo to wyrósł na osobnika przewrotnego, dumnego, upartego i bez potrzeby okrutnego. Jego jedyną dobrą stroną, w której pozostał wierny moim naukom, był sposób, w jaki sprawował władzę nad Cyganami. Nie tylko szczep Zirry, ludzie jego matki, którzy znowu rośli w siłę, ale także moi Cyganie kochali go bardziej niż mnie! Raniło mnie to trochę i stałem się zazdrosny. I nie jest wykluczone, że z tego powodu byłem dla niego surowszy.

Powiem jeszcze jedną rzecz na jego korzyść: kochał swoją matkę. Jest to bardzo przydatne każdemu dziecku, ale niekonieczne, gdy już się jest mężczyzną. Rozumiesz, co mam na myśli...? W ciągu dziesięciu lat wiele wydarzyło się na świecie. Saladyn pogruchotał królestwa frankońskich krzyżowców. Złowrogi Tibor, wojewoda, za złoto marionetkowych książąt walczył na przeciwległej granicy Wołoszy. W ziemi tureckiej, za Morzem Greckim, Mongołowie przygotowywali się do bitwy. Wojny szalały na granicy węgierskiej. Wybrano kolejnego, trzeciego już, papieża. I gdzie, proszę, był Faethor Ferency w tym wielkim porządku

wszechrzeczy? Zdziecinniały, jak wielu na pewno myślało, zajmował się swoim zamkiem w górach. Uczył swego bękarta dobrych manier, podczas gdy jego niegdyś sławni Cyganie pili za dużo i wylegiwali się w łóżku do późna.

Czas płynął niepostrzeżenie dla mnie. Ale pewnego ranka zbudziłem się, rozejrzałem się dookoła. Byłem oszołomiony, zagubiony, zdumiony! Dwadzieścia lat przeszło niczym błysk pioruna i nawet tego nie zauważyłem. Uświadomiłem to sobie z całą mocą. To był rodzaj letargu, choroby, dziwnego, rzuconego na mnie uroku. Coś, co ludzie zwą „miłością”. Tak, i to odpowiednio pomniejszyło moją rangę. Nie byłem w niczym lepszy od jakiegoś nędznego bojara — właściciela kamiennego kurnika na wyniosłej skale. Udałem się do Marileny i poprosiłem, aby odczytała moją przyszłość. Miałem wziąć udział w wielkiej i krwawej wyprawie krzyżowej, powiedziała, i ona nie stanie mi na drodze. Nic z tego nie rozumiałem. Nie stanie mi na drodze? Jakże to, nie wytrzymałaby rozłąki ze mną! O jakiej wyprawie krzyżowej mówiła? Ale potrząsnęła jedynie głową. Nic więcej nie widziała ponad to, że będę walczył w jakiejś straszliwej świętej wojnie. Po tym wyznaniu jej moc wieszcza, wróżenie z dłoni, astrologia, jakby ją opuściły. Ach! Skądże miałem wiedzieć, że odczytała też swoją własną, jakże tragiczną, przyszłość. Zastanawiałem się nad krwawą wyprawą krzyżową i doszedłem do wniosku, że mój udział w niej nie jest wykluczony. Informacje rozchodziły się wtedy powoli i niektóre wcale do mnie nie docierały. Poczułem się odcięty od świata i wszystkie moje frustracje powróciły ze zdwojoną siłą. Janosz miał około dwudziestki, stał się mężczyzną, zleciłem mu więc opiekę nad domem i incognito wyruszyłem do Szeged. Zrobiłem to w samą porę. Miasto przygotowywało się do odparcia ataku frankońskich krzyżowców. Wielka flota Franków i Wenecjan zbliżała się i król rozesał posłańców do wszystkich bojarów, aby stawili się uzbrojeni, ze swoimi ludźmi. Marilena prawidłowo odczytała moją przyszłość. Zwołałem oddanych mi Cyganów.

— Przyłączcie się do mnie — powiedziałem im. — Zbieram małą armię, złożoną z najlepszych. Udamy się do Zara i jeszcze dalej! Kto był biedny, będzie bogaty. Walczcie pod moim godłem, a uczynię z was bojarów. A jeśli mnie zawiedziecie, skończę z wami, obrócić się w pył, a imiona wasze zostaną zapomniane.

Przed bojem wróciłem jeszcze do domu. Będąc przez tych kilka dni z dala od Marileny, moje instynkty wyostrzyły się, bystrość zwielokrotniła w przewidywaniu krwawej uczt. Moi poddam w górach obrośli tłuszczem, ale wiedziałem, jak ich doprowadzić do porządku. W ostatnią noc, wzbiłem się wysoko na skrzydłach, sięgnąłem w ciemność swym wampirzym zmysłem i wezwałem całą młodą krew Cyganów Ferengi, gdziekolwiek byli, by przyłączyli się do mnie w drodze do Zara. Wiedziałem, że słyszą mnie w swoich snach i przybędą tam. Strząsnąwszy z siebie dwadzieścia lat gnuśności, unosiłem się pomiędzy księżycem a górami, towarzyszyło mi wycie wilków, aż w końcu wylądowałem miękko na krążankach własnego zamku, gdzie na powrót skurczyłem się do rozmiarów człowieka.

Udałem się na poszukiwanie mojej kobiety i mojego syna. Tak, i znalazłem ich... razem!

Pozwól, iż przerwę tę opowieść, gdyż muszę ci coś wyjaśnić. Powiedziałem, że Janosz nie nosił w sobie nic z wampira. Tak rzeczywiście myślałem. Och, jakże się myliłem. On miał duszę najprawdziwszego wampira. Z mocy swoich rodziców odziedziczył także telepatię. Ileż razy przez te wszystkie lata próbowałem czytać w jego myślach, bez powodzenia? Są wprawdzie ludzie odporni, ich umysły są zamknięte, strzeżone przed takimi talentami, jak mój. Czasami, kiedy Janosz był szczególnie uparty, próbowałem go hipnotyzować. Na próżno jednak, gdyż moje oczy nie mogły wejrzeć w niego. W końcu więc zaprzestałem prób. Rzeczywistą przyczyną moich porażek było to, iż Janosz posiadał siłę tej miary, że stawałem się bezradny. Ale nie, nie było to aż tak skomplikowane, po prostu okazał się mocniejszy. Co więcej, odziedziczył również po matce zdolność odgadywania przyszłości. Potrafił widzieć przyszłość, przynajmniej kształty rozmyte i niewyraźne, jak wspomnienia, które z upływem czasu blakną. A teraz wrócę do wydarzeń tamtej nocy.

Powiedziałem, że moje instynkty wyostrzyły się bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Przemierzałem więc zamkowe korytarze przeczuwając coś niedobrego. Szedłem ostrożnie, chciałem być niewidzialny, niesłyszalny. Lecz niepotrzebne... Janosz był zbyt pochłonięty, pies! Jego matka nie zdawała sobie sprawy z tego co robi. Ale znowu wyprzedzam wydarzenia... Nie wiedziałem, że to mój syn. Przypuszczałem, że tym mężczyzną jest jakiś Cygan. Byłem zdumiony! Jeden z moich ludzi w sypialni Marileny, w środku nocy? Chciałem pokazać jak wysoko cenię jego odwagę, wpychając mu jego własne flaki do gardła. Tak myślałem, kiedy wszedłem do pokoju Marileny. Wampirze zmysły podpowiedziały mi, że nie jest sama. Musiałem użyć całej swej siły, by powstrzymać zęby, które już zaczynały przybierać kształt ostrza kosy, raniąc przy tym dziąsła. Poczułem też, jak moje paznokcie wyciągają się w chitynowe sztylety i to także była reakcja, którą ledwie kontrolowałem. Delikatnie, bezszelestnie, spróbowałem otworzyć drzwi do sypialni, lecz okazało się, że są zamknięte. Moje najgorsze podejrzenia osiągnęły szczyt, a gorąca krew zawrzała. Och, mogłem oczywiście wywalić te drzwi, ale w ten sposób ostrzegłbym ich zbyt szybko. A poza tym chciałem wszystko zobaczyć na własne oczy. Wyszedłem na balkon, uformowałem z dłoni i ramion rodzaj błoniastych talerzy niczym przysawek i przemieściłem się w stronę okna Marileny. Wewnątrz zaciągnięte były zasłony. Wspiąłem się tam i rozchyliłem je nieznacznie, tak iż powstała szczelina. Wewnątrz lampa oliwna rzucała nieco światła. Nie potrzebowałem tego zresztą, gdyż widziałem w ciemności równie dobrze, jak inni ludzie w pełnym blasku dnia. Zobaczyłem Marilenę, naga jak dziwkę, leżącą na plecach na drewnianym stole. Nogami obejmowała mężczyznę, który stał wyprostowany pomiędzy jej udami, wyprężony tak, że pośladki miał niczym zaciśnięte pięści, i wchodził w nią, jakby

wbijał klin. Wtedy, poprzez łomot mojego serca i łoskot w mózgu, przez ryk mych rozwścieczonych emocji, usłyszałem jej zdyszany głos.

— Ach, Faethorze. Wypełnij mnie całą, mój wampirzy kochanku, jak tylko ty potrafisz!

To wspomnienie rozwściecza mnie jeszcze teraz, kiedy jestem jedynie głosem zza grobu... Fakt, że wziąłem sobie kobietę na stałe nie uczynił mnie ani trochę mniej wampirem. Miewałem już przedtem kobiety, możesz być pewien. Ale nigdy przedtem żadne stworzenie nie sprawiło mi tyle zadowolenia. Tak więc, chociaż rozmyślnie nie podporządkowałem sobie Marileny ani jej nie zwampiryzowałem, pozostawałem wampirem we wszystkich swych myślach, nastrojach i działaniach. Zdecydowałem nie raczyć się jej krwią, a także, ograniczyć do absolutnego minimum ilość mojej materii cielesnej przedostającej się do jej ciała, wyłączwszy, rzecz jasna, stosunki. Szukałem pożywienia gdzie indziej. Nie musiałem jednak pić krwi, tak długo, jak kontrolowałem pragnienie wystarczała i zwyczajniejsza strawa. Chyba że stworzenie wewnątrz mnie szczególnie domagało się życiodajnego napoju wampirów. Mogłem więc przepędzać długie okresy, nie rozdzielając się z Marileną. Ale czasami wstawałem nocą, zmieniałem kształt i szybowałem nad zamkowymi murami w poszukiwaniu własnych uciech. Moja pani dawno już odgadła prawdziwą naturę swojego kochanka. Było zresztą powszechnie wiadome między Cyganami, że szczep Ferengi służy wampirzemu panu. Ona była zazdrosna o tych, z którymi od czasu do czasu biesiadowałem. Budziła się, kiedy wychodziłem z łóżka.

— Faethorze! Opuuszczasz mnie tej nocy? — szlochała. — Czy lecisz do jakiejś kochanki? Dlaczego tak źle mnie traktujesz? Czy moje ciało ci nie wystarczy? Weź je i używaj do woli, ale nie zostawiaj mnie samej i płaczącej!

— Szukam człowieka dla jego krwi! Mówisz, że jestem niewierny? Przez wszystkie pory roku, noc po nocy, leżę obok ciebie w łóżku i rozporządzasz mną wedle swoich zachcianek. Czy kiedykolwiek opuściłem się w obowiązkach? Ale krew jest życiem, Marileno... czy też chcesz, abym się rozsechł jak mumia w tych pościelach, tak że gdy pewnego ranka obudzisz się i wyciągniesz ku mnie rękę, pod dotknięciem twej dłoni rozsypię się w pył?

— Ty... idziesz... do... kobiet! Szukasz człowieka dla jego krwi? Nie, ty szukasz kobiet dla ich okrągłych pośladków, spiczastych piersi i gorącego, parującego łona. Wysznać na mumię, naprawdę! Masz w sobie siłę dziesięciu mężczyzn i ich wytrzymałość! Czy jesteś tak przepelniony męskim nasieniem, Faethorze, iż musisz roztrwonić je, bo inaczej wybuchniesz? Więc daj je mnie. Daj, wypiję je z ciebie, a twoja niestałość wyparuje.

Ilekoć więc w ten sposób mnie usidlą, kochałem się z nią, by dowieść, że żadna inna mnie nie pociąga. Tak, a ona pieściła mnie całą noc, by mieć pewność, że zostanę przy niej w łóżku. Nie trzeba dodawać, że to jedynie wzmagало moje z niej zadowolenie. Ale zdarzało się, że musiałem wstać i iść. Wtedy po-

sługiwałem się pewnym specyfikiem, który, zmieszany z winem, utrzymywał ją nieruchomą. Mogłem też głaskać ją i hipnozą wprowadzać w głęboki sen, a następnie opuszczać dom na całą noc. Oczywiście, Marilena miała rację, okłamywałem ją. Niekiedy tylko szukałem ludzi dla ich życiowej siły, ale prawdziwym przysmakiem jest krew kobiety. Kiedyś Tibor powiedział mi: „Możesz dla dziewczyny zrobić coś więcej, niż tylko ją zjeść”. Tak, i ten Wołoch miał rację. Nie chodziłem do kobiet moich Cyganów. Nawet przed Marilena odwiedzałem je tylko dla dobrego samopoczucia, a nie by zaspokoić głód. Byli moimi ludźmi i nie nadużyłbym nigdy ich zaufania. Ale znajdowałem upodobanie w damach niektórych zniewieściałych bojarów. Dookoła było wówczas pełno zamków i bogatych domów, a mężczyźni z tych siedlisk równie często przebywali w domu, jak poza nim. Na świecie prowadzono wiele wojen, jak wspomniałem wcześniej. Pamiętam, że jedna z takich moich dam była osobistością z królewskimi koneksjami, Elspą z Batorych. Tak, i zło, które jej wszczepiłem, zaznaczyło się później w całej historii tego rodu. Jedną z przedstawicielek tego rodu, o imieniu Elżbieta, została wydana za męża jako dziecko za księcia Nadazdy. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jego imię brzmiało Ferency! Wiem, co myślisz! No, a czemu nie? Kazirodztwo ciała, ducha i krwi także należy do wampirzego obyczaju. Ach, ten ród Batorych. Elżbieta, „krwawa księżna” przynajmniej jest legendą, podczas gdy ja jestem nicością. Tak więc poprzez kazirodztwo wracamy do Janosza. Na czym to ja skończyłem. . . Był więc tam, tkwił w niej po samą nasadę, postępując jak buhaj i rozpryskując pot i nasienie. W sypialni panował bałagan, porozrzucane w nieładzie części ubiorów i pościeli, wraz z innymi oznakami, jawnie dowodziły, że ich kopulacja nie ograniczała się do krótkiego zespolenia. Miała czerwone piersi od międlenia, a jej wilgotne uda rozchyłały się ochoczo. Tyle widziałem zza zasłony. Ale bodaj ważniejsze było to, co słyszałem. Słyszałem Marilena wzywającą jej własnego syna moim imieniem, Faethor! W tamtej chwili chciałem rzucić się ku nim i zabić obydwójce. Och, pragnąłem tego, możesz być pewien! Nie rozumiałem jednak, dlaczego nazwała go Faethorem? Wówczas on podniósł ją ze stołu i wtedy zobaczyłem jej twarz. Jakże była nieobecna, na przekór zwierzęcej, wydawałoby się, żądy. Jej oczy osadzone w kompletnie bladej twarzy. . . Poznałem od razu, że została otumaniona i zahipnotyzowana. Wtedy, po raz pierwszy, uświadomiłem sobie, jak bardzo Janosz jest zachłanny i do jakiego stopnia wyprowadził mnie w pole. Zrozumiałem, dlaczego moje wampirze władze na niego nie działały. Posiadał bowiem własne moce, które przez cały czas trzymał przede mną w ukryciu. Zrozumiałem też niechęć Marileny. Nie chciała mnie puszczać w te noce, kiedy musiałem się odżywić. Zrozumiałem to wszystko, co do mnie mówiła, a co wydawało się być pozbawione sensu. Miewała złe sny, kiedy nie byłem z nią, ale nigdy nie mogła zapamiętać, czego dotyczyły ani dlaczego budziła się posiniaczona, obolała, wyczerpana jak po straszliwej pracy. Tak, straszliwej. On pracował i używał jej, każąc jej wierzyć, że to ja jestem tym pożądanym kochan-



kiem! Udawał mnie, aby popełnić gwałt na własnej matce! Wpadłem do pokoju. Na ścianie wisały skrzyżowane miecze. Zerwałem je i skoczyłem ku Janoszowi. Chciałem rozciąć go przez środek, ale zobaczył mnie i skierował swą matkę w kierunku ciosu. Jej czaszka rozpadła się na dwie części, mózg pociekł, a ona opadła w jego uścisku. Moja furia na moment wyparowała ze mnie i kiedy Janosz odrzucił Marilene, pochwyciłem ją i ukołysałem w ramionach. On zaś, bełkocąc, uciekł z pokoju, pozostawiając mnie sam na sam z upiornymi zwłokami. . .

Jak długo przesiedziałem tak, tuląc tę, której już nie było, nie potrafię powiedzieć. Wiele szalonych myśli przelatywało mi przez głowę. Mogłem umieścić w niej częśćkę mojego wampira, by wzmocnił się w niej i wyleczył rany. Była martwa, ale nie musiała taką pozostać. . . mogła stać się niemartwa! Tyle tylko, że wtedy zostałaby zmieniona, już nie byłaby moją Marilena, ale jakimś nędznym sługą na każde wezwanie. . . wampirem. Nie mogłem znieść myśli, że nie mogłaby posiadać żadnej woli poza moją. Gdybym umiał otworzyć ją i dokonać aktu nekromancji, dowiedzieć się wszystkiego o hańbiących postępkach mojego bękart. Nawet jeżeli, opętana, nie pamiętała, jak z nią postępował, to jej duch wiedział wszystko. Nie potrafiłem jednak tego zrobić. Wiedziałem, że nawet zmarły cierpi strasznie pod dotykiem nekromanty, a nie chciałem sprawiać jej więcej bólu. Ach, gdybym tylko miał talent nekroskopa, co? Ale w owym czasie nie znałem nawet tego pojęcia. Siedziałem więc tak bardzo długo, aż jej krew i mózg zaschły na mnie, a jej ciało zeszywniało. Rozpacz trochę zelżała i zacząłem myśleć. Cała wściekłość powróciła ze zdwojoną siłą. Zabiłbym Janosza, oczywiście, zadając mu straszne cierpienia. Musiałem go jednak najpierw odszukać. Pozbierałem się, wezwałem Grigora Zirrę i innych przywódców. Niektórzy z nich spali w niższych partiach mojego zamku, gdzie w lżejszych czasach pozwoliłem im prawie nieprzerwanie rezydować. Pokazałem ciało Marileny Grigorowi.

— To zrobił twój wnuk — powiedziałem — zrodzony z nieczystej krwi Zirrów. Od tej pory bądźcie przeklęci! Nie jesteście więcej gośćmi w domu Ferenczego. Zabieraj się i wszystkich twoich i idźcie stąd na zawsze. Od tej chwili strzeżcie się spotkania na moich włościach.

Kiedy odszedł, zwróciłem się do tego z moich przywódców, który kiedyś był ze mną wprost, spoufalcony i swobodny w języku.

— Jak mogły sprawy zajść tak daleko? — zapytałem. — W czasie mojej nieobecności, czy nie trzymałeś pieczy nad moją własnością?

— Ależ panie — odrzekł — przecież to swemu synowi zleciłeś komendę nad domem i posiadłościami. — Wzruszył ramionami. — Nie zaznałem twojego zaufania, czy przychylności, już od lat, panie.

— Czy ty nie należysz do szczepu Zirry? — Chrząknąłem, gdy zęby wampirze wyrosły z mej szczęki i szpony przemieniły się w noże. — A czy ja nie

jestem Ferency? Od kiedy to muszę prosić o coś, co wynika z mojego urodzenia i rozkazywać coś, co zawsze było twoim obowiązkiem?

Mówiłem bardzo spokojnie, jednak wszyscy cofnęli się trochę, poza tym jednym, do którego kierowałem słowa i przytrzymałem za ramię. Wtedy... wyciągnął nóż i zrobił ruch, jakby chciał mnie przeszyć! Ja jedynie uśmiechnąłem się na swój złowrogi sposób i powstrzymałem go oczami. Trzęsąc się, upuścił ostrze.

— Ja... ja zawiodłem twoje zaufanie, panie! Wygnaj mnie też, proszę, pozwól mi odejść z Zirrami! — zawołał.

Pokazałem mu zęby w poszarpanych, krwawiących dziąsłach, otworzyłem szeroko usta, by mógł zobaczyć czarną czeluść. Wiedział, że mogę zacisnąć szczęki na jego twarzy i rozerwać ją. Podprowadziłem go do okna.

— Wygnać ciebie? — powtórzyłem za nim. — A dokąd chciałbyś iść?

— Dokądkolwiek! — dyszał. — Wszystko jedno, panie, gdzieś tam.

— Gdzieś tam? — powiedziałem, wyglądając przez okno. — Niech będzie!

Nie zdążył się nawet odezwać. Pochwyciłem go i cisnąłem w dół. Wrzasnął raz jeszcze, zanim jego kości pogruchotały się o skały. Pomniejsi przywódcy również chcieli uciec, ale przestrzegłem ich przed tym.

— Tylko spróbujcie uciec, a odnajdę was, co do jednego, i wyrwę wam serca. Stańli więc nieruchomo.

— Teraz idźcie, znajdźcie mego syna — rozkazałem po chwili. — Znajdźcie go i przyprowadźcie, a ja się nim zajmę. Następnie zgromadźcie się tutaj, gdyż będę chciał z wami porozmawiać o ważnych sprawach. Wyruszamy na wielką wyprawę krzyżową. Faethor Ferency powstanie i znowu stanie się potęgą na tym świecie, a każdy z was zrobi fortunę...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### Przyjaciele Harry'ego i inni

Odległy szczęk metalu na moment oderwał Harry'ego od opowieści dawno zgasłego wampira. Przeprosił na chwilę i zlustrował wzrokiem ugór ubitej, błoniastej ziemi. Rozpadające się częściowo domy i posępny horyzont. Nawet słońce grzejące go w kark i wyciągające obłoki pary z zastygłych kałuży nie mogło rozproszyć beznadziejności i smutku zawartych w tej scenie. Grupa stalowych dinosaurów w ruchu, dziwne sylwetki spowite w chmury kurzu i niebieskich spalin. Buldożery na pewno nie wybierały się tu, ale ich widok przy pracy przypomniał Harry'emu o godzinie. Minęła dziewiąta. Musiał jeszcze wrócić do Bukaresztu, samolot powrotny do Aten miał zarezerwowany na dwunastą czterdzieści pięć.

— Harry? — powiedział Faethor, głosem słabym jak westchnienie. — Czuje słońce na ziemi i to mnie osłabia. Czy mam mówić dalej, czy odłożymy to do następnego razu?

Keogh zastanowił się. Dowiedział się już całkiem dużo o Janoszu, wampirze o niezwykłej sile. Ale zgodnie z tym, co powiedział Faethor, jego syn nie był wampirem w najpełniejszym sensie tego słowa, w każdym razie nie był nim osiemset lat temu. Czuł, że informacji o tych stworzeniach nigdy nie jest za dużo. A szczególnie, jeśli jego życie i życie innych, może od tego zależeć.

— Całkiem słusznie — powiedział Faethor. — Dobrze więc, mówię dalej. Zwiążle, jeśli to tylko możliwe...

Cyganie znaleźli tego psa, roztrzęsionego, w grocie wysoko na skałach. Udałem się tam i wywołałem go. Podszedł do wejścia, półki skalnej urywającej się w przepaść. Janosz, choć młody, był duży i bardzo silny. Tak ogromny jak Tibor za młodu. Przestraszył się, ale nie tchórzył. Uciął gałąź i zaostrzył jej koniec.

— Nie podchodź bliżej, ojczu — ostrzegł — bo przeszyję twoje wampirze serce.

— Ach, mój synu — odrzekłem bez nienawiści — przecież już to zrobiłeś. Co? Myślałem, że mnie kochasz! A nawet wiedziałem to. Wiedziałem też, że kochasz swą matkę, choć nie — jak bardzo ją miłujesz. Lecz cóż tak naprawdę wiem o tobie, poza tym, że jesteś moim synem?

I postąpiłem krok do przodu.

— Wiesz przynajmniej tyle, że zabiję cię — cofnął się dysząc — że zabiję cię, jeśli spróbujesz mnie ukarać!

— Ukarać ciebie? — Pozwoliłem swym ramionom opaść, a głowie przekrzywić się w smutny sposób. — Nie, chodzi mi tylko o wytłumaczenie. Jesteś z mego ciała, Janosz. Co? Miałbym ukarać własnego syna, właśnie teraz, kiedy jestem najbardziej samotnym stworzeniem na świecie? Och, byłem zły, ale czy tak trudno to zrozumieć? I co moja wściekłość mi dała, co? Twoja matka nie żyje i odeszła od nas na zawsze, jesteśmy więc obydwaj bez tej, którą tak kochaliśmy. Nie ma już we mnie złości.

— Więc ty nie... nie nienawidzisz mnie?

— Nienawidzić ciebie? Własnego syna? — Znowu pokręciłem głową. — Ja po prostu nie rozumiem. Pragnę cię zrozumieć, Janosz. Wytłumacz, dlaczego to zrobiłeś, abym mógł cię lepiej poznać. — Znowu podszedłem kawałek w głąb pieczary.

On jeszcze się cofnął, ale wciąż trzymał swoją włócznię wymierzoną wprost we mnie. I naraz, jakby z pękniętej tamy, wylały się z niego słowa.

— Znienawidziłem cię! — krzyknął. — Byłeś dla mnie zimny, okrutny i obojętny, i zawsze... inny. Byłem jak ty, i nie jak ty. Tak bardzo chciałem istnieć jak ty sobą całym, a nie mogłem. Często podpatrywałem, jak twoje ciało zmieniało się w cieniutkie pokrycie i podrywało niczym suchy liść na wietrze. Ilekroć jednak sam tego próbowałem, zawsze padałem na ziemię. Chciałem wzbudzać w sercach ludzi twój lęk. Spojrzeniem. Słowem czy myślą. Ale nie byłem wampirem i wiedziałem, że jeżeli tylko spróbuję, zabiją mnie jak zwyczajnego wroga. Więc zamiast tego, musiałem okazywać przyjaźń tym, którymi gardziłem, wkraczać do ich umysłów, kazać im kochać mnie, aby zyskać ich posłuszeństwo. Stałem się trochę do ciebie podobny, ale nigdy nie mogłem być tobą, więc znienawidziłem cię.

— Pragnąłeś być mną? — powtórzyłem za nim.

— Tak, ponieważ ty posiadasz moc!

— Sam masz wystarczająco dużo mocy — powiedziałem. — Wielkiej mocy! Fantastycznej mocy! Za co musisz mi podziękować. A ty skrywałeś ją przede mną przez tyle lat!

— Nie skrywałem jej — odrzekł pogardliwie. — Demonstrowałem ją! Za jej pomocą trzymałem cię z dala od mojego umysłu i woli. Nawet w pełni rozwinięte, pozostawały dla ciebie tajemnicą. Myślałeś, że mój umysł jest gorszy, niezdolny poznać się na twoich talentach i dlatego dla nich nieuchwytny, że jestem taki czysty — zaiste, pusty i jałowy — że żaden rylec nie pozostawi na mnie śladu. Kiedy więc odkryłeś, że nie możesz narzucić się memu umysłowi, nie powiedziałeś: „Ho, ho, on jest silny”, ale „Ha! On jest słaby”. To było twoje ego, ojcze, które jest rozległe, ale zawodne.

— Tak — pokiwałem głową w zadumie, gdy skończył — to jest znacznie poważniejsze, niż podejrzewałem, Janosz. Naprawdę posiadasz pewną moc.

— Ale nie twoją moc! — odpowiedział. — Ty jesteś... czymś zmiennym, tajemniczym, zawsze innym. A ja pozostaję zawsze taki sam.

— No, i tu trafiłeś — powiedziałem, wzruszając ramionami. — Ja jestem wampirem.

— A ja pragnąłem być — powiedział — ale stałem się tylko dziwnym człowiekiem. Pół na pół...

— Ale czy to ciebie tłumaczy? — zapytałem. — Czy to jest wystarczający powód? Nienawidzić mnie za swoje własne braki było jednym błędem, ale dopełniać to rozcinając...

— Tak! — wtrącił krótko. — Właśnie dlatego. Chciałem być taki, jak ty, a nie mogłem, więc nienawidziłem. Dlatego bezczęściłem i przeciągałem na swoją stronę to wszystko, co było cenne dla ciebie. Najpierw Cyganów, którym kazałem kochać siebie jeżeli nie bardziej, to przynajmniej tak samo, jak ciebie. Następnie twoją kobietę.

Teraz z premedytacją ja się cofnąłem, a on podążył za mną, w kierunku wyjścia z jaskini.

— W swoim pragnieniu stania się mną — powiedziałem — zdecydowałeś robić rzeczy, które ja robiłem i poznać to, co ja znam. Nawet do tego stopnia, by poznać własną matkę — cieleśnie?

— Myślałem, że ona mogłaby... uczyć mnie rzeczy...

— Co? — prawie się roześmiałem. — Spraw cielesnych, Janosz? To zadanie ojca, nieprawda?

— Nic od ciebie nie chciałem, jedynie stać się tobą.

— Nie mogłeś spróbować być do mnie bardziej przywiązany i w ten sposób wyzwolić moją czułość?

— Co? To tak, jakby szukać słodyczy w kostce soli! — odrzekł Janosz.

— Jesteś twardy — powiedziałem mu niskim głosem. — Być może, mimo wszystko nie jesteśmy od siebie tak daleko. I chciałbyś stać się wampirem. Ach, ale musisz się tyle nauczyć, zanim ten dzień nastanie.

— Co? — Cień niedowierzania przemknął przez jego twarz.

— Ach! — Wzniósłem ostrzegawczo rękę. Teraz, kiedy był urzeczony, mogłem go łatwo ściąć. — Tak, wcale nie tak daleko. I powiem ci coś, mój — och, jak głupi, zazdrosny, niecierpliwy synu. To co zrobiłeś, nie jest wcale rzadkością. Ani też występne, ani niezwykle. Nie w kategoriach moich ani innych mi podobnych. Co, kazirodztwo? Wszak wampiry zawsze pieprzyły się, i to na więcej niż sto sposobów! Powiem ci coś, Janosz: bądź szczęśliwy, że urodziłeś się człowiekiem. Gdybyś tylko był innym wampirem... och, wiedziałbym, jak ci najlepiej dogodzić. Tak, i wtedy poznałbyś, co to gwałt!

Moje słowa powinny go przestrzec. Nie byłem bowiem wcale taki skłonny wybaczyć mu, jakby się mogło wydawać. Uczyniłem mu pół obietnicę, a on chciał tej drugiej połowy.

— Powiedziałeś... czy to miało znaczyć... nauczysz mnie być wampirem?

— Coś w tym guście — odpowiedziałem i jego włócznia, uprzednio sztywna, zaczęła się chwiać.

— Kiedy zaczniemy? — zapytał Janosz.

— Nie tak szybko! — odrzekłem. — Najpierw musisz mi powiedzieć jak daleko sam zaszedłeś. Twierdzisz, że pragniesz być taki jak ja. To znaczy — wampirem. Bardzo dobrze, ale przecież sam ćwiczyłeś, prawda? A więc, co osiągnąłeś?

— Zapytaj mnie lepiej o to, czego nie osiągnąłem. Cała reszta jest moja.

— Dobrze więc, co ci umknęło?

— Nie potrafię odmienić mego ciała, kształtu, latać.

— To jest kwestia panowania woli nad materią cielesną, ale tylko wtedy, jeśli jest to materia cielesna wampira. Twoja nie jest... Ale... są sposoby, aby to zmienić. Co jeszcze?

— Jesteś zręcznym nekromantą. Kiedyś zamordowałeś samotnego podróżnego przechodzącego nie opodal. Ukryłem się w sekretnym miejscu i widziałem, jak otwierasz jego ciało i rozrywasz poszczególne jego partie, by wydobyć całą jego wiedzę o zewnętrznym świecie. Wdychałeś gazy jego wnętrzości. Ssałeś jego oczy, by poznać, co widziały. Wcierałeś krew z jego poprzecinanych uszu we własne uszy, aby słyszeć, co one słyszały! Później przechodziła w pobliżu grupa Cyganów, wykradłem od nich małą dziewczynkę i użyłem jej w ten sam sposób. Ale niczego się nie dowiedziałem. Rozchorowałem się tylko.

— Wampiry przodują w nekromancji — odpowiedziałem. — Tak, to rzadka sztuka. Nawet tego można się nauczyć. Gdybyś mnie wpuścił do twojego umysłu, poinstruowałbym cię. W tym sam mi przeszkodziłeś, Janosz. Czy jest coś jeszcze?

— Twoja wielka siła — powiedział. — Widziałem, jak ukarałeś pewnego człowieka. Podniósłeś go do góry i cisnąłeś jak kawałek drewna. Podglądałem cię też... w łóżku. Inni wiele razy by oklapli, a twoja energia była nieposkromiona. Myślałem, że ona zna jakiś sekret. Jakaś maść czy sztuczkę, którą utrzymuje twoją twardość. To jeszcze jeden powód, dla którego do niej poszedłem. Pragnąłem poznać twoje tajemnice.

Tym razem z kolei to ja chciałem czegoś się dowiedzieć.

— Czy ona coś podejrzała? — spytałem.

— Nigdy. — Potrząsnął głową. — Moje oczy ujarzmiły ją bez reszty. Wiedziała tylko to, co chciałem, by wiedziała, robiła tylko to, co jej poleciłem.

— I kazałeś jej myśleć, że jesteś mną — warknąłem — aby nie próbowała niczego ukrywać!

Wyciągnąłem rękę, by go chwycić i w tej samej chwili ten pies wejrzał w mój umysł. Do tej pory chroniłem go przed nim, ale gdy myśl o nim razem z Marileną

powróciła, kurtyna podniosła się. Zobaczył moje myśli i zamiary, uchylił się przed moim chwytem i dźgnął mnie włócznią. Byłem na krawędzi przepaści. Uchyliłem się szybko, tak że oręż podarł mi szatę i przeorał łopatkę. Wyrwałem mu włócznię i uderzyłem go. Poharatało mu twarz i wybiło zęby. Rzucił się do tyłu i wyrznął głową w sufit jaskini. Upadł. Oszołomiony, nic nie mógł zrobić, kiedy taszczyłem go na samą krawędź. Jego głowa bezwładnie zwisała, ale oczy miał otwarte i patrzył, jak pozwalam działać mojemu wampirowi, jak jego furia zmienia moje oblicze.

— A więc? — Chrząknąłem, a moje zęby wychynęły zza krwistych warg. — A więc, staniesz się wampirem. — Pokazałem mu moją dłoń, która zmieniała się w szpon pierwotnej bestii. — Będziesz taki jak ja. Ale muszę ci uświadomić, Janoszu, że jeżeli w ogóle jesteś człowiekiem, to tylko przez wzgląd na twoją matkę. Chciałem, aby miała dziecko, a dałem jej potwora. Ale nazwałeś siebie „pół na pół” i miałeś rację. Nie jesteś ani tym, ani tamtym. Bezużytecznym i dla ludzi, i dla bestii. Pragniesz móc kształtować własne ciało? Niech tak będzie!

Zebrałem plwocinę z flegmy, piany i krwi na końcu swego rozdwojonego języka. Strzeliłem nią w jego rozdziawione usta i zrobiłem mu mały masaż gardła, zanim ją umieściłem dostatecznie głęboko. Krztusił się i dławił, aż oczy wyszły mu na wierzch, ale nie mógł nic zrobić.

— Już! — Zaśmiałem się obłąkańczym śmiechem. — Niech to rozwija się w tobie i formuje rozciągliwą materię, której tak pragniesz, i przekształci twoje własne ciało na tę modłę. Będziesz potrzebował wampira w sobie, choćby po to, by naprawił twoje połamane kości!

I bez dalszych ceregieli zrzuciłem go w przepaść. . .

Janosz był ciężko połamany. Wszystkie kości, tak jak mu przyrzekłem, a do tego ciało porozrywane na skałach. Jako człowiek, umarłby. Posiadał jednak część mnie, a teraz tym bardziej. To co plunałem w niego, rozwijało się szybciej niż rak. Ale w przeciwieństwie do nowotworu, to oszczędziło, a właściwie uratowało jego nędzne życie. Zostanie poskładany, będzie żyć i służyć mi. Zanim ruszyłem na Węgry i dalej, do Zara, rozkazałem tym Cyganom, których opuszczałem: „Pielęgnujcie go dobrze. Kiedy dojdzie do siebie, przekazcie mu moje polecenie. Ma tu zostać i pilnować mego zamku i włości, tak aby mnie serdecznie witano, kiedy będę wracał. Do tego czasu jest tu panem i jego wola ma być wykonywana. Tak ma być!”

Wtedy wyruszyłem na wyprawę krzyżową, której przebieg i wyniki znasz. . .

Ponieważ głos Faethora znowu zamierał, Harry rozejrzał się dookoła. Buldożery pracowały z mozołem. Tylko o jakieś dwieście metrów stamtąd jakaś stara pozostałość domostwa runęła w tumanach kurzu. Harry’emu wydało się, że ziemia zadrżała. Faethor także to poczuł.

— Czy myślisz, że mogą dojść dzisiaj aż tutaj?

— Nie sądzę. — Nekroskop pokręcił głową. — Wydają się pracować bez planu i chyba zbyt szybko się nie śpieszą. Czy to w jakiś sposób wpłynie na ciebie, jeżeli zniwelują to miejsce?

— Wpłynie na mnie? Nie, nic nie jest w stanie na mnie oddziaływać, gdyż mnie już nie ma. Ale to cholernie utrudnia podsłuchiwanie zmarłych, ten cały łomot na wierzchu.

Harry wyczuł ohydny uśmiech dawno zgasłego potwora, tak jak ten potwór z kolei wyczuwał, że nie ma ucieczki od betonowego grobowca. Nowego sposobu spoczynku, prawdopodobnie w samym sercu jazgoczącego kompleksu fabrycznego. Uśmiech, gdyż Faethor nigdy nie zaakceptowałby troski Harry'ego, a i nawet nie przyjąłby jej do wiadomości.

— Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze — odrzekł Keogh. — A teraz w drogę. Dowiedziałem się od ciebie dużo i jestem oczywiście wdzięczny za dar mowy zmarłych, który mi wróciłeś. Jeśli będę mógł, połączę się z tobą znowu. Nocą, rzecz jasna, i prawdopodobnie z daleka tak, abyś mógł dokończyć swoją opowieść. Wiem, że po Czwartej Wyprawie Krzyżowej wróciłeś do Wołoszy, skończyłeś z Tiborem i musiało zajść coś więcej między tobą a Janoszem. Ponieważ on teraz dopiero co powstał, więc ktoś go musiał przedtem posłać do piachu. Podejrzewam, że to ty, Faethorze.

Harry poczuł posępne skinięcie głową wampira.

— A co raz zostało zrobione, może być zrobione jeszcze raz, z twoim udziałem — dodał.

— Bardzo proszę, Harry, o każdej porze. Mimo wszystko jest to nasz wspólny cel, zmienić go na powrót w pył. A teraz ruszaj w drogę. Chciałbym chwilę odpocząć w spokoju.

Harry podniósł swą torbę. Jego stopa z płaskim rozgniotła gnijącego grzyba. „Aromat” sięgnął go w jednej trującej smudze.

— Tfu! — Nie mógł powstrzymać się od okrzyku obrzydzenia. Faethor wyłapał ten krzyk i być może zobaczył też coś z przyczyny.

— Co? — powiedział. — Grzyby? — mentalny głos zabrzmiał nerwowo.

— Grzyby, muchomory, fungus, cokolwiek. — Nekroskop wzruszył ramionami. — Na słońcu i tak wyparują.

Poczuł drżenie Faethora. Jego zdanie było bezmyślnie okrutne. „Ale... do diabła!... dlaczego miałbym się przejmować losem nieżywej, zepsutej i tak złej istoty, jak wampir?” — pomyślał.

— Do widzenia — powiedział, opuszczając zrujnowany dom Faethora.

— Żegnaj — odpowiedział ten nieukojonny duch. — I, Harry, nie zwlekaj z tym, co masz zrobić. Czas może zdecydować... .

Harry odczekał chwilę, ale Faethor nie rozwinął tej myśli... .



Keogh wspiał się na cmentarny mur i zeskoczył w dół między działki i poprzekrzywiane płyty.

— Harry? Harry Keogh? — zawołał ktoś.

Odskoczył i rozejrzał się dookoła. Ale... nie dostrzegł nikogo.

Oczywiście, że nie, gdyż to brzmiała jego mowa zmarłych. Bez tego strasznego cierpienia, które już automatycznie przywykł z nią kojarzyć. Odmawiano mu prawa do korzystania z tego makabrycznego talentu tak długo, że teraz trzeba było trochę czasu, by od nowa przyzwyczyił się do niej.

— Czy ciebie przestraszyłem? — pytał głos jakiejś zmarłej duszy. — Przepraszam. Słyszeliśmy, jak rozmawiałeś z tym nieżywym stworem, który słucha. Wiedzieliśmy, że to musisz być ty, Harry Keogh, nekroskop. Któż bowiem inny spośród żywych mógłby rozmawiać ze zmarłymi? I któż inny zechciałby rozmawiać, a nawet okazywać przyjaźń. Tylko ty, Harry Keoghu, który nie masz wrogów wśród Przeważającej Większości.

— Och, mam kilku — odpowiedział w końcu Harry z wahaniem. — Ale ogólnie, moje stosunki ze zmarłymi układają się całkiem dobrze.

I naraz, cały cmentarz, by tak rzec, ożył. Dotąd panowała tu cisza, bolesna pustka, kamuflująca spętane... coś. Ale teraz to coś rozsadziło swoje okowy, jak rzeka rozsadza brzegi w czasie powodzi. Setka głosów naraz zaprzętnęła uwagę nekroskopa. Zmarli zadawali mnóstwo pytań. Jak mają się ci, których zostawili w świecie żywych? Co dzieje się w tym zabieganym świecie bytów cielesnych, gdzie dusza zamieszkuje w ciele? Czy Harry mógłby dostarczyć wiadomość do tego... dobrze pamiętanego i kochanego ojca, matki, siostry, kochanki? I tak dalej. Mógłby spędzić całe życie, dając odpowiedzi i wypełniając prośby i polecenia mieszkańców tego cmentarza. Wyemitował z siebie tę myśl i oni od razu uznali jej słuszność. Cały ten grobowy rozgardiasz szybko ucichł.

— Nie o to chodzi, bym nie chciał — starał się wytłumaczyć — ale nie mogę. Widzicie, dla żywych umarliście, odeszliście na zawsze. I nie licząc moich kolegów, pozostaję jedynym, który wie, że ciągle tutaj jesteście, tylko w innej postaci. Czy sądzicie, że to by w czymkolwiek pomogło, gdyby wszyscy wasi wciąż żyjący przyjaciele i ukochani dowiedzieli się, że wy też ciągle... trwacie? Nie pomogłoby. To jedynie pogłębiłoby ich ból. Myśleliby o was jak o więźniach jakiegoś rozległego, strasznego więzienia poza ciałem! Wiem, że to jest ciężkie, ale nie aż tak ciężkie szczególnie teraz, kiedy nauczyliście się między sobą porozumiewać. Ale nie mogę tego powiedzieć żywym, których zostawiliście, gdyż ci wszyscy, którzy przestali już was opłakiwać i powrócili do tego, co im zostało z ich własnego życia, zaczęliby znowu od początku. I obawiam się, że najbardziej skorzystaliby ludzie z fałszywymi talentami nekroskopów.

— Oczywiście, masz słuszność, Harry — odpowiedział ich rzecznik. — Ale to jest taka rzadka, zaprawdę jedyna radość, rozmawiać z kimś należącym do żyjących! Lecz czujemy twój pośpiech i nie zamierzamy zatrzymać cię.

— Jak to na was wpłynie — wypytywał Keogh — kiedy zniszczą wszystko dookoła? Wiem, ciągle tu będziecie, bez względu na to, co się stanie, ale czy nie martwi was, że wasze groby zostaną naruszone?

— Pozostawią je w spokoju! — odezwał się zmarły prezes Rady Planowania Przestrzennego w Ploesti. — Ten cmentarz zaopatrzony jest w pieczęć ochronną. Wiele cmentarzy zostało ostatnio zamienionych w kupę gruzów, ale przynajmniej ten umknął przed szaleństwem Causescu. Pochlebiam sobie, że przyczyniłem się do tego. Członkowie mojej rodziny, Berciu, byli tu chowani od stuleci! A rodzina powinna się trzymać razem, prawda? Ale nie myślałem, że osobiście na tym skorzystam. W każdym razie, nie tak szybko. A tymczasem w dziewięć dni po przyznaniu cmentarzowi ochronnego statusu, umarłem na atak serca.

— Czy jest tu ktoś jeszcze, kto niedawno zmarł? — zapytał Keogh.

Wiedział z doświadczenia, że ci znajdowali się w najgorszym stanie. Śmierć bowiem stanowiła ogromny wstrząs. Dla nich przynajmniej musiał znaleźć czas. Po chwili ciszy, para głosów, smutnych, młodych i bardzo zagubionych znalazła siły.

— O tak, Harry — odezwał się jeden z nich. — Jesteśmy braćmi Zaharia. Ion i Alexandru — włączył się drugi. — Zginęliśmy w wypadku, przy budowie naszej drogi. Cysterna roztrzaskała się i paliwo z niej zalało nas. Spłonęliśmy. Obydwaj mieliśmy świeżo poślubione żony. Gdyby tylko można było przekazać im, że nic nie czuliśmy, żadnego bólu.

— Ale... musieliście czuć! — Harry nie potrafił ukryć zaskoczenia.

— Tak — odpowiedział jeden z nich — ale wolelibyśmy, aby myślały, że nie. W przeciwnym razie przez wszystkie noce, do końca życia, będą się wsłuchiwały w krzyk swoich płonących mężów. Przynajmniej tego chcielibyśmy im oszczędzić.

Nekroskop był poruszony, ale nic nie mógł dla nich zrobić. Jeszcze nie teraz, w każdym razie.

— Słuchajcie — powiedział — być może będę mógł wam pomóc. Nie teraz, ale w przyszłości. Kiedy ten moment nadejdzie, dam wam znać. Nie mogę wam obiecać niczego więcej.

— Harry — odpowiedzieli mu chórem, a ich głosy nakładały się na siebie — to jest więcej niż dużo! Dałeś nam nadzieję, bo wiemy, że mamy przyjaciela tam, gdzie sami nie możemy dotrzeć. Wszyscy z nieprzeliczonych tłumów zmarłych powinni mieć takie szczęście. I naprawdę mają to szczęście, że to właśnie ty posiadłeś moc.

Wyszedł z cmentarza na zakurzoną drogę. Podążył w prawo, na Bukareszt. Za nim podniecone grobowe głosy cichły, rozmawiając teraz między sobą, o nim raczej niż z nim. Wiedział, że zyskał wielu nowych przyjaciół. O kilometr dalej spotkał jednak dwóch, którzy nie byli jego przyjaciółmi. Wręcz przeciwnie. Czarny samochód minął go, jadąc tam, skąd właśnie przychodził. Rozległ się pisk

hamulców. Wóz gwałtownie zawrócił. Harry poczuł, że znalazł się w kłopotach. Samochód zatrzymał się. Z wnętrza wyskoczyli ludzie. Nie mieli mundurów, ale Harry rozpoznał ich. W szarych garniturach i filcowych kapeluszach o miękkich krawędziach, które jakby żywcem wypożyczyli z lat trzydziestych, reprezentowali rumuński ekwiwalent KGB: Securitate. Jeden mały, chudy, o rysach szpicla. Drugi wysoki, sztywny, zgarbiony. Ich twarze, ukryte w cieniu kapeluszy, były niemal bez wyrazu.

— Dowód osobisty — warknął ten mniejszy, wyciągając rękę i strzelając palcami.

— Legitymacja służbowa — powiedział drugi, wolniej. — Papiery, dokumenty, pozwolenia.

Obydwaj mówili po angielsku, ale Harry był tak strasznie zaskoczony, że wpadł łatwo w ich prostą pułapkę.

— Ja... ja mam tylko paszport — odpowiedział, również po angielsku i sięgnął po niego do kieszeni marynarki. Zanim jednak zdążył się pochwalić swoim podrobionym greckim paszportem, ten mały i chudy wymierzył weń pistolet automatyczny.

— Ostrożnie, jeśli łaska, panie Harry Keogh! — wycedził. Pochwycił dokument i podał go temu większemu. Mały ze znanstwem obmacywał Harry'ego, sztywniak otworzył paszport i studiował go. Po chwili podał go swemu towarzyszowi, który zerknął szybko nań, nie spuszczać wzroku z zatrzymanego. Obydwaj uśmiechnęli się szeroko, zimno i bez humoru. Keogh wiedział, że wpadł i nic nie mógł na to poradzić. Ostatni raz coś takiego mu się przytrafiło, kiedy udał się na rozmowę z Möbiusem, na lipskim cmentarzu. Przy tamtej okazji uciekł w kontinuum. Zdarzyło mu się też kiedyś korzystać ze znajomości sztuki walki, przekazanej mu przez kilkunastu zmarłych mistrzów. Tak, ciągle był fachowcem, z latami praktyki. Dawniej, dużo młodszy, mniej doświadczony, łatwiej wpadał w panikę. Teraz odbierał to ze spokojem. W ciągu tych lat bowiem, Harry doświadczył rzeczy tak przerażających, że tych dwóch bandytów nie potrafiłoby ich sobie nawet wyobrazić.

— A więc pomyliliśmy się — powiedział sztywniak, nieco gardłową, ale bardzo dobrą angielszczyzną, szczególnie z tym nalotem sarkazmu. — Pan nie jest jednak Harry Keoghem, ale greckim obywatelem o nazwisku... Hari Kiokis? Ach, handlarz antykami, rozumiem? Ale Grek, który mówi tylko po angielsku?

Ten drugi, o twarzy szpicla, był bardziej bezpośredni.

— Gdzie zatrzymałeś się ostatniej nocy, Harry? — Wraził lufę pistoletu głęboko między żebra Harry'ego. — Jaki zdrajca udzielił ci schronienia, co, panie szpiegu?

— Ja... nie zatrzymywałem się u nikogo — odpowiedział nekroskop niecałkiem zgodnie z prawdą. Wskazał na swoją torbę. — Spałem na powietrzu. Tu jest mój śpiwór.

Wyższy z nich wziął od niego torbę, otworzył i wyjął śpiwór. Twarz agenta wykrzywiła się. Wydawało się, że jest jakby zbity z tropu.

— Ach, rozumiem — powiedział po chwili — pański łącznik się nie ujawnił, a więc musiał pan dać sobie jakoś radę. Wobec tego może nam pan powie, kto miał się z panem spotkać, co?

— Nikt — odrzekł Harry, a pomysł w jego głowie zaczął nabierać kształtów. — Po prostu spanie pod gołym niebem jest tanie, a przy okazji złapie się trochę świeżego powietrza, to wszystko. A poza tym, co to właściwie panów obchodzi? Widzieliście panowie mój paszport i wiecie, kim jestem, ale kim, do diabła, wy jesteście? Jeżeli policjantami, chciałbym zobaczyć jakiś rodzaj waszych identyfikatorów.

W czasie, gdy osłupiali patrzyli na niego i na siebie, sięgnął mową zmarłych do umysłów swoich nowych przyjaciół na cmentarzu. Przemówił cicho do Iona i Alexandru Zaharia, a to, co im przekazał, było proste i zwięzłe.

— Jestem zagrożony przez dwóch ludzi — odezwał się Keogh. — Wasi ziomkowie, obawiam się: Securitate. Bez waszej pomocy załatwią mnie.

Harry zdołał tyle z siebie wydobyć, zanim mały nie kopnął go w krocze. W porę jednak dostrzegł zamiar tamtego i udało mu się uniknąć najgorszego, ale mimo to upadł na zakurzoną drogę i zwinął się w udawanym bólu.

— Otóż to! — powiedział agent głosem zimnym i wypranym z emocji. — Widzisz, widzisz? Zdenerwowałeś Corneliu! Naprawdę musisz się starać. Lepiej z nami współpracować. Nasza cierpliwość nie jest bezgraniczna.

Podszedł do bagażnika samochodu, otworzył go i wrzucił tam rzeczy Harry'ego. Podrobiony paszport schował do kieszeni.

— Ale, co my możemy zrobić, Harry. — Doszedł go zatroskany głos Iona Zaharii. — Moglibyśmy spróbować... ale jesteś zbyt daleko. Nie dojdziemy na czas.

— Nie — odpowiedział Keogh — zostańcie, gdzie jesteście. Odkopcie się tylko, nic więcej. Wy i wszyscy ci, którzy, no, zachowali jeszcze kształt i którzy chcą pomóc. Ale nie moźolcie się, by do mnie dojść. Zdaje się że wiem, jak przyprować tych skurwieli do was.

— Marynarka — zawołał mały, chudy. — Szybko!

Nekroskop usiadł, zrzucił marynarkę, zanim zdarto mu ją z pleców.

— Rozczarowałeś nas, naprawdę — powiedział ten drugi. — Całkiem poważnie spodziewaliśmy się, że będziemy musieli cię zastrzelić. Opowiadali nam o tobie takie rzeczy! Takie problemy sprawiałeś naszym przyjaciołom. A tymczasem... nie wydajesz się zbyt niebezpieczny, Harry. Może twoja reputacja jest niezасłużona?

Harry porzucił myśl o zwodzeniu ich. Wiedzieli bardzo dobrze, kim jest, jeśli nawet nie... czym.

— To było dawno temu — powiedział. — Teraz nie jestem taki głupi. Wiem, kiedy gra jest skończona.

Z hałasem minęła ich ciężarówka zmierzająca w stronę Bukaresztu. Z tyłu, na ławach wzdłuż burt, siedziały dwa rzędy mężczyzn i kobiet, głównie wieśniaków w podeszłym wieku. Ich oczy były wyprane z nadziei. Ledwie zerknęli na Harry'ego, który klęczał w kurzu z parą bandytów nad sobą. Mieli własne kłopoty. Bezdomni nędzarze, zniszczeni przez ślepą, beztroską politykę rolno-przemysłową Causescu.

— Tak, dla ciebie gra jest na pewno skończona, przyjacielu — ciągnął wysoki. — Wiesz, oczywiście, że poszukują cię za szpiegostwo, sabotaż i morderstwo? — Wyjął kajdanki. — Tak dużo, że lepiej będzie, jak cię trochę unieruchomimy. Ostrożności nigdy nie za wiele. Wyglądasz wprawdzie nieszkodliwie i jesteś nieuzbrojony, ale...

Zatrzasnął kajdanki, spinając ręce Harry'ego razem.

— Bilet powrotny na Rodos — szpicel przetrząsnął kieszenie zatrzymanego — papierosy i zapalki i dużo amerykańskich dolarów. To wszystko.

Wrzucili Keogha na tylne siedzenie samochodu. Mały siadł obok. Wysoki zajął miejsce za kierownicą.

— Jechałeś więc na lotnisko — powiedział — świetnie, podrzucimy cię. Jest tam taki mały pokoik, w którym poczekaasz na samolot z Moskwy. Nasze zadanie się na tym skończy.

— Nie chwytam tego — powiedział Harry, szczerze zaskoczony. — Od kiedy to Securitate tak mocno przyjaźni się z KGB? Myślałem, że sowiecka „Glasnost” i „pierestrojka” nie dają się pogodzić z tym, co robi Causescu? A może wy dwaj, jako grupa, jesteście mieczem o dwóch ostrzach, co? Pracujecie dla dwóch szefów, panowie, tego...?

— Zamknij się! — Szpicel poskrobał pistoletem żebra Harry'ego.

— Nie, niech mówi. — Wzruszył ramionami kierowca. — Bawi mnie odkrywanie, jak mało oni wiedzą na Zachodzie i jak bardzo opierają się na domysłach. Panie Keogh, proszę mi mówić Eugen. Dlaczego nie, nasza znajomość będzie trwała krótko. Dziwi pana, że Rosja ma przyjaciół w Rumunii? Do licha, zaraz pan powie, że już nie ma ruskich agentów w Anglii, Francji czy Ameryce! Nie, nie wierzę, by był pan tak naiwny.

— Jesteście... z KGB? — Harry zmarszczył czoło.

— Nie, jesteśmy Securitate, jeśli nam to pasuje. Ale widzi pan, w porównaniu z lejami ruble zawsze były mocniejsze i bardziej stabilne. Musimy myśleć o naszej przyszłości, prawda? Wszyscy przejdziemy na emeryturę, wcześniej czy później.

Znowu popatrzył przez ramię, uśmiechnął się krzywo do Harry'ego.

— W twoim przypadku, wcześniej — dodał drugi.

Rosyjscy esperzy znowu podnosili swą obrzydliwą głowę. Pamiętali Zamek Bronnicy aż za dobrze i pragnęli się Harry'emu odpłacić. Musieli się go potężnie

bać. Najpierw ta zwariowana intryga w Bonnyrigg, a teraz to. Miał zostać przemycony po cichu z Rumunii do ZSRR, przekazany sowieckiemu Wydziałowi E. Taki przynajmniej został przygotowany scenariusz. Powiedziało to Keoghowi wiele. Domyślił się, że jeżeli chciano go wywieźć z Rumunii, to znaczy, że rumuńskie władze na pewno nic o nim nie wiedzą. Dla nich był Kiokisem, statecznym biznesmenem z Grecji. To miało sens. KGB skontaktowało się ze swoimi ludźmi w Rumunii, z takimi, na których mogło polegać. Aranżowanie innej formy eks-tradycji trwałoby zbyt długo.

— Ee, Eugen? — powiedział Harry. — Zdaje się, że waszym głównym zadaniem było złapać mnie. Dlaczego więc nie zrobiliście tego wczoraj na lotnisku? Chcieliście uniknąć publiczności?

— To był jeden z powodów — odpowiedział tamten przez ramię. — Chcieliśmy też upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i odkryć twoje kontakty. Mimo wszystko musiałeś przyjechać tutaj, żeby się z kimś spotkać. Śledziliśmy więc twoją taksówkę. Ale, niestety, guma. Takie rzeczy się zdarzają. Później złapaliśmy taksówkę i ten pokazał nam, gdzie wyrzucił ciebie. Powiedział też, że będziesz czekał na poranny autobus do miasta. I to było przygnębiające! Tyle jeżdżenia w tę i tamtą od samego rana. W ostateczności, oczywiście, zostalibyśmy zmuszeni wrócić do Bukaresztu i czekać na ciebie na lotnisku. Dzisiaj jest tylko jeden samolot do Aten. Ale, szczęśliwie, nie okazało się to konieczne.

— Nie było żadnego kontaktu — wyrzucił z siebie nagle Harry. — Miałem po prostu... zostawić pewne instrukcje i zabrać pewne informacje.

Stawiał na to, że prawie nic o nim nie wiedzą, oprócz tego, że ma być zatrzymany dla ich rosyjskich szefów. Poza tym mieli coraz mniej czasu. Do teraz jego przyjaciele na cmentarzu powinni być już prawie gotowi na przyjęcie gości. Eugen zahamował, zatrzymał samochód.

— Zostawiłeś instrukcje? Tam gdzie byłeś? — zapytał.

— Tak — skłamał Harry.

— A informacje, które zabrałeś? Gdzie one są?

— Nie znalazłem ich tam. Dlatego czekałem całą noc, żeby zabrać je rano. Ale ciągle ich nie było.

Eugen odwrócił się do tyłu i świdrował Harry'ego wzrokiem.

— Jesteś bardzo otwarty, przyjacielu. Rozumiem, że to wszystko ma związek z naszą wiejską piątą kolumną, tak?

Harry przybrał wygląd przestraszonego, co wcale nie było trudne. Nie wiedział nic o rumuńskiej piątej kolumnie, ale znał się coś niecoś na psychice takich, jak ci, bandytów.

— Coś w tym stylu — odrzekł. — Ale... mówiliście, że macie pokój na lotnisku? Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie, jak powiem wam wszystko tutaj. Nie chciałbym, żeby towarzysz Corneliu miał to ze mnie wyciągnąć na osobności.

— Wielki wstyd. — Corneliu chrząknął i wzruszył ramionami. — I tak moge ci dowalić.

— Czy pokażesz nam tę przesyłkę? — zapytał Eugen.

— Tak, o ile ułatwi mi to życie — odpowiedział Harry.

— Ha! — zadrwił Corneliu. — To ten twardziel? Czy wszyscy angielscy szpiedzy to panienki?

Harry wzruszył ramionami. W istocie wiedział bardzo mało na temat zwykłych szpiegów z Anglii. Znał natomiast esperów: szpiegów superpercepcjonistów. Eugen zawrócił. Jechali w milczeniu, aż Harry kazał zatrzymać samochód u wejścia na cmentarz.

— To tutaj — powiedział. — Przesyłka.

Wysiedli z wozu. Corneliu pistoletem zachęcił Keogha, by szedł przodem. Więc ten szedł i wysłał swoją mowę zmarłych.

— Już jesteśmy — zawołał. — Przynajmniej jeden z nich ma pistolet... wymierzony we mnie. W chwili, gdy was zobaczy, będzie zaskoczony. Wtedy planuję go rozbroić. Czy zrozumieliście?

— Jesteśmy gotowi, Harry. — Z miejsca odpowiedzieli bracia Zaharia. — Jest z nami kilku innych. Nie wiemy, czy się nadadzą, ale... w ilości siła, prawda?

— Nie widzę was! — Harry zaniepokojony rozejrzał się dookoła. — Czy schowaliście się?

— Pozostali są ledwo przykryci ziemią, Harry — powiedział Ion Zaharia. — A my czekamy w naszych grobowcach, w naszych sarkofagach.

Harry pamiętał, że Ion i Alexandru zostali pochowani we wspólnym sarkofagu, przykrytym marmurową płytą. Nie sprzeciwiali się, kiedy uprzednio, rozmawiając z nimi, przysiadł tam na parę chwil.

— Naprzód, Keogh! — warknął Corneliu, popychając go alejką między rzędami nagrobków. — Gdzie jest ten liścik?

— Tam. — Harry wskazał palcem do przodu. Podszedł do dużego grobowca i stanął, patrząc na masywną płytę. — Ja musiałem podważyć ją z jednej strony, ale razem powinniśmy przesunąć ją z łatwością. Miał nadzieję, że agenci nie spostrzegli się, że powietrze wokół nich zrobiło się ciężkie, a odór narastał z sekundy na sekundę. Nie ośmielił się jednak zapytać.

— Och? — Eugen uśmiechnął się bezradośnie. — Jeszcze beczeszczenie grobów, tak? Do diabła, powinieneś się wstydzić, Keogh. Wysyłać listy do zmarłych? Oni nie mogą ci odpowiedzieć, wiesz?

„Jakże się mylisz” — pomyślał Harry, gdy wraz z wysokim agentem naprężył się nad płytą. Nagle, z wielką łatwością, ześlizgnęła się na bok. Nekroskop spodziewał się tego, więc wstrzymał oddech, ale Corneliu i Eugen nie. Zamknięte w grobowcu gazy uwolniły się z sykiem.

— Boże! — Eugen zatoczył się do tyłu, rękami zasłaniając sobie nos i usta.

Corneliu, który stał nieco dalej, zaczerpnął powietrza i wytrzeszczył oczy. Broń w jego dłoni natychmiast zmieniła cel z pleców Harry'ego na coś, co najpierw usiadło, następnie wstało, wreszcie wyszło z ciemnej czeluści grobowca. Zanim jednak zdążył nacisnąć spust, Keogh złamał mu nadgarstek kopniakiem, na który, zdawało się, zbierał siły od lat. Pistolet poszybował, a w ślad za nim Corneliu — wprost w poparzone, pokryte pęcherzami, niebieskie i grobowo-szare ręce braci Zaharia. Ci chwycili go. Wpatrywali się weń wybałuszonymi, martwymi oczami, grożąc szerniałymi kośćmi zębów w ściągniętych, popalonych szczękach. Drugi agent, Eugen, bełkocąc przedzierał się przez zarośnięte jeżynami stare cmentarne działki w kierunku wyjścia. Nawet nie przystanął, by się obejrzeć... dopóki nie wpadł na coś, co na niego czekało. To byli ci pozostali, o których bracia Zaharia wspomnieli. Pełzające, spazmatycznie drgające części zwłok sprawiły, że Eugen zamarł w bezruchu. Jedną z cmentarnych postaci była kobieta, która straciła życie w strasznym wypadku. Dawno pochowana, z piersiami gnijącymi na brzuchu, ciałem odpadającym w groteskowych kawałkach. Stała jednak prosto na swych kikutach i z jakąś nadnaturalną siłą przywarła do roztrzęsionych ud Eugena, który wrzeszczał o zmiłowanie. Starał się odepchnąć upiorną twarz od swojej przepony. W końcu mu się to udało i stos pacierzowy zwłok kobiety przerwał się. Jej głowa odpadła do tyłu, odsłaniając robaki kłębiące się w gardle, żerujące na gnijącym mięsie i porwanych ścięgnach. Serią spazmatycznych kopnięć i podskoków zrodzonych z najczystszej trwogi, Eugen uwolnił się wreszcie od rozpadającego się tułowia i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął pistolet automatyczny, zwolnił bezpiecznik i wymierzył broń w kierunku tych nieprawdopodobnych, ożywionych ludzkich szczątków. Harry nie chciał, by pistolet wystrzelił. Zmarli w locie pochwycili obawy nekroskopa, jakby je wypowiedział. Kupa obrzydlistwa, która była beznogą kobietą poderwała się znowu i nadziała na broń Eugena. Obslizgłe ręce wciągnęły lufę w mazistą jamę jej karku. Własnym tułowiem wygłuszyła pierwszy strzał, a Harry dopilnował, aby nie było następnego. Zaszedł agenta od tyłu. Zacisnął skute kajdankami ręce i jednym ciosem pozbawił go przytomności. Następnie wykopnął pistolet z jego dłoni. Padając, Eugen widział twarz nekroskopa pograżającą się w ciemności.

Kilka minut później agent odzyskał przytomność. Przekonany, że wszystko to było jedynie szczególnie wyrazistym i przerażającym koszmarem... otworzył oczy i rozejrzał się dookoła.

— O Boże! O... mój... Boże! — wybuchnął.

— Nie mdlej — zawołał Harry. — Nie zostało mi wiele czasu, a chcę się jeszcze pewnych rzeczy dowiedzieć. Jeżeli nie otrzymam potrzebnych informacji, ci umarli ludzie mogą się na ciebie zdenerwować.

— Harry... Keogh! — wydyszał Eugen. — Ale ci ludzie... oni są martwi!



— Właśnie to powiedziałem — odrzekł Keogh. — Widzisz, w tym miejscu twoi sowieccy przyjaciele zrobili błąd. Powiedzieli ci, kim jestem, ale nie czym jestem. Nie powiedzieli ci, jak wielu mam przyjaciół ani że oni wszyscy są martwi.

Tamten wymamrotał po rumuńsku coś, co przeszło w histeryczny bełkot.

— Uspokój się — przerwał mu Harry — i mów po angielsku. Zapomnij, że ci ludzie nie żyją. Myśl o nich po prostu jako o moich przyjaciółach, którzy zrobili wszystko, aby mnie ochronić.

— Boże, czuję ich smród! — jęknął Eugen.

— Słuchaj, zamierzałeś przekazać mnie ludziom z KGB, którzy torturowaliby mnie, żeby wyciągnąć interesujące ich rzeczy, a następnie by mnie zabili. Dlaczego więc miałbym ci pobłażać? Albo więc weźmiesz się w garść i zaczniesz odpowiadać na moje pytania, albo zostawię cię z nimi.

Eugen walczył przez chwilę z samym sobą, a następnie usiadł. Czuł martwe, sztywne palce na swoich ramionach.

— Powiedz mi tylko jedno — poprosił. — Czy zwariowałem? Boże, nie mogę oddychać!

— To następna sprawa — odpowiedział Harry. — Im dłużej tu jesteś, tym bardziej igrasz ze swoim zdrowiem. Choroby mnożą się w zwłokach zmarłych, Eugen. Ty nie tylko czujesz ich zapach, ale także wdychasz je!

Głowa Eugena opadła. Nekroskop uderzył go w twarz. Dwa razy, mocno, obiema stronami dłoni. Oczy agenta otworzyły się, popatrzyły z furją, pełne strachu, Ion Zaharia trzymał go. Klęczał wewnątrz otwartego grobowca, wychylając się i krępując ręce Eugena, który siedział plecami do sarkofagu. „Patrzył” na niego wyblakłymi oczami. Za nim inni zmarli uformowali półkole. Niektórzy z nich byli zmumifikowanymi fragmentami, uwiędłymi, pomarszczonymi, suchymi jak papier. Wszyscy ruszali się, trzęśli, wygrażali, choć w milczeniu. Inna grupa zebrała się wokół leżącego z twarzą w ziemi Corneliu, który zemdlął w wyniku szoku i bólu z przetrąconego nadgarstka. Eugene patrzył przerażony, sparaliżowany.

— Czy oni mnie zabiją? — zapytał drżącym głosem.

— Nie, jeśli odpowiesz na moje pytania — odrzekł Keogh.

— Więc pytaj.

— Po pierwsze, mógłbyś mi to zdjąć.- Harry wyciągnął ręce, ciągle jeszcze skute kajdankami. — Zmarli są doskonali, kiedy zatrzymują i nie pozwalają wyjść, ale już nie tak bardzo przy drobiazgowej robocie. Nie są tak zręczni jak żywi.

Ion Zaharia niechętnie uwolnił rękę Eugena, by ten mógł wyjąć kluczyk z kieszeni. Po chwili Harry został uwolniony. Wstał więc i roztarł nadgarstki.

— Nie chcesz mnie chyba tutaj zostawić? — Twarz Eugena była biała.

— To zależy od ciebie. — Harry wzruszył ramionami. — Najpierw odpowiedz na moje pytania, a wtedy zobaczymy, co zrobić z tobą i twoim niesympatycznym, małym przyjacielem.

Podszedł do Corneliu, odzyskał swój bilet lotniczy, papierosy i zapałki. Następnie wrócił, przyklęknął i zabrał Eugenowi swój paszport.

— Chcę wiedzieć, czy będę mógł nadal z tego korzystać? A może na lotnisku czekają na mnie wasi ludzie? Innymi słowy: czy działaliście w pojedynkę, czy też inni z Securitate także pracują dla KGB?

— Nie wiem, być może — odpowiedział Eugen. — Ale tym razem działaliśmy na własną rękę. Skontaktowali się z nami przez telefon. Powiedzieli, którym samolotem przylecisz z Aten. Mieliśmy cię zwinąć i zatrzymać do czasu, aż ktoś się po ciebie zgłosi. Samolot z Moskwy przylatuje o trzynastej.

— A więc... czy mogę po prostu wrócić do Bukaresztu i wsiąść do mojego samolotu?

Eugen popatrzył kwaśno i nic nie powiedział, aż Ion zbliżył do niego swą szkaradną twarz i podniósł ostrzegająco palec.

— Tak. Na Boga! — wydyszał.

— Boga? — zdziwił się Harry, sięgając do kieszeni agenta po kluczyki do samochodu. Harry nie był pewien, czy jeszcze wierzy w Boga. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego zmarli wierzyli, nie będąc w niebie, które im obiecano. Ale jednak wierzyli, o czym przekonał się w kilku rozmowach. Bóg był nadzieją, Keogh nie nazywałby bluźnierstwem samego faktu wypowiedzenia imienia boskiego nadaremnie, mimo to zęby mu zgrzytały, ilekroć słyszał taki wykrzyknik z ust kogoś takiego jak Eugen.

— A ty wiesz o Nim wszystko, prawda? — dodał.

— Co? — zapytał tamten. — O kim?

Tego się właśnie Harry spodziewał: Eugen nic o Nim nie wiedział.

— No więc, idę już — powiedział — ale obawiam się, że wy będziecie musieli tu zostać. Ty i Corneliu. Nie mogę pozwolić wam odejść, przynajmniej nie teraz. Pozostaniecie więc czcigodnymi gośćmi moich przyjaciół tak długo, aż znajdę się dostatecznie daleko. Kiedy będę już bezpieczny w powietrzu, dam tym ludziom znać, że mogą was uwolnić, a także siebie samych.

— Ty... dasz im znać? — Eugen znowu zaczął się trząść i nie mógł tego opanować. — Jak ty dasz...?

— Zawołam — powiedział Harry z bezradosnym uśmiechem. — Nie martw się, usłyszają.

— A jeżeli on zacznie pierwszy wołać? — zapytał Ion Zaharia, kiedy Harry wychodził z cmentarza.

— Wtedy go ucisz — odpowiedział Harry. — Ale postaraj się go nie zabijać. Życie jest drogocenne, sam to wiesz najlepiej. Pozwól więc przeżyć im to, co im

jeszcze z życia zostało. A poza tym oni nie są warci, by przestawać z takimi, jak wy...

Harry wrócił do Bukaresztu. Zaparkował samochód na parkingu portu lotniczego i wcisnął kluczyki w ziemię kwietnika ustawionego w sali rezerwacji miejsc. Następnie, pięć minut po czasie, podał swój paszport i bagaż. Nikt nie zwrócił na niego specjalnej uwagi. Samolot Olympia Airlines wystartował dokładnie z jedenastominutowym opóźnieniem, o dwunastej pięćdziesiąt sześć. Kiedy skierował swój tępy nos na południe, w kierunku Bułgarii i Morza Egejskiego, trud Harry'ego został wynagrodzony widokiem odrzutowca Aeroflotu podchodzącego do lądowania. Na jego pokładzie znajdowało się paru jasnookich chłopaków, którzy za wszelką cenę chcieli dostać nekroskopa w swoje ręce. Czterdzieści minut później, widząc przez okrągłe okienko Morze Egejskie, Harry sięgnął mową zmarłych do cmentarza na rubieżach Ploesti.

— Jak leci? — zapytał.

— Bardzo dobrze, Harry. Nikogo tutaj nie było, a ci dwaj nie stanowią problemu. Ten duży w końcu zemdłał. Jego mały przyjaciel odzyskał przytomność, otworzył oczy i znowu odjechał.

— Ion, Alexandru i wy wszyscy. Wprost nie znajduję słów, by wam podziękować — powiedział nekroskop.

— Nie ma potrzeby. Czy możemy po prostu zostawić tych i... zakopać się z powrotem?

Harry instynktownie skinął głową. Rozłożył swoje siedzenie i wyciągnął się wygodnie. To wystarczyło zmarłym na rumuńskim cmentarzu, którzy udali się do swoich miejsc spoczynku.

— Jeszcze raz dziękuję — powiedział Harry, usuwając z głowy resztki myśli i pozwalając sobie na mały relaks. Po raz pierwszy od... co najmniej doby.

Harry spróbował złapać Faethora. Jeżeli mógł tak łatwo połączyć się z innymi, kontakt z od dawna nieżywym ojcem wampirów nie powinien stanowić żadnego problemu. Po kilku sekundach koncentracji uzyskał połączenie.

— Harry? Widzę, że jesteś bezpieczny. Ach, ty sobie dasz radę w każdych okolicznościach! — odezwał się wampir.

— Wiesz, że miałem kłopoty?

— Jak ci już przedtem mówiłem: niekiedy coś słyszę. Czy coś chcesz?

— Pomyślałem, że moglibyśmy sobie zaoszczędzić nieco czasu — mówił Harry. — Nie mam w tej chwili nic do roboty. Pomyślałem więc, że może teraz byłby dobry moment, abyś mi opowiedział resztę historii Janosza.

— Nie ma wiele do opowiadania. Ale jeśli chcesz...? — odrzekł Faethor.

— Chcę.

— Więc dobrze, mój synu. Niech tak będzie. — Wampir westchnął.

Jak już powiedziano, nie było mnie trzysta lat. Trzy wieki krwi. Wyprawa krzyżowa dała tylko początek. Później służyłem Dżyngis Chanowi i jego wnukowi, Batu. W 1240 Kijów zmieniłem w popiół. W końcu był najwyższy czas, by „umrzeć”... i powrócić jako Fereng Czarny, syn Ferenga! Następnie pod Hulego w 1258 pomogłem zniszczyć Bagdad. Ach, te lata łupiestwa, rozlewu krwi i gwałtu! Mongołowie tracili na znaczeniu, więc na przełomie wieku opuściłem ich, by walczyć za Islam. O tak, byłem Otomanem! Ja, Turkiem, muzułmańskim ghazi! Ach, co znaczy być zaciężnym! Z Turkami jeszcze przez półtora wieku syciłem się krwią, śmiercią i całym bogactwem, jakie niesie z sobą wojna. W końcu jednak mieszkalem już wśród nich zbyt długo i trzeba było zostawić ich sprawę. Wróciłem więc i posłałem Tibora do piachu. Następnie udałem się w niezmienione i nie podlegające zmianom góry, aby odnaleźć Janosza i zobaczyć, w jakim stanie utrzymał dla mnie zamek. Cały czas jednak miałem uszy otwarte. Uszy wampira są czułymi receptorami, możesz być pewien. Bardzo niewiele im uchodzi. Tak, a szczególnie odbierały wiadomości o moich synach, Tiborze i Janoszu. O tym pierwszym wiesz. A co z tym drugim? Janosz po prostu był chciwy. W czasie mej nieobecności zajmował się wieloma sprawami, ale głównie złodziejstwem. Czy to cię dziwi? Nie powinno. Barbarzyńscy piraci wyrosli z malutkich książątek w czasie chrześcijańsko-muzułmańskiego konfliktu wypraw krzyżowych. Teraz jest znowu żeglarzem. Och, zna morze wystarczająco dobrze. On, którego zawodem jest teraz wydobywanie skarbów z dna morskiego i wykopywanie ich na okolicznych wyspach. Ha! I kto, pytam, kto wiedziałby lepiej, gdzie ich szukać, niż on, który je ukrył ponad pięćset lat temu! I po co to wszystko było, możesz pomyśleć, to chomikowanie orzeszków, jakby miała nadejść jakaś sroga zima? Ale tak właśnie było! Tak, właśnie taka zima, gdyż Janosz wiele pracował nad swoją sztuką patrzenia w przyszłość, a to, co tam widział, wcale mu się nie podobało. Bez wątplenia, najpierw dostrzegł mój powrót. Nie musiał wcale patrzeć, by wiedzieć, jak z nim postąpię! Robił więc zapasy na następny raz, wykraczający daleko poza godzinę mojej zemsty. Chodzi o czas obecny, oczywiście, kiedy znowu porusza się po świecie ludzi. Ale, mógłbyś zapytać, zemstę za co? Marilene straciłem trzy czy cztery wieki wcześniej i mogłem go zabić od razu. Czemu więc? Po pierwsze, za dezercję. Żeby stać się piratem, musiał opuścić mój dom. Po drugie, za sposób, w jaki postąpił z moimi Cyganami. Już na samym początku mojej nieobecności wypędził plemię Ferengi i przywrócił do łask tych brudnych Zirrów, których przekląłem. Po trzecie wreszcie, za sposób, w jaki mnie witał, kiedy w końcu powróciłem. Zebrałem wiernych mi Cyganów, którzy pamiętali mnie, mimo wielu lat wygnania. Nie tych samych, nie, bo ci już dawno zamienili się w pył, ale synów ich synów. Ach, oni pamiętają legendy!

Niestety, kiedy przybyłem na miejsce, zastałem ruinę. No, może nie aż tak, ale prawie. Blanki waliły się. O wykopy nikt nie dbał. Ogólnie, wszystko było w marnym stanie. Pozostawione samemu sobie miejsce bardzo ucierpiało. Janosz,

skończywszy na razie z piractwem, zwrócił się ku innym zajęciom. Musiał gdzieś mieszkać. A tak, jak ja próbowałem śledzić jego karierę, tak i on śledził moją. Wiedział, że nadchodzę. Straż czuwała na zewnątrz. Wezwano mnie. Powiedziałem, kim jestem i... zostałem napadnięty! Mieli zaostrzone żerdzie z twardego drzewa i kusze z drewnianymi strzałami. Nosili długie, zakrzywione, tureckie noże. Mieli też srebro, czosnek. Przygotowali beczki z olejem i pochodnie. Uciekłem im. Na wysokie skały, o wiele mil stamtąd. Kuśtykałem w pośpiechu, wydając jakieś okrzyki bólu. Wiedzieli, że jestem ranny i że zaraz mnie pochwyć. Janosz wysłał za mną wszystkich swoich ludzi. Ale... ja jedynie ich wabiłem. Co, Father Ferency, z podkulonym ogonem, uciekający przed hołotą Zirrów?

Ha! W czasie, gdy oni wszyscy byli zajęci pościgiem, moja niewielka, ale wierna armia podeszła pod zamek, zajęła blanki i wykopy. A wysoko na szczytach zwróciłem się ku ścigającym mnie. Roześmiałem się. Uśmierciłem kilku z nich, rzuciłem się w czarną czeluść nocy i poszybowałem do mojego zamku jak za dawnych czasów. Tam zastałem Janosza już schwytanego. Powaliłem go na kolana. Następnie „powitałem” Zirrów, wracających w nieładzie do domu. Niewielu uszło rzezi. Ci, którzy przeżyli, rozpierzchli się po okolicy, by stać się na powrót podróżnikami, jak za dawnych czasów...

To właśnie wtedy odkryłem kilka mniejszej rangi zainteresowań Janosza, którym oddawał się, kiedy mnie nie było. Wtedy też zobaczyłem, jak bardzo go nie doceniałem. Mój zamek został zbudowany na fundamentach innego, wcześniejszego domostwa, piwnice którego Janosz odkopał. Zadbął o to, by były bardzo rozległe. Sięgały skał. W jakim celu? Tutaj leżała miara mego lekceważenia. Janosz powiedział mi, że pragnął zostać wampirem... ach, ale jak tego pragnął! W tych czasach nekromancja była sztuką. Posiadali ją i praktykowali także niektórzy zwyczajni ludzie, ale bez wrodzonego wampirom instynktu. Janosz wiedział, że jestem zręcznym nekromantą i chciał pójść w moje ślady. Nie zgodziłem się jednak nauczyć go moich technik. Wówczas postanowił odkryć swoje własne metody. Bez wątpienia konsultował się z wieloma nekromantami, by poznać ich sposoby. Rozległe piwnice zamku były mroczne, tajemne, a ich schody i przejścia, znane jedynie Janoszowi i garstce jego ludzi, z których wszyscy albo zginęli, albo uciekli.

Zszedłem z nim na dół, zobaczyć, czym się zajmował i tam odkryłem grobowe łupy z całej Wołoszczyzny i Transylwanii oraz okolicznych ziem. Nie, nie skarby jako takie, ale właśnie grobowe łupy! Czy wiesz, że w czasach prehistorycznych ludzie mieli zwyczaj palić swoich zmarłych i zakopywać wazy z ich prochami? Oczywiście, wiesz, bo ten obyczaj przetrwał. Jeszcze do teraz jest tyleż palenia, co zakopywania zmarłych. Trakowie pochowali w ten sposób bardzo wielu swoich zmarłych. Janosz ich wszystkich wygrzebał.

I znowu zapytasz: w jakim celu? Aby wydobyć z nich tajemnice! By przywrócić zmarłych do życia i nękać dla ich historii! Aby przyoblec ich popioły w ciała, które mógł torturować! Trakowie posiadali mnóstwo złota, a, jak powiedziałem, Janosz był chciwy. Nic nowego, prawda? Sto, dwieście, trzysta lat później nekromanci wciąż wywoływali dusze, aby odkryć ich skarby. Dwaj z waszych, Edward Kelly i John Dee, należeli do takich, ale obydwaj byli oszustami. Zetknąłem się z nimi w moich czasach. Metodę Janosza cechowała prostota: najpierw przenieść urnę do krypt zamku, gdzie za pomocą sztuk, które opanował, prochy mogły być zrekonstruowane. Następnie skuć biedaka tą drogą przywołanego i torturować go dla wiedzy o jego pobratymcach, położeniu ich grobów i o ukrytych schowkach.

Realizując tę politykę, Janosz zgromadził prawdziwe cmentarzysko ukradzionych naczyń, urn i lekythoi, tak, że mógł nimi zapełnić kilka obszernych pomieszczeń. Zaintrygowany, zażądałem, by zademonstrował mi swą sztukę. Gdyż, jak rozumiesz, nie była to nekromancja w pojęciu wampirów, ale coś nowego — przynajmniej dla mnie. I Janosz, wiedząc, że ciągle znajduje się w moich rękach, i starając się mi dogodzić, przystał na to. Wysypał prochy na podłogę i używając dziwnych słów w Inwokacji Mocy wyczarował z tych spopielonych szczątków Trakijkę o niezwykłej piękności. Jej język był skrajnie archaiczny, ale nie poza możliwością zrozumienia. W każdym razie, nie poza moją możliwością rozumienia, gdyż ja byłem wampirem i ekspertem od języków. Co więcej, wiedziała, że nie żyje i że to jest bluźnierstwo. Błagała Janosza, by nie wykorzystywał jej znowu. Z tego wywnioskowałem, że ten mój bękart nie tylko przyoblekał zmarłych w ich wcześniejsze kształty, ale niektórych z nich wykorzystywał więcej razy i to nie tylko w celu wywiedzenia się o położeniu ich zakopanych skarbów.

Byłem tak podniecony, że posiadałem ją, zanim pozwoliłem mu ją zredukować z powrotem do popiołów!

— Musisz mnie tego nauczyć — powiedziałem mu. — To jest twoja ostatnia szansa, by odkupić liczne grzechy wobec mnie.

Zgodził się i pokazał mi, jak mieszać razem pewne substancje chemiczne i prochy ludzkie, a następnie starannie napisał grupy słów na naciągniętej skórze. Pierwsza grupa, wzdłuż skierowanej w górę strzałki, była samą inwokacją, a druga była dewokacją.

— Brawo — wykrzyknąłem, kiedy już to miałem. — Muszę to teraz wypróbować.

— Jak widzisz — wskazał na liczne urny i słoje — masz szeroki wybór.

— W rzeczy samej — powiedziałem uroczyście, głaszcząc się po brodzie. I, zanim zorientował się w moich zamiarach, wyciągnąłem spod płaszcza drewniany kołek. Przebiłem go. Nie miało to wcale go zabić, nie, gdyż miał w sobie wampira. Jedynie go unieruchomiło. Wówczas wezwałem na dół kilku swoich zaufanych ludzi i spaliłem Janosza. Charczał, pluł pianą, jęczał, a na koniec nawet trochę krzyczał. Kiedy jego popioły, podstawowe sole życiowe, ostygły, przesia-

łem je, dodałem kilka chemikaliów... i użyłem jego własnej magii, aby powołać go znowu. Czy wtedy krzychał? Możesz mi wierzyć, że tak! Żar ogniska, miłośiennie krótki ból, był niczym w porównaniu z męką nie do zniesienia wynikającą z faktu, że teraz całkowicie i na wieczność wszedł w moje władanie. Tak myślałem... Lecz niestety, jego krzyk nie wynikał z uświadomienia tego, ale z rozdarcia, rozdziału bytu, co wytłumaczę za chwilę. Och, widzieć te chmury dymu, podnoszące się z jego suchych, zakurzonych pozostałości. Wielkie obłoki dymów i oparów... a z nich Janosz! Potykający się, nagi, krzychący. Ale... cud! Nie był sam. Z nim, ale całkowicie oddzielnie, istniał jego wampir. Moja płwocina rozrosnięta do stworzenia o niewielkiej lub zgoła żadnej własnej inteligencji. Pijawka, ślimak, wąż, lizska, wszystko razem nienawykłe do poruszania się o własnych siłach. Kwiliło, choć nie wiem, jak. Znałem za to rozwiązanie zagadki: pałac Janosza spaliłem dwa stworzenia, a powołując go znowu także ożywiłem dwa, ale oddzielnie! Wtedy... wpadłem na pomysł. Przyzwałem moich przerażonych ludzi. Rozkazałem im ująć Janosza i przytrzymać go przy ziemi.

— Więc chcesz zostać wampirem, tak? — powiedziałem, podchodząc do niego z mieczem. — A więc będziesz. To stworzenie jest wampirem, ale ma bardzo mało mózgu. Będzie więc miało twój! — krzyknąłem znowu.

Odjąłem mu głowę. Następnie rozciąłem czaszkę i wyjąłem jego żywy, ociekający mózg. Reszty z pewnością możesz się domyślić. Przy pomocy metody Janosza, ale trzymając jego ciało oddzielnie, przemieniłem jego głowę i wampira w jedną kupkę popiołu, którą następnie umieściłem w urnie pomiędzy innymi. Roześmiałem się, i śmiałem się tak, aż zacząłem krzycheć! Jeśli dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności będzie mógł powrócić, powróci jako... jako co? Bystry ślimak? Inteligentna pijawka? Do licha, byłoby zabawne przywołać go znowu i sprawdzić!

Lecz niestety, nic z tego nie wyszło, gdyż w końcu Janosz to uniemożliwił. Skóra, na której zapisał zaklęcia, była skalpem zdartym z jakiejś nieszczęsnej ofiary. Kiedy już pozbyłem się Janosza, skóra także rozkruszyła się na pył. Słowa Mocy stały się zawiłe i nie zapamiętałem ich, poza pojedynczym imieniem starożytnego bóstwa obszarów zewnętrznych. Jednak wciąż jeszcze miałem ciało mego bękartu. Spaliłem je także, tak, po raz drugi. Rozsypałem szczypty popiołów na cztery strony świata, a resztę rozsiałem na wiatr. I to był już koniec. Skończyłem z Janoszem. A teraz także skończyłem moją opowieść...

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### Pierwsza i druga krew

Faethor skończył. W głośnikach zapowiedziano, że samolot podchodzi do lądowania.

— Faethorze, za dziesięć minut będę na ziemi — zawołał Harry. — Zauważyłem, że stopniowo słabnie. Zaraz udam się na Rodos. Jest to więc prawdopodobnie moja ostatnia okazja, by kilka rzeczy powiedzieć.

— Chcesz coś powiedzieć?

Harry przedstawił sobie Faethora podnoszącego powieki.

— Po pierwsze... jestem ci winien podziękowanie — mówił Harry — ale po drugie, nie mogę powstrzymać się od myśli, że bez ciebie na samym początku, nic by się nie wydarzyło. Mam na myśli Tibora, Dragosaniego, Juliana Bodescu, a teraz Janosza. W porządku, mam wobec ciebie dług, ale też ciągle pamiętam, że byłeś istotą o czarnym sercu. Przysporzyłeś światu tylu potworów. Byłbym też kłamcą, gdybym ci nie powiedział, że moim zdaniem jesteś największym monstrum z nich wszystkich!

— Uważam to za komplement — odpowiedział Faethor bez wahania. — Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś wiedzieć?

— Tak, parę rzeczy — odrzekł Harry. — Jeżeli zniszczyłeś Janosza, jak udało mu się powrócić? To znaczy, jaką sztukę zastosował. Jaką ciemną magię sobie pozostawił, która go powołała z powrotem na świat? I dlaczego czekał tak długo? Dlaczego teraz?

— Czyż to nie jest oczywiste? — Faethor wydawał się być szczerze zdumiony naiwnością Harry'ego. — Wybiegł wzrokiem daleko w przyszłość — zaczął wampir — i ułożył swoje plany stosownie do tego. Wiedział, że go zniszczę, kiedy wrócę w góry. Wiedział też, że jeśli zjawi się za mojego trwania, znajdę sposób, by zrobić to znowu. Musiał więc czekać, aż odejdę z tego świata. Czas to taka drobnostka dla wampira, Harry. Co zaś do tej jego sprytniej sztuczki...

To ci przekłęci Zirrowie! Tak, wiem, że to oni. Mamrocą w swoich grobach jak i inni. Powiem ci, co się zdarzyło.



Długo po tym, jak mnie ani moich nie było już w zamku, jeden z ludzi Janosza powrócił i umieścił jego wampirze prochy w tajemnym miejscu przygotowanym na stosowną ewentualność. W czasie trzystu lat mojej nieobecności Janosz wyuczył się różnych sztuk magicznych. Miał wówczas kobietę Zirra, ten mój bękart. Zasiał swoje ziarno bardzo daleko i głęboko. Trzypalcy syn jego syna miał pewnego dnia poczuć nieprzepatą chęć wspięcia się do zamku w wysokich górach... Tym, który miał zejść w dół, miał być Janosz! Tak to zaplanował i tak też się stało...

— Wszystkie skarby, jakie zrabował ze starożytnych grobów, nigdy ich nie znalazłeś? — naciskał Harry. — Nie przeszukałeś własnego zamku?

— Trochę szukałem — brzmiała odpowiedź Faethora. — Ale czy nie słuchałeś? Skarby zostały gdzie indziej zakopane lub zatopione w morzu. Teraz dopiero może je wydobyć.

— Rzeczywiście — skinął Harry — zapomniałem.

— Co zaś do przeszukania całego miejsca — ciągnął wampir — nie, nie zrobiłem tego, nie każdą dziurę, jaką ten pies wykopał. Nie czułem już, że to jest moja posiadłość, ale że została skalana przez niego. Wszędzie czułem jego zapach, a nawet smak. Zamek posiadał jego piętno, nikczemny znak wyryty w kamieniu: nietoperz o czerwonych oczach powstający z urny. Korzystał z tamtego miejsca i uczynił go własnym. Nie chciałem z nim mieć więcej do czynienia. Mówiąc krótko, wyprowadziłem się. Co zaś do mojej późniejszej historii, ona ciebie nie dotyczy.

— A więc zamek wciąż stoi — odezwał się Harry. — A w jego fundamentach... co? Czy cokolwiek pozostało z „łupów grobowych” Janosza, eksperymentów z nekromancją? Zastanawia mnie to. Gdyż mimo wszystko wygląda na to, że stamtąd właśnie przybył w swoim najnowszym wcieleniu...

Faethor wiedział, że Harry myślał o innym zamku — w Karpatach, ale po stronie rosyjskiej, w regionie dawniej zwanym Korwaty, a teraz przez niektórych nazywanym Bukowiną. Tam też Faethor miał swój dom, dawno, dawno temu. To co pozostawiono w ziemi, krzyczało i jęczyło się straszliwie niebezpiecznie.

— Rozumiem twój niepokój — odparł wampir — ale myślę, że jest nieuzasadniony. Nie ma już mojego miejsca na wyżynach ponad starymi Halmagi i Yirurilio. Zostało zmiecione wspaniałym uderzeniem pioruna w październiku 1928.

— Tak, pamiętam — odpowiedział Harry. — Słyszałem o tym od Ladislau Giresci. Wyglądało to na eksplozję na przykład metanu nagromadzonego w podziemiach. To brzmi prawdopodobnie. Ale jeśli szczątki Janosza przetrwały, kto może powiedzieć, czy nie przetrwało coś jeszcze?

— Ale, jak ci tłumaczyłem — powiedział Faethor — Janosz poczynił przygotowania. Wszystko inne mogło przepaść, kiedy jego dom się rozleciał, ale on nie. Może Cyganie zabrali prochy w jakieś inne miejsce i przynieśli z powrotem do-

piero wtedy, kiedy dom leżał w gruzach, nie wiem. Może zrobili to wtedy, kiedy dom był własnością kogoś innego. Znowu nie potrafię powiedzieć.

— Jakiego innego? — zapytał Harry.

— Był jeden inny, tak. Opowiem ci o nim. — Faethor westchnął. — W ciągu XV, XVI, XVII a nawet XVIII wieku — zaczął — tak zwany „cywilizowany świat” stał się bardziej „świadomy” istnienia „wiedźm” i „czarnej magii”. Wiedźmy, nekromanci, demony, wampiry i tym podobne stworzenia, prawdziwe czy wymyślone, winne i niewinne — były prześladowane przez niez mordowanych poszukiwaczy. „Sprawdzone” torturami i niszczone. Prawdziwy wampir nigdy dotąd nie był świadomy swojej śmiertelności ani wielkiego wroga całego swego rodzaju, jakim jest rozgłos! Szczególnie wiek XVI nie okazał się dobrym czasem dla kogoś, kto został uznany zbyt starym, odmiennym, żyjącym samotnie. Lub choćby tylko wybijającym się. Mówiąc krótko, anonimowość zawsze była dla wampira synonimem długowieczności.

Teraz, w drugiej połowie XVII wieku poszukiwacze czarownic uaktywnili się w Ameryce. Z miejsca o nazwie Salem wygnano człowieka o imieniu Edward Hutchinson. Otrzymał mój stary dom w górach i zamieszkał tam... stanowczo zbyt długo! Był diabolitą, nekromantą, a przypuszczalnie też wampirem. Postąpił nieostrożnie zatrzymując się zbyt długo w jednym miejscu i to nabrało rozgłosu!

Studiował historię tego miejsca i przybrał kilka znamienitych pseudonimów: oprócz „Edwarda” zwykł też tytułować się „baronem”, „Janoszem” a nawet „Faethorem”, a w końcu zdecydował się na „barona Ferenczego”. Właśnie tym, jak sobie łatwo wyobrazić, zwrócił na siebie moją uwagę. Poczuliśmy się dotknięty. Także zresztą samym przebywaniem jego w tym zamku. Myślałem sobie, że pewnego dnia, kiedy zmienią się okoliczności, a piętno Janosza z latami spłowieje, może będę mógł tam powrócić. Wampiry, jak wiesz, przywiązują się do miejsc. Przrzekłem więc sobie, że kiedy nadejdzie mój czas wyboru i okoliczności pozwolą, wyrównam rachunki z panem Hutchinsonem.

Okoliczności jednak nigdy nie stały się sprzyjające. Musiałem dbać o własną egzystencję na tym ciągle kipiącym, zmieniającym się świecie. W ten sposób przez dwieście czy więcej lat ten obcy człowiek mieszkał w zamku, który wybudowałem. Mnie natomiast przyszło żyć samemu w domu w Ploesti.

Jak już powiedziałem, nabrał pewnego rozgłosu. Niewątpliwie zostałyby wezwany do Bukaresztu, by się wytłumaczyć, gdyby nie ta potężna eksplozja, która skończyła na zawsze z nim i jego pracami. Co zaś do Janosza, mogę tylko przypuszczać, że leżał w swym słoju czy urnie w sekretnym miejscu, czekając na swój czas i pewnego Cygana, o dłoniach z trzema palcami, który przyjdzie i go wybawi.

Ja zaś... powróciłem tam raz, gdzieś w 1930. Nie pytaj, dlaczego. Może chciałem zobaczyć, co pozostało z tego miejsca. Mógłbym nawet tam może zamieszkać, gdyby nadawało się do mieszkania. Ale nie, znak Janosza trwał wciąż w kamieniu, jego piętno w zaprawie murarskiej, jego zniechęcona pamięć w sa-

mej atmosferze ruin. Sam Janosz bowiem wciąż tam istniał! Wtedy jednak o tym nie wiedziałem.

Zdaje się, że w końcu Janosz znalazł się bliżej źródeł wampiryzmu niż kiedykolwiek mógłbym podejrzewać. Choć mój przegląd ruin w roku 1930 był bardzo pobieżny, to jednak znalazłem tam dowody pewnych prac, które... ale dość. Obydwaj jesteśmy zmęczeni i nie poświęcasz mi całej uwagi. Jednak, nic straconego. Wiesz to, co najistotniejsze. Reszta poczeka do następnego razu.

— Masz słuszość — powiedział Harry — jesteś zmęczony. Wyczerpanie nerwowe, jak sądzę.

Obiecał sobie, że prześpi się trochę. I słowa dotrzymał...

Samolot wylądował. Na lotnisku Harry'ego przywitał wprost obojętnie żar słoneczny. Wraz z innymi pasażerami udał się do odprawy celnej. Czuł w środku, że coś tu jest nie w porządku. Serce zabiło mu mocniej, kiedy za barierką sali przylotu zobaczył czekających na niego Manolisa Papastamosa i Clarke'a. Na ich twarzach również było wypisane, że coś się stało. Przy całym słonecznym blasku i żarze wyglądali zimno, blade, niezdrowo.

Patrzył na nich. Starał się wyczytać z ich oczu odpowiedź. Wreszcie prawie wyrwał swój podrobiony paszport z rąk urzędnika. Pospieszył ku nim. „Brakuje Sandry, ale nic dziwnego, gdyż teraz już jest w Londynie... czy nie?” — pomyślał.

— A gdzie Sandra? — zapytał Harry.

Popatrzeni na niego z niepokojem.

— Odpowiedzcie — poprosił, zadziwiająco spokojny.

Opowiedzieli więc...

Dwadzieścia jeden godzin wcześniej.

Darcy eskortował Sandrę na lotnisko. Został z nią, aż do rozpoczęcia odprawy... prawie. Gdyż w ostatniej chwili musiał pójść do WC. Toalety znajdowały się w pewnej odległości od drzwi wejściowych. Wychodząc stamtąd, musiał przebiec całą długość terminalu, by pomachać jej na pożegnanie. Zanim znalazł odpowiednie miejsce, ostatni z pasażerów zniknął już w drzwiach samolotu. Jednak pomachał i tak, myśląc, że może ona widzi go przez okienko. Samolot wystartował, a Clarke wrócił samochodem do willi i zaczął się pakować. Czynność tę przerwał mu telefon od Manolisa. Grek pomyślał, że od momentu, kiedy Sandra została ze sprawy wyłączona, Darcy nie powinien mieszkać sam. Grecki policjant wynajął pokoje w hotelu w centrum miasta. Zanim wyjechał, by przeprowadzić Darcy'ego na nowe miejsce, postanowił zadzwonić na lotnisko i upewnić się, że Sandra bezpiecznie odleciała. I wówczas dowiedział się, że nie zgłosiła się nawet do odprawy.

— Co? — Darcy nie mógł uwierzyć. — Ale ja tam byłem. To znaczy... poszedłem do...

— Tak?

— Gówno! — zaklął Darcy, gdy prawda do niego dotarła.

— Byłeś w gównie?

— Nie, w cholernej toalecie — jęknął Darcy — co w tym wypadku na jedno wychodzi. Manolis, czy nie rozumiesz? To zadziałał mój talent, w moim imieniu. Przeciw tej biednej dziewczynie.

— Twój talent?

— Mój anioł stróż, coś, co trzyma mnie z dala od kłopotów. To nie jest coś, co mógłbym kontrolować. Działa na różne sposoby. Tym razem dostrzegłem niebezpieczeństwo gdzieś w pobliżu i... i musiałem iść do tej cholernej toalety!

Teraz Manolis zrozumiał i pojął całą grozę sytuacji.

— Porwali ją? — wysyczał — ta kreatura Lazarides i jego wampiry, ściągnęły pierwszą krew?

— Tak, na Boga! — odpowiedział Darcy — żadne inne wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

Manolis wyrzucił z siebie długi potok słów w rodzimej greczyźnie. Przekleństwa, jak domyślił się Darcy.

— Słuchaj, poczekaj na mnie, będę za chwilę — powiedział Grek.

— Nie — odparł Darcy — spotkajmy się tam, gdzie byliśmy poprzedniej nocy. Chryste, muszę się napić!

— Dobrze — odrzekł Papastamos. — Piętnaście minut...

Darcy był przy trzeciej metaxie, kiedy Manolis przyjechał.

— Chcesz się upić? — powiedział. — To nie pomoże.

— Nie — odparł Darcy — po prostu potrzebuję usztywniacza. I wiesz, o czym ciągle myślę? Co powiem Harry'emu. Właśnie o tym!

— To nie twoja wina — współczuł mu Manolis — i musisz przestać o tym myśleć. Harry wraca jutro. Do tego czasu każdy policjant na wyspie będzie szukał Lazaridesa, jego załogi i statku, i Sandry, oczywiście. Wydałem rozkazy, zanim tutaj przyjechałem. Powinienem też od rana mieć komplet informacji o tym świńskim Vrykoulakasie. Nie tylko z Aten, ale również z Ameryki. Prawa ręka Lazaridesa, człowiek o nazwisku Armstrong, jest Amerykaninem.

Darcy popatrzył na Manolisa. „Chryste, dzięki ci za tego człowieka!” — pomyślał.

Darcy nie był tajnym agentem, ani nawet policjantem. Związał się z INTESP nie dlatego, że potrzebowali jego talentu, lecz dlatego że wszelkie takie niesamowite i ezoteryczne moce ich interesowały. Nie mógł jednak użyć go jak telepaci i wróżbici używali swoich. Poza specjalnymi przypadkami pozostawał właściwie bezużyteczny. W kilku sytuacjach Darcy'emu wydawało się nawet, że talent użył jego. Z pewnością stanowiło to dla niego przyczynę złego samopoczucia. Na

przykład, przy sprawie Bodescu, kiedy jego talent trzymał go w spokoju i bezpieczeństwie, kosztem innych esperów. Darcy ciągle jeszcze nie mógł sobie tego wybaczyć. I teraz znowu zdarzyło się to samo. Gdyby Papastamos nie panował nad sytuacją...

— Co, twoim zdaniem, powinniśmy teraz robić? — zapytał Clarke.

— A co możemy robić? — odpowiedział Grek. — Dopóki nie wiemy, gdzie są Lazarides i dziewczyna, nic nie możemy zrobić. A nawet wtedy będę potrzebował zezwolenia, by ruszyć na tę kreaturę. Chyba, że... zawsze mógłbym oświadczyć, że miałem mocne podejrzenia związane z przemytem narkotyków, i osaczyć go nawet bez pozwolenia! Ale lepiej, żebyśmy wiedzieli o nim wszystko. Harry Keogh też może mieć jakieś pomysły. Na teraz więc — wzruszył ramionami, ale ciężkawo i z widocznym rozdrażnieniem — nic.

— Ale...

— Nie ma żadnych „ale”. Możemy tylko czekać. — Wstał. — Chodź, weźmiemy twoje rzeczy.

Pojechali do willi i tam Darcy poczuł dziwną niechęć do opuszczenia samochodu.

— Wiesz co? — powiedział — czuję się bardzo zmęczony. Myślę, że to te nerwy.

— Myślę, że to ta metaxa! — odparł cierpko Manolis.

Podeszli do drzwi. Nagle Darcy zorientował się, że „to” nie był żaden z tych powodów. Chwycił Greka za ramię.

— Manolis, ktoś jest w środku — wyszeptał ochryple.

— Co? — Manolis spojrzał na niego. — Skąd wiesz?

— Wiem, ponieważ nie chcę tam wejść. Odezwał się mój anioł stróż, mój talent. Ktoś tam czeka na nas, a przynajmniej na mnie. To moja wina. Kiedy wychodziłem, byłem w takim stanie, że zostawiłem drzwi otwarte.

— A teraz jesteś pewien, że ktoś tam jest, tak? — Głos Manolisa był jedynie powiewem oddechu.

Grek wyjął pistolet, założył tłumik i przeładował.

— Boże, tak! — Teraz z kolei Darcy mówił bezgłośnie. — To tak, jakby ktoś próbował mnie zawrócić i dać kopa w tyłek, abym się stąd wynosił do diabła! Najpierw nie chciałem wysiąść z samochodu, a teraz z każdym krokiem to się nasila. I wierz mi, jest nieubłagany.

— A więc będzie mój — powiedział Manolis, pokazując Darcy’emu pistolet. — Bo on jest także nieubłagany! — Wyciągnął rękę i dotknął drzwi, które otworzyły się cicho. — Idź za mną — obrócił się bokiem, nieco się skulił i wślizgnął do środka.

Wszystkie władze Darcy’ego, każde włókienko jego ciała, krzyczały: „Uciekaj!” Wszedł jednak za Manolisem do środka. Nie chciał zrobić z siebie tchórza tym razem.

Manolis włączył światło. Główny salon był pusty, wyglądał tak, jak go Darcy zostawił.

— Gdzie? — zapytał szeptem Grek.

Darcy rozejrzał się po pokoju.

— No i co? — Manolis niecierpliwił się.

Darcy położył palec na wargach, przemknął do łóżek i wysunął walizkę Harry'ego. Zamki były otwarte. Podniósł pokrywę, wyjął kuszę, załadował ją. Podkrał się do drzwi sypialni. Otworzyły się z trzaskiem, odtrącając Darcy'ego na bok. Seth Armstrong stał we framudze. Wystarczyło popatrzeć na niego, groźnego, podobnego do małpy, żeby nie mieć wątpliwości co do jego odmienności. Co do faktu, że był czymś mniej albo więcej niż człowiekiem. W przyćmionym świetle jego lewe oko, ogromne, żarzyło się na żółto, podczas gdy prawe ukryte było pod przepaską.

— Stać! Nie ruszać się — krzyknął Grek.

Armstrong tylko uśmiechnął się pośennie i ruszył ku Manolisowi sprężystym krokiem.

— Zastrzel go! — zawołał Darcy. — Na rany Chrystusa, strzelaj!

Manolis nie miał wyboru, gdyż Armstrong już nad nim stał. Wypalił dwukrotnie. Najpierw w ramię, a następnie w brzuch. Armstrong nawet nie drgnął. Chwycił Manolisa i cisnął nim o ścianę. Pistolet poszybował w powietrzu.

— Hej, ty! — krzyknął Darcy w szoku. — Ty pieprzony wampirze.

Armstrong podciągnął Manolisa do własnych stóp, pochylił nad nim swą szkaradną twarz. Wtedy Darcy, mierząc w serce, pociągnął za spust kuszy. To załatwiło sprawę. Strzała weszła. Amerykanin dławiąc się i krztusząc próbował chwycić bełt i wyrwać go. Grot ugodził blisko serca, które pompowało wampirzą krew. Manolis podniósł się z podłogi. Sięgnął po pistolet. Wycelował po raz drugi i władował cztery pociski w ślaniającego się wampira. Teraz kule odniosły lepszy efekt. Każda, niczym uderzenie kafara, odrzucała Armstronga do tyłu. Ostatnia cisnęła go na okno, przez które, wraz z deszczem okruchów szkła i szczątków potrzaskanej żaluzji, wyleciał na zewnątrz. Darcy załadował kuszę. Potykając się wybiegł do ogrodu, a Manolis zaraz za nim. Armstrong leżał płasko na plecach, szarpiąc strzałę. Darcy nie ryzykował. Z odległości nie większej niż metr wysłał drugi bełt. Przebił wampirze serce. Ciało przyszpilił do ziemi i unieruchomił.

— Czy on... czy jest skończony? — zapytał Manolis drżącym głosem.

— Spójrz na niego. — Darcy oddychał ciężko — Czy wygląda na skończonego? Nie, jeszcze nie.

Armstrong leżał prawie nieruchomo. Kurczył palce, szczęki zgrzytały, a jego płonące, żółte oko, śledziło ich, chodzących dokoła. Przepaska zsunęła mu się i pusty oczodół tchnął czernią.

— Uważaj na niego — zakomenderował esper i wbiegł do domu. Po chwili był z powrotem, niosąc ostry jak brzytwa tasak o długim ostrzu.

— Co? — Manolis krzyknął nerwowo.

— Kołek, miecz i ogień! — odpowiedział Darcy.

— Dekapitacja?

— I to z miejsca. Jego wampir już go kuruje. Popatrz, nie ma krwi. Zwykłego człowieka twoje pociski rozerwałyby na strzępy. A ten dostał sześć i nawet nie krwawi! Dwie strzały, jedna w samym sercu, a jego ręce ciągle pracują. Oczy także... i jego uszy!

Clarke miał rację. Armstrong słyszał ich rozmowę i jego obrzydliwie wybałuszone lewe oko obróciło się i wpatrywało się w tasak w ręce Darcy'ego. Od nowa zaczął bulgotać, jego ciało wirowało przy ziemi. Prawą piętą rozkopywał glebę ogrodu.

Darcy przykleknął obok. Wampir próbował go odpędzić spazmatycznymi ruchami prawej ręki. Nie mógł jednak sięgnąć, nie potrafił zmusić swych kończyn do właściwego funkcjonowania. Piana, flegma i krew wypełniły gardło potwora. Po chwili opadł i znieruchomiał.

Darcy zacisnął zęby, podniósł tasak...

Nagle błona z jamy prawego oka Armstronga wybrzuszyła się i pękła. Niebieskoszary, pulsujący palec wypełził na policzek.

— Jezus! — Darcy przewrócił się na plecy, omal nie zemdlął. Manolis przejął ciężar sprawy. Wypalił w twarz Armstronga, szarpiąc spust swego pistoletu. Po chwili wyjął tasak ze sztywnych palców espera i silnym uderzeniem odjął wampirovi głowę. Darcy odwrócił się i wymiotował.

— Teraz... musimy spalić... tego skurwiela! — zawołał.

Manolis też był do tego skory. Lampy działały na naftę, a w kuchni stała zapasowa puszka tego paliwa. Zanim Darcy zdołał zapanować nad swoim żołądkiem, szczątki Armstronga już płonęły.

— Nigdy nie wiadomo — powiedział Clarke, wycierając usta chusteczką. — Może w nim siedzieć znacznie więcej niż tylko ten obrzydliwy paluch!

— Mam nadzieję, że tak tego nie zostawiliście — powiedział Harry. — Nafta mogła nie spalić go całego.

— Manolis załatwił worek do zwłok — wyjaśnił Darcy. Zawieźliśmy go do kotłowni w przemysłowej części miasta. Powiedzieliśmy, że to sparszywiaty pies, który przyczołgał się do naszego ogrodu, by umrzeć. Żar pieca spalił jego kości na pył.

— A więc wzięliśmy drugą krew — warknął Harry z taką niezwykłą dla niego srogością, że pozostali popatrzeni na niego zaskoczeni.

Darcy zdążył zauważyć, że jego oczy są pełne uczucia, a może właśnie bardziej bezduszne niż kiedykolwiek.

— Harry, co do Sandry... — zaczął znów się tłumaczyć.

— To nie była twoja wina — przerwał mu nekroskop. — Jeżeli w ogóle czyjaś, to moja. Powiniennem osobiście dopilnować, żeby została z tego wyłączona. Ale my nie możemy teraz o niej myśleć, a mi o niej myśleć nie wolno, jeżeli mam zachować zdolność koncentracji. Manolis, czy informacje, na które czekałem, dotarły?

— Wielkie mnóstwo informacji — odpowiedział tamten. — Prawie wszystko, za wyjątkiem tego, co najważniejsze.

Greki prowadził samochód, a Darcy i Harry siedzieli z tyłu. Zbliżali się do centrum Nowego Miasta Rodos. Nie minęła jeszcze szósta po południu, ale na ulicach kręciło się już trochę turystów.

— Popatrzcie na nich — powiedział Harry zimnym głosem. — Są szczęśliwi. Weselą się i stroją. Przez cały dzień mieli błękitne niebo i błękitne morze. Świat jest piękny. Nie wiedzą, że pomiędzy całym tym błękitem wiją się szkarłatne nitki. Nie uwierzyliby, nawet gdyby im powiedziano.

— Masz rację Harry — odezwał się esper.

— Powiedz wszystko, czego się dowiedziałeś. — Harry zwrócił się do Greka.

— Lazarides odnosi wielkie sukcesy jako archeolog — zaczął Manolis. — Nabral rozgłosu cztery lata temu, dzięki kilku ważnym znaleziskom na Krecie, Lesbos i Skiros. Przed tym... nie mamy na niego dużo. Ale on rzeczywiście posiada obywatelstwo greckie i rumuńskie. To bardzo dziwne, jeżeli nie zupełnie wyjątkowe. Władze w Atenach sprawdzają to, ale... to jest Grecja. Wszystko musi trochę potrwać. A ten Lazarides ma przyjaciół wysoko. Może kupił sobie to obywatelstwo? Na pewno miałby na to forszę, jeżeli pogłoski są prawdziwe. Pogłoski? Jest ich pełno! Mówi się, że on trzyma albo sprzedaje pozbawionym skrupułów kolekcjonerom, co najmniej połowę wydobywanych przez siebie skarbów, a także, że jest, jak to wy mówicie, Midasem? Wszystko, czego się dotknie, zamienia się w złoto, wystarczy mu spojrzeć na jakąś wyspę, by wiedzieć, czy jest tam jakiś skarb. W tej chwili jego ludzie kopią w starym zamku krzyżowców na Halki!

— Wszystko rozumiem — Harry skinął głową — i wytłumaczę wam później. Co jeszcze?

Manolis skręcił z zatłoczonej szosy w lewo w boczną uliczkę. Następnie znowu w lewo i zatrzymał się na niewielkim, prywatnym parkingu na tyłach swojego hotelu.

— Porozmawiamy w środku — powiedział.

Miał tam dobry, przestronny pokój. Właściciel hotelu najwyraźniej zawdzięczał coś miejscowej policji i Manolis z tego korzystał. Mówiąc przygotowywał chłodne drinki o niewielkiej zawartości alkoholu. Jak na Greka, obficie się pocił. Darcy raz i drugi zwrócił na to uwagę, a Manolis wzruszył ramionami.

— Jesteśmy przestępcami — wyjaśnił. — Przepraszam przestępcą. Jestem mordercą i przejmuję się tym.



— Armstrong? — zdziwił się Harry. — W całym swoim życiu nie zrobiłeś nic bardziej ważnego?

— Ale jednak to zrobiłem i ukryłem to, i to mnie martwi.

— Daj spokój — nalegał Harry. — Być może zrobisz to znowu, szybciej, niż myślisz. Opowiedz mi więcej o Lazaridesie.

Manolis skinął głową.

— Zakupił wyspę — zaczął — no, właściwie skałę, na Dodekanezach, niedaleko Sirny. Co to za wyspa? Malutka plaża i kiel skalny sterczący wprost z morza. Ale planuje zbudować tam dom, na płaskowyżu. W czasie wypraw krzyżowych stała tam wieża, faros. Co on tam robi, można tylko zgadywać. Nie ma tam wody. Wszystko trzeba będzie dostarczać drogą morską. Będzie tam bardzo samotny!

— Gniazdo — powiedział Harry — lub coś zbliżonego. Ciągłe pragnie zostać wampirem!

— Ech?

— Nieważne. Dalej.

Manolis znowu wzruszył ramionami.

— Trzyma mały, prywatny aeroplan — kontynuował Grek. — Jest tam teraz pas startowy. Lata tym samolotem do Aten, na Krete i jeszcze gdzie indziej. Kto wie, może nawet do Rumunii? Niekiedy można spotkać jego łódź niedaleko Karpatos. Nie martw się, mam tam człowieka. Kazałem szukać statku Lazaridesa. Oczekuję telefonu w każdej chwili. . .

— Coś jeszcze? — Keogh był bardzo, bardzo blady. Wyglądał, jakby słońce wcale go nie tknęło.

— O Armstrongu — powiedział Manolis. — Pięc i pół roku temu wybrał się z kilkoma amerykańskimi przyjaciółmi na wycieczkę gdzieś do Europy. . . to wszystko, co wiem, gdzieś do Europy. W górach zdarzył się wypadek, czy coś takiego i kilku ludzi zginęło. Armstrong przeżył, ale nie wrócił do Ameryki. Skończył tu, w Grecji, i wystąpił o greckie obywatelstwo. A poza tym pracuje dla Lazaridesa.

— I to tyle? — zapytał nekroskop posępnie.

— To tyle — odparł Manolis. — Ach, jeszcze jedno. Mam pozwolenie na ściganie tego psa Vrykoulakasa aż do piekła.

— Nie spaliśmy wiele ostatniej nocy — odezwał się Darcy. — Manolis spędził mnóstwo czasu dzwoniąc do Aten. Popchnęliśmy narkotykową stronę tej sprawy najdalej, jak było można. Teraz możemy użyć całej siły, jaka jest potrzebna, by znaleźć i zatrzymać Lazaridesa i jego paczkę.

— Jeżeli ich znajdziemy. — Harry jak echo powtórzył słowa Manolisa.

— Dwóch czy trzech z nich możemy znaleźć bez trudu! — powiedział Grek. — Na Halki, gdzie kopią w ruinach.

Harry skinął głową.

— To będzie równie dobre miejsce do startu, jak każde inne. Chciałbym też zobaczyć ten skalny kiel na Dodekanezach. W porządku, teraz ja wam powiem, czego się dowiedziałem i zobaczycie sami, jak to do siebie pasuje. Ale ostrzegam, to jest całkiem niewiarygodna historia.

Opowiedział im wszystko, a oni słuchali zafascynowani.

— Odzyskałem więc moją mowę zmarłych — zakończył — co jest krokiem we właściwym kierunku.

— Jesteś bardzo zimny — powiedział do niego Manolis. — Pomyślałem tak od razu, jak cię spotkałem. Mówisz o krokach we właściwym kierunku, podczas gdy Sandra, twoja dziewczyna. . .

— Manolis — zatrzymał go Harry. — Nie ma człowieka, który stracił więcej niż ja. Nie, nie robię z siebie męczennika, po prostu stwierdzam fakt. To się zaczęło, kiedy byłem dzieckiem, i trwa do teraz. Utraciłem prawie każdą osobę, jaką kochałem. Utraciłem nawet mojego syna w innym świecie, dla innego wyznania. Tego samego przekłętego wyznania — wampiryzmu! A im więcej tracisz, tym bardziej ciebie to pochłania. Zapytaj jakiegoś nałogowego gracza. Oni nie grają, by wygrać, ale by stracić.

— Harry — Darcy wziął go za rękę — spokojnie.

— Daj mi skończyć. Więc ja także grałem, aby wygrać. Ale to jest diabelska gra, kiedy wszystkie karty są znaczone przeciwko tobie. Chcesz, żebym płakał za Sandrą? Może i będę, później. Chcesz, żebym się rozkleił, aby ci pokazać, jaki zacny ze mnie gość? Tak, kochałem Sandrę, tak sądzę. Ale teraz jest już za późno, żeby coś zrobić. Ona jest po prostu następną istotą, którą straciłem. To jest jedyny sposób, w jaki mogę do tego podchodzić i wciąż działać. Tyle tylko, że może teraz zaczną znowu wygrywać. My może zaczniemy wygrywać. Nie Sandra, ponieważ ona jest martwa. A jeśli nie jest, to lepiej, żeby była. Teraz znam tego Janosza Ferenczego i wiem o czym mówię. Nazywasz mnie zimnym, ale nie wiesz, jak płonę w środku. A teraz proszę, wyświadczyć mi grzeczność: przestań się martwić o Sandrę. Już za późno. To jest wojna i ona jest ofiarą wojny. Teraz my musimy oddać cios, skoro jeszcze mamy szansę!

Przez długie chwile Manolis nic nie odpowiadał.

— Mój przyjacielu — odezwał się w końcu — żyjesz w wielkim napięciu. Dźwigasz na barkach wielki ciężar, a ja jestem wielkim głupcem. Nie mogę mieć nadziei, że dowiem się, czym to jest dla ciebie. Nie jesteś zwyczajnym człowiekiem, a ja nie miałem prawa mówić do ciebie tak, jak mówiłem, ani myśleć tego, co myślałem.

Harry wstał. Manolis spostrzegł, że jego pełne uczucia oczy zasnuwa mgła. Kopnął krzesło i nierównym krokiem podążył do łazienki. . .

Później.

— Szczególną nienawiścią w tym wszystkim — mówił Keogh — napawa mnie to, że on się z nas śmieje. Z nas wszystkich, z rodzaju ludzkiego, a ze mnie może bardziej niż z innych. To jest wampirze ego. Nazwał siebie Lazarides, po biblijnym Łazarzu, wskrzeszonym do życia przez Chrystusa. W zależności od waszych wierzeń, to samo w sobie może być bluźnierstwem. Ale na tym nie poprzestał. Aby wbić nam to do głowy i dowieść swych racji nazwał swą łódź tym samym imieniem! Prowokuje nas, byśmy go odkryli, krzyczy: „Hej, patrzcie, wróciłem!”. Łamie pierwszą zasadę wampirów i szuka rozgłosu na kilka sposobów. I sędzę, że robi to rozmyślnie.

— Ale dlaczego? — zapytał Darcy.

— Ponieważ może sobie na to pozwolić! — brzmiała odpowiedź. — Ponieważ ludzie już nie wierzą w wampiry. Nie myślę o nas, ale o ludziach w ogólności. W dzisiejszym świecie może sobie pozwolić na rozgłos, ponieważ do pewnego momentu nic mu z naszej strony nie grozi. Ale robi to również dlatego, że wie, iż ci, którzy wierzą w wampiry powstaną przeciw niemu.

— Uważasz, że... on chce otwartego starcia?

— O tak, bo widział przyszłość! W tym był zawsze najlepszy, tą drogą udaremnił plany Faethora. Wie, że musi dojść do otwartego starcia, prowadzi więc wszystko tak, aby uzyskać jak najlepszą pozycję. Użyje przeciwko mnie mojej własnej broni i przeciw każdemu, kto jest ze mną. Ma Kena Layarda, więc może każdego z nas zlokalizować. Okaleczył Trevora Jordana, abyśmy nie mieli z niego pożytku. Porwał Sandrę nie z urazy, ani też z chciwości czy żądzy, ale dlatego, żeby mnie lepiej poznać, ponieważ wtedy będzie świadom nie tylko mojej siły, ale i moich słabości. Ostatniej nocy zaś wysłał swego niewolnika, Armstronga, aby was wypróbował i ewentualnie zniszczył. Chciał pozbawić mnie w ten sposób ostatniej podpory.

— Ale jeżeli on może oglądać przyszłość, to czy nie zobaczył, że dostaniemy Armstronga? — Manolis użył swej policyjnej logiki. — A wobec tego, dlaczego tak po prostu go poświęcił?

— Test — odparł Harry — jak powiedziałem. Nie patrzył na to jak na poświęcenie. Wampiry nie mają przyjaciół, jedynie niewolników. A poza tym Armstrong był tylko jednym z graczy Janosza. Ma ich dużo więcej. Kena Layarda na przykład, który może zrobić to wszystko, co Armstrong, i jeszcze więcej. Ale rozumiem twoje pytanie: po co prowokować potyczkę, której nie można wygrać, tak?

— Tak.

Harry potrząsnął głową.

— Przyszłość nie jest taka — powiedział. — Nie jest łatwo czytelna ani bezpieczna. Nie można jej uniknąć. A jeszcze musisz pamiętać, że nic nie jest pewne, zanim się nie wydarzy. Był kiedyś człowiek, rosyjski esper, o imieniu Igor Władik.

Spotkałem go raz w kontinuum Möbiusa. W życiu był przepowiadaczem, czytał przyszłość. A kiedy umarł, robił to dalej, i w końcu stał się panem czasu przyszłego i przeszłego. Tak jak przestrzeń była otwartą książką dla Möbiusa, tak czas stał się boiskiem Władika. Bezcielesny, przemierzał rzekę czasu. Powiedział mi, że kiedy żył, uważał swoją przyszłość za nietykalną. Nie czytał w niej, bo czuł, że byłoby to kuszeniem losu. Nie chciał wiedzieć, kiedy, czy też jak jego czas nadejdzie, gdyż zdawał sobie sprawę, że jedynie trwożyłby się coraz bardziej. Ostatecznie jednak w chwili niepewności i lęku złamał tę zasadę i przepowiedział własną śmierć. Zdawało mu się, że wie, z której strony świata to nadchodzi. Uciekł przed tym. Pomylił się jednak i wpadł wprost w to! Postąpił jak człowiek, który przechodzi przez tory kolejowe, widzi zbliżający się pociąg i skacze, by przed nim uciec... wprost pod koła innego pociągu.

— To znaczy, że Janosz nie może ufać temu, co wyczyta z przyszłości? — zapytał Darcy.

— Może ufać tylko do pewnego stopnia — odrzekł nekroskop. — Widzi tylko ogólny schemat zdarzeń, a nie drobne szczegóły. A cokolwiek ujrzy, wie, że i tak nie może tego uniknąć. Na przykład, wiedział, że Faethor go zniszczy, ale popatrzył dalej, do momentu, kiedy powróci. Nie mógł powstrzymać Faethora i tak naprawdę wcale nie próbował, gdyż nieuchronne jest z definicji nieuniknione.

Manolis starał się nadażyć za tym wszystkim. Poczł jednak niejaką bezradność sytuacji.

— Ale, jak wobec tego możesz w ogóle myśleć o pobiciu tej kreatury? Wydaje mi się, że jest... niewycięzalna! — zapytał.

Harry uśmiechnął się obcym, ponurym uśmiechem.

— Niewycięzony? Nie byłbym tego taki pewien. Ale jestem pewien, że on chce, abyśmy tak myśleli. Zapytaj samego siebie: jeżeli on jest niewycięzony, to dlaczego się nami w ogóle przejmuje? I dlaczego tak się mnie lęka? Nie, Igor Władik miał rację: przyszłość nigdy nie jest pewna i prawdę tylko czas pokaże. A poza tym, co to za różnica? Jeżeli ja go nie odnajdę, on sam mnie poszuka. — Harry pokiwał głową. — Otwarte starcie zbliża się. I teraz to Janosz ciągnie za sznurki. Możemy mieć jedynie nadzieję, że ta manipulacja go przerośnie, że zrobi taki sam błąd, jak Igor Władik... i wejdzie pod nadjeżdżający pociąg.

O godzinie ósmej wieczorem Manolis odebrał telefon. Okazało się, że aeroplan Lazaridesa wystartował o trzeciej w nocy z Karpatos, w nieznanym kierunku. Na pokładzie obok Lazaridesa znajdowali się mężczyzna i kobieta. Prawdopodobnie Sandra i Ken Layard.

Harry przygotował się na przyjęcie podobnej wiadomości. Nie był więc tak bardzo wstrząśnięty, ale raczej zaskoczony.

— Co to znaczy: w nieznanym kierunku? Czy przepisy lotnicze nie wymagają jakiegoś objaśnienia? Czy nie podał trasy podróży, nie przechodził przez odprawę celną czy cokolwiek takiego.

— Powtarzam, to jest Grecja. — Manolis zachnął się. — A Karpatos to mała wyspa. Port lotniczy. . . to zwykła szopa! Istnieje dopiero od roku czy dwóch, a nie byłoby go w ogóle, gdyby nie turyści. Mówisz odprawa celna? Jeżeli jesteś Grekiem, wylatujesz! A o trzeciej rano! Patrzcie no, i tak mnie zadziwia, że ktokolwiek zadał sobie tyle trudu, by tak dokładnie zapamiętać godzinę!

— Ciężka sprawa — powiedział Darcy. — Mógł odlecieć dokądkolwiek.

Harry potrząsnął głową.

— Potrafię go znaleźć. Problem tylko na tym polega, że trudno będzie do niego dotrzeć. Teraz muszę porozmawiać z Armstrongiem.

Wytrącił tym Manolisa i Darcy'ego z równowagi. . . na chwilę. Darcy pierwszy przyszedł do siebie, ponieważ widział już przedtem nekroskopa przy pracy.

— Chcesz, żebyśmy ciebie do niego zabrali?

— Tak, i to od razu. Nie dlatego, że czas ciągle jest decydujący. Koła zostały wprowadzone w ruch i właściwy moment na działanie sam nadejdzie, na pewno. Ale jeżeli miałbym teraz jedynie siedzieć i przebierać palcami. . . zwariowałbym chyba.

— To znaczy, zamierzasz rozmawiać ze zmarłym człowiekiem? — Manolis nareszcie zrozumiał.

— Tak, w kotłowni. Tam właśnie jest, i zawsze już będzie, od teraz.

— A. . . czy on będzie rozmawiał z tobą?

— Rozmawianie ze mną nie sprawia zmarłym żadnych kłopotów — odrzekł Harry. — Armstrong już nie jest w niewoli Janosza. Może nawet mieć ochotę wyrównać rachunki. A później, wieczorem, muszę połączyć się z kimś innym.

— Möbius? — zastanowił się Darcy.

— On sam — przytaknął Keogh. — Wampir zaplątał mój umysł i odjął mi mowę zmarłych. Trzeba było następnego wampira, by przywrócić tam porządek. Ale sprawcą szkody okazał się także wielki matematyk: mój syn, który odziedziczył po mnie talenty. I kiedy przebywał w moim umyśle, zamknął pewne drzwi. Teraz nie znam się na liczbach. Być może Möbius może zwrócić mi tę zdolność. Jeśli tak się stanie, Janosz nie będzie mógł narzekać na brak zainteresowania z mej strony.

Kotłownia ciągle pracowała. Młody grecki robotnik szufłował odpady drzewne wprost w czerwone i żółte trzewia wścieklej i huczącej bestii. Nad ich głowami smuga dymu z gasnącymi iskrami czarnymi falami wypływała z wysokiego komina. Darcy i Manolis stanęli z jednej strony, przyglądając się pracy palacza. Harry usiadł na kracie kawałek od nich, wpatrzony przed siebie i prawie nieobecny. Jego umysł jednak nie był nieobecny. Instykt nekroskopa upewnił go, że dusza Setha Armstronga jest tam. Rzeczywiście, po chwili usłyszał jego zawodzenie.

— Armstrong — powiedział miękko Harry — już jesteś z tego wyłączony. Zostałeś uwolniony. Skąd więc ten żal?

Łkanie i zawrocie głowy ustało od razu.

— Harry Keogh? — Martwy głos Armstronga był pełen zaskoczenia i niedowierzania. — Mówisz do mnie?

— Och, rozmawiałem z o wiele gorszymi od ciebie, Seth. A poza tym domyślałem się, że stałeś się jeszcze jedną ofiarą. Nie sądzę, byś mógł zapobiec temu.

— Nie mogłem, och, nie mogłem — odpowiedział tamten z jawną ulgą. — Przez pięć i pół długich lat byłem po prostu... muchą w jego pajęczynie. Był moim panem. Nic, co zrobiłem, nie wynikało z mojej własnej wolnej woli.

— Wiem — powiedział Harry — ale oni lubią udawać, że tak jest. Kłamstwem uspokajają własne sumienie. To nieprawda bowiem, że należysz do nich z własnej nieprzymuszonej woli.

— Sumienie? — Duch Armstronga przesiąknięty był goryczą. — Nie rozumiesz mnie, Harry. Kreatury takie jak Janosz Ferenczy nie zawracają sobie głowy takimi drobiazgami!

— A więc jesteś rad, że się od niego uwolniłeś? Skąd więc te żale. Należysz teraz do nieprzeliczonego świata zmarłych. Co, jak wielu z nich mi mówiło, nie jest tak złe, jak mógłbyś pomyśleć.

— Och? — powiedział Armstrong. — Uczciwie myślisz, że zmarli będą chcieli mieć ze mną cokolwiek wspólnego?

Harry pomyślał przez chwilę.

— Co najmniej dwoje przychodzi mi do głowy. A może i więcej. Co z twoimi rodzicami, Seth?

— Umarli kilka lat temu, tak. Ale... czy myślisz...?

— Myślę, że kiedy się pozbierasz, to mógłby być dobry pomysł, by spróbować ich osiągnąć — powiedział Harry. — Co zaś do Przeważającej Większości, kto wie? Może nie potępiają cię aż tak bardzo, jak myślisz? Na pewno moge wstawić się za tobą.

— I zrobiłbyś to?

— Dlaczego nie? Zapytasz o mnie zmarłych — odparł Harry — kiedy przyjdzie czas. Sądzę, że ci powiedzą, że nie jestem takim najgorszym typem. Ale przedtem możesz mi oddać pewną przysługę.

Myśli Armstronga znowu napełniły się goryczą.

— Nic za nic, co? Nawet to.

— Nie, źle mnie zrozumiałeś, Seth — powiedział Keogh. — Możesz mi odmówić, to nie robi żadnej różnicy. I tak poproszę, aby obeszli się z tobą lekko. Jesteś martwy i spalony. Oni wszyscy świetnie wiedzą, nie możesz zostać już bardziej ukarany.

— Co chcesz wiedzieć?

— Janosz uszedł — zaczął Harry — z Rodos i prawdopodobnie w ogóle z wyspy. Zabrał z sobą kobietę. Powiedziałbyś, zdaje się, moją kobietę. Chcę wiedzieć, gdzie jest.

— Ona stanowi przynętę, wiesz o tym?

— Och tak, wiem. Ale i tak za nim pójdę.

— Więc idź do Rumunii.

Keogh jęknął. To był najgorszy z możliwych scenariuszy.

— Właśnie stamtąd wróciłem — powiedział — nie będzie łatwo wybrać się tam znowu.

— Tym niemniej, tam właśnie go znajdziesz. W zamku na wyżynach nad Halmagiem. Jesteś jego jedynym żyjącym wrogiem i największym z możliwych wrogów. Ale, Harry... mam nadzieję, że nie kochałeś tej dziewczyny.

— Przestań! — Keogh zacisnął zęby, potrząsając głową, odpędził upiorne obrazy, powołane do życia słowami Armstronga. — Nie mów mi o tym.

Armstrong milczał. Nekroskop wyczuł jego współczucie i nawet... wyrzuty sumienia.

— To ty ją dla niego porwałeś, prawda?

Armstrong znów załkał.

— To zmienia wszystko? — powiedział, ale było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie. — Tak, on dostał się do jej umysłu, a ja ją zabrałem.

Harry nie miotał się, nie przeklinał, ale po prostu wstał i odszedł ze zwieszoną głową.

Darcy i Manolis podążyli za nim, patrząc na niego. O nic nie pytali. Palenisko pieca syczało i huczało.

W hotelu Harry spróbował połączyć się z Möbiusem. Sięgnął swą świadomością nekroskopa do miejsc, które znał doskonale. Odwiedził w myślach cmentarz w Lipsku, gdzie śmiertelne szczątki Augusta Ferdynanda Möbiusa spoczywały od stu dwudziestu lat.

— Sir? — powiedział Harry, okazując należny szacunek. — August? To ja, Harry Keogh. Wiem, że upłynęło trochę czasu od chwili, kiedy byliśmy w kontakcie, ale mam nadzieję, że mógłbym znowu z tobą porozmawiać.

Czekał, ale odpowiedź nie nadeszła. Tylko bolesna pustka. Tego mniej więcej się spodziewał. Człowiek, który nauczył go korzystać ze skądinąd całkowicie hipotetycznego piątego wymiaru, znajdował się teraz gdzieś na zewnątrz. Harry nie potrafił powiedzieć, jak długo Möbius był nieobecny ani kiedy może wrócić. O ile w ogóle powróci. Uczony był jego jedyną nadzieją. Próbował więc godzinę, dwie, aż wreszcie Darcy zastukał do drzwi.

— Jak poszło? — zapytał, kiedy nekroskop otworzył drzwi. Harry pokręcił przecząco głową.

— Jestem głodny — powiedział.

Jedli we trójkę w tawernie polecanej przez Manolisa. W trakcie posiłku, Harry naszkicował dalszy możliwy rozwój wydarzeń.

— Manolis — powiedział — muszę dostać się na Węgry. Najpierw Budapeszt, a stamtąd do Halmagiu przez granicę. To jest odległość jakichś stu pięćdziesięciu mil. Kiedy już tam się znajdę, mogę podróżować szosą lub pociągiem. Oczywiście, jako „turysta”. Jak wiele czasu zajmie zaopatrzenie mnie w odpowiednie dokumenty?

Manolis wzruszył ramionami.

— Nie potrzebujesz żadnych. Twój angielski paszport mówi, że jesteś „autorem”. Masz grecką pieczęć wjazdu. Jesteś prawdziwym turystą albo pisarzem zbierającym materiały. Możesz po prostu polecieć do Budapesztu z Aten. Nawet jutro, jeśli chcesz. Nie ma problemu.

— To takie proste?

— Węgry to nie Rumunia. Ograniczenia są tutaj mniej surowe. Rumuni uciekają na Węgry każdego dnia. Kiedy wyruszasz?

— Za trzy albo cztery dni — odparł Harry. — Natychmiast, jak skończymy tutaj. Jeżeli chodzi o Janosza, czas nie jest już najważniejszy. Sądzę, że on po prostu zagrzebie się w górach Transylwanii i będzie na mnie czekał. Wie, że w końcu tam przyjdę.

Manolis popatrzył na niego.

— Czas nie najważniejszy — wymamrotał Grek, potrząsając nieznacznie głową.

— W porządku — powiedział Keogh z miejsca, ostrym, niezwykłym u niego tonem. — Wiem, co cię martwi. Słuchaj, postaram się to wytłumaczyć najprościej, jak potrafię. I wtedy, na rany Chrystusa, dajmy wreszcie temu spokój! Albo Janosz już zwampiryzował Sandrę, albo nie. Jeżeli nie, to trzyma ją jak asa w rękawie. A jeżeli on ją zmienił... wtedy, mając choćby tylko cień szansy, zrobię wszystko, aby ją zabić! Dla niej samej. Ale jeżeli skupię się na Sandrze, z pominięciem wszystkiego innego, to w ogóle nie będę mógł poprawnie myśleć. A my naprawdę, każdy z nas, musimy dobrze kombinować. A więc, Manolis, wiem, że uważasz mnie za zimnego gościa, ale czy przynajmniej wszystko jest jasne?

Manolis pokręcił głową.

— Nie zimnego — powiedział — tylko bardzo silnego. Widzisz, Harry, niektórzy z nas nie są tak silni.

— Myślę, że ty sobie poradzisz — powiedział Keogh i podniósł do ust szklankę czerwonego wina.

— A więc za trzy, cztery dni wyruszysz na Węgry, tak? — odezwał się Darcy. — Myślisz, że powinniśmy wyłapać pozostałych?

— Dokładnie tak — odparł Harry. — Ludzie czy wampiry Janosza kopią na Halki. Inni mogą siedzieć na jego wyspie, a do tego jeszcze załoga statku. Razem daje to wcale niemałą liczbę ludzi. Nie wiemy ponadto, w jakim stopniu są niebezpieczni. Jeżeli wszyscy są wampirami, to możemy mieć problemy. Sądzę jednak, że nie większe niż z Armstrongiem.



— Jezus. — Przeżegnał się Manolis. — Czy nie myślisz, że ten Amerykanin był wystarczająco twardy?

— O tak, bez wątpienia — powiedział nekroskop. — Ja tylko głośno myślę, przypominając sobie to, co widziałem w Gwiezdnej Krainie. Manolis, widziałeś, jak skuteczna potrafi być kusza miotająca strzały z twardego drewna. Czy na Rodos można znaleźć jakiś taki specjalny oręż?

— Kusze? Nie sądzę. Chyba, że... podwodne!

— Ze stalowymi strzałami, tak?

— Tak, stalowymi strzałami — przytaknął Manolis, zastanawiając się, co Harry ma na myśli.

— Czy można je gdzieś tu pokryć srebrem? Czy jest tu fabryka albo zakład, który położyłby warstwę srebra na harpunach?

Manolis otworzył szeroko oczy.

— Oczywiście — rozpromienił się.

— Świetnie, kupmy więc sobie dwie czy trzy takie wysokiej jakości kusze podwodne. Czy możemy zostawić to tobie? — zapytał Keogh.

— Uprawiam ten rodzaj łowiectwa i znam się na tym. Najlepszy model nazywa się „Champion”, włoski wyrób z pojedynczą lub podwójną gumą. Grot z metalową zapadką, która otwiera się w momencie uderzenia... Będą tak skuteczne, jak twoja kusza.

— Guma? — Darcy Clarke nie interesował się wodnymi sportami.

— Mają gumowe wyrzutnie — wyjaśnił Harry — dla większej mocy. Są bardzo skuteczne, ale wolno się ładują, a więc potrzebujemy typ z pojedynczą gumą, o bardzo dużej sile. Manolis, lepiej kup z pół tuzina. I Darcy, myślę, że jest czas, aby wezwać dodatkową pomoc. Nie będzie chyba zbyt trudno znaleźć trzech czy czterech ochotników spośród twoich ludzi w Londynie.

— INTESP? — odparł Darcy. — Oni tylko czekają na jedno moje słowo. Wezwę gości ze sprawy Bodescu. Zajmę się tym od razu.

— Dobrze. — Keogh skinął głową. — Musimy zacząć zanim oni tutaj się zjawią. Naszym pierwszym celem będzie Halki. Wiemy, że jest tam tylko parę kreatur Janosza. I właściwie, nie mamy jeszcze pewności, że to rzeczywiście są „kreatury”! Mogą to być po prostu ludzie, skuszeni zapłatą, nie zdający sobie sprawy, dla kogo czy właściwie dla czego, pracują. Manolis, jak wiele czasu zajmie pokrycie harpunów srebrem?

— Jeden dzień.

— Ile potrwa podróż na Halki?

— Szybką łodzią — Grek wzruszył ramionami — dwie godziny, najwyżej dwie i pół. Wyspa znajduje się kilka mil od Rodos, ale aż pięćdziesiąt mil wzdłuż brzegu. Halki to mała kropka. Po prostu skała na morzu. Jedne wioska z kilkoma małymi tawernami, jedna krótka szosa, trochę gór i jeden zamek z czasów wypraw krzyżowych.

— Jutro jest środa — powiedział Keogh. — Jeżeli dałbyś radę umówić nas z pilotem łodzi na czwartek rano, moglibyśmy tam dotrzeć przed południem. Czy jest szansa w tej chwili odwiedzić tam „skalny kiel”, który Janosz kupił na Dodekanezach?

Manolis potrząsnął głową.

— To zabraloby większą część dnia. Proponuję, abyśmy załatwili Halki w czwartek rano i prosto stamtąd udali się na Karpatos, by przyjrzeć się zatoce, w której zakotwiczył „Lazarus”. Nawiasem mówiąc, zarówno Halki, jak i Karpatos leżą na czymś, co nazywa się „Morze Karpackie”! Ten wampir lubi się czuć jak u siebie w domu, co?

— To chyba tylko zbieg okoliczności — odrzekł Harry. — Zabawny, co prawda, ale nic ponadto. Natomiast zgadzam się z tym, co powiedziałeś. W każdym razie, posiłki z INTESP powinny przybyć tutaj najpóźniej w czwartek wieczorem.

Duży stek Harry’ego, na wpół surowy i bez warzyw, na pewno już wystygł. Nie tknął go jeszcze, choć pozostali dawno skończyli jedzenie. Od dawna już nie jadł tak zimnego i surowego mięsa. Nie mógł sobie przypomnieć, od jak dawna. Wino o głębokim odcieniu czerwieni także było niezgorsze. „Jeżeli nie możesz ich pobić, przyłącz się do nich?” — pomyślał.

Manolis mimo wszystko miał rację, nazywając go zimnym. . .

W hotelu oczekiwała na nich wiadomość. Siostra przełożona ze szpitala dla psychicznie chorych prosiła o telefon od inspektora Papastamosa. Manolis zadzwonił natychmiast. Mówił do słuchawki swą zwyczajną, szybkostrzelną greczyzną, z długimi przerwami między każdym wybuchem. Darcy i Harry obserwowali jego ulegającą kolejnym przemianom twarz. Najpierw ostrożną i badawczą, następnie zdumioną i w końcu radosną.

— Trevor Jordan ma się znacznie lepiej! — krzyknął, uśmiechając się szeroko. — Jest świadomy, rozmawia całkiem do rzeczy! Nakarmili go, a następnie dali jeszcze jeden zastrzyk, aby spokojnie przespał noc. Zanim zasnął, powiedział, że chce się z tobą zobaczyć, Harry.

Darcy i Harry popatrzyli po sobie w zamyśleniu.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytał Clarke.

— Może. . . może odległość usunęła go poza zasięg Janosza? — Keogh odezwał się po chwili. — Myślałem, że jego stan jest trwały. . . że umysł został okaleczony tak jak mój. Ale. . . może Janosz nie potrafi zrobić czegoś takiego. Może nie jest aż tak dobry. A zresztą, co za różnica? Pozostaje nam tylko czekać do rana, żeby to wyjaśnić. . .

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### Pierwszy kontakt — wyzwanie niewolnicy

Przed zaśnięciem Keogh próbował znowu połączyć się z Möbiusem. Bez efektu. Mowa umarłych powędrowała do grobu Möbiusa w Lipsku, ale nikt nie odpowiadał. Jedną z przyczyn, dla których Keogh odraczał pościg za Janoszem, była nadzieja na odzyskanie zdolności posługiwania się liczbami, a przez to dostępu do kontinuum Möbiusa. Taki miał plan, który... wydawał się jednak zbyt trudny do zrealizowania.

Nadszedł sen. Troski przeniosły się w sferę marzeń. Harry, uwolniony od pomniejszych problemów i odwracających uwagę spraw świata na jawie, dalej emitował swoje myśli ponad Wielką Ciemną Zatoką, przez ludzi zwaną Śmiercią. Wielu z niezliczonych zmarłych słyszało go. Odpowiedzieliby, pocieszyli, ale nikt nie śmiał. Nikt z nich nie był tym, kogo on szukał.

Jednakże pomiędzy zmarłymi była osoba, która kochała go bardziej niż pozostali i czuła przed nim o wiele mniejszy respekt.

— Harry? — Jej mowa zmarłych musnęła go. — Czy mnie słyszysz, synu?

Nekroskop westchnął i przerwał poszukiwanie Möbiusa. Jego matka samym tonem wymuszała posłuch.

— O co chodzi, Mamo?

— O co chodzi? Czy tak się do mnie odzywasz?

— Mamo — znowu westchnął i spróbował wytłumaczyć — jestem zajęty. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo to jest ważne.

— Tak myślisz? — odpowiedziała. — Naprawdę myślisz, że nie zdajesz sobie sprawy? No, zdajesz sobie, na tyle chociaż, by wiedzieć, że tracisz swój czas!

Śpiący umysł Keogha igrał z jej słowami, ale nie znalazł dla nich żadnego wytłumaczenia.

— Co?! Tak do tego podchodzisz? Wyładowujesz na mnie swoją niecierpliwość? Zmarli mogą cię wynosić pod niebiosa, ale oni nie znają ciebie tak dobrze, jak ja. I Harry, ty... jesteś...

— Mamo, ja...

— Ty, ty, ty! Zawsze ty! Czy tylko ty się liczysz? Kim jest ten „ja”, o którym zawsze mówisz, Harry? I dlaczego nigdy nie mówisz „my”? Dlaczego zawsze musisz myśleć, że jesteś sam? Ze wszystkich ludzi ty akurat nie jesteś sam. Od miliona lat ludzie umierają i kładą się w ciemności. Snują rozmyślenia i podążają tropami własnej wyobraźni. Jeden oddzielony od drugiego, ale złączeni wspólnym poglądem, że śmierć jest pozbawionym powietrza, światła (także i bólu), bezlitosnym więzieniem. . . I oto pojawia się małe, jasne światełko o imieniu Harry Keogh, które mówi: „Dlaczego nie rozmawiacie ze mną? Ja was wysłucham. A wtedy będziecie mogli rozmawiać też z sobą! Aaaaa! Objawienie!”

Nekroskop milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy jej takiej nie słyszał, nawet kiedy spał. Nigdy nie traktowała go w taki sposób.

— Dlaczego jestem zła? Nie do wiary! Przez całe lata nie mogłeś ze mną rozmawiać. A teraz w końcu. . .

Zdało mu się, że zrozumiał, wiedział, iż ona ma rację.

— Mamo — powiedział — inni potrzebują zapewnienia, że w śmierci jest jeszcze coś więcej niż tylko samotność. Potrzebna jest im także świadomość, że są bezpieczni od takich jak Dragosani, Ferency czy inni tego rodzaju. Ale zmarłych jest tak wielu, że nie zdołam z nimi wszystkimi rozmawiać.

Milczała.

— Jeżeli więc zdarza się tak, że się z tobą nie kontaktuję, to tylko dlatego, że coś bardzo, bardzo ważnego mam do zrobienia. I mamo, tak będzie zawsze. . . mamo?

— Och, wiem o tym synu. Tylko, że ja. . . tak bardzo się o ciebie martwię. A zmarli. . . oni wciąż o ciebie pytają. Narażają się na kłopoty. Czy nie rozumiesz, że wszyscy chcemy ci pomóc? I czy nie rozumiesz, że między nami są specjaliści — ze wszystkich dziedzin, talenty które marnujesz?

— O co chodzi, mamo? — zapytał. — Z tymi zmarłymi? I co miałaś na myśli mówiąc, że tracę swój czas?

— Próbujesz skontaktować się z Möbiusem, oto, co miałam na myśli — odpowiedziała natychmiast. — Gdybyś tylko był łaskaw pozostawać ze mną w kontakcie, wiedziałbyś! Do licha, próbowaliśmy złapać Möbiusa dla ciebie od momentu, gdy tylko odzyskałeś mowę zmarłych!

— Möbiusa jednak tam nie ma. Przebywa. . . Może być gdziekolwiek. Dokładnie gdziekolwiek! — odezwał się Keogh.

— Wiemy o tym — odpowiedziała — owo „gdziekolwiek” jest bardzo rozległe. Jeszcze go nie znaleźliśmy. Jeżeli otrzyma twoją wiadomość, mamy nadzieję, że zjawi się natychmiast. Tymczasem nie musisz się tym zajmować. Możesz poświęcić się innym sprawom.

— Mamo — powiedział Harry — nie rozumiesz. Słuchaj, Möbius znajduje się prawdopodobnie w swojej czasoprzestrzeni. Zmarli, nawet zmasowane myśli

wszystkich zmarłych nie mogłyby go tam osiągnąć. To miejsce nie należy do tego wszechświata. Więc nie tylko ja tracę swój czas, lecz także wy tracicie wasz!

— Synu — odparła — kiedy Harry Junior odebrał ci mowę zmarłych i matematyczną intuicję, to czy poplątał tobie również rozum?

— Co?

— Jeśli korzystasz z kontinuum Möbiusa, jak wiele czasu w nim spędzasz?

Od razu spostrzegł, że ona ma rację. Zastanawiał się, czy logika jest w ludzkim mózgu połączona ze zdolnością operowania liczbami? Czy młody Harry ograniczył za jednym zamachem władzę jego umysłu?

— Bez czasu — odrzekł — To jest natychmiastowe. Möbiusa nie spotkałem w kontinuum. Używał wstęgi po to, by dostać się tam, dokąd chciał.

— Po cóż więc tracić czas kierując mowę zmarłych w jego grób w Lipsku? Jest tak, jak powiedziałaś: on przebywa gdzieś na zewnątrz. Śmierć nie odmieniła astronoma. Zwróćmy więc nasze myśli na zewnątrz, ku gwiazdom! I jeśli on tam jest, w końcu go znajdziemy.

— Mamo, co ja bym bez ciebie zrobił? — zawołał Keogh.

— Ja tylko wskazuję ci właściwą drogę, Harry. Radzę ci zająć się też innymi sprawami.

— Takimi jak?

— Masz dostęp do najbogatszej biblioteki na świecie. Do książek, które nie tylko zawierają wiedzę, ale jeszcze potrafią ją przekazać. Umysły zmarłych tylko czekają, abyś z nich czerpał wiedzę. Tak jak uczyłeś się od Möbiusa, tak możesz się uczyć od wszystkich pozostałych.

Harry dawno temu podobny pomysł odrzucił. Dragosani także uczyli się od zmarłych. Tibor Ferenczy nauczał go zła. Podobnie nekromanta, Dragosani ukradł talenty od Maksa Batu i tajemnice sowieckiego Wydziału E od Grigorija Borowica. Jednak w końcu żadna z tych zdobyczy mu nie pomogła. Więcej, Złe Oko Batu uczestniczyło w jego zniszczeniu. Niektórych spraw, jak na przykład przyszłości, Harry wolał nie znać. Matka oczywiście natychmiast odczytała jego myśli.

— Może i masz rację — wtrąciła — ale powinieneś zawsze o tym pamiętać. Tutaj są talenty, Harry, i jeżeli kiedyś znajdziesz się w potrzebie, będą na każde twoje wezwanie. . .

Jej głos słabł, odchodził. Keogh utrudzony, odprężył się, uwolnił i pogрузił głębiej we śnie.

— Haaaarry? — odezwał się Möbius. Harry poznałby jego mowę zmarłych wszędzie.

— August Ferdynand? Czy to ty? Szukałem cię — odrzekł Keogh.

— Wiem Harry. Byłem. . . tam. Ale to ty miałeś rację, a oni się mylili. Odwiedziłem czasoprzestrzeń. Myśli twoich zmarłych przyjaciół osiągnęły mnie, kiedy się stamtąd wynurzyłem. Dlaczego dopiero teraz odzywasz się, Harry?

— To nie była moja wina — odpowiedział Keogh. — Nie mogłem być z tobą w kontakcie. Ktoś mi odebrał... mowę zmarłych. Zostałem odcięty od wszystkich. To jeden z powodów, dla których muszę porozmawiać z tobą teraz. Widzisz, straciłem nie tylko mowę zmarłych, ale także zdolność korzystania z kontinuum Möbiusa. A teraz potrzebuję tego, jak nigdy przedtem.

— Kontinuum? Potrzebujesz tego? — Möbius nie był całkiem sobą. — Och, wszyscy tego potrzebujemy, Harry. Zaprawdę. Bez tego nie ma nic! To jest wszystkim!... przepraszam, Harry, ale muszę już tam wrócić.

— W porządku — odpowiedział nekroskop rozpaczliwie, czując, że myśli Möbiusa zmiernają w innym kierunku. — Przysięgam, że nie zawracałbym ci głowy, gdyby to nie było absolutnie niezbędne, ale...

— To... to mówi do mnie! — Głos Möbiusa przeszedł w przepojony nabożeństwem szept, dryfujący, znikający. — Sądzę, że wiem, co to jest. Muszę... teraz... iść... Haaarry!

Jeszcze chwila i odszedł. Zniknął i nie pozostało nawet echo. Wiedział, że Möbius powrócił do miejsca wyższego od najwyższych. Do kontinuum Möbiusa.

Keogh został pozostawiony samemu sobie i mógł przespać noc, która choć pozbawiona snów, nie dała mu jednak wytchnienia.

Następnego ranka mieli odwiedzić Trevora Jordana. Wyruszyli samochodem Manolisa. Harry'ego wciąż coś dręczyło.

— Manolis — powiedział — jestem idiotą! Powinienem o tym być pomyśleć wcześniej.

— Pomyśleć o czym, Keogh? — zapytał Grek.

— KGB wiedziało, że jadę do Rumunii. Wiedzieli o tym wcześniej, niż ja sam. Czekali już przy lądowaniu. Ktoś musiał im to powiedzieć. Ktoś stąd, z Rodos.

Przez chwilę Manolis patrzył bez wyrazu, ale zaraz uśmiechnął się szeroko i walnął dłonią w udo.

— Harry — zaczął — jesteś bardzo niezwykłym człowiekiem ze skrajnie osobliwymi uzdolnieniami — ale chyba nigdy nie będziesz prawdziwym policjantem! Wczoraj, kiedy opowiadałeś nam tę historię, sądziłem, iż rozumie się samo przez się, że muszę dojść do takiego właśnie wniosku. I doszedłem. Następnie zapytałem samego siebie, kto jeszcze spoza twojego najbliższego kręgu wiedział o tej podróży. Odpowiedź: nikt, za wyjątkiem urzędnika na lotnisku. Miejscowa policja właśnie to sprawdza. Jeżeli jest odpowiedź, oni ją znajdą.

— Dobrze — zgodził się Keogh — ale zmierzam do czegoś innego. Nie pragnę, żeby ktoś czekał na mnie także na Węgrzech.

— Rozumiem twoją troskę. — Grek skinął głową. — Miejmy nadzieję, że miejscowi chłopcy dobrze się spiszą.

Ani Manolis, ani Harry, ani Darcy, nie mogli wiedzieć, że dokładnie w tym samym momencie policja rozmawiała na lotnisku z mężczyzną obsługującym sta-

nowisko informacji pasażerskiej. Z nim i jego bratem, co do którego sami już od dawna żywili pewne podejrzenia. Nie bardzo przejmowali się odpowiedziami, jakie otrzymywali, wiedzieli bowiem, że w końcu i tak dostaną tę właściwą.

W szpitalu dla psychicznie chorych siostra przywitała całą trójkę i zaprowadziła do pokoju Jordana. Pomieszczenie przypominało celę więzienną. Małe, z wysokimi, zakratowanymi oknami i drzwiami zaopatrzonymi w judasza, zamkniętymi z zewnątrz. Widać lekarze mieli jeszcze pewne obawy. Siostra zajrzała przez wizjer, uśmiechnęła się i ruchem palca przyzwała Harry'ego. Ten poszedł za jej przykładem i zajrzał do pokoju. Jordan dużymi krokami przemierzał ograniczoną przestrzeń w tę i z powrotem, z rękami założonymi z tyłu. Nekroskop zastukał. Tamten od razu stanął w miejscu. Twarz miał ożywioną, czujną i wyciekającą.

— Harry? — zawołał. — Czy to ty?

— Tak, to ja — odpowiedział. — Poczekaj chwileczkę.

Siostra przekręciła klucz w zamku i cała trójka weszła. Ona została na zewnątrz.

W środku, Jordan uściskał dłoń Darcy'ego. Poklepał po plecach Manolisa, po czym stanął bez ruchu i powoli przesłał im powitalny uśmiech.

— A więc — powiedział — mamy z powrotem nekroskopa w drużynie, tak?

— Na chwilę — odpowiedział Harry, odwzajemniając uśmiech. — Przestraszyłeś nas, Trevor. Myśleliśmy, już, że on pogruchotał ci umysł.

Darcy Clarke po wstępnym uścisku dłoni, dyskretnie wycofał się.

— Przepraszam na moment.

Szybko wyszedł na korytarz, a za nim Manolis. Stanął obok siostry, a właściwie oparł się o ścianę, z twarzą kompletnie zbielełą.

— O co chodzi? — syknął Manolis. — Widziałem już ten wyraz na twojej twarzy.

— Wywołaj tu Keogha — wyszeptał Darcy. — Szybko!

Siostra wyglądała na zaniepokojoną. Darcy ostrzegł ją, kładąc palce na wargach.

— Harry — Manolis wsadził głowę do pokoju i mówił swobodnie — mógłbyś wyjść do nas na chwilkę?

— Czy masz coś przeciwko? — Harry uniósł brwi i spojrzał na Jordana.

— Nie, wcale nie. — Tamten potrząsnął głową i uśmiechnął się dziwnie.

Nekroskop wyszedł.

— O co chodzi? — zapytał.

Darcy zamknął drzwi i przekręcił klucz. Patrzył przerażony na Harry'ego.

— To wszystko jest nie tak! — wyjaśniał. — Coś... jest z nim nie w porządku.

A właściwie, nic nie jest z nim w porządku!

Keogh badawczo studiował ściągniętą, drżącą twarz Darcy'ego.

— Twój talent?

— Tak. Tu nie czuć Trevora. Widać go, ale nie czuć. Mój anioł stróż go nie czuje. On nie pozwolił mi tam zostać.

— Harry? — Dobięł ich głos Jordana zza zamkniętych drzwi. — Co się tam przedłuża? Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć, ty i ja, w cztery oczy!

Manolis szybko zareagował.

— Będziemy tu czekać — szepnął.

— Ale — odezwał się Darcy niepewnym głosem — czy to go powstrzyma? — pokazał na pistolet w ręku Keogha.

Nekroskop skinął głową.

— On nie jest wampirem — odparł. Wsadził pistolet do wewnętrznej kieszeni marynarki, przekręcił klucz i wszedł do środka.

Tam zaś Jordan siedział w fotelu. Ruchem ręki wskazał Harry’emu krzesło naprzeciwko. Keogh usiadł. . . ale ostrożnie, przezornie, nie spuszczać oczu z tamtego.

— A więc — powiedział w końcu — oto jestem. Cóż to za wielka tajemnica, Trevor?

— I nagle — zaczął tamten, ciągle uśmiechając się swoim niesamowitym, chytrym uśmiechem — już się tak o mnie nie martwisz.

Harry zauważył, że mężczyzna układa słowa powoli, ostrożnie, upewniając się, że wyartykułował je należycie. W tym momencie domyślił się, jaki jest kłopot Jordana i postanowił to sprawdzić.

— O nie, martwię się o ciebie — zmusił się do uśmiechu. — Prawdę mówiąc, nie uwierzyłbyś, jak bardzo. Trevor, czy pamiętasz, jak wy, ludzie INTESP wołaliście na Harry’ego Juniora, kiedy się nim opiekowaliście?

Dziwnie przymilny wyraz ześlizgnął się z twarzy Jordana. Rysy sposepniały mu i wyostrzyły się. Z oczu wyjrzała pustka. Trwało to tylko chwilę albo dwie. Po czym. . . ożywienie powróciło.

— Oczywiście. Szef, tak na niego wołaliśmy — odrzekł Jordan.

— Zgadza się — przytaknął Harry i sięgnął do kieszeni po pistolet — ale jakoś długo sobie to przypominałeś. A przecież właśnie ty szczególnie go lubiłeś. Czy naprawdę musiałbyś to sobie przypominać? Może dopytywałeś się o to?

Wyciągnął pistolet. Trevor ruszył. Przedtem jego gesty wydawały się być tak powolne, jak nurt wielkiej rzeki. Teraz jednak. . . Szybko jak błyskawica, lewą ręką sięgnął do gardła Harry’ego, a prawą wepchnął pistolet z powrotem do marynarki.

Refleks nie zawiódł nekroskopa. Kiedy Jordan zerwał się z fotela, Harry kopnął go między nogi. . . Bezskutecznie, gdyż umysł, który kontrolował ciało tamtego, po prostu odsunął ból. W rewanżu Jordan uwolnił gardło Harry’ego i uderzył go pięścią twardą jak żelazo. Zanim oczy Keogha odzyskały po tym ciosie ostrość



widzenia, napastnik na wpół podniósł go z krzesła i zaatakował głową. W ostatniej chwili Keogh zdążył odwrócić twarz, ale cios zadany w skroń z siłą młota ogłuszył go. Zanim odzyskał czucie, Jordan posadził go z powrotem na krzesło i wyszarpnął z wewnętrznej kieszeni rękę z pistoletem.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wpadł Manolis. Za nim Darcy, opierający się wszystkim wysiłkom swego nieufnego talentu. Chrzękając wściekle, Trevor po raz ostatni spróbował wyrwać pistolet z dłoni Harry'ego. Grek odepchnął go, a następnie pięścią powalił na ziemię.

Keogh poderwał się i wycelował w czoło Jordana.

— Nie zmuszaj mnie — krzyknął do opętanego człowieka, głosem ostrym jak brzytwa.

Mężczyzna usiadł, rozejrzał się wściekle.

— To nie ja byłem zagrożeniem! — warknął głosem, który nie przypominał już głosu Jordana. — To wy zagroziliście mi!

— To prawda — odpowiedział Harry — nie zaatakowałeś mnie osobiście, jeszcze nie, ale zrobiłbyś to, prędzej, czy później... Janoszu Ferenczy! — Zrobił pistoletem gest nakazujący tamtemu wstać.

Janosz w ciele Trevora posłuchał. Podniósł się, patrząc rozjuszony na otaczającą go trójkę.

— Świetnie, Harry Keoghu — mruknął wreszcie. — A więc wiesz, kim jestem. Bardzo dobrze, podstępny na bok, w końcu się spotkaliśmy. Chciałem cię poznać i chciałem, żebyś i ty poznał moją moc. Widzisz, z jaką łatwością opanowałem ten mózg? Telepatia? Ha! Trevor Jordan był najzwyczajniejszym amatorem!

— Ty... ty się ośmielasz! — Tamten postąpił do przodu.

Harry zacisnął zęby i przezornie wycelował broń wprost między oczy tamtego... który uśmiechnął się krzywo. Opętany zatrzymał się niechętnie w pół kroku. Zachwiał się.

— Co...? — Harry przymrużył oczy.

— Ja... trochę nadwerżyłem to bezwolne, obwisłe cielsko — chrząknął Janosz Ferenczy z gardła Jordana. — Pozwól mi usiąść.

— Siadaj — przyzwolił nekroskop. Tamten opadł na fotel. Siedział, kiwając się z osłabienia. Keogh raz jeszcze zajął miejsce naprzeciw niego.

— Śmiało teraz, Janosz — powiedział. — Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć? Żeby mnie zabić?

— Zabić cię? — Zaśmiał się przeciągle. — Gdybym tak rozpaczliwie pragnął twojej śmierci, wierz mi, że już byś nie żył! Ale nie, chcę cię mieć żywym!

— Poczekaj! — zbliżył się Manolis. — Harry, mówisz, że to jest Janosz Ferenczy? To jest naprawdę Vrykoulakas?

Janosz-Jordan chmurnie zmarszczył twarz.

— Greku, jesteś głupcem! — zawołał.

Manolis jeszcze się zbliżył, ale Darcy chwycił go za ramię.

— To jego umysł — powiedział — jego telepatia kontrolująca ciało Trevora.  
— Zabij go! — porywczo rzucił Manolis.  
— O to właśnie chodzi — odparł Keogh. — Nie zabilibyśmy jego, ale biednego Jordana.

Janosz znowu zaśmiał się.

— Jesteśmy bezradni — szydził. — Mógłbym sobie stąd wyjść, czemu nie? Zachowujecie się jak małe dzieci! — Przestał się śmiać i popatrzył groźnie na Harry'ego. — A więc to ty jesteś tym wszechmocnym nekroskopem, tak? Człowiek, który rozmawia ze zmarłymi, sławny zabójca wampirów? No, dla mnie jesteś niczym.

— Naprawdę? — zdziwił się Harry. — I dlatego tu jesteś, żeby mi to powiedzieć? W porządku, więc już powiedziałaś. A teraz zmiataj stąd do swego zamku w Karpatach i zabieraj swój brudny umysł pijawki z głowy mojego przyjaciela.

Oczy w głowie Jordana patrzyły z taką wściekłością, że zdawały się wyskakiwać z oczodołów. Jego ręce, zaciśnięte na poręczach fotela, drżały.

— To... będzie... dla... mnie... wielka przyjemność, spotkać cię znowu, Harry Keoghu — odparł, zgrzytając zębami. — Ale jak mężczyzna z mężczyzną, twarzą w twarz.

Harry był wyśmienitym retorem. Wiedział, jak miotać ciężkie obelgi.

— Mężczyzna z mężczyzną? — fuknął z pogardą. — Wznosisz się na zabawne wyżyny, Janosz. Twarzą w twarz? Do licha, na tym świecie karaluchy stoją wyżej od ciebie!

Manolis opadł na kolano za krzesłem Keogha i sięgnął po broń.

— Daj go mnie — krzyczał — i powiedz tylko, co chcesz wiedzieć, a wierz mi, ja na pewno to z niego wyduszę!

— Odchodzę teraz — odrzekł Janosz — ale odchodzę w przeświadczeniu, że ty sam do mnie przyjdiesz. — Otworzył usta, roześmiał się i zakręcił językiem jak szalenciec. — Jest to równie pewne jak to, że dziś wieczór... ach, dziś wieczór! Słodka Sandra będzie się wiła w moim łóżku w erotycznych spazmach.

Zaśmiał się głośno i skulił w fotelu. Powieki opadły, głowa przechyliła się na jedną stronę, usta otworzyły się. Z ich kącika pociekła piana. Lewa ręka, zwisająca z poręczy, lekko drżała. Darcy i Manolis spojrzeli na siebie. Keogh rozluźnił chwyt na kolbie beretty...

Oczy Jordana nagle się rozwarły. Znowu zarechotał, skoczył i wyrwał pistolet.

— Ach, cha, cha! Dzieci, zwyczajne dzieci! — wrzeszczał.

Po chwili włożył sobie lufę do prawego ucha i pociągnął za spust. Harry odskoczył, przewracając przy tym swoje krzesło. Na Darcy'ego i Manolisa spadł rześisty deszcz krwi i ludzkiego mózgu. Lewa strona czaszki Jordana rozerwała się na strzępy. Krzyząc z przerażenia obydwaj instynktownie rzucili się w tył.

W otwartych drzwiach siostry miłosierdzia zasłaniały usta rękami i z trudem łapały powietrze. Widziały wszystko.

— Och, mój, B... B... Boże! — Darcy wypadł z pokoju, pozostawiając Harry'ego i Manolisa, wlepiających wzrok w zakrwawione ciało Jordana...

Nekroskop i Darcy pozostawili przekazanie sprawy miejscowej policji (był to prosty i oczywisty przypadek „samobójstwa” i mogli to potwierdzić świadkowie). Do hotelu wrócili pieszo.

Nie minęła jeszcze dziesiąta, ale już było gorąco jak w piekarniku, żar lał się z nieba. Rozpalał kamienne uliczki Starego Miasta. Darcy rzucił marynarkę i obmył się w fontannie.

W hotelu wzięli prysznic. Keogh opatrzył swoje siniaki, po czym przez prawie całą godzinę siedzieli i nie robili nic... Manolis dołączył do nich na krótko przed południem.

— Co teraz? — chciał wiedzieć — czy postępujemy dalej zgodnie z planem?

— Tak i nie — odparł Harry. — Wy dwaj udacie się do Halki jutro, następnie Karpatos. Zobaczycie, co da się tam zrobić. Dostaniecie też wkrótce wsparcie z INTESP. Ale ja nie mogę czekać. Muszę się policzyć z tym skurwielem. Za to, co powiedział o Sandrze. Nie mogę z tym żyć. Muszę zrobić z tym porządek.

— Lecisz na Węgry? — Manolis wyglądał na wyczerpanego.

— Tak — odpowiedział. — Widzisz, kiedy Sandra została porwana, pomyślałem, że to bez różnicy: po prostu zostanie wampirem i nie można jej pomóc. Nie brałem pod uwagę, że on może ją wykorzystać w ten sposób. No, może rzeczywiście ona sama już nie cierpi, ale ja tak. A więc... muszę lecieć. Nie tyle już nawet dla niej, co dla siebie samego.

Darcy pokręcił głową.

— To niedobry pomysł — wtrącił. — Patrz, Janosz specjalnie drażnił cię. Wyzwał na pojedynek, którego, jak uważa, nie możesz wygrać. I ty na to idziesz. Teraz jest czas na uspokojenie gry, na wybiegnięcie myślą wprzód, czas na plany i przygotowania. To nie jest czas, by działać pochopnie i dać się zabić! Wiesz, jak trudno będzie się dostać do Janosza. Ale również zdajesz sobie sprawę z tego, że jeżeli go zostawisz w spokoju, prędzej czy później on sam do ciebie przyjdzie. Wtedy ty będziesz mógł dyktować warunki.

— Harry — przyłączył się Manolis — sądzę, że Darcy może mieć rację. Ja wciąż nie wiem, dlaczego ten maniak zabił siebie, a nie ciebie. To co teraz planujesz... jest zwyczajnym zakładaniem sobie sznura na szyję!

— Być może — zgodził się Harry — ale muszę to rozegrać tak, jak to widzę. Janosz pokazał mi, jaki jest „potężny”! Zranił moje serce, ale nie chciał zabić. Jest tak, jak powiedział: on chce mnie mieć żywego. Jestem nekroskopem. Posiadam niezwykle talenty. W mojej głowie zamknięte są tajemnice, do których Janosz chce dotrzeć. Och, on może rozmawiać z niektórymi ze zmarłych, biedny skurwiel, na ten swój potworny sposób nekromanty. Nie potrafi jednak zdobyć ich szacunku. Jest próżny, jak oni wszyscy. Więc... nie spocznie, dopóki nie sta-

nie się najpotężniejszym wampirem, jakiego kiedykolwiek na świecie widziano. I właśnie dlatego szuka sposobu, żeby ukraść moje zdolności.

Zdaje się, że wy dwaj będziecie mieli wystarczająco dużo kłopotów. Nie martwcie się o mnie, martwcie się o siebie. Manolis, jak z tymi podwodnymi kuszami? Chciałbym cię też prosić, żebyś zarezerwował dla mnie miejsce w samolocie do Aten. Gdzieś, powiedzmy, na jutro rano, z połączeniem do Budapesztu.

— Hola! — wtrącił się Darcy. — Zmieniłeś temat troszeczkę za szybko, Harry. Popatrzmy prawdzie w oczy, naprawdę nie ma porównania między tym, co nam się tu kroi, a tym, naprzeciw czego ty staniesz w Karpatach. Poza tym Manolis i ja jesteśmy razem, a najpóźniej jutro wieczorem przybędą posiłki. A ty będziesz zdany na samego siebie.

Keogh popatrzył na niego i uśmiechnął się.

— Na samego siebie? Naprawdę nie, Darcy — odrzekł. — Mam wielką ilość przyjaciół w bardzo wielu miejscach. Jeszcze nigdy mnie nie opuścili.

„Na Boga, tak! Ciągłe zapominam, kim... czym... jesteś” — pomyślał Darcy.

— Przyjaciele? — zdziwił się Grek, który zagubił się w tej wymianie zdań. — Na Węgrzech, w Rumunii?

— Tam też — powiedział Harry i wzruszył ramionami. — Wszędzie. — Wstał. — Idę do pokoju. Spróbuję połączyć się z paroma ludźmi...

— Wszędzie? — powtórzył Manolis, gdy tamten odszedł. Darcy pokiwał głową i mimo obezwładniającego, śródziemnomorskiego żaru, zadrżał.

— Nekroskop ma wielu przyjaciół — wyjaśnił. — Na całym świecie, cmentarze są ich pełne.

Keogh znowu próbował połączyć się z Möbiusem. Jednak bez powodzenia. Chciał też rozmawiać z Faethorem, żeby sprawdzić kilka rad, których dawno zgasił wampir mu udzielił, a które teraz wydawały się wysoce podejrzone. Sądził, że to palący żar południowego słońca, lejący się z nieba rumuńskiego tak jak i z greckiego, powstrzymał Faethora. Rozczarowany sięgnął po koniec myślami do szpitala dla psychicznie chorych na Rodos, gdzie Trevor Jordan leżał teraz w kostnicy, w spokoju, po zakończeniu swoich ziemskich prac i poza zasięgiem nędnego fizycznego świata. W tym przynajmniej miejscu odniósł sukces.

— Czy to ty, Harry? — Zmarły głos Jordana naznaczony był niepokojem. — Ależ oczywiście, ktoś inny mógłby to być? Cieszę się, że przychodzisz. Chcę, byś wiedział, że to nie byłem ja. To znaczy, ja bym nigdy nie mógł...

— Oczywiście! — przerwał Harry, mówiąc głośno, jak to miał zwyczaj robić, gdy czas, okoliczności i miejsce na to pozwalały. — Wiem o tym, Trevor. To jest jedna z przyczyn, dla których chciałem z tobą mówić. Musisz pozwolić odpocząć swojemu duchowi. My wszystko rozumiemy. Janosz użył ciebie, wykorzystał. Przekazał swoje myśli i przerażające czyny. Musiał cię jednak zamordować, aby się podwójnie upewnić, że za nim pójdę!

— Harry — zawołał Jordan — to już się stało i wiem, że nie da się tego odwrócić. Och, przypuszczam, że to dotrze do mnie później, kiedy uświadomię sobie, jak wiele straciłem. Myślę, że oni, to znaczy my wszyscy musimy przez to przejść. Ale w tej chwili interesuje mnie tylko zemsta. Po stokroć wolę być martwy niż niemartwy, we władzy tego potwora!

— Jak biedny Ken Layard.

— Tak, jak Ken.

Harry wyczuł drżenie martwego człowieka.

— Jest coś innego, z czym muszę zrobić porządek — westchnął. — Ken należy teraz do Janosza, ale że Sandra jest jego. . .

Przez chwilę tylko pusta, zmartwiała z grozy cisza przepelniła jego umysł.

— O Boże, Harry. . . tak mi przykro!

Harry czuł współczucie tamtego. Milczał pogrążony w smutku.

— Boże, to wydaje się niemożliwe — podjął w końcu Jordan, mówiąc tyleż do Keogha, co do siebie. — Wyprawiliśmy się do Grecji, by znaleźć trochę proszków i popatrz, co znaleźliśmy. Śmierć, zniszczenie i. . . zarazę, która może wybuchnąć w każdej chwili. Harry, jego umysł to wielki, czarny, nieodparty wir.

— A to jest następna rzecz, o której chciałem z tobą porozmawiać — zaczął nekroskop. — Jego panowanie nad tobą, nawet na odległość. Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Byłeś przecież telepatą.

— W tym sedno — odparł Jordan z goryczą. — Harry, jesteśmy wszyscy jak radiostacje, to znaczy, nasze umysły. Większość z nas operuje na bardzo osobistych częstotliwościach. Mówimy tylko do siebie. Przesyłamy do siebie myśli. Większość z nas. Telepaci natomiast mają ten dar, że potrafią dostroić się do długości fal innych ludzi. Ale Janosz jest stacją wyższego rzędu, z większą ilością funkcji. Złap tylko jego falę, a on zagłuszy jej emisję, pójdzie po twoim sygnale i dosłownie przejmie go. Im twój sygnał jest mocniejszy, tym szybciej on go zlokalizuje. I tym silniej uderzy. To takie proste.

— Sądziś, że dostał się do ciebie, ponieważ jesteś telepatą? W takim razie zwykli ludzie byliby bezpieczni?

— Nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością, ale tak mi się wydaje. Jedno jest jasne: z takim umysłem musi być także potężnym hipnotyzerem. W istocie posiada wszystkie zwykłe i niezwykłe moce wampirów!

— To znaczy, że coś, co powiedział mi Faethor, jest bzdurą.

— Faethor? Rozmawiałeś znowu z tym skurwielem o czarnym sercu? Harry, to on jest ojcem Janosza!

— Wiem — odparł Harry — ale trzeba z nim mówić, żeby go poznać.

— No, myślę, że sam wiesz najlepiej, co robisz. Ale nigdy nie wpuszczaj Janosza do swojego umysłu. Trzymaj skurwiela z daleka, bo jeżeli raz się tam wedrze, zostanie na dobre!

Dokładnie przeciwnej rady udzielił mu Faethor.

— Zapamiętam twoje słowa — powiedział Keogh. — Trevor, czy cokolwiek mogę dla ciebie zrobić? Jakież wiadomości?

— Zostawiłem kilku przyjaciół. Chciałbym im coś przekazać. Ale nie w tej chwili. Może będziesz mógł do mnie powrócić. Taką w każdym razie mam nadzieję.

— Trevor, w życiu byłeś telepatą. Twój talent jest tutaj także skuteczny. Nie będziesz, nie pozostaniesz nigdy sam. Zobaczysz, czy nie mam racji. I jeszcze ostatnia rzecz.

— Tak?

— Chciałbym mieć pewność, że zostaniesz poddany kremacji. I wtedy, jeżeli wszystko pójdzie jak trzeba, będę chciał zatrzymać twoje prochy.

— Harry — powiedział Jordan po pewnej chwili — czy ktoś kiedykolwiek nazwał ciebie cmentarzologiem? — Roześmiał się nerwowo. — Do diabła, nie dbam o to, co stanie się z moimi prochami! Choć myślę, że będę mógł częściej z tobą rozmawiać, prawda? To znaczy, stojąc na twoim kominku?

— Myślę, że tak — rzekł Keogh.

Harry ciągle nie mógł się połączyć ani z Möbiusem, ani z Faethorem. Monolis i Darcy wrócili z miasta. Przywieźli kusze. Włoski model „Champion” z bardzo silną, pojedynczą gumową wyrzutnią.

— Widziałem kiedyś człowieka przypadkowo postrzelonego w udo czymś takim — opowiadał Grek. — Musieli otworzyć mu nogę i wykroić z niego harpun! Groty są teraz srebrzone. Odbierzemy je wieczorem.

— A mój lot do Aten? — Postanowienie Harry’ego było silne jak zawsze.

— Jutro o drugiej trzydzieści. Jeżeli nie będzie kłopotów z przesiadką, wylądujesz w Budapeszcie około szóstej czterdzieści pięć. Ale obydwaj bardzo byśmy chcieli, żebyś zmienił decyzję. — Manolis westchnął.

— To prawda — poparł go Darcy. — Jutro w nocy nasi ludzie z INTESP będą tutaj. Próbuję też skontaktować się z Zek Föener i Jazzem Simmonsem w Zakinthos. Skompletujemy diablo dobry zespół, Harry. Absolutnie nie ma potrzeby, żebyś leciał sam na Węgry. Ktoś mógłby ci towarzyszyć przynajmniej przez część drogi. Powiedzmy, dobry telepata albo przepowiedacz przyszłości.

— Zek Föener? — Na dźwięk tego imienia Harry wbił wzrok w Darcy’ego i zmarszczył czoło. — I Michael Simmons? Och, oni na pewno będą chcieli w tym wziąć udział, bez wątpienia!

Po chwili przekazał informację Trevora Jordana o niezwykłej mocy pozazmysłowej wampira.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy, kim jest Zek Föener? Jest najlepszą telepatką na świecie. Tylko pozwól jej umysłowi stanąć przeciw Janoszowi, a on zawładnie nią! Co zaś do Jazza... był świetnym towarzyszem w Gwiezdnej Kraninie, ale tu

nie jest strona gwiazdna. Prawda jest taka, że nie mam odwagi zabierać kogośkolwiek z naszych utalentowanych ludzi przeciw Janoszowi. On ich powyłapuje po kolei i użyje dla własnych celów. Muszę załatwić wszystko w pojedynkę. Zbyt wielu dobrych ludzi przeżyło już zbyt wiele.

— Oczywiście, masz rację — przytaknął Darcy. — Ale ty jesteś naszą największą szansą, naszym asem atutowym, Harry. Dlatego trudno tak puścić cię bez słowa i pozwolić, żebyś nadstawiał karku. Bez ciebie... Tak, szukalibyśmy po omacku, dokoła, w ciemności.

— Nie będę się z tobą spierał — powiedział cicho Keogh. — Ja sam za siebie odpowiadam.

Jego głos niósł nutę ostatecznego rozstrzygnięcia i determinacji...

Wieczorem wyszli po posrebrzane harpuny. W drodze powrotnej zatrzymali się w tawernie, by się napić i posilić. Jedli przez chwilę w ciszy.

— Wszystko wrze, czuję to — odezwał się Darcy. — Mój talent modli się, żeby jutro nigdy nie nadeszło, ale sam wie, że bezskutecznie.

Harry podniósł głowę znad dużego, surowego steku.

— Najpierw prześpijmy tę noc, dobrze? — Jego słowa zabrzmiały ponuro, twardo i niezwykajnie.

Nekroskop nie mógł o tym wiedzieć, ale czekała go ciężka noc. Zanim jeszcze jego głowa dotknęła poduszki, został od razu owładnięty dziwnymi snami. W zasadzie „realnymi”, ale nieuchwytnymi i tajemniczymi, których prawdopodobnie nie będzie pamiętał na jawie.

Od czasu, gdy jego talent nekroskopa rozwinął się, znał dwa rodzaje snów. „Realne”, podświadome „przetasowania” zdarzeń i wspomnień ze świata jawy, których każdy mógł doświadczyć.

Metafizyczne przesłania w formie przestróg, omenów, a niekiedy wizji i krótkich wejrzeń w wydarzenia, które dawno przeminęły i w inne, które dopiero miały nadejść. Te drugie zapowiedziały rozwój mowy zmarłych, umożliwiając umarłym infiltrację jego śpiącego umysłu. Nauczył się oddzielać te dwa rodzaje. Wiedział, które były ważne i które powinien pamiętać, a które mogły zostać zapomniane. Niekiedy jednak nachodziły na siebie, gdy rozmowa ze zmarłym przyjacielem przeistoczyła się w „realny” sen albo w koszmar. Mogło to też łatwo działać w drugą stronę, kiedy męczący sen bywał kojony interwencją umarłego przyjaciela.

Tej nocy Harry doświadczył wszelkich możliwych koszmarów sennych.

Zaczęło się to zresztą niewinnie, lecz w miarę upływu czasu... Gdyby ktoś dzielił z nim pokój, zobaczyłby go przewracającego się i drżącego.

W końcu te zmagania zmęczyły nekroskopa, zapadł głębiej w sen i jak to się często zdarzało, wkrótce znalazł się na pograżonym w mroku cmentarzu. Nie uczynił jednak najmniejszego gestu, by się przedstawić, lecz wędrował pomię-

dzy obrośniętymi zielskiem, popękkanymi nagrobkami, srebrzonymi księżycową poświatą.

Przygruntowa mgła przewalała się pomiędzy wystającymi korzeniami karłowatych drzew i zamieniła dobrze wydeptane ścieżki między cmentarnymi działkami w splatające się mleczne wstążki. Harry w milczeniu wybierał drogę oświetloną lunarną lampą, a mgła niemal oblepiała mu kostki.

Nagle zorientował się, że nie jest w tym miejscu sam. Poczuł taki chłód, jak nigdy przedtem na żadnym polu pochównym. Wstrzymał oddech i słuchał, ale nawet bicie jego własnego serca wydawało się zatrzymywać w tym strasznym miejscu. Nie był to nadnaturalny chłód i cisza, lecz sama natura ciszy. Sami zmarli pozostawali w milczeniu. Leżeli skamieniały w grobach, porażeni grozą czegoś, co krążyło nad nimi.

Keogh pragnął stamtąd uciec. Nagliła go niezwykajna mu potrzeba oddalenia się od miejsca, które powinno stanowić dla niego bezpieczną przystań na wzburzonym morzu snu. Zarazem jednak ciągnęło go w stronę pokrytego mgłą rogu cmentarza, gdzie zielona, wilgotna roślinność pięła się bujnie w kłębach oparów.

„Wyziwy grobowe — pomyślał — jak zimny oddech zmarłych, przesączający się ku górze!”

Coś zachlupotało mu pod stopą, jak rozgnieciony pęk wodorostów. Harry popatrzył w dół. Stał na samej granicy zieloności roślin i czerni wieczornej otchłani. Nienaturalna mgła unosiła się ku górze, prawdopodobnie z jakiejś prastarej kamiennej mogiły. Na ziemi aż roiło się od czarnych grzybów.

„Czyj to grób — zastanawiał się — z którego te trujące grzyby czerpią swoje zepsute soki życiowe?” Przeszedł przez kurtynę wilgotnej, lepiałej się zieleni. Ciężkie liście i opierające się bluszcze z niechęcią go przepuściły. Wynurzył się po drugiej stronie. . . Wydawało mu się, że znalazł się w zupełnie innym miejscu.

Nie było tu pomników ani pochylonych, omszałych nagrobków, ani zarośniętych działek, ale. . . bagno.

Keogh stał na krawędzi szerokiego, zamglonego trzęsawiska. Gnijące drzewa, zmurszałe pnie wydzierały straszliwy odór. Wszędzie dokoła, gdzie tylko wystawała kępa na wpół twardej ziemi, pomarszczone, czarne muchomory rosły w chorobliwych, wstrętnych gromadach, uwalniając zabójcze, czerwone zarodniki.

Chciał umknąć, wrócić po śladach. Odkrył jednak, że wrósł w ziemię, przyciągnięty tajemniczą siłą trędowatego, czarnego bagna. Nagle trzęsawisko zadrżało, z wolna utworzyły się małe zmarszczki, jakby coś dużego ruszało się pod samą powierzchnią. W następnej chwili z głębin bagiennych wyrosła. . . parująca płyta nagrobna, wraz z własną prostokątną działką obrzydliwie ruszającej się ziemi.

Aż do tego momentu sen Harry'ego, choć niespokojny, płynął jak jakiś dziwny balet w zwolnionym tempie. Natomiast jego pozostała część nabrała szarpiącej nerwy szybkości i dzikości.



Pragnął odwrócić się i biec. Mógł jednak tylko patrzeć, jak błotnista maź odpada od płyty grobowej ujawniając... tożsamość jego mieszkańca:

**HARRY KEOGH: NEKROSKOP**

Kopiec cmentarny nagle się rozerwał, wyrzucając płaty ziemi we wszystkich kierunkach. A tam, w otwartym grobie leżała podobizna czy też groteskowa karykatura samego Harry'ego... Ozdobiona wszędzie dojrzewającymi, pełnymi zarodników grzybami.

Keogh próbował krzyknąć, ale... jego sobowtór wykonał tę pracę za niego. Z przeraźliwym pluskiem, to coś usiadło w szeroko otwartym grobie, otworzyło żółte, wypełnione ropą ślepia i wrzeszczało, zanim nie przegniło w czarny, gulgozczący pień.

Harry wznosił dłoń do oczu, by obronić się przed widokiem tej rzeczy i... jego ręka pokryła się guzkami niczym potwornymi czerniakami rozwijającymi się i wyrastającymi z rozkładającego się ciała. Dopiero teraz zobaczył, dlaczego nie mógł uciekać. Zapusił bowiem korzenie i sam był jakimś hybrydalnym grzybem, którego czułkowate palce nóg wczepiły się w brzeg rozkładającej się gleby ponad niespokojnie falującym grzęzawiskiem.

Obrócił więc twarz do księżycy i zaczął wołać, nie ciałem przemienionym w zabójczego grzyba, ale duszą.

— Chryste! Och, Chryste!

Zanim butwiejąca, grzybiczna błona zdążyła zbliznić mu oczy, spostrzegł, że księżyc stał się czaszką, która śmieje się do niego z krwawego nieba. Purpurowe sklepienie zagrzmiało. Księżyc-czaszka wyciągnął na dół szkieletowate ramiona, wyrwał go z wsysającego bagniska i przywrócił kończynom ludzkie kształty.

— Haaarry! — zanucił księżyc głosem Sandry. — Harry! Och, dlaczego mi nie odpowiadasz?

Nekroskop rzucał się w łóżku i pocił. Wysyłał rozedrganą mowę zmarłych w nocny mrok.

— Nie, nie, Harry — przybiegł znowu nagłacy mentalny głos Sandry. — Nie potrzebuję tego, ponieważ nie jestem martwa. Może lepiej, gdybym była. Popatrz tylko na mnie teraz, popatrz na mnie teraz!

Zmusił się do otwarcia oczu. Popatrzył i próbował pogodzić się z niezwykłością tego, co ujrzał.

Gotycka scena przerażała. Harry jednak dobrze znał ludzi biorących w niej udział. Sandrę, chodzącą wielkimi krokami w tę i z powrotem, załamującą ręce i rwącą włosy z głowy. Kena Layarda, skulonego nad drewnianym stołem, dziwnie osuniętego i zgiętego. Ściskającego głowę szponowatymi rękami i wpatrującego się gorączkowo w nieodgadnione zakamarki własnego umysłu. Teraz stworzenie Janosza.

Keogh istniał w sposób niematerialny i bezcielesny. Poznał to od razu, po tym samym beczuciu niebytu, którego doświadczył w tych dziwnych czasach mię-

dzy śmiercią fizycznego Harry'ego Keogha, a inkorporacją jego ducha i umysłu przez Aleca Kyle'a. Był więc tu nie ciałem, ale jedynie duchem. Niewiarygodne, zaiste niemożliwe poza obszarem snów i bez pomocy metafizycznego kontinuum Möbiusa. A jednak swoim instynktem nekroskopa Harry poznał, że to jest coś więcej niż tylko sen.

Zbadał swoje otoczenie.

W sklepionej wnęce z surowego kamienia stało masywne łóżko z baldachimem. Poza tym w pokoju znajdowało się niskie legowisko z wypchanymi słomą materacami i zapleśniałymi kocami. Szerokie drewniane krzesła i nieheblowany stół, wielki komin i szerniały przewód kominowy oraz zbutwiałe tkaniny na ponurych kamiennych ścianach. Nie było tu okien, a jedynie solidne dębowe drzwi z żelaznym okuciem. Zaryglowane od zewnątrz.

Światło pochodziło od dwóch stopionych świec, szczepionych woskiem ze stołem, przy którym Layard siedział skulony w gorączkowej koncentracji. Płomień migotliwie rozjaśniał sklepiony sufit, z saletrowymi kryształami zaskorupiałymi w zaprawie łączącej masywne, żłobione kamienne bloki. Podłoga była ułożona z kamiennych płyt. Atmosfera zimna i nieprzyjazna, a cała scena przesiąknięta grozą lochu. To miejsce było lochem albo czymś tak podobnym, że właściwie nie stanowiło to różnicy. Lochem w ruinach zamku Ferenczego.

— Harry? — Głos Sandry był cichym, zaleknionym szeptem, zduszonym z obawy przed obudzeniem... czyjejsz czujności.

Zatrzymała się. Mimowolny dreszcz przerażenia wstrząsnął jej ciałem. Szeroko otwartymi ustami zaczerpnęła powietrza i z wysiłkiem wysunęła twarz ku przodowi, wbijając wzrok w pustkę.

— Harry, czy to... ty?

Ken Layard podniósł głowę.

— Masz go? — zapytał.

Jego twarz była posępna, skrecona niewyobrażalnym cierpieniem. Zroszona zimnym potem zatrzymującym się na brwiach. Kiedy się odezwał, obraz zaczął się kołysać, a Harry, wbrew własnej woli... wymykać.

— Nie pozwól, żeby się wyslizgnął!- syknęła Sandra.

Podbiegła do stołu, chwyciła głowę Layarda w dłoń, użyczyła mu własnej woli, wspierając jakiś pozazmysłowy wyczyn, którego dokonywał. Pokój znowu zastygł. Bezcielesny nekroskop w końcu zrozumiał.

Jak na razie nie zostali jeszcze całkowicie zniewoleni przez Janosza. Ciągle musiał ich pilnować, zamykać. A ponieważ wiedzieli, że zostali skazani na służbę u niego jako niemartwe wampiry, połączyli swoje ESP w ostatnim wysiłku, by się mu oprzeć, dopóki jeszcze przynajmniej część ich dusz i umysłów do nich należała. Ken Layard użył swojego talentu, by zlokalizować i „przytwierdzić” Harry'ego do jego łóżka w hotelu na Rodos. Sandra podążyła tropem podanych przez Layarda namiarów, żeby nawiązać z nekroskopem telepatyczne połączenie.

Z ich mocami, wzmocnionymi i zwielokrotnionymi przez związki wampiryczne, jakie Janosz im wszczepił, powiodło im się ponad oczekiwanie. Nie tylko odnaleźli Harry'ego i nawiązali z nim kontakt, ale dali mu telepatyczny i wzrokowy dostęp do ich lochu — więzienia.

Sandra miała na sobie jakąś przeświecającą halkę. Na piersiach i pośladkach widać było ciemne plamy, które mogły być jedynie siniakami. Strój Layarda stanowił szorstki koc, zwinięty w rodzaj sutanny.

Musiało być bardzo zimno w tym potajemnym schowku starego zamku. Keogh jednak słusznie przypuszczał, że chłód nie ma już do nich dostępu.

— Harry! Harry! — syknęła znowu, zwracając wzrok wprost ku jego bezcielesnej obecności. — Wiem, że cię mamy! Dlaczego więc nie odpowiadasz? — Strach i bezsilność malowały się w jej wielkich, okrągłych oczach.

— Wy... mnie macie — szepnął wreszcie. — Musiałem tylko przywyknąć, nic więcej.

— Harry! — Gwałtownie wypuściła powietrze, które w zimnie lochu zamieniło się w kłęb pary. — Mój Boże, naprawdę cię mamy!

— Sandra — powiedział, już żywiej. — Ja teraz śpię. Śnię czy coś w tym rodzaju. Ale mogę się obudzić lub zostać obudzonym w każdej chwili. Po tym... może będziemy mogli się połączyć, a może nie. Zrobiliście to, nawiązaliście ze mną kontakt dla jakiejś przyczyny, więc lepiej będzie, jeżeli od razu przejdiesz do rzeczy.

Jego słowa, tak zimne, odległe, puste wydawały się ją oszołamiać. Nie był takim, jakiego oczekiwała. Podeszła do stołu i opadła na krzesło obok Layarda.

— Harry — powiedziała — on mnie użył, zmienił, zatruł. Gdybyś kiedykolwiek mnie kochał, co czułbyś teraz? Krzyczałbyś! A ty nie krzyczysz.

— Nie czuję nic — odparł. — Brak mi odwagi, by cokolwiek czuć. Rozmawiam z tobą, ale nie patrzę do środka.

Schowała głowę w dłoniach i rozpaczliwie załkała.

— Zimny, taki zimny. Czy kiedykolwiek, kiedykolwiek w swoim życiu byłeś czuły?

— Sandro — odparł — jesteś wampirem. I chociaż pewnie o tym nie wiesz, już zdradzasz cechy wampira. Rzadko rozmawiają, zazwyczaj uprawiają słowne gry. Grają na uczuciach, których same ani nie znają, ani nie rozumieją — jak miłość, uczciwość, honor. I na innych, które rozumieją aż za dobrze, jak żądza i nienawiść. Dążą do zamazania problemów, a przez to, stępienia umysłów swoich oponentów. A dla wampira każde stworzenie, które nie jest jego niewolnikiem, jest jego oponentem. Odnalazłaś mnie, bez wątpienia dlatego, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego, ale teraz wampir w tobie opóźnia to, ściągając cię z kursu.

— Nigdy mnie nie kochałeś! — oskarżyła go, wypluwając słowa i odsłaniając odmienione zęby.

Wtedy dopiero spostrzegł, jak bardzo jej oczy, a także oczy Kena Layarda były żółte i zdziczałe.

Harry przyjrzał się teraz dokładniej dwojgu więźniom Janosza. Zobaczył, jak dobrze wampir wykonał swoje dzieło. Oprócz oczu, ich ciała niewiele w sobie miały ludzkiego życia. Byli niemartwi. Uroda Sandry, dotychczas naturalna, nabrała charakteru całkowicie nieziemskiego. Layard wyglądał jak trójwymiarowa papierowa postać, częściowo zgnieciona.

— Ależ ja zostałem pogruchotany, Harry! — Layard popatrzył do góry i mówił w powietrze. — Na Karpatos, kiedy Janosz był zajęty, chwyciłem wyrzucone przez morze drzewce i próbowałem go przebić. Przywołał swoich ludzi z „Lazarusa”, ci związali mnie, położyli na plaży, i ciskali we mnie głązy z urwiska! Przestali dopiero wtedy, kiedy byłem cały połamany i zasypany. Związek wampirzy, który jest we mnie, leczy mnie teraz, ale już nigdy nie dojdę całkiem do zdrowia.

Litość wypełniła Harry'ego po brzegi i groziła, że go całkiem pochłonie, więc siłą odepchnął ją od siebie.

— Dlaczego mnie wezwaliście? Aby mi coś doradzić, czy też osłabić żalem i wyrzutami sumienia? Strachem o siebie samych? Czy należycie do siebie, czy też całkowicie do niego?

— W tej chwili — odpowiedział Layard — należymy do siebie. Na jak długo... kto wie? Aż on wróci. A po tym... zmiana wciąż się dokonuje i nie można jej odwrócić. Masz rację, Harry: jesteśmy wampirami. Chcemy ci pomóc, ale ta mroczna siła w nas miesza nam szyki.

— Nie robimy postępów — zauważył Harry.

— Powiedz tylko, że mnie kochałeś! — błagała Sandra.

— Kochałem cię — powiedział nekroskop.

— Kłamca! — syknęła.

Harry czuł się rozdarty.

— Ja nie potrafię kochać — odparł w jakiejś desperacji i po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że to prawdopodobnie jest prawda. Dawno, dawno temu, być może, ale później już nigdy. Manolis Papastamos miał mimo wszystko rację: Harry był zimny.

Sandra skurczyła się.

— Nie ma w tobie miłości — odrzekła — czy mamy ci więc doradzić, jak najlepiej nas zabić?

— Ale czy to nie o to chodzi? — zapytał Layard. — A czy nie tego właśnie chcemy, teraz, kiedy jeszcze mamy wybór?

— Czyżby? Och, czy naprawdę? — Chwyciła jego złamaną rękę. — Myślałam, że nie chcę już żyć, nie w ten sposób. Ale teraz nie wiem, nie wiem. Harry, Janosz... mnie... znał. On mnie zna. Nie ma takiej jamy w moim ciele, której nie wypełnił. Brzydzę się nim... ale zarazem go pragnę! I to jest najgorsze: pożądać

potwora. Co więc, jeśli wygrasz? Czy będzie to dla mnie oznaczało to samo, co dla Lady Karen?

— Nie! — Ta myśl go odrzuciła. — Nie mógłbym zrobić czegoś takiego jeszcze raz. Nie tobie ani nikomu innemu, nigdy. Jeżeli wygram, nie zadam bólu.

— Tyle, że ty nie możesz wygrać — jęknął Layard.

— Mógłby! On mógłby! — Sandra aż podskoczyła. — Może Janosz się myli!

— W czym? — Harry czuł, że być może znalazł rozwiązanie. — Myli się w czym?

— Popatrzył w przyszłość — wyjaśniła Sandra. — To jest jeden z jego talentów. Wyczytał z przyszłości zwycięstwo dla siebie.

— A co widział? Co, dokładnie?

— Że nadejdiesz — odpowiadała — i że będzie ogień i śmierć, i grzmot, wystarczający, by obudzić zmarłych. Żyjący, martwi i niemartwi zostaną w to włączeni. Z chaosu wyjdzie tylko jeden zwycięzca, najstraszliwszy, najpotężniejszy ze wszystkich wampir!

— Paradoks — załkał Layard — teraz znasz przyczynę, dla której nie wolno ci tu przychodzić.

Harry pokiwał głową.

— Tak to zawsze jest, kiedy się czyta w przyszłości — wyszeptał. Nagle drzwi lochu otworzyły się z trzaskiem. Stał w nich Janosz, potężny jak szatan, zły jak piekło. Z jego oczu strzelały śmiertelne ognie. Upiorna postać pogrążyła się w ciemnościach.

— Wiedziałem, że się z nim połączycie! A co zrobiliście dla siebie, bez wątpienia możecie zrobić dla mnie. Więc tak będzie!

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### Drugi kontakt — Horror na Halki — Ładunek negatywny

Harry spał bardzo niespokojnie. W pewnej chwili połączenie z Sandrą i Layardem zostało przerwane, jakiś inny głos wtargnął brutalnie do jego podświadomości.

— Harry? Czy krzyczałeś? Czy wzywałeś jego imię, Harry, nadaremnie? — To był Möbius, ale podmuch i szept jego mowy zmarłych powiedział nekroskopiowi, że astronom błąka się i błądzi jak poprzednio.

— Jego imię? — wymamrotał Harry, wciąż rzucając się i przewracając w oblepiającej go pościeli. Stopniowo dochodził do siebie. — Masz na myśli swoje imię? Możliwe. Ale to było wcześniej.

— Nie, jego imię — nalegał Möbius.

— Nie wiem, o czym mówisz. — Harry był zbity z tropu.

— Ach — westchnął Möbius, częściowo z ulgą, ale przede wszystkim z rozczarowaniem. — Przez chwilę myślałem, że doszedłeś do tego samego wniosku. Byłoby to możliwe, prawdopodobne, ponieważ, jak wiesz, zawsze uważałem cię za równego sobie, Harry.

— Równego sobie? — odpowiedział w końcu. — Nie ma sposobu, abym mógł kiedykolwiek wspiąć się tak wysoko. Tym bardziej teraz, kiedy już nie jestem tym człowiekiem, co dawniej. Co zresztą stanowi przyczynę, dla której ciebie szukałem.

— A, tak! Teraz sobie przypominam. Mowa zmarłych? Coś o niezdolności posługiwania się cyframi?

Umysł Möbiusa, początkowo zamglony, rozjaśnił się, ukazując coś z właściwej mu krystalicznej czystości rozumowania. Harry naciskał na swoją sprawę.

— Nie potrafię posługiwać się cyframi: nie potrafię rozwiązywać równań: nie mam już dostępu do kontinuum Möbiusa. Potrzebuję twojej wstęgi jak nigdy przedtem.

— Nieliczący!- powiedział tamten, najwyraźniej zdumiony. — Nie mogę się z tym pogodzić? Jakżebym miał w to uwierzyć? Byłeś moim najlepszym uczniem. Masz, spróbuj raz jeszcze.

Wypisał skomplikowaną matematyczną sekwencję na ekranie umysłu Harry'ego. Nekroskop przypatrywał się każdemu symbolowi i liczbie po kolei.

— Bez celu — powiedział.

— Zdumiewające! — krzyczał Möbius. — Dałem ci bardzo proste zadanie, Harry. Wygląda na to, że twoja ułomność jest poważna.

— To właśnie ci mówiłem. — Keogh usiłował zachować cierpliwość. — I dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy.

— Powiedz tylko, co chcesz, abym zrobił.

Keogh westchnął z zadowolenia. Wydawało mu się, że w końcu ściągnął na siebie całą uwagę Möbiusa. Szybko opowiedział, jak Faethor dostał się do jego mózgu i rozplątał połączenia, które tam znalazł, a które wywoływały straszliwe cierpienia, ilekroć próbował użyć mowy zmarłych.

— Faethor był prawdopodobnie jedynym, który mógł to naprawić — wyjaśnił. — Odzyskałem moją mowę zmarłych. Jednak obszary odpowiadające za moje podstawowe i instynktowne rozeznanie w liczbach zostały zamknięte niemal całkowicie. Oto, co tam zastał: zamknięte drzwi, okratowane i zaryglowane z całą moją matematyką w środku. Faethor nie jest uczonym, ale jednak, siłą woli, sforsował jedne z tych wrót. Tylko na chwilę, ponieważ zaraz zatrasnęły się. To jednak wystarczyło. Za nimi wirowała... wstęga Möbiusa!

— Niezwykle fascynujące! — odrzekł astronom. — Wygląda na to, że będziemy musieli zacząć naszą edukację od początku.

— Miałem nadzieję, że może znajdzie się jakiś dużo szybszy sposób — powiedział Keogh. — Widzisz, potrzebuję twojej pomocy natychmiast, ponieważ inaczej jest wielce prawdopodobne, że pożegnam się z tym światem. Faethor mógł poruszać się tylko po tych obszarach, w których był ekspertem. Pomyślałem więc, że skoro ty...

— Ale Harry — Möbius wydawał się wstrząśnięty — ja nie jestem wampirem! Twój umysł należy do ciebie, jest nienaruszalny, i...

— Ale nie na długo — wtrącił się Harry. — Nie możesz mi odmówić! Augustie Ferdynandzie, muszę stanąć przeciw czemuś całkowicie potwornemu i potrzebuję pomocy. Nie proszę o to dla siebie, ale dla wszystkich i dla wszystkiego. Jeżeli bowiem przegram, mój przeciwnik dostanie nawet twoją czasoprzestrzeń. Wierz mi, nie przesadzam. Proszę spróbuj otworzyć drzwi liczb w mojej głowie, inaczej on to zrobi!

— Tak?

Möbius przez chwilę milczał.

— Harry, tam przecież są wszystkie twoje tajemnice, ambicje, najbardziej osobiste myśli.

— A także moje pragnienia, występki, grzechy. Ale to nie jest peep-show, Auguście. Nie musisz patrzeć tam, gdzie nie chcesz.

— Dobrze więc. Jak się do tego zabierzemy?

— Auguście Ferdynandzie jesteś jedynym człowiekiem pomiędzy zmarłymi, który może dotrzeć do każdego miejsca w trójwymiarowej przestrzeni. Podróżowałaś między gwiazdami i po dnie najgłębszych oceanów. Dzięki znajomości kontinuum wyszedłeś z mrocznego grobu. Wyczyszczę swój umysł, zapadnę w sen, i zaproszę cię do środka. Powiem: Möbiusie, wejdź do mojego umysłu. Wejdź z własnej nieprzymuszonej woli i rób, co jest konieczne do...

— Achch! — zagrział czarny, lepki, gulgoczący, całkowicie przytłaczający głos Janosza Ferenczego. — Cóż to za wystawne zaproszenie. Nigdy nie pozwolę, by mówiono, że ci odmówiłem!

Möbius został zmieciony w jednej chwili.

Harry, sparaliżowany, nie mógł nic zrobić. Czuł Ferenczego wewnątrz swojej duszy, tak jak ryba czuje hak w skrzelach. Wydawało mu się że jakiś nagi ślimak wpełzł przez ucho, aby wyżreć mu mózg.

— Och? — westchnął Janosz, napawając się przerażeniem swego gospodarza. — Czy nie czułem przed chwilą, jak się płaszczysz? A może starałeś się usunąć mnie? Czy to była miara twojej siły? Jeśli tak, to zaiste nie ma się tutaj czego bać! Wstydz się, Harry. Zapraszasz mnie i od razu wyrzucasz. Jakim ty jesteś gospodarzem?

— Moje... zaproszenie... nie było dla ciebie! — Harry zmusił swój mózg do pracy. Próbował wbić sobie do głowy, że to jest po prostu jeszcze jeden wampir. Janosz zaś spadł na jego myśl jak sęp na padlinę.

— Nie zostałem zaproszony? Ależ twój umysł był otwarty jak krocze dziwki... i tak samo kuszący!

Keogh ustawił rozgorączkowany umysł w pozycji obronnej. Niemal czuł zapach występnego oddechu wampira i słyszał odgłos jego złowieszczych kroków w najbardziej sekretnych korytarzach umysłu.

— Czy wciąż zarzucasz mi, że śmierdzę? — roześmiał się najeźdźca. — Do czego to porównałeś mnie ostatnim razem? Do martwej świni! A przecież wiesz, że ja jestem niemartwy...

Nekroskop jeszcze przed chwilą czuł się zduszony, ale teraz jakby ktoś otworzył szeroko okno i wywiał pajęczyny z jego myśli. Harry napełnił płuca tym niezwykłym, wyimaginowanym powiewem i poczuł się mocniej. Z tej, o wiele korzystniejszej, choć zagadkowej pozycji, zastanowił się nad zuchwałością wampira, który ośmielił się wtargnąć do jego wnętrza.

Wszystkie z tych najświeższych myśli były strzeżone, więc Janosz wziął milczenie Harry ego za oznakę najczystsze go przerażenia.

— A więc to jest ten wszechpotężny nekroskop — zarechotał wampir.



Harry niezmiennie pilnował swoich myśli. Znowu poczuł ten szczególny powiew pewności siebie. Śpiąc mógł jednak kontrolować swój umysł tylko w połowie.

— Wiesz, że mogę kierować twoją wolą — mówił Janosz. — Mogę cię złamać, jak złamałem tego głupca — Jordana.

— Możesz tak sobie myśleć — odpowiedział Harry beznamiętnie. — Ale pamiętaj: przyszedłeś tutaj z własnej nieprzymuszonej woli.

— Co? — Ferency zaniepokoił się.

Nagle, poza podejrzeniami Janosza, Harry jakby usłyszał głos Faethora.

— Zamiast cofać się, odsuwać — radził wampir — kiedy czujesz, że jest w pobliżu, sam go poszukaj! Wkroczy do twojego umysłu? Wkrocz do jego! Będzie oczekiwał, że się go przestraszysz? Bądź zuchwały! Będzie ci groził? Śmieję się z tych gróźb i sam uderz! Ale nade wszystko, nie pozwól, aby jego zło osłabiło cię. Twój umysł jest o wiele silniejszy niż przypuszczasz, Harry. . .

Janosz zaczął coś podejrzewać.

— Posiadasz nadzwyczajny talent nekroskopa, Harry — odezwał się. — Pragnę go osiąść.

— Masz przynajmniej próżność wampira — odrzekł Harry — ale sama próżność nie wystarczy. Potrzeba jeszcze środków, czynów.

— Znasz nas. . . dobrze — powiedział Janosz z większym niż dotąd rozdrażnieniem.

— Zmieniasz zdanie?

— Co powiedziałeś?

— Spokojnie, nie tak nerwowo. Słuchaj, czuję, jak drzysz. Co, boisz się? Jak to? Czy nie wkroczyłeś siłą do mojego umysłu? Gdzie jest mój opór? Jesteś tutaj, w twierdzy samego mojego jestestwa. W twierdzy, do której łatwiej jest wejść, niż się z niej wydostać! — Harry z trzaskiem zamknął dostęp do swego umysłu.

— Te nędzne bariery, które wzniosłeś — krzyczał Janosz. — Jestem otoczony drzwiami. Mam jednak wystarczającą siłę, by je rozwalić, by je wyrwać z zawiasów!

„Kiedy rozewrze na ciebie swoje wielkie szczęki, idź wprost w nie, ponieważ on jest słabszy w środku!” — Harry pomyślał o radach Faethora.

— Rozwal je — odpowiedział — wyrwij je z zawiasów, jeśli się ośmielisz!

Janosz ośmielił się. Ruszył przez umysł Harry'ego, gruchocząc wszystkie bariery, jakie ten wznosił na jego drodze. Wyrwał przegrody i ekrany jego najgłębszego Jestestwa. Trwała tam cała przeszłość Harry'ego, jego miłości i nienawiści, nadzieje i aspiracje. Wszystko to trutował wampir grasujący teraz w najsekretniejszych zakamarkach id. W każdym z tych miejsc potwór mógłby się na chwilę zatrzymać, zabawić się. Sprawić, by Harry śmiał się, płakał, krzyczał albo. . . umarł.

— Co? Co? — Roześmiał się, dotarłszy do miejsca umocnionej bardziej niż wszystkie dotychczasowe razem wzięte. — Do licha, to musi być bardzo drogi dom! Co za niebываłe tajemnice zostały tam zebrane, co Keogh? Czy tutaj znajdują się ciemnie twoich talentów?

Zanim Harry mógł odpowiedzieć, jeśliby odpowiedział, Janosz wyrwał dwoje drzwi.

Za pierwszymi trwała ostateczna Nicość. Przez chwilę Janosz łąpał równowagę na progu kontinuum Möbiusa. A za drugimi... czekał Faethor Ferency, przycupnięty tam, skąd kierował rozgrywką Harry'ego. Teraz wzbudził w Janoszu najwyższe przerażenie. Najeźdźca cofnął się. Faethor wynurzył się teraz w całej okazałości ze swej kryjówki i żywiotowo próbował wypchnąć tamtego przez drzwi do wieczności, a jednocześnie w czasoprzestrzeń Möbiusa. Janosz prychnął w szoku, zdumieniu i niewierze. Wewnątrz w zasadzie ludzkiej istoty, natknął się nie tylko na niepoznawalny i przerażający koncept, ale także na potworny i obcy umysł swego dawno zgasłego ojca. Strach pobudził go do działania. Wyrwał się z objęć Faethora, plunął w niego strumieniem na wprost czytelnym sprośności i umknął. Wyłamał się z id Harry'ego i po chwili już go nie było. Nie poczynił żadnych poważniejszych szkód.

— Faethorze! — warknął Harry głosem posępnym i zgrzytliwym. Głosem uwolnionym od wpływu swego sekretnego lokatora. — Faethorze! — zawołał znów.

Nie było odpowiedzi, poza może dalekim, cichym chichotem, lub może ukradkowym furkotem skrzydeł nietoperza, odbitym od ścian najgłębszej, najciemniejszej jaskini.

— Och, ty skurwielu... ty kłamco! — skowytał Harry. — Jesteś tam w środku! Byłeś tam od chwili, kiedy cię wpuściłem. Ale ja potrafię znaleźć cię i wyrzucić...

— Nie ma potrzeby, mój synu — przyszedł daleki, słaby szept Faethora. — Pierwsza bitwa została stoczona i wygrana. Słońce wstaje, ja... odchodzę!

O ósmej piętnaście miasto Rodos dopiero budziło się ze snu, Harry był już na molo przystani Mandraki, gdzie odprowadzał swoich przyjaciół. Darcy i Manolis pomachali mu, gdy ich łódź przecinała niewiarygodnie błękitne lustro Morza Egejskiego. Skinął jedynie głową i patrzył za nimi, dopóki nie zniknęli mu z oczu. W duchu życzył im szczęścia.

Następnie przejechał samochodem do plaży Kritika i pływał godzinę, po czym wrócił do hotelu i wziął prysznic. Na zewnątrz temperatura w słońcu dochodziła do siedemdziesięciu stopni. Harry położył się w chłodnej pościeli. Odprężył się, z wolna wyczyszczając swój umysł i pozwalając mu się swobodnie unosić... Skierował swe myśli w stronę Faethora.

I dopadł go w swoim mózgu, zanim tamten zdążył usunąć się z widoku. Wampir w jego umyśle i pałace słońce wysoko na niebie. Keogh powinien był wiedzieć, że duchy nie płoną. Skwar słoneczny mógł przysporzyć Faethorowi kilku złych snów, ale nie mógł zrobić mu fizycznej krzywdy. Nic fizycznego bowiem w Faethorze nie zostało.

— Ty Stary Diable! — powiedział nekroskop na zimno, gdyż nie było to wyzwisko, lecz jedynie stwierdzenie faktu. — Ty stary skurwielu, ty stary kłamco. Więc tak, jak Tibor przyczepił się do Dragosaniego, tak ty chcesz przykleić się do mnie, co!

— Myślę o tym. — Faethor zrezygnował z chowania się i Harry czuł go tak blisko, jakby stał zaraz obok łóżka. — *Fait accompli*, Harry. Przywyknij do tego.

Harry potrząsnął głową i uśmiechnął się bezzadanie.

— Pozbędę się ciebie — odrzekł. — Wierz mi, Faethorze, pozbędę się ciebie, choćbym miał przy tym pozbyć się samego siebie.

— Samobójstwo? — zaczekał wampir. — Nie Harry, nie ty. Jakżesz to, przecież jesteś równie nieugięty, jak ci, których ścigasz i niszczysz! Nie zabijesz sam siebie, kiedy istnieje jeszcze szansa zabić następnego z nich.

— To znaczy, następnego z was? Ale możesz się mylić, Faethorze. Jestem tylko człowiekiem i mogę łatwo umrzeć. Kula w mózg, jak Trevor Jordan... Nawet bym o tym nie wiedział, wierz mi, to kuszące.

— Nie ma w twoich myślach rzeczywistego zamiaru samobójstwa — wampir wzruszył ramionami — więc po co udawać? Czy myślisz, że mi tym zagroisz? Jak możesz mi zagrozić, Keogh, skoro już jestem martwy?

— Ale żyjesz we mnie, prawda? Słuchaj, coś ci powiem: tak naprawdę nie wiesz, co tkwi w moich myślach. Mogę je ukryć, nawet przed tobą. To jest mowa zmarłych. Nauczyłem się nią tak posługiwać, by trzymać me myśli z dala od zmarłych. Zrobiłem to, żeby ich nie ranić, ale mogę łatwo użyć tego dla innych celów. — Przez chwilę Harry wyczuł niepewność Faethora. Pokiwał głową ze zrozumieniem. — Widzisz? Ja wiem, co ciebie gnębi, Stary Diable. Ale ty nie wiesz, co mnie dręczy, jeżeli to przed tobą schowam... więc?

Gdzieś głęboko w psychice Harry'ego, ojciec wampirów poczuł się otoczony przez nicłość. Wydawało mu się, że jakiś gruby koc okrył go szczelnie albo że wrócił do ziemi nie opodal Ploesti, gdzie jego złe soki zostały złożone tej nocy, kiedy Ladislau Giresci zabrał mu życie.

— Widzisz? — powiedział Keogh, pozwalając promieniowi swoich myśli załźnić w środku. — Mogę cię odgradzić.

— Nie, Harry. Możesz mnie tylko przysłonić. Ale jeżeli się zapomnisz, wrócę.

— Na zawsze?

Przez chwilę Faethor milczał.

— Nie, bo zawarliśmy umowę. Tak długo, jak ty się będziesz jej trzymać, będę i ja. Kiedy Janosz przestanie istnieć wówczas i ty się mnie pozbędziesz.

— Przysięgasz?

— Na mą duszę! — Faethor zagulgotał jak mroczne trzęsawisko i przesłał niematerialny uśmiech.

— Będę trzymał cię za słowo! — Jego mentalny głos był zimny jak przestrzeń międzygwiazdna. — Pamiętaj, Faethorze, będę cię trzymał za słowo. . .

Manolis prowadził motorówkę. Okrążyli przylądek Koumbourno i wyprzedzili narciarzy wodnych nie opodal plaży Kritika. Około dziewiątej minęli cypel Minas i pozostawiając łódź z lewej strony, wzięli kurs na Alimnię. Darcy obawiał się, że może mieć kłopoty z żołądkiem, ale morze było nadzwyczaj spokojne. Mógłby z łatwością radować się wystawnymi wakacjami. Oczywiście, gdyby nie miał całkowitej pewności, że zmierza w stronę okropieństwa. Para delfinów harcowała przed tnącym wodę dziobem łodzi. Przemknęli między skałami Alimni i Makri, i po chwili Halki (Manolis twierdził, że powinno być „Khalki”, dla kredowej powierzchni, od której wzięta swą nazwę) wynurzyła się przed nimi.

Po dziesiątej przybyli na przystań i zacumowali łódź. Manolis uciał sobie pogawędkę z dwoma ogorzałymi rybakami naprawiającymi sieci. W czasie gdy zadawał z pozoru pozbawione znaczenia pytania, Darcy kupił mapę w małym kiosku na nabrzeżu i studiował plan wyspy. Nie musiał zresztą wiele studiować. Wyspa była dużą skałą, osiem na cztery mile. Na zachodzie, gdzie jedyna droga zasługująca na tę nazwę błąkała się jakby bez celu, wyrastały dzikie i opuszczone górskie grzbiety. Darcy wiedział, że jego i Manolisa miejsce przeznaczenia znajduje się właśnie tam na wyżynie. Właściwie nie potrzebował do tego mapy: jego talent powtarzał mu to przez cały czas od momentu, gdy zstąpił na łódź.

Skończywszy rozmowę z rybakami, Manolis dołączył do niego.

— Nie ma transportu — powiedział. — Będzie stąd ze dwie mile, następnie wspinaczka i oczywiście musimy nieść ten nasz, jak to nazwać, kosz piknikowy? Wygląda to na długi, gorący spacer, przyjacielu, i cały czas pod górę.

Darcy rozejrzał się dokoła.

— A co to jest? — zapytał — jeżeli nie transport?

Trójkołowy dziwoląg, grzechocąc jak maszyna parowa i ciągnąc wózek na czterech kółkach, wynurzył się z wąskiej uliczki, by zaparkować w „centrum miasta”, to jest na nabrzeżu. Kierowca — szczupły, mały Grek w wieku około czterdziestu pięciu lat, wysiadł z pojazdu i wszedł do sklepu spożywczego. Na imię miał Nikos: był właścicielem tawerny i pokojów przy plaży na przewężeniu cypla poza miastem. Interes kręcił się teraz powoli, mógł więc ich zawieźć na koniec drogi za niewielką opłatą. Kiedy Manolis wymienił sumę tysiąca pięciuset drachm, oczy tamtego zajarzyły się jak lampy.

Po drodze Nikos zatrzymał się w tawernie, by wyładować zakupy. Otworzył dwie butelki piwa dla swoich pasażerów, po czym kontynuowali jazdę.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytał Darcy.

— Jest ich dwóch — odpowiedział Manolis. — Schodzą wieczorem kupować mięso, surowe mięso, i niekiedy butelkę wina. Siadają razem, rozmawiają niewiele. Jedzenie przyrządzają sobie u góry, na miejscu... o ile w ogóle je przyrządzają. — Manolis wzruszył ramionami i popatrzył na Darcy'ego. — Pracują głównie nocą. Kiedy wiatr wieje w dobrą stronę, tutejsi czasami słyszą wybuchy. Nic wielkiego, nieduże ładunki, by rozkruszyć niektóre skały i usunąć gruz. Za dnia... nie widać, żeby zbyt wiele robili. Wylegają się w jaskiniach.

— A co z turystami? — dopytywał się Darcy. — Czy nie przeszkadzają? A w ogóle, jak ten Lazarides czy Janosz to sobie załatwił? To znaczy, z tym kompaniem w ruinach. Czy twój rząd zwariował? To przecież... to jest historia.

— Jak widać, Vrykoulakas ma przyjaciół — odrzekł Grek. — Poza tym oni właściwie nie kopią w ruinach. Zamek jest osadzony na bardzo stromej skale. W dole znajdują się pokłady skalne i pieczary. Tutejsi wieśniacy uważają, że tamci to wariaci. Co, tam skarby? Pył, kamień i nic więcej.

Darcy pokiwał głową.

— Ale Janosz wie lepiej, co? Spójrzmy prawdzie w oczy, jeżeli je zakopał, to powinien wiedzieć, skąd je wykopać.

Manolis zgodził się.

— Co zaś do turystów, jest ich teraz może ze trzydziestka. Spędzają czas w tawernach, na plaży, na wałęsaniu się. Są w końcu na wakacjach, no nie? Niektórzy wspinają się do zamku, ale nigdy na drugą stronę. I nigdy nocą.

— To dziwne — powiedział Darcy po chwili.

— Co takiego?

— Idziemy tam, w górę, żeby ich zabić.

— Tak — odpowiedział Manolis — Ale tylko wtedy, jeżeli okaże się to konieczne. To znaczy, jeżeli oni rzeczywiście są...

Darcy zdrzął mimowolnie i popatrzył na podłużny kosz wiklinowy stojący między nimi. Wewnątrz były kusze, drewniane kołki, kusza Harry'ego Keogha i galon paliwa w plastikowym pojemniku.

— Są, są. — Pokiwał głową. — Możesz mi wierzyć, że to prawda.

Piętnaście minut później Nikos zatrzymał swój wehikuł u stóp wzniesienia. Po lewej stronie biegły ścieżki stromo do góry przez ruiny ulic starożytnego, dawno opuszczonego miasta. Nad ruinami jaśniał biały klasztor, a jeszcze wyżej, na samej koronie góry...

— Zamek! — wyksztusił Manolis.

Nikos i jego wspaniały trójkołowy wóz niezgrabnie zakręcili i odjechali grzechocząc i podskakując.

Darcy osłonił oczy i jał przypatrywać się złowieszczym murom zamku stojącego tu na straży od wielu wieków.

— Ale... czy tam jest droga?

— Tak — kiwnął głową Manolis. — Szlakiem kóz. Same serpentyny, ale bezpieczne. Przynajmniej tak twierdzą rybacy.

Niosąc pomiędzy sobą kosz, przystąpili do wspinaczki. Już za klasztorem, a przed rozpoczęciem ostrego podejścia, zatrzymali się i popatrzyli do tyłu. W dolinie mogli dojrzeć granice dawno opuszczonych upraw i skorupki starych domów, gaje i sady oliwne dawno już zdziczałe i przywrócone naturze.

— Gąbki. — Manolis poczuł się w obowiązku wytłumaczyć. — Ci ludzie utrzymywali się z łowienia gąbek. Ale kiedy gąbki wyszły, to „wyszli” i ludzie. Teraz, jak widzisz, są tu głównie ruiny. Może pewnego dnia turystyka przywróci tu życie, co?

Darcy miał w głowie jednak inne ważne sprawy.

— Naprzód — powiedział.

Wyżej natknęli się na ochrowe głązy, żółte obsuwiska, wijące się ścieżki górskich kozic i zawrotne urwiska. W końcu jednak znaleźli się w cieniu ogromnych murów i pod masywnym, pochyłym, kamiennym nadprożem weszli do samych ruin. Darcy miał rację, gdy mówił o historycznej wartości tego miejsca. Należało do Starożytnej Grecji, Cesarstwa Bizantyjskiego.

Odkryli stopy kamiennych szczątków w pamiętającej czasy krzyżowców kaplicy. Na jej ścianach wciąż jeszcze dało się zauważyć wyblakłe wizerunki świętych z wypłowiałymi aureolami. Wreszcie stanęli na skraju ruin, patrząc w dół na Zatokę Tracką. Z tej wysokości otwierał się fantastyczny widok na linię brzegową Halki i sąsiadujące wyspy.

— Tam w dole — powiedział Manolis. — Tam właśnie są. Patrz, widzisz te ślady wykopalisk, to ciemne pasmo gruzów na zwiertzałej skale? To oni. Teraz musimy znaleźć zejście w dół. Darcy, czy wszystko w porządku? Znowu dziwnie wyglądasz.

— Oni... tam są — powiedział. — Czuję się wrośnięty w ziemię. Każdy krok jest ciężki jak ołów. Chryste, mój talent to tchórz!

— Czy chcesz tu chwilkę odpocząć? — zapytał Grek.

— Na Boga, nie! Jeżeli teraz się zatrzymam, już dalej nie pójde. Naprzód!

Po drodze znaleźli kilka pustych opakowań po papierosach, jakieś napisy wyryte na skałach, ślady ciężkich buciorów odcisnięte w piaszczystej glebie. Zejście w dół nie było trudne. Wkrótce natknęli się na zardzewiałą taczkę i złamany kilof, leżące na szerokiej półce naturalnego zwiertzałego pokładu. Leżały tam stopy kamiennych szczątków, wykopane z rozdziawionych paszcz kilku grot. Zachowując ciszę, podeszli do jaskini zdradzającej najświeższe ślady pracy i zatrzymali się u jej wejścia. Wyjęli kusze i załadowali je.

— Jesteś pewien, że będziemy ich potrzebowali? — Manolis zapytał szeptem.

— O tak! — twarz Darcy'ego nabrała szarości.

Manolis ruszył w kierunku odpowiadającego echem wejścia.

— Zaczekaj! — rzucił Darcy. — Będzie bezpieczniej wywołać ich.

— I dać im znać, że jesteśmy? — nie dowierzał Grek.

— W świetle słonecznym będziemy mieli przewagę. — Darcy przełknął ślinę. — A poza tym moja chęć, by stąd natychmiast spieprzać, podskoczyła o kilka ładnych stopni, co prawdopodobnie znaczy, że oni już o nas wiedzą.

Miał rację. Z mroku jaskini wynurzył się cień i zbliżał się ostrożnie ku wyjściu. Popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami, odbezpieczyli kusze i podnieśli je ostrzegawczo. Człowiek w jaskini wciąż szedł naprzód. Wysunął jedno ramię przed siebie, skulił się, jakby gotowy do skoku.

Manolis wypułł potok bełkotliwych greckich przekleństw, wyrwał swą berettę z kabury pod pachą i przerzucił kuszę do lewej ręki. Mężczyzna, potwór, wampir, wychodził ku nim z ciemności. Teraz mogli mu się lepiej przyjrzeć. Był wysoki, szczupły i wyglądał na obszarpańca. Nosił kapelusz o szerokim rondzie, obwisłe spodnie i koszulę, której nie zapięte rękawy łopotały dookoła nadgarstków. Wyglądał jak najprawdziwszy strach na wróble, który zszedł ze swojego kija. Jednak wcale nie wróble straszyl.

— Tylko... jeden z nich? — wydyszał Darcy i poczuł, jak włosy stają mu dęba.

„Jaskiniowiec” rzucił się do przodu. Pistolet Manolisa wypalił, Darcy obejrzał się i zobaczył drugie... stworzenie, zamierzające się na nich. Tak jak kolega z jaskini, nosił kapelusz o sflaczałych brzegach i w ich cieniu widać było jego żółte, występnie zdziczałe oczy. Co gorsza, twarz miał wykrzywioną wściekłością, a nad głową trzymał kilof i mierzył nim wprost w plecy Darcy’ego.

Esper, a może jego talent, obrócił się na przyjęcie ataku, i nacisnął spust kuszy. Harpun poleciał prosto do celu w piersi wampira. Uderzenie zatrzymało go. Upuścił kilof, chwycił strzałę, oparł się o ścianę. Darcy, przez chwilę zmrożony, mógł jedynie patrzeć jak tamten słania się na nogach, skowycze i pluje krwią.

W jaskini, Manolis zaklął i wystrzelił po raz drugi i jeszcze raz, kierując się coraz głębiej w mrok.

Nagle rozległ się nieludzki krzyk i zaraz... ślizg srebra po metalu i mięsiste pacnięcie harpuna wchodzącego w ciało.

Darcy w jednej chwili uświadomił sobie, że zarówno jego, jak i Manolisa kusze były teraz puste. Pochylił się, by chwycić harpun z kosza, a wtedy tamten potwór, chwiejąc się, postąpił do przodu i kopnął cały bagaż. Kosz z zawartością wyleciał poza krawędź półki.

— Jezus — zawył Darcy, gardłem szorstkim i suchym jak papier ścierny.

Płonącooka istota znów się ku niemu obróciła. Wampir zatrzymał się, rozejrzał i dostrzegł kilof leżący przy pnącej się w górę skałę. Ruszył, by go pochwycić, ruszył także Darcy. Jego talent krzyczał: „Uciekaj, uciekaj, uciekaj!” Ale ten ryknął: „Odpieprz się!” i poleciał jak szaleniec w kierunku schylającego się wampira. Siłą rozpędu przewrócił to coś i sam porwał kilof.

Narzędzie było ciężkie, ale strach sprawił, że Darcy czuł, jakby trzymał w rękach zabawkę.

Manolis wyszedł chwiejnym krokiem z jaskini w samą porę, by zobaczyć, jak esper zatacza zdobycznym orężem śmiertelny łuk i wali szerszym końcem obosiecznej głowicy wprost w czoło swego niemartwego przeciwnika. Potwór wydał z siebie gulgoczące, zdławione dźwięki, opadł na kolana i osunął się na ścianę.

— Benzyna! — wykrztusił Manolis.

— Wyrzucił ją — odparł esper skrzypiącym głosem.

Manolis wychylił się znad krawędzi. Jakieś dwadzieścia metrów niżej, na zboczu góry, u podłoża skalnego skoku, leżał wiklinowy kosz. Pokrywa zsunęła się i kilka przedmiotów się wysypało.

— Zostań tu, trzymaj straż, ja to przyniosę — powiedział Manolis. Wręczył Darcy'emu pistolet i zaczął schodzić. Esper jednym okiem patrzył na wampira z kilofem w głowie, a drugim na rozdziawioną paszczę jaskini. Stworzenie, z którym miał do czynienia nie było „martwe”. Powinno, oczywiście, ale było niemartwe. Wampirza protoplazma pracowała bez przerwy, z rozpaczliwym pośpiechem kurując jego rany. Na oczach Darcy'ego ciało tamtego przeszedł dreszcz, żółte oczy otworzyły się, a drżąca ręka popęzła ku tkwiącemu w piersi harpunowi.

Zaciskając zęby. Darcy podszedł bliżej. Jego anioł stróż skowytał, strzykał adrenaliną w naczynia krwionośne i wył: „Uciekaj, uciekaj!” Ale on, głuchy na wszelkie ostrzeżenia, chwycił tylec strzały i szarpał nim w ciele wampira tak długo, aż ten zgrzytnął zębami, zakaszał krwią, opadł w tył i znowu znieruchomiał.

Darcy cofnął się, na nogach trzęsących się jak galareta i... zastygł na moment. Coś chwyciło go za kostkę. Odwrócił się i popatrzył w dół. Potwór z jaskini wyczołgał się i teraz trzymał jego nogę w żelaznym uścisku. Strzała przeszła szyję wampira zaraz pod grdyką, prawą stronę twarzy miał odstrzeloną. Jedno szalone oko ciskało gromy z oczodołu między strzępami czerwonego mięsa. Darcy omal nie zemdlał. Zamiast tego jednak rozsądnie przechylił się do tyłu i usiadł. Celując dokładnie między własne stopy, wypróżnił pistolet Manolisa. Trafił w wykrzywioną grymasem półtwarz.

W tym momencie wrócił Manolis. Szarpnięciem otworzył wieko kosza, który ciągnął za sobą, i wyjął kuszę Harry'ego Keogha. Załadował ją, w samą porę... ponieważ to coś spoczywające pod ścianą wyrwało kilof z własnej głowy i teraz próbowało wyciągnąć harpun z piersi.

— Jezus! Och, Jezus! — krzyknął Manolis. Podszedł do potwora prychającego krwią zmieszaną z pianą, wycelował broń i wraził strzałę prosto w serce.

Darcy tymczasem odsunął się tyłem od swojego przeciwnika. Manolis podał mu rękę i pomógł wstać.

— Kończmy z tym, póki jeszcze możemy — wydyszał.



Zaciągnęli wampiry z powrotem do jaskini, tak daleko, jak się odważyli, i biegiem wrócili do słońca. Darcy nie mógł jednak zrobić nic więcej. Talent „zamroził” jego dalsze działanie.

— W porządku — zrozumiał Manolis. — Sam to zrobię.

Esper odczołgał się wzdłuż skalnej półki i siadł, cały się trzęsąc. Grek wziął benzynę i zniknął w otworze jaskini. Chwilę później pojawił się znowu, pozostawiając za sobą cieniutki ślad rozlewanego paliwa. Tyłem cofał się w kierunku Darcy’ego. Następnie odrzucił daleko pusty pojemnik i wyjął zapalniczkę. Przytknął płomień do benzynowego śladu.

Niebieski ogień, tak słaby, że prawie niewidoczny, pobiegł wzdłuż występu i prosto w paszczę jaskini. Rozległ się charakterystyczny syk i język ognia, niczym gigantyczna pochodnia wyskoczył z jaskini. I zaraz... straszliwa eksplozja strąciła lawinę kamieni i odłamków skalnych ze zbocza nad półką. Wstrząs był tak silny, że Manolis potknął się i usiadł obok espera.

— Co za...? — odezwał się Darcy.

Manolis miał usta szeroko otwarte. Zwiłzył językiem wyschnięte wargi.

— Materiały wybuchowe — odrzekł. — Musieli trzymać tam ładunki.

Wstali i powlekli się ku miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze było wejście do jaskini. W dole głazy odbijały się o stromizny zbocza i wpadały do morza. Setki ton skały zwały się, całkowicie zagradzając wejście do jaskini. Było oczywiste, że nic żywego nigdy stamtąd nie wyjdzie.

— Zrobione — powiedział Manolis, a Darcy znalazł dość siły, by przytknąć.

Grek nagle spostrzegł, że między gruzem błyszczą się coś żółtego. Obok wejścia do wysadzonej jaskini znajdowała się inna, mniejsza grota. Wciąż wyrzucała z siebie kłęby kurzu i rozrzedzone opary dymu. Ściana pomiędzy dwoma podziemnymi wykopami została zburzona, a jej potrzaskane, kamienne odłamki leżały na skalnym występie. Pomiedzy nimi leżało jednak też coś więcej.

Darcy i Manolis ruszyli do przodu, żeby lepiej się przyjrzeć temu, co eksplozja wyniosła na światło dzienne. W odłamach zwałonej ściany, starannie zapakowany i przytwierdzony do sprytnie wyżłobionego, kamiennego bloku, leżał skarb, którego szukał Gianni Lazarides alias Janosz Ferenczy. Ten sam skarb, który on osobiście złożył tutaj przed wiekami. Zmienione kształty góry, rzeźbionej i żłobionej przez naturę w czasie burz i trzęsień ziemi, zbiły go z tropu i pomieszały mu szyki. Stary zamek stanowił punkt orientacyjny, ale nawet jego masywna sylwetka nadkruszyła się i zmieniła przez te długie lata.

Pomylił się jednak nie więcej niż o dwa, trzy metry.

Mężczyźni stali w osłupieniu pomiędzy pyłem i potrzaskaną skałą. Patrzyli na skarb Traków: niewielkie czarki i kubki z pokrywkami... bogato zdobione obrączki, naszyjniki i spinki... hełm z brązu, wypchany po brzegi kolczykami, sprzączkami do pasów i napierśnikami... nawet wypukły pancerz ze szczerego złota.

Wreszcie do Manolisa dotarło, co znaleźli.

— I co my teraz z tym zrobimy? — zapytał.

— Zostawimy to tutaj. — Darcy wyprostował się. — To należy do duchów. Nie wiemy, jak wiele kosztowało Janosza dostarczenie i zakopanie tego ani gdzie i jak to zdobył. Ale jest na tym krew, to pewne. W końcu ktoś zacznie szukać tych dwóch. Niech władze się tym zajmą. Nie chcę nawet tego dotykać.

— Masz rację — powiedział Manolis. po chwili ruszyli w drogę powrotną.

Po dwunastej obydwaj byli już w wiosce. Manolis napełniał zbiorniki na drogę na Karpatos. Zjawili się jego znajomi — rybacy zapytali, jak tam kopacze.

— Odpalali ładunki — odparł Manolis po chwili — więc im nie przeszkadzaliśmy. Ale zбочa są tam bardzo strome i łatwo można spaść.

— Zasmarkane waźniaki — skomentował jeden z rybaków. — Oni nie zawracają sobie głowy nami, więc i my nie przejmujemy się nimi.

Skończywszy tankowanie, Manolis kupił litr ouzo. Usiedli wszyscy dookoła stołu na zewnątrz tawerny i rozprawili się z butelką.

W godzinę później ich łódź odbiła od kamiennego nabrzeża.

— Potrzebowałem tego — powiedział Grek.

— Ja też — zgodził się Manolis i westchnął. — Ta wstrętna robota kompletnie człowieka wysusza.

Manolis spojrzał na niego i przytaknął.

— A jeszcze dużo więcej przed nami, zanim będziemy mieli to z głowy, przyjacielu. To jest, zdaje się, dobra rzecz z tym tanim ouzo, co? Pomyśl tylko, za to całe złoto, które tam zostawiliśmy, moglibyśmy kupić gorzelnię!

Darcy odwrócił się do tyłu i ujrzał skalne szczyty Halki. Wyspa powoli znikła za horyzontem. „Tak, i może będziemy żałować...” — pomyślał.

Z Halki na Karpatos było nieco ponad sześćdziesiąt mil trasą wybraną przez Manolisa. Wolał pozostawać we wzrokowym kontakcie z łodem i utrzymywać rozsądną prędkość, by nie przemęczać silnika.

Kiedy skały Klenia i Karavolas zostały za nimi, wziął kurs południowo-zachodni i oddalił się od Rodos, zmierzając ku Karpatos.

To oznaczało otwarte morze i żołądek Darcy'ego dał o sobie znać. Po tym wszystkim, co przeszedł, nie zamierzał jednak teraz wymiotować. Przynajmniej jego talent nie ostrzegał go o katastrofie łodzi ani o niczym podobnym. Aby odebrać przyjaciela od jego dolegliwości, Manolis opowiedział mu kilka szczegółów o wyspie.

— Druga co do wielkości na Dodekanezach — zaczął. — Leży dokładnie w połowie drogi między Rodos a Kretą. Tak jak Halki ciągnie się ze wschodu na zachód, tak Karpatos — z północy na południe. Jest z pięćdziesiąt kilometrów

długa, ale tylko osiem szeroka. To taki grzebień podwodnych gór, nic więcej. Nieduże miejsce, żyje tam niewielu ludzi. Ale posiada pełną wstrząsów historię.

— Czy to dobrze? — zapytał Darcy, który ledwie słuchał.

— O, tak. Prawie wszyscy rządzą wyspą w tym czy innym czasie. Arabowie, włoscy piraci z Genui, Wenecjanie, krzyżowcy z zakonu Rycerzy Świętego Jana, Turcy, Rosjanie, a nawet Anglicy! Ha! My, Grecy, odzyskaliśmy ją dopiero po siedmiu wiekach!

Esper nie odpowiadał.

— Darcy? Czy wszystko w porządku?

— Jako tako. Kiedy będziemy na miejscu?

— Jesteśmy prawie w połowie drogi, przyjacielu. Jeszcze godzina albo niewiele więcej. Koło pasa startowego powinniśmy znaleźć „Lazarusa”. Możemy na niego popatrzeć, ale to wszystko. Lub też może uda nam się wywołać na pokład kogoś lub coś i zobaczymy, co o nim myśleć.

— W tej chwili nie myślę o nikim — odparł Darcy.

Manolis jednak pomylił się. „Lazarusa” tam nie było. Przeszukali małe zatoczki na południowym krańcu wyspy, ale nie znaleźli śladu białego statku. Cierpliwość Greka szybko się wyczerpała. Po krótkim czasie, kiedy stało się jasne, że szukają na próżno, skierował łódź na północ, na płytką wodę i piaszczystą plażę Amoupi. Zakotwiczył w miejscu, z którego mogli przepłynąć na brzeg. W tawernie przy plaży zjedli grecką sałatkę i rozpił małą butelkę retsiny. Kiedy Darcy zasnął pod drewnianym zadaszeniem z rozszczepionych bambusów, Manolis odechnął głęboko, usiadł wygodnie i zapalił papierosa. Wypalił kilka, podziwiając opalone, jędrne piersi angielskich dziewcząt, kąpiących się w morzu. Wypił jeszcze jedną butelkę retsiny, aż nadszedł czas, by obudzić Darcy’ego.

Zaraz po piątej ruszyli z powrotem ku Rodos.

Tego wieczora, zeszywniali, umęczeni, ogorzali od słońca i wody morskiej, Darcy i Manolis zastali w hotelowym hallu cztery czekające na nich osoby. Było trochę zamieszania. Darcy znał dobrze dwóch przyjezdnych, gdyż Ben Trask i David Chung pracowali dla niego. Natomiast Zekinta Föener (teraz Simmons) i jej mąż, Michael lub „Jazz” byli mu obcy, znał ich tylko ze słyszenia. Esper spodziewał się czterech osób i odpowiednio do tego dokonał rezerwacji, ale z tej akurat grupy oczekiwał tylko dwóch. Stosując się do rady Harry’ego wysłał wiadomość do Zek i Jazza, by trzymali się od tej sprawy z daleka, ale albo ta wiadomość nie dotarła, albo postanowili ją zignorować. Dwaj brakujący ludzie byli pracownikami INTESP. Kończyli właśnie robotę w Anglii. Mieli przylecieć tutaj natychmiast po zamknięciu tamtej sprawy.

Przyjezdni rozlokowali po pokojach swoje bagaże i przedstawili się sobie nawzajem, wrócili gotowi do rozmowy o interesach. Manolis zabrał wszystkich

do raczej drogiej tawerny na drugim końcu miasta, gdzie należało spodziewać się zalewu turystów.

Ustawili tam krzesła dookoła stołu. Darcy szybko dokonał prezentacji, wyszczególniając talenty poszczególnych członków grupy.

Para małżeńska, Zek i Jazz Simmons, podróżowała w Gwiezdnej Krainie z Harrym Keoghem. Zek była telepatką o znaczącej mocy i autorytetem w sprawach wampirów. Doświadczona jak mało kto, zetknęła się z potężnymi umysłami w całkowicie obcym świecie wampirów. Uwagę przyciągała jej zgrabna sylwetka, piękne włosy i niebieskie oczy. Grecka matka dała jej imię od Zante lub Zakhitos, wyspy, na której ją urodziła. Ojciec pochodził ze Wschodnich Niemiec, zajmował się parapsychologią.

Jazz Simmons nie posiadał żadnych szczególnych talentów, poza tymi, w które wyposażała go ziemską Natura, oraz tymi, w których brytyjski wywiad ze znawstwem go wyszkolił. Po pobycie w Gwiezdnej Krainie zdecydował się porzucić robotę wywiadowczą. Miał niesforną czerwoną czuprynę, kwadratową szczękę poniżej lekko zapadniętych policzków, szare oczy, dłonie twarde, choć artystycznie wyszczuplone, i długie ręce, które przydawały mu wyglądu nieco niezbornego i topornego. Chudy, został wytrenowany do granic doskonałości w nadzorowaniu, pilnowaniu, ucieczce i unikach, walce w warunkach zimowych, sztuce przeżycia, posługiwaniu się wszelakim orężem (w mistrzowskim stopniu) i niszczeniu. Niedługo brakowało Jazzowi jedynie doświadczenia, ale te zdobył w najlepszym lub najgorszym możliwym miejscu, w Gwiezdnej Krainie.

Natomiast David Chung był wróżbitą, a Ben Trask wykrywaczem kłamstw. Chung miał dwadzieścia sześć lat. Należał do INTESP od sześciu lat i w tym czasie rozwinął w sobie w wysokim stopniu umiejętność pozazmysłowego lokalizowania narkotyków, przede wszystkim kokainy. Gdyby nie został zaangażowany w dalekosiężną sprawę w Londynie, jest wielce prawdopodobne, że to on, a nie Ken Layard, przybyłby tutaj uprzednio.

Ben Trask miał szare oczy, nadwagę i obwisłe ramiona, a ubiorem swym nadał sobie wygląd poniekąd żałobny. Jego specjalnością była Prawda. Kiedy w jego obecności pojawiło się kłamstwo albo rozmyślnie zwodnicze rozumowanie, wychwytywał je natychmiast. INTESP wynajmowała go policji w specjalnych przypadkach. Ben Trask znał świetnie wszystkie tajemnice zagranicznych ambasad w Londynie. Brał też udział w sprawie Bodescu.

Czekali na zamówiony posiłek, a Darcy przedstawił całej grupie obraz sytuacji. Następnie chciał wiedzieć, dlaczego Jazz i Zek zaprosili się do udziału w tej sprawie.

— To Harry, prawda? Harry Keogh? — odpowiedział Jazz. — Zawsze na niego stawiamy. Jeżeli Harry ma problemy, bezcelowym jest mówienie mi i Zek, abyśmy się wycofali.

— To bardzo lojalnie z waszej strony — powiedział Darcy — ale, tym razem, to sam Keogh nalegał, by trzymać was od tego z dala, dla was samych. Nie chodzi o to, bym miał do was pretensje. . . brakuje mi pary dobrych rąk, a wy wypełniacie zamówienie idealnie. Harry’ego przerażała ogromna moc pozazmysłowa Janosza Ferenczego. Zabił już Trevora Jordana i kontroluje Kena Layarda. Widzicie więc, że Harry miał się czego obawiać. Martwił się przede wszystkim, co się stanie, gdy Janosz natrafi na ciebie, Zek. Jednakże potwór ten ukrywa się w Rumunii, według naszej najlepszej wiedzy. Harry pojechał tam go zniszczyć. — Darcy wzruszył ramionami. — Jeśli o mnie chodzi, jestem zachwycony, że mam was w zespole!

— Kiedy więc cała zabawa się zacznie, to znaczy, dla nas? — David Chung palił się do roboty.

— Dla ciebie jutro — odpowiedział Darcy. — Przynajmniej faza „aktywnej służby”. Wieczorem w hotelu, kiedy skończymy tutaj, będzie czas na plany i przygotowania. Wtedy rozpracujemy w szczegółach, najlepiej, jak potrafimy, kto, co będzie robił. — Śledził wzrokiem kelnera, pchającego przed sobą wyładowany wózek. — W tej chwili zaś proponowałbym rozkoszować się jedzeniem i odprężyć się całkowicie. Możecie bowiem być pewni, że jutro czeka nas pracowity dzień.

Darcy Clarke i jego zespół wybiegali myślą w przód, planując następny dzień, natomiast Harry Keogh wspominał ten, który się właśnie skończył.

Lot do Aten nie obfitował w wydarzenia. Na pokładzie samolotu do Budapesztu Harry zamknął oczy, z mocnym postanowieniem przespania się z godzinę. . .

Poczuł je od razu, gdy tylko zaczął się kołysać na powierzchni sennego marzenia: obce sondy dotykające jego umysłu. Zmusił się do pozostania czujnym i obudzonym, zarazem ukrywając ten fakt przed telepatycznymi talentami, które go odnalazły. To mógł być tylko Ken Layard i Sandra. Zostali kompletnie zniewoleni przez Janosza Ferenczego. Harry musiał walczyć z sobą, aby natychmiast z obrzydzeniem nie odskoczyć od oślizgłych, zatechłych myśli wampirów. Ale pamiętał, co powiedział mu Faethor i, co dziwne, uznał, że to prawdopodobnie dobra rada. „Zamiast cofać się, odsuwać, kiedy czujesz, że jest w pobliżu, sam go poszukaj! Wkrocz do twojego umysłu? Wkrocz do jego” — pomyślał.

Kiedy więc niepewność wampirzych wywiadowców, co do przedmiotu ich zamiaru zmniejszyła się i zaczęli skwapliwie mu się „przypatrywać”, natychmiast on z kolei zaczął „przypatrywać” się im. A właściwie, przemówił do nich szeptem.

— Ken? Sandra? — odezwał się cicho. — Więc on ma zapewnioną waszą współpracę. Oczekiwałem was. Wiedziałem, że was użyje, że tak naprawdę bez was nie poradziłby sobie. Co, on? Twarzą w twarz, jak mężczyzna z mężczyzną? Nie ma mowy. Wasz wampirzy superman jest tchórzem! Boi się, że podczołgam się do niego w nocy. Jeden człowiek przeciw niemu, i wszystko, na co go stać, to schronić się w siedlisku zarazy w górach. Tak się mnie boi. Ostrzegaliście mnie,

że czytał przyszłość i zobaczył własne zwycięstwo. No więc, możecie mu ode mnie przekazać, że przyszłość nie zawsze rozwija się w ten sposób.

— Achch! On nasss czujeee! — Sandra, syczała w umyśle Harry’ego jak wąż. — Wie o nas. Jego myśli są silne. Jego ukryta siła wychodzi na powierzchnię.

Miała rację i Keogh czuł całą tego niezwykłość. Stał się mocniejszy i nie znał źródła tej nowej żywotności. Zastanawiał się, czy to Faethor.

Umysł Kena Layarda trzymał się Harry’ego jak wiązka fal radiowych. Harry zaś pozwolił swojemu umysłowi ześlizgnąć się po tej wiązce aż do jego źródła i wyjrzeć oczami Layarda.

Keogh wszedł tam ciałem... i był w ciele Layarda. Znajdowali się w tym samym podziemnym pomieszczeniu, co poprzednio. Sandra siedziała naprzeciw niego (naprzeciw Layarda) przy stole, a Janosz wściekle przemierzał pokój w tę i z powrotem.

— Gdzie on jest? Co myśli? — Oczy potwora zajrzały się czerwono, gdy zwrócił je ku Sandrze. Było jasne, że się niepokoi, ale starał się to ukryć pod maską wściekłości.

— Jest na pokładzie samolotu — odpowiedziała Sandra — i zbliża się.

— Tak szybko? To szaleniec! Czy nie wie, że zginie? Czy nie rozumie, że moje plany związane z jego osobą wykraczają poza moment śmierci? Jakie są jego myśli?

— Ukrywa je przede mną.

Janosz zatrzymał się nagle. Gwałtownym ruchem zbliżył do niej swą na wpół urodziwą, na wpół odrażającą twarz.

— Ukrywa swoje myśli? A ty jesteś złodziejem myśli? Robisz ze mnie durnia? Czy nie ostrzegałem, czym to się dla ciebie skończy, jeżeli ciągle będziesz mi rzucała kłody pod nogi? Jeszcze raz pytam: jakie są jego myśli?

Pan wampirów pochylił się nad stołem i podparł obiema rękami, wbijając wściekły wzrok w przerażone oczy dziewczyny. Jego wargi odwinęły się do tyłu jak pomarszczony od nierównych zębów pysk jakiejś martwej, mięsożernej bestii, grożąc jej aż zanadto. Nie znalazła jednak odpowiedzi.

— On, on jest dla mnie za silny — powiedziała.

— Za silny dla ciebie? — Janosz był w furii. — Za silny? Słuchaj: w podziemiach tego zamku leżą popioły mężczyzn-satyrów, którzy w swoich najlepszych dniach panoszyli się całymi bandami na tej ziemi, gwałcąc kobiety, zabijając mężczyzn i dzieci! Tak, a kiedy zdarzało się, że wykończyli wszystkich, wtedy nawet zwierzęta gospodarskie nie były poniżej ich żądz. Od dwóch tysięcy lat, niektóre z tych stworzeń, których lędźwia są teraz pyłem, a kości prochem, obchodzą się smakiem. Ale dobrze ci radzę: zrób to, o co cię proszę, zanim się pokuszę, aby ich podnieść i polecieć im, by cię odpowiednio poinstruowali! Nie kończąca się męka, Sandro, tak. Ustawię ich naprzeciw ciebie w kolejce, i tak, jak oni będą ciebie

rozrywać, tak twój wampir będzie naprawiał szkody! Wyobraź sobie tylko, twoje słodkie ciało wymywane całym ich plugastwem!

Harry patrzył na niego oczami Layarda, zebrał flegmę z jego gardła i plunął wampirowi w twarz. Potwór zatoczył się, chwycił pazurami za twarz.

— Czy jesteś równie głuchy, jak obłąkany, Janoszu Ferency? — Odezwał się Keogh głosem Layarda — Ona nie może wejrzeć w moje sprawy, ponieważ ja jestem tutaj i obserwuję twój umysł!

Layard, wstrząśnięty i zaskoczony chwycił się za gardło. Janosz podszedł chwiejnie do stołu.

— Co? — wbił wściekły, szalony wzrok w Layarda. — Co? — Podniósł szpony.

— Naprzód — szydził Harry — uderz. Zranisz swojego niewolnika, a nie tego, który nim dowodzi!

— To ty? — wyrzucił z siebie Ferency.

Harry wykrzywił twarz Layarda w szerokim, pozbawionym wesołości uśmiechu.

— Wiesz co? — powiedział — ta twoja fascynacja moim umysłem nie jest tylko chorobliwa i denerwująca. Podejrzewam, że jest także zaraźliwa. Myślałem, że czegoś się nauczyłeś, ale najwyraźniej byłem w błędzie. Bardzo dobrze... popatrzmy więc, co się dzieje w twojej głowie!

— Wypuść go — zaskowytał Janosz, chwytając głowę w szpony i odskakując od stołu. — Odeślij stąd nekroskopa. Nie chcę go w swoich myślach!

— Nie martw się — uspokoił go Keogh głosem Layarda. — Naprawdę myślałeś, że chcę się kąpać w szambie? Jedno pamiętaj, Janoszu Ferency, chciałeś odkryć moje plany. Dobrze, zaraz ci je przedstawię. Idę, po ciebie, Janosz. A, jak sam teraz widzisz, nasze siły są mniej więcej równe.

Wycofał się z umysłu Layarda i otworzył oczy. Samolot brał kurs na północ i nieco na zachód, na Budapeszt. Harry był w pełni usatysfakcjonowany. Niecały tydzień temu w Edynburgu zastanawiał się nad nawiedzającymi go niejasnymi i przerażającymi obrazami przyszłości. Czuł, że wkrótce rozwinie nowe, dziwne talenty. Teraz doświadczał uczucia słuszności własnych racji. Jego władze nekroskopa rosły w siłę, wypełniając wyrwę stworzoną przez Harry'ego Juniora. Tak przynajmniej sobie tłumaczył...

W połowie lotu Harry użył mowy zmarłych i znalazł Möbiusa, odpoczywającego na lipskim cmentarzu. Astronom od razu go poznał. — Harry, wywoływałem ciebie, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Muszę przyznać, że trochę się bałem z tobą łączyć. Ten ostatni raz... napędził mi niezłego stracha, Harry.

Keogh skinął głową.

— Teraz więc wiesz, z kim mam do czynienia. No, w tej chwili pogoniłem mu kota. Nie jest pewien, co jeszcze mogę zrobić: ale wie, że jego plany przeciw

mnie muszą być raczej fizyczne niż mentalne. Fizycznie jestem bardzo podatny na rany. Dlatego właśnie potrzebuję twojego kontinuum.

— Dobrze, otwórz więc przede mną twój umysł — odrzekł Möbius.

— Wejdź z własnej nieprzymuszonej woli — powiedział Harry.

W chwilę później poczuł nieśmiałe ruchy Möbiusa w labiryncie ciemnic swojego umysłu.

— Jesteś jak otwarta książka — odrzekł Möbius. — Mógłbym wszystko wyczytać, gdybym chciał.

— Znajdź stronnice, które są spięte — poprosił Harry. — Rozklej je dla mnie. To jest ta część, którą utraciłem. Otwórz tylko te drzwi, a będę miał dostęp do moich atutów.

Möbius przeszedł dalej, zagłębił się w groty ponadziemskiego umysłu.

— Zamknięte? Powiedziałbym że naprawdę zostały zamknięte, i to przez mistrza w swoim fachu. Harry, nie ma tu zwyczajnych zamków, rygla ani krat. Stoje na progu twojej wiedzy. Tutaj rzeczywiście znajduje się źródło twojej intuicyjnej matematyki, ale jest zapieczętowane symbolami, których ja nawet nie umiem zidentyfikować! Ktokolwiek to zrobił... był geniuszem!

Harry odpowiedział posępnym skinieniem głowy.

— Tak, był. Ale Faethor Ferency i jego syn, Janosz, obydwaj potrafili otworzyć te drzwi czystą siłą woli.

— Oni są wampirami, Harry. A ja byłem tylko człowiekiem. Zdeterminowanym i cierpliwym człowiekiem, ale nie gigantem.

— Nie potrafisz tego zrobić? — Harry wstrzymał oddech.

— Na pewno nie siłą woli. Być może rozumem.

— Rób więc, co możesz — rzucił Keogh, z ulgą wydychając powietrze.

— Mogę potrzebować twojej pomocy — odrzekł astronom.

— Jak mogę ci pomóc?

— Kiedy będę pracował, ty możesz studiować.

— Studiować co? — zapytał nekroskop.

— Liczby — powiedział Möbius, zdziwiony — A cóż by innego?

— Ale ja znam się na nich gorzej niż małe dziecko — zaprotestował Harry. — Przecież dla mnie samo słowo „liczba” jest tylko zamazanym i kłopotliwym pojęciem.

— A jednak studiuj je — odparł Möbius i włączył ekran przed wewnętrznym okiem Harry'ego. Proste dodawania czekały na rozwiązanie. Niekompletna tabliczka mnożenia patrzyła wściekle na Keogha białymi, pustymi miejscami na oczy, oczekując, że on wydrukuje odpowiedzi na jej żrenicach.

— Ja... ja nie znam tych pieprzonych odpowiedzi! — jęknął nekroskop.

— Więc popracuj nad nimi! — krzyknął Möbius. Miał w końcu dosyć własnych problemów.



Cztery rzędy przed Harrym, po drugiej stronie przejścia między fotelami, ktoś odwrócił się, by przyjrzeć się jego śpiącej, bladej, udreżonej twarzy. Mężczyzna odznaczał się dziewczęcą wiotkością i zniewieściałym zachowaniem. Palił marlboro w lufce, a jego głęboko osadzone oczy pod ciężkimi powiekami były czarne jak jego myśli.

Nikołaj Żarow zaważył sprawę w Anglii i musiał ponieść konsekwencje. Gdzie nie dali rady Norman Harold Wellesley i rumuńska Securitate, tam posłano Żarowa. Jego szefowie postawili sprawę jasno: „Jedź do Grecji i sam zabij Keogha. A jeśli zawiedziesz... nie masz po co wracać”.

O szóstej trzydzięci wieczorem Harry Keogh, turysta, był już daleko od buda-pesztańskiego lotniska, w pociągu jadącym na wschód. Wsiadł w miejscowości o nazwie Mezobereny. Odtąd miał się przemieszczać autobusem, taksówką, wozem konnym, piechotą, wedle potrzeby.

Na peryferiach Mezobereny znalazł mały hotel i wynajął tam pokój na noc. Wybrał to miejsce na nocleg, ponieważ nie opodal znajdował się stary cmentarz, zajmujący kilka akrów ziemi. Gdyby bowiem odwiedzili go nocni goście albo nawiedziły sny sterowane przez jego nieprzyjaciół, wolał mieć zmarłych po swojej stronie. Z tej też przyczyny, zanim położył się do łóżka, stanął przy oknie i przesłał mową zmarłych swe myśli do spoczywających. Oczywiście, usłyszeli nekroskopa, ale ledwie mogli uwierzyć, że on naprawdę tam jest. Pełni pytań, ciekawi odpowiedzi, dostarczyli mu zajęcia do późna.

Niepostrzeżenie minęła północ. Harry był zmuszony powiedzieć im, że jest zmęczony i że musi odpocząć, zebrać siły przed nadchodzącym dniem. „Cóż za mistrzowskie niedopowiedzenie!” — pomyślał, kładąc się do łóżka.

Harry nie zauważył człowieka, który podążał za nim od dworca kolejowego do hotelu i wynajął pokój obok.

Wcześniej Nikołaj Żarow słuchał, jak nekroskop krząta się po pokoju, i kiedy podszedł do okna, Rosjanin zrobił to samo. Światło nocnej lampy padało na drogę, rzucając tam cień Harry'ego.

Wtedy dopiero Żarow zauważył cmentarz. Przeszył go dreszcz. Zaciągnął zasłony, zapalił papierosa i siadł na krawędzi łóżka. Wiedział o talencie Keogha. Był w Bonnyrigg, kiedy Wellesley próbował zabić go, i widział, co wyszło z ogrodu, kiedy atak zdrajcy nie powiódł się. Do tego, pamiętał kilka szczegółów z raportu Securitate. Pomyślał, że może to jednak mimo wszystko nie najlepsze miejsce ani czas na morderstwo.

Ale wydawał się to idealny czas, by wypróbować oręż. Otworzył sekretny schowek walizki i wyjął, a następnie złożył, części niewielkiego, automatycznego pistoletu. Magazynek z nabojami powędrował do kolby, a zapasowy do kieszeni. Miał tam również nóż z ośmiocalowym ostrzem, cienki jak śrubokręt i garotę składającą się z dwóch rączek i osiemnastocalowej struny pomiędzy nimi.

Każda z tych metod wystarczyłaby, ale Żarow musiał mieć pewność, że kiedy nadejdzie pora, uwinie się szybko ze swoją robotą. Keoghowi nie wolno dać najmniejszej sposobności skontaktowania się z kimkolwiek lub czymkolwiek.

I znowu pojawił mu się przed oczami obraz tych dwu ludzi obserwowanych nad rzeką nieopodal Bonnyrigg, wychodzących z domu Keogha. Pamiętał, jak się poruszali, każdy krok był wysiłkiem nadnaturalnej woli, i jak jeden z nich wydawał się gubić po drodze własne szczątki, które później o własnych siłach przemieszczały się za nim w noc.

Było jeszcze dość wcześnie. Rosjanin włożył płaszcz i udał się do baru hotelowego, by zamówić drinka.

A właściwie kilka drinków...

Tak jak Harry na jawie rozmawiał ze swoimi nowymi przyjaciółmi w miejscu spoczynku, tak i teraz rozmawiał z nimi we śnie. Kontakt jednak stał się daleko mniej spójny.

Nekroskop nie spał aż tak głęboko, by nie czuć umysłu Kena Layarda przeslizgującego się po nim. Nie był tak odległy od świata na jawie, by nie odróżnić banalnej plotki od trafiających się tu i ówdzie kasków o rzeczywiście dużej wadze. Kiedy więc jego mowa zmarłych wychwyciła nowy głos, instynktownie wiedział, że to poważna sprawa.

Stosownie do tego przeprowadził wywiad.

— Kim jesteś? Czy mnie szukasz? — zapytał.

— Harry Keogh? — Nowy głos nasilił się. — Dzięki Bogu, znalazłem cię!

— Czy ja ciebie znam? — Harry zachował ostrożność.

— W pewnym sensie — odpowiedział tamten — spotkaliśmy się. A właściwie, próbowałem cię zabić!

Teraz Harry rozpoznał go i wiedział, dlaczego nie skojarzył tego wcześniej. Rzecz była prosta, ten głos łączył mu się z życiem, aż do teraz.

— Wellesley? — zapytał. — Ale... co się stało?

— Pytasz, dlaczego jestem martwy? Dali mi niezły wycisk, Harry. Nie w sensie fizycznym, ale mnóstwo wypytywania, wiesz? Im bardziej się we mnie zagłębiali, tym lepiej rozumiałem, jakim byłem gównem. Nie mogłem tego znieść. Długa odsiadka, brak zawodu, do którego mógłbym wrócić, brak realnych perspektyw. To brzmi jak wytarte banały, wiem, ale byłem „strzępem człowieka”. Więc... powiesiłem się. Użyłem pary skórzanych sznurówek. Bałem się, że się zerwą, ale wytrzymały.

Harry nie potrafił się zmusić, żeby go żałować. Jednak ten człowiek okazał się zdrajcą.

— Czego więc ode mnie chcesz? Żeby mi powiedział, jak mi przykro? Zaoferował ci ramię, na którym mógłbyś się wypłakać? Mam między zmarłymi mnóstwo przyjaciół, którzy nie próbowali mnie zabić!

— To nie dlatego tu jestem, Harry — odparł Wellesley. — Ostatecznie przecież mam to, na co zasłużyłem. Tak jest ze wszystkimi. Przyszedłem by powiedzieć, że żałuję. To wszystko. Przepraszam cię, że nie byłem silniejszy. Przepraszam, że zwracałem ci głowę. Po prostu, kiedy odbierałem sobie życie, nie wiedziałem, że mój ciężki czas dopiero się rozpoczyna.

Zaczął się wycofywać.

— Co takiego? Twój ciężki czas? — Nekroskop zrozumiał, co tamten ma na myśli. — Zmarli nie chcą się z tobą komunikować, tak? — zapytał.

Wellesley wzruszył ramionami. Był kompletnie przybity.

— Coś w tym stylu. Ale jak powiedziałem: mamy to, na co zasługujemy. Przepraszam, że zwracałem ci głowę, Harry.

— Nie, czekaj. . . — Harry wpadł na pomysł. — Słuchaj, co byś powiedział na możliwość wyrównania ze mną rachunków? I ze zmarłymi w ogólności?

— Czy jest na to sposób? — zapytał Wellesley z nadzieją.

— Możliwe.

— Powiedz.

— Masz ten negatywny rodzaj talentu, prawda? — zaczął Keogh.

— Prawda. Nikt nie może wejrzeć w mój mózg. Ale. . . jak sam rozumiesz, on umarł razem ze mną — odparł Wellesley.

— Być może nie. — Harry potrząsnął głową. — Widzisz, to co teraz robisz, to nie jest telepatia, ale mowa zmarłych. Możesz ją sam kontrolować. Nie musisz ze mną rozmawiać, jeśli nie chcesz. A tamta zdolność była nie kontrolowana. Nawet nie wiedziałeś, że taką posiadasz. Gdyby ktoś inny tego nie zauważył, nie odkrył, że twój umysł jest kamienną ścianą, nigdy byś się o tym nie dowiedział, Czy tak?

— Chyba tak. Ale do czego zmierzasz?

— Nie jestem pewien — odrzekł Harry. — Nie jestem nawet pewien, czy to jest w ogóle możliwe. Ale to byłoby cholernie korzystne, gdybym miał ten twój talent!

— Z pewnością — odpowiedział Wellesley. — Ale, jak właśnie zaznaczyłeś, to nie był talent, a rodzaj ładunku negatywnego. Pracował sam, bez mojej wiedzy i współuczestnictwa.

— Może i tak, ale gdzieś w twoim mózgu znajduje się mechanizm, który tym rządził. Chciałbym po prostu zobaczyć, jak on działa, nic więcej. Wtedy, gdybym mógł to w jakiś sposób naśladować, nauczyć się włączać to i wyłączać wedle własnej woli. . .

— Chcesz wejrzeć do mojego umysłu? — nie dowierzał Wellesley. — Mówisz, że istnieje sposób, żeby to zrobić?

— Być może istnieje — odparł Harry. — Z twoją pomocą. Teraz powiedz, czy czytałeś moje akta?

— Tak, oczywiście — Wellesley zachichotał kwaśno. — Swojego czasu uważałem, że są fantastyczne. Pamiętam, jak jeden z esperów, widząc te akta na moim biurku, powiedział: „Nie byłbym wniebowzięty, rozmawiając z tym facetem!”

— Wcale nieźle! — Roześmiał się Harry. Ale w chwilę później znowu spoważniał. — A czy czytałeś o Dragosanim, jak skradł Złe Oko Maksa Batu?

— Tak, to też — odpowiedział Wellesley. — Ale on je wyciął z jego serca, czytał w jego wnętrznościach, smakował jego krwi.

— Tak, w istocie — przytaknął Harry — ale to wcale nie musi się odbywać w ten sposób. Widzisz, na tym zawsze polegała różnica między mną a typem Dragosaniego. Jest to różnica między nekromantą a nekroskopem. On brał wszystko siłą. Torturował. Ja natomiast robię inaczej, tylko pytam.

— Wszystko co mam, oddam ci z chęcią — zadeklarował Wellesley.

— Usuń więc ze swego umysłu wszystkie myśli i zaproś mnie — odpowiedział Harry. — Odpręż się, jakbym był hipnotyzerem wprowadzającym cię w stan snu, i powiedz do mnie: wejdź z własnej nieprzymuszonej woli. I to wszystko!

— Dobrze! — Wellesley wyraźnie się zaangażował. — Spróbujmy więc...

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### Trakowie — Morze Śródziemne — Cyganie

Chwilę później przyszedł Möbius.

— Harry? Przepraszam, chłopcze — zaczął astronom — że byłem tak długo, ale te mentalne drzwi sprawiły mi wiele kłopotu. Jednak, jak sam wiesz, im trudniejszy problem, tym bardziej mnie pociąga. Odbyłem więc konferencję z kilkoma przyjaciółmi i razem zdecydowaliśmy, że to jest nowa matematyka.

— Co takiego? — Harry był zbity z tropu. — Jacy przyjaciele?

— Drzwi w twoim umyśle są zapieczętowane liczbami! — wyjaśnił Möbius. — Zostały zapisane w symbolach, jak rodzaj algebry. Stopniem swojej trudności nie ustępują najbardziej skomplikowanym równaniom równoległym.

— Dalej.

— No więc — kontynuował uczoney — nie mógłbym nigdy liczyć na to, że rozwiążę je sam. Chyba że postanowiłbym nad tym pracować najbliższe sto lat! Jest to bowiem rodzaj zadań, które mogą być rozwiązane jedynie metodą prób i błędów. Złożyłem więc wizytę pewnym kolegom po fachu i przekazałem to im. — Möbius westchnął. — Harry, przede mną byli inni. A niektórzy z nich nawet dobry kawał czasu przede mną. Ale, jak wiesz, nie odeszli. Oni wciąż tam są. Zajmują się po śmierci tym samym, czym za życia. Przekazałem więc im pewne fragmenty problemu. A pozwól sobie powiedzieć, że nie było to łatwe. Jednak, szczęśliwie, wszyscy o tobie słyszeli i, ku mej wielkiej radości, przyjęli mnie jak kolegę, choć młodszego.

— Młodszego?

— W kompani takich ludzi jak Arystoteles, Ptolemeusz, Kopernik, Galileusz, Izaak Newton, Ole Christensen, Roemer... nawet ja jestem młody. A Einstein zwyczajnym gołowąsem. Pomędzy nimi wszystkimi był jeden człowiek, do którego bardzo chciałem się zbliżyć, ale nie miałem odwagi. I wiesz co? On sam mnie znalazł! Wyglądał na urażonego, że się do niego nie zwrócono.

— Kto to taki? — Harry zapytał gorączkowo.

— Pitagoras!

— Ciagle tutaj? — Keogh był zaskoczony.

— I ciągle jest Wielkim Mistykiem, ciągle utrzymuje, że Bóg jest ostatecznym równaniem. . . — Möbius zniżył głos. — I kłopot w tym, że nie jestem już wcale pewien, czy on się myli.

— Pitagoras? W mojej sprawie? Moja matka mówiła mi, że wielu ludzi chce mi pomóc. Ale Pitagoras? — Harry nie mógł się nadziwić.

— Tak, ponieważ dla niego jest to sprawa najwyższej wagi. Czy nie zdajesz sobie sprawy, kim był Pitagoras i co zrobił? Do licha, w szóstym roku przed naszą erą, kładł podwaliny pod filozofię liczb! Był głównym adwokatem teorii, że liczba jest istotą wszystkiego, metafizyczną zasadą racjonalnego porządku we wszechświecie. Co więcej, jego naczelną doktryną teologiczną była metempsychoza!

— I to ma coś wspólnego ze mną? — Keogh pogubił się.

— Drogi chłopcze, wcale nie słuchasz — westchnął Möbius. — A właściwie nie, słuchasz, słuchasz! To tylko ta twoja przeklęta niezdolność posługiwania się cyframi czyni cię ślepym na to, co mówię! Po dwóch i pół tysiącach lat, jesteś żywym dowodem wszystkiego, czemu Pitagoras orędownał. Ty, Harry: jedyny w świecie człowiek z krwi i kości, który narzucił swój metafizyczny umysł fizycznemu uniwersum.

Keogh próbował pojąć to, co Möbius mówił, ale to wciąż pozostawało nieuchwytnie.

— Harry, wyłamiemy te drzwi. Potrzeba nam tylko czasu.

— Jak wiele czasu? — zapytał nekroskop.

— Godziny, dni, tygodnie. Nie ma sposobu, by się dowiedzieć — odrzekł uczony.

Na wyżynach na Halmagiu, blisko ruin zaniku, Janosz Ferency, syn Faethora, miotał się z wściekłości. Przeniósł Sandrę i Kena Layarda na pochyły grzbiet wyrastającej w niebo skały, trzysta metrów ponad ruchomym osypiskiem i stromymi urwiskami zbrocza góry. Nocne wichry zawodziły dookoła wysokiej grani, grożąc całej trójce zrzuceniem w dół.

— Cicho! — pogroził żywiołom. — Spokój!

Kiedy wiatr ucichł, a chmury przemknęły zaleknione przed obliczem księżyca, Janosz zwrócił się do swoich poddanych.

— Ty! — przycisnął Layarda, chwycił go za kark jak kocica swoje kocię i popchnął na skraj przepaści. — Raz już połamałem ci kości. Czy muszę zrobić to znowu? Mów: gdzie on jest? Gdzie jest Harry Keogh?

Layard wiercił się w żelaznym uchwycie, wyciągnął rękę na północ.

— Był tam, przysięgam: Mniej niż sto mil, mniej niż godzinę temu. Czułem go tam. Był. . . silny, jak latarnia morska! Ale teraz nie ma nic.

— Nic? — syknął Janosz, zwracając Layarda twarzą do siebie. — Czy jestem głupcem? Byłeś utalentowanym człowiekiem, ale teraz, kiedy stałeś się wampirem, twoje władze niepomniernie się wzmocniły. Więc jak możesz twierdzić, że go

zgubiłeś? Jak on może tam być, a zaraz znowu nie być? Czy on idzie naprzód, nawet w nocy? Czy jest gdzieś pomiędzy? Mów! — Szarpnął tamtym, aż trzasnęły kości.

— On tam był! — pisał Layard. — Czułem go, w jednym miejscu, gdzie prawdopodobnie zatrzymał się na noc. Znalazłem go, prześlizgiwałem się po nim, ale nie odważyłem się zatrzymać na nim z obawy, że pójdzie moim śladem do ciebie. Spytaj tylko dziewczynę. Ona ci powie, że to prawda!

— Jesteście współnikami! — Janosz rzucił go na kolana, chwycił przejrzystą halkę Sandry i zdarł ją z niej. Skuliła się, naga. Jej oczy świeciły żółto w bladym owalu jej czaszki. Po chwili jednak wyprostowała się.

— On mówi prawdę — powiedziała. — Nie mogłam wejść do umysłu nekroskopa, gdyż wówczas on mógłby wejść do mojego, a poprzez niego — do twojego. Ale kiedy czułam, że śpi, pomyślałam, że mogę zaryzykować i zerknąć tam. Spróbowałam i... już go nie znalazłam. Prawdopodobnie zamknął się szczelnie.

Ferency przypatrywał się jej długie chwile. Szkarłatny wzrok płonął na niej i penetrował, aż przekonał się, że mówiła tylko i wyłącznie prawdę.

— A więc nadchodzi — warknął — W porządku, to jest to czego chciałem.

— Chciałem? — Sandra uśmiechnęła się do niego chytrze. — Czas przeszły?

Zmarszczył brwi, chwycił ją za ramię i rzucił na ziemię obok Layarda. Następnie zwrócił twarz na północny-zachód i wyciągnął ramiona w mrok.

— Niech mgła spocznie w dolinach — zaintonował. — Wzywam płuca ziemi, by oddychały dla mnie, aby zasnuły oparami jego ścieżki. Wzywam moich towarzyszy, by go odnaleźli i uczynili mi wiadomymi wszystkie jego poczynania. Wzywam skały, aby mu się oparły.

— I to go zatrzyma? — Sandra rozpaczliwie usiłowała pohamować swą wampirzą złośliwość.

Janosz zwrócił na nią swe karmazynowe spojrzenie i wtedy zobaczyła, że jego nos spłaszczył się i zwinął w ryjek nietoperza, a czaszka i szczęki wilczo wydłużyły.

— Nie wiem — odpowiedział w końcu, a jego straszny głos wibrował. — Ale jeśli nie, to możesz być pewna, że wiem, co go zatrzyma.

Z trzema wampirzymi niewolnikami (dozorcami, którzy pod jego nieobecność pilnowali gruzowiska i ukrytych w niej tajemnic) Janosz zszedł w dół, do zapomnianych trzewi ziemi, do zupełnie porzuconego miejsca. Użył swych zdolności, by powołać z popiołów tracką damę. Przykuł ją nagą do ściany i powołał jej męża, wodza wojowników, który, jeszcze teraz olbrzymi, w swoim czasie musiał być uważany za Goliata.

Podejmował już tych dwoje uprzednio. Porzucił okradanie grobów jakieś pięćset lat temu, a jego upodobania w torturach i nekrofilii też wypaliły się w tej samej, odległej epoce.

Tracki wojownik wciąż zataczał się oszołomiony i zdezorientowany, krzycząc w oparach i purpurowym dymie swej reanimacji. Janosz skuł go i zaciągnął przed oblicze jego pani. Na jej widok tamten uspokoił się w jednej chwili. Oczy narzmiły mu łzami. Krople popłynęły w dół po stwardniałych, zarośniętych, zeszpeconych krostami policzkach.

— Bodrogk — odezwał się Ferency językiem tamtego — a więc rozpoznajesz swoją żonę, tak? I widzisz, jak dbałem o jej prochy? Ona powstaje ubrana w swe ciało równie doskonale, jak za życia. Ty natomiast, powracasz popalony, pokryty szramami, zeszpecony krostami, bowiem twoje prochy wysypały się z urny. Może powinienem być ostrożniejszy przy zbieraniu twoich popiołów. Ach, ale musisz zrozumieć, miałem z twojej kobiety o wiele więcej pożytku niż z ciebie. Ponieważ, kiedy ty mogłeś jedynie dać mi złoto, ona dała mi. . .

— Ty psie! — huknął tamten potężnym głosem. Wychylił się do przodu, próbując dosięgnąć wampira.

Janosz wyciągnął szklany kubek przed oczy Bodrogka.

— Stój teraz spokojnie i słuchaj — rozkazał szorstkim głosem. — Sam widzisz, że twoja ulubiona żona jest bliska doskonałości. Jak długo taką pozostanie, zależy wyłącznie od ciebie. Ząb czasu nie nadkruszył jej urody przez dwa tysiące lat i będzie tak dalej tak długo, jak ja zechcę i ani chwili dłużej.

Ferency mówił, a jego kreatury przytwierdziły łańcuchy Bodrogka do ściany.

— Pilnujcie go — rozkazał.

Następnie ujął szklaną pałeczkę i zanurzył w płynie znajdującym się w kubku, po czym szybkim ruchem prysnął krople na szeroką pierś Traka.

Bodrogk popatrzył na własne ciało. Otworzył szeroko usta i wybałuszył oczy na widok dymu unoszącego się z jego gęsto owłosionej piersi. Kwas palił skórę, wżerał się aż do kości. Wojownik krzyknął straszliwie z całą siłą, padł na kolana w nieznośnym cierpieniu zadanej mu tortury.

Ostatnia z sześciu żon jakie miał w życiu, zawołała do Janosza, by oszczędził mu bólu. Płacząc obwisała w łańcuchach. Trak podniósł się z wysiłkiem. Oczami czerwonymi od męki i nienawiści wpatrywał się w oprawcę.

— Wiem, że ona jest martwa — powiedział — tak jak i ja. Wiem też, że jesteś upiorem i nekromantą. Ale zdaje się, że nawet po śmierci istnieje hańba i ból. Dlatego, aby jej tego oszczędzić, mów, czego chcesz ode mnie. Jeżeli znam odpowiedź, dam ci ją. Jeżeli będę mógł coś uczynić, uczynię to.

— Dobrze — prychnął Janosz. — Sześciu twoich ludzi spoczywa tu w urnach pochównych. Wysypię ich prochy teraz z lekythoi i przywrócę ich do życia. Mia-nuję ich swoją strażą, a ty będziesz kapitanem.

— Więcej ciał do torturowania?

— Co? — Ferency wykrzywił twarz. — Ależ, powinieneś być mi wdzięczny! To przecież twoi towarzysze broni z czasów, gdy walczyliście ramię w ramię. Może znów staniecie do boju. Nie mam bowiem pewności, czy mój przeciwnik



przyjdzie sam. Mam nawet broń, którą nosiliście w tamtych minionych latach, i którą z wami złożono do grobów. A więc, jak widzisz, znowu narodzisz się jako wojownik. Teraz obudzę strażę. Twoja żona zostanie tutaj. Niech no tylko jakiś zdradziecki Trak podniesie na mnie rękę... na niej się to zemści.

— Janosz! — Bodrogk dalej wpatrywał się w niego. — Zrobię wszystko, o co mnie prosisz. Ale choć za życia stoczyłem wiele krwawych walk, byłem uczciwym człowiekiem. I ta uczciwość skłania mnie teraz do udzielenia ci rady: pilnuj się dobrze. Och, wiem, że jesteś wampirem i dysponujesz ogromną mocą, ale znam również swoją siłę, a jest ona wielka. Gdybyś nie miał tutaj Sofii skutej łańcuchami, wówczas, mimo tego całego kwasu, rozerwałbym cię na strzępy. Tylko ona mnie powstrzymuje.

Ferency roześmiał się złowieszczo.

— To się nigdy nie stanie — powiedział. — Ale ja także będę z tobą szczerzy: kiedy już wszystko zostanie załatwione, i to załatwione po mojej myśli, wówczas zamienię was znowu w proch, zmieszam wasze szczątki i rozrzucę je na wiatr.

— To musi wystarczyć — odrzekł tamten.

— Tak się stanie — rzekł Janosz.

Na morzu Egejskim, nie opodal Rodos, Darcy Clarke i jego ekipa na pokładzie łodzi minęli Tilos i skręcili na zachód w stronę Sirny. Patrząc na błękitną tafłę wody, Darcy zastanawiał się w myśli nad planami sporządzonymi ostatniej nocy i szukał słabych punktów.

Przypominał sobie, jak David Chung siadł przy stole w pokoju hotelowym, a inni otoczyli go kręgiem i przyglądali się jego występowi. Rodzice Chunga byli narkomanami. Kokaina wyniszczyła ich mózgi i ciała, w końcu zabiła oboje. Od chwili więc, gdy Chung dołączył do INTESP, wymierzył swój talent przeciw wszystkim, którzy żerują na ludzkim nieszczęściu. Dawano mu od czasu do czasu także inne zadanie.

Ostatniej nocy posłużył się odrobiną znienawidzonej przez siebie substancji, śnieżnobiałej kokainy. Na stole leżała duża mapa Dodekanezów, a na niej cieniutka, brązowa bibułka papierosowa z białym proszkiem.

Chung prosił o ciszę i przez kilka minut siedział, oddychając głęboko, co pewien czas zwilżając palec, by zabrać kilka drobinek i przenieść je na język. Nagle... jednym dmuchnięciem strącił bibułkę i leżącą na niej truciznę, przygwoździł mapę palcem.

— Tutaj! — powiedział. — Straszne mnóstwo tego świństwa.

Manolis Papastamos i Jazz Simmons nagrodzili go spontanicznymi oklaskami, ale Zek, Darcy i Ben Trask nie wydawali się zdziwieni. Oczywiście, także i na nich zrobiło to wrażenie, ale zajmowali się ESP (poza-mysłową percepcją) od wielu lat, więc niewiele mogło ich zaskoczyć.

Manolis popatrzył uważniej na mapę, na miejsce, które wskazywał Chung, i pokiwał głową.

— Wyspa Lazaridesa — odezwał się. — Teraz wiemy, gdzie jest ukryty „Lazarus”. Na jego pokładzie znajduje się całe gówno, jakie ten Vrykoulakas ukradł ze starej „Samotraki”.

Mieli dotrzeć na wyspę godzinę po wschodzie słońca, kiedy wampirza załoga białego statku będzie mniej skłonna do działania, i zniszczyć „Lazarusa”, potwory i wszystko inne.

David Chung odegrał już swoją rolę i teraz mógł jedynie wygrzewać się na słońcu i czekać aż praca zostanie zakończona.

— Będziemy na miejscu za pół godziny. Czy chcesz to jeszcze raz przelecieć? — Manolis przywołał Darcy’ego do rzeczywistości.

Esper potrząsnął głową.

— Nie, każdy z was zna swoją robotę. Ja tym razem jestem zwyczajnym pasażerem, przynajmniej dopóki nie dostaniemy się na wyspę i do siedziby Janosza.

Zek rozpięła zamek lekkiego, jednoczęściowego kombinezonu. Pod spodem miała żółty kostium kąpielowy, bardzo skąpy i nie pozostawiający pola dla wyobraźni. Z jej błękitnymi oczami, jasnymi włosami rzucającymi złote błyski i płomiennym uśmiechem nie było chyba mężczyzny, żywego czy martwego, który mógłby oderwać od niej wzrok!

Jej mąż spojrział na nią i uśmiechnął się.

— Co cię tak bawi? — zapytała go, zadzierając głowę.

— Myślałem — odparł Jazz — że naszym zadaniem jest zatopić tych gości razem z ich statkiem, a nie ściągać ich tutaj twoim widokiem.

— Nauczyłam się tego od Lady Karen w Gwiezdnej Krainie — powiedziała. — Jeżeli uda mi się rozproszyć ich uwagę, wy będziecie mogli wykonać swoją robotę łatwiej i bezpieczniej.

— Och, zostaną rozproszeni, nie ma wątpliwości! — zapewnił ją Manolis.

Ben Trask w tym czasie otworzył małą walizeczkę z przegrodami i wyjął cztery lśniące metalowe dyski z zamontowanymi zegarami i bezpiecznikami. Zamocował je do pasów akwalungowych w miejsce ołowianych ciężarków.

— Ciągłe nie wiem, jak udało się wam wywieźć miny z Anglii — powiedział Manolis.

— W bagażu dyplomatycznym. — Trask wzruszył ramionami. — Możemy być cichymi partnerami, ale jednak mimo wszystko jesteśmy częścią brytyjskich służb wywiadowczych.

— Skała przed nami! — krzyknęła Zek ze swej gumowej maty na dachu kabiny przy przedniej szybie. Pokazywała palcem. — Manolis, czy to jest to?

— Tak jest — Grek przytaknął — Darcy, możesz przejąć ster?

Esper przejął prowadzenie łodzi i nieco zwolnił. Manolis i Jazz przebrali się w kombinezony płetwonurków. Ben Trask zdjął kurtkę i założył okulary słonecz-

ne oraz kapelusz słomkowy. W swojej hawajskiej koszuli przypominał bogatego, głupkowatego turystę. Podpłynęli bliżej wyspy. Rosło na niej trochę krzewów, trawy. Usytuowana centralnie ponad wzniesieniami brzegowymi wyrastała stromo na jakieś sześćdziesiąt metrów osmagana wiatrem, żółta skała.

Łódź okrążyła półwysep.

— Zostańcie na dole — krzyknął Darcy do Jazza i Manolisa w kabinie. — Was tu nie ma. Jest tu nas tylko troje.

Zek wyciągnęła się zmysłowo na dachu kabiny i nałożyła okulary słoneczne. Darcy skierował łódź wprost w wejście do małej zatoki. A tam, zakotwiczony... kołysał się biały statek, „Lazarus”. Trask otworzył butelkę piwa i zwilżył usta. Jednocześnie obserwował wyspę. To było jego zadanie, podczas gdy Darcy i Zek, na różne, właściwe im sposoby, prześwietlali „Lazarusa”.

Wyspa to właściwie mała plaża obramowana dwiema skalnymi ostrogami wychodzącymi w morze oraz całkiem niemal nagie, kamienne zbocze, pnące się ku centralnej skale. Z tej strony szczyt skały wyglądał na zniszczone fortyfikacje albo jakiegoś rodzaju faros, ze zniszczonymi erozją pozostałościami schodów. Ale w połowie góry znajdowała się rozległa płaszczyna, jakby w minionych wiekach skała rozszczepiła się w pionie przez środek i górna połowa jednej części odpadła. Masywne mury zbudowane na obwodzie płaszczyny od jednej skalnej ściany do drugiej wskazywały, że miejsce to musiało być warownią krzyżowców. Stare mury w niektórych miejscach zwały się, ale było widać, że powstają już nowe. Widać też było rusztowania, przyklejone zarówno do niższej, jak i wyższej części skały.

Darcy tymczasem przyglądał się „Lazarusowi”. Biały statek stał niedaleko od plaży na głębokiej wodzie w środku małej zatoki. Na pokładzie pod czarną przesłoną siedział człowiek. W chwili kiedy łódź motorowa pojawiła się, wstał i wziął do ręki lornetkę. Nosił miękki kapelusz o szerokim rondzie i okulary słoneczne. Nie wychodził z cienia, przyłożył lornetkę do oczu i skierował ją na łódź motorową.

Zek podparła się na łokciu i pomachała znacząco ręką. Obserwator z pokładu jednak zignorował ją. Darcy jeszcze zwolnił, zaczął okrążyć statek szerokim kołem.

— Ahoj, tam! — zawołał w stronę białej jednostki, a jego angielski przybrał brzmienie właściwe wyższym sferom. — Ahoj, na pokładzie „Lazarusa”!

Mężczyzna podszedł do drzwi kabiny, zniknął w nich do połowy, po czym wrócił na poprzednie miejsce. Teraz skierował lornetkę na Zek, która bez przerwy machała. Dziewczyna poczuła na sobie jego wzrok i mimo palącego żaru słonecznego zadrżała. Drugi mężczyzna, który mógłby być bratem-bliźniakiem pierwszego, dołączył do niego i razem w milczeniu patrzyli na okrążającą ich łódź... — głównie jednak obserwowali Zek.

Darcy jeszcze trochę zwolnił. Trzeci mężczyzna wyszedł z wnętrza białego statku. Ben Trask wstał i wznosił ku nim butelkę.

— Napijemy się? — krzyknął, imitując podrabiany akcent Darcy'ego.

Zek przypatrywała się nie tylko temu, co działo się na pokładzie ale i pod nim. Naliczyła ich razem sześciu. Trzech spało. Wszyscy byli wampirami.

Nagle jeden ze śpiących poruszył się i obudził. Miał czujny umysł. Był bardziej wampirem niż pozostali. Zanim Zek zdążyła zasłonić telepatyczny zwiad, on „zobaczył” ją.

— Jedziemy. Jeden z nich mnie przejrzał — powiedziała do Darcy'ego.

— Do zobaczenia! — krzyknął Ben Trask, kiedy Darcy zawrócił łódź i szybko ruszył w kierunku odległego końca półwyspu zamykającego zatokę.

Poza zasięgiem wzroku ludzi z „Lazarusa”, Darcy zwolnił i pozwolił łodzi kołysać się w pobliżu obrośniętej wodorostami, płasko zakończonych, wystającej z morza rafy. Jazz i Manolis wyszli z kabiny, założyli maski, ustawili zawory dopływu mieszanki. Nabrali jeszcze kilka oddechów świeżego powietrza i skoczyli do wody.

— Jazz — zawołała Zek — uważaj na siebie!

Płetwonurkowie zanurzyli się i zaraz w tym miejscu pojawił się rój bąbelków. Zeszli na pięć metrów i skierowali się z powrotem w stronę „Lazarusa”.

— Darcy — zwróciła się do niego dziewczyna — trzymaj się trochę dalej tym razem. Będą teraz uważali, jestem tego pewna.

Kiedy „Lazarus” znowu pojawił się w zasięgu wzroku, Ben Trask klęknął i z torby pod siedzeniem wyciągnął doskonały pistolet maszynowy. Złożył go i pewnym ruchem wsunął magazynek pełen dziewięćmilimetrowych kul. Położył broń pomiędzy stopami i przykrył ją torbą.

Pół mili od celu Darcy zmniejszył szybkość i bardziej siłą rozpędu niż maszyn zbliżał się do białego statku. Na jego pokładzie panowało teraz ożywienie. Widoczna tam trójka spieszenie chodziła wzdłuż burt, przystając co kilka kroków i uważnie przypatrując się wodzie. Jazz i Manolis mogli się tam znaleźć w każdej chwili. Mężczyźni na pokładzie zebrali się w jednym punkcie przy barierce i Zek znowu poczuła lornetkę wymierzoną w jej prawie nagie ciało. Ale tym razem zainteresowanie nie miało podłoża seksualnego. Nagle rozległ się grzechot wyciąganego łańcucha kotwicznego „Lazarusa” i odgłos startujących maszyn. Z kabiny wybiegł na pokład czwarty mężczyzna... trzymał masywny karabin maszynowy.

— Jezus! — wrzasnął Ben Trask.

Człowiek z karabinem maszynowym, zasypał mniejszą łódź gradem ołowiu. Zek błyskawicznie stoczyła się z dachu. Ledwie zdążyła schronić się w małej kabince, a przednia szyba rozprysła się w drobiazgi, Trask zerwał się i odpowiedział ogniem. Strzelec z „Lazarusa” został odrzucony do tyłu, jakby uderzony kafarem. Odbił się od wspornika na pokładzie, przełamał przez barierkę i z pluskiem wpadł do wody.

Darcy okrążył już biały statek dookoła i teraz zwiększał odległość, kierując się na otwarte morze. Nagle — Zek wybiegła z kabiny, chwyciła koło sterowe i skrzyła nim mocno.

— Patrz! Och, patrz! — krzyczała.

Człowiek z karabinem na pokładzie „Lazarusa” strzelał wprost do wody, w coś, co powoli oddalało się od burty.

— Trzymaj ster! — ryknął Darcy, skoczył do miejsca, z którego Trask prowadził ostrzał, i wyszarpnął spod siedzenia drugą torbę. Ładował drugi karabin. Wściekły świst pocisków przeszył powietrze. Trask krzyknął i zatoczył się do tyłu, w ostatniej chwili uniknął wypadnięcia za burtę. W jego lewym ramieniu widniała dziura na wylot, która w następnym momencie zamieniła się w szkarłat i trysnęła krwią. . .

„Lazarus” wycofał się tyłem z zatoki i zaczął obracać się wokół własnej osi. Woda kipiała, wściekle ubijana przez śrubę.

Nie zdołali zatrzymać statku wampirów. Zek pospieszyła do Traska, by zobaczyć, czy może coś dla niego zrobić. Miał skrzywioną bólem twarz.

— Wszystko w porządku. Owiń to tylko, nic więcej — powiedział zduszonym głosem.

Płetwonurkowie wynurzyli się z wody. Zek zdierała właśnie koszulę z pleców Traska, próbując założyć bandaż. Darcy skierował łódź w stronę Jazza. Pomógł mu wgramolić się na łódź. Po chwili podpłynął Manolis. W tym momencie jednak silnik zgasł.

— Zalany — krzyknął Darcy.

„Lazarus” obrócił się. Pulsowanie maszyn stawało się coraz głośniejsze i szybsze. Pruł wprost na mniejszą łódź z całkiem oczywistymi intencjami. Manolis spojrzął na wodoodporny zegarek na przegubie.

— Powinien już wylecieć! — krzyknął. — Myny, powinny już. . .

Kiedy „Lazarus” znalazł się w odległości znacznie mniejszej niż pięćdziesiąt jardów, miny rzeczywiście eksplodowały. Nie jednym połączonym wybuchem, ale czterema. Dwie pierwsze wybuchły na rufie, w odstępie sekundy czy dwóch. Maszyny przerwały pracę, ale biały statek siłą rozpędu sunął do przodu. Wtedy rozerwały się kolejne miny, podczipione pod przednią częścią kadłuba. To zupełnie zmieniło obraz sytuacji. Rufa już pogrążyła się w morzu, szybko nabierając wody, a dziób podskoczył w górę na grzbiecie spienionej wody, następnie opadł z hukiem. W tym momencie wybuchły maszyny. Statek przełamał się i jego tylna część otwarła się. Gorące metalowe szczątki pofrunęły w górę, w ognistej kuli płonącego paliwa. Wielki okrąg dymu wzbił się w niebo niczym ostatnie tchnienie. „Lazarus” wreszcie poddał się, osiadł głęboko w wodzie i zatonął. Morze wypuściło kłęby pary, woda bulgotała jeszcze przez kilka sekund, po czym zapadła cisza. . .

— Po nim! — powiedział Darcy, kiedy odzyskał oddech.

— Tak. — Skinął głową Jazz Simmons. — Ale upewnijmy się lepiej.

Manolis uruchomił wreszcie silnik, który sapiąc popchnął łódź do miejsca, gdzie zniknął „Lazarus”. Na powierzchni rozpościerała się plama oleju, woda mieniła się kolorami tęczy. Nagle z wody wychynęła głowa odchylona do tyłu, a za nią powoli wypłynęła dolna część szerniałego ciała. Kołysało się tak na wodzie niczym ukrzyżowany człowiek, z szeroko rozprostowanymi ramionami. Wpatrywali się weń wstrząśnięci, aż nagle jego oczy otworzyły się i wbiły w nich wściekły wzrok, a on sam zakaszał krwią, flegmą i słoną wodą.

Greki nie myślał wiele, tylko wyłączył silnik, pochylił kuszę i wraził harpun wprost w dławiającą się pierś wampira. Kreatura rzuciła się raz i drugi, po czym znowu znieruchomiła na powierzchni. Wciąż jednak nie mogli mieć pewności. Przyciągnęli go więc do samej burty. Zek przywiązała ołowiane ciężarki do jego stóp, zepchnęła je do wody i ciało potwora zanurzyło się i znikło im z oczu.

— Głęboka woda — skomentował Manolis beznamiętnie. — Nawet wampir ma tylko krew i kości. Jeśli nie oddycha, nie przeżyje.

Ben Trask, biały jak ściana, trząsał się i ledwo panował nad sobą.

— A co z tym, którego zmiotłem za burzę? — zapytał.

Greki zawrócił łódź na środek zatoki, gdzie uprzednio stał zakotwiczony „Lazarus”. Darcy krzyknął i wskazał ręką na coś niepozornie rozgarniającego wodę. Postrzelony wampir przebył już pół drogi do łądu. Zbliżyli się doń, przeszli go harpunem i wyciągnęli na morze, gdzie postąpili tak samo, jak z poprzednim.

— Teraz jest już po nich — parsknął Ben Trask.

— Niezupełnie — przypomniała mu Zek, wskazując na wyrastającą z morza żółtobiałą skałę. — Jest ich jeszcze dwóch tam, na górze. Położyła rękę na czole, zamknęła oczy i zmarszczyła brwi. — I... może być coś jeszcze. Ale nie jestem pewna, co.

Przybili do plaży. Greki z kuszą i ze swoją berettą czuł się szczęśliwy. Darcy miał swój erkaem, którym umiał się dobrze posługiwać, a dziewczyna wzięła drugą kuszę. Jazz zadowolony się bronią Harry’ego Keogha. Chcieli też wziąć jeszcze jeden karabin maszynowy, ale Ben Trask został wyłączony z dalszej akcji. Miał zostać i pilnować łodzi.

Zaczęli wspinać się. Trasa była łatwa, bowiem cienka warstwa ziemi została ściśnięta między głazami, a w bardziej stromych miejscach wycięto schody. W połowie podejścia zatrzymali się dla zaczerpnięcia tchu i popatrzyli do tyłu. Ben obserwował ich przez lornetkę. Do tej pory nie zauważyli żadnych śladów życia, jednak kiedy podeszli do podnóża skały, Jazz wychwycił ruch u góry, w starożytnym otworze strzelniczym.

Natychmiast ściągnął Zek i ruchem ręki nakazał Darcy’emu i Manolisowi skryć się pośród bezładnie porozrzucanych głazów.

— Jeżeli te stworzenia na górze mają broń — wyjaśnił — mogą nas powystrzelać jak kaczki.

— Ale nie mają, bo już dawno by to zrobili — odparł Grek. — Złapałoby nas, kiedy przybijaliśmy do plaży albo podczas walki z „Lazarusem”.

— Ale oni nas obserwowali — powiedziała Zek. — Czułam ich.

— A teraz czekają na nas tam. — Jazz pokazał oczami na wyniosłe, oślepiając białe ściany.

— Ślizgamy się po bardzo cienkim lodzie — zwrócił się do pozostałych Darcy. — Mój talent mówi mi, że zaszliśmy już wystarczająco daleko.

Od ścian odbił się przeraźliwy krzyk. Odwrócili się i ujrzeli Bena Traska podążającego z boczem za nimi.

— Zatrzymajcie się! — krzyczał. — Poczekajcie!

Dotarł na odległość trzydziestu czy czterdziestu metrów, upadł w cieniu głazu i przez chwilę odpoczywał.

— Obserwowałem fortyfikację przez lornetkę. — krzyknął po chwili. — Coś się tam nie zgadza, i to bardzo. Podejście wygląda łatwo — po tych starych schodach, ale takie nie jest. To oszustwo, pułapka.

Jazz wrócił się, spotkał Bena w pół drogi i wziął od niego lornetkę.

— Co masz na myśli, mówiąc o pułapce?

— To jest tak, jakbym uczestniczył w policyjnym przesłuchaniu — wyjaśnił Ben. — Wyczuwam, kiedy podejrzany kłamie, nawet jeżeli nie wiem, na czym to kłamstwo polega. Nie pytaj mnie więc, co tam jest nie w porządku, tylko wierz mi na słowo.

— W porządku — odparł Jazz. — Wracaj na łódź. Będziemy bardzo uważać.

Ben zawrócił. Jazz skierował lornetkę na kamienne schody, pnące się stromym zygzakiem od podstawy skały do starożytnego muru. Blisko celu stos głazów i odłamków wypiętrzał się z ziejącego czernią pyska jaskini, oddzielony od schodów i krawędzi masywną siatką rozpiętą między głęboko osadzonymi żelaznymi słupami. Z tego wypiętrzenia zwisały prawie niewidoczne kable, które, znikły w ponurym mroku jaskini. Simmons przyjrzał się im dokładniej. „Przewody detonujące? Bardzo możliwe” — pomyślał. Powrócił do pozostałych.

— Zdaje się, że mamy kłopoty — powiedział — albo będziemy je mieli, gdy tylko wejdziemy na te schody.

Przedstawił swoje przypuszczenia. Darcy wziął od niego lornetkę, wystawił głowę zza zasłony i sprawdził powierzchnię skały.

— Jeżeli Ben mówi, że tu się coś nie zgadza, to na pewno tak jest.

— Nie ma sposobu, aby przeciąć te kable — gdybał Jazz. — Ci tam, na górze, mają przewagę. Mogliby złapać nawet mysz wspinającą się po tych schodach.

— Słuchajcie — odezwał się Manolis. — Niech myślą, że daliśmy się nabrać.

— Jak? — zapytał Darcy.

— Zaczniemy wchodzić na górę — odpowiedział Grek — ale troszeczkę się rozciągniemy, tak że jeden z nas wysforuje się dobrze do przodu. Ścieżka zakręca zaraz pod jaskinią z głazami. A przed samym zakrętem jest duża dziura na zboczu

ściany. Więc jeden z nas minie zakręt, inni podążą za nim zawzięcie. Te kreatury na górze przeżyją dylemat, czy nacisnąć guzik i załatwić jednego człowieka, czy też czekać na innych. W tym momencie ten na przedzie przyspieszy, a pozostali udadzą, że idą naprzód. Wampiry nie będą mogły czekać, ponieważ jeden już im się wymknął, więc nacisną guzik. Bum!

— A może — powiedział Darcy z nagle pobladłą twarzą — zostawimy to do wieczora i...

— Czy to twój anioł stróż? — Manolis spojrział z niesmakiem. — Widziałem już ten grymas na twojej twarzy!

— A więc, kto twoim zdaniem ma robić za zająca? — zapytał Darcy.

— Słucham? — odezwał się Grek.

— Kto idzie pierwszy i ryzykuje, że go zdmuchną ze ściany prosto do piekła? Manolis wzruszył ramionami.

— A któżby? Ty, oczywiście!

— Ten twój talent naprawdę działa? — nie dowierzał Jazz.

— Tak, jestem deflektorem. — Darcy skinął głową i westchnął.

— W czym więc problem?

— Problem jest w tym, że mój talent nie włącza się i wyłącza, ale pracuje bez przerwy. On robi ze mnie tchórza. Chociaż wiem, że jestem chroniony, nie zapalę sztucznych ogni inaczej, jak tylko na odległość. Ty mówisz: „Naprzód Darcy, włącz na schody”. Ale on mówi: „Uciekaj do diabła, synu. Uciekaj do cholernego diabła”.

— Musisz więc zapytać sam siebie — odparł Jazz — kto tu jest szefem — ty czy on.

W odpowiedzi Darcy ponuro skinął głową, wsunął magazynek do erkaemu. Podszedł do podstawy schodów i zaczął wspinać się. Pozostali obserwowali go przez chwilę, po czym ruszył Manolis. Jazz poczekał, aż tamten nie będzie mógł go usłyszeć.

— Zek, zostajesz tutaj — rozkazał.

— Co? — Popatrzyła na niego. — Po doświadczeniach z Gwiazdnej Krainy mówisz mi, że mam cię zostawić?

— Nie działałam sam. A poza tym, co tam zrobisz z tą marną, podwodną kuszą? Trzeba, żebyś zaczekała tutaj, Zek. Jeżeli jedna z tych bestii minie nas, twoim zadaniem będzie ją zatrzymać.

— To tylko pretekst — odparła — sam powiedziałeś, że na niewiele mogę przydać się z kuszą?

— Kochanie, ja...

— Dobrze! Czekają na ciebie.

Pocałował ją i ruszył za tamtymi dwoma. Poczekała, aż dojdzie do schodów i zacznie wspinaczkę. Wyszła z ukrycia i podążyła za nim...



Darcy przystanął przed samym zakrętem, gdzie wąskie kamienne schody skręcały w lewo i pięły się nierówno przez część ściany bezpośrednio pod groźną jaskinią. Oddychał ciężko, nogi trzęsły się jak galareta, jednak nie z powodu trudnej wspinaczki, ale dlatego że o każdy metr drogi musiał walczyć ze swoim talentem.

Popatrzył do tyłu i kiedy Manolis i Jazz pojawili się na widoku, pomachał im. Następnie minął zakręt i z determinacją ruszył do przodu.

Przechodząc obok skalnej szczeliny, czuł nieodpartą chęć schronienia się. Nie zatrzymał się jednak. Popatrzył do góry i wzdrygnął się. Druciana siatka, powstrzymująca napór skał, głazów i kamieni, była niecałe trzy metry od niego. Przyspieszył i opuścił teren bezpośredniego niebezpieczeństwa. Następnie obejrzał się i dostrzegł Jazza i Manolisa wynurzających się zza zakrętu. W tym momencie pośliznął się na kamykach i zjechał w dół.

Czuł, iż jego stopy zwisają nad krawędzią, chwycił się wystającej skały i w tej samej chwili już wiedział, że to się stanie.

— Gówno — wrzasnął i przykleił się do ściany. Ogłuszająca eksplozja rozrwała ciszę, a podmuch powietrzaomal nie wyrzucił go w górę.

Skalne odłamki latały wszędzie tak, jakby cała góra się rozleciała. Ogłuchły i walczący o oddech w dławiącym pyłe i kamiennych szczątkach, Darcy mógł jedynie leżeć i czekać. Minęła minuta, może dwie. Hałas ucichł. Esper popatrzył za siebie... Jazz i Manolis, nie bacząc na niebezpieczeństwo, gramolili się do góry po zasłanych gruzem schodach.

Przed nim jednak dwóch mężczyzn schodziło szybko w dół. Darcy podparł się, by stanąć na nogi i zobaczył ich. Płomiennooocy, powarkujący, wyszli, by przyjąć najeźdźców twarzą w twarz. Jeden z nich trzymał pistolet, a drugi — długi na prawie dwa metry trójzab z zabójczymi ostrzami. Erkaem espera został przywalony gruzem i odłamkami kamieni. Wampir uzbrojony w pistolet zatrzymał się i wymierzył. Coś świsnęło i stworzenie celujące w Darcy'ego upuściło broń i zatoczyło się na ścianę. Twarde drewno przeszło jego pierś. Potwór zakrztusił się, wydał niesamowity, syczący okrzyk i zwałił się na ziemię.

Drugi podjął dzieło. Zaatakował espera swą straszliwą bronią. Udało mu się jednak jakoś odtrącić zabójczą potrójną głowicę i... nagle pojawił się Manolis.

— Padnij! — wrzasnął grecki policjant. Rozległy się trzy suche strzały beretty. Syk wampira przemienił się w krzyk wściekłości i bólu. Trafiony z bliska, napastnik zachwiał się na schodach. Darcy wyrwał mu z rąk trójzab i trzasnął drzewcem w pierś. Potwór, skowycząc i łkając, stoczył się w dół, aż do podstawy skały.

Jazz Simmons podszedł bliżej.

— Na dół, czy go góry? — zapytał dysząc.

— Na dół — odpowiedział z miejsca Darcy. — I nie obawiajcie się, to nie jest kwestia mojego talentu. Po prostu wiem, jak trudno zabić te bestie! — Popatrzył na swoich przyjaciół. — A gdzie jest Zek? — zapytał.

— Na dole — odparł Jazz.

— Jeszcze jeden powód, aby natychmiast wracać — powiedział Darcy.  
Zek właśnie w tej chwili mijała zakręt. I kiedy zobaczyła, że wszyscy są cali, westchnęła z ulgą.

Przynieśli benzynę ze statku i spalili ciała wampirów. Trochę odpoczęli przed wyruszeniem na górę, do starych fortyfikacji. Janosz przygotował tam obszerne schronienie, złowieszcze i zatrważające.

Zek, pozwalając prowadzić się swojemu telepatycznemu talentowi, przez zwały zaprawy murarskiej, przez przejścia w na wpół wzniesionych murach, obok głębokich otworów strzelniczych dających wspaniały widok na zakrzywioną linię morskiego horyzontu, zaprowadziła esperów do tajemniczych drzwi. Otworzyli je i zobaczyli wyżarte zębem czasu schody prowadzące w dół, do lochu krzyżowców. Sklecieli pochodnie i podążyli w kierunku cuchnącego serca skały. Na dole znaleźli niskie ocembrowania dwóch przykrytych studni, które zapadały w jeszcze większą ciemność. Tutaj właśnie Zek zaczęła chrapliwie oddychać i drżąc oparła się o ścianę.

— Co jest? — zapytał Jazz.

— W studniach — wydyszała. — Takie same miejsca jak to widziałam w gniazdach w Gwiezdnej Krainie. W tych miejscach Lordowie-wampiry trzymali swoje... zwierzęta!

Studnie zamknięte były zbitymi z desek pokrywami. Manolis przyłożył ucho do jednej z pokryw, ale nic nie usłyszał.

— Coś w studniach? — zapytał, marszcząc czoło.

Zek przytaknęła.

— Teraz milczą, boją się, czekają. To mogą być syfoniarze albo bestie gazowe, albo jeszcze coś innego. Nie wiedzą, kim jesteśmy, ale boją się, że przysyła nas Janosz! To są... stwory Janosza, wyrosłe z niego.

— Jak ta ohyda, którą Julian Bodescu hodował w swojej piwnicy — odezwał się Darcy. — Ale... na to przynajmniej można bezpiecznie popatrzeć. Gdyby było inaczej, wiedziałbym o tym.

Manolis i Jazz zdjęli pokrywę z jednego z szybów i stanęli przy krawędzi. Popatrzyli w dół, w styksowe ciemności, ale niczego nie mogli dojrzeć. Jazz wzruszył ramionami, wystawił pochodnię i wypuścił ją z ręki.

Rozległ się ryk i skowyt. Kwilenie i plucie, i obłąkana wrzawa. Na chwilę, tylko na chwilę, płonąca pochodnia, padając, odsłoniła całą potworność dna suchej studni. Zobaczyli oczy, rozdziawione szczęki i zęby. Coś niewypowiedzianie straszego przewalało się tam na dole, podskakiwało i bełkotało. Po chwili pochodnia zgasła. Przy niesłabnących dźwiękach tego olbrzymiego tumultu Jazz i Manolis zasunęli pokrywę okropnego tunelu.

— Będzie nam potrzebne całe paliwo, jakie zdołamy zgromadzić — powiedział Grek.

— I dużo tego budowlanego drzewa — dorzucił Jazz.

— I może jeszcze miny — przyłączył się Darcy. — Musimy mieć pewność, że zatkaliśmy te studnie raz na zawsze. Najwyższy czas doprowadzić te sprawy do porządku.

Wyszli na świeże powietrze. Zek kurczowo chwyciła męża za rękę.

— Ale jeżeli to stanowi miarę tego, co Janosz może stworzyć tutaj, w krótkim czasie, pomyśl tylko, co mógł zrobić tam, w górach Transylwanii.

— Boże, nie chciałbym być teraz Harrym Keoghem... za żadne skarby — wyszeptał Darcy.

Harry obudził się z dziwną pewnością, że stało się coś strasznego. Nieludzkie krzyki dźwięczały mu w uszach, huczący ogień płonął w jego oczach. Kiedy jednak podniósł się w łóżku, uświadomił sobie, że te wrzaski to tylko poranne pianie kogutów, a ogień był blaskiem słońca padającym przez wychodzące na wschód okna.

Teraz, kiedy już nie spał, doszły go odgłosy śniadania i zapachy pożywienia rozchodzące się z kuchni.

Wstał, umył się i ogolił. Szybko ubrał się. Już miał schodzić na dół, kiedy usłyszał dziwne znajome dzwonięcie, skrzypienie, niespieszny stukot kopyt. Podszedł do okna, wychylił się i zaskoczył go żar promieni słonecznych. Zmarszczył czoło. Żółte, gorące światło drażniło go, wywoływało swędzenie.

W dole, drogą, jechały rzędem końskie zaprzęgi, cztery czy pięć w jednej linii. Cyganie zmierzali ku odległym góróm. Harry poczuł nagłą więź krwi, gdyż to także było jego przeznaczenie. Zastanowił się, czy przekroczą granicę, czy pozwoli im się na to! Causescu bowiem nie darzył Cyganów wielką sympatią.

Keogh patrzył, jak mijają go, i zobaczył, że ostatni wóz przystrojono girlandami i żałobnymi wieńcami o dziwnych kształtach, utkany z winorośli i kwiatów czosnku. Jego małe okienka zostały całkowicie zasłonięte. Obok szły kobiety, całe w czerni, ze spuszczoneymi głowami, przeżywające swą boleść w milczeniu. Wóz był karawanem, a jego mieszkaniem dopiero co zmarł. Harry poczuł żal.

— Czy wszystko w porządku? — odezwał się głosem zmarłych.

Myśli nieznajomego były spokojne, uporządkowane, ale jednak wtargnięcie Harry'ego zaskoczyło go.

— Nie myślisz, że to niegrzecznie z twojej strony — powiedział — przerywać mi w ten sposób?

— Przepraszam — odpowiedział — ale martwiłem się o ciebie. To oczywiście stało się niedawno... i nie wszyscy zmarli zachowują stoicki spokój w tej sytuacji.

— Chodzi o śmierć? Ach, ale ja oczekiwałem jej od dawna. A ty musisz być nekroskopem?

— Słyszałeś o mnie? W takim razie na pewno wiesz, że nie chciałem być niegrzeczny. Nie zdawałem sobie sprawy, że moje imię dotarło do ludów podróżnych.

Zawsze myślałem o was jako o oddzielnej rasie. To znaczy, macie własne ścieżki, które nie zawsze zgdzają się z... Nie. Znowu nie to chciałem powiedzieć. Może masz rację, że jestem nieokrzesany.

Tamten zachichotał.

— Wiem wystarczająco dobrze, co chciałeś powiedzieć. Ale zmarli są zmarłymi, Harry, a teraz, kiedy nauczyli się rozmawiać z sobą, robią to. Zwykle wspominają bez realnego kontaktu ze światem żywych, nie licząc ciebie, oczywiście.

— Jesteś uczonym człowiekiem — powiedział Keogh — i bardzo mądrym. Nie odczujesz więc śmierci ciężko. Jakim byłeś za życia, takim będziesz po śmierci. Wszystkie sprawy, nad którymi zastanawiałeś się żyjąc, ale których nie potrafiłeś do końca rozwiązać, możesz teraz gruntownie przemyśleć.

— Starasz się poprawić moje samopoczucie — odparł tamten — i ja to doceniam, ale naprawdę nie ma potrzeby. Zestarzałem się. Teraz jestem w drodze do miejsca pod górami, gdzie moi przodkowie — Wędrowcy powitają mnie z radością. Oni także byli cygańskimi królami w swoim czasie. Z niecierpliwością oczekuję, iż usłyszę prawdziwą historię naszej rasy. Myślę, że muszę za to podziękować, gdyż bez ciebie leżeliby tam wszyscy jak prastare, wysuszone ziarno na pustyni, pełne ukrytych możliwości, kształtów i barw, ale niezdolne nadać im formy. Dla zmarłych byłeś deszczem na pustyni.

Harry wychylił się jeszcze bardziej z okna, by odprowadzić wzrokiem karawan znikający za zakrętem zakurzonej drogi.

— Cieszę się, że cię spotkałem — powiedział. — Gdybym wiedział, że byłeś królem, od razu okazałbym ci stosowny szacunek.

— Harry! — Myśli tamtego przypląnęły z powrotem do nekroskopa, który tym razem wyczuł w nich zakłopotanie. — Wydajesz mi się być bardzo rzadką osobą: dobrą, współczującą, mądrą, choć jesteś tak młody. I mówisz, że rozpoznałeś we mnie starszą mądrość. Proszę cię więc, abyś zechciał przyjąć rozsądną radę od mądrego, starego króla Cyganów. Idź dokądkolwiek, ale nie tam, dokąd idziesz. Rób cokolwiek, ale nie to, co postanowiłeś.

Keogh nie na żarty zaniepokoił się. Cyganie posiadają dziwne talenty, a zmarli nie są pozbawieni swoich.

— Przepowiadasz moją przyszłość? Już bardzo dawno nie robiłem srebrem znaku krzyża na dłoni zmarłego.

— Srebrem, tak! Moje dłonie nie poczują już jego dotyku, ale bądź pewien, że moje oczy czują jego ciężar! Nie, ty sam przeżegnaj się srebrem, Harry, sam się przeżegnaj.

Teraz nekroskop nie był tylko zaskoczony, ale też podejrzliwy. Zastanowił się, co ten martwy, stary człowiek wie i co mu próbuje powiedzieć. Nie skrywał swoich myśli i król Cyganów wychwycił je z łatwością.

— Powiedziałem już za dużo. Niektórzy uznaliby mnie za zdrajcę. Dobrze, niech sobie tak myślą. Masz rację, jestem stary i martwy, więc mogę sobie ostatni

raz pofolgować. A ty okazałeś się uprzejmy i śmierć sprawiła, że nie muszę się lękać konsekwencji.

— Twoje ostrzeżenie jest czymś złowieszczym — odrzekł Harry. Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Tylko niewielka, opadająca chmura kurzu wskazywała drogę zaprzęgów.

— Moja trasa jest ustalona! — zawołał za nim Harry. — To jest droga, którą muszę przejść!

W odpowiedzi przyplętnęło westchnienie. Tylko westchnienie.

— W każdym razie, dziękuję — odpowiedział Keogh westchnieniem na westchnienie.

O jedenastej przed południem Harry wymeldował się z hotelu w Mezobereny. Na poboczu szosy czekał na taksówkę. Miał z sobą tylko torbę podróżną, a w niej doprawdy niewiele bagażu: śpiwór, mapę okolicy w bocznej kieszeni i paczuszkę z kanapkami przygotowanymi przez córkę właściciela zajazdu.

Słońce grzało bezlitośnie, a zakurzone szyby starej taksówki zdawały się jeszcze wzmacniać jego działanie. Paliło skórę Keogha, powodując podrażnienia. Przy pierwszej nadarżającej się okazji, w wiosce o nazwie Bekes, nekroskop poprosił o krótką przerwę i kupił letni kapelusz słomkowy z szerokim rondem.

Z Mezobereny do miejsca, w którym chciał wysiąść, niedaleko granicy rumuńskiej, było jakieś dwadzieścia kilometrów. Zanim pozwolił kierowcy odjechać, spytał, czy jego mapa odpowiada rzeczywistości i czy przejście graniczne naprawdę znajduje się o dwa do trzech kilometrów stamtąd, w miejscowości o nazwie Gyula.

— Tak, Gyula — powiedział taksówkarz, wykonując nieokreślony ruch ręką wzdłuż drogi. — Gyula. Zobacz pan ze wzgórza.

Harry patrzył, jak samochód zawraca i odjeżdża. Zrzucił torbę na ramię i ruszył pieszo. Mógł dojechać taksówką bliżej do granicy, ale nie chciał, by widzianno, że podróżuje w ten sposób. Pieszy mniej rzuca się w oczy na wiejskiej drodze.

A „wieś”, jak to wieś. Lasy, zielone pola, uprawy, żywopłoty, pasące się zwierzęta. Z przodu wyrastał centralny masyw Transylwanii, mroczny, złowrogi, groźny i budzący szacunek. W odległości jakichś trzydziestu kilometrów, gdzie droga przecinała pasmo niskich, pofałdowanych wzgórz, Harry dostrzegł szaroniebieskie wierzchołki i kopuły. Widział także przejście graniczne, pomalowany w biało-czerwone paski szlaban i drewniany domek na modłę austriacką.

Keogh nie przejmował się specjalnie granicami, nie wtedy, kiedy miał dostęp do kontinuum Möbiusa, ale tym razem jednak miał problem. Wiedział, że trudno będzie się przedostać przez granicę tą właśnie drogą. Jego nieskomplikowany plan jednak uwzględniał to. Teraz wiedział dokładnie, gdzie się znajduje i mógł po prostu kontynuować turystyczne łązikowanie, spędzając cały dzień w jakiejś małej wiosce czy siodle, i wybrać bezpieczną trasę do Rumunii. Wiedział, że Securitate

z dużą gorliwością utrzymywała rodaków w kraju, ale nie zauważył, aby zbyt wiele robiono w celu utrzymania cudzoziemców na zewnątrz. Zresztą, kto oprócz jakiegoś szaleńca chciałby się tam za wszelką cenę dostać?

U podstawy wzgórza do głównej szosy dochodziła droga trzeciej klasy, na w pół utwardzona. Przecinała na północ gęsto zalesiony teren. I mniej niż o kilometr przez las... musiało znajdować się Gyula. Harry dostrzegł mgiełkę błękitnego dymu unoszącą się z kominów, lśniące, baniaste kopuły, prawdopodobnie kościołów. Wyglądało to na spokojne miejsce i nadawało się dla jego planów idealnie.

Zszedł ze wzgórza i skręcił w lewo między drzewa. Znowu usłyszał te na w pół znajome dzwoneczki i w cieniu leśnego gąszczu ujrzał te same cygańskie zaprzęgi, które przejeżdżały pod hotelowym oknem rano. Musiały przybyć tu niedawno, bo podróżnicy wciąż jeszcze rozbijali obóz. Jeden z mężczyzn, w ciężkich, czarnych butach, skórzanych spodniach i rdzawej koszuli stał przy pochylonym ogrodzeniu, żując źdźbło trawy. Harry podszedł do niego. Ten uśmiechnął się, skinął głową.

— Hej, wędrowcze! Idziesz sam. Dlaczego nie usiąść na chwilę i nie przepłukać gardła? — Wyciągnął do Harry'ego podłużną, szczupłą butelkę śliwownicy. — Slivas były ostre tego roku, gdy to pędzili.

— To bardzo miło z twojej strony — odpowiedział Keogh. — Co to, mówisz moim językiem? — dodał zaraz.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

— Wieloma językami. Troszeczkę, w prawie wszystkich. Jesteśmy wędrowcami, więc czego byś oczekiwał?

Harry wszedł z nim do obozu.

— A skąd wiedziałeś, że jestem Anglikiem?

— Bo nie jesteś Węgrem! Niemcy niezbyt często się tu pojawiają. A gdybyś był Francuzem, to byłoby was dwóch albo trzech, w szortach, na rowerach. A zresztą, nie wiedziałem. I gdybyś mi nie odpowiedział, dalej bym nie wiedział, nie na pewno. Ale... wyglądasz na Anglika.

Keogh przyglądał się wozom cygańskim. Ich zawiłym, interesująco rzeźbionym ornamentom. Różne symbole tak wystylizowano, że wydawały się stanowić jedność z ozdobnymi zawijaszami. Zostały jakby celowo ukryte w projekcie całości. Przypatrując się bliżej, ale ciągle zachowując postawę przygodnego obserwatora, zobaczył, że ma słuszość, że one rzeczywiście zostały ukryte.

Skupił swe zainteresowanie na wozie pogrzebowym, który stał trochę na uboczu. Dwie kobiety w żałobnych strojach siedziały na jego stopniach, z głowami opuszczonymi w smutku.

— Zmarły król — powiedział Harry i kątem oka dostrzegł, że jego nowy przyjaciel drgnął. Rzeczy zaczynały mu się składać w całość, jak fragmenty dziecięcej układanki.

— Skąd wiesz?

Keogh wzruszył ramionami.

— Pod tymi wieńcami, kwiatami i czosnkiem jest dobry, bogaty wóz, który w sam raz nadaje się dla króla Cyganów. Wiezie jego trumnę, tak?

— Dwie — odparł tamten, patrząc na Harry'ego inaczej, może z pewną ostrożnością.

— Och?

— Druga jest dla jego żony. To ta chudsza tam, na schodkach. Jej serce krwawi. Nie myśli, że pożyje długo.

Usiedli na wysadzonych korzeniach rozłożystego drzewa. Keogh wyciągnął kanapki. Był głodny, ale chciał poczęstować nimi swego cygańskiego „przyjaciela”, w rewanżu za dobrą śliwownicę.

— A gdzie ich pochowacie? — zapytał w końcu.

Tamten skinął głową na wschód, ruchem dosyć swobodnym, ale Harry czuł na sobie jego ciemne spojrzenie.

— Och, pod górami.

— Widziałem tam przejście graniczne. Przepuszczają was? — zapytał nekroscop.

Cygan uśmiechnął się, a złoty ząb błysnął w przezierającym między drzewami słońcu.

— To była nasza trasa długo zanim powstały przejścia graniczne, lub choćby drogowaskazy. Myślisz, że zechcieliby zatrzymać pogrzeb? Co, ryzykować ściągnięcie na siebie cygańskiej klątwy?

Harry uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Ten numer ze starą cygańską klątwą dobrze działa, co?

Ale tamtemu wcale nie było do śmiechu.

— Działa! — powiedział po prostu.

Keogh rozejrzał się wokół, przyjął znowu butelkę i pociągnął tęgi łyk. Wiedział, że inni członkowie ludu cygańskiego na niego patrzą, ale ukradkiem, jednocześnie pracując przy rozbijaniu obozu. Czuł w nich napięcie i odnalazł siebie w dwóch umysłach. Wydawało mu się, że znalazł sposób na przekroczenie granicy. W rzeczy samej, wierzył, że Cyganie chętnie go przemycą, więcej niż chętnie, czy będzie tego chciał czy nie.

Nie czuł żadnej urazy do tego mężczyzny ani do tych ludzi, którzy, jak teraz miał uzasadnione przekonanie, znaleźli się tu właśnie po to, aby go złapać w pułapkę. Nie czuł żadnego strachu przed nimi. Zaiste, bał się teraz mniej niż w jakimkolwiek momencie swojego życia. Zastanawiał się, czy powinien ze spokojem, a nawet pasywnie, brnąć w tę pułapkę, czy też raczej próbować opuścić obóz? Czy powinien uczynić jakąś aluzję do sytuacji, ujawnić swe podejrzenia, czy też dalej grać niewinnego? Jedno było pewne: Janosz chciał go mieć żywego, twarzą w twarz, mężczyzna z mężczyzną. To znaczyło, że ostatnią rzeczą, jaką

Cyganie zrobią, będzie wyrządzenie mu krzywdy. Pomyślał, że teraz, kiedy mieli go na widelcu, byłoby lepiej po prostu położyć się i pozwolić się potworowi podwieźć, przynajmniej kawałek.

„Kiedy rozewrze na ciebie swoje wielkie szczęki, idź wprost w nie, gdyż on jest słabszy w środku...”

— Czy to ja tak pomyślałem? — Harry użył mowy zmarłych. — Czy to znowu ty, Faethorze?

— Prawdopodobnie to my obydwaj — odpowiedział z głębi jego wnętrza gul-goczący głos.

Harry pokiwał głową do siebie samego.

— A więc to ty. Świetnie, zagramy więc to po twojemu.

— Dobrze wierz mi, że ty... my panujemy nad sytuacją — odrzekł Faethor.

— Czy myślisz, że mógłbym tu chwilę odpocząć? — zapytał Harry Cygana siedzącego obok. — Tu jest spokojnie, więc odpocząłbym sobie, popatrzył na mapę i zaplanował resztę wycieczki.

— Dlaczego nie? — odparł tamten. — Na pewno żadna krzywda nie spotka cię... tutaj.

Harry wyciągnął się, głowę oparł na torbie podróżnej i zaczął przyglądać się mapie. Halmagiu znajdowało się może o sześćdziesiąt mil stamtąd. Słońce osiągnęło zenit, niewiele ponad godzinę temu. Pomyślał, że jeżeli podróżnicy wyruszyli dalej o drugiej po południu, i jeżeli utrzymują stałe tempo sześciu mil na godzinę, mogliby dotrzeć do Halmagiu około północy. Był dziwnie spokojny, że znajdują sposób, aby przesznułować go przez granicę. Tak samo, jak miał pewność, że widział znak czerwonoookiego nietoperza podrywającego się do lotu, wmalowany w ornamenty królewskiego wozu pogrzebowego.

Keogh zamknął oczy i wpatrując się w swoje wnętrze, skierował myśli ku Faethorowi.

— Sądzę, że odstraszyłem Janosza, kiedy zagroziłem, że wejdę do jego umysłu.

— To było bardzo śmiało — odpowiedział tamten od razu. — Zręczny bluff. Ale popełniłeś błąd i miałeś naprawdę szczęście.

— Wypełniałem tylko twoje instrukcje! — zaprotestował Harry.

— Wobec tego nie wyraziłem się wystarczająco jasno — odrzekł Faethor. — Chodziło mi po prostu o to, że twój umysł jest twoim zamkiem, jeżeli więc on próbowałby tam wtargnąć, musisz postarać się pojąć jego rozumowanie, musisz wejrzeć w jego umysł. Nie znaczyło to, dosłownie, że masz wchodzić do środka! To byłoby zresztą niemożliwe. Nie jesteś telepatą, Harry.

— Och, ja o tym wiedziałem aż za dobrze — przyznał nekroskop — ale Janosz nie był taki pewien. Widział jakieś dziwne rzeczy w moim umyśle, mimo wszystko. Nie najmniejszą okazała się twoja tam obecność. A jeżeli ty mi doradzałeś, to on musiał oczywiście postępować ostrożnie. Ostatnią rzeczą, której by



pragnął, jesteś ty w jego umyśle. A jednak, przypuszczam, że masz rację, i to był bluff. Ale czułem się... mocny! Czułem, że mam mocną kartę.

— Jesteś mocny — odpowiedział Faethor. — Ale pamiętaj, miałeś dodatkową siłę dziewczyny i Layarda. Użyłeś ich wzmocnionych talentów.

— Wiem o tym — odparł Harry — ale czułem się nawet potężniejszy. Czułem, że to było wszystko moje. I przypuszczam, że gdybym był prawdziwym telepatą, dostałbym się do środka. Choćby po to, by uczynić Janoszowi to, co on zrobił Trevorowi Jordanowi.

Czuł aprobatę Faethora.

— Bravo! Ale nie biegaj, dopóki nie umiesz chodzić, mój synu... Pojedziesz z Cyganami, z plugawymi Zirra?

— W jego wielkie szczęki — odparł Harry. — Tak, myślę, że tak. Jeżeli nie mogę dostać się do jego umysłu, to dostanę się do jego ciała. Może stępię mu kilka zębów po drodze. Ale odpowiedz mi na to Faethorze. Odstraszyłem go od wszelkich rodzajów mentalnej inwazji albo uwiedzenia, więc co zrobi teraz? Co ty byś zrobił, gdybyś był nim?

— Co mu pozostaje? — odrzekł wampir. — W operowaniu mocami, tymi mocami, które pragnie ci ukraść, uważa ciebie za równego sobie. Musi więc najpierw podbić cię fizycznie. Co ja bym zrobił, na jego miejscu? Zamordował ciebie, a wtedy, z pomocą nekromancji, wyrwałbym twą wiedzę prosto z twoich wrzeszczących flaków!

— Twoja... „sztuka” — powoli powiedział Keogh. — Tibora? Dragosaniego? Ale Janosz jej nie posiada.

— Ale posiada coś innego, tę prastarą, obcą magię. Może zredukować cię do popiołów. Powołać cię znowu z chemicznej esencji, torturować, aż staniesz się wrakiem niezdolnym się bronić. I wtedy wkroczy do twojego umysłu i weźmie, co chce.

Słyszając to, Harry nie czuł się już mocny. Poza tym śliwowica okazała się silniejsza, niż myślał, a tyknął jej całkiem sporo. Nagle doznał niezwykłego mu alkoholowego uniesienia, a jednocześnie poczuł ciężar koca rzuconego na ciało. Pod drzewami było chłodno, a ktoś dbał o jego dobre samopoczucie. Otworzył nieznacznie oczy i zobaczył cygańskiego „przyjaciela”. Mężczyzna pokiwał głową, uśmiechnął się i odszedł.

— Zdradziecko sprytnie, te psy — skomentował Faethor.

— Ach — odparł Keogh — wszak zostali dobrze poinstruowani...

Harry nie odczuwał naglącej potrzeby snu, jednak pozwolił sobie zapaść w drzemkę.

Już od dwóch czy trzech dni odczuwał słabość, jakby dochodził do zdrowia po jakiejś niewielkiej infekcji wirusowej. Ale dziwna to dolegliwość, która z jednej strony czyni go silnym, a z drugiej osłabia. Przypuszczał, że może to ta zmiana wody, powietrza, mentalnej działalności, w którą był zaangażowany, włączając

mowę zmarłych, tak niedawno mu przywróconą. Mogła to być każda z tych rzeczy... albo też coś zupełnie innego.

Pozwolił unieść się fali snu. Znalazł się w świecie mokradeł, gór i gniazd wyrzeźbionych w kamieniu, kości i... Nagle przybył z wizytą Möbius.

— Harry? Czy wszystko w porządku, chłopcze?

— Jasne — odpowiedział. — Tylko odpoczywałem. Wszystkie siły, jakie mogę zebrać... będę ich potrzebował. Bitwa rozegra się nocą, stary przyjacielu.

Möbius został zbity z tropu.

— Używasz dziwnych sposobów wyrażania się. I nie całkiem to samo czujesz.

Sen Harry'ego w Gwiezdnej Krainie rozwiązał się, i od razu mowa zmarłych Möbiusa wywarła na nim większe wrażenie.

— Co? — zapytał. — Czy coś mówiłeś? Sposoby wyrażania się? Nie czuję tego samego?

— Już lepiej! — uczyony odetchnął z ulgą. — Do licha, przez chwilę myślałem, że rozmawiam z całkiem inną osobą.

Pomiędzy stanem snu i czuwania, Harry zwięził oczy.

— Może i tak było — odrzekł nekroskop.

Odszukał w swoim umyśle Faethora i owinął go w koc samotności.

— Tam — powiedział. — Mogę trzymać go tam, kiedy rozmawiamy.

— Jakiś dziwny lokator? — zapytał astronom.

— Tak, i wielce nie kochany i nie chciany. Ale teraz przykryłem jego szczurzą norę. Zdecydowanie wolę prywatność. A więc z czym przybywasz, Auguście?

— Prawie znaleźliśmy rozwiązanie — odpowiedział z miejsca tamten. — Kod jest już złamany, Harry. Wkrótce będziemy mieli odpowiedź. Przybywam niosąc ci nadzieję. I prosić, abyś poczekał z walką jeszcze przez chwilę, tak, abyśmy...

— Za późno — przerwał nekroskop. — Teraz albo nigdy. Dziś wieczorem stanę naprzeciw niego.

— Ejże, wydajesz się pełen entuzjazmu z tego powodu.

— Zabrał, co było moje, rzucił mi wyzwanie, obraził mnie strasznie — odpowiedział Harry. — Spaliłby mnie na popiół, torturami wydobywałby ze mnie tajemnice. Mógłby wkroczyć w kontinuum Möbiusa! A to nie jest jego terytorium.

— Oczywiście, że nie! Ono nie należy do nikogo. Ono po prostu jest...

Mowa umarłych Möbiusa znowu zrobiła się śpiąca, co kazało nekroskopowi skonsolidować się i skupić w obrębie własnego jestestwa.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### Mężczyzna z mężczyzną, twarzą w twarz

— Harry! — Ktoś szarpał go za ramię. — Harry, zbudź się!

Keogh od razu przeszedł ze snu do czuwania. Czuł się tak, jakby dopiero co opuścił kontinuum Möbiusa. Zobaczył Cygana, którego wcześniej spotkał. Zaniepokoił się, że tamten zna jego imię. Po chwili dotarło do niego, iż Janosz z pewnością uczulił wszystkich swoich ludzi na jego osobę.

— O co chodzi? — zapytał nekroskop.

— Spałeś godzinę — wyjaśnił Cygan. — Wkrótce wyruszamy. Poza tym jest tu ktoś, kogo powinieneś zobaczyć.

— Tak?

— Czy jakiś twój przyjaciel szuka cię?

Zastanawiał się, czy to Darcy Clarke albo ktoś z pozostałych przyleciał tutaj za nim z Rodos. Potrząsnął głową.

— Nie, nie wydaje mi się — odpowiedział.

— W takim razie wróg, który cię śledzi? Podróżuje samochodem.

— Widziałeś go? Chciałbym wiedzieć, kóż to taki?

— Chodź ze mną — powiedział mężczyzna. — Ale ostrożnie.

Ruszył przez las w kierunku żywopłotu. Harry szedł za nim, przyglądając się Cyganom obozującym nie opodal. Ich rzeczy były już spakowane. Sposobili się do dalszej drogi.

— Tam — wskazał przewodnik Harry'ego.

Po drugiej stronie szosy za kierownicą volkswagena garbusa siedział mężczyzna i obserwował wejście do obozu. Harry nie znał go, ale... Przyjrzał się mu jeszcze raz i przypomniał sobie. Lecieli razem samolotem. Nekroskop zapamiętał ten jego żmijowaty, zniewieściały image. Człowiek ten mógł być wtyczką Wydziału E na Rodos.

— Niewykluczone, że to wróg. — Po tych słowach w ręku Cygana błysnął gotowy do akcji nóż.

— Cyganie nie bardzo przejmują się takimi cichociemnymi podglądaczami.

Harry obawiał się, że nóż był przeznaczony dla niego, na wypadek, gdyby próbował uciec.

— Co teraz? — zapytał Keogh.

— Patrz — odrzekł.

Młoda Cyganka w jaskrawej sukni szła szosą w kierunku samochodu. Nikołaj Żarow wyprostował się za kierownicą. Pokazała mu kosz wypełniony ozdóbkami i świecidełkami i coś powiedziała. On pokręcił głową. Następnie pokazał jej banknoty i zaczął ją wypytywać. Wzięła pieniądze, pokiwała ochoczo głową i wskazała na las. Żarow zmarszczył czoło i znów zadał pytanie. Dziewczyna tupnęła nogą i jeszcze raz wyciągnęła rękę w stronę Gyuli, wzdłuż leśnego traktu.

Kierowca skinął głową, włączył silnik i odjechał w chmurze pyłu.

— Więc był to wróg. A dziewczyna wykiwała go — stwierdził nekroskop.

— Tak. Teraz ruszamy w drogę.

— My? — Harry spojrzał pytająco.

— My, wędrowcy — odpowiedział. — A któżby inny? Gdybyś obudził się wcześniej, zjadłbyś z nami. Ale — wzruszył ramionami — zostawiliśmy ci trochę zupy.

Podszedł do nich mężczyzna z miską i drewnianą łyżką i wręczył to Harry'emu.

— Stój! — odezwał się w jego głowie głos zmarłego króla Cyganów.

— Trucizna? — zapytał Harry. — Twoi ludzie próbują mnie otruć!

— Nie, chcą tylko żebyś się oddalił na godzinę czy dwie. Przez chwilę poczujesz niewielki ból głowy, który wkrótce minie. Jeżeli zjesz tę strawę, przeniesiesz się na drugą stronę granicy, między prastare wzgórza i skaliste granie należące do starego Ferenczego.

— Niech i tak będzie. — Keogh uśmiechnął się i zjadł przygotowany dla niego „posiłek”...

Nikołaj Żarow dotarł do Gyuli, przejechał pół miasta i w końcu zrozumiał, że dał się oszukać. Zawrócił i popędził z powrotem w kierunku obozu.

Wędrowców jednak już tam nie zastał. Kierowca zaklął, wjechał na główną drogę i przycisnął gaz do dechy. Po chwili zobaczył, jak pierwszy z zaprzęgów spokojnie mija przejście graniczne.

Zahamował z piskiem. Wyskoczył z wozu i wpadł do strażnicy. Policjant graniczny siedzący za podwyższonym biurkiem chwycił czapkę z dużym daszkiem i wcisnął ją sobie na głowę. Popatrzył wściekle na Żarowa, a ten odwzajemnił mu to spojrzenie. Przez zakurzone, poplamione przez muchy okno widać było, jak ostatni wóz mijał podniesiony szlaban.

— Kim jesteś, Węgrem czy Rumunem? — ryknął Rosjanin.

Tamten był młody, miał wielki brzuch i czerwoną twarz. Transylwański wieśniak, który wstąpił do Securitate, bo to mu się wydawało łatwiejsze niż upraw-

nianie roli. Niewiele zarabiał, ale przynajmniej mógł tego czy owego przetrzeć. I lubił to, lecz nie znosił odgórnych kontroli.

— Kim pan jest? — Skrzywił się, a jego świńskie oczka błysnęły złowrogo.

— Błazen! — wściekał się Żarow. — Cyganie tak sobie po prostu chodzą? Czy to nie jest przejście graniczne? Czy prezydent Causescu wie, że ta hołota przekracza jego granicę, nie pytając nawet o pozwolenie? Rusz swoją tłustą dupę. W tych zaprzęgach ukrywa się szpieg.

Twarz policjanta zmieniła się. Obcy, mimo chropowatego akcentu, mógł być wysokiej rangi oficerem Securitate; przynajmniej tak się zachowywał. Wieśniak nie domyślał się nawet, o co chodziło z tymi szpiegami.

Jeszcze bardziej czerwony na twarzy, wyskoczył zza biurka. Żarow wyprowadził go z budki, wskoczył do samochodu i z trzaskiem otworzył drzwi po stronie pasażera.

— Wsiadaj — wrzasnął.

— Wędrowcy nie przysparzają nam problemów — próbował tłumaczyć policjant. — Nikt ich nigdy nie sprawdzał. Przecież przechodzą tędy od lat! Wiozą jednego ze swoich, żeby go pochować. Nie można przeszkadzać w pogrzebie.

— Idiota. — Rosjanin nacisnął mocno pedał, zrównał się z ostatnim zaprzęgiem i zaczął wyprzedzać kolumnę. — Czy kiedyś zadałeś sobie trud, by sprawdzić, do czego mogą być zdolni? Nie, oczywiście, nie! Więc mówię ci, jest z nimi angielski szpieg o nazwisku Harry Keogh, poszukiwany w Związku Radzieckim i w Rumunii. A teraz wjechał do twojego kraju i masz szansę awansować, ale tylko wtedy, jeżeli zastosujesz się do moich poleceń.

— Tak, rozumiem — wymamrotał tamten, choć tak naprawdę bardzo mało rozumiał.

— Czy masz broń?

— Co? Tutaj? Do kogo miałbym strzelać?

Nikołaj zahamował gwałtownie. Samochód stanął w poprzek drogi, przez pierwszym zaprzęgiem. Kolumna zatrzymała się, a Żarow i policjant graniczny wyskoczyli z samochodu. Człowiek z KGB wskazał na przykryte wozy, z których zeskakiwali na drogę zaskoczeni Cyganie.

— Przeszukaj je — rozkazał wieśniakowi.

— Ale czego mam szukać? — powiedział tamten, wciąż zagubiony.

— Przeszukaj każdy zakamarek, w którym można ukryć człowieka — warknął Żarow.

— Ale... jak on wygląda? — Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

— Głupiec! — krzyknął Rosjanin. — Na pewno nie wygląda na pieprzonego Cygana.

Wściekłość wędrowców rosła w miarę jak Rosjanin i jego pomagier z Securitate podchodzili kolejno do każdego wozu, z trzaskiem otwierali drzwi i patrzyli

do środka. Kiedy zbliżyli się do ostatniego wozu, pogrzebowego, grupa Cyganów zatarasowała im drogę.

Agent KGB zaczął wymachiwać pistoletem w ich kierunku.

— Z drogi. Jeżeli będziecie przeszkadzać, nie zawaham się go użyć. To jest sprawa bezpieczeństwa państwowego, mogą z niej wyniknąć poważne konsekwencje. Otwierać te drzwi.

Cygan, który rozmawiał uprzednio z Harrym Keoghem wystąpił naprzód.

— Jedziemy pochować naszego króla. Nie możesz wejść do jego wozu.

Żarow przystawił mu lufę do szczęki.

— Otwieraj natychmiast — krzyknął — albo pochowają was dwóch!

Drzwi odblokowano i Żarow zobaczył dwie trumny leżące obok siebie na niskich, przymocowanych do podłogi kozłach. Wszedł po schodach do środka. Policjant graniczny i Cygan weszli z nim.

— Otwórz ją. — Nikołaj wskazał na pierwszą trumnę.

— Bądź przeklęty! — szepnął Cygan. — Po kres twoich dni, który jest już prędki, bądź przeklęty.

Trumny były słabej konstrukcji, zbite z cienkich desek. Żarow oddał pistolet zeszywniałemu z przerażenia policjantowi, w zamian za sprężynowiec z kościaną rączką. Za naciśnięciem przycisku wysunęło się osiem cali ostro zakończonyj stali. Nie zwlekając, Żarow podniósł rękę i energicznie wbił nóż w miejsce, gdzie powinna znajdować się twarz zmarłego.

Z trumny rozległy się przytłumione westchnienia, a następnie walenie i skrobanie w pokrywę. Cygan wytrzeszczył ciemne oczy, przeżegnał się i cofnął się do tyłu.

Żarow nie zwrócił na to uwagi. Nie zwrócił też uwagi na intensywny zapach, który rozszedł się dokoła. Z dzikim uśmiechem, jednym szarpnięciem uwolnił nóż i wsunął go pod krawędź pokrywy, podważając ją w kilku miejscach, aż odskoczyła. Wówczas włożył kościaną rączkę w zęby, ujął pokrywę w obie ręce i ściągnął ją do połowy.

Ktoś uniósł wieko do góry... ale nie był to Harry Keogh.

Rosjanin zbladł i wybałuszył oczy, gdy Vasile Zirra, kaszląc i chrząkając w swej trumnie, wyciągnął sztywną rękę, by chwycić Żarowa i podnieść się!

— Boże! — wykrztusił człowiek z KGB. — Boże!

Nóż wypadł mu z dłoni wprost do trumny. Stary, nieżywy król Cyganów chwycił go i wbił w lewe oko Nikołaja, aż ostrze zachrobotało o potylicę.

Żarow puścił pianę z ust. Z jego gardła dobyło się rżenie, upadł i tak zastygł.

Pozostali powrócili do swoich zajęć. Z przodu kolumny Cyganie już pchali samochód nieszczęśnika do przydrożnego rowu. Nieokrzesany prostak z Securitate biegł w kierunku swej strażnicy.

— Nie mam z tym nic wspólnego, nic, nic! — wrzeszczał w niebogłosy.

Jeden z wędrowców przeszedł nad ciałem Żarowa, popatrzył pełen strachu na starego króla w trumnie, znowu sztywnego. Przeżegnał się i umieścił pokrywę z powrotem na jej miejscu.

Ktoś dał znak do wymarszu i kolumna wróciła na szlak.

Pół mili dalej, gdzie rów przydrożny zarosły krzaki jeżyn i pokrzywy, pozbyli się ciała Nikołaja Żarowa. Wypchnięte z wozu, wypadło do rowu i zniknęło w gąszczu zieleni.

Harry, zjadając zupę z narkotykiem nie zapomniał jednocześnie wprowadzić do gry talentu Wellesleya i tym samym odciąć swój umysł od wpływów z zewnątrz. Cygańska mikstura działała szybko. Nie pamiętał nawet, jak zataszczono go do wozu pogrzebowego i „złożono na spoczynek” w drugiej trumnie. Ale owa izolacja miała też swoje słabe strony. Przede wszystkim, nikt nie mógł się z nim kontaktować. Brał to oczywiście pod uwagę, wierząc Vasile Zirra, który mówił o krótkotrwałym działaniu narkotyku. Ale stary król nie powiedział mu, że należy wziąć łyżkę czy dwie tej stawy i w efekcie nekroskop zaaplikował sobie zbyt dużą dawkę.

Powoli odzyskiwał przytomność. W pół drogi między świadomym i podświadomym światem usunął osłonę Wellesleya i dryfował pomiędzy szmerem mowy zmarłych. Vasile Zirra, leżący ledwie o kilka cali od niego, pierwszy rozpoznał powrót Harry’ego do życia.

— Harry Keogh? — martwy głos starego człowieka był naznaczony smutkiem i rozgoryczeniem. — Jesteś młodym zuchwalcem. Pająk czeka, aby cię złapać, a ty rzucasz się wprost w jego sieć! Ponieważ byłeś dla mnie uprzejmy i zmarli cię kochają, wystawiłem na szwank moją pozycję, aby cię przestrzec, a ty mnie zlekceważyłeś. Teraz więc zapłacisz karę.

Na wzmiankę o karze Harry powrócił do rzeczywistości. Choć nie otworzył jeszcze oczu, wywnioskował, że jeszcze są w drodze.

— Zjadłeś całą zupę — przypomniał mu Vasile. — Halmagiu jest blisko! Znam dobrze tę ziemię. Czuję ją. Zbliża się północ, góry wynurzają się.

Keogh przeląkł się, kiedy odkrył, że znajduje się w skrzyni, która mogła być tylko trumną.

— Musieli cię w ten sposób przewieźć przez granicę. Nie, to nie twój grób, ale jedynie twoja kryjówka — uspokoił go Zirra.

Następnie opowiedział Keoghowi o Żarowie.

— I ty mnie obroniłeś? — Nekroskop zapytał z niedowierzaniem.

— Ty masz moc, Harry — wzruszył tamten ramionami. — Zrobiłem to również dla niego. . .

— Dla Janosza Ferenczego? — Harry chciał się jeszcze upewnić.

— Kiedy dałeś się uśpić, oddałeś się w ręce jego ludzi. Zirrowie są jego ludźmi, synu.

— Wobec tego, Zirrowie są tchórzami! Na samym początku, długo przez tobą, zaiste, ponad siedem długich wieków temu Janosz oszukał ich. Omamił ich, oczarował, pozyskał za pomocą hipnozy i innych talentów, jakie odziedziczył po swym diabelskim ojcu. Kazał im kochać siebie, ale po to tylko, by móc się nimi posługiwać. Przed Janoszem, prawdziwe wampiry były zawsze lojalne wobec swej cygańskiej czeladzi i tym zasłużyli na wieczny szacunek. Janosz, co wam dał? Nic oprócz trwogi i śmierci. Nawet martwi, ciągle się go lękacie.

— Szczególnie martwi! — przyszła odpowiedź. — Czy nie wiesz, co on może mi zrobić? On jest Feniksem powstałym z piekielnych płomieni. Może mnie także wskrzesić, jeśli zechce, z moich prochów! Te stare kości, to stare ciało, dosyć się już nacierpiały. Wielu dzielnych synów Zirra poszło w te góry, by ułagodzić wielkiego bojara. Nawet mój własny syn, Dumitru, odszedł od nas w czasie tych długich lat. Tchórze? Co moglibyśmy zrobić, my, którzy jesteśmy zaledwie ludźmi, wobec potęgi wampirów?

— On nie jest wampirem! Och, pragnie tego, ale to właśnie ta sama esencja wampiryzmu ciągle mu umyka — powiedział Harry. — Co należało uczynić? Ty z grupą twoich ludzi powinieneś pójść do jego zamku w górach, znaleźć go i skończyć z nim. Moglibyście to zrobić dziesięć, dwadzieścia, a nawet setki lat temu! Tak, a teraz ja muszę to zrobić.

— Nie jest prawdziwym wampirem? — Tamten był zdumiony. — Ależ on...

— Błąd! Posiadał własną formę nekromancji, ale to nie jest prawdziwa sztuka. On zmienia kształty w pewnych granicach. Ale czy może uformować się w listek powietrzny i latać? Nie, korzysta z samolotu. To oszust, potężna, niebezpieczna, sprytna bestia, lecz nie jest wampirem.

— Jakkolwiek go nazwiesz, okazał się zbyt silny dla mnie i moich ludzi.

— Wobec tego zostaw mnie. Poszukam pomocy gdzie indziej — zirytował się Keogh.

— Co ty wiesz o wampirach — odpowiedział urażony, stary król Cyganów.

Nekroskop zignorował go i wysłał swą mowę zmarłych na cmentarz w Halmagiu. A stamtąd jeszcze wyżej, do starego, zrujnowanego zamku na wyżynach.

Czarne nietoperze towarzyszyły niczym eskorta cygańskiej kolumnie zaprzęgów wspinającej się pośród zamglonego krajobrazu Transylwanii. Te same nietoperze fruwały nad zwalonymi murami zamku Ferenczego.

Janosz również tam był.

Wyglądał jak wielki nietoperz. Wciągał nozdrzami zapach nocy i z satysfakcją obserwował mgłę spowijającą dolinę. Niemal postradał zmysły ze szczęścia, gdyż ludzie Zirra prowadzili do niego długo oczekiwanego Harry'ego Keogha.

— Moi ludzie mają go — zwrócił się do swoich wampirzych niewolników, Sandry i Kena Layarda. — Mają nekroskopa i wiodą go do mnie. On śpi, upojony



narkotykiem, i to jest bez wątpienia powód, dla którego nie możecie go namierzyć ani wejrzeć w jego myśli. Wasze talenty są karłowate i ograniczone.

— Ach! — Layard zaczerpnął gwałtownie powietrza. — Tam... tam on jest.

— Gdzie on jest? — Janosz chwycił go za ramię.

Layard przymknął oczy, koncentrował się.

— Blisko — powiedział. — Tam, na dole. Blisko Halmagiu.

Ferency spojrzał pytająco na Sandrę. Kobieta przylgnęła do pozazmysłowego strumienia Layarda i podążyła jego śladem.

— Jest tam. — Sandra skinęła powoli głową.

— A jego myśli? — Janosz niecierpliwił się. — O czym nekroskop teraz myśli? Czy jest tak, jak podejrzewałem? Czy się boi? Ach, on jest utalentowany, lecz cóż za pożytek z ulotnych talentów wobec absolutnej siły? On rozmawia ze zmarłymi, tak, ale moi Cyganie są żywi. Mam więc przewagę.

„Tak, rozmawia ze zmarłymi” — pomyślał Janosz. — „Nawet z moim ojcem, który od czasu do czasu gości w jego umyśle! A to znaczy, że tak jak ja znam nekrokopa, ten pies zna mnie! Nie mogę sobie pozwolić na chwilę odprężenia. To nie skończy się zanim... Może powinienem rozkazać zabić go teraz i ożywić w odpowiednim momencie. Nie, nie tędy droga, jeżeli mam być prawdziwym wampirem, muszę zabić go osobiście, a następnie skłonić, by uznał we mnie pana!”

Sandra przytuliła się do Kena i odebrała sygnały mowy zmarłych Harry’ego. Ferency zauważył to, podszedł do kobiety, potrząsnął nią.

— A więc? — zapytał drżącym głosem.

— On... on rozmawia ze zmarłymi!

— Jakimi zmarłymi? Gdzie?

— Na cmentarzu w Halmagiu — wydyszała. — W twoim zamku!

— Wieśniacy bali się mnie od wieków, nawet, kiedy byłem pyłem w słoiku. Nie znajdzie wśród nich sprzymierzeńców. A zmarli w moim zamku? Tam są głównie Zirrowie — zarechotał obrzydliwie. — Oddali swoje życie do mojej dyspozycji. Nie będą się więc go słuchać po śmierci. On marnuje czas!

Sandra, pomimo swej wampirzej siły, jeszcze zadrżała.

— On... on rozmawiał z wieloma, i nie byli to Cyganie lecz wojownicy. Słyszałam tylko szemranie ich nieżywych umysłów, ale wszyscy płoną nienawiścią do ciebie!

— Co? — Przez chwilę Janosz stał osłupiały, po czym wybuchnął śmiechem, który raczej przypominał wycie. — Moi Trakowie? Moi Grecy, Persowie, Scyto- wie? Oni są pyłem, najmniejszym prochem ludzkim! Tylko strażnicy, których powołałem się liczą. Och, zapewniam cię, nekroskop może sprawić, że zwłoki poderwą się do marszu, ale nawet on nie może zbudować ludzi z garstki pyłu. A nawet gdyby mógł, ja wszak natychmiast złożyłbym ich z powrotem do ziemi! Mam go, jest w rozpacz i poszukuje nieprawdopodobnych sprzymierzeń-

ców. Niech sobie z nimi rozmawia. — Znowu się roześmiał. — Chodźmy, trzeba poczynić pewne przygotowania.

Cyganie prowadzili Harry'ego przez las obok skalnego urwiska. Ręce miał związane z tyłu i co chwila się potykał. Głowa bolała go potwornie, ale gdy zbliżyli się do podnóża góry, od razu wyczuł obecność ulotnych zjaw, niegdyś ludzi, wszędzie dokoła.

Keogh pozwolił swej mowie zmarłych nawiązać z nimi kontakt i po chwili zorientował się, że było to tylko echo głosów Zirrów, z którymi rozmawiał w Miejscu Wielu Kości, głęboko w ruinach zamku Ferenczego. Dolną część wzgórza otulała mgła, jednak kopulasta kapliczka odbijała jasne światło księżyca. Ludzie rzeźbili kamienie, swoje własne kamienie nagrobne. Wspinali się na wyżyny i składali z siebie ofiarę potworowi.

— Ludzie? — szepnął Harry, sam do siebie. — Jak barany na rzeź!

Mowa zmarłych Keogha była słyszana, zgodnie z jego intencją, i z zamku na wyżynach spłynęła odpowiedź.

— Nie wszyscy z nas. Ja na przykład, walczyłbym z nim, lecz on siedział w moim umyśle. Możesz mi wierzyć, kiedy mówię, że nie poszedłem do Ferenczego z własnej woli. Nie byliśmy takimi tchórzami, jak myślisz. Powiedz, czy widziałeś kiedyś igłę kompasu zwróconą na południe? Z równą łatwością Zirrowie, wybrani przez swego pana, mogli się mu sprzeciwić.

— Kim jesteś? — zapytał nekroskop.

— Dumitru, syn Vasile.

— No, ty przynajmniej mówisz bardziej przekonująco niż twój ojciec!

Cyganie popychali Harry'ego bezceremonialnie przez pierwszy odcinek wspinaczki. Jeden z nich wsadził mu palec między żebra.

— Co tam mamrocześ? Czy to twoje modlitwy? Za późno na to, kiedy Ferenczy cię już wezwał. — Zaśmiał się.

— Harry — powiedział Dumitru Zirra — gdybym mógł ci pomóc, zrobiłbym to. Jednak w Miejscu Wielu Kości zostałem okaleczony przez wilka, który służy bojarowi Janoszowi. Odgryzł mi nogi do kolan. Mógłbym się czołgać, gdybyś mnie wezwał, ale nie potrafię walczyć. Tylko powiedz, a zrobię, co w mojej mocy.

— To znaczy, że w końcu natrafiłem na mężczyznę — odpowiedział Keogh, tym razem w milczeniu, ma sposób właściwy jedynie jemu. — Leż w spokoju, Dumitru Zirra, gdyż potrzebuję czegoś więcej niż starych kości, by stanąć naprzeciw Janosza.

Wspinaczka stała się teraz trudniejsza i Cyganie przecięli rzemienie, krępujące nadgarstki Harry'ego. Zamiast tego założyli mu na szyję dwie pętle.

— Przewróć się tylko teraz, Angliku, a sam się powieszysz — rzekł do mego jakiś Cygan. — W najlepszym razie wyciągniesz sobie trochę szyję!

Harry nie zamierzał się przewracać.

Mową zmarłych wywołał Möbiusa.

— August? Jak idzie?

— Już prawie tam jesteśmy, Harry! — odpowiedź nadeszła z lipskiego cmentarza. — Jeszcze godzina, dwie, najwyżej trzy.

— Postaraj się w pół godziny — poprosił nekroskop. — Być może nie zostało mi dużo więcej czasu.

Inne głosy z cmentarza w Halmagiu stłoczyły się w nekroskopicznym umyśle Keogha.

— Harry Keogh, odsuwasz się od nas. Wielkim kłamcą był ten, kto nazwał cię przyjacielem zmarłych!

— Prosiłem was o pomoc. Odmówiliście mi. To nie moja wina, że świat zmarłych trzyma was w pogardzie! — odpowiedział głośno Keogh.

Cyganie, szturmujący górę w świetle księżyca, popatrzeni po sobie.

— Czy to jest szaleniec? Ciągłe mówi do siebie!

Harry otworzył wszystkie korytarze we własnym umyśle. Usunął bariery wewnątrz i zewnątrz, i od razu Faethor naskoczył na niego z wściekłością:

— Idioto! Jestem jedynym, który może ci pomóc, a ty trzymasz mnie na dystans. Dlaczego to robisz, Harry?

— Ponieważ ci nie wierzę — odpowiedział po cichu. — Twoje motywy, twoje metody... Nie wierzę w ani jedną rzecz, jaką mówisz czy obiecujesz, Faethorze. Jesteś nie tylko ojcem wampirów, ale też ojcem kłamców. Ale masz jeszcze szansę.

— Szansę? Jaką szansę?

— Wynoś się z mojego umysłu i wracaj na swoje miejsce w Ploesti.

— Nie wcześniej, niż cała rzecz zostanie doprowadzona do samego końca! — rzekł Faethor Ferenczy.

— A jaką mogę mieć pewność, że dotrzymasz słowa?

— Nie możesz, nekroskopie!

— Więc siedź w ciemności — powiedział Harry, odcinając go ponownie.

Byli już w połowie wspinaczki...

Na Rodos minęła pierwsza trzydziści w nocy. Darcy Clarke i jego zespół siedzieli dookoła stołu w jednym z pokoi hotelowych. Odzyskali siły po wykonanej robocie, rozmawiali o niedawnych przeżyciach. Wszyscy jednak zdawali sobie sprawę z tego, że ich udział w tym boju był doprawdy minimalny, gdyż najczęściej zależało od powodzenia misji nekroskopa.

Kiedy wrócili z późnego posiłku, Zek wpadła na doskonały pomysł. Ona była telepatką, więc razem z Davidem Chungiem mogłoby mi się udać złapać Harry'ego Keogha i sprawdzić, co się z nim dzieje.

— To jest właśnie to, czego Harry nie chciał! Słuchaj, jeżeli Janosz wedrze się w twoje myśli — sprzeciwił się Darcy.

— Czuję, że będzie za bardzo zajęty Harrym, aby myśleć o czymkolwiek innym — uciekła Zek. — Zresztą, chcę to zrobić. Na skale Lady Karen, w Gwiezdnej Krainie, moje zadanie polegało na czytaniu w umysłach wielu przedstawicieli wampirów. Nikt nie podejrzewał, że się tam dostałam, a jeśli nawet, to i tak nic z tego nie wynikło. W taki sam sposób rozegram to teraz.

— Ciągle myślę o biednym Trevorze — powiedział Darcy — i o Sandrze. . .

— Trevor Jordan nie spodziewał się niczego — odparła Zek. — A Sandra była niedoświadczona, a jej talent nierówny. Nie deprecjonuję jej, stwierdzam po prostu fakt.

— Ale. . .

— Nie! — ucięła Föener. — Jeżeli David jest chętny, musimy to zrobić. Harry znaczy wiele dla Jazza i dla mnie.

Na to Darcy odwołał się do Jazza Simmons'a.

— Jeżeli ona mówi, że to zrobi, to na pewno tak postąpi — powiedział Jazz. — Hej, nie przeceniaj moich możliwości! Jestem tylko jej mężem.

Darcy w końcu uległ, choć nie bez zastrzeżeń. Tak naprawdę był bowiem zainteresowany tym, co się dzieje z Harrym, nie mniej niż wszyscy pozostali.

Trójka, która nie brała bezpośredniego udziału, Darcy, Jazz oraz Ben Trask, siedła dookoła stołu i w skupieniu patrzyła na Zek i Davida. Chung miał oczy zamknięte, oddychał głęboko, ręce trzymał na leżącej na stole kuszy Harry'ego. Zek znajdowała się w podobnym stanie.

Siedzieli tak, czekając, aż Chung namierzy nekroskopa za pośrednictwem rzeczy do niego należącej.

Trwało to dosyć długo, zanim kontakt został nawiązany.

David Chung nabrał powietrza w płuca, a Zek wyprężyła się gwałtownie na krześle. Jej oczy pozostały zamknięte przez kilka długich sekund.

Nagle gwałtownie wstała, oderwała się od Chung'a i nierównym krokiem cofnęła się do stołu. Jazz od razu podbiegł do niej.

— Zek — jego głos był niespokojny — co się dzieje?

Przez chwilę patrzyła nieprzytomnie, potem przytuliła się do męża. Czuł, jej drżenie.

— Tak, ze mną wszystko w porządku. Ale Harry. . .

— Odszukałaś go? — Darcy także podniósł się z krzesła.

— O tak! — David Chung skinął głową. — Odszukaliśmy go. Czego się dowiedziałaś, Zek?

Kobieta uwolniła się z ramion Jazza. I nic nie powiedziała.

— Czy z nim wszystko dobrze? — zapytał Darcy i wstrzymał oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

— Tak, dobrze, dotarł bezpiecznie do miejsca swego przeznaczenia. Widziałam też, że zbliża się decydujący moment. Ale. . . coś tam nie gra.

— Nie gra? To znaczy, że znalazł się w niebezpieczeństwie? — denerwował się Clarke.

— W niebezpieczeństwie? O tak, ale niekoniecznie w takim, o jakim myślisz. — Föener nie potrafiła tego sprecyzować.

— Spróbuj to wytłumaczyć.

— Nie, nie mogę — powiedziała, kręcąc głową. — Jeszcze nie. Zresztą, mogę się mylić.

— Musisz nam pomóc! — Rozdrażnienie Darcy'ego rosło. — Harry stanie na przeciw Janosza Ferenczego osobiście, mężczyzna z mężczyzną! Jeżeli już teraz ma kłopoty, zanim się jeszcze spotkali, to co będzie później? Czy zdoła przezwyciężyć te trudności?

Znowu dziwnie na niego spojrzała, w walce jeden na jednego nie jest niczym wielkim wybrać między nimi.

Przez długi czas milczała. . .

Zostawiwszy zamglone doliny daleko poniżej Harry stąpał po skąpanych w świetle księżyca zboczach. Wiedział, że wspinaczka dobiegła kresu i niebawem stanie twarzą w twarz z piekłem. Idąc tu, miał nadzieję, że zbierze z miejscowych zmarłych własną armię, z którą wkroczy do siedziby Janosza. Ale nawet zmarli się bali. Teraz zostało już niewiele czasu i jeszcze mniej nadziei.

— Załamanie nerwowe? Ty? — Möbius wyłapał jego myśli. — Nie, nigdy! A szczególnie teraz, kiedy jesteśmy już tak blisko. Muszę wejść do twojego umysłu, Harry.

— Wejdź z własnej nieprzymuszonej woli — odpowiedział Keogh.

Tamten bardzo szybko wszedł i wyszedł. Był podniecony jak nigdy przedtem.

— Wszystko pasuje! Wszystko pasuje! — zawołał. — Kiedy przyjdę następnym razem, jestem pewien, że otworzę te drzwi.

— Ale jeszcze nie teraz?

— Obawiam się, że nie.

— Wobec tego, na następny raz może nie być już czasu.

— Nie poddawaj się, Harry.

— Nie poddaję się. Takie po prostu są fakty.

— Przysięgam, że będziemy mieli odpowiedź w ciągu niewielu minut! W tej chwili, spróbuj sam sobie pomóc.

— Sam sobie pomóc? Jak? — zapytał nekroskop.

— Wymyśl jakiś problem liczbowy. Zadaj sobie zadanie matematyczne. Przygotuj się do odzyskania swojej sprawności liczenia.

— Nie wiem nawet, jak matematyczny problem wygląda.

— A więc ja ci zadam. — Wielki matematyk milczał przez chwilę. — Słuchaj — zaczął — faza pierwsza: jestem niczym. Faza druga: urodziłem się

i w pierwszej sekundzie mojej egzystencji osiągam obwód około 372000 mil. Fa-za trzecia: po drugiej sekundzie mój obwód jest dwa razy większy! Pytanie: kim jestem?

— Jesteś wariatem — odpowiedział Harry. — Jeszcze przed minutą przysięgłbym, że to ja nim jestem, ale teraz czuję się zupełnie dobrze. W każdym razie, w porównaniu z tobą.

— Harry?

Harry roześmiał się tak głośno, że aż Cyganie, pokonujący ostania stromiznę podskoczyli.

— Szaleniec — zaszemrali — tak, Ferenczy doprowadził go do szaleństwa!

Nekroskop znowu zwrócił do mowy zmarłych.

— Auguście, rozmawiasz z kimś, kto nie umie policzyć palców u swoich stóp tak, żeby wyszło dziesięć, a każesz mu rozwiązywać łamigłówki wszechświata?

— Całkiem blisko, Harry — odpowiedział Möbius — całkiem blisko. Tylko tak trzymaj, a ja będę z powrotem najszybciej, jak to tylko możliwe.

Pytanie Möbiusa utkwilo mu w pamięci. Nie mógł mu jednak poświęcić teraz uwagi.

Grupa wspinaczy pokonała urwisko. Gdzieś tutaj, na tym wysmaganym wiatrem, skąpo porośniętym płaskowyżu, znajdowały się ruiny zamku Ferenczego. Tam czekał Janosz.

Nagle przemknęło w świetle księżycy kilka postaci. Najpierw zobaczyli ich dwaj prowadzący Zirrowie, następnie Harry, a na końcu trzej Cyganie ciężko dyszący za jego plecami. Wszyscy cofnęli się, wstrząśnięci, z trudem łapiąc powietrze. Nekroskop wiedział jednak, że stoi przed zmarłymi.

Ujrzeni siedmiu wielkich Traków, nieżywych od z górą dwóch tysięcy lat, a teraz powstałych z urn na życzenie Janosza. Mieli na sobie szczątki uzbrojenia. Ich hełmy były przerażające, obliczone na wzbudzenie trwogi. Wypukłe, połyskujące brązem, z owalnymi otworami na oczy, ciemnymi teraz, w migotliwym świetle pochodni. Z zakrzywionymi, schodzącymi w dół flanszami, chroniącymi szczęki wojownika. Na przód wystąpił ogromny rycerz. Popatrzył na Harry'ego Keogha i tchórzliwie kulącą się za nim piątkę.

— Uwolnić go — powiedział Bodrogk. Jego mowa była zamierzchła, ale sposób, w jaki jego miecz z brązu dotknął sznura, nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

Rzecznik Cyganów podszedł ostrożnie do Harry'ego i nieco poluzował pętlę na szyi.

— Jesteście... stworzeniami Ferenczego? — zapytał.

Bardogk nie zrozumiał. Patrzył to tu, to tam, marszczył czoło, zastanawiał się, o co też może chodzić. Harry odczytał jego zakłopotanie i pospieszył z pomocą.

— On chce wiedzieć, czy to Janosz was przysłał.

Ogromny Trak podszedł, a Cyganie nerwowo cofnęli się. Bodrogk chwycił sznury na szyi Keogha i rozerwał je jak nitki. Przedstawił się.

— A więc, to ty jesteś nekroskopem, ukochanym przez wszystkich zmarłych na świecie.

— Nie przez wszystkich — potrząsnął głową Harry — gdyż między zmarłymi są tchórze, tak jak i między żywymi. Jeżeli nie mogę ich poznać, ponieważ oni boją się poznać mnie, to nie mogę też okazywać im przyjaźni. A poza tym nie za bardzo pragnę być kochanym przez niewolników.

Ludzie Bodrogka postąpili do przodu, przyparli stłoczonych Cyganów do brzegu urwiska. Ich potężny dowódca zdjął hełm i cisnął go na bok.

Miał kark byka, twarz srogą, całą zarośniętą. Reszta ciała była jednak wycieńczona niewypowiedzianym cierpieniem. Wynędzniały, znękany wygląd lepiej niż słowa mówił o tym, jak Janosz traktował jego i jego ludzi.

— Słyszałem jak rozmawiasz ze zmarłymi — powiedział Bodrogk. Musisz wiedzieć, że słudzy Janosza nie są tchórzami.

— Wiem, że Trakowie w podziemiach zamku są prochem i dlatego nie mogą mi pomóc. Powiedzieli mi, że zrobiliby to, ale nie mogą, ponieważ tylko sam Janosz może ich na nowo powołać. Bowiem tylko on jeden zna odpowiednie słowa. Z drugiej strony... ty i twoja szóstka nie jesteście prochem.

— Nazywasz nas tchórzami? — Ciężka ręka Bodrogka spoczęła na ramieniu Harry'ego blisko szyi, a wielki miecz z brązu poruszył się w drugiej ręce.

— Wiem tylko, że niektórzy cierpią — odpowiedział Harry. — Przyszedłem, więc, żeby go zabić i usunąć jego piętno na zawsze.

— Czy jesteś wojownikiem, Harry?

Keogh podniósł głowę i zacisnął zęby. Nigdy nie bał się zmarłych, więc i teraz się nie przestraszył.

— Tak.

Bodrogk uśmiechnął się dziwnym, smutnym uśmiechem.

— Co to za ludzie? Złapali ciebie i przyprowadzili tutaj, tak? Jak ofiarną owieczkę.

— Oni należą do Ferenczego — przytaknął nekroskop.

Tamten popatrzył na niego i wejrzał w duszę Harry'ego.

— Wojownik bez miecza, co? Masz, bierz mój. — Włożył mu miecz do ręki. Spojrzał groźnie na Cyganów i skinął na swoich ludzi. Sześciu trackich wojowników przyskoczyło do Zirrów z mieczami i zmietli ich w przepaść jak plewy. Ich ciała poleciały w głęboką, ciemną gardziel, odbijając się od ścian urwiska.

— Wreszcie przyjaciel. — Pokiwał głową Harry. — Miałem nadzieję, że może uda mi się w końcu kilku spotkać.

— Ty albo oni — odpowiedział Bodrogk. — Zamordować wartościowego człowieka albo zarzezać sforę psów. Niewola u Ferenczego albo wolność. Nie-wielki wybór. Podjąłem jedyną decyzję godną mężczyzny. Gdybym jednak przez

chwilę się zastanowił. . . wypadki mogłyby potoczyć się inaczej. Przez wzgląd na moją żonę. . .

I zaraz wytłumaczył, co ma na myśli.

— Wziąłeś na siebie wielki ciężar — odrzekł Harry, oddając miecz.

— Zmarli do mnie wołali — wyjaśnił Bodrogk. — Całymi tysiącami krzyśleli, błagali o twoje życie. Tak, a szczególnie głos twojej matki.

„Dziękuję Bogu za ciebie, mamó!” — pomyślał Keogh.

— Tak, twoja matka — powiedział tamten. — Ona mnie przekonała do połowy, a Sofia zrobiła resztę.

— Twoja żona?

— Tak — potwierdził Bodrogk, prowadząc z powrotem w kierunku ruin zamku. — Powiedziała mi: „Gdzie się podział twój honor, ty, który byłeś tak potężny?”

— Wobec tego mamy z sobą wiele wspólnego, twoja pani i ja. . . Bodrogk, już mam to, o co mi chodziło, ale ona musi być twoja. Walcz tylko z Sofią w sercu, a nie możesz przegrać.

W głębi duszy, niewidziany i niesłyszany, modlił się, żeby to była prawda.

— Nie mam planu — przyznał.

Bodrogk zaśmiał się, choć ponuro.

— Wojownik bez miecza i w dodatku bez planu kampanii! — odrzekł Bodrogk. Chwycił ramię nekroskopa. — Nie żyję już od dawna, Harry, ale za życia byłem królem wojowników, wodzem armii. Wieki, które upłynęły nie mogły pozbawić mnie strategicznych zdolności.

Harry popatrzył na Traka. Szedł wielkimi krokami, posępny, ponury, martwy i zmartwychwstały.

— Ale czy zdolności wystarczą, skoro wampir może po prostu zamruczeć kilka słów, aby z powrotem zamienić ciebie w pył? Będzie chyba lepiej, jeśli mi powiesz, w jaki sposób działa jego magia. Czy masz jakiś plan.

— Słowa dewolucji mogą być wypowiedziane tylko przez Pana, przez Maga — powiedział Bodrogk. — Janosz nim jest. On musi skierować swoje słowa, wymierzyć nimi w cel, jak strzała. Żeby trafić, musi najpierw zobaczyć ofiarę. Dlatego. . . pójdziemy na niego oddzielnie! Podejdziemy i wkroczymy do zamku ze wszystkich stron. Nie może porazić nas wszystkich jednocześnie. Niektórzy z nas padną, tak. Cóż z tego? Umarliśmy już przedtem. Pragniemy zginąć, i tak pozostać! Kiedyś Janosz zajmie się niektórymi z nas, inni — a szczególnie ty, Harry, mogą żyć wystarczająco długo, by zająć się nim.

Harry pokiwał głową.

— To równie dobry plan, jak każdy inny — powiedział. — Ale on na pewno nie jest sam?



— Ma swoich wampirycznych niewolników — odpowiedział Bodrogk. — Pięciu. Trzech, którzy byli Cyganami, i dwóch, którzy ostatnio do niego dołączyli. Jedną z nich jest kobieta. . .

— Sandra — jęknął Harry, czując słabość.

— I drugi człowiek, podobnie utalentowany — ciągnął Bodrogk — Janosz złamał go, aby wymusić na nim posłuszeństwo. Co zaś do kobiety: postąpił z nią tak, jak zawsze postępuje z kobietami, pies!

— A więc nimi także trzeba będzie się zająć — odrzekł nekroskop.

— Rzeczywiście, i to zaraz!

— Zaraz? — zapytał Harry.

— Czekają na nas, tam, pod drzewami, za którymi rozciągają się te zwalone, przekłete ruiny. Mam oddać cię w ich ręce, a oni z kolei zaprowadzą cię do ich pana.

Harry popatrzył na skrecone, wysmagane wichrem sosny pochylone w stronę ostatniego przed szczytem urwiska. W cieniu ich listowia, zobaczył żółte, zdzi-  
czale płomienie wampirycznych oczu. Powrócił do prawdziwej mowy zmarłych.

— Czy wiesz, jak z nimi postępować? — zapytał.

— A ty? — Pytanie dorównało pytaniu.

— Kołek, miecz, ogień — odparł Harry ponuro.

— Miecze mamy — powiedział Bodrogk. — Ogień też, w pochodniach, które niosą moi ludzie. A kołki? Tak. . . wycieliśmy kilka, czekając na was przy urwisku. A więc, jak widzisz, za moich dni także istniały wampiry. Pozwól więc, że się tym zajmiemy.

Niemartwi niewolnicy Janosza wyszli spomiędzy drzew. Ich długie ręce wy-  
ciągnęły się po Harry'ego. Uśmiechnęli się na swój chorobliwy sposób. Żaden z nich nawet nie śnił, że Bodrogk może zdradzić. Skoro tylko otoczyli nekroskopa, Trakowie rzucili cię na nich i ścięli.

Wszystkie trzy wampiry zostały pozbawione głów, rzucone na ziemię, prze-  
szyte kołkami. Ludzie Bodrogka przenieśli ciała swych ofiar na stos. Podłożyli ogień pod wyschnięte na pieprz, pokryte żywicą drzewa. Nagle Harry zobaczył przemykającą, zgiętą postać. W następnej chwili Ken Layard wszedł w zasięg blasku ogniska.

— Harry! — westchnął. — Harry! Bogu dzięki!

Światło księżyca oświetliło jego pożółkłą skórę. Rozłożył szeroko ramiona, zamknął oczy i zwrócił twarz ku nocnemu niebu.

Keogh odwrócił się i ujrzał wysoką, ciemną postać stojącą na granicy ruin.

— Janosz! — wyszeptał.

Ludzie Bodrogka rozprawili się szybko z Layardem. Oni również dostrzegli w mroku ruin wampira, jego szkarłatne, płonące oczy. Janosz wskazał na nich palcem i straszliwy, ujadający głos wypełnił przestrzeń nocy.

— OGTROD AI E GEB L EE H YOGSTHOTH! . . . — zawołał.

Dwaj wojownicy będący celem Janosza krzyknęli, skurczyli się. Janosz dokończył dewolucji, a ciała ich opadły na ziemię w postaci pyłu.

Harry rozejrzał się dokoła. Bodrogka i pozostałej mu czwórki nigdzie nie dostrzegł. Wilk, który stanowił część eskorty, ale który trzymał się z tyłu za oddziałem Traków, teraz czołgał się ku niemu, zaganiając go w kierunku pana zamku. Nekroskop schylił się i podniósł miecz jednego ze zdematerializowanych Traków. Poczul jego znaczny ciężar. Nie mógł mieć nadziei, że posłuży się nim. Odszukał wzrokiem Janosza. Dostrzegł cień niknący szybko w ciemności ruin. Ruszył naprzód. Wilk skoczył za nim i kłapał zębami. Poczul chrzęst łamanej czaszki bestii. Ujął broń w dwie ręce... i ku jego zdumieniu wilk odskoczył skowycząc!

Zanim Harry zdążył zastanowić się, co to znaczy, Bodrogk wyszedł z ukrycia i celnym cięciem odjął zwierzęciu głowę. Keogh spojrział w serce zrujnowanej budowli i dostrzegł Janosza stojącego po drugiej stronie zwałonego muru. Potwór wlepił wzrok w Traków.

— Uwaga! — krzyknął nekroskop.

— OGTROS AI E... — rozpoczął Janosz szeleszczącą runę dewolucji. Zanim jeszcze skończył, następny wojownik krzyknął i rozkruszył się w dymiącą kupę pyłu.

Nekroskop pospieszył za Janoszem, ożywiony pragnieniem zemsty. Wampir zniknął, odwrócił swoją dziwną głowę i popatrzył za siebie. Harry dostrzegł karmazynowe lampy płonące w jego oczach. Było w nich wypisane wyzwanie, któremu nekroskop nie mógł się oprzeć.

Znalazł tajemne wejście nad prowadzącymi w dół schodami i prawie bez zastanowienia rozpoczął zejście. Głos z tyłu zatrzymał go. Obejrzał się i zobaczył nadchodzącego Bodrogka i jego pozostałych wojowników.

— Harry — huknął ogromny Trak — będziesz pierwszy na dole. Śpiesz się! Chroń moją Sofię!

Harry skinął głową i wyruszył w dół studni spiralą schodów.

Wampir pojawił się znikąd, wykopał miecz z rąk i rzucił Harrym o ścianę z ogromną siłą.

Keogh zgasł jak świeca...

— Harry... Haaarry! — krzyczała do niego matka, wielka ilość przyjaciół i znajomych, wszyscy zmarli na całym świecie. Ich głosy zawodziły, wypełniły go, penetrowały próg podświadomości i otulały go swym ciepłem.

— Mama? — odpowiedział poprzez ból. — Mamo... jestem ranny!

— Wiem, synu — powiedziała, głosem przepelnionym uczuciem. — Czuję to... my wszyscy to czujemy. Leż spokojnie, Harry.

— Leżenie w niczym nie pomoże, mamu — odrzekł. — Ani to całe zgrzytanie zębami, które mnie stamtąd dochodzi. Zamierzam wszystkich was odciąć. Muszę się obudzić. A kiedy to zrobię, będę potrzebował pomocy, żeby przeżyć.

— Ależ zmarli mogą ci pomóc, synu! — zawołała. — Jeden z nich, który próbuje się właśnie z tobą połączyć, zna część odpowiedzi. „Möbius? Musiała mówić o Möbiusie” — pomyślał.

— Nie, nie on. — Harry poczuł jej przeczący ruch głową. — Ktoś inny, ktoś, kto znajduje się dużo bliżej ciebie. Tyle tylko, że niewiele z niego zostało, Harry. Nie usłyszysz go w tym wszystkim. Poczekaj, zobaczę, czy da się ich uciszyć.

Cofnęła się, przemówiła do innych. Mentalny zgiełk szybko rozproszył się i zapadła niezwykła cisza.

— Harry? — zabrzmiał słaby głos.

— Czy mnie szukasz? — zapytał nekroskop. — Kim jesteś?

— Jestem niczym — westchnął tamten. — Nawet nie kwileniem, nawet nie duchem. Tak, Harry, nawet zmarli z trudnością słyszą mój głos! Nazywam się George Vulpe, pięć lat temu, wraz z przyjaciółmi odkryłem zamek Ferenczego.

Harry pokiwał głową.

— Zabił ciebie, prawda?

— Zrobił więcej, niż tylko to — jęknął tamten głosem słabszym niż szelest suchego, martwego liścia. — Zabrał mi życie, ciało, nie pozostawił... nic! Nawet miejsca spoczynku.

Keogh czuł, że to jest bardzo ważne.

— Czy możesz wytłumaczyć? — zapytał.

— Rozmawiałem z niejednym Zirrą w Miejscu Wielu Kości — powiedział George Vulpe. — Kiedy Ferenczy leżał w urnie, to oni właśnie żywili go i odnawiali jego siły własną krwią. Ale ja byłem inny. Miałem tylko trzy palce u dłoni!

Harry odetchnął głęboko.

— Więc to byłeś ty!

— On ma moje ciało — podjął znowu tamten. — A ja nie mogę spocząć. Na wieczność.

— Czym on był? — chciał wiedzieć Harry. — To znaczy, jak sobie ciebie przywłaszczył, wyprowadził z twojego ciała?

— Moja krew wyciągnęła go z urny. Byłem synem jego synów, z klanu Zirrów. Ale nie wiedziałem o tym. Tylko moja krew wiedziała.

— Wyszedł z urny? — naciskał Keogh. — Jako esencjonalne sole?

— Moja krew go przekształciła — odrzekł Vulpe.

Harry potrzebował pomocy, by zrozumieć. Zdjął zasłonę z Faethora.

— Niech cię cholera, Keogh! — wściekał się bezcielesny wampir.

— Cicho! — krzyknął Harry. — Wytłumacz, co ten człowiek mówi.

Faethor znał historię Vulpego.

— A czy to nie oczywiste? Janosz przedsięwziął środki ostrożności. Kiedy zredukowałem jego mózg i jego wampira do prochów, zawsze wierni Zirrowie ukryli go w sekretnym miejscu, aż do czasu, kiedy mógł przeprowadzić tę... tę

metempsychozę. Ale nie był to po prostu transfer umysłu. Pijawka Janosza powstała z prochu. Samo to stworzenie weszło do tego właśnie ciała! I teraz...

Keogh znowu go zamknął.

— George — powiedział — dziękuję za pomoc. Nie wiem, co dobrego z tego dla mnie wyniknie, ale w każdym razie dziękuję.

Jedyną odpowiedzią stało się westchnienie, szybko przechodzące w nicość...

Harry walczył uporczywie, by wydobyć się ze stanu nieświadomości. Kiedy już prawie mu się to udało, nadszedł Möbius.

— Harry — krzyczał uczoney. — Mamy to! Sądźmy, że mamy to!

Wszedł do umysłu nekroskopa.

— Czy jesteś gotowy!

— Nigdy nie byłem bardziej gotowy — odpowiedział Harry.

— To nie o to chodzi — powiedział Möbius. — Chodzi o to, czy jesteś przygotowany mentalnie?

— Przygotowany mentalnie?

— Harry. Mogę otworzyć te drzwi. Tam, w środku, jest inny wszechświat. Harry, nie chciałbym, żeby wessał cię twój własny umysł.

— Wessał? — Keogh potrząsnął głową. — Nie nadążam.

— Patrz... czy rozwiązałeś mój problem?

— Problem? — Raptem Harry poczuł, jak kipi w nim gniew. — Twój pieprzony problem? Kiedy miałbym mieć czas, twoim zdaniem, na rozwiązywanie pieprzonych problemów?

— Harry, otwieram te drzwi... teraz!

Nekroskop nic nie poczuł.

— Udało się? — zapytał z niepokojem.

— Tak, udało się — odetchnął Möbius. — I jeśli masz równania, będziesz mógł zrobić resztę.

— Ale ja nie czuję żadnej różnicy.

— Otworzę więc następne drzwi!

Ostry ból przeszył umysł nekroskopa i... Harry obudził się. Zimny płyn palił mu twarz, dostał się do gardła. Wywoływał kaszel. Alkohol. Z pewnością łatwo zamieniał się w ciało lotne. Parował, spowijając wszystko wokół w migoczące obłoki. Nekroskop z najwyższym wysiłkiem oparł się na rękach i kolanach, starał się nie wdychać wycieków, które wznosiły się do przewodu kominowego, bezpośrednio nad jego głową...

Kłęknął w niecce czy zagłębieniu wyciętym w twardej skale. Pomyślał, że musi znajdować się w samych trzewiach zamku, w samym podłożu skalnym. Przy przeciwległej ścianie, skąd grubo ciosane schody prowadziły na wyższe poziomy, wstał...

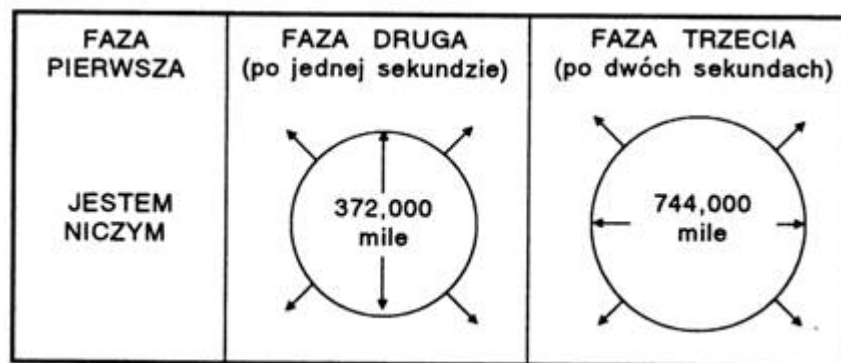
Janosz wysoko w górze trzymał płonącą żagiew, a jego szkarłatne oczy odbijały jej blask. Wargi w ohydny uśmiechu odsłoniły potworne zęby.

— Więc obudziłeś się, nekroskopie — powiedział Janosz. — To dobrze. Chciałem, żebyś poczuł ogień, który uczyni ciebie moim na zawsze!

Popatrzył na pochodnię w swym ręku, a następnie na podłogę. Harry podążył śladem jego wzroku, na płytce koryto czy kanalik, wyżłobiony w skale.

Harry rzucił się ku krawędzi płytkiego basenu. Taplał się w płynie, chwycił za brzeg i podciągnął się. W uszach dźwięczał mu obłąkany śmiech Janosza. Zobaczył, jak ten powoli opuszcza żagiew.

— Mój problem, Harry! — krzyczał Möbius w histerycznym przerażeniu.



Keogh zwalczył strach. Wyobraził sobie serię liczb, instynktownie przekładając obwody na średnice:

Intuicyjny talent matematyczny, wreszcie mu przywrócony, dokonał reszty.

— Kim jestem? — zawył Möbius, gdy ogień pochodni Janosza dotknął płynnego lontu.

— Światłem! — wykrzyknął głośno Harry. — Czymże innym możesz być? Tylko światło rozchodzi się z taką prędkością od niczego do średnicy 744 000 mil w ciągu dwóch sekund!

Ogień syknął, przebiegł przez całą podłogę groty jaskrawo-niebieskim płomieniem.

— Jakie światło? — Möbius zawołał jak oszalały.

— Byłeś niczym, zanim nastałeś — krzyczał Harry. — Dlatego... jesteś Światem Pierwotnym!

— Tak — Uczony radował się w umyśle Harry'ego. — A mym źródłem było kontinuum Möbiusa! Witaj znowu, Harry!

Ekran y zajarzyły się w umyśle Keogha w tym samym momencie, kiedy niecka przekształciła się w piekło. Zatykający dech w piersiach żar rozszedł się z języka błękitnego ognia, który buchnął wprost w komin nad głową. Płynny ogień opalił

Harry'emu włosy i twarz, ubranie zajęło się płomieniem. Trwało to może jedną dziesiątą sekundy, zanim Keogh nie przedstawił sobie drzwi Möbiusa i nie rzucił się w nie.

Wiedział, dokąd iść. Wywołał drugie wrota i wypadł z kontinuum. Okopcony, poparzony, ale żywy. Żywy jak nigdy przedtem. Pełen uniesienia i więcej niż uniesienia...

Janosz przekonał się, że Harry Keogh jest niezwycięzony. Nekroskop uszedł... Wampir zastanawiał się, czy wróci i kiedy, i jakie to przerażające Moce przywiedzie z sobą.

Wspiął się po schodach. Minął niższe partie splątanych podziemi zamku, by w końcu wynurzyć się w masywnie sklepionym pomieszczeniu. Stały tam urny, słoje i lekythoi. I nagle... ujrzał przed sobą Harry'ego, Bodrogka i pozostałych Traków.

Janosz cofnął się i przycupnął przy ścianie.

— Jesteś prochem! — warknął na Bodrogka i wyciągnął palec. Ogromny przywódca Traków wraz z dwoma swoimi wojownikami rzucił się w sklepione wrota innego pomieszczenia, ale trzeci uwiązał w podmuchu dewokacji.

— OGTHROD AI F, GEB L EE H  
YOG SOTHOTH, NGAH NG AI Y  
ZHRO! — wyrecytował Janosz.

Poddany dewolucji człowiek wyrzucił w górę ręce i westchnął... po czym upadł w chmurze szarozielonych pyłów.

Janosz zaryczał swym obłąkanym śmiechem, skoczył, by podnieść miecz upadłego wojownika. Ruszył na Harry'ego. Nekroskop jednak był magiem, panem na własnych prawach. W jego umyśle, w tym dokładnie momencie, krzycząc z urn, tysiące głosów mową zmarłych uczyło go Słów Mocy. Harry wyciągnął palce w kierunku stojących wokół urn.

— Y AI NG NGAH, YOG SOTHOTH,  
H EE L GEB, A AI THRODOG,  
UAAA! — wypowiedział runę inwokacji.

Sklepione pomieszczenie w jednej chwili wypełniło się fetorem i purpurowym dymem, który przysłonił Harry'ego, Janosza i resztę. Z tego zamętu i zaduchu przyszły krzyki torturowanych. Trakowie, Persowie, Scytowie i Grecy zostali powołani do życia w formie dalekiej od doskonałości.

Janosz przebiegł wśród potykających się, stękających szeregów, gdy tamci rozbijali się i jak grzyby wyrastali z nicości. Wycelował jednak palcem w jakąś grupę i posłał ją z powrotem. Nekroskop natychmiast znowu powołał ich z pyłu. Nie było sposobu, by wampir mógł wygrać. Nie mógł wykrzykiwać słów tak szybko, jak trzeba, i szeregi zmartwychwstałych wojowników zaciskały się wokół mego.

Janosz uciekł na schody, zniknął z widoku. Ohydnie niekompletna armia podążyła za nim, ale Harry przestrzegł.

— Zostańcie — rozkazał. — Wasza rola jest skończona. Umrzecie i będziecie spoczywać w pokoju.

Pobłogosławił ich i obrócił w proch wszystkich za wyjątkiem króla wojowników, Bodrogka.

Zabrał go z sobą. Przystąpili razem drzwi Möbiusa... i znaleźli się znowu w ruinach zamku Ferenczego.

Czekali. Po chwili nadszedł Janosz, chrząkając i skowycząc. Zobaczył ich, zakrzuszył się ze strachu, wymiotując rzucił się do ucieczki.

Był wyczerpany. Brakowało mu tchu. Chwiejąc się doszedł do skalnej ściany za zamkiem i ścieżką zaczął się wspinać do góry... W połowie drogi napotkał ponownie Harry'ego i Bodrogka. Ogromny Trak dźwigał topór.

Janosz wznosił karmazynowe oczy. W całym jego życiu była tylko jedna sztuka wampirów, której nie udało mu się opanować ani nawet podrobić. Teraz musiał spróbować. Uniósł w górę ramiona i wyraził wolę przemiany. Jego ubiór rozerwał się. Ciało rozciągnęło w duży koc, płat powietrzny z jego materii cielesnej. Jak nietoperz nocą, rzucił się ze ścieżki na zboczu.

Powiodło mu się. Leciał ze strzępami porwanego ubrania, furkoczącymi dookoła jak niezwykle skrzydła. Leciał tak... aż topór ciśnięty przez Bodrogka nie zagrzebał się w jego krzyżu.

Harry i Bodrogk zeszli w dół i odszukali ciało potwora. Dławił się i kaszłał krwią, ale już zdołał uwolnić się od topora, a wampirza plazma już go kurowała. Nekroskop ukląkł obok niego i popatrzył mu w oczy. Mężczyzna z... mężczyzną? Twarzą w przerażającą, przerażoną twarz.

— Ty psie! — Wybałuszone oczy Janosza krwawiły.

— Masz ludzkie ciało — odpowiedział Harry bez emocji — ale twój umysł i wampir wewnątrz ciebie powstały z popiołów w urnie.

Wyciągnął przed siebie rękę.

— Popiół do popiołu, Janosz, i proch do prochu! OGTHROS AI E, GEB L EE H!

Wampir krzyknął, wykręcił się, zakrzuszył i odzyskał ludzki kształt.

— YOG SOTHOTH, NGAHNN G AI Y — Nekroskop mówił dalej.

— Nie! — zawył Ferenczy — Nieee!

Harry wypowiedział ostatecznie słowo, a ciało Janosza skrzywiło się w konwulsjach krótkotrwałego, ale niewypowiedzianego cierpienia. Wił się szaleńczo, wibrował, aż wreszcie zastygł. Głowa opadła mu do tyłu, jego straszliwa paszcza otworzyła się, światła zgasły w jego oczach. Masywna pierś osiadła i wydał z siebie ostatecznie, długie westchnienie. Nie uszło z niego powietrze, ale chmura czerwonego pyłu, która rozproszyła się na wietrze.

Dama Bodrogka, Sofia, i Sandra wyszły z ruin. Pojawiły się niczym zjawy. Harry pamiętał swoje niejasne wejrzenia w przyszłość tej całej sprawy. Obce stworzenie, które przyszło do niego nocą, pożądając go, pragnąc jego.

Rzuciła się w jego ramiona. Łkała na jego piersi. Tuląc ją mocno, usłyszał słowa Sofii.

— Ona mnie uratowała! — powiedziała. — Ta dziewczyna-wampir znalazła mnie tam, gdzie Janosz mnie ukrył, i uwolniła mnie!

„Ostatni akt jej wolnej woli, zanim potworna gorączka w jej krwi zagarnie ją całą dla siebie” — pomyślał Harry.

Piękne, prawie nagie ciało Sandry było zimne. Nekroskop wiedział, że nie można go ogrzać. Sandra „usłyszała” jego myśl i odsunęła się troszeczkę. Chwyła cienki, ostry kołek, odłupany ze starego dębu. Wbiła pod pierś i przeszła swe serce. Zrobiła ostatni krok do tyłu i upadła.

Bodrogk, widząc cierpienie Harry’ego, dokończył reszty...



## EPILOG

Całą noc Harry przesiedział samotnie w ruinach, sam na sam ze swoimi myślami, z Faethorem uwięzionym we własnym wnętrzu i niezliczonymi zmarłymi.

Nie pozwolił nikomu stać się świadkiem własnego bólu. Myślał, że potrafi być zimny, ale nie potrafił. Myślał, że ciemność i cienie będą mu przeszkadzać, a tymczasem noc dała mu schronienie.

O świcie odszukał Bodrogka i jego damę. Ukryli się w osłoniętym miejscu, rozpalili ognisko, i teraz przytuleni wpatrywali się we wschód słońca. Powitali Keogha z jakimś smutkiem, ale też z wyraźnym postanowieniem.

— To nie musi nastąpić — powiedział. — Wybór należy do was.

— Nasz świat jest o dwa tysiące lat za nami — odrzekł Bodrogk. — Od tego czasu... modliliśmy się o spokój wiele razy. Posiadasz ogromną moc, nekroskopie.

Harry pochylił głowę, wymówił tajemnicze słowa pożegnania i patrzył, jak ich prochy łączą się. Jak podmuch wiatru zabiera je z sobą...

Wszedł znów między ruiny i uwolnił Faethora.

— Co? — wściekał się ten ojciec wampirów. — A więc jestem twoim ostatnim ratunkiem, Keogh? Występujesz o moją pomoc teraz, kiedy wszystko inne zawiodło?

— Nic nie zawiodło — odpowiedział Harry.

Uczył wóczas coś dziwnego, nawet w jego kategoriach. Rozmyślnie okłamał martwego człowieka.

— Janosz jest ranny, umiera — powiedział.

Furia Faethora nie znała granic.

— Beze mnie? Powaliłeś go beze mnie? — zawył. — Nie wie, że maczałem w tym palce? Chcę poczuć ból tego psa!

Faethor wyłamał się z umysłu Harry'ego i znalazł Janosza... martwego. Poznał prawdę.

Nekroskop natychmiast uruchomił talent Wellesleya, aby zatrzymać wampira na zewnątrz.

— Mówiłem, że się ciebie pozbędę — powiedział.

— Głupiec! — miotał się Faethor. — Wkrótce będę tam znowu, nie bój się. Tylko zluźnij swoje straże, a wtargnę do twych myśli, nekroskopie!

— Dobiliśmy targu. — Harry argumentował racjonalnie. — Ja wypełniłem swoją część. Wracaj na swoje miejsce, Faethorze, do Ploesti.

— Z powrotem do zimnej ziemi, po tym jak zagnałem twego ciepła? Nigdy! Czy nie rozumiesz, co się stało? Janosz niewiele się pomylił, odczytując przyszłość. Wiedział, że wampirzy pan, największy z nich wszystkich, zstąpi, kiedy wszystko się dokona. Ja jestem tym wampirem, Harry, w twoim ciele.

— Człowiek nie powinien czytać w przyszłości — sentencjonalnie rzekł Keogh — gdyż jest to pokretna rzecz. No, a teraz czas na mnie.

— Dokądkolwiek pójdziesz, tam i ja pójdę.

Keogh wzruszył ramionami i otworzył drzwi Möbiusa.

— Pamiętasz Dragosaniego? — zapytał i przekroczył próg.

Faethora przeszył dreszcz, wszedł jednak za Harrym.

— Dragosani był głupcem — powiedział chełpliwie. — Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

— Jeszcze jest czas — powiedział Harry. — Mogę cię jeszcze zabrać do Ploesti.

— Do diabła z Ploesti.

Harry otworzył drzwi czasu przeszłego i rzucił się przez nie, razem z wampirem.

— Nie pozbędziesz się mnie, nekroskopie!

Patrzyli na przeszłość całej Ludzkości. Na miriady neonowych nitek życia znikających w oddali, w jaskawobłękitnym początku.

— Dokąd mnie zabierasz? — Faethor znów zaskowytał.

— Widzisz, widzisz tam? — zawołał Harry. — Tę czerwoną nitkę między niebieskimi? Zaiste, szkarłatna nić... twoja, Faethorze. A widzisz, gdzie się urywa? Tam Ladislau Giresci odjął ci głowę tej nocy, kiedy zbombardowano twój dom. Oto, gdzie zatrzymała się twoja nić życia, i zrobiłbyś mądrze, zatrzymując się wraz z nią.

— Zabierz... zabierz mnie stąd! — Faethor dyszał, bulgotał, przylgnął do Harry'ego jak bezcielesna pijawka.

Harry wszedł w kontinuum Möbiusa i wybrał drzwi czasu przyszłego, gdzie biliony niebieskich nitek życia rozwijały się, pędząc w oślepiającą, bez końca rozprzestrzeniającą się przyszłość. Popłynął między nie, i został zaraz pochwycony przez strumień czasu.

— Widzisz tę nić, rozwijającą się ze mnie? — zapytał. — To moja przyszłość.

— I moja — powiedział wampir z uporem, ale już spokojniej.

— Ale patrz, ona jest zabarwiona czerwienią — dodał Harry. — Czy widzisz to, Faethorze?

— Widzę, głupcze. Ta czerwień to ja, dowód na to, że już na zawsze jestem częścią ciebie.

— Błąd — powiedział nekroskop — ja mogę się cofnąć, ponieważ moja nie jest przerwana. Ponieważ mam przeszłość, mogę się na nią nawinąć. Ale twoja przeszłość urwała się w Ploesti. Nie masz linii życia, Faethorze.

— Co? — zabrzmiał koszmarny głos tamtego.

Nagle nekroskop zatrzymał się, stanął w miejscu, a duch Faethora wystrzelił w przyszłość.

— Harry! — wykrzyknął tamten w najwyższej trwodze. — Nie rób tego!

— Ale to już się stało — zawołał za nim Keogh. — Nie masz ciała ani przeszłości, niczego, Faethorze, za wyjątkiem najdłuższej, najbardziej samotnej przyszłości, jaka kiedykolwiek była udziałem jakiegokolwiek stworzenia. Żegnaj!

— Harry!... Haaarry!... Haaaaaarry!...

Nekroskop zamknął metafizyczne drzwi i odciął go. Na zawsze. Zanim jednak się zatrzasnęły, spojrzął na swoją błękitną linię życia, która gdzieś w oddali przemieniła się w... szkarłat.

Człowiek nie powinien nigdy czytać w przyszłości, gdyż jest to pokrętna rzecz...